

MICHAŁ

GÓŁ

KÓW

SKI

PIERZASTY  
WĄZ



fabryka słów®  
WYDAWNICTWO

# Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Cykl Świat we krwi

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Michał Gołkowski

Karta redakcyjna

Okładka

*MICHAŁ  
GOŁKOWSKI  
PIERZASTY  
WĄZ*

Ilustracje  
Paweł Zaręba

fabryka słów®

Lublin – Warszawa



# Cykl Świat we krwi



Pierzasty Wąż  
Obsydianowy Motyl  
Jadeitowy Pająk

*Widzę nadchodzące nieszczęście, drży w świątyni.  
Tarcze płoną, to jest miejsce dymu – tam,  
gdzie powstał bogowie.  
Widzę nadchodzące nieszczęście, drży w świątyni.*

Świetliki w nocy (mexicka pieśń wojownika)



# Prolog

*Lato 1519, Villa Rica de la Vera Cruz – wybrzeże Nowego Świata*

Huknęły o ścianę gwałtownie otwarte drzwi. Żołnierz w półpancerzu wpadł do komnaty niczym burza, już od progu krzycząc:

– Panie! Panie, okręty płoną!

Leżący na skotłowanym posłaniu caudillo Hernán Cortés de Monroy Pizarro Altamirano chrapnął i obudził się z gwałtownym wzdrygnięciem.

Usiadł.

Potoczył wokoło półprzytomnym wzrokiem.

Zamrugał.

– Co...? – Widać było, że jeszcze nie do końca dotarł do niego sens usłyszanych słów.

Zza ramienia zdyszanego żołnierza wyjrzał młody Diego de Coria, który spał w sąsiedniej komnacie; na twarzy giermka malowało się przerażenie.

– Płoną okręty, panie! Widziałem na własne oczy! Kiedy odjeżdżałem, Nuestra Señora właśnie zajmowała się ogniem! Nieszczęście, panie, musicie...!

Cortés już nie słuchał.

Wyskoczył z łoża i z trzaskiem otworzył na oścież okiennicę, wypuszczając do środka mdły poblask świtu.

Rozejrzał się.

Chwycił najpierw leżącą na oparciu krzesła koszulę, dopiero potem zaczął pospiesznie, niezgrabnie wciągać bieliznę. Zaplątał się w nogawce bryczesów...

Żołnierz chciał powiedzieć coś jeszcze, ale głos uwiązał mu w gardle, kiedy na łóżku podniosła się smagłolica kobieta o wielkich orzechowych oczach. Spuścił wzrok, próbując za wszelką cenę uciec spojrzeniem: caudillo nie lubił, kiedy ktoś poza nim patrzył na doñę Marinę – czy też raczej Malintzin, jak nazywała ją większość ludzi.

– Co się dzieje? – zapytała kobieta zaspianym głosem z silnym obcym akcentem.

– Czekaj tutaj! – warknął Cortés. – Diego, pilnuj jej!

– Tak jest, panie! – odszczeknął giermek.

Malintzin potrząsnęła głową, jej brwi zjechały gestem rodzącej się złości ku drobnemu noskowi:



– Ja nie potrzebuję...

Ale on już naprawdę nie słuchał.

Chwyił pas z rapciami, zakręcił się, chciał sięgnąć po hełm... Machnął ręką, popędził ku wyjściu z chaty. Potknął się o chcącego się przywitać psa, uderzył barkiem drzwi i wyleciał na dwór.

Nad świeżo położonymi dachami jeszcze białych od nowości domów dopiero wstawał świt, szarówka na wschodzie barwiła się różem, powoli wstającym nad tonią oceanu...

...natomiast nieco ku południowi, za oddzielającym ich od zatoki cyplem, pełgała i jarzyła się zupełnie inna, o wiele jaśniejsza poświata.

Niewiele myśląc, Cortés wskoczył na stojącego obok chaty spienionego konia – zapewne tego samego, na którym musiał przygalopować tutaj pełniący poranną wartę żołnierz.

– Hyah! – krzyknął, uderzając zwierzę piętami.

Wiatr huczał i świszczwał mu w uszach, kopyta rwały kamienistą, piaszczystą ziemię, lecącą wysoko za zadem wierzchowca. Ktoś wypadł z mijanej właśnie chaty, zakładając pancerz – odskoczył z przestraczem, kiedy caudillo przegalopował obok.

Jękliwy, nierówny głos dzwonu alarmowego niósł się ponad osadą, przedwcześnie budząc ją do życia. Ludzie wybiegali przed domy, rozglądali się. Niektórzy pokazywali na czarny słup gęstego dymu wznoszący się coraz wyżej na tle idealnie czystego nieba. Niosły się bezładne krzyki: pożar, pożar! Do bronii! Indianie atakują!

Ale sam Cortés nie słyszał tego, wtulając się nisko w kark pędzącego rumaka. Wyleciał przez bramę, szarpnął wodzami – zwierzak kwiknął, prawie pośliznął się w gwałtownym skręcie i wypadł na wydeptaną drogę prowadzącą ku zatoce.

W głowie caudilla kłębiły się setki myśli, tysiące wariantów tego, co mogło się stać.

Zarzykował zerknięcie przez ramię: za nim wyskoczyło jeszcze kilkunastu ludzi, pospiesznie naciągających lekkie płócienne pancerze i przypasujących miecze, a potem brama zamknęła się. Nad palisadą pojawiły się głowy w charakterystycznych grzebieniastych hełmach z zadartymi rondami.

Dobrze.

Niech kusznicy zajmą pozycje obronne.

Zaraz podciągną arkebuzerzy.

Na razie nie było widać wroga na podejściu do miasta, ale to mogła być zasadzka.

Próba wyciągnięcia ich zza bezpiecznych obwarowań.

Minął kilku biegnących drogą ludzi, rozpoznał Gonzala de Sandovala. Ten krzyknął coś caudillowi w ślad, ale wołanie przepadło w tętentcie kopyt, a potem Cortés schylił głowę i wpadł pomiędzy drzewa.

Nisko zwieszające się gałęzie biły go po plecach, chłostały po twarzy, gdy próbował chociaż minimalnie podnieść wzrok. Przycinali je przecież nie tak dawno, sam wydał rozkaz, a mimo to tutejsza zieleń odrastała jak opętana!

Wyleciał z niewielkiego zagajnika, skręcił ostro w bok.

Jeden zakręt.

Drugi.

Potem wąskie przejście, gdzie wzmocnili zbcze belkami.

Dłuższy kawałek prostej drogi pod górę.

Już widział stojących na roboczo ufortyfikowanym posterunku ludzi. Któryś machał rękoma, inny chwycił się za głowę.

Koń opadał z sił, więc Cortés wstrzymał go, zeskoczył i ostatni, stromy kawałek drogi wspiał się po prowizorycznych schodkach.

– Admirale! – przywitał go pełen desperacji, niemalże przerażony okrzyk. – Co się dzieje...!?

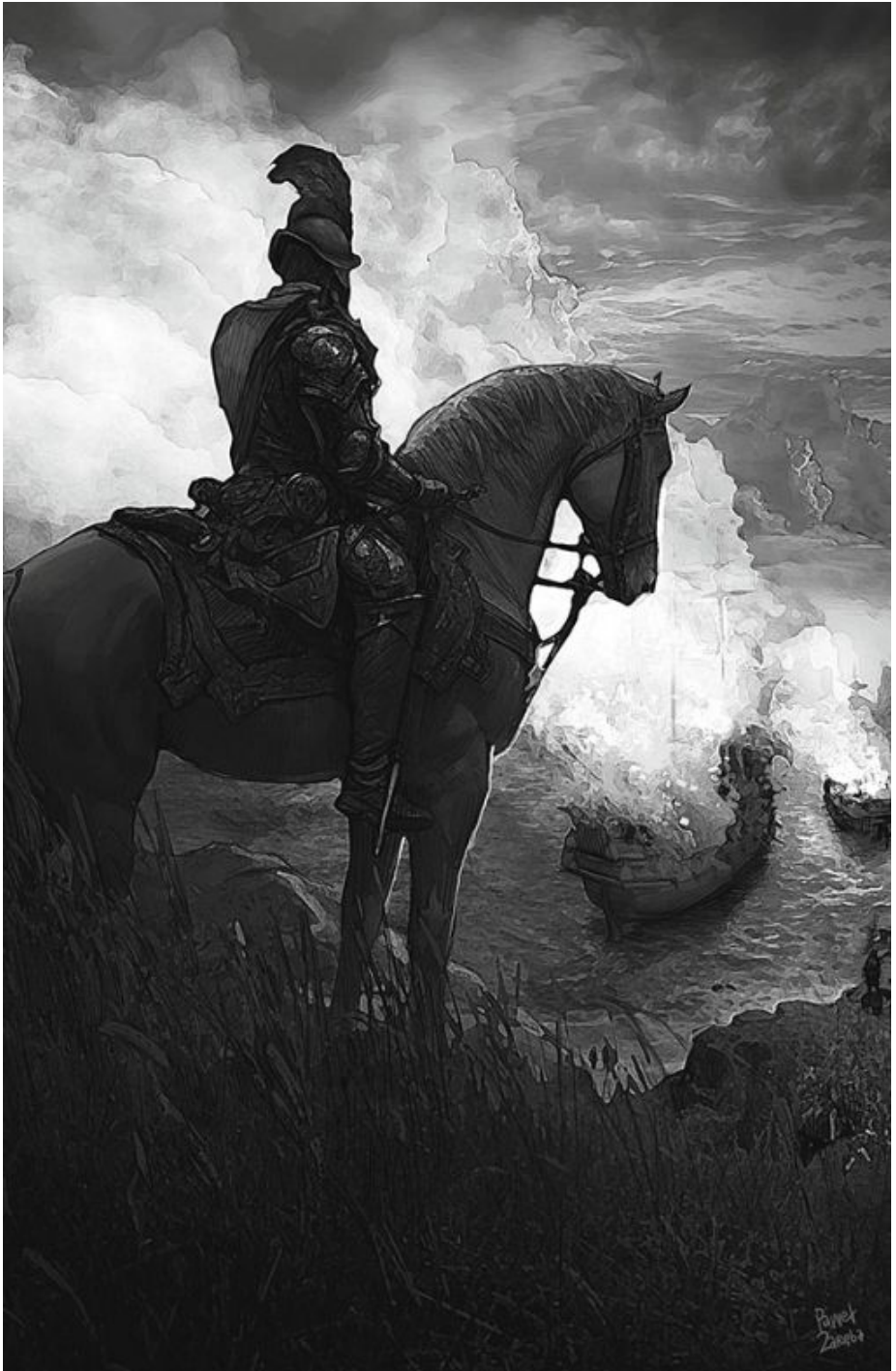
Caudillo przepchnął się pomiędzy żołnierzami, dopadł barierki na punkcie obserwacyjnym i zamarł, porażony widokiem.

I tak wiedział, czego się spodziewać. Niby był gotów na to, co miał ujrzeć... A jednak nie.

Okrety płonęły.

Jego ukochana flagowa *Concepción* paliła się teraz niczym ogromna pochodnia.

Płomienie ogarnęły już cały statek, buchały z ładowni i okien przybudówek na rufie i dziobie, lizały nagie słupy masztów i wspinały się coraz wyżej. Wytapiająca się spomiędzy desek smoła skapywała ognistymi kroplami, ściekała po burcie i rozlewała się na powierzchni wody gęstą, wciąż płonąca kałużą.



– Ot, i poszły z dymem kiecki... – warknęła stojący kawałek za caudillem dobry pan Pedro de Alvarado.

– Kara boska, baba na pokładzie pecha przynosi – mruknęła jakiś marynarz.

Zreflektował się jednak szybko i cofnął pomiędzy kompanów, kiedy pani Maria d'Estrada, którą od reszty żołnierzy odróżniały wyłącznie związane w kok włosy, wysunęła się przed szereg.

Niewiele mniejsza od otaczających ją mężczyzn, o twarzy przeciętej malowniczą blizną, z dyndającym na pendencie szerokim mieczem, konkwistadorka wzięła się pod boki i spiorunowała de Alvarado gniewnym wzrokiem.

– To może i wasze suknie tam były, hę? – od razu zareagowała na docinek, z trudem powstrzymując gniew.

– A czy was ktoś tu w ogóle wspomniał? Uderz w stół, nożyce się odezwą... I to krawieckie! – odparował de Alvarado, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem.

Ktoś parsknął śmiechem. Pani d'Estrada pokraśniała i położyła dłoń na rękojeści miecza.

– Zważajcie na słowa, bo jak ja wam zaraz wykrawam...!

– Cśśś... – uciszył ich oboje ktoś inny, widząc minę Cortésa, wielkimi oczami patrzącego na płonące okręty.

Pozostałe jednostki też spowijał już ogień i dym pożarów. Widać było, że wszystko musiało zacząć się od *Concepción*, a potem płomienie przerzucały się po kolei na sąsiednie statki... ale... jak...?!

I wtedy caudillo to dostrzegł.

Od ostatniego, na razie jeszcze nietkniętego okrętu właśnie odbiła niewielka, ledwie widoczna przy nim szalupa.

Cztery pary wiosł, w łodzi ludzie... Wiosłowali miarowo, spokojnie, niesieni falami coraz dalej od statku, z którego kasztelu na rufie właśnie zaczynał wydobywać się najpierw błękitny, potem siwawy dym. Minęło kolejne uderzenie serca i już płomienie strzeliły wyżej, jakby znalazły pożywkę.

Cortés zacisnął pięści, czując, że świat dokoła zaczyna wirować.

– Admirale, co się dzieje?! – powtórzył wartownik.

– Okręty... – wycedził przez zacisnięte zęby caudillo, nie odrywając wzroku od powoli zmierzającej ku brzegowi szalupy. – Płoną. Chyba widzicie sami.

Ludzie spojrzeli po sobie, próbując w swoich twarzach wyczytać emocje i zrozumieć, co naprawdę miało miejsce.

Starszy warty przysunął się do Cortésa, zjrzał admirałowi w twarz.

– Panie? Ale... dlaczego płoną? Ludzie mówili, że to na wasz rozkaz! „Na wasz rozkaz”.

Słowa odbiły się w głowie Cortésa zwielokrotnionym echem, trzepocząc niczym ptak złapany w sidła.

Łódka była coraz bliżej.

Już wszystkie statki płonęły równo, dym wznosił się gęstymi, smolistymi kłębamii ku niebu i powoli dryfował nad ląd, spychany poranną bryzą.

– Płoną... bo zostały podpalone – powoli, z rozmysłem odparł caudillo.

– I tak miało być?!

– ...tak.

Starszy zamrugął, odwrócił się do towarzyszy i bezradnie rozłożył ręce.

Drogą od strony miasta nadciągało coraz więcej ludzi, którzy najwyraźniej dogonili de Sandovala i teraz posuwali się pod jego dowództwem z bronią w gotowości. Spieniony, zaniepokojony koń parskał gniewnie; któryś z młodszych podskoczył, żeby uspokoić zwierzaka, nim ten spłoszył się i popędził w las.

– Admirale! – krzyknął de Sandoval, machając ręką.

Cortés odwzajemnił jego gest, a potem zszedł z posterunku i nie mówiąc ani słowa, podążył krętą ścieżynką ku plaży.

– Zły znak...! – dobiegł go głos wróżbity Botella. – Zły omen!

– Pewnie, że zły, a jaki, kurwa, jeszcze?! – sarknęła pan Portocarrero. – Nie trzeba waszego gapienia się w pierdolone gwiazdy, żeby zrozumieć, że jak się okręt jara, to jest raczej chujowo niż fajnie...!

Jednak do Cortésa wszystko to docierało wytlumione, niczym przez grubą puchową pierzynę.

Minął poukładane w równych stosach bele żagli, pozwijane w kłęby liny okrętowe i wymontowany w ciągu ostatnich kilku dni takielunek. Już na oko widział, że przed pożarem ludzie zdążyli zdjąć, odczepić i zerwać ze statków wszystko, co tylko mogło przydać się tu, na lądzie, i miało jakąkolwiek wartość...

Tak jak ustalali, tak jak miało być! Natomiast dlaczego, dlaczego jego armada płonęła?!

Pod nogami zamlaskał mu miękki, wilgotny piach. Fale wciąż szumiały tak samo monotennie, wdzierając się daleko na idealnie równą, żółtą połąć plaży. Ponad drzewami krążyły tutejsze kolorowe ptaki, napęniając poranek dźwięcznym, głośnym trelem.

Szalupa dobiła do brzegu, wyskoczył z niej w płytką wodę człowiek i ruszył, brodząc po kolana.

Słońce wstało właśnie w tym momencie, wychyliło się rąbkim zza połąci jednolitego oceanu, zalewając swym ostrym złocistym blaskiem całą tę scenę.

Płonące na mieliźnie okręty.

Niespokojnie kręcący się na posterunku obserwacyjnym żołnierze, komentujący całość zajścia.

Sam Cortés, stojący na plaży i zasłaniający oczy przed blaskiem wstającego słońca.

I dokładnie na tle wyłaniającej się z morza rozpalonej kuli jasności ciemniejsza sylwetka człowieka brnącego ku brzegowi.

– Co to ma znaczyć?! – Caudillo przywitał go, kiedy tamten zrównał się z nim, ale on, nawet nie zwalniając, przeszedł obok. Cortés sapnął, odwrócił się i pobiegł za nim, dogonił. – Co to jest?! Co to ma być, pytam się? Odpowiedz mi, bo jeśli nie, to klę się na Krew i Rany Chrystusa, że...!

– Ludzie patrzą – mruknął półgębkiem tamten.

– Co?

– Ludzie na nas patrzą, nie gestykuluj tak bardzo. I ściszej też głos... panie. Cortés aż się zapowietrzył. Już, już miał sięgnąć po broń – ale strzelił oczami ku ludziom patrzącym z góry i wysypującym się coraz liczniej z lasu. Faktycznie, widzieli ich wszyscy. Taka rozmowa, taka awantura nie mogła odbyć się publicznie.

– Zahred...! – Chwycił tamtego za ramię. – Poczekaj.

Mężczyzna zatrzymał się, odwrócił do caudilla.

Dwoje popielatoszarych oczu spojrzało na Cortésa tak, że ten mimo woli zadrżał.

Znał przecież tego człowieka już parę dobrych lat. Niejedno razem przeszli. A jednak w takich chwilach Hernán miał wrażenie, że stoi przed nim ktoś zupełnie obcy.

Ktoś, kto potrafiłby zabić go bez mrugnięcia okiem i nigdy więcej nawet nie zaprzętnąć sobie tym myśli.

Zahred spuścił wzrok i spojrzął na dłoń wciąż trzymającą go za rękaw koszuli.

Cortés rozluźnił chwyt, wetknął rękę za pas.

– Tak? – zapytał Zahred bardzo, ale to bardzo spokojnym głosem.

– Możesz mi wytłumaczyć, co to... – Caudillo pokazał ręką ku płonącym okrętom. – Co to ma być?! Co ci przyszło do głowy? I dlaczego nie skonsultowałeś tego...?

– Tak.

– Co „tak”?!

– Tak, mogę. Natomiast nie tutaj. Powtarzam: ludzie patrzą na nas. A teraz poklep mnie po ramieniu, podaj rękę i uśmiechnij się.

– ...

– No już, podaj mi rękę, powiedziałem.

Zahred rozciągnął usta w uśmiechu tak szczerym, prawdziwym i kordialnym, że caudillovi aż dreszcz przebiegł po plecach: czy ten człowiek ciągle grał?! I tylko jego oczy pozostawały tak samo obojętne, zimne i wyrachowane.

Uścisnęli sobie prawice.

Cortés zawahał się, ale faktycznie poklepał go po ramieniu.

Po raz kolejny nie mógł nadziwić się, jak bardzo żyłasty i muskularny był tamten! Przecież nie przewyższał nawet relatywnie niskiego Hernána

wzrostem. Jednak można było uwierzyć, że w tej niewysokiej formie kryje się nie jeden, ale dwóch ludzi.

Ruszyli znów drogą.

Nie odzywając się do siebie ani słowem, wspięli się na górę.

Cortés zamienił kilka nieistotnych słów z de Sandovaliem, zapewnił: tak, tak.

Wszystko w porządku.

Tak, przecież to oczywiste, że ludzie kapitana Zahreda działali za jego wiedzą i zgodą... Ba, na jego wyraźny rozkaz!

Tak, niech ktoś pojedzie do miasta, odwoła alarm. Żołnierze niepotrzebnie wszczęli raban.

Nie, nie należy ich za nic karać. Zrobili, co do nich należało. Niech dostaną po dodatkowej porcji rumu za czujność.

Wszystko w porządku.

Wrócili drogą przez las, pogrążeni w napiętym milczeniu.

Błyskawicznie robiło się gorąco, powietrze zdawało się nabiegać parną wilgocią niczym w pralni. Kiedy otworzył się przed nimi widok na Vera Cruz, Cortés już ocierał pot z czoła. Gdy dotarli do bramy, czuł, że koszula lepi mu się do pleców.

– Wszystko w porządku! – krzyknął caudillo do stojących na bramie ludzi pod bronią, aby uspokoić ich do reszty. – Wracajcie do obowiązków! Znajdźcie pana de Olida, przekażcie mu, że wyruszamy zgodnie z planem! I niech zarządzą dziś wcześniejsze śniadanie...!

Zahred nie zwolnił nawet, idąc prosto do chaty Cortésa. Zatrzymał się tylko przy drzwiach, przepuścił caudilla przodem... Natomiast Hernánowi wydawało się, że gdy tamten schylił głowę, po twarzy przemknął mu sardoniczny uśmiezek.

– Co się stało? – zawołała doña Marina, zrywając się z ławy. – Alarm ustał, więc czy...

Urwała, kiedy za Cortésem do środka wszedł Zahred. Cofnęła się o krok.

– Marina, zostaw nas – powiedział caudillo głucho.

– Ale czy to znaczy, że...

– Zostaw nas – powtórzył, czując, że głos zaczyna przechodzić mu w warkot.

Kobieta fuknęła, zakręciła się i wyszła, trzaskając głośno drzwiami.

Zaraz za nią podążył zresztą zapobiegawczo młody Diego de Coria, który dosłownie wysliznął się przez ledwie uchylone drzwi, po czym zamknął je za sobą tak, aby w miarę możliwości nie wydać przy tym żadnego dźwięku.

Zostali tylko we dwóch.

Zahred stał na środku izby z rękoma założonymi za plecami.

Cortés odczekał jeszcze chwilę, żeby tamci na pewno odeszli dalej. Zaczerpnął głęboko tchu.

– Co to ma znaczyć?! – ryknął, doskakując do Zahreda. – Co to za samowola?! Czy wyście, kapitanie, głowę postradali?! Diabeł was opętał? Szaleju

żeście się nażarli?! Co to ma, pytam, znaczyć? I lepiej odpowiedzcie mi, bo... na Boga! Mam ochotę w tej chwili postawić was pod murem albo obwiesić razem z tamtymi zdrajcami...!

– Teraz już nie ma odwrotu – przerwał mu Zahred.

Cortés urwał.

Zamrugął.

Potrząsnął głową.

Podszedł do stołu, trzęsącymi się rękami nalał sobie wina.

Chciał upić łyk, ale odstawił kubek ze złością: dłoń latała mu tak, że wybiłby sobie nim zęby!

– Tak, nie ma odwrotu! – wyrzucił z siebie. – Tak przecież ustaliliśmy jeszcze tydzień temu. Wyłącznie dlatego zgodziłem się na wprowadzenie okrętów na płyciznę! Natomiast ludzie już to widzieli, przekonali się! Zrozumieli, że nie wracamy!

– A teraz zrozumiałeś to również ty.

Caudillo nabrał głęboko powietrza, wypuścił je z sykiem. Przegarnął włosy w tył, rozejrzał się. Usiadł na fotelu, który przywiózł jeszcze ze swego domu na Kubie.

Ruchem ręki pokazał Zahredowi, żeby ten zajął miejsce naprzeciwno.

– Musiałeś... – Pokręcił głową. – Musiałeś to tak zrobić? Bez konsultacji ze mną palić moje statki?

– To ja za nie zapłaciłem, Hernán, więc były też moje.

– Ale nie w całości!

– Zatem uznaj, że spaliłem swoją część wkładu. Zostawiłem jedną karakę i dwie brygantyny.

– Gdzie...?

– Teraz są bezpieczne na morzu. Kiedy wraki zgasną, tamci wrócą na kotwicę. Chyba nie myślałeś, że zostawię nas w ogóle bez transportu?

Cortés bezwiednie strzelił oczami w kierunku stolika.

Zahred bezbłędnie odczytał gest, zerwał się z zaskakującą chyżością i podał mu kubek. Sam też sobie nalał, przysiadł na ławie naprzeciwno.

Ten człowiek był dla Hernána prawdziwą zagadką.

Mocno już posiwiiał, z niemalże idealnie białą, doskonale utrzymaną i przystrzyżoną brodą. Ciężko było nawet powiedzieć, ile miał lat: czterdzieści? sześćdziesiąt? trzydzieści parę? Na pewno był starszy od Cortésa, sam tak wielokrotnie mówił. Mimo to zrywał się i podawał mu napój jak ktoś o wiele młodszy.

Zawsze zadbany, zorganizowany i poukładany jak mało kto. Oczytany, znający języki. Kiedy tylko chciał, ujmująco kulturalny i dworny...

...a przy tym jednak w pewien zaskakujący sposób prymitywny. Momentami wręcz pierwotny. Barbarzyńsko prostolinijny w swoich działaniach. Potrafiący bez pytania, samowolnie zrobić coś naprawdę dziwnego.

Na przykład spalić większość ich flotylli.

– Dlaczego nie przedyskutowałeś tego ze mną? – burknął Hernán.



– Bo nie zgodziłbyś się od razu.

– Może nie zgodziłbym się wcale! – Cortés uderzył dłonią o podłokietnik.

– Tym bardziej zatem. Nie mamy kolejnych dwóch czy trzech tygodni, podczas których będziemy debatować, zastanawiać się i deliberować. Wiesz, co jest największą zaletą rozwiązań nieodwracalnych?

– To, że nie da się ich odwrócić? – prychnął Cortés, już znając to powiedzenie towarzysza.

Zahred kiwnął krótko głową.

– Dokładnie tak. Co się stało, nie odstanie się. Teraz mamy tylko jedną drogę.

– W głąb lądu – mruknął Cortés. – Lądu, o którym nie mamy pojęcia. Zarośniętego dzikim lasem, zamieszkanego przez równie dzikie plemiona, gotowe złożyć nas w ofierze i zjeść.

– Nie takie znów dzikie, Hernán. Widziałeś ich, poznałeś. Wiesz, co potrafią... I jacy naprawdę są.

Bawiący się kubkiem caudillo spojrział na Zahreda spode łba, ale nie wyczytał w jego twarzy ironii. Jednak z jakiegoś powodu gotów byłby przysiąc, że kapitan nie mówił o wszystkich Indianach... Na pewno nie miał na myśli ich wszystkich, tylko jedną bardzo konkretną osobę.

Osobę, która dopiero co stąd wyszła.

Osobę, u której boku sam Cortés spędzał już kolejną noc, coraz mniej się z tym kryjąc.

Potrząsnął głową, odganiając dziwne myśli.

– Widziałem, to prawda. I nadal twierdzę, że marsz w głąb lądu jest ryzykowny.

– Owszem, natomiast...

– Natomiast teraz nie mamy wyjścia – parsknął Cortés. – Dobrze, twoje na wierzchu, Zahred. Zgodnie z planem ruszymy za trzy dni, jak tylko wszystko będzie gotowe. I lepiej, żebyś miał rację!

– Sam widziałeś przysyłane przez nich dary, Hernán. Jeśli lekką ręką potrafią dać nam tyle... – Zahred uniósł brew.

– Mhmm... Myślisz, że ten ambasador sprzed miesiąca, Teudile... przybył nas szpiegować?

– Każdy poseł jest oczami i uszami władcy. Jeśli tak, to niech przekaże swojemu Montezumie, co widział.

– Montezuma... – mruknął Cortés. – To szczwany lis, skoro próbuje nas wysondować. A my mamy na taką awanturę mało ludzi... Za mało!

– W sam raz. Trzystu naszych, do tego dojdą wojska Totonaków z Cempoali. Prawie pół setki kusz i dwadzieścia arkebuzów, poza tym...

– Nie czaruj mnie statystyką! – Caudillo machnął ręką. – Znam te liczby, śnią mi się po nocach. To nadal za mało.

– Wystarczy, zapewniam cię.

– Mówisz, jakbyś już kiedyś coś takiego robił – mruknął Cortés.

Zahred nie odpowiedział, wstał tylko. Caudillo też się podniósł, wyciągnął do niego prawicę – tym razem szczerze.

– Damy radę, zapewniam cię, Hernán. Przejdziemy przez te krainy, zbadamy te ziemie. Skoro tubylcy tu mieszkają, to i my się wyżywimy. Przekroczymy lasy, góry i cokolwiek stanie nam na drodze, a tam...

– Wielkie białe miasto obłożone złotem – rzekł Cortés. – Tenochtitlán.

Popielate oczy Zahreda błysnęły stalą.

– Tenochtitlán.



## Rozdział 1

**W**e wnętrzu potężnego, majestatycznego Domu Węża płonął ogień. Płomienie tańczyły w ogromnych misach z kamienia, przeskakiwały po żarzących się węglach, na które kapłani rzucali grudkę po grudce aromatyczną żywicę ze świętego drzewa, rosnącego pomiędzy dwiema największymi świątyniami miasta.

Pomimo wibrującego na dworze letniego żaru tutaj panował przyjemny chłód i półmrok. Dym kadzideł niósł się wysoko ku pokrytemu malunkami sklepieniu, wirował i kłębił się wstęgami w promieniach słońca wpadającego przez małe okrągłe otwory w ścianach.

Pełgający blask oświetlał poważne, surowe twarze wodzów, wojowników i dostojników stojących w milczeniu po obydwu stronach wielkiej sali z kamiennych bloków.

Ceremonialne szaty z kolorowych piór wielkiego quetzala, skóry dzikich zwierząt oraz pięknie tkane barwne tuniki mieniły się wszystkimi kolorami tęczy; skrzyły się ozdoby ze złota, jadeitu i górskiego kryształu. Zdobiące nakrycia głów pióra poruszały się delikatnie, gdy do środka wpadał z zewnątrz najdelikatniejszy podmuch wiatru, niosącego ze sobą dalekie echo gwaru placów targowych.

Jednak tutaj panowała poważna, pełna napiętego oczekiwania cisza.

Wszystkie oczy skierowane były ku postumentowi, przed którym klęczał teraz przybyły zaledwie wczoraj do miasta namiestnik Cuetlaxtlan, wysoka dostojność Teudile.

Kapłan machnął ręką. Krew poleciała wąską strugą, pokryła twarz i tors Teudilego czerwonymi kroplami.

Namiestnik przyłożył dłoń do piersi i schylił się, czekając, aż słudzy świątynni odciągną na bok ciała dwóch złożonych w ofierze niewolników, a potem postąpił dwa stopnie naprzód i wyciągnął rękę, aby umoczyć dwa palce w czerwonej, wciąż ciepłej kałuży.

– Niech słońce zawsze wstaje ponad wielką świątynią! – Dotknął palcami czoła i przeciągnął nimi po nosie, zostawiając czerwoną kreskę. Dopiero wtedy odważył się podnieść wzrok. – Niech majestat będzie pozdrowiony, o Najwyższy!

Zasiadający na swym złotym tronie, ubrany w biało-złotą szatę Huēi Tlahtoāni Mocetuhsuma Xocoyotzin, władca wszystkich krain od gór aż ku wielkiej wodzie, pan Imperium Słońca, Ten, Którego Gniew Jest Szlachetny, skinął ledwie zauważalnie głową. Przeogromny turkusowo-zielony pióropusz poruszył się i zafalował, powiew powietrza szarpnął niosącym się nad jego głową dymem.

– Teudile, oto najwyższy król widzi, że jego sługa powrócił do miasta. Niech będzie powitany, niech łaska bogów ulży jego trudom. Niech mówi: czy spotkał się z ludźmi, którzy przybyli ku naszym ziemiom od strony siwego nieba?

Dostojnicy nastawili uszu. Władca od razu przechodził do rzeczy, nie tracąc czasu na zwyczajowe grzeczności i formułki Wielkiej Rady. To znaczyło, że był ciekaw wieści nie mniej niż oni!

– Tak, o Najwyższy! – przytaknął Teudile. – Tak jak zostało mu polecane, Teudile udał się z orszakiem niosących dary tragarzy ku odległemu wybrzeżu, tam, gdzie rozciąga się kraj Totonaków.

– Czy władca Totonaków i władca Cempoali, szlachetny Tlacochealcatl, podjął Teudilego tak, jak powinien? Czy nie uchybił mu gościnności?

Namiestnik zafrasował się, zająknął.

– Cempoala, o Najwyższy... odmówiła zapłacenia należnego Tenochtitlán trybutu.

Wojownicy zamruczeli, potrząsnęli głowami: niesłychane! Co za buta, co za bezczelność! Ukarzmy hardego grubasa Tlacochealcata! Tego nie wolno puścić płazem!

Jednak władca podniósł tylko rękę, szmery od razu ucichły.

– Jak do tego doszło? – zapytał.

– Najwyższy! Poborcy przybyli dwa dni po Teudilem. Dowodzący ludźmi z morza człowiek, gdy tylko ujrzał naszych *calpixque*, nakazał uwięzić ich w świątyni, mimo że mieli przy sobie rzeźbione laski i szli z kwiatami w dłoni!

– Czy Teudile powiedział temu człowiekowi, że ściągnie na siebie gniew Montezumy?

– Tak, o Najwyższy! Ten... – Teudile zawahał się, co nie umknęło uwagi władcy – człowiek powiedział wtedy, że uwolni poborców, bo zależy mu na przyjaźni najwyższego króla! Odmówił jednak wydania niesionego już przez nich trybutu, podobnie jak nie pozwolił, aby pobrali należne podatki z Cempoali.

Montezuma w zadumie pogładził dłonią policzek, przejechał po wpuszczonym w dolną wargę labrecie z jadeitu.

– Cempoala nie jest aż tak istotna – zdecydował. – A z jej władcą rozprawimy się w swoim czasie. Co zdołał zobaczyć Teudile w rozmowach z przybyszami? Czy ustalił, kim są?

– Tak, o Najwyższy! Sługa niegodny przekazał im dary, jak było mu przykazane. Biali przybysze przyjęli je z wielką radością i widać było, jak rzucili się na jedzenie, więc są ludźmi. Przynajmniej... – Namiestnik zawahał się.

– Niech Teudile mówi!

– Przynajmniej większość z nich, o Najwyższy. Ich pokarm jest taki sam jak pokarm ludzi, ma biały kolor i słodkawy smak. Jedzą, piją i oddają mocz na ziemię, co sługa najwyższego króla sam widział. Zakrywają swoje całe ciała ubraniami, odsłaniają tylko dłonie i twarze, które są blade jak u martwych...

Tłum znowu zaszumił z niepokojem.

Montezuma skrzywił się: następnym razem musi polecić władcy Domu Szeptów, aby pouczył emisariusza, jakich słów ma nie używać podczas jawnego posiedzenia Najwyższej Rady.

– Zatem są jednak ludźmi? – zapytał z ulgą.

– Wyglądają jak ludzie, o Najwyższy! – skwapliwie przytaknęła Teudile. – Różnią się od nas kolorem. Ich oczy są jak kreda, a włosy jasne i kręcone. Ich oręż jest z żelaza, na wojnę przyodziewają żelazne, błyszczące niczym rozlana woda szaty.

Władca spojrział na stojących najbliżej jego tronu dowódców drużyn Orła i Jaguara, ubranych w pełne stroje do walki. Uśmiechnął się: nikt nie mógł przecież dorównać męstwem ani siłą wojownikom Mexików.

– Co z ich orężem? – zapytał.

Namiestnik skulił się.

– Jest straszny, o Najwyższy! Pokazali Teudilemu długie, ostre jak miecz pałki z metalu, który gnie się i nie pęka, a potrafi przebić ciało na wylot. Niosą też ze sobą wydrążone pnie drzew, w których mieszka ogień...

– Ogień? – zaciekawiał się Montezuma.

– Tak, o Najwyższy! Karmią go czarną ziemią i zatykają kulą z ciężkiego kamienia. Pień nadyma się, a potem z hukiem gromu wyrzuca z siebie kulę w cuchnącej chmurze dalej, niż mógłby cisnąć największy siłacz. Jedna taka kula roztrzaskała trzy drzewa i chciała rozłupać górę, w którą się wbiła!

Wojownicy potrząsnęli bronią, któryś zahuczał groźnie. Jednak buńczuczne gesty nie mogły ukryć niepewności, która przemknęła cieniem przez ich twarze.

Teudile był zaufanym wysłannikiem i bliskim człowiekiem Montezumy. Znano go z pewnych, solidnych, nieulatuujących na wietrze słów.

Cokolwiek powiedział, można było wyrysować na kamieniu.

A teraz mówił o rzeczach, które brzmiały nie jak raport z misji dyplomatycznej, ale opowieść o sprawkach bogów!

– Niech Teudile mówi dalej! – Montezuma podniósł głos.

– Najwyższy! Przybysze dosiadają wysokie po szczyt dachu jelenie bez rogów, na których pędzą z chyżością ciśniętej włóczni. I są jeszcze ich psy... – Teudile zadrżał. – Wielkie i dzikie, panie! Nakrapiane niczym oceloty, o zagiętych uszach, wielkich szczękach i wiszących wargach, z których kapie ślina. Mają zapadnięte brzuchy, jakby wciąż były niesyte mięsa, i biegają dokoła z wywieszonymi jęzorami, krzycząc niczym jaguary!

– Psy... – Montezuma nachylił się na swym tronie. – Krzyczą?

– Tak, o panie słońca i księżycu! Rozwierają szeroko paszcze i robią tak...

– Teudile zebrał się w sobie. – Baub! Bawbh! Haugh!

Władca pokiwał poważnie głową, odchylił się. Otworzył usta, chciał o coś zapytać... Widać było, że waha się, jakby nie mogąc zdobyć się na odwagę.

Odezwał się w końcu po długim milczeniu.

– Niech Teudile powie: czy uważa, że przybysze są ludźmi, czy jednak bogami?

Zapadła cisza, w której słychać było tylko skwierczenie lanej na węgle krwi.

Namiestnik przełknął ślinę.

– Teudile nie wie tego, o Najwyższy – przyznał. – Wyglądają jak ludzie.

Zachowują się jak ludzie. Pytają się jednak o metal bogów, o złoto...

– Złoto?

– Tak, o Najwyższy! Ich dowódca powiedział, że jego żołnierze potrzebują go dużo, bo pomaga im leczyć chorobę, od której boli serce, a nocą nie przychodzi sen.

Montezuma westchnął z ulgą: jeśli tamci chorowali, to musieli być ludźmi!

– Zatem niech Mexikowie dadzą im złoto – zdecydował. – Niech Teudile zbierze więcej darów i przekaże ich dowódcy, że Montezuma jest jego przyjacielem. Jednak niech odejdą w innym kierunku i opuszczą ziemie Imperium Słońca!

Namiestnik rozłożył bezradnie ręce.

– Teudile uczynił to już poprzednio, o władco słońca! Jednak ich przywódca, ten o imieniu Cortés, powiedział: pragnę spotkać się z Montezumą osobiście. Dał też Teudilemu to nakrycie głowy, prosząc, aby zwrócono mu je wypełnione złotym pyłem.

– Po co? – Montezuma zmarszczył brwi.

– Powiedział, o Najwyższy, że chce sprawdzić, czy nasze złoto jest takie samo jak ich – odrzekł Teudile zgodnie z prawdą.

Jeden z niewolników wystąpił z orszaku, podał namiestnikowi dziwnego kształtu żelazny hełm.

Ten wstąpił na stopnie i przekazał go kapłanowi, a ten z kolei wręczył przedmiot Montezumie.

Władca obejrzał go, przejechał palcem po pokrywającej rondo rdzy.

Roztarł ją między palcami, posmakował.

– Smakuje jak krew... A to z kolei – pokazał na czerwoną, mocno znoszoną już wyściółkę – jest kolor Huitzilopochtlego! Spójrzcie na niego z boku!

Przekręcił go, podniósł wysoko.

Kapłani zamruczeli, pokiwali głowami: faktycznie! Przekazany Teudilemu przedmiot do złudzenia przypominał czerwony kapelusz, który tak bardzo ukochał sobie jeden z wielkich bogów.

– Huitzilopochtli... – po sali zgromadzeń Domu Węża poniósł się szept.

A zatem jednak! Już wcześniej mówiło się, że to dawni wodzowie mogli przybyć z krainy zmarłych albo że sami bogowie powrócili, aby ponownie objąć we władanie ziemię, przekazaną tylko ludziom pod zarząd w dawnych wiekach. Ale to, taki dowód...!

Montezuma zdawał się wstrząśnięty. Podniósł się z tronu, z nabożną czią podał hełm kapłanowi Kolibra Południowego Nieba.

– Tak uczynicie! Napełnijcie ten kapelusz złotem aż po brzegi. Niech będzie to ofiarą dla Huitzilopochtlego, naszego Praojca, który włada słońcem i wojną! Patron i opiekun Tenochtitlán musi zostać uhonorowany! – powiedział głośno. – I wtedy przybysze odejdą, skąd przyszli! Huitzilopochtli nie poskąpi nam swych błogosławieństw, a rok będzie obfity w plony kukurydzy...!

– Najwyższy... – Teudile skulił się w sobie. – Jest jeszcze coś.

– Niech mówi!

– Obok ich przywódcy, obok Cortésa... Stał jeszcze ktoś. Ubrany na czarno człowiek o białej brodzie.

– Quetzalcóhuātzin! – wyrwało się stojącemu obok władcy wielkiemu kapłanowi. – Pierzasty Wąż...!

Montezuma zachwiał się, usiadł ciężko na swoim tronie. Spojrzał na kapłana i zakrył twarz dłonią.

Czy to mogło być...?

Czy naprawdę mogło okazać się, że to nie opiekuńczy i przychylny ludziom Pan Słońca, ale niszczycielski, pradawny Pierzasty Wąż wypełził ze swej kryjówki w trzewiach ziemi, aby wydrzeć tę krainę Meksikom?

– Niech Teudile opowie więcej – zażądał, prostując się na tronie.

– Ten jest inny od tamtych, o Najwyższy. Jego skóra ma ciemniejszy odcień, bardziej podobny do naszego. Oczy są niczym poranna mgła w dolinie. I jego ręce, panie...

– Co z nimi? Niech Teudile mówi!

– Są pokryte rysunkami, o Najwyższy. Jakby nosił na sobie księgi, w których zapisano słowa.

Montezuma pokiwał głową.

Opis był dziwny, niepokojący. Jeśli to faktycznie Quetzalcoatl pojawił się, tak jak mówili wcześniej zwiadowcy, na pokładzie pływających gór... To tym

bardziej należało zrobić wszystko, aby zapobiec jego pojawieniu się w Tenochtitlán.

– Niech Teudile powie: czy jego uszy usłyszały, jak zwali ubranego na czarno, brodatego mężczyznę? – zapytał władca drżącym głosem.

– Tak, o Najwyższy! Kiedy Cortés zwracał się do niego, używał imienia...



– Zahred! Panie kapitanie!

Idący w straży przedniej mężczyzna w czarnym dublecie obrócił się, przysłonił oczy od słońca.

Żołnierz, który właśnie do niego zawołał, pokazywał ręką w tył przesuwanej się powoli kolumny wojska. Z kłębow kurzu wyłonił się właśnie pokryty pyłem jeździec na jednym z nielicznych w miniaturowej armii koni.

Konny dogonił czoło pochodu, osadził zwierzę w miejscu i zsunął się z siodła przed już czekającym na niego Zahredem.

– Caudillo Cortés wzywa was do siebie, panie!

– Co się stało? – Zahred od razu przejął od niego wodze, chwycił się grzywy i wskoczył na kulbakę.

– Sprawa nie cierpi zwłoki, tak powiedział admirał!

Zahred zakręcił się, spiął konia i popędził na tyły kolumny ginącej za zakrętami i grzbietami pagórków.

Ludzki wąż wił się i zakręcał, opasywał swoimi splotami wzgórze i przecinał całą krainę długą, wąską wstęgą. Maszerujące sylwetki zdawały się z oddali niemalże jednakowe, jednak nietrudno było dostrzec, że z bliska różnorodność była porażająca.

Pancerni żołnierze niosący elementy wyposażenia.

Dźwigający długie włócznie pikinierzy.

Idący na lekko kusznicy.

Porozdzielani na pomniejszych oddziały arkebuzerzy.

W samym środku kolumny powoli przesuwały się, hamując cały tył, ciągnięte na prymitywnych lawetach działa.

Objuczeni tobołami tragarze.

Służba obozowa.

Kobiety zajmujące się w armii wyrobem chleba i przygotowywaniem tutejszej wciąż dziwnie smakującej żywności.

No i w końcu wojownicy z dwóch lokalnych miast, którzy zgodzili się przyłączyć do zmierzającej w nieznaną, mocno nieprzewidywalną przyszłość ekspedycji.



– Ciekawe, może Indianie znowu coś kombinują...? – mruknął Rodrigo, kiedy kapitan zniknął w oddali.

– A kiedy ostatnio kombinowali niby, he? – od razu zjeżył się idący obok niego Enriquez. – No kiedy? I nie mów, że znów sraczki dostałeś po ich chlebie!

Rodrigo rozejrzał się po okolicy, jakby za każdym kamieniem na niegościnniej, jałowej równinie mógł skrywać się dziki tubylec z zakrwawionym kamiennym mieczem.

– Oni zawsze coś kombinują – burknął.

– No ale kiedy ostatnio, co? – Enriquez nie odpuszczał. – Tak konkretnie!

– Mówię ci, że cały czas. Nie można im ufać... Jakby chcieli, toby nas wyrznęli we śnie! Patrz, ilu ich jest, o! – Żołnierz machnął głową ku oddziałowi zwiadu, idącemu o strzał z łuku przed nimi.

Ostatni z Totonaków jakby usłyszał te słowa, bo zatrzymał się i obrócił, popatrzył ku Kastylijczykom przenikliwym wzrokiem. Zawołał coś do towarzyszy, ci też przystanęli i spojrzeli w tę samą stronę.

Rodrigo zawarczał coś pod nosem, pogładził lufę niesionego na ramieniu muszkietu i dotknął wiszącego na szyi ładunku prochowego. Tam, gdzie inni mieli krzyż albo medalik z Najświętszą Panią, on nosił nawoskowany woreczek z zawiniętym w niego pakunkiem z papieru, w którym miał odmierzony ładunek prochu, przybitkę i kulę – „tę ostatnią”, jak sam mawiał.

– Znów coś knują... – burknął pod nosem.

– Daj już spokój! – zirytował się idący zaraz za nim de Monroy. Kiwnął głową na idącego nieco z boku posłańca: – *Hola, camarada!* Chodźcie tu do nas, towarzyszu!

Tamtén zawahał się, ale de Monroy wyciągnął ku niemu bukłak i potrząsnął zapraszająco.

– Wino? – zapytał tamten niepewnie, oblizując spierzchnięte od chłodnego wiatru usta.

– Nasze, kastylijskie, najlepsze!

De Monroy odszpuentował i podał posłańcowi, który już zaczął przeciskać się ku niemu na miękkich nogach. Widać było, że człowiek ów musiał od rana siedzieć w siodle i chyba z ulgą przyjął przekazanie rumaka komu innemu.

– Oj, dzięki wam stokrotne, dobry panie. – Ujął bukłak i trysnął sobie wąską strużką wina w otwarte usta. Przełknął, otrząsnął się. – Na świętego Jakuba, wyborne! Jakbym w domu był...

– Mówiłem. – De Monroy uśmiechnął się wielkodusznie. – To gdzie ten wasz dom, towarzyszu?

– Oj, panie, możecie nie znać... Ale ja spod Badajoz jestem.

– No ale to skąd spod?

– Villafranca de los Barros, panie. Niewielkie miasteczko takie w górach...

– De los Barros! No to przecież, że znam! – rozpromienił się de Monroy.

– Znacie...? – Żołnierz spojrział na niego z niedowierzaniem.

– No jak nie, jak tak! Ciotkę tam mam przyrodnią od strony ojca, niech jej święty Albert da długie lata życia!

Słuchający tego Juanito puknął w bok Enriqueza, ten tylko pokiwał głową: aha, zaraz, jasne. Jeśli wierzyć de Monroyowi, to miał on rodzinę dosłownie w każdym istniejącym i nieistniejącym miasteczku Królestwa Hiszpanii i poza jego granicami, wszędzie był i wszystko widział... Nie dało się jednak zaprzeczyć, że wszyscy go lubili i czasami aż głupio było udowadniać mu, że zwyczajnie łąe jak pies.

Tym bardziej że on sam twierdził, jakoby był ze szlchetnego rodu i tylko zły, niesprawiedliwy los uczynił z niego zaciężnego żołnierza. Czy tak było? Trudno powiedzieć.

Natomiast odkąd na Kubie popłatał tych dwóch królewskich marynarzy, co zaczęły mu w niewybrednych słowach udowadniać, że jednak zmyśla, wszyscy w kompanii po prostu przyjmowali słowa samozwańczego markiza może nie bezkrytycznie, ale w każdym razie bez otwartego im zaprzeczania.

– No co wy nie powiecie, panie! – uradował się wojak. – A gdzie mieszka?

– No jak gdzie! Niedaleko kościoła przecież, wdowa...

– Doña Clarissa?

– No ta sama przecież! – De Monroy rozłożył radośnie ręce, poklepał żołnierza po plecach, jakby byli co najmniej krewniakami. – Ja tam co prawda lata całe nie byłem, ona pewnie nie pamięta mnie już i na pewno nie wspominała o mnie, ale to moja rodzina! No to mówcie, krajanie mój drogi: co tam się wydarzyło takiego, że admirał naszego kapitana wzywa?

– Ale mnie nie wolno... – zafrasował się żołnierz.

– Obcemu nie wolno, zgoda! Ale tutaj wszystko, że tak powiem, w jednej wsi zostaje. W jednej zagrodzie niemalże, po rodzinie! A krewniakowi nie godzi się odmawiać. No więc jak? Co tam się dzieje?

Posłaniec westchnął, obejrzał się ku tyłowi pochodu, jakby szukając tam ratunku albo chociaż rady.

Potem spojrział na wciąż trzymany w ręku bukłak z winem, na poważne, wąsate, ogorzałe twarze patrzących na niego wyczekująco ludzi. De Monroy klepnął go w ramię jeszcze raz, ale tym razem ścisnął dłońią tak, że tamten aż się skrzywił.

No cóż, aluzja była aż nadto jasna.

– Gонец przybył z Vera Cruz, z wieścią od pana zarządcy Juana de Escalante – zdecydował się w końcu powiedzieć posłaniec. – Podobno cztery statki widziano na morzu niedaleko miasta...

– Oho! – Rodrigo uniósł palec znaczącym gestem.

– Co znowu „oho”?! – od razu naskoczył na niego Enriquez, ale pozostali uciszyli go syknięciami.

– ...i pan de Escalante wyraża zaniepokojenie. Podobno są pod naszą banderą.

Ludzie spochmurnieli od razu.

Niby powinno cieszyć ich, że to nie wrogowie: Wenecjanie, Francuzi albo nawet Osmanowie, chociaż nie wiadomo, skąd tamci mieliby wziąć się tutaj, na drugim krańcu świata... Jednak oni mieli swoje powody, aby właśnie rodaków obawiać się bardziej.

– Hispaniola czy Kuba? – warknął de Monroy.

– Nie wiem, szlachetny panie.

– Na pewno Kuba... Ten pies parchaty gubernator nie odpuści nam teraz! Pozostali pokiwali głowami.

Faktycznie, gubernator Kuby, dobry pan Velázquez, miałby powody, aby nie darzyć sympatią nie tylko ich admirała, ale też całej ekspedycji, która w zasadzie uciekła z portu Santiago de Cuba, kiedy już, już niemalże zapadła klamka i Cortés miał zostać odwołany ze swej funkcji, a jego pełnomocnictwa cofnięte.

Mówią, że wtedy, kilka długich miesięcy temu, goniec jechał już ku nim z pismami od Velázqueza.

Są tacy, co twierdzą, że widzieli go, jak wpadał na nabrzeże, gdy ostatni okręt pospiesznie zrzucił cumy i rozwijał żagle.

Niektórzy powiadają wręcz, że to sam gubernator stał na pomoście, machając rękoma i wołając, aby zawrócili... Zaś admirał Cortés odmachiwał mu z rufy, śmiejąc się: tak, tak! Szczęśliwej podróży, dziękujemy wam bardzo!

Tak, ich status był, oględnie rzecz ujmując, wątpliwy.

Mało kto z członków ekspedycji znał prawo. Jeszcze mniej z nich się nim przejmowało. Natomiast to nie był byle wybryk, ale otwarte sprzeniewierzenie się woli namiestnika królewskiego.

A za coś takiego korona karała ludzi od razu na gardle.

Szczególnie teraz, po tym, jak na dobrą sprawę bezprawnie założyli na wybrzeżu tej nieznaney, nikomu niepodlegającej krainy swoje własne miasto.

Oczywiście, nowo powołana rada miejska świeżo powstałej osady Villa Rica de la Vera Cruz od razu zdjęła Cortésa ze stanowiska, twierdząc, że jego misja eksploracyjna się zakończyła, zaś on sam przekroczył uprawnienia, fundując to właśnie miasto...

I natychmiast mianowała go justicia mayor, głównym sędzią miasta i zarazem capitán de las armada reales, czyli głównodowodzącym „armii Jego Królewskiej Wysokości”.

„Armii”, o której istnieniu sam król, siedzący w odległej o pół świata stolicy, nie miał nawet pojęcia.

Tak, sprawa była gardłowa i wszyscy uczestnicy wyprawy doskonale o tym wiedzieli – tylko że nikt otwarcie o tym nie mówił. Pomiędzy ludźmi panowała niepisana zмова milczenia. Wszystko miało doskonały pozór legalności tak długo, dopóki nikt nie będzie otwarcie tego kwestionował.

I teraz tam, w Vera Cruz, pojawiły się obce... to jest: ich własne, kastylijskie statki!

– Szlag by to trafił... – zaklął Juanito.

– I co przykazał zrobić admirał? – rzeczowo zapytał de Monroy. – Będziemy zawracać? Chyba nie...

– Pojęcia nie mam, panie. – Żołnierz wzruszył ramionami, oddając mu bukłak. – Wiem tyle, co wam powiedziałem. Admirał kazał wezwać kapitana Zahreda, tylko tyle.

Pokiwali głowami: zapewne i kapitanowie pozostałych kompanii, teraz idących za nimi, zaraz dołączą do nieformalnej narady. Faktycznie, ponad kolumną poniósł się okrzyk: stać, staaać!

Ludzki wąż rozciągnął się nieco, gdy środek, z którego poszedł rozkaz, zatrzymał się jako pierwszy, a dopiero kolejne oddziały, wciąż maszerujące naprzód, zwalniały i stawały po kolei. Tył jak zwykle dopchnął idących prawie na końcu, gdzieś ktoś zaczął się przepychać i szarpać.

– No to mamy postój. – Juanito zatarł ręce, zawsze chętny na małe co nieco. – Wyciągać, kto co tam ma. Przekąsimy i odpoczniemy.

Jedli w milczeniu, siedząc na kamieniach, kępach kłującej trawy i kto gdzie tylko dał radę.

Krajobraz był nieprzyjazny. Postrzępione zbocza gór pięły się ku obcemu niebu, upstrzone porozrzucanymi tu i ówdzie kępkami gęstych, kolczastych krzewów. Jak okiem sięgnąć nie było widać ani dymu, ani osady ludzkiej... A jednak biegła tędy droga, dla przybyszów bardziej jednak podobna do górskiej ścieżyny.

Ostre powietrze drażniło nienawykłe do wysokości nozdrza i gardła. Pomimo ostrego słońca wiał chłodny, dojmujący wiatr. Ludzie kasłali sucho i z trudem łapiąc dech, zawijali się w płaszcze i kupowane od Indian albo zabierane im opończe, otulali szyje szalami i chustami.

– Cholerne indyjskie lato – burknął Rodrigo, rozcierając dłonie. – A przecież jest sierpień... Gdzie upały, gdzie skwar? Gdzie cykady?

– Za wysoko w górach jesteśmy – tonem znawcy odezwał się Gutiérrez, który dosiadł się do nich z sąsiedniej grupy. – Sami przecież widzieliście śnieg na szczytach.

– No, prawda. A przecież tam jeszcze, o! zielone widać w dolinie. Tam dopiero upał był...! – Juanito odwrócił się i popatrzył ku horyzontowi.

– Narzekalesz, że za gorąco, to teraz masz – rzucił kąśliwie Enriquez.

– Mówię wam, trzeba się mieć na baczności. Niby dzikusów nie widać, ale nie wiadomo, co mogą knuć – nadal ciągnął swoją śpiewkę jak zwykle podejrzliwy Rodrigo.

– Furda dzikusy, ja tam ciekaw jestem, panowie bracia, co też nasz kapitan tam uradzi... O, chyba się zaraz dowiemy – powiedział de Monroy, podnosząc się.

Faktycznie, widać było, że kapitanowie oddziałów wracają do siebie.

Jadący spokojnym kłusem Zahred zrównał się z nimi, zsunął z grzbietu rumaka i rzucił krótko:

– Powstań, ruszamy dalej.

Popatrzyli po sobie, ale żaden nawet nie odważył się zamarudzić. Zdążyli poznać już swojego el Capitán Negro, Czarnego Kapitana, na tyle, żeby wiedzieć: jego rozkazy po prostu się wykonywało.

Zebrali się, spakowali jedzenie i wrócili na wąski, kamienisty szlak, podążając za zwiadem chyżych, skaczących po głazach niczym górskie kozice Indian. Zahred szedł ramię w ramię ze swoimi ludźmi, na samym przedzie oddziału, nieustannie omiatając krajobraz bystrym wzrokiem.

Wiedzieli, że jeśli będzie miał im coś do powiedzenia, to powie. W swoim czasie. Nie prędzej, nie później, a już na pewno nie zapytany.

– Zawsze taki był? – mruknął Juanito do Rodriga. – Zamknięty w sensie?

– Czarny Kapitan znaczy się? Odkąd tylko pamiętam.

– Hm, hm. Czyli że ile, bo ty z nim najdłużej?

– Trzy lata? – Tamten przewrócił oczami. – Jakoś tak, bo na Kubę to już razem przyplłynęliśmy.

– Aaaha, no dobra. A wcześniej co on robił? Bo ludzie mówią, że podobno...

– Admirał Cortés zawraca z częścią ludzi na wybrzeże, do Vera Cruz – odezwał się nagle Zahred, patrząc gdzieś w ten na poły pustynny krajobraz. Rodrigo aż podskoczył, poprawił muszkiet na ramieniu. Reszta ludzi też momentalnie ucichła. – Pojawiły się tam statki. Wygląda na to, że naszym śladem przyplłynął ktoś jeszcze. Być może inna ekspedycja, trudno powiedzieć. My idziemy naprzód.

– Ilu ludzi wraca, kapitanie? – zapytał jak zawsze odważny de Monroy.

– Dwie kompanie.

De Monroy pokręcił głową: trzecia część sił wszystkich Hiszpanów! Najwyraźniej sprawa była poważna, ale skoro kapitan nie chciał mówić, to cóż – lepiej było powściągnąć ciekawość.



Zahred wspiął się na kamień, zaczerpnął pełne płuca chłodnego, rześkiego powietrza. Obejrzał się przez ramię: czoło pochodu było jeszcze dobre pół mili za nim.

Mijał już trzeci dzień, odkąd Cortés zawrócił, zabierając ze sobą dobrą setkę ludzi. Sytuacja nie była może aż tak poważna, bo to najwyraźniej nie sam gubernator Velázquez przyplynał pod Vera Cruz, ale inna ekspedycja... Zostawiony na miejscu gubernator miasta powinien się sprawić z powierzonym mu zadaniem, ale dodatkowe siły na pewno mu nie zaszkodzą.

Co oznaczało, że na jakiś czas zostawali tutaj na dobrą sprawę sami.

Władzę nominalnie sprawowali pospołu dwaj ulubieńcy Cortésa, mianowicie Pedro de Alvarado i Gonzalo de Sandoval.

W praktyce i tak wszystko zatwierdzała rada kapitanów.

Zaś w rzeczy samej...

Zahred uśmiechnął się do własnych myśli. Pokazał ręką na kamienistą równinę, obejrzał się na kucającego obok totonackiego zwiadowcę:

– *Ixtlahuaca?* – spróbował dopasować słowo. Tamten jednak pokręcił głową.

– *Texacallah!* – powiedział dobitnie półnagi człowiek. Poklepał ręką kamień, pokazał na drugi, trzeci, powtórzył: – *Texacallah!*

– *Texacallah...* – powtórzył Zahred pod nosem. – Zatem równina nie tylko pusta, ale kamienista.

Nauczył się już jako tako miejscowego narzecza, ale nadal brakowało mu słów. Nie znał subtelnosci. Umykały mu niuanse znaczeniowe. Bolesnie brakowało precyzji wypowiedzi.

Widział, że ludzie z jego kompanii patrzyli dziwnie, kiedy on sam zapuszczał się w przód, biegnąc na równi z tubylcami – „Indianami”, jak ich nazywali Kastylijczycy.

On wiedział, że mylą się, używając tej nazwy. Czymkolwiek był Nowy Świat, na pewno nie były to ani Indie, ani w ogóle wschodnie wybrzeże Azji... Natomiast nie był w stanie wytłumaczyć tego Kastylijczykom w taki sposób, żeby nie musieć ich potem wszystkich pozabijać, a to nie wchodziło w jego plany.

Nie przeszkadzały mu jednak krzywe spojrzenia i poszeptywanie ludzi za plecami. Przywykł do tego, nauczył się z tym żyć... Niezależnie od miejsca i czasu, nigdy nie pasował do obrazka.

Natomiast tym razem obrazek pasował jemu.

Pogoda była piękna, krajobraz oszałamiał. Trasy zmuszały do wysiłku. Chłód nie przeszkadzał, a wręcz orzeźwiał. Płuca szybko adaptowały się do wyraźnie rzadszego górskiego powietrza. Serce biło mocno i pewnie.

Zerknął z ukosa na zwiadowcę, ubranego w proste, pozornie niedające ciepła szaty.

Ta kraina była dziwaczna. Fascynująca wręcz. Niczym wyrwana z innych czasów, przeniesiona z całkowicie innego świata.

On czuł się tu dobrze, niemalże na miejscu – ale wkraczający w nią Kastylijczycy byli nie tylko przybyszami z innego kontynentu, ale wręcz innej rzeczywistości. Nienawykłymi do tego, jak bardzo prosta potrafi być egzystencja.

Chociaż z drugiej strony – tubylcy tylko pozornie sprawiali wrażenie prostodusznych.

Widziane jeszcze na wybrzeżu miasta i wysokie świątynie w kształcie piramid, pięknie tkane materiały, długie przemowy, które w tłumaczeniu dońi Mariny bądź też jako tako znającego język ojca de Aguilara dziwnie skracaly się

i upraszczały... To wszystko nie było wcale, jak czasami chciał tego sam admirał Cortés, „niższą kulturą dzikich”.

Jeśli ci ludzie nawet byli dzicy, pomyślał, to przynajmniej coś go z nimi łączyło.

Idący na samym przedzie machnął ręką, zawołał coś. Totonak pokazał stojącemu obok Zahredowi na sygnalizującego zwiadowcę:

– *Altepetenametica! Altepetenametica Xicochimalco!*

Zahred pokręcił głową, rozłożył ręce:

– Nie rozumiem.

Zwiadowca rozejrzał się, zamiótł dłonią powierzchnię głazu. Tknął w nią palcem:

– *Altepetl!* – Spojrzał na Zahreda wymownie.

– *Altepetl*, czyli miasto. Tak. Co z nim?

– *Altepetl...* – Tamten zawiesił głos, jednocześnie drugą ręką obwodząc wokół swego palca okrąg. – *Altepetenametica, altepetenametica Xicochimalco.*

Zahred pokiwał.

– Zatem miasto otoczone czymś, pewnie murem. Forteca. A to ostatnie to jej nazwa... Twierdza Xicochimalco.

Zeskoczył z kamienia, ruszył szybkim krokiem ku swoim ludziom, podchodzącym coraz bliżej po szlaku.

Widział już z daleka, że są zmęczeni. Nienawykli do takich marszów, do wysokości i braku wody. Rzeczywiście, jeszcze kiedy wyruszali, wodzowie Totonaków mówili, że przed dojściem do „wysokich gór”, jak je sami określili, będą mijać twierdzę.

Należało się do tego przygotować.

– Zbliżamy się do miasta! – zawołał już z daleka.

– Tenochtitlán! Miasto ze złota, Eldorado! – wypalił od razu Enriquez, ale któryś z towarzyszy błyskawicznie uciszył nadmiernie wyrywne go.

– Nie, nie Tenochtitlán. Do niego mamy jeszcze co najmniej drugie tyle drogi!

– Drugie tyle...? – jęknął ktoś.

Co miał im powiedzieć?

Że jeszcze na dobre nie zaczęli tej podróży?



Twierdza leżała przy samym szlaku, siedząc na swej górskiej perci niczym drapieżny ptak w gnieździe.

Jakkolwiek mexicki zarządca fortecy podejmował ich bardzo dobrze, to Zahred stanowczo odradzał reszcie kapitanów przyjmowanie gościny w samych murach, samemu śpiąc wraz z ludźmi w obozie. Owszem, przyjął poczęstunek, podziękował przez tłumacza za żywność dla ludzi... Ale do tego się ograniczył.

– Skoro Mexikowie tak dobrze nas traktują, to znaczy tyle, że Montezuma wie o naszym nadejściu! – tłumaczył podczas narady urządzonej poza zasięgiem ciekawskich uszu, w jednym z domków na obrzeżach wioski leżącej u stóp fortecy.

– Niech wie! – prychnął Cristóbal de Olid, bawiący się krótkim sztyletem.  
– Niech się boi...

– Nie.

– Co „nie”? – nastroszył się de Olid.

– Nie, nie możemy zakładać, że wiemy, co tamten czuje. Poza tym przypominam, że caudillo jest tutaj formalnie jako ambasador!

Pokiwali głowami. Jeszcze nim ruszyli z Vera Cruz, tak właśnie przedstawiali sprawę wysłannikom Mexików: Cortés szedł do Tenochtitlán, aby spotkać się z ich wielkim królem.

– Na razie to caudilla nie ma – rzucił Alonso de Ávila, wciąż urażony w swojej dumie, że to nie jemu powierzono dowództwo na czas nieobecności wodza.

Zahred zmierzył go wzrokiem, ale tamten nawet tego nie zauważył, zapatrzony w ogień.

– Wróci. Możecie poczekać na niego tutaj, kilka dni odpoczynku nie zaszkodzi.

– „Wy”? – Pan de Medellín, jak zwykle uważny, wychwycił subtelność wypowiedzi.

– Ja wezmę swoją kompanię wraz z setką Totonaków i ruszę przodem. Memexi mówił mi, że...

– Memexi mówił WAM, panie? – De Medellín podniósł głos.

– Memexi jest tutejszym wodzem, przypominam wam. I nie sądzę, aby jego zdanie było tutaj...

– Pan de Medellín uważa, że głos nie-Kastylijczyka się nie liczy.

Zamilkli wszyscy, zwrócili oczy ku siedzącej nieco z boku, ale przysłuchującej się naradzie smagłolicej kobiecie.

Malintzin wytrzymała spojrzenia, potrząsnęła dumnie głową i wbiła wzrok w de Medellína.

Ten zmarszczył brwi, ale przywołał na twarz uśmiech:

– To wyprawa pod sztandarem króla Kastylii. Każdy, kto nie jest jego poddanym...

– To wyprawa pod sztandarem Hernána Cortésa – przerwała mu kobieta. – I każdy, kto pod nim idzie, jemu jest winien posłuszeństwo.

– Kobieta uczy nas o posłuszeństwie! – prychnął de Sandoval. – Może jeszcze w jej rozumieniu, kiedy zapada zmrok, a caudillo przychodzi do niej w samej koszuli, żeby...



– Panie de Sandoval! – prychnął de Alvarado, próbując nie dać potencjalnie niebezpiecznej rozmowie zbroczyć na jeszcze gorszy tor. – Proszę was, poniechajcie krotocwil!

Ale było za późno.

Malintzin zacisnęła usta, podniosła się ze swego miejsca i stanęła, dumnie unosząc głowę.

Umilkli.

Gonzalo de Sandoval rozciągnął usta w złym, wrednym uśmiechu.

Nie spuszczać z Malintzin wzroku, zaczął powoli wstawać.

Jednak Zahred podniósł się jako pierwszy i zastąpił mu drogę.

Wszyscy niemalże oczekiwali, że w takiej sytuacji jeszcze wymownie położy dłoń na rękojeści szpady... Ale on tylko dotknął żeleźca wetkniętej za pas prostej ciesielskiej siekiery, którą zabrał z pokładu jednego ze spalonych okrętów.

Zapadła napięta, niepokojąca cisza.

Uśmiech de Sandovala spłynął z jego twarzy, kapitan otworzył usta i było widać, że zaraz, lada chwila powie coś, czego cofnąć się już nie da...

– Admirale! – rozległ się okrzyk na zewnątrz. – Admirale Cortés wraca! Ma ze sobą ludzi... Admirale, admirał wraca!

– No i po problemie – skonstatował z ulgą de Alvarado, wsuwając się pomiędzy Zahreda i de Sandovala, delikatnie odpychając ich od siebie. – Panowie, towarzysze... Chodźmy lepiej przywitać naszego caudilla, jak przystało. Czy na ambasadora, czy konkwistadora, to się jeszcze okaże, ale wymogów grzeczności należy dochować.

Ruszyli wszyscy ku wyjściu. De Sandoval obdarzył jeszcze Zahreda złym spojrzeniem, zawinął się i też zniknął za pełniącą rolę drzwi kotarą.

Zostali w komnacie sami – Zahred i Malintzin, wciąż stojąca tak, jak stała.

Kobieta przełknęła ślinę, rozwarła i zacisnęła pięści.

– Dziękuję – powiedziała wreszcie, chociaż widać było, że z jakiegoś powodu przyszło jej to z niemałym wysiłkiem.

Zahred nie powiedział nic. Nawet nie skinął głową, tylko obrócił się na pięcie i wyszedł.

## *Tenochtitlán*

Wielki Montezuma modlił się.

Wnętrze świątyni tonęło w ciemności, której nie zdołało rozproszyć nawet wpadające do stojącego na szczycie piramidy budynku światło księżyca.

Zapach kadzideł dławiał oddech, gryzł i drapał w gardło.

Huēi Tlahtoāni klęczał na gołych, zimnych płytach bazaltu u stóp ogromnego, zajmującego niemalże całą ścianę posągu.

Najwyższy król – teraz niewspółmiernie mały wobec kamiennego ogromu nieruchomego, milczącego bóstwa.

Oczy władcy pozostawały zamknięte w nadziei, że zwrócone do wewnątrz ujrzą w świecie duchów coś, co natchnie go do słusznej decyzji. Twarz wyrażała najwyższe skupienie. Po rękach wzniesionych błagalnym gestem powoli ściekała krew z dwóch dawno już zamarłych w bezruchu serc.

– Wietrze ze wschodu, duchu, przez którego odradza się to, co minęło... – Wargi Montezumy poruszały się, pozwalając słowom ulatywać wraz z dymem kadzideł. – Światło ostrego słońca w południe nad szczytami gór. Gwiazdo poranna. Wojownik o świcie. Ty, od którego wszystko się zaczęło, od którego wypłynęły wszystkie rzeczy. Ty, który dałeś ludziom sztuki i nauczyłeś nas wiedzy. Wielki ojciec z dawnych lat... Quetzalcoatlu.

Towarzyszący mu kapłani miarowo kołysali się w przód i w tył, co któryś raz przyklękając tak, aby dotknąć czołem ziemi.

Spożyli tego wieczora wystarczającą ilość świętych grzybów i wypili tyle magicznego napoju ze sfermentowanych ziaren *cacahuatl*, aby ich dusze oddzieliły się od powłok cielesnych i zaniósły modlitwę króla do uszu boga.

Montezuma zaś wiedział, że jego błagania były szczere.

Czuł, jak jego serce rwie się ku nocnym niebiosom.

Słyszał, jak delikatny zefir porывał słowa modlitwy z ust i niósł je ku górze, pomiędzy mrugające na czarnym firmamencie gwiazdy.

A mimo to posąg Quetzalcoatla uparcie milczał.

Szept boskich słów nie wypełniał uszu, serce nie poruszało się radośnie, gardło nie czuło bliskości boga tak, jak powinno.

– Największy z wielkich, ojciec naszej doliny. Ty, który byłeś, gdy ojcowie i dziadowie Montezumy, ósmego syna Axayacatla, twojego sługi, przybyli na te ziemie. Usłysz mnie, wysłuchaj. Zechciej... – Król zawahał się, urwał.

Otworzył oczy.

Opuścił ręce i pozwolił, aby zimne już, tężejące serca ofiar wypadły z miękkim plaśnięciem na posadzkę.

Wstał i nie patrząc nawet na kołyszących się w transie kapłanów, wyszedł na zewnątrz.

Stojący na dworze dostojnicy, kapłani innych bogów i generałowie ożywili się. Czekali u wejścia do świętego świątyni już długi czas, odkąd księżyc ledwie wstał ponad horyzontem... Teraz, zziębnięci i zaspani, zrzucali z siebie ciepłe opończe. Któryś pospiesznie nakładał na głowę ceremonialny pióropusz.

– Panie, władco światu, o Najwyższy! – odezwał się zarządca Błękitnych Kolibrów, odpowiadający za komunikowanie życzeń władcy innym. – Co zechcieli najwyższemu królowi objawić bogowie? Cóż rzecze Quetzalcoatli?

Montezuma potoczył wzrokiem po ludziach, zatrzymał spojrzenie na zajmującym się prowincjami Tlazohtlim.

Ten dobrze zrozumiał intencję władcy, skłonił się i przemówił, nie podnosząc oczu na króla:

– Władco wschodzącego słońca! Posłańcy donoszą: przybysze pod wodzą tego, którego zwą Cortés, dotarli już do Xicochimalco. Teraz na ich drodze są wysokie szczyty i jezioro, którego woda pali wnętrza.

Najwyższy król zacerpnął głęboko tchu. Skoro bogowie nie przemówili, musiał polegać wyłącznie na swojej własnej radzie.

– Niech nikt nie broni przejścia przybyszom! – powiedział tak, aby na pewno wszyscy usłyszeli. – Skoro pragną iść ku nam, niech idą... Przekażcie to namiestnikom i dowódcom: nie ma ich spotkać nic złego!

– Najwyższy! – załamał ręce Xiuhpa, kapłan Atlatoman, bogini zrodzonych z wykrzywionym ciałem. – Jeśli nikt nie stanie im na drodze... Czy godzi się, aby oczy przybyszów miały spocząć na naszym panu i władcy, Huēi Tlahtoāni Montezumie?

– Zapytać raczej należy: co będzie, jeśli dojdą do Tenochtitlán? Co, jeśli zechcą ponownie odebrać dolinę Meksykom? – sarknęła naczelną akolita Tepeyollotla, władcy zwierząt i ciemnych jaskiń.

Inni kapłani pokiwali głowami. Oni też już słyszeli pogłoski, że albo wszyscy, albo też co ważniejsi z przybyszów mogą być czy to wodzami z dawnych lat, czy wręcz ucieleśnieniami bogów powracających po wiekach.

– Nikt z ludzi rozsądnych nie przeciwstawi się bogom ani nie stanie im na ich drodze! – Montezuma podniósł czerwone od krwi ręce.

– A co, jeśli... – znacząco zawiesił głos Itzli, pełniący godność władcy Domu Szeptów.

– Niech mówi!

– A co stałoby się, o Najwyższy... Gdyby na otoczonych świętą gościnnością przybyszów, którzy bądź to mogą być, bądź to nie są natury boskiej czy nie-ludzkiej... Miał podnieść rękę ktoś spoza poddanych najwyższego Montezumy? – zapytał Itzli we właściwy sobie zawikły sposób.

Montezuma potrząsnął głową, zielony pióropusz zafalował.

– Wtedy niechybnie bogowie pokaraliby winnych za sprzeniewierzenie się obyczajom – odparł.

– Mądrość przemawia przez usta najwyższego Montezumy. – Itzli uśmiechnął się przebiegle. – Bogowie wtedy pokarają winnych, bez wątpienia. Lecz nie Meksyków przecież, nie mieszkańców Tenochtitlán, którzy składają im należne ofiary i oddają cześć. Nie jego władcę, a tylko bezrozumne, podobne do zwierząt plemiona mieszkające w górach.

Montezuma zmrużył oczy.

– Itzli ma na myśli kogoś konkretnego? – zapytał.

– Itzli tylko myśli na głos, o Najwyższy. Jednakże nawet Huēi Tlahtoāni Montezuma w swojej mądrości i przenikliwości nie może ręczyć za dzikusów mieszkających wzdłuż szlaku, którym będzie podążał biały wódz Cortés...

– Tlaxcaltekowie... – szepnęła z podziwem stojący obok dostojnik, który dopiero teraz zrozumiał sens mocno zawoalowanej wypowiedzi.

– Tego nie może już Itzli wiedzieć. – Władca Domu Szeptów ponownie się uśmiechnął. – Jednak gdyby ktoś miał podburzyć ich przeciwko przybyszom, to możliwym zdaje się, że w swojej bezrozumności gotowi byłiby go posłuchać.

– Tak, Itzli ma rację. – Montezuma potoczył wzrokiem po swych urzędnikach. – Tlaxcaltekwowie to zwierzęta i nikt nie wie, czy nie pogwałcą prawa gościnności... Tylko bogowie.

– Tylko bogowie – zgodził się władca Domu Szeptów.

Montezuma skinął ręką urzędnikom i ruszył w kierunku schodów prowadzących z piramidy na dół, ku świętej dolinie.

Być może wizyta w świątyni nie była aż tak bezproduktywna, jak obawiał się jeszcze chwilę wcześniej.



Maszerowali kolejne dni przez niemalże jałowy, zimny płaskowyż.

Na pustkowiu nie było nawet drzew czy krzewów, których można byłoby użyć na ognisko.

Chłód dokuczał im coraz bardziej.

Para ulatywała ludziom z ust, osadzała się na wąsach białawą mgiełką i pokrywała ronda hełmów nalotem szronu. Wargi pękały i krwawiły od zimnego powietrza. Posiekane przez wiatr policzki czerwieniły się niezdrowym rumieńcem. Spuchnięte i podrażnione nosy powoli zamieniały się w bolesne, otarte rany.

Zahred chuchnął w dłonie i roztarł je, szczelniej zawinął się w grubą, tkaną z kolorowych nici opończę. Tak, mógł trzymać się lepiej od niejednego z tych ludzi, lecz jemu też droga dawała się we znaki.

– Kolejny – warknął de Monroy, pokazując na leżące przy szlaku ciało.

Musieli zawrócić z wcześniej obranej trasy, więc teraz niedawne czoło pochodu zamieniło się w straż tylną, a oni oglądali wszystko to, co zostawili wcześniej za sobą inni.

Tragarz skulił się pomiędzy kamieniami i wyglądał, jakby spał. Podkulone nogi, dłonie wciśnięte pomiędzy kolana... Przymknięte oczy i na wpół błogi uśmiech na zawsze zastygły na twarzy.

Nie mieli wątpliwości, że ów człowiek nie żył.

– W ostatnich chwilach nie czuć zimna – rzucił Zahred. – Masz wrażenie, że robi ci się dobrze, spokojnie. Nadpływa falą błogość, przychodzi ciepło... Zdaje się, że jesteś coraz bliżej ognia. Zasympiasz, odpływasz. A potem nie ma już nic.

Spojrzeni na niego, zaskoczeni. Ich kapitan rzadko odzywał się sam z siebie.

– Podobno tak samo jest, jak człowiek tonie. Spokojnie... – chciał podłapać Rodrigo.

Zahred tylko potrząsnął głową.

– Nie, nie jest.

Maszerując powoli, przestawiając nogę za nogą, minęli ciało.

Nie było pierwsze i na pewno nie ostatnie: zabrani wcześniej z Kuby indiańscy tragarze okazali się nieodporni na panujące tutaj warunki. Już kilkunastu zostało przy szlaku – po prostu szli, a potem zwalniali, przewracali się i tak zostawali na zawsze, krwawiąc z nosów i uszu.

Robiło się coraz bardziej przenikliwie zimno. Ze szczytów gór znów zaczynała spływać długimi mlecznymi jezorami gęsta mgła. Szlak stał się ledwie widoczny, ludzie szli, orientując się wyłącznie na majaczących przed nimi w tumanie towarzyszy.

– Tutaj...! Tutaj...! – poniósł się okrzyk z czoła pochodu.

– Tutaj! – powtórzył go ktoś idący dalej z tyłu.

– Tutaj...! – podłapał Zahred, celowo zwalnając, aby iść na samym końcu.

Nie pierwszy raz nawoływali się w taki sposób – pilnując, aby nie zgubić ścieżki, ledwie widocznej przed nimi w półmroku, utrzymać spójność szyku i nie pobłądzić. Chwila nieuwagi i ktoś odłączyłby się od kolumny, nie daj Boże następni poszliby za nim...

Z początku, kiedy pierwszy raz podniosła się mgła, próbowali stawać i czekać. Teraz wiedzieli już, że opar potrafił utrzymywać się całymi godzinami.

Ledwie widoczny teraz w tumanie krajobraz bardziej przypominał wysokie, niegościnne wyżyny na dalekiej północy Europy niż pozornie gorące, parne Indie.

Niskie drzewka i rachityczne krzewy trzymały się skalistego podłoża powykrzywianymi korzeniami, kamienie oblepiał mech i szare porosty. Praktycznie nie występowała tu zwierzyna, jedynymi ptakami były krążące wysoko ponad nimi drapieżne orły.

– Pieprzony, przeklęty kraj... – doniosło się z przodu warczenie wiecznie niezadowolonego Rodriga. – Niby mokra ta mgła, a człowiek się nie napije.

Przed wszystkim brakowało im wody pitnej. Owszem, mieli ze sobą zapas wina, które wydzielano im po kwaterce na dzień, natomiast pełniący rolę kwatermistrza de Olid stanowczo odmawiał zwiększenia racji. Kiedy znajdziecie wodę, mówić, możecie sobie do niej dolewać wina w dowolnych proporcjach, ale ustaleń nie zmienię!

Ledwie kilka dni wcześniej minęli wielkie jezioro. Kiedy straż przednia zobaczyła jego modrą taflę, ludzie puścili się biegiem, nie bacząc na machających rękami i wołających ostrzegawczo Indian. Dopadli do brzegu, pierwszy zaczerpnął wody rękoma, przełknął... i od razu się rozkaszał, zgiął

w paroksyzmie zbuntowanego żołądka, a potem przewrócił na plecy, charcząc i łapiąc za gardło: woda była słona...!

Słona.

Zupełnie bezużyteczna, niezdatna do picia.

Nie można było nawet się w niej umyć, bo zostawiała na skórze drażniący nalot.

Zamiast pomóc i dodać sił, jezioro wyłącznie pogłębiło zmęczenie – zarówno cielesne, jak i duchowe.

– A jeśli tam nic nie ma? – z mgły doniósł się głos któregoś z ludzi. – I tylko będziemy tak szli i szli...?

– Już niedaleko – odezwał się Zahred.

Ciemniejsze plamy przed nim zafalowały, jedna z nich zrobiła się wyraźniejsza. Z szarawej, rozmytej chmury wyłonił się Gutiérrez.

– Kapitanie, no bo, ten...

– Mów.

– Ludzie się niepokoją. Nie to, że my, nie nasi – zastrzegł od razu. – Ale wczoraj wieczorem ci z kompanii pana de Leóna mówili, że poszliśmy nie tą drogą.

– Bzdura. Dobry pan de León jest zacnym wojownikiem, ale powinien krócej trzymać swoich podkomendnych.

– Ja wiem, kapitanie. Ale...

Oni się bali, uświadomił sobie Zahred.

Bali się nieznanego, bali się tego, czego nie mogli przewidzieć.

Bali się, że w tym dziwnym kraju muszą polegać wyłącznie na przekazywanych im przez pośredników słowach tubylców, których wygląd – no cóż, też nie budził w Europejczykach zaufania.

Pokiwał głową, nabrał tchu i odezwał się, celowo mówiąc głośniej:

– Lada dzień powinniśmy dotrzeć do doliny, w której będzie rzeka. Tak samo powtarzałem wam jeszcze w Cempoali, pamiętacie? Przewodnicy twierdzili, że zajmie nam to tydzień. Ja od początku mówiłem: dziesięć dni!

Gutiérrez pokiwał skwapliwie głową, dosłownie spijając słowa z ust dowódcy. Ludzie potrzebowali zapewnienia, że wszystko jest w porządku, a marsz przebiega zgodnie z planem.

Czy tak było?

Raczej nie, bo nie było planu jako takiego.

Co najmniej dwa razy przewodnicy poprowadzili ich złą drogą, nad samym skrajem przepaści. Stracili kilku tragarzy. Raz niemalże zsunął się z urwiska wózek z amunicją.

Czy wynikało to z roztargnienia i nieorientowania Indian?

Zwykłej złośliwości?

A może było celową, świadomą zdradą?

Tego ani sam Cortés, ani jego kapitanowie nie wiedzieli i wiedzieć nie mogli. Natomiast ustalili podczas jednej z narad, że żadna z tych rzeczy nie miała prawa dotrzeć do ludzi w kompaniach.

– Idziemy już ósmy dzień – mówił dalej Zahred, więcej niż pewny, że ludzie w straży tylnej nastawiają teraz uszu i łowią każde jego słowo. – Więc zaraz powinniśmy dotrzeć na miejsce. Tam ma być już kolejne duże miasto, Zautla, gdzie odpoczniemy i nabierzemy sił. Stamtąd zostanie połowa drogi do Tenochtitlán...

– Dopiero połowa – powtórzył głucho Gutiérrez.

– Zaledwie połowa! Nie upadajcie duchem. Damy radę... *Santiago y cierra, España!* – zakrzyknął Zahred.

– *Santiago y cierra, España!* – kilkanaście głosów powtórzyło rycerskie zawołanie z dawnych lat.

Okrzyki bojowe. Zakłęcia. Mity i legendy... ludzie tak bardzo potrzebowali w coś wierzyć. Wierzyć w cokolwiek, żeby tylko odepchnąć od siebie gorzką prawdę o tym, że tak naprawdę byli na tym świecie zupełnie sami.

Zahred zacisnął usta, poprawił ciężącą na ramieniu sakwę i poklepał Gutiérreza po ramieniu: będzie dobrze.



Kapitanowie stali wszyscy w najlepszych szatach i półpancerzach, przystrojeni w pióropusze na hełmach i z bronią na podorędziu.

Czekali na samym skraju miasta, mając przed sobą całą Zautlę z jej wysokimi świątyniami i białymi domami, na których dachach teraz tłumnie siedzieli ludzie chcący ujrzeć dziwacznych przybyszów w całej okazałości.

W pewnej odległości za nimi – na tyle daleko, aby nie sprawiać wrażenia zagrożenia, ale na tyle blisko, aby pozostawać w zasięgu – została cała armia.

Pierwszy szereg niezobowiązująco wspierał się na opartych kolbami o ziemię arkebuzach, ludzie delikatnie dmuchali na żarzące się końcówki trzymany w dłoniach lontów. Zaraz za nimi czekali kusznicy z napiętymi cięciwami, gotowi w każdej chwili położyć bełty w wyłobieniach łóż.

– Zastrani, pierdoleni Indianie – zaklął dobry pan Alonzo Hernández Portocarrero, któremu powierzono pieczę nad pierwszą linią. – Chuj ich wie co wymyślą tym razem. Dzikusy w rzyć jebane.

– Panie, miarkujcie język... – po raz kolejny zajęczał stojący obok niego ogniomistrz Bartolomé de Usagre, wbrew swej płomiennie-wybuchowej i destrukcyjnej funkcji będący człowiekiem wręcz gołębiego serca.

– Zobaczycie, że coś kurewsko złego z tego wyjdzie. Ja bym nie czekał nic, tylko od razu ich jeb! – Portocarrero uderzył dłonią o dłoń tak, że jeden z żołnierzy aż podskoczył, o mało nie upuszczając lontu prosto na panewkę.

– Nie wolno, caudillo dał jasne rozkazy – spokojnie, ale twardo odezwał się z tyłu Francisco de Morla, głaszczący uspokajająco pysk swego jabłkowitej maści rumaka.

– Rozkazy, srozkazy... Zobaczycie, że i tak zakończy się to pieprzoną jatką, pomnicie moje słowa!

– O, wychodzi od nich ktoś! – pokazał ręką de Usagre.

Rzeczywiście, ulicą pomiędzy domami nadciągała procesja miejscowych.

Na samym przedzie podskakiwali ubrani w pióra, brzękający ozdobami i hałasujący trzymanymi w rękach grzechotkami ni to grajkowie, ni to akrobaci. Wymalowane w zielone, niebieskie i czerwone pasy twarze zwracały się ku ludziom, krzywiły w dziwacznych, groteskowych minach, a wtedy stojące na dachach domostw dzieci śmiały się albo chowały przestraszone za spódnicami matek. Prowadzący orszak co chwila wydawali gromkie, przenikliwe okrzyki albo rzucali się na ziemię, aby przetoczyć się kawałek seria fikołków i znowu poderwać na równe nogi.

Za nimi szli tragarze niosący plecione kosze, na widok których Hiszpanom aż zaburczało w brzuchach, zaś do ust napłynęła ślina. Już stąd widzieli ułożone w sterty kukurydziane placki, czerwieniące się i zieleniejące warzywa i owoce, pozawieszane na drągach, gotowe do oprawienia ptactwo, ryby i zwierzyne... A przede wszystkim ciężkie, więc pełne po brzegi naczynia z *pulque*, które jeszcze niedawno wydawało się przybyszom odrażające i mdłe, a teraz powoli stawało się nie tylko napojem codziennym, ale i lubianym.

Dalej jeszcze więcej ludzi, tym razem z darami... A za nimi, otoczony świtą urzędników i w asyście wojowników, zapewne sam wódz.

Cortés wystąpił naprzód. Zaraz obok niego stanęła Malintzin, pełniąca rolę tłumaczki.

– Baba... – warknął de Sandoval.

Zahred spojrział na niego z ukosa, ale zaraz zwrócił wzrok w przód: w tej chwili ważniejsza była kwestia tego, jak zostaną podjęci.

Orszak rozstąpił się, rozciągnął nierówną linią. Niosący powitalne dary tubylcy stanęli ufnie, bez cienia strachu naprzeciwko armii z zapalonymi lontami.

Ubrany w haftowaną błękitem białą szatę, aż uginający się pod ciężarem złotych ozdób mężczyzna rozłożył ręce gestem powitania, wysuwając się naprzód.

Cortés też podszedł do niego, starając się odgadnąć zamiary i jeśli nawet nie uprzedzić, to chociaż naśladować ruchy gospodarza.

Przez dłuższą chwilę dwa orszaki patrzyły, jak sformalizowany dworski ceremoniał Królestwa Kastylii próbuje odnaleźć wspólny język z może i spokojnym, ale niepozabawionym pewnej wyszukanej głębi obyczajem kolejnego z indiańskich plemion.

Wreszcie, gdy Cortés po raz kolejny skłonił się, a potem wyciągnął prawicę na powitanie, zaś usiłujący lustrzanie powtórzyć ten sam gest wódz też



wyciągnął ku niemu rękę, ale lewą, ten ostatni zaśmiał się głośno, dźwięcznie i rozłożył szeroko ramiona, aby objąć gościa.

– Kurrwa, może jednak nie będzie tej rzeźni... – Portocarrero pokręcił głową.

Ludzie odetchnęli z ulgą, ogniomistrze ukradkowym gestem dali znać: spocznij! Pierwszy artylerzysta odcharknął, splunął na lont, żarząca się końcówka zasyczała i zgasła. Reszta szybko poszła za jego przykładem.

Wódz odezwał się w swoim języku. Uważnie przysłuchująca mu się Malintzin powtórzyła słowa łamanym hiszpańskim, zwracając się do Cortésa:

– Wysoki przewodnik Olintecle, władca pięknego miasta Zautli, wita przybyszów jak gości i braci. Mówi, że widzi, jak wielu zaznaliście trudów. Jego dom jest domem Hernána, jego stół i jego... – Potrząsnęła głową, zapytała o coś wodza, ten powtórzył. – Jego więzienie dla chleba stoi otworem.

– Więzienie dla chleba, powiadasz. Spizarnia? – Cortés uśmiechnął się półgębkiem.

Malintzin stropiła się, pokiwała głową.

– Miejsce, gdzie jest żywność... Tak, spizarnia.

– Niech zatem doña Marina powie wodzowi Olinteclemu, że przybywamy w pokoju, jako wysłannicy naszego władcy Karola, z Bożej łaski króla Hiszpanii... – Cortés nabrał tchu – Kastylji, Aragonii, Leónu, Nawarry, Grenady, Toledo, Walencji, Majorki, Sewilli, Kordoby, Murcji, Jaén, Algabres, Algeciras, Gibraltaru i Wysp Kanaryjskich, króla Zachodnich i Wschodnich Indii, a zatem i tych ziem!

Malintzin zwróciła się do Olinteclego, powiedziała coś o wiele krótszego. Ten pokiwał głową, przyłożył dłoń do serca na znak szacunku. Odezwał się po swojemu.

– Olintecle zapytuje, czy przyjmiecie gościnę.

– Przyjmiemy gościnę i będziemy najszczęśliwsi, jeśli Olintecle powie nam, czy jest wasalem Montezumy.

Tłumaczka przekazała pytanie. Wódz potrząsnął głową, rozłożył ręce gestem zdziwienia.

– Olintecle mówi: czyż na świecie istnieje ktoś, kto nie jest wasalem, człowiekiem bądź niewolnikiem Montezumy? – przetłumaczyła Malintzin, nie patrząc Cortésowi w oczy. – Mówi, że to Montezuma jest władcą całego świata i zapewne... Zapewne też król Hernána musi być jego poddanym.

Zapadła cisza.

Ludzie zamarli, patrząc na swego admirała i czekając, jak ten zareaguje na taką obelgę.

Jednak Cortés uśmiechnął się tylko, też położył dłoń na sercu.

– Niech doña Marina powie tak: nie ma nikogo na świecie potężniejszego niż król Hiszpanii. Gdy tylko dotrzemy do Montezumy, ten też uzna jego wyższość i sam zostanie wasalem naszego króla, Jego Wysokości Karola, tak jak i wszyscy mieszkańcy tego kraju.

– Olintecle mówi: teraz jego królem jest Montezuma. Cokolwiek ten powie, stanie się.

– Może zatem niech Olintecle sam zostanie człowiekiem i poddanym naszego króla, Jego Wysokości Karola? Ten z pewnością doceni ten gest, tak jak docenia wierność naszych sojuszników Totonaków i ich wodza Memexiego. – Cortés pokazał ręką za siebie, gdzie stali też wojownicy z Cempoali. – Jeśli Olintecle złoży hołd królowi Hiszpanii, będzie to z korzyścią dla niego. Jeśli odmówi, spotka go niechybnie kara. A poza tym...

– Zaraz, chwilę. – Malintzin podniosła rękę, po czym zaczęła przekładać wywód na język zrozumiały dla Indian.

Nie pierwszy raz ta kobieta przerywała admirałowi w pół zdania, wcinając mu się w słowo. I to na oczach całej armii!

De Sandoval znów zawarczał coś pod nosem, jednak Zahred zrobił pół kroku do przodu, zmarszczył brwi. Widać było, że zastanawia się, czy ma podejść już, czy za chwilę...

– Olintecle mówi – odezwała się tymczasem Malintzin – że nie może odstąpić od swojego króla Montezumy.

Cortés skrzywił się, pokręcił głową.

– Powtórz mu zatem, że nie ma wyboru. Musi zostać wasalem naszego króla, a na znak oddania się w służbę króla Karola i królowej Juany ma przekazać nam całe złoto.

Olintecle wysłuchał, uśmiechnął się i powiedział coś krótko, dobitnie.

– Olintecle mówi, że ma złoto, ale odda je tylko na rozkaz Montezumy.

– Zatem przekaż mu po raz trzeci, że...

– Panie! – Zahred wystąpił z szeregu, podszedł do Cortésa. Pokazał ręką na kosze z żywnością, na tragarzy, na dary, a potem na niebo. – Panie, mają w mieście duży garnizon. Nie naciskaj.

Cortés potrząsnął głową, zdezorientowany.

– Co...?

Zahred schylił się do jednego z koszy, podrzucił w rękę dojrzały owoc i ugryzł, aż sok pociekł mu po brodzie. Pokazał Cortésowi, uśmiechnął się radośnie – ale jego oczy wyrażały zupełnie co innego.

– Mają w mieście duży garnizon. Widziałem ponad głowami ludzi, jak w uliczce dalej przesunął się jeden z ich sztandarów, a zaraz potem drugi. Zapewne przemieszczają się na nasze flanki. Nie naciskaj teraz, panie. Nie warto.

Podał Cortésowi nadgryziony owoc. Ten machinalnie wziął go do ręki, obejrzał.

Zahred cofnął się do szeregu i spuścił głowę, jakby nigdy nie wychodził.

– Czy mam powiedzieć...? – zapytała Malintzin.

– Nie. Powiedz wodzowi Olinteclemu, że przyjmujemy jego gościnę, zaś co do reszty, to jestem pewien, że Montezuma już niedługo wyda mu stosowne polecenie.

Olintecle pokiwał głową, rozciągnął usta w uśmiechu i zrobił zapraszający gest: chodźcie zatem, Zautla wita gości!



Uczta w pałacu trwała w najlepsze.

Na rozłożonym pośrodku pomieszczenia kolorowym dywanie pięknej roboty piętrzyły się w złotych misach chleby, mięso, owoce i warzywa.

Służący co rusz napełniali naczynia gości, siedzących na miękkich matach pod ścianami.

Cortés wraz z Malintzin otrzymali miejsca najbliżej wodza Olinteclego, z którym caudillo toczył mozolną z racji tłumaczenia, ale chyba przyjemną rozmowę.

Poza nim było tutaj kilku bliższych towarzyszy i przybocznych, zaś wśród nich znany ze swego zamiłowania do uciech świata doczesnego i trzeźwego osądu duchowny, ojciec Bartolomé de Olmedo, który nawet teraz taksował wzrokiem lokalne kobiety, chodzące z odkrytymi piersiami.

Z wojska wzięto trzech kapitanów: de Ávilę, nadal nie do końca udobruchanego po rzekomym odsunięciu od komendy wcześniej; de Leóna, zabranego z racji swej siły i umiejętności w walce wręcz, gdyby coś poszło nie tak; i w końcu Zahreda, obserwującego wszystko swoim baczynym okiem.

Dowódcy pozostałych kompanii zostali z ludźmi, zakwaterowanymi w domach udostępnionych przez gospodarzy. Po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni, odkąd wyszli z Cempoali, mogli w końcu wszyscy spać pod dachem!

Jednak wiadomo było, że ani wylewna serdeczność, ani wystawna gościnność nie powinny usnąć czujności.

Dlatego też wystawiono warty, ludzi podzielono na mniejsze oddziały i ustalono sygnały. Poza tym obserwatorzy ciągle wypatrywali ku pałacowi, do którego udał się sam Cortés wraz z towarzyszącymi i asystą dwóch wodzów sprzymierzonych Totonaków.

Ci, którzy mogli, chrapali smacznie, odsypiając trudy wyprawy. Ci, co musieli, stali na straży. A jeszcze inni, no cóż – realizowali swoje obowiązki w inny sposób.

– Wódz Olintecle prosi, aby jego goście przyjęli te skromne dary – dźwięcznym głosem przetłumaczyła Malintzin, pokazując na już stojących w gotowości służących.

Cortés spojrział z zaciekawieniem, ale widać było, że mina mu nieco zrzędała.

– Rzeczywiście skromne... – mruknął pod nosem, biorąc do ręki naszyjnik z odlaną w złocie jaszczurką. Odchrząknął, przywołał na twarz uśmiech. – Powiedz, że cieszymy się niezmiernie z hojności wodza i jesteśmy zachwyceni jego szczodrością.

Olintecle pokiwał głową, zadowolony z siebie. Tymczasem siedzący obok Zahreda kapitan de León szturchnął go łokciem w bok, pokazując na wręczony mu przed chwilą wisior:

– Pa-pa-patrzcie tylko, t-towarzyszu. „S-skromne”, mówi nasz admirał... W do-do-m-mmu byłbym za to ku-u-u-upił cztery wsie ra-ra-razem z l-l-ludźmi!

Zahred popatrzył na swój podarek, pokiwał głową. Włożył go na szyję i pochwyciwszy spojrzenie wodza, położył dłoń na sercu i skłonił głowę.

– Wartość jest rzeczą względną, panie de León. Umowną.

– C-co wy mów-w-wicie, towarzyszu! Zło-zło-złoto jest za-zawsze złotem! Niez-z-zmiennym, jak to, że można ku-u-pić za nie w-w-w-wszystko! – chrapliwie zaśmiał się tamten, szarpiąc z zadowoleniem swoją kręconą brodę.

– A jednak tutaj mają go dużo i traktują lekką ręką.

– N-n-niech nam je od-da-dadzą zatem... A m-my nim Europę zale-jemy!

– Ciekawe, co z tego wyniknie – mruknął Zahred, rozglądając się po sali.

Siedzący przez chwilę spokojnie przy swoim panu ogromny pies należący do uczującego też Francisca de Lugo, znowu zerwał się i zaczął ujadać, zadarłszy wysoko łeb.

Przechodzący akurat obok indiański służący odskoczył w przestrachu i upuścił glinianą misę, która prasnęła o posadzkę, rozsypując na wszystkie strony zawartość.

Hiszpanie zarechotali głośno.

– Co to za zwierzę? – zapytał jeden z urzędników wodza Olinteclego siedzącego obok niego Totonaka, który przecież przybył do miasta wraz z obcymi o jasnej skórze. – Czy to jaguar albo może lew górski?

– To dziki stwór z Mictlānu, podziemnego świata śmierci! – odrzekł mu siedzący nieopodal Xochitl, prostując się dumnie. – Służy do zabijania niepokornych Mexików!

– I wyłącznie po to istnieje? – zdumiał się i przeraził zautlijczyk, patrząc, jak pies zaczyna pochłaniać rozsypane jedzenie.

Któryś ze służących chciał je zebrać, ale gdy czworonóg spojrział na niego spode łba i zawarczał głucho, tamten zrezygnował od razu.

– Wyłącznie po to – skwapliwie przytaknął Xochitl, z pewną dumą patrząc z ukosa na caudilla rozmawiającego z władcą miasta. Przecież jego własny wódz i stryj, wódz Memexi, siedział teraz po prawej stronie białego półboga! To zaś znaczyło, że on sam znajdował się o wiele, wiele wyżej od kogokolwiek z tych, którzy wciąż pozostawali wierni Montezumie. – Biali wodzowie zabijają każdego, kto im się sprzeciwi.

– A co z wielkimi jeleniami, na których jadą przybysze? – pytał dalej tamten, nie mogąc oderwać wzroku od bestii.

– Wierzchowce białych wodzów pędzą niczym wiatr i skaczą ponad najwyższymi drzewami – odrzekł poważnie Xochitl, który faktycznie widział, jak pan de Morla skakał na swym rumaku ponad zwalonym pniem. Drzewo musiało być ogromne, kiedy jeszcze stało, więc nawet nie skłamał. – Potrafią w okamgnieniu schwytać każdego, za kim będą goniły. Nie ma od nich ucieczki! Ale jeszcze bardziej nie ucieknie nikt od broni białych wodzów miotającej kamienne grzmoty... – zawiesił znacząco głos.

– Grzmoty? – Jego rozmówca był coraz bardziej wstrząśnięty.

– Oczywiście! Caudillo, czyli biały król-bóg, ma ze sobą czarne rury, w których mieszka piorun. Kiedy chce widzieć kogoś martwym, wystarczy, że skieruje w tamtą stronę wylot i puknie w rurę dłonią. Bum! – krzyknął Xochitl, uderzając bransoletą o krawędź misy. – I człowiek pada martwy, jakkolwiek daleko by się znajdował.

– Zatem... biali wodzowie niechybnie muszą być bogami!

Totonak raz jeszcze spojrział ku siedzącym po przeciwnej stronie jasnoskórym ludziom.

– Zapewne tak właśnie jest – potwierdził.

Tymczasem do pomieszczenia weszło kilkanaścioro młodych ludzi, przystrojonych wieńcami z kwiatów i o twarzach przeciągniętych czerwoną farbą. Wódz Olintecle pokazał na nich ręką, powiedział coś do Cortésa.

– Olintecle mówi: niech jego gość wybierze, który z tych niewolników jako pierwszy dostąpi zaszczytu uwolnienia podczas jutrzejszej ceremonii – przetłumaczyła Malintzin.

Caudillo uśmiechnął się, popatrzył po tamtych.

W końcu pokazał palcem na chłopaka o długich, splecionych w podwójny warkocz włosach.



Splecione w podwójny warkocz włosy rozsypały się, kiedy chłopak rzucił głową, otwierając usta w bezgłośnym krzyku.

Stojący na szczycie piramidy kapłan szarpnął ręką, wprawnie robiąc nożem o kamiennym ostrzu. Nachylił się, wsunął w ziejącą ranę dłoń, chwycił i przekręcił, a potem wyciągnął i podniósł wysoko ponad głowę wciąż bijące, ociekające krwią serce ofiary.



– Niech nastąpi nowy dzień! – krzyknął przejmującym głosem ku zgromadzonym u stóp piramidy ludziom. – Niech słońce zawsze będzie syte od pokarmu bogów! Niech ich łaska spłynie na naszego Olinteclego, na naszego pana Huëi Tlahtoāni Montezumę oraz zdążających ku niemu gości z dalekich krain!

Mieszkańcy miasta krzyknęli dziko, głośno i wyciągnęli ręce ku właśnie wyłaniającemu się ponad szczytem świątyni złotemu dyskowi.

Tak, niech tak się stanie!

Niech tak będzie!

Oby słońce zawsze wstawało silne krwią tych, którzy odchodzą, aby ucztować z bogami!

Kapłan zawołał coś jeszcze i wrzucił serce do złotej misy podanej mu usłudźnie przez pomocnika. Słudzy świątynni ściągnęli wciąż drgającego trupa z kamienia ofiarnego, odciągnęli na bok. Tam czekali już z nożami akolici, którzy zaczęli wprawnymi ruchami ciąć i ściągać z ciała skórę niczym ubranie z lalki.

Stojący w pewnym oddaleniu od tego wszystkiego Zahred położył dłoń na ramieniu Cortésa.

– Nie mogłeś wiedzieć, Hernán – powiedział, zaskakująco, jak na niego, miętko.

Caudillo przełknął ślinę, pokręcił głową.

– Powinienem być się domyślić...

– Nie. Ja się domyśliłem i co z tego?

– Mogłeś zatem mnie uprzedzić, Zahred! – wyrzucił z siebie Cortés.

– Mogłem. I co wtedy, powiedz mi? Obraziłbyś gospodarza, odmawiając jego prośbie? Na to chyba nie możemy sobie pozwolić. Ci ludzie i tak byli przeznaczeni na śmierć, a ty wyłącznie wybrałeś kolejność.

– „Ucztowanie z bogami”! – prychnął Cortés. – Pogańskie zabobony!

– Dla nas tak. Dla nich niekoniecznie. Widziałeś jego uśmiech, kiedy na niego wskazałeś? Dla tych ludzi to zaszczyt, a chłopak ruszył na spotkanie z tamtymi na górze jako pierwszy z całego orszaku.

– Nie ma innych bogów poza Bogiem Abrahama i Izraela.

– Tak. Oczywiście, masz rację... – powiedział Zahred w zadumie, patrząc na świątynię, której stopnie powoli zabarwiały się szkarłatem. – Nie ma.

Stali tak, przyglądając się ceremonii. Obok kapłana pojawił się sam Olintecle, który zaczął przemawiać albo recytować jakieś modlitwy... Kapłani stopniowo malowali na jego ciele wzory krwią.

Jeden z akolitów zaczął schodzić bocznymi stopniami ku wielkiemu stojakowi, na którym bieleły i żółciły się ułożone w kształt piramidy czaszki różnego wieku i stanu zachowania. Te u podstawy były zupełnie zmurszałe i pokruszone; te na górze nie mogły mieć więcej jak rok, bo wciąż widać było na

nich strzępy skóry i pasma włosów. W rękach idącego widać było dwa pęki głów, trzymanych za włosy niczym dorodne cebule.

– To miasto, z którego mówiłeś, że pochodzisz... – odezwał się Cortés do Zahreda. – Rundis, tak?

Ten drgnął, spojrział na caudilla dziwnie. Jednak po chwili uspokoił się, pokiwał głową.

– Masz dobrą pamięć, Hernán.

– Tak mi się przedstawiłeś za pierwszym razem, Zahred de Rundis. Rzadko o nim mówisz... Gdzie jest położone?

– Rzadko jest po temu okazja. Czemu pytasz o to teraz? – odpowiedział pytaniem na pytanie Zahred.

– Tak myślę, że... Wiesz co, chodźmy stąd przede wszystkim. Nie mam ochoty na to patrzeć.

Odwrócili się i ruszyli uliczkami Zautli. Część ludzi, którzy też przyszli popatrzeć na ceremonię, poszła za nimi, z oburzeniem komentując półgłosem barbarzyństwo. Może i nie pierwszy raz stykali się ze śladami okrutnej religii, ale na pewno po raz pierwszy widzieli to na własne oczy...!

Z kolei inni, zapewne odczuwający podobną gamę emocji, zostali dokładnie z tego samego powodu – aby popatrzeć jeszcze.

– A więc? Skąd to nagłe pytanie o dalekie krainy? – jako pierwszy zapytał Zahred, kiedy odeszli już kawałek.

Cortés uśmiechnął się, patrząc na dzieci obserwujące ich z dachów domostw.

– Pomyślałem sobie, przyjacielu, że przepłynęliśmy pół świata. Znaleźliśmy ludzi, o których istnieniu mało kto wiedział... Tak, wiem, wiem! – zastrzegł. – Też czytałem te pisma, słuchałem przekazów. Ale my jako pierwsi zawędrowaliśmy w te krainy tak głęboko.

– I w związku z tym...?

– W związku z tym mam wrażenie, że to zupełnie odmienny świat. Całkiem inny od tego, co mogłem znać ja w moim rodzimym Medellín. Zapewne inny od tego, co widziałeś ty, chowając się w...

– Każdy świat będzie inny, Hernán. Dla tych ludzi normalne jest to, co jest nie do pomyślenia dla nas. I w drugą stronę zapewne też. Spójrz tylko, jak patrzą na naszą broń albo ubrania.

– Barbarzyńcy...! – burknął Cortés.

– Och, barbarzyńcami jesteśmy raczej ja i ty. – Zahred pogładził siwiejącą brodę. – Ludzie niżej rozwinięci technologicznie, tak. Natomiast ich język...

– Język? Przecież nie znasz go chyba.

– Nie znałem – uśmiechnął się Zahred. – Przynajmniej kiedy tutaj przybyłem, natomiast nadrabiam intensywnie.

– Zatem myślisz, że doña Marina będzie miała w tobie pomoc?

– Nie. Właśnie dlatego musisz mieć Malintzin przy sobie i powtarzać, że tylko ona potrafi tłumaczyć słowa w obydwie strony, Hernán. Dzięki temu...



– Nie lubię, gdy ją tak nazywasz – zachnął się Cortés. – Pamiętaj, że przyjechała chrzest!

– Dobrze zatem: musisz podkreślać, że tylko doña Marina zna język Indian.

– Bo...?

– Bo wtedy wszyscy siedzący dalej od niej będą mówić swobodnie. Tak jak na wczorajszej uczcie. – Zahred przeciągnął się i uśmiechnął z zadowoleniem. – Ludzie mówią przeróżne rzeczy, gdy są przekonani, że nikt ich nie rozumie.

Cortés pokiwał głową z uznaniem. W takich chwilach przypominał sobie aż nadto dobitnie, jak i dlaczego zgodził się, żeby ten dziwny człowiek znikąd został najpierw jego współnikiem, a z biegiem czasu również towarzyszem broni i przyjacielem.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytał.

– W kierunku Tenochtitlán prowadzą stąd dwie drogi. Jedna wiedzie przez Cholulę, druga przez Tlaxcalę. Ta pierwsza jest dłuższa, druga z kolei podobno niebezpieczna.

– Zatem Cholula, jak rozumiesz?

– Nie do końca. – Zahred pokręcił głową. – Słyszałem, jak Memexi mówił swoim ludziom, że Tlaxcaltekwie to odważni i dobrzy wojownicy, a on sam wolałby z nimi nie zadzierać. Potem i tak dojdziemy do Choluli, jednak wtedy...

– Wtedy będziemy mieli Tlaxcalę za plecami.

– Dokładnie tak. Jeśli przyjmą nas tam dobrze, to możemy pójść wprost do nich. Jeśli źle, no cóż... – Zahred wzruszył ramionami. – W takim wypadku lepiej jest mieć ich przed sobą, bo wtedy wygodniej jest strzelać.

– Zjawimy się bez zapowiedzi? Ryzykowne...

– Wyślijmy zatem przodem cempoalańczyków. Powiadomią tamtych o naszym przybyciu, a przy okazji wybadają nastroje.

Caudillo przytaknął: decyzję zatem podjęto.



Montezuma akurat wieczerał, kiedy przybył do niego kolejny posłaniec.

– Panie, o Najwyższy...! – Padł na twarz.

– Niech mówi.

– Słońce wieczorne, poszepcie w koronach drzew! Władca Zautli, wódz Olintecle, kazał przekazać do uszu najwyższego króla Montezumy te oto słowa: przybysze ze wschodu opuścili jego miasto i podążają dalej ku Tenochtitlán.

Władca wrzucił do miski kawałek niedojedzonego placka umoczonego w miód i odsunął od siebie naczynie. Posłaniec skulił się, nie śmiejąc oderwać czoła od posadzki.

– Którą trasę idą przybysze?

– O Najwyższy! Olintecle każe powiedzieć tak: potężni, ale nierozsądni podróżnicy wybrali krótszą trasę i idą przez Tlaxcalę!

Montezuma wciągnął ze świstem powietrze. Spojrzał na siedzącego na macie w rogu komnaty Itzlego, władcę Domu Szeptów. Ten bez słowa wstał, skłonił się i wyszedł.

– Niech odejdzie – powiedział władca do posłańca.

Kiedy obaj opuścili komnatę, Montezuma długo patrzył w dal... A potem na jego twarz wpełznął tryumfujący uśmiech.



Kastylijczycy opuścili gościnne, jakkolwiek niepokojące progi Olinteclego i ponownie udali się w podróż.

Niespełna dwa dni drogi dalej zatrzymali się w kolejnym z leżących na górskim szlaku miast, Iztaquimaxitlan, w którym planowali czekać na powrót wodzów Totonaków wysłanych przodem do Tlaxcali.

Jednak czas mijał, a sojusznicy nie wracali.

Upłynął dzień, drugi, w końcu trzeci... Jakkolwiek miejscowy wódz – który, jak się okazało, był obecny też na uczcie w Zautli – podejmował Cortésa iście po królewsku, nie szczędząc niczego, ten w końcu podjął jedyną możliwą decyzję.

– Ruszamy dalej! – poniósł się okrzyk.

Ustawili się w szyku marszowym, przy czym szli już gotowi do boju: na przedzie posuwała się szpica cięższej piechoty, zbrojna w arkebuzach i jedno działo, ciągnięte na roboczej, niewygodnej lawecie.

Pofałdowana równina wypiętrzała się pagórkami, tu i ówdzie porośniętymi zielonym, gęstym lasem. Wokół wznosiły się szczyty gór, oddzielone od siebie głębokimi dolinkami, w których wił się wąski, kamienisty szlak.

Pochód prowadziła nieliczna konnica, którą dowodził sam Cortés.

– Myślisz, że ich zabili? – rzucił z wysokości końskiego grzbietu do idącego obok Zahreda.

– Uwięzili raczej – mruknął ten, rozglądając się po okolicy. – Niepotrzebnie tak długo zwlekaliśmy z wymarszem.

Caudillo przewrócił oczami, potrząsnął głową.

– Wróżbita mówił, że gwiazdy nam nie sprzyjały.

– Tak, słyszałem – warknął Zahred. – Ponoć wczoraj zasugerował, że zasłona przyszłości uniosła się nieco? Jakby ktoś dymem zasnuł czarne kamienne lustro czy coś w ten deseń...

Cortés skinął krótko głową, najwyraźniej nie wyłapawszy ironii w głosie towarzysza.

– Dokładnie tak. Poza tym słusznie mówi: z nieuniknionym bezpieczeństwem mierzyć się w otwartym polu. Więc uważasz, że tych naszych do niewoli wzięli? Dziwne zachowanie zatem.

– Im zarzucasz nieracjonalność, a sam radzisz się jasnowidza, Hernán. Nie dostrzegasz w tym pewnej sprzeczności?

– Jakbym ojca de Olmeda słyszał. Pozwolisz, że rozważania duchowe zostawimy na później? Teraz musimy poradzić sobie z zagrożeniem doczesnym.

– Zgoda.

– A więc? Po co uwięzili Totonaków, skoro wiedzą, że ktoś się o nich upomni?

Zahred dłuższą chwilę nie odpowiadał. Można było uwierzyć, że węszy w powietrzu.

– Muszą mieć coś innego na myśli.

– „Coś innego”? Ty zakładasz, że w ogóle mogą myśleć! – parsknął Cortés, nie wiedząc czemu rozbawiony.

– To nie są prymitywne dzikusy, Hernán. Widziałeś ich miasta, kulturę...

– Kulturę! Nie no, przyjacielu, zadziwiasz mnie.

– Kulturę! – warknął Zahred. – Znają pismo, mają swoje opowieści. Potrafią budować z kamienia... Widziałeś ten mur, który mijaliśmy!

Faktycznie, już parę kilometrów za Iztaquimaxitlan natknęli się na przegradzające dolinę w poprzek kamienne umocnienia. Ściana była długa na dobre kilka kilometrów, sięgająca od zbocza do zbocza, wysoka na prawie dwóch mężczyzn i gruba na dobre dwadzieścia kroków. Jedyna zostawiona w niej brama była tak niska, że trzeba było zsiadać z koni.

Hiszpanie, rzecz jasna, śmiali się z tej „dziecinnej przegrody”, jak ją ochrzczili. Po co budować tak długą ścianę, skoro nie ma na nią wejścia? Jak skutecznie bronić jej z góry bez schodów? Jak chować się za śmiesznie niskimi jak dla karła zębami krenelaży? Gdzie wieże i barbakan?

Jednak Zahred widział zupełnie co innego.

I nie chodziło nawet o to, że furta skierowana była wzdłuż muru tak, że wchodziło się w nią z boku, a potem korytarz zakręcał, utrudniając przebicie się przez niego.

Umocnienia zbudowane były tak, że szli od ich zaplecza, a nie czoła – zatem nie tyle miały bronić samych Tlaxcalteków, a raczej umożliwić obronę przed nimi.

Poza tym dla niego był to przede wszystkim wysiłek organizacyjny! Konieczność ściągnięcia w to miejsce kamieniarzy i cieśli, dostarczenia na to niegościnne pustkowie żywności, wody, miejsc do spania, narzędzi... To dobitnie

świadczyło o tym, że gdzieś tam, daleko, ktoś był w stanie wyobrazić sobie tę okolicę z góry albo wręcz spojrzeć na mapę i tknąć palcem: tutaj. Tu zbudujemy mur.

Zaś ludzi zdolnych do myślenia w tych kategoriach na pewno nie należało lekce sobie ważyć.

– Mur! – zaśmiał się Cortés. – Jeśli ich armie są takie jak mury...

Zahred zacisnął zęby.

Niemalże czuł zapach niepokoju emanujący od caudilla. Jeszcze nie strachu, ale już z pewnością pewnej niezdrowej ekscytacji.

I teraz dowódca całej wyprawy zachowywał się tak, żeby pozorną butą pokryć własną niepewność.

Niepewność, która mogła w każdej chwili zaowocować katastrofalnymi wręcz skutkami.

Odetchnął głęboko, postarał się nadać głosowi spokojną, kojącą barwę.

– Hernán. Nie wiemy, kim są ci Tlaxcaltekwie ani czego mogą chcieć. Należy jednak...

– Ludzie! – wrzasnął na całe gardło de Sandoval, podnosząc się w strzemiączkach i dobywając szpady. – Wojownicy...! Do broni!

Wierzchowiec Cortésa kwiknął, kiedy caudillo szarpnął wodze. Zahred wyskoczył naprzód, wysforował się obok któregoś z jeźdźców.

Faktycznie, na ścieżce przed nimi pojawili się wymalowani w barwy wojenne, przystrojeni piórami półnady Indianie. Jeden z nich wrzasnął głośno, jako pierwszy odwrócił się i rzucił biegiem pod górę. Pozostali też pierzchli w rozsypance, któryś rzucił na ziemię tarczę.

– Za nimi! – krzyknął Cortés, odruchowo łapiąc za rękojeść szpady.

– Za nimi! Uciekają, brać ich! – podłapał okrzyk de Sandoval.

– Nie! – wrzasnął Zahred. – Nie, stać! Nie gońcie ich, to może być...!

Ale było już za późno.

Kilku jadących na przedzie konnych uderzyło wierzchowce piętami i puściło się za uciekinierami w pogoń.

Reszta też pognałaby za nimi, ale koń jednego z kawalerzystów zamarudził, wykręcił się bokiem... Zahred wykorzystał tę okazję, dopadł do zwierzęcia i chwycił za ogłowie.

– Puszczaj! – krzyknął na niego z góry nikt inny, jak sam Alvarado.

– Stać! To pułapka... Staaać! – zawołał za konnymi Zahred. Jednak tamci nie słyszeli, a zad ostatniego z czterech rumaków już zniknął pomiędzy drzewami za zakrętem szlaku. – De Monroy! Uformować ludzi w szyk zwarty, podsuwać się powoli, pilnować boków...!

– Tak jest! – odkrzyknął samozwańczy szlachcic zza kotłujących się, niepewnie drobiących kopytami koni.

– Puść, mówię! – powtórzył Alvarado. – Puść, bo jak mi Bóg miły...

Sięgnął po miecz, ale Zahred jednym ruchem złapał go za wycięcie półpancerza, po prostu ściągnął z konia i rzucił na ziemię. Tamten rymnął o kamienie, aż dech mu wybiło z piersi.

– De Monroy, dowodzisz! – krzyknął Zahred, wskakując na konia. – De Ávila, de León, de Lugo, za mną...! Reszta zostać tutaj!

Nie czekając na nic więcej, spiął rumaka i popędził górską ścieżką tam, gdzie chwilę wcześniej zniknęli konni.

Wiatr szumiał i świszczał mu w uszach, podkute kopyta wierzchowca łomotały i ślizgały się po kamieniach, widać i czuć było, że sam koń czuje się równie niepewnie co jeździec...

...a potem wypadł ku rozszerzającej się, zarośniętej rzadkim zagajnikiem dolince, w której wrzał bój.

Czterech jeźdźców wciąż jeszcze walczyło, ale widać było, że trzymają się ostatkiem sił.

Jeden z koni rzucał się i miotał po ziemi, próbując wstać na złamanej przedniej pęcinnie i ciągnąc za sobą wylewające się z brzucha trzewia. Dwóch Indian naraz okładało go płaskimi mieczami o ostrzach z obsydianu, próbując dobić, a on kwiczał, rżał i wciąż próbował wstać, desperacko trzymając się życia.

Drugi z rumaków stanął dęba, zamłócił kopytami – i opadł w przód, piersią wprost na nadstawioną włócznię. Siedzący na jego grzbiecie de Sandoval wrzasnął z przerażenia, a potem poleciał na bok, pomiędzy Indian.

Zahred wyleciał z wąskiego wąwozu, ogarniając to wszystko jednym spojrzeniem. Nie zwlekał ani chwili, tylko spiął konia, kierując się prosto na tamtych.

– *El sol está con nosotros!* – ryknął dziko, wyszarpnął zza pasa siekiere i skoczył z końskiego grzbietu pomiędzy napastników.

Pierwszy Indianin nie dowiedział się nawet, co go trafiło, kiedy żeleźce wbiło mu się w potylicę, zanurzając się do połowy.

Drugi odwrócił się, zamachnął toporkiem o ostrzu z brązu – sapnął i kaszlnął krwią, kiedy ostrze pałasza wśliznęło mu się pomiędzy żebra, wychodząc z pleców.

Zahred kopnął go, zrzucając z klingi, odwrócił do kolejnego; uchylił się, włócznia z obsydianowym grotem dosłownie musnęła jego policzek, ale rozcięta aż do kości skóra i tak zapiekła. Zaczepił drzewce ostrzem siekiarki, zaklinał o trzonek, przekręcił i szarpnął – a potem pchnął człowieka w odsłonięte ramię.

– Zahred! – krzyknął Cortés, siekający na lewo i prawo z grzbietu swego rumaka. Trzech Indian naraz uwiesiło się na uprzęży, usiłując ściągnąć zwierzę ku ziemi; kolejny wczepił się w nogę caudilla. – Zahreed, tu...!

Wyjący niczym potępieniec de Sandoval podniósł się znad trupa swojego konia. Chwycił najbliższego Indianina za włosy, wbił mu sztylet pod brodę i docisnął tak, że sztych klingi aż zgrzytnął o kość sklepienia czaszki. Odepchnął go na bok, zachwiał się i zaśmiał, gdy krzemienisty topór tylko brzęknął niegroźnie i ześliznął się po płycie napierśnika.

Zahred zamachnął się, jednocześnie czując, jak coś rozcina mu koszulę wraz ze skórą i mięśniami na ramieniu. Skoczył naprzód, uderzył podstępnie, od dołu, ale przeciwnik sparował cios siekiery... Jednak nie zauważył klingi, która

srebrzystym promieniem przesunęła się ponad jego tarczą i schowała na trzy cale w oczodole.

Następny już biegł na niego, ale wtedy powietrze rozdarł huk, który odbił się echem od zbocza góry. Indianin fiknął kozła w powietrzu, upadł, zerwał się – zdumiony spojrzął na wyrwaną krwawą dziurę tam, gdzie powinien mieć prawe płuco. Osunął się na kolana, przewrócił na twarz.

Arkebuzy zagrały od wejścia do doliny, kładąc trupem jeszcze dwóch kolejnych.

Chwilę później w powietrzu zasyczały bełty kusz, spadając deszczem na podbiegających od strony zagajnika napastników.

– Ładuj...! – rozległ się spokojny głos pana ogniomistrza de Usagrego.

Jednak to już było niepotrzebne.

– Uciekają! – tryumfalnie wrzasnął de Olid. – Uciekają... Zwycięstwo jest nasze! *Santiago y cierra, España!*

– *Santiago y cierra, España...!* – podłapało kilka głosów, a potem okrzyk zamarł im na ustach.

Dyszący ciężko Zahred odwrócił się tyłem do ledwie rozstawiającej się linii Hiszpanów, popatrzył na zbierających się z pobojuwiska konnych – oraz na to, co było widać za nimi, na dnie doliny.

Wciągnął powietrze, pokiwał głową z niedowierzaniem, a zarazem niechętnym uznaniem.

Rozszerzającym się wąwozem ciągnęła ku nim wielokolorowa, kotłująca się fala. Omywała stoki gór, wylewała się spomiędzy drzew. Pomniejsze strumienie łączyły się w coraz większe rzeki, zbierały w mrużący groźnie wodospad.

Ponad morzem głów w pióropuszech i wymalowanych w barwy wojenne, wykrzywionych groźnymi grymasami twarzy kołysały się złote, ozdobione piórami i skórami dzikich zwierząt sztandary.

Okrzyki, pohukiwania i wycia odbijały się echem od kamiennych ścian. Łoskot kamiennych mieczy i toporów o skórzane tarcze dudnił niczym nadciągająca burza.

Tlaxcaltekwowie czekali w zasadzce, zaś oni wyszli wprost na nich.



## Rozdział 2

### *Tlaxcala, parę dni wcześniej*

**N**ie może tak być! Obcy ze wschodu hańbią wojowników Tlaxcali swoimi słowami, a plamę wstydu zmywa się tylko krwią! – Xicotencatl uderzył dłonią o dłoń.

Zgromadzeni na naradzie wodzowie zerwali się, zaczęli wołać jeden przez drugiego, przekrzykiwać się i klócić.

Już, już miała wybuchnąć bójka, ale wtedy po raz kolejny poważny i szanowany Maxixcatzin huknął w złotą tacę raz, drugi i trzeci, uciszając ich wszystkich.

– Spokój! – krzyknął. – Niech bracia się uspokoją! Xicotencatl ma prawo powiedzieć, co myśli! Niech jego słowa płyną dalej niczym świeża woda po skałach.

Młody wódz uśmiechnął się tryumfująco, skinął przyjacielowi ojca w podzięcie. Reszta stopniowo ucichła, wróciła na swoje miejsca na kolorowych matach.

– Xicotencatl powiedział już najważniejsze: przyjęcie tej propozycji byłoby hańbiące – powtórzył dobitnie. – Szczególnie że przybysze nie przekazują jej nawet sami, a tylko przez usta swoich totonackich sługusów. Nie

mają odwagi, aby spojrzeć Tlaxcaltekom w twarz! Nie zasługują na ich pomoc, a tylko na gniew!

Spojrzał na Maxixcatzina. Ten przez chwilę milczał, ważąc usłyszane słowa, a potem odezwał się:

– Xicotencatl zapewne wie, że wystąpienie przeciwko nim oznaczać może wojnę. Nawet jeśli takie może być życzenie Montezumy, to przecież najwyższego króla nie ma tutaj. Gdzie jego armia? Gdzie wojownicy Jaguara i Orła? Gdzie błyszczący świeżą krwią Sztandar Tysiąca Serc? Czy Xicotencatl nie widzi, że najwyższy król próbuje rękoma Tlaxcalteków zrobić coś, do czego sam niezbyt się kwapi?

– Przez słowa Maxixcatzina przemawia szlachetny naszyjnik z wielu przeżytych lat. – Xicotencatl uśmiechnął się kwaśno. – Jednak starzy ludzie mają to do siebie, że tracą odwagę i zaczynają bać się własnego cienia. Trzęsą się bez powodu i budzą z krzykiem w nocy, mocząc na posłanie! Czy Maxixcatzin osiągnął już ten wiek, że na samą myśl o wojnie drżą mu kolana?

Wywołany zacisnął usta w złości, jego oczy zwęziły się w dwie szparki.

– Niech syn Xicotencatla zważa, co mówi! – syknął. – Jego czcigodny ojciec nie pozwoliłby mu nigdy na takie słowa względem kogoś starszego i bogatszego doświadczeniem... Jego ojciec, któremu młody Xicotencatl niegodny jest podawać tarczę do boju!

Siedzący w pierwszym rzędzie zgarbiony, pomarszczony Tlaxcaltek drgnął, jakby budząc się ze snu. Rozejrzał się niewidzącymi, zaciągniętymi bielmem oczami i wstał, najwyraźniej zamierzając przemówić.

Wszyscy uciszyli się od razu.

Xicotencatl, syn noszącego to samo imię Xicotencatla i ojciec kolejnego Xicotencatla, otoczony był w Tlaxcali powszechnym mirem i sływał w swoim czasie z wielkiej odwagi i siły.

– Niech pierworodny syn Xicotencatla... – odezwał się drżącym, ledwie słyszalnym głosem – robi, co uważa za stosowne. On jest nasieniem Xicotencatla, on jest jego krwią. Słowa ojca płyną teraz z jego ust.

Powiedziawszy to, siadł ponownie, wyraźnie zadowolony z siebie i chyba tylko połowicznie świadom tego, o czym w ogóle toczyła się dyskusja.

Xicotencatl młodszy potoczył tryumfalnym wzrokiem po zebranych, zawiesił spojrzenie na przewodniczącym obradom Maxixcatzinie.

– Nawet najbliższy druh, przyjaciel i mentor Maxixcatzina mówi mi, że ten powinien słuchać słów Xicotencatla! – Wziął się pod boki. – Zatem niech jego uszy usłyszą to raz jeszcze: wywleczmy na główny plac tchórzliwych Totonaków, którzy przynieśli słowa przybyszów ze wschodu, i wytnijmy im serca! Silni potęgą krwi Tlaxcaltekowie uderzą na obcych i uradują bogów nowymi ofiarami!

– A jeśli to właśnie przybysze są bogami? – Maxixcatzin rozłożył ręce. – Co wtedy, niech raczy powiedzieć Xicotencatl? Jak przebłaga bogów, gdy ci zapytają: czemu uderzyłeś nas, gdy przybyliśmy w gościnę?



Teraz to młody wódz zagryzł usta, nie wiedząc, ani co, ani jak odpowiedzieć.

Przysłuchujący się tej wymianie zdań już jakiś czas wódz Temilotecatł poprawił się na macie i odchrząknął, swoim zwyczajem dając znak, że chce mówić.

Xicotencatl skinął mu głową i sam wrócił na miejsce, pokazując, że bardziej szanuje może i niełatwego, wojowniczego sąsiada niż dawnego towarzysza broni własnego ojca.

– Nierozsądnie jest wpuszczać obcego do własnego domu, nie wiedząc nawet, kim ten jest – zaczął Temilotecatł, wstając i zaczynając iść po okręgu pomiędzy zgromadzonymi wojownikami Tlaxcali. – Równie nierozsądnie jest więzić jego posłańców, gdy ci przychodzą, mówiąc: bądźcie nam przyjaciółmi... Zaraz, zaraz! Niech zacni wojownicy dadzą dokończyć! – Podniósł rękę, gdy ludzie znów zaczęli wołać jeden przez drugiego.

– Niech teraz Temilotecatł mówi! – huknął Maxixcatzin, uderzając w złotą tacę.

Ucichli, uspokoili się. Temilotecatł podjął swoją przemowę:

– A zatem: niemądrze jest od razu ufać obcemu, równie niemądrze jest więzić jego ludzi. Tak samo głupie byłoby atakowanie go, jeśli nie wie się, ani kim jest, ani czego pragnie...

– Co zatem radzi nam Temilotecatł?! Bo jego słowa są jak narzekanie starych bab: wszystko nie tak! – zakrzyknął Xicotencatl. – Cokolwiek zrobimy, on mówi: źle!

Wódz spojrział na młodego wojownika, pokiwał głową i skłonił się.

– Oto niech spojrzą bracia: młody Xicotencatl mówi słowami mądrości. Tak samo i Temilotecatł do jego słów się przychyła.

Zebrani popatrzyli po sobie, rozkładając ręce: ale jak to...?

– Więc co? Tlaxcaltekwowie mają nie robić nic?! – prychnął Xicotencatl.

– Otóż to. Niech nie robią nic. Oni niech nic nie robią. Skoro wielki Montezuma, oby Tlaxcala nie musiała gościć go w tych progach, chce w swojej mądrości, aby jego pracę wykonały cudze dłonie... To kimże są ludzie Tlaxcali, aby nie podążyć za tak światłym przykładem?

– Co ma na myśli Temilotecatł? – Maxixcatzin przekrzywił głowę.

– Niech stanie się, jak chce brat Temilotecatla, Maxixcatzin: podejmijmy ich jak przyjaciół. Niech też stanie się, jak pragnie Xicotencatl: niech poleje się ich krew!

– Jak...?

– Xicotencatl powinien zebrać armię, ale złożoną wyłącznie ze znanych ze swojej waleczności Otomi. Niech Otomi otrzymają zaszczyt pierwszego ataku...

– Oddać całą chwałę dzikusom...! – Xicotencatl wzniósł ręce ku niebu.

– Niech atakują pierwsi, a Xicotencatl niech zamilknie i posłucha! Otomi niech zaznają chwały walki, zaś armie Tlaxcali bezpiecznego schronienia w pewnym oddaleniu. Jeśli przybysze zaczną ustępować i słabnąć, Tlaxcala

zaatakuje wraz z jej sprzymierzeńcami! Chwała będzie wspólna, a po wygranej bitwie urządzimy wielką ucztę, na której wojownicy ofiarują serca przybyszów bogom, zaś ich ciała podzielą pomiędzy siebie.

– A jeśli tamci stawią opór i odrzucą Otomi... – podjął ze zrozumieniem o wiele bystrzejszy Maxixcatzin.

– To wtedy również Tlaxcala zaatakuje wspólnie z jej sojusznikami. – Temilotecatł wykrzywił się nieszczerym uśmiechem. – Nowymi sojusznikami. Pomoże przybyszom obronić się przed dzikusami Otomi. Zyska ich wdzięczność i pokaże, że jej wojownicy są godnymi zaufania braćmi oręża.

– Zaś pola uprawne Otomi podzielą wojownicy Tlaxcali pomiędzy siebie – gładko wtrącił Maxixcatzin.

Członkowie narady zamruczeli, pokiwali głowami: plan był, co tu dużo mówić, misterny i przebiegły.

Oczywiście, zdrada i wiarołomstwo nie przystoją honorowemu wojownikowi, ale – no cóż, przecież nikt nie zamierzał nikomu niczego obiecywać. Temilotecatł wziął się pod boki. W tej chwili był panem sytuacji.

– Przede wszystkim Tlaxcaltekwie muszą zobaczyć, czym są zwierzęta, których tamci dosiadają.

– Wysłannicy przybyszów mówili o nich, że są niezmiernie groźne! – Maxixcatzin potrząsnął głową.

– Tak, lecz któż nie powiększa własnych przewag, aby bali się go inni? Mogli celowo kłamać, aby wprowadzić wojowników Tlaxcali w błąd. Jeśli da się je zabić, to można zabić też ich jeźdźców.

– A co z samymi posłami? Przecież siedzą teraz związani pod strażą – przytomnie zauważył Xicotecatł.

Temilotecatł wzruszył ramionami.

– Przybysze usłyszą, że ich posłowie wpadli w ręce Otomi.

Maxixcatzin popatrzył po siedzących na matach wodzach, wyczytując z ich twarzy nastroje. Nikt nie zaoponował, nikt nie zgłosił sprzeciwu.

– Zatem decyzja zapadła! – Uderzył w złotą tacę. – Niech bój pokaże, kim są przybysze!

## *Dolina nieopodal Tlaxcali, parę dni później*

– Ognia...!

Okrzyk utonął w powtarzającym się, rwanym huku, kiedy siedem arkebuzów naraz plunęło ogniem.

Chmura dymu na chwilę przesłoniła przestrzeń pomiędzy dwiema armiami. Kule przeorały szeregi nadbiegających wojowników, kładąc trupem

pierwszych kilku i raniąc Bóg jeden raczy wiedzieć ilu za nimi. Chwilę potem zajęczały łączyska kusz, posyłając kilkanaście bełtów w masę wrogów.

I to było na tyle.

Zero czasu na przygotowanie się, ustawienie szyku, wydzielenie oddziałów, które pilnowałyby odsłoniętej prawej flanki, nic.

Ledwie zdążyli ściągnąć z pola rannych i schwytac spłoszonego konia, kiedy Indianie nadciągnęli falą, która teraz miała uderzyć o pospiesznie reformujący się pierwszy szereg.

– Razem! – krzyknął Zahred, widząc już tylko dziko błyskające białka oczu biegnących na nich przeciwników.

Są piękni, przemknęło mu przez głowę na ułamek sekundy przed tym, jak zderzyły się dwa szeregi.

Wymalowane w jaskrawe kolory twarze niemalże zlewały się w jedno ze sterczącymi na wszystkie strony pękami kolorowych piór, ginęły w feerii barw ozdób i powiewających długimi pasmami skór dzikich zwierząt.

Tatuaże zacierają kontury ramion i barków.

Wbite w nosy, wargi czy uszy kolce i wisioły przydawały tym ludziom dziwnego, nieziemskiego wyglądu.

Szli do walki półnago, wielu nawet bez tarcz, nie mówiąc o pancerzach.

Zahred uśmiechnął się sam do siebie – a potem fala wrogów uderzyła w nich z wściekłością sztormu.

Załomotały miecze uderzające o tarcze, obsydianowe ostrza zgrzytnęły po żelaznych kirysach.

Bryznęła krew, ktoś padł na ziemię, wrzeszcząc dziko i trzymając się za rozplataną twarz.

Nasz, ich...? Nawet tego nie zauważył.

Przeciwnik ciął go zębatym mieczem, a on zasłonił się trzymanym w prawej ręce pałaszem. Ostrze zjechało po klindze i zatrzymało się na koszu z plecionego, skuwanego drutu; obsydian strzelił odłamkami.

Zahred uderzył trzymaną w drugiej ręce siekierą, natomiast Indianin zdołał zasłonić się tarczą, krzyknął dziko i rzucił się na niego, chcąc maksymalnie skrócić dystans.

Było ich wielu, bardzo wielu.

Stojący z tyłu ciskali włócznie, miotali dziiryty zaczepione do prymitywnych, trzymanych w ręku kijów z sękami.

Kilkunastu łuczników wybierało cele, puszczając strzałę za strzałą.

– Głowy nisko! – krzyknął Zahred, chowając twarz za rondem hełmu.

W samą porę, bo pierzasta strzała, którą dostrzegł w ostatniej chwili, brzęknęła o stalowy grzebień i poleciała gdzieś w bok.

Wróg wpadł na niego, ale Zahred po prostu okręcił się i przepchnął tamtego w tył, prosto pod miecze stojących za nim towarzyszy. Widział, że napastnicy dopadają do nich – po dwóch, po trzech na jednego. Rąbią, tną i kłują, próbując przebić się przez twarde skorupy pancerzy...

Enriquez zachwiał się, kiedy ciężka maczuga uderzyła go w napierśnik, niemalże zwała z nóg. Wróg wrzasnął tryumfująco, zapewne już myśląc, że wygrał.

Sam Kastylijczyk spojrział na pokaźne wgniecenie w pancerzu i też krzyknął, pół na pół z wściekłości i strachu. Machnął byle jak śmiesznie małą, lekką szpadą, próbując sięgnąć tamtego sztychem.

Indianin jednak zasłonił się przyczepionym do rękawa panelem ze skóry i piór, więżąc ostrze pomiędzy warstwami, i jeszcze raz uderzył maczugą, tym razem chwytając ją oburącz.

Enriquez ryknął dziko, wypuścił broń i rzucił się na tamtego, złapał w pól.

Upadli obaj na ziemię, tarzając się i miotając. Indianin wił się i rzucał jak opętany, próbował sięgnąć dłońmi ku oczom przeciwnika, potem w jego rękę błysnął kamienny sztylet.

– Niedoczekanie...! – wrzasnął Enriquez, odchylił się w tył i z całej siły walnął przeciwnika czołem.

Chrupnęło, kiedy żelazny rant hełmu uderzył Indianina w nasadę nosa. Tamten zalał się krwią, chciał sięgnąć konkwistadora sztyletem – ale on już zerwał się, kopnął leżącego najpierw w brzuch, potem w twarz, poprawił od góry solidnym obcasem wysokiego buta.

Złapał za odrzuconą szpadę, uchylił się przed lecącą nie wiadomo skąd włócznią, wyprostował i z szerokiego zamachu przyszpilił powalonego wroga do ziemi.

Z tyłu, zza nazbyt luźnego, już, już mającego pęknąć szeregu Kastylijczyków rozległo się dzikie wycie, a potem pomiędzy walczących wbiegli Totonakowie, którzy nareszcie podciągnęli głównymi siłami, aby wesprzeć czoło pochodu w walce.

Sprzymierzeni Indianie ze świeżymi siłami runęli w bój, korzystając z szansy, aby zmierzyć się w walce z dalekimi sąsiadami zamieszkującymi doliny pośród gór.

– *Santiago y cierra, España!* – wrzasnął de Olid, rzucając się pomiędzy walczących.

Za nim skoczyło paru konnych. Szerokie piersi rumaków bez trudu roztrącały lekkobrojnych Indian. Kawalerzyści parli przez tłum, zaś w powstający za każdym z nich farwater od razu wlewali się Totonakowie.

Enriquez, który właśnie pchnął sztychem walczącego zupełnie z kimś innym dzikusa, na chwilę zamarł w niepewności... Jednak Indianin, którego uratował, krzyknął radośnie, uśmiechnął się do niego szeroko i pobiegł dalej, rzucając się na wrogów. Ufff, czyli jednak nie dźgnął przypadkiem kogoś ze sprzymierzeńców...

– Padnij! – rozległ się zza niego głos Rodriga.

Enriquez tylko zerknął przez ramię, zobaczył czarny wylot gardzieli rusznicy i rymsnął na ziemię.

Lont spadł na panewkę – fuknięcie spalającego się prochu, kłęb dymu. Basowe dudnienie odbiło się echem od ścian doliny.

Arkebuzerzy wreszcie skończyli przeładowywać broń, więc kolejny przecisnął się na przód, stanął obok już cofającego się Rodriga, wbił forkiet w ziemię i złożył się do strzału. Chwila celowania – huk strzału. Zaraz zawtórował mu trzeci, kolejne zagrzmiały razem, unisono.

I nagle atak załamał się.

Indianie, dopiero co rzucający się z dziką odwagą na miecze, sięgający dłońmi ku twarzom przeciwników, gotowi walczyć do końca – w jednej chwili pierzchli, zaczęły uciekać, rzucając broń i tarcze na ziemię.

Totonakowie zakrzyknęli wielkim głosem i rzucili się w pościg.

– Staaac! – zawołał caudillo, widząc, że ludzie lada chwila gotowi są poddać się uniesieniu chwili i też popędzić za umykającymi.

Dyszący ciężko Zahred wsparł się na mieczu, potoczył wzrokiem wokoło i otarł pot z czoła wierzchem dłoni, zostawiając na skórze rozmazany czerwony ślad.

Sam krwawił z kilku mniejszych i większych ran. Gramolący się z ziemi, ledwie stojący na nogach ludzie też pokryci byli czerwonymi pręgami cięć; któryś leżał, trzymając się za rozbitą głowę...

...natomiast wyglądało na to, że – o dziwo! – nikt nie zginął.

– Formuj szyk! – huknęła na nich. – Włócznie na przód, ładować arkebuzy!

– Gońmy ich! – krzyknęła de Olid.

– Nie! Nie... – powtórzył nieco spokojniej Zahred. – Dość tego. Nie ma co ryzykować, tam może być zasadzka.

– Kolejna, zaszrana jej mać... A my jak te jebane dzieci we mgle, ganiamy za nimi jak durnie – warknął Portocarrero, trzymający się za zranione ramię.

Cortés usłyszał, spiorunował go wzrokiem.

Wiedzą powszechną było, że pochodzą z tego samego miasteczka, więc ten pierwszy cieszył się szczególnymi względami... Ba, przecież caudillo z własnych pieniędzy kupił mu na Kubie konia! Natomiast teraz było oczywiste, że to właśnie pochopny okrzyk samego admirała był przyczyną tego, co omal nie zamieniło się w pełną klęskę.

Na pobojowisku zostały trupy napastników – kilkanaście? kilkadziesiąt? – zaś pomiędzy i pod nimi leżały dwa martwe konie.

Zahred bez słowa spojrział na Cortésa. Widać było, że tamten doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak poważna i dotkliwa była to strata.

Dwa zabite konie!

I to podczas jednej nawet nie bitwy, a w zasadzie potyczki. Oba stracone głupio, niepotrzebnie, na samym początku.

Zahred splunął na ziemię krwią, pokiwał głową i uśmiechnął się z niechętnym uznaniem.

Indianie naprawdę zaczęli pokazywać się jako godni przeciwnicy.



– Głupi, głupi Otomi! Czy Otomi nie pojmują nawet, co znaczy atakować?! Nędzne, tępe, drewniane łby! Nic nie warci Otomi...! – Xicotencatl zrobił przerwę tylko po to, aby zaczerpnąć powietrza. Stojący naprzeciwko niego Yxtli, dowodzący armią Otomi podczas boju w dolinie, nawet nie drgnął, nie poruszył powieką. – Czy naprawdę Otomi trzeba popędzać kijem po plecach?! Jak dzieciom tłumaczyć, co robić? Stać nad głową...?

– Xicotencatl miał stać za nami. Xicotencatl odsunął się. Otomi też odstąpili – powiedział Yxtli głosem tak obojętnym, jakby komentował ubiegłoroczne zbiory kukurydzy.

– A-ta-ko-wać! – Xicotencatl kilkakrotnie uderzył się otwartą dłonią w czoło.

Nastroje po bitwie były dalekie od radosnych. Owszem, udało się doprowadzić do starcia, natomiast nie dało ono żadnego z dwóch założonych docelowych rezultatów.

– Przynajmniej teraz wojownicy wiedzą, że zwierzęta białych przybyszów krwawią i umierają – z zadowoleniem skonstatował Temilotecatl. – Oni sami też.

– Krwawią, może i tak! Czy jednak którykolwiek z nich padł martwy? Ich zbroje są niczym kamień! – zawołał któryś z wojowników.

– Czy ktoś widział ich trupy? – odezwał się sędziwy, ale nadal biorący udział w bojach Mecatli.

Xicotencatl zawarczał ze złością i odwrócił się plecami do wodza Otomi, który nadal stał niewzruszenie niczym głaz.

Rzeczywiście: nakazał swoim ludziom cofnąć się kawałek, kiedy ich pierwszy szereg nadmiernie zbliżył się do miejsca, z którego mogliby już zobaczyć ich przybysze. Wtedy durni, niezdolni do jakiegokolwiek głębszej myśli Otomi uznali, że ich sojusznicy wycofują się, i sami też podali tyły. A przecież było tak blisko!

– To nic. – Temilotecatl był nieprzejednany w swym optymizmie. – Bracia Tlaxcalteków, ich krewniacy! Waleczni, wierni i dzielni Otomi pokazali w walce, że nie mają sobie równych. Miecze Otomi przyniosły chlubę wojownikom, ich tarcze nie zawiodły. Niech słońce opromienia lud Otomi!

Dał znak reszcie, żeby podtrzymali okrzyk. Tamci niechętnie, ale w miarę składnie zawołali:

– Niech słońce opromienia lud Otomi!

Yxtli podniósł głowę, wysunął podbródek i dumnie wystawił do przodu dolną wargę, w której tkwił duży półksiężyc z barwnie żyłkowanego kamienia.

– Co dalej zatem? – zapytał z przekazem Xicotencatl.

– Niech Otomi szykują się ponownie do walki... Chyba że są nazbyt zmęczeni? Albo ich rany zbyt poważne? Może wystraszyły ich grzmoty przybyszów i wołają, aby kto inny poprowadził atak? Temilotecatł i jego wojownicy...

– Otomi będą gotowi – przerwał wodzowi Yxtli, zdawkowo skinął głową Maxixcatzinowi i ruszył ku swoim ludziom.

Poczekali, aż tamten odejdzie, po czym Temilotecatł pokazał dwóm pozostałym wodzom, aby ci podeszli do niego bliżej.

– Tlaxcaltekwie muszą wypuścić wysłanników od białych ludzi – powiedział półgłosem.

– Co...?

– Wypuścić ich, mówi Temilotecatł. Najpierw podarują ich Yxtlemu, żeby ten złożył ich w ofierze... Jednak niech okaże się, że w trakcie ceremonii dwaj dadzą radę uciec. Straże nie złapią Totonaków, zaś oni zdołają dotrzeć do białych przybyszów.

– I zaniósł im wieść, że to Otomi zaatakowali ich w górach – uzupełnił ze zrozumieniem Maxixcatzin.

– Tak. W ten sposób Tlaxcaltekwie zrobią jeszcze raz to, co nie udało się wcześniej. Zaś z kolei Xicotencatl powinien wysłać do obcych swojego wysłannika.

Młody wódz potrząsnął głową, rozłożył ręce. Popatrzył pytająco na Maxixcatzina.

W takich chwilach żałował, że jego na poły ślepy, niedosłyszący ojciec żegnał się już z rozumem... On miałby jeszcze szansę pojąć, co też działo się w głowach jego niegdysiejszych braci oręża.

– Niech Temilotecatł powie, co zamysłił – rzekł Maxixcatzin.

– Wysłannicy Xicotencatla powinni przywitać przybyszów, przekazać im pozdrowienia. Wyrazić żal, że tamci muszą iść przez ziemie złych, głupich, nierozumnych Otomi... I zaproponować przybyszom, że skoro spadło na nich takie nieszczęście, to gotowi są zapłacić im za dwa wielkie jelenie zabite w walce.

– Co?! – zachnął się Xicotencatl, ale Maxixcatzin tylko uciszył go gestem i powiedział:

– Zgoda. Po co chcemy im płacić?

Temilotecatł skrzyżował ręce na piersi.

– Podobno przybysze lubią złoto. Niech powiedzą, ile chcą za nie dostać. Jeśli przyjmą zapłatę, to będzie znaczyło, że pozwalają nam je zabrać.

Dwaj pozostali wodzowie spojrzeli na niego, lecz on tylko uśmiechnął się przebiegle.



– Jak to chcą je odkupić?

Malintzin zapytała posłańca jeszcze raz. Ten powtórzył.

– Mówi, że mieszkający nieopodal Tlaxcaltekwowie są przyjaciółmi podróżników ze wschodu i pragną ulżyć ich trudom. Gotowi są pogrzebać potężne zwierzęta własnym sumptem, tak, jak godne są tego... – zawahała się. – Oni nazywają je „wielkimi jeleniami”. Ale mówi o koniach.

Osada, w której zatrzymali się niedługo po bitwie, zasługiwała raczej na miano wioski niż chociażby miasteczka: kilkanaście domków na krzyż, ubogie zagrody, pusty w tej chwili spichlerz. Zresztą w osadzie nie było żywego ducha, widać było, że mieszkańcy musieli wynieść się z całym dobytkiem.

Konkwistadorzy siedzieli pod ścianami, część rannych leżała w jednej z większych chat pod pieczą medyka. Obydwaj towarzyszący wyprawie duchowni też mieli pełne ręce roboty – mimo że nikt nie wybierał się na tamten świat i ostatnia posługa nie była potrzebna, to przerażeni żołnierze doznali gwałtownego przyływu religijności i teraz stali w ogonku do spowiedzi.

– Zapytaj ich, ile złota gotowi są dać za zabite konie – polecił Cortés.

Malintzin przetłumaczyła pytanie, posłaniec odpowiedział.

– Mówi, że jego pan, Maxixcatzin, da tyle, ile Cortés sobie zażyczy.

– Dobrze. W takim razie zapytaj go, czy gotów będzie...

– Nie zgadzaj się na nic – powiedział nagle Zahred, do tej pory przysłuchujący się rozmowie z boku.

Również stojący nieopodal inni kapitanowie podnieśli głowy, któryś oderwał się od bandażowania rany na nodze.

– Że kurwa co? – zdumiał się Portocarrero. – Jak to? Jeśli te pieprzone dzikusy chcą kupić od nas truchła, to w czym problem?

Cortés popatrzył na posłańca, pokazał mu gestem: zaczekaj.

Wziął Zahreda na bok, zaszeptał:

– Oferują złoto. Jeśli są gotowi je od nas kupić, to...

– To tym bardziej nie powinniśmy ich sprzedawać. Widziałeś przecież, co tam się stało.

Caudillo pociemniał na twarzy, usta mu drgnęły w ledwie powstrzymanym grymasie.

– Zahred, ja...

– Nie chodzi mi o samą zasadzkę. To akurat nieważne, nikomu nic poważnego się nie stało. Ale atakowali konie, prawda?

Cortés zawahał się.

Wtedy, kiedy pognali za uciekającymi, wszystko działo się tak szybko.



On wołał za Indianami i próbował pokazać im gestami, aby zatrzymali się, lecz ci tylko biegli po kamieniach, kluczyli i co chwila znikali pomiędzy drzewami.

Dopiero kiedy ich wyprzedzili, od razu sięgnęli po broń.

Przypomniał sobie ten widok: trzymany oburącz drewniany, wymalowany w kolorowe wzory miecz o ostrzu z obsydianu zatacza łuk i uderza w przednią pęcinę konia dosiadanego przez pana de Cuéllara, odrąbując ją jednym cięciem niczym tasak rzeźnika na rynku.

Wzdrygnął się i skinął głową:

– Tak. Tak to wyglądało. Ale te dzikusy zapłacą nam za to, Zahred! Będę odbierał ich ze skóry, aż...

– Przestań o nich myśleć, jakby byli gorszymi ludźmi niż ty czy ja! – Zahred zareagował zaskakująco ostro. Caudillo uniósł brew, Zahred wyraźnie się zmytygował, odchrząknął i odezwał się już spokojniej: – Nie są głupi, Hernán. Jeśli są gotowi płacić za trupy, to znaczy, że do czegoś są im potrzebne.

– Mięso? – zaproponował Cortés, ale Zahred pokręcił głową.

– Nie sądzę. Ja na ich miejscu, owszem, pokroiłbym nieznaną zwierzę na kawałki... Sprawdził, co ma w żołądku. Czy żywi się trawą, czy mięsem. Jakie ma zęby. Którędy idą pod skórą ścięgną i żyły. Jak uderzyć, aby je okaleczyć lub zabić.

– Przeceniasz ich! – zachnął się Cortés.

– Możliwe. Ilekolwiek jednak złota chciałeś od nich, weź ode mnie.

– C-co...?

– Ja kupię od ciebie te trupy. Obydwa.

– Nie żartuj! – machnął ręką caudillo. – I co niby z nimi zrobisz? Teraz ty będziesz z nich wróżyć jak wcześniej Botello?

Zahred potrząsnął głową, zamrugał. Uniósł brwi.

– Botello wróżył z padłych zwierząt?

– Tak... Tak, co z tego? – Cortés rozłożył ręce.

– Nic, nic. Gdyby własnoręcznie je zabił, to jeszcze miałyby to sens, ale... Nieważne. – Zahred machnął dłonią. – Tak czy inaczej, sprzedaj mi je. Wezmę tuzin moich ludzi, wrócimy się i zakopimy truchła tak, żeby nikt ich nie znalazł. Mówię zupełnie poważnie.

Cortés popatrzył na niego, na czekających posłańców od Tlaxcalteków. Westchnął ciężko.

– Niech będzie, bierz je sobie za darmo. Ale macie godzinę, a potem ruszamy dalej. Co sądzisz o tym, co mówią nasi wysłannicy? Bo słyszałeś już na pewno, że wrócili.

– Będę chciał potem pomówić z nimi sam – odrzekł Zahred. – To jest jeśli pożyczysz mi Malintzin.

– Doña Marina nie jest moją własnością, abym miał ją komuś pożyczać – skrzywił się Cortés. – Jeśli chcesz, bierz ją sobie.

Oczy Zahreda błysnęły jakoś dziwnie, ale mógł to być tylko refleks światła.



Pracowali ciężko, kopiąc duże, głębokie doły w kamienistej, czerwonej glebie.

Już samo przeciągnięcie zabitych koni nie było łatwym przedsięwzięciem, szczególnie tego jednego, z którego wróżbita powyciągał i rozwłóczył jelita. Musieli go ułożyć na derce, owinać słomianą matą... A poza tym kapitan Zahred umyślił sobie pochowanie ich w takim miejscu, że gorszego chyba nie szło znaleźć!

Spocili się i zasapali wszyscy, Gutiérrez rozwalil sobie rękę o ostry kamień. Natomiast ich dowódca był nieugięty.

– Ma nie być ani śladu – powtarzał.

Gdy w końcu zepchnęli pierwszego zwierzaka do dołu, okazało się, że wciąż wystawały z niego sztywne nogi. Zahred kazał im wykopać zbyt płytką jamę – tak przynajmniej sądzili. On jednak powiedział im, żeby chwilę odpoczęli, sam zaś wyciągnął zza pasa siekiere.

– Czy on będzie... – jęknął Juanito, a kiedy Zahred wziął zamach, odwrócił się z obrzydzeniem. – Nie no, nie, nie, nie... Błagam, nie.

Odeszli na tyle daleko, żeby nie musieć patrzeć i aby niemalże nie słyszeć odgłosów toporka raz za razem uderzającego w ciało i kość. Much było już pełno, zleciały się do trupów poległych i krążyły też wokół nich, siadając na dłoniach i twarzach.

– Diabeł nie człowiek. Jakby wcale się nie męczył. – Enriquez pokręcił głową. – Przecież on nocą śpi nie więcej jak cztery godziny!

De Monroy odszpułował bukłak, pociągnął mocno rozwodnione wino. Skrzywił się, ale upił jeszcze łyka, dopiero potem podał towarzyszom.

– Diabeł czy nie, ale nasz diabeł. Swoj. Skrzywdzić nie da, sam też innym kapitanom się postawi... Słyszeliście, jak się podobno chapnęli z de Sandovalem?

– Ano. Byle za nami równie chętnie się ujmował, co za tą indiańską czarownicą. – Gutiérrez pociągnął wino, też potrząsnął głową i wykrzywił się. – Fuj, prawie już ocet. Ile on ma lat w ogóle?

– Bukłak? Nie no, kupiłem na Kubie dopiero co...

– Nasz kapitan, ciemnoto.

– Ej, zważaj se na słowa! – zaperzył się samozwańczy szlachcic, ale spojrzał na Gutiérreza z ciekawioną. – A cholera go wie. Ze czterdzieści?

– E tam, czterdzieści to ja zaraz będę mieć – prychnął Enriquez.

– To co, mniej niby? Brodę ma prawie siwą, twarz niby młoda... Tylko te oczy ma dziwne, jak u starego człowieka. De Monroy, ty wszystkich znasz, wszędzie byłeś. Skąd jest nasz kapitan?

De Monroy popatrzył na nich, uśmiechnął się szeroko... Spowaźniał.

– Pojęcia nie mam – przyznał.

- No dobra, a ile ma lat?
- Nie wiem, ale pewnie...
- Tak ze sto.

Zamilkli. Spojrzeli zdumieni na Rodriga, metodycznie dłubiącego patykiem w zepsutym zębie.

Ten dostrzegł spojrzenia towarzyszy, wzruszył ramionami.

- No co się gapicie? Mówię wam: ze sto albo i więcej.

- Co ty w ogóle...! - już chciał naskoczyć na niego Enriquez, ale de Monroy położył mu dłoń na ramieniu.

Przysunął się bliżej do arkebuzera. Odgonił machnięciem ręki upierdliwą muchę i zapytał, patrząc towarzyszowi w twarz:

- Nikt tyle nie może mieć. Co ty powiadasz, hm?

Rodrigo nie odpowiedział od razu, nadal zajęty higieną jamy ustnej. Posał ząb, splunął na ziemię.

- Znałem kiedyś... - zawahał się, popatrzył po nich. - Ale to tylko wam mówię, jasne?

- Przecież my tutaj jak bracia! - zapewnił de Monroy, siadając obok niego i podając mu buklak. - Z nami jak na spowiedzi przecież! Słowo jak rzucisz, to kamień do studni!

Rodrigo zerknął w kierunku, gdzie zostawili kapitana. Odchrząknął.

- No więc znałem się z jednym... No, z jednym takim, nie? Co służył w armii.

- Nie no, co ty nie powiesz? - parsknął Enriquez. - Nie do wiary! Naprawdę? I broń też miał? I hełm nawet? Bo to przecież...

- Niech on wam opowiada, jak taki mądry! - poirytował się Rodrigo, ale de Monroy tylko syknął na dowcipnisia, a sam poklepał Rodriga po ramieniu.

- No już, już, nie złość się. On głupi jest, to i głupoty gada. - Spiorunował tamtego wzrokiem. - To co, z żołnierzem zatem? A z jakiej armii?

- No, z żołnierzem, a jakże. A z jakiej, to ten, jak by tutaj... On swoje lata już miał, bo pod Konstantynopolem jeszcze walczył.

Tamci popatrzyli po sobie, pokiwali poważnie. Enriquez wzruszył ramionami: co to za krygowanie się, czego tamten z igły widły robi?

- Nie on jeden chyba? - zagadnął ostrożnie Juanito. - Czyli pewnie genuieńczyk, skoro przeżył.

Rodrigo odchrząknął, spojrzał na towarzyszy jakoś tak dziwnie.

- Nie powiedziałem, że służył w mieście, tylko pod nim - powiedział głucho.

De Monroy wciągnął powietrze ze świstem, wyprostował się gwałtownie.

Gutiérrez otworzył usta, zamknął i rozejrzał się, jakby szukając pomocy nie wiadomo gdzie.

Z kolei Enriquez przykucnął przed towarzyszem, zająrzał mu w twarz:

- Rodrigo... co ty wygadujesz najlepszego? Jak on mógł POD miastem służyć? Przecież tam stali...

– Osmani, znaczą się Turcy – przytaknął tamten.

– No ale... W ich armii pełno było chrześcijan, prawda? Najemnych, siłą wcielonych i w ogóle. I ten twój to też na pewno...

– Mówię, że pod Konstantynopolem służył przecież! – zirytował się Rodrigo. – Osman co się zowie, czarniawy cały, bisurmanin z dziada pradziada, Ibrahim go zwali! Chcecie, żebym mówił, czy nie? To mi nie przerywać! No więc służył tam jako młody chłopak w artylerii Mehmeda. I on mi mówił, że...

Gutiérrez puknął go znacząco w ramię, pokazał: kapitan Zahred wyszedł zza drzew i machnął na nich ręką. Rodrigo skulił się, strzelił na nich błagalnie oczami, jakby bez słów prosząc, żeby go nie zdradzili.

De Monroy poklepał go po ramieniu, kiwnął Zahredowi: idziemy! Podnieśli się, ruszyli w jego kierunku.

Opowieść będzie musiała poczekać.



Xochitl spojrział z nadzieją na panią Malintzin, która po raz kolejny zaczęła tłumaczyć jego słowa dziwnemu, wytatuowanemu białemu człowiekowi.

Powiedział wszystko dokładnie tak, jak było. Tak, jak zrelacjonował to wcześniej caudillovi: zanieśli słowa pokoju do mieszkających w dolinie, ale zamiast Tlaxcalteków musieli wpaść w ręce dzikich Otomi. Przynajmniej na to wyszło potem, kiedy on i Tihuitl dali radę umknąć praktycznie spod noża ofiarne.

Uciekali tak, że mało nóg nie pogubili. Otomi gonili za nimi, krzyczeli wściekle... Ale nie dogнали ich i teraz Xochitl opowiadał wszystko, co widział.

Natomiast z jakiegoś powodu ten dziwny, wytatuowany człowiek nie wierzył Xochitlowi. Patrzył na niego podejrzliwie. Kazał powtarzać to samo po trzy, cztery razy.

Pani Malintzin potrząsnęła głową, westchnęła. Spojrzała na Xochitla.

– Xochitl musi opowiedzieć wszystko od początku – oznajmiła.

– Ależ Xochitl mówi prawdę, o miętka trawo na wietrze! – Totonak załamał ręce. – Jako gwiazdy na niebie, jako woda spływająca z gór! Tak, jak było...

– Jeszcze raz – zażądał Zahred.

– Panie, potężny jaguarze na górskiej przełęczy! Xochitl mówi prawdę, Xochitl... – Indianin urwał i zamrugnął, zdumiony. Popatrzył na wytatuowanego białego, na panią Malintzin. Ostrożnie, wsłuchując się we własny głos, zapytał: – Czy Xochitl nauczył się języka białych? Bo zrozumiał, co mówicie, panie!

Malintzin wzięła się pod boki, zmierzyla Zahreda gniewnym spojrzeniem i zacisnęła usta.

– Znasz naszą mowę! – rzuciła mu w twarz niczym obelgę.

– Uczę się. Niech Xochitl jeszcze raz powie o ludziach, którzy go pojмали.

– Dobrze, panie. Więc kiedy Xochitl, Tihuitl, Necuametl i Chicayah udali się do ludzi w dolinie, wyszli im na spotkanie...

– A ja się tutaj męczę! Gimnastykuję, szukam słów! Dwoję i troję...! – Malintzin chyba dopiero się rozkręcała. – A ty, ty tego słuchasz i się bawisz?! Ty bezczelny, impertynencki...

– Spokojnie, powoli. Aż takich słów jeszcze nie znam, ale domyślam się znaczenia. A więc, Xochitl? Niech Xochitl powie: jak wyglądali ci ludzie?

– Mieli kolorowe pióropusze, panie. I kręgi z czerwonego kamienia w płatkach uszu.

– Pióropusze... takie? – Zahred wyciągnął z sakwy jedną z ozdób zabranych z pobożowiska.

– Nie, panie, nie takie.

– Aha. A może takie? Albo takie? – Zahred wyjął drugi, trzeci, piąty. Xochitl za każdym razem kręcił głową. – Żadne z tych?

– Nie, panie. Ich pióropusze były kolorowe i sterczące do góry, a te nie są barwione i skierowane w przód.

– Mhm. Ale potem gonili was ludzie, którzy nosili właśnie takie?

– Tak, panie!

– Dziękuję ci, Xochitl. Możesz odejść.

Indianin sapnął z ulgą, skłonił się i pobiegł ku swoim. Malintzin założyła ręce na piersiach, zmrużyła oczy.

– Myślisz, że to wcale nie Otomi uwięzili naszych posłów – stwierdziła.

– Tak.

– Nikt inny tego nie widzi. Nie odróżnia pióropuszy, nie zauważa ułożenia dużych i małych ozdób. Dla nich... – pokazała ruchem głowy na Kastylijczyków – wszyscy są tacy sami. Meksykanie, Totonakowie, Olutlanie, bez różnicy.

– Tak samo jak dla nich Kastylijczyk, Nawarczyk, Portugalczyk czy wręcz Grek wygląda identycznie. Zawsze tak jest, że inność odbierana jest tak samo.

– Nie. – Malintzin potrząsnęła głową. – Inność jest zawsze inna, tylko nikt tego nie widzi. W jaki sposób poznałeś te pióropusze?

– To widać. Wystarczy przypatrzeć się uważnie...

– A mnie się wydaje, że to ty jesteś inny i dlatego sam to widzisz. Skąd pochodzisz, panie? I dlaczego nie pozwalasz medykwowi opatrzyć swoich ran?

Zahred spojrział na rozcięte ramię, odgonił łażącą wokół opatrunku muchę.

Nabrał tchu i rozejrzał się, niedbałym gestem kładąc dłoń na pasie w pobliżu miejsca, gdzie miał zawieszony w pochewce nóż. Akurat nie było tu prawie nikogo, ludzie patrzyli ku obozowi... Jego oczy już się zwężyły, ale wtedy zza drzew wyłonił się sam Cortés.

– Tu jesteście! Chodzę, szukam... Marina, co powiedział ten Totonak?

– Spytaj pana Zahreda – prychnęła Malintzin, ruszając w kierunku obozowiska.

Minęła Cortésa, nawet na niego nie patrząc; ten odprowadził ją wzrokiem, spojrzął na Zahreda pytająco.

– Podpadłeś, przyjacielu?

– Mieliliśmy różnicę zdań w kwestii języka, tak. Co się dzieje?

– Zwiadowcy donoszą, że pojawili się kolejni Indianie. Są pod bronią, ale idą ku nam otwarcie, drogą!

– Daleko?

– Może kwadrans stąd. Myślisz, że będą chcieli rozmawiać?

Zahred wzruszył ramionami.

– Zawsze warto spróbować.



Dwie armie stały naprzeciwko siebie.

Po jednej stronie, wysunięci nieco przed zabudowania wioski, rozstawili się Kastylijczycy i towarzyszący im Totonakowie. Ci ostatni rozstasowali się na całej długości linii, tak, że pierwszy szereg Europejczyków był ukryty za ich wojownikami.

Po drugiej, zajmując sporą część szerokości doliny, stali tubylcy.

Niejednolity, kolorowy tłum falował nieustannie. Co rusz przelewały się ponad nim huczące, modulowane okrzyki. Od czasu do czasu jakiś wojownik wyskakiwał przed szereg, aby machnąć z wyzwaniem maczugą albo groźnie potrząsnąć ozdobioną piórami włócznią.

– Nie wyglądają, jakby mieli atakować – mruknął Zahred, dopinając sprzączkę hełmu. – Albo czekają na nasz ruch.

– Ktoś musi przejąć inicjatywę... Ruszasz ze mną? – zapytał Cortés.

– Zawsze. Planujesz ich nawrócić, przyjąc śluby poddaństwa czy jedno i drugie?

Hernán zaśmiał się radośnie, dotknął wiszącego na pancerzu krzyża.

– Mamy swoje obowiązki, przyjacielu! Oni zakładają do boju swoje pióra i kolorowe szmatki, a my przybywamy tu w imieniu króla. Co powiesz na to, aby odczytać im requerimiento?

– Myślę, że zadziała dokładnie tak samo jak ostatnim razem.

– I o to nam chodzi. Poproście dońę Marinę i zawołajcie pana Godoyę!

Notariusz przepchnął się ku przodowi, poprawił kapelusz. Łypnął z przerażeniem na siedzącego na koniu caudilla, omiół wzrokiem kłębiący się

tłum Indian.

– W-wasza miłość...? – zająknął się, przyciskając do piersi sakwę z dokumentami.

– Wyciągajcie swoje pergaminy, panie Godoya! Będziemy przysparzać królowi nowych poddanych.

– Wasza miłość, ale nie jestem pewien, czy... – zaczął notariusz, jednak urwał, widząc wzrok Cortésa. – Już, w tej chwili. Natychmiast.

– De Monroy! – zawołał Zahred do swoich ludzi. – Gutiérrez... Rodrigo, zapalajcie lonty i ruszacie ze mną!

Podprowadzili konia dla Malintzin, reszta ruszyła piechotą.

Zahred szedł przodem w swoim czernionym napierśniku i hełmie, prowadząc za uzdę konia Cortésa; obok niego jechała tłumaczka, przy niej tupał notariusz. Trzej żołnierze, na poły dumni i przerażeni, starali się prezentować jak najlepiej, idąc zaraz za swoim kapitanem.

Stojący naprzeciwko nich wojownicy wyraźnie ożyli się, okrzyki na chwilę nabrały siły. Potem spomiędzy nich też wyłoniło się kilku wojowników, którzy ruszyli na spotkanie Kastylijczykom.

Zatrzymali się w odległości jakichś dziesięciu kroków od siebie, w pół drogi pomiędzy armiami. Cortés skinął:

– Panie Godoya, czyńcie swoją powinność.

– W imieniu naszego króla, Jego Wysokości Karola, z łaski Bożej władcy Hiszpanii, Kastylii, Aragonii, Leónu, Nawarry et cetera, władcy światłego i łaskawego, który zgina karki dzikich ludów! – wrzasnęła na całe gardło lekko rwącym się głosem notariusz. Malintzin powtórzyła jego słowa nieco spokojniej, chociaż u niej też dało się wyczuć pewne napięcie. – My, pokorne służki Jego Wysokości, powiadamy i najlepiej jak potrafimy informujemy was o tym, że Pan nasz i Bóg Izraela, w Trójcy Jedyny, Żywy i Przedwieczny, Stwórca ziemi i niebios...

– Ostatnio nie dotrwali nawet do trzeciej zwrotki – mruknął de Monroy.

– Aha – zawtórował mu Gutiérrez. – O patrz, już jakiemuś mrówki się w dupie legną.

Rzeczywiście, jeden z Indian zawołał coś głośno. Godoya aż urwał, zająknął się, ale zaraz podjął wygłaszanie przerwanej formułki.

Jednak wojownik krzyknął po raz drugi, wyskoczył spomiędzy towarzyszy.

Przysiadł, nisko uginając kolana, rozkładając ręce i otwierając szeroko usta, spomiędzy których wysunął się przekłuty kamiennym kolcem język.

Godoya nerwowo poprawił uciskający w szyję kołnierzyk, oblizal spierzchnięte usta.

– ...ale zważywszy na mnogość potomstwa, jakie spłodził człowiek przez pierwszych pięć tysięcy lat od czasu stworzenia świata, koniecznym stało się, aby niektórzy poszli tą lub inną drogą, dzieląc się na prowincje i królestwa, nie mogąc wyżywić się tylko z jednej i tej samej ziemi! – Notariusz dotarł do końca pierwszej części, nabrał tchu ze świstem. Odczekał, aż Malintzin skończy,

odchrząknął i wołał dalej: – Ze wszystkich tych ludów Pan nasz i Bóg wybrał na ich nadzorcę świętego Piotra, który stać się miał ich opiekunem i przewodnikiem, aby...

– Panie Godoya, przejdźcie, z łaski swojej, do części, gdzie mowa o naszej władzy nad tymi ziemiami – warknął Cortés, poprawiając się w siodle.

Zahred poluzował pałasz w pochwie, widząc, że do pierwszego wojownika dołączył drugi. Obydwaj zaczęli podskakiwać i przysiadać, pohukując przy tym głośno, wymachując bronią i strojąc groźne miny.

– To się nie skończy dobrze, Hernán... – mruknął. – Proponuję zacząć się cofać. Już teraz.

– A więc! – wrzasnął Godoya, przeskakując kilkanaście linijek tekstu. – Więc jeden z tych papieży, którzy nastąpili po świętym Piotrze, jako się rzekło...! Mimo że nie rzekło się, bo to było w tej części, którą pominąłem...! Jako się rzekło, nadał królowi naszemu, Jego Wysokości Karolowi, władztwo nad tymi wyspami i łądami oraz nad wszystkim, co zawierają, i ich mieszkańcami, tak jak to zapisano w odnośnych dokumentach, przekazanych wspomnianemu przeze mnie królowi...

Indianie krzyknęli szczególnie głośno, uderzyli mieczami o tarcze. Zahred obejrzał się na Cortésa, zaczął wyciągać siekiere z pasa.

– Hernááán...

– ...wspomnianemu przeze mnie królowi, które możecie zobaczyć, jeśli takim będzie wasze życzenie! – Godoya dokończył kawałek formułki, przełknął ślinę, nabrał tchu: – A zatem! Karol, król Hiszpanii i tak dalej, jest teraz władcą tych ziem, wysp i wszystkiego oraz wszystkich, którzy je zamieszkują! Podobnie jak na innych wyspach i łądach stało się, że prawie niemalże bez wyjątku wszyscy, którym odczytaliśmy to posłanie, stali się wiernymi i lojalnymi poddanymi...

Któryś z wojowników zaśmiał się i cisnął krótkim dziirytem prosto w notariusza.

Zahred skoczył naprzód; błysnęła w słońcu klinga, pałasz zatoczył krótki huk i zbił lecący już pocisk z toru, posłał gdzieś pomiędzy kamienie.

– Do rzeczy! – krzyknął Cortés, wyszarpując miecz z pochwy. – Marina, dość tłumaczenia! W tył!

– W tył! – ryknął Zahred, widząc, że Indianie ruszają na nich.

– Żądamy zatem, abyście wysłuchawszy i zrozumiawszy, rozważyli to i uznali Karola jako swojego króla, pana i władcę! Oraz przyjęli wiarę w Pana naszego Jezusa Chrystusa oraz Jego jedyny prawdziwy Kościół z siedzibą w Rzymie! – zapiał Godoya, pospiesznie zwijając pergamin. – Jeśli to uczynicie, to Jego Królewska Wysokość będzie wam władcą miłosiernym i sprawiedliwym, podobnie jak...

Biegący na nich wojownik zamachnął się toporkiem o ostrzu z brązu. Zahred ciął go po przedramieniu, sam uderzył kolejnego, który zamierzał rzucić się na konia Cortésa z włócznią.



Jeszcze jeden skoczył na niego – huknął basem arkebuz Rodriga, kula uderzyła tamtego prosto w ramię, niemalże oderwała rękę od ciała w fontannie krwi.

– W tył! – powtórzył Cortés, zawracając konia. – Marina, pomiędzy ludzi! Sandovaaaaal...!

– *Santiago y cierra, España!* – od strony Hiszpanów rozległ się okrzyk.

Prowadzeni przez de Sandovala konni wypadli spomiędzy szeregów, gnając na odsiecz zagrożonemu wodzowi; Totonakowie też zawołali wielkim głosem i popędzili ku wrogom.

Jednocześnie ze strony dzikich poleciały strzały, kamienie i miotane ręcznymi wyrzutniami dziryty. Szyk pękł i rozsypał się, kiedy poszczególni wojownicy wyskoczyli przed linię, pragnąc jako pierwsi dopaść do wroga i przelać krew.

Zahred uderzył łokciem przeciwnika, szarpnął go za ramię, przekręcił i pchnął na drugiego, mającego już uderzyć go maczugą o kamiennej głowicy.

Inny wpadł na niego z tyłu, sięgnął do szyi kamiennym nożem, ale on tylko złapał za rękę, przerzucił wroga przez ramię i uderzył od góry swoją siekierą, rozrąbując mostek niczym pień drzewa.

Była ich niesamowita, ogromna ilość.

Biegli wprost na niego z żądzą mordu w oczach, gotowi zmierzyć się w walce wręcz... A on czuł, jak krew zaczyna mu wrzeć w żyłach.

– Ujrzyj mnie! – zaryczał, rzucając się na nich.

Wpadł między wrogów parę sekund przed tym, jak pędzący biegiem Totonakowie też zderzyli się z pierwszą linią napastników.

Zgrzyt, łoskot, wrzaski i krzyki zlały się w jedną kakofonię bitwy, rozrywaną tylko huknięciami arkebuzów odzywających się z pozycji na zboczu doliny.

Indianie starli się w dzikiej bratobójczej walce, z całą zawziętością rąbiąc, kłując i tnąc przeciwników.

Kolorowe stroje, ćętkowane skóry, malowane w kolorowe pasy i wzory tarcze przelewały się falami barw. Dominujący po stronie napastników głęboki odcień zieleni przetykany plamami pomarańcza i bieli mieszał się z młecznym błękitem i piaskową żółcią Totonaków; jakkolwiek obydwie strony starały się trzymać swój jednolity szyk, to walka była zbyt chaotyczna, zbyt nierówna...

– Formacja! – ponad łoskot wybiło się wołanie chorążego Kastylijczyków, pana Cristóbal de Corrala. – I jak jedno, naa-przód...! Lewa, lewa!

Z początku niewielki, nie do końca foremny oddział ruszył naprzód, w miarę przesuwania się nabierając coraz wyraźniejszych kształtów i rosnąc w siłę. Niebieska chorągiew ze srebrnymi płomieniami podniosła się i załopotała nad głowami żołnierzy.

Pikinerzy stopniowo wysunęli się na czoło, za nimi ustawiali się pospiesznie ludzie z okrągłymi tarczami i długimi mieczami.

Na tyłach z kolei podciągali kusznicy, w marszu napinający swoje maszyny śmierci.

Oczywiście, że było ich mało.

Jakże śmiesznie mało w porównaniu z już walczącymi po ich stronie Indianami! Może setka ludzi próbujących na czele uwięzionego w zasadzce pochodu udawać, że są czymś więcej niż tylko bezładną zbieraniną awanturników i innych wykolejeńców, ciśniętych na mieliznę życia przez fale Losu.

Natomiast tutaj, pośród bezmiaru Nowego Świata, każdy z nich był sam sobie sterem, żeglarzem i okrętem – zaś jako armada nie mieli sobie równych.

– Z drogi! – huknął de León, który z jakiegoś powodu nie jąkał się wyłączenie w walce.

Totonakowie, którym już przychodziło walczyć zarówno przeciwko Kastylijczykom, jak i u ich boku, czym prędzej rozstąpili się, pozwalając czworobokowi zetknąć się z szeregami przeciwników, a potem zacząć się w nich zagłębiać.

Zahred widział to wszystko kątem oka, był ledwie świadom szerszego obrazu rzeczy. W tej chwili walczył i tylko to się liczyło.

Wokół niego uwijali się też ci z jego kompanii, którym udało się przedrzeć ku dowódcy. Widział plecy Montilli i wywijającego swą halabardą Juanita, nieco za nimi szalał de Monroy... Enriquez jak zwykle trzymał się z tyłu, pilnując Rodriga, który zapewne majstrował przy swoim arkebuzie.

Totonakowie walczyli dzielnie, trzymając się pomimo przewagi liczebnej przeciwnika.

Tamci naciskali, rzucali się wściekle i nacierali fala za falą, próbując zepchnąć walczących wspólnie z przybyszami pobratymców w tył...

...aż w końcu syknęło, fuknęło i zagrzmiało basem działo, które mozolnie podtaczali na właściwą pozycję ludzie ogniomistrza de Usagrego.

Kula świsnęła przez powietrze i wirując, wryła się w szeregi przeciwników, żłobiąc w nich krwawą bruzdę.

Tam, gdzie przeleciała, zostawał za nią wycięty ślad rozerwanych korpusów, połamanych rąk, potrzaskanych głów i rozpylonej bryzgami krwi, wśród której wirowały pióra niczym po ataku drapieżnego sokoła na ptactwo domowe.

Ten właśnie moment wykorzystali ludzie pod komendą pana de Leóna, aby nacisnąć na wrogów i przełamać ich szyk.

– Ustępują, pierdoleni skurwiele! – krzyknął radośnie Portocarrero, walczący na pierwszej linii. – Jebać ich, burych synów...!

Zahred usłyszał wołanie, zebrał się w sobie i zaatakował gwałtownie.

Lekkie, niewielkie tarcze tubylców nie mogły go zatrzymać; jakiś miecz zgrzytnął o napierśnik, buława niegroźnie ześliznęła się po hełmie. Wpadł pomiędzy tylne szeregi cofających się Tlaxcalteków.

Byli nie to, że przerażeni czy zaskoczeni – ale nieprzygotowani.

Pierwszy przeciwnik padł, nie zdążywszy nawet chwycić tarczy, z wyrazem zdumienia zastygłym na twarzy.

Drugi krzyknął głośno, zasłonił się przedramieniem – siekiera przerąbała kość, ułamek sekundy później miecz wszedł mu miękko w podbrzusze.

Już wcześniej wydawało się Zahredowi, że u tutejszych walczy tylko pierwszy szereg. Teraz był tego pewien: stojący dalej z tyłu czekali na swoją kolej, przesuając się na przód, dopiero kiedy ich towarzysze czy to padli, czy wycofywali się, ranni, na tyły.

– Za mną! – zawołał na swoich ludzi. – Ujrzyj nas...! *El sol está con nosotros!*

– *El sol!* – tamci powtórzyli zawołanie bojowe, które częściowo już podłapali od swego kapitana.

Przeciwnicy odstępowali coraz bardziej wyraźnie, tył już w ogóle rzucił się do ucieczki, ciągnąc za sobą resztę.

Totonakowie nacierali coraz mocniej, gnając wrogów dalej w dolinę.



Ubrany w pełny pancerz z pierzastymi naramiennikami i doczepioną do pleców skomplikowaną konstrukcją z trzciny, skóry i barwionych długich liści Xicotencatl stał na wzgórzu, patrząc, jak Otomi bezładną falą wylewają się z doliny, w której zaatakowali przybyszów.

– Głupi, tępi Otomi! – zawarczał.

Przecież dał oddziałom przednim wyraźne, dokładne rozkazy: mieli jedynie sprowokować tamtych, dać im krótki odpór, a potem wycofać się w uporządkowanym szyku!

Tymczasem ci durnie nie tylko wdali się w pełnowymiarową walkę, ale jeszcze na dodatek ją przegrali. Uciekający na łeb na szyję wpadali w czekające już w dolinie oddziały, psuli i mieszały szyki.

Z drugiej strony Xicotencatlowi nie było ich wcale szkoda. W końcu i jedni, i drudzy byli tylko Otomi.

Zwrócił się do stojącego obok niego Yxtlego:

– Niech teraz waleczny Yxtli prowadzi swoich wojowników. Biali ludzie zaraz pojawią się w wąwozie, nie będą mieli dokąd uciec.

– Otomi idą w bój – mruknął Yxtli, nakładając pleciony z trzciny hełm w kształcie stylizowanej głowy kuguara.

Stojący obok niego pomocnik przyłożył do ust i zadął w wydrążony kamień w kształcie czaszki. Przenikliwy, wysoki świst, najbardziej przypominający wrzask przerażonej kobiety, poniósł się ponad skałami; od razu odpowiedział mu drugi, trzeci i kolejny.

Siedzący do tej pory w beczynnym oczekiwaniu Otomi zaczęli podnosić się, szmer przeszedł w pomruk, a potem głuchy huk mieszających się gniewnych głosów.

W tym samym momencie z wejścia do wąwozu wysunęli się pierwsi przybysze.

Xicotencatl uśmiechnął się groźnie.



– *Madre de Dios...*! – Jadący na samym przedzie Pedro de Morón gwałtownie osadził swoją klacz w miejscu, patrząc z przerażeniem na gromadzącą się naprzeciwko nich armię.

Indian były setki.

Tysiące!

Zdawało mu się, że wręcz dziesiątki tysięcy.

Zajmowali całe dno wąwozu, stali na skalnych półkach, tłoczyli się na górze. Gdzie tylko spojrzeć, widać było kolorowe pióropusze i dziwaczne sztandary, wymalowane w krzykliwe wzory tarcze.

– Zasadzka! – krzyknął de Ávila, również wstrzymując konia. – To pułapka, musimy się wycofać!

Piechota dognała już pierwszy szereg i teraz ludzie stawali, zdumieni i przestraszeni.



Totonakowie od razu zaczęli formować swój szyk, natomiast Kastylijczycy patrzyli na dowódców, czekając na rozkazy.

– Admirale...! – zawołał de Morón do nadjeżdżającego Cortésa.

Caudillo jednym spojrzeniem ogarnął sytuację.

Indianie mieli ogromną przewagę liczebną.

Jego ludzie na razie tłoczyli się w wąskim przejściu.

Piechota już podciągała.

Kompanie de Leóna i Zahreda, jak zawsze rywalizujących ze sobą w ogniu bitwy, powoli wysypywały się z wąwozu.

Żołnierze gromadzili się wokół kapitanów.

Arkebuzerzy pospiesznie nabijali broń.

– Wycofajmy się...!

– Nie! – krzyknął zachrypniętym głosem Cortés. Przełknął ślinę, próbując zwilżyć suche gardło, odchrząknął i powtórzył: – Nie! Atakujemy, w imię Boże...! Uformować szyk zwarty, piki do przodu! *Santiago* y cierra, España, z nami Bóg!

– Do mnie! – Zahred podniósł w górę siekiere, zwołując swoich ludzi.

Indianie już podsuwali się ku nim, pierwsi zaczęli miotać oszczepy i wypuszczać strzały z luków. Daleko za nimi, za plecami niezliczonych linii przeciwników, za tym całym morzem głów, ściany wąwozu opadały i otwierały się na spokojniejszą równinę... Jednak na razie byli tutaj, stłoczeni w wąskim przejściu.

– Za mną! – krzyknął Cortés, spinając konia.

Wpadli pomiędzy Indian, roztrącając stojących w luźnym szyku, przewracając ich na ziemię i tratując kopytami.

Ogromna, włochata suka pana de Lugo dognała ich i skoczyła niczym kula futra, kłów i pazurów pomiędzy półnagich wojowników, siejąc popłoch. Za nią rzuciły się z ujadaniem pozostałe psy bojowe, spuszczone ze smyczy przez psiarczyków.

Tym razem Kastylijczycy nie próbowali przebijać się przez tłum, wiedząc, że i tak nie mają na to szans. Cortés poprowadził swego rumaka w lewo, płytko wzdłuż szeregu, tnąc i siekając jak popadnie, a potem dał mu ostrogi i skierował znów na wolną przestrzeń pomiędzy dwiema armiami. Reszta podążyła za nim, wyrąbując sobie drogę pomiędzy przeciwnikami.

– Ile jeszcze?! – krzyknął do ludzi próbujących ustawić się kompaniami.

– Ile tylko dacie radę! Nasi wciąż idą wąwozem! – odpowiedział mu Zahred.

Admirał obrócił tańczącego, niespokojnego konia, spojrzał na posuwających się ku nim Indian.

– W imię Ojca i Syna... Za mną, kto w Boga wierzy!

– Urzrzyj mnie! – ryknął na to Zahred i po prostu ruszył przed siebie.

Nie tego się caudillo spodziewał, nie o to mu chodziło. Owszem, zauważył już wcześniej, że jego towarzysz ma tendencję do nagłych porywów straceńczego heroizmu, szczególnie gdy ktoś wspomni kwestię wiary... Natomiast nie czas był się nad tym zastanawiać.

Kompania zawahała się tylko chwilę, a potem pomaszerowała za swoim ubranym na czarno dowódcą. Bezładna zbieranina szybko wyrównała szyk i krok, ponad nimi podniosła się ozdobiona czarnym pękiem włosów pika José Marii Valdésa, samozwańczego chorążego oddziału.

Indianie byli coraz bliżej. Wyrywający się i skaczący groźnie wojownicy wrzeszczeli dziko, krzywili twarze i wszelkimi siłami starali się przstraszyć wrogów.

Wrogów, którzy i tak bali się już wystarczająco.

– Trzymać szyk! – krzyknął Zahred, poprawiając chwyt na śliskiej od krwi rękojęści pałasza. – Razem, w nogę, razem...! I napierać, napierać na nich!

W ich stronę poleciały miotane z proc kamienie i dziryty, ale w tej samej chwili obok przegalopował niewielki oddział kawalerii. Konni przerzucili lance w rękach, trzymając je teraz ostrzami w dół i wznosząc nad głowami do szybkich pchnięć w twarze i ramiona wrogów.

– Uwaga... Jeszcze trochę... I... Już!

Ludzie zerwali się do biegu, przeskoczyli ostatnie kilka kroków i wpadli w przeciwników z impetem.

W jednej chwili cały świat zawęził się i skurczył, ograniczył tylko do tego, co było tuż przed nimi. Zniknęła perspektywa strategii czy nawet taktyki. Wrogów mogło być pięciu, pięćdziesięciu albo i pięć tysięcy, to nie miało znaczenia.

Liczyło się tylko tu i teraz.

Ten jeden przeciwnik.

Ta jedna chwila.

Każde kolejne uderzenie serca.

Stalowe miecze i rapiery krzyżowały się z krzemiennymi maczugami i obsydianowymi toporami, żelazo błyszczało zimno pośród istnej powodzi kolorowych piór i skór dzikich zwierząt.

Ranni padali pod nogi wciąż walczących, aby więcej się nie podnieść.

Zabici osuwali się, brocząc krwią – jedni bezgłośnie, inni z jękiem i charkotem.

Konie górowały ponad tłumem, sunąc niczym tytaniczne potwory przez tę ciżbę, wierzgając, gryząc i bijąc kopytami.

Psy walczyły na równi ze swymi panami, rzucając się na ich wrogów, chwytając za nogi i obalając przerażonych ludzi na ziemię. Kolczaste obroże szarpały i rwały uda. Nabijane ostrzami skórzane naczółki i napierśniki cięły dłonie i ramiona.

Zahred dostrzegł w tłumie przed sobą człowieka ubranego w jaskrawozielony, cętkowany strój i noszącego takiego samego koloru hełm przypominający głowę dzikiego zwierzęcia. Nie dało się go nie zauważyć, bo

wznosząca się za jego plecami konstrukcja z piór, liści i kawałków materiału kołysała się przy każdym ruchu.

Nie wiedział, kim jest ten człowiek ani co dokładnie ma oznaczać jego ubiór. Kapłan? Kapitan oddziału? Król, książę? Nieważne.

Wyróżniał się z tłumu, a więc musiał być kimś ważnym, i tylko to się liczyło.

Dwoma szybkimi cięciami na krzyż Zahred wykończył już słabnącego przeciwnika, odepchnął kolejnego na bok uderzeniem ramienia, prosto pod halabardę Juanita.

– Tam! – pokazał ludziom kierunek. – Rodrigo, Jiménez...!

Rodrigo załapał w lot, wbił w ziemię podpórkę i wznosił lont nad otworem prochowym. Ludzie rozpiezchli się na boki, kiedy stojący obok niego wielki, gruby Jiménez po prostu chwycił swoją hakownicę w ręce i wycelował w tym samym kierunku.

– Ognia!

Dwie śmiercionośne rury plunęły ogniem niemalże jednocześnie, wycinając krwawe przejście pełne drgających, wijących się, wrzeszczących, broczących krwią ciał.

Wojownik obok ubranego na zielono dowódcy kaszlnął, zachwiał się i padł z kulą tkwiącą mu w piersiach.

Tamtę spojrzał ze zdumieniem na towarzysza, którego dopadła niewidzialna śmierć, obrócił się w kierunku oddziału przybyszów.

Ujrzał pędzącego wprost na niego ubranego na czarno człowieka z błyszczącym mieczem i siekierą w drugiej ręce.

I to była ostatnia rzecz, jaką zobaczył w życiu.



Xicotencatl widział ze swojego miejsca na wzgórzu, jak Yxtli pada z rozrąbaną na pół głową.

Aż się wzdrygnął, a potem pokręcił głową ze zdumieniem: ubrany na czarno przybysz musiał mieć siłę dziesięciu mężów, aby dokonać czegoś takiego!

Otomi po raz kolejny podawali tyły, a Xicotencatla nawet to już nie dziwiło. No cóż, skoro tak, to tak... Trzeba będzie znowu zebrać ich, uspokoić i wytłumaczyć, dlaczego będą musieli zaatakować jeszcze raz.

Teraz był już niemalże zdecydowany, że sami w końcu też uderzą na dziwnych ludzi ze wschodu. Tamci byli zbyt niebezpieczni, aby pozwolić im bezkarnie przemierzać te ziemie.



Nie patrząc już na bezładny odwrót sprzymierzeńców, odwrócił się i zaczął schodzić ze stanowiska, przygotowując w myślach kolejny plan.



## Rozdział 3

**W**idzieliście to? Widzieliście, pytam?! Pierwszy tam byłem! Jak przecinak, jak nóż przez masło...!

Siedzący w kolejce do medyka ludzie kiwali głowami, potakiwali. Widzieli, widzieli, a jakże!

Natomiast pan Diego de Ordaz, mimo że ledwie był w stanie ustać na poranionych nogach, nie posiadał się z radości. Puszył się jak paw, machał rękoma i chodził w tę i we w tę, choć sam cyrulik co rusz mówił mu, żeby siedział, bo mu się rany otworzą.

Siedzieli na szczycie płaskiego wzgórza, ku któremu zdołali się przedrzeć. Niby mogli pognać uciekających, ale na to nie mieli ani sił, ani odwagi... Tym bardziej że dzicy wcale nie odeszli.

Doskonale widzieli stąd pobojowisko przy wylocie wąwozu, po którym wciąż kręcili się Indianie, pierzchający za każdym razem, gdy ze skalnej gwardzieli wyłaniał się kolejny oddział, osłaniający tragarzy i przenoszone ku tymczasowemu obozowisku zaopatrzenie.

– To ichni generał musiał być albo i król! – opowiadał po raz kolejny pan de Ordaz. – Wielki taki, kolorowy, cały w piórach... I tak staję w strzemionach,

i myślę sobie: święty Jerzy, patronie rycerstwa, daj mi siłę. I jak go nie dźgnę lancą, prosto pod obojczyk! A on tylko te dwa miecze swoje wypuścił...

– Dopiero co mówiliście, że miał miecz i tarczę – zwrócił mu uwagę któryś z ludzi.

– No bo miał. Tarczę na plecy sobie zarzucił, a miecze w rękach. I jak ja go nie dźgnę, a on tak skrzeknął tylko jak kociak naciśnięty...

– To na plecach i tarczę miał, i tę chorągiew ichnią? – nie ustępował ten sam malkontent.

Ludzie zaśmiali się: już wcześniej opowieść kawalerzysty rosła i puchła w oczach. Owszem, jego męstwa nikt nie kwestionował, ale ileż można było?

– A miał, miał! – Pan de Ordaz nieustępliwie trzymał się swojej wersji. – I wtedy zaczęli ustępować, mówię wam! I jak caudillo zawołał, to my za nim jak po sznurku!

– To w końcu za nim, a wy pierwsi się przebiliście?

– Pierwszy się przebił – zacharczał leżący na ziemi Pedro de Morón. – Ja byłem zaraz za nim. Admirał z tyłu został... Dajcie spokój człowiekowi, prawdę mówi!

Ucichli.

De Morón chciał powiedzieć jeszcze coś, ale rozkaszał się, odcharknął krwią i opadł bez sił na posłanie. Medyk próbował opatrzyć jego ranę, ale widać było, że indiańska włócznia trafiła go paskudnie, wchodząc idealnie pomiędzy łączenie napierśnika i zaplecznika...

– Wyście całą drogę obok mnie byli, panie – rzekł de Ordaz z wdzięcznością. – Gdyby nie wy...

– Gdyby nie ja, to pan Núñez Sedeño by klacz swoją miał nadal... – jęknął z żalem ranny.

Faktycznie, sam de Morón cudem wyratował się z rąk Indian, kiedy ci dali radę ściągnąć go z grzbietu konia, którego dał mu przed bitwą o wiele gorzej jeżdżący towarzysz broni.

Posuwająca się śladem konnych piechota wydarła go, w zasadzie wyrąbała z rąk dzikusów, którzy za wszelką cenę próbowali wziąć go żywcem... Jednak widzieli też, jak Indianie ciągną ze sobą wierzgającego, opierającego się rumaka.

Zapadał już zmrok, w którym rozjarzały się kolejne ogniska zapalane przez żołnierzy próbujących odstraszyć czarną jak smoła noc.

Ich pełgające światło rzucało migotliwe blaski na wznoszącą się pośrodku wzgórza niewysoką kamienną piramidę, zwieńczoną posępnymi posągami jakichś lokalnych bożków, diabłów czy innych demonów. Duchowni odprawili od razu wokół nich egzorcyzmy i skropili je święconą wodą, ale czy to wystarczy, aby stłumić czające się w nich złe czary...?

Artylerzyści pod wodzą pana Francisca de Orozco pracowali bez wytchnienia, szykując na kamiennej platformie stanowiska dla wciągniętego aż tam działa oraz mniejszych, lżejszych śmigownic.

Totonakowie znosili kamienie, układając wokół całego wzgórza coś na kształt muru obronnego.

Ludzie wlepiali oczy w noc pełną nawoływań i odbijających się echem dzikich wrzasków.

– Co o tym sądzisz? – odezwał się Cortés do Zahreda, który nawet nie zdjął pancerza i teraz z siekierą w ręku przechadzał się pomiędzy stanowiskami.

– Chcą odebrać nam sen, ale nie zaatakują. Widzisz, o tam? – Pokazał ręką. – Jest ich raptem kilkudziesięciu w niewielkiej grupie. Raczej harcownicy niż forpoczta armii.

– Mhm...

Cortés, szczerze powiedziawszy, nie widział nic.

Otoczający ich krajobraz błyskawicznie zapadał się w odcienie szarości i granatu, będąc teraz niewiele więcej niż tylko zbiorem trudnych do umiejscowienia w perspektywie plam. Jednak najwyraźniej wzrok jego towarzysza był o wiele lepszy, niż można by przypuszczać...

Zahred w ogóle zdawał się wyglądać lepiej niż niespełna rok temu, kiedy wypływali z Santiago de Cuba. Dosłownie jakby odmłodził o dobre kilka lat. Cortés zapytał go o to już wcześniej, na wybrzeżu, po jednej z pierwszych bitew, ale ten ze śmiechem odpowiedział, że służy mu klimat Nowego Świata.

– Cholerne muchy! – Caudillo machnął ręką, odganiając natrętną ścierwicę. – Pomyślałby kto, że nocą mogłyby odpuścić.

– Zlatują się do trupów.

Zapadła cisza.

Zahred nadal patrzył w ciemność, zaś Cortés z jakiegoś powodu zamarł, nawet wstrzymał oddech.

Niby słowa te nie były niczym niezwykłym. Zwykle stwierdzenie faktu, konstatacja porządku rzeczy. Jednak... jednak było coś w sposobie, w jaki powiedział to Zahred, co na chwilę zmroziło Hernána do szpiku kości. Bo w ustach jego kapitana słowa te zabrzmiały niemalże...

...pieszczotliwie?

Wysokie, jęklive skamlenie oderwało jego uwagę od biegnących dziwnym torem myśli.

Obejrzał się – jedna z suk towarzyszących wyprawie od samego początku właśnie dogorywała. Ciężko ranna już wcześniej, dała radę dowiec się tutaj, na szczyt wzgórza, ale na więcej nie starczyło jej już sił. Jeszcze wcześniej, kiedy słońce oświetlało obóz ostatnimi promieniami, dyszała ciężko, wywaliwszy jeżor... A teraz po prostu leżała jak nieruchoma kupka futra.

Obok niej kręcił się może półroczny szczeniak z ostatniego miotu, zabrany nie wiedzieć po co na wyprawę przez ich opiekuna. Zwierzak piszczał, trącał matkę nosem i próbował wcisnąć pyszczek pod jej coraz chłodniejszą, tracącą zapach, masywną łapę.

Cortés wzdrygnął się. Te dwie bitwy jedna po drugiej, świątynia na wzgórzu, teraz wołania i pohukiwanie Indian z ciemności... Tego było za dużo.

– Jutro musimy stąd zejść – rzucił jeszcze Zahred, kiedy caudillo miał już odejść.

– Zejść...?

– Mamy mało żywności, prawie nic wody. Nie utrzymamy się wszyscy.

– Proponujesz podzielić armię? To będzie wymagało uzgodnienia podczas narady. Ludzie się na to nie zgodzą. Ja się nie zgodzę.

– Nie. – Sylwetka Zahreda na tle rozgwieżdżonego nieba była ciemniejszą plamą. – Wezmę moją kompanię i paruset Totonaków, ruszymy na rekonesans.

– Zahred, nie zgodzę się...

– A ja nie proszę o pozwolenie.



– Przybysze stanęli na wzgórzu świątynnym Tzompachtepetl! Nie mają dokąd się cofnąć... Trzeba uderzyć na nich teraz!

Xicotencatl westchnął ciężko, kręcąc głową.

– Chichimecatecle jest bardzo odważny. Zapewne wiele razy był już w prawdziwym boju, skoro daje takie rady – powiedział zjadliwie.

Syn wodza Maxixcatzina, wymalowany w barwy wojenne i ubrany pomimo późnej pory w pełny pancerz, zwrócił się ku niemu z grymasem złości.

– Uderzyć teraz! – powtórzył. – Podejść pod osłoną nocy!

– Po ciemku wejść po skałach? Zaatakować, nie widząc nawet, gdzie są wrogowie?

– Tlaxcalteccy wojownicy mają oczy niczym ślepie jaguara!

– Szkoda, że rozum podobny – warknął Xicotencatl po cichu, tak żeby młodzik go nie usłyszał.

Dyskusja nie miała sensu.

Chichimecatecle palił się do walki i najwyraźniej był przekonany, że będzie to wyglądało jak podczas Kwietnych Wojen – pokazowe, szerokie zamachy, udawane zwarcia, niemalże zrytualizowane ruchy i przesadna teatralność.

Tymczasem Xicotencatl przeszedł się po polu niedawnego starcia, żeby policzyć trupy i sprawdzić, co przybysze ze wschodu mają pod swymi błyszczącymi ubraniami.

Jakież było jego zaskoczenie, kiedy nie znalazł żadnego wśród zabitych!

Przemierzył cały wąwóz w tę i we w tę.

Sprawdził, czy nie było świeżych grobów.

Dopytał się ludzi, czy widzieli, aby któryś z tamtych padał.

Owszem, widzieli niejednego. Ale tutaj nie było ciał!

Zatem albo przybysze zbierali swoich zabitych, których nie mogło być tak znów wielu – co nie wróżyło dobrze – albo też nie ginęli wcale.

Jeśli szło o ich totonackich sprzymierzeńców, ci to byli śmiertelni, a i owszem. Xicotencatl naliczył trzykrotnie po dziesięć ich trupów przy samym wejściu do wąwozu.

Natomiast po stronie Otomi, no cóż... Tutaj sytuacja była diametralnie odmienna.

Ich ciała leżały wszędzie.

Nierzadko po trzy, po cztery, jedno na drugim, zwalone na stertę niczym kolby dojrzałej kukurydzy zniesione z pola. Zalane krwią, posiekane aż do kości... A czasami tylko z jedną niewielką dziurką, w której ledwie mieścił się palec. Wtedy krwi było niedużo, ale człowiek i tak nie żył.

Inne z kolei porozcinane, aż strach było patrzeć. Poodrąbywane palce, przedramiona trzymające się tylko na pasmach skóry. Głowy rozplątane na pół jak dojrzałe owoce kakaowca. Wnętrznosci leżące na ziemi długimi zwojami. I te w dolinie, gdzie po raz pierwszy zaatakowali Otomi, wyglądające, jakby napadł je dziki zwierz. Rozerwane na pół, rozwłózione, okaleczone do niepoznania. Niepodobne już do ludzi.

Chichimecatecle był głupcem. Przybyszów nie można było pokonać siłą, tylko sposobem... Zaś Xicotencatl zaczynał już nawet widzieć, jak tego dokona.

Na razie wróć do Tlaxcali, aby tam złożyć w ofierze pojmanego w walce wielkiego jelenia. Może z jego wnętrznosci kapłani odczytają najlepszy sposób postępowania z tymi dziwnymi ludźmi.

Teraz była noc. Należało odpocząć, zaś gdy ponownie zbudzi się słońce, podjąć trud godny wojownika.



Skoro tylko wstał blade światło, z ufortyfikowanego wzgórz wyruszył długi wąż piechurów.

Na czele szedł Zahred, obok niego maszerował nikt inny jak sam pan de León. Usłyszawszy, że ten pierwszy planuje ruszać ze swoimi ludźmi, jąkała nie ustąpił, aż Cortés zgodził się: dobrze, niech będzie. Oznaczało to co prawda, że obóz opuści nie pięćdziesięciu, ale bez mała stu ludzi – lecz na razie i tak nie mieli jak się stamtąd ruszyć, a siły ekspedycyjne miały nie oddalać się zbyt daleko.

Zapytany o to, w jaki sposób pozostający na wzgórzu dowiedzą się, gdzie będą, Zahred odpowiedział krótko:

– Wypatrujcie dymu na widnokręgu.

Szli na lekko, bez zbędnego obciążenia czy bagaży. Ludzie wzięli wyłącznie płócienne pancerze i hełmy, do tego broń ręczną i małe tarcze. Wszystkie kusze, arkebuzy i większość broni drzewcowej zostały na wzgórzu, gdzie miały się bardziej przydać do obrony.

Oni mieli być szybkim, mobilnym oddziałem harcówników i furazerów.

– Aha, już widzę, jak się po żywność wyprawiamy – mruknął Rodrigo, wyciągając spod długiego płaszcza swój nieodłączny arkebus, zabrany z obozu wbrew wyraźnym rozkazom Cortésa. – No co, co się tak gapicie jeden z drugim?

Juanito obejrzał się ku obozowi, potem popatrzył na maszerującego na czele kolumny Czarnego Kapitana. Swoją drogą, ten narzucił takie tempo, że trzeba było nieźle wyciągać nogi.

– Ale przecież tak było powiedziane: idziemy na furaż.

– On zawsze tak mówi, aha. Ale zaraz zobaczycie.

– Słuchaj, ale co...

– Zobaczycie – warknął Rodrigo, podsypując prochu na panewkę z wyciągniętej spod koszuli prochownicy.

W okolicy nie było widać oddziałów przeciwnika, więc mogli maszerować szybko, nie kryjąc się. Zwiadowcy Totonaków biegli przodem, sprawdzając trasę i obserwując okolicę... Nie było jeszcze południa, kiedy wrócili do Zahreda, żeby złożyć meldunek.

– *Altepemait!* – oznajmił jeden z Indian, wskazując kierunek.

De León, który dopiero teraz zorientował się, że przecież nie ma z nimi Malintzin, odruchowo obejrzał się w kierunku wzgórza, które zostało daleko za nimi, ale Zahred tylko kiwnął głową.

– Niewielka wieś. Nada się idealnie.

– Nada się... na co? – nie zrozumiał de León.

– Na przykład.

Wkroczyli pomiędzy niskie, białe domki zalane blaskiem stojącego w zenicie słońca.

Ludzie na polach odrywali się od pracy, pasterze stad przysłaniali oczy, patrząc na dziwnie ubranych ludzi. Kobiety czym prędzej wołały dzieci do domów, zaciągały wiszące w wejściach kotary.

Zahred głęboko odetchnął rozgrzanym, pełnym pyłu powietrzem, uśmiechnął się drapieźnie.

Wolny!

Po raz pierwszy od początku wyprawy był znów swoim wyłącznym zwierchnikiem.

Owszem, obok niego siedł de León, ale ten z racji swego jąkania się nie gadał nazbyt dużo i pytał tylko wtedy, gdy coś nie dawało mu spokoju.

Zresztą też był wojownikiem i jak drapieźnik wyczuwał krew, jeszcze zanim ta została przelana.

Podeszli na centralny plac miasteczka, liczącego może dwadzieścia, może trzydzieści domostw. Przy nim wznosiła się świątynia – podobnie jak

i inne ustawiona na wysokiej piramidzie, na którą wiodły długie, strome schodki.

Zahred bez słowa, nie oglądając się na nikogo, ruszył w górę, przesadzając po dwa, trzy stopnie. Ludzie zatrzymali się, patrząc na niego ze zdumionym podziwem. Kilku chciało ruszyć śladem kapitana, ale zrezygnowali szybciej, niż zaczęli, i wrócili na dół, sapiąc ze zmęczenia.

– J-j-j... – zaczął de León, nie spuszczać oczu z Zahreda.

– Jebaniutki, no – warknął Portocarrero, który też przyłączył się do wyprawy. – Zapiardala, jakby mu ktoś prochu w dupę nasypał i podpalił.

De León spojrział na niego z dezaprobatą, potrząsnął głową i z wysiłku aż poczerwieniał.

– J-j-jjak ko-kozica chyży, chciałem rze-rzec, dobry panie! – wyrzucił z siebie w końcu.

Zahred nie zatrzymywał się, nie zwalniał. Ludzie zostali w dole, coraz mniejsi. Wspiął się krok za krokiem, czując, jak w żyłach wrze krew. Walka, wojna, krew. Dużo ciał... Och, jak dawno, strasznie dawno nie czuł nic takiego!

Jak strasznie dawno nie zbliżał się do czegoś tak nowego, tak bardzo ulotnego.

Ostatni raz zdarzyło się to wtedy, gdy jeszcze...

...

Poczuł, jak dłoń sama zaciska się na styliśku siekiery.

Zatrzymał się, odwrócił i spojrział. Żołnierze bardzo przytomnie rozstawiali się tyłem do wejścia na piramidę. Totonakowie podzielili się na mniejsze, kilkunastoosobowe oddziały.

Większość już domyślała się, przeczuwała, po co tu przyszli. Reszta jeszcze mogła żyć złudzeniami, że to faktycznie tylko rajd zaopatrzeniowy. Portocarrero zrozumiał od razu i właśnie dlatego wymusił na Cortésie pozwolenie na swoje uczestnictwo.

Jednak każdy z towarzyszących mu ludzi w głębi ducha wiedział, co stanie się dalej.

Pozostawało tylko zacząć.

Wspiął się jeszcze kilkanaście stopni na górę i stanął na szczycie piramidy.

Widok był rzeczywiście imponujący. Mimo że sama struktura nie była największą z dotychczas widzianych, to jednak tutaj był tylko on. Wszystko inne u stóp, panorama okolicy... Lazurowo błękitne niebo ponad głową.

Z niewielkiego budynekczku świątyni wyłoniło się kilku ludzi. Trzech akolitów, jeden sługa, za nimi zapewne kapłan – najstarszy, ubrany w białą szatę, z charakterystycznie postrzępionymi uszami od rytualnego puszczania krwi, praktykowanego tutaj niemalże nagminnie.

Zahred odwrócił się do nich, uśmiechnął szeroko.

– Ujrzyj mnie – szepnął.

Kiedy pierwszy z akolitów podszedł do niego i zaczął coś mówić, on tylko machnął siekierą niemalże od niechcenia. Ostrze rozrąbało gardło



człowieka, ten zachwiał się i poleciał w przód – Zahred zgarnął go ręką za siebie, zrzucając po schodach na dół.

Drugi krzyknął i zakrył twarz dłońmi, więc nawet nie zobaczył lecącego ku jego głowie żeleźca.

Trzeci zdążył rzucić się na intruza, wyciągając zza pasa kamienny nóż – cios siekiery dosięgnął go w połowie kroku, gruchocząc miednicę i posyłając na kamienie.

Kapłan stał osłupiały, wielkimi oczami patrząc na czarno odzianego rzeźnika.

Sługa upadł na kolana, zawołał coś błagalnie, złożył dłonie. Zahred podszedł do niego, złapał za włosy i pociągnął ku krawędzi platformy – a tam kopniakiem posłał wrzeszczącego w pustkę.

Na dole już też się zaczęło.

Słyszał krzyki i wołania, dzikie hałakowanie spuszczonej ze smyczy Totonaków i przerażone wrzaski ludzi.

Ktoś wyleciał zza rogu domostwa, trudno powiedzieć, czy miał nawet broń, czy nie. Któryś z konkwistadorów wyszarpnął miecz i nadział go niczym na rożen, po czym zepchnął krwawiącego z klingi i kopnął podkutym butem w twarz – raz, drugi i trzeci.

Zahred odwrócił się do kapłana, dygocącego ze strachu.

Widział, jak po wewnętrznej stronie nogi tamtego ścieka żółtą, cuchnącą strużką mocz. Uderzył go otwartą dłonią w grdykę, złapał charczącego i wierzgającego, powłókł ku ołtarzowi ofiarnemu. Położył, bez trudu przytrzymał i wzniosł oczy ku niebu.

– Ujrzyj mnie, powiedziałem! – warknął gniewnie, a potem spuścił wzrok wraz z ostrzem siekiery.

Kiedy kilka minut później schodził po stopniach, niosąc w zakrwawionej dłoni wyrwane z wątlej piersi serce, na dole szalało już pandemonium.

Totonakowie wpadali do domów, wyjąc dziko i wyganiając mieszkańców wioski na dwór, prosto pod ostrza Hiszpanów, którzy kłuli i siekali bezbronych mieczami.

Nieliczni próbowali stawiać opór, broniąc czy to życia rodzin, czy własnego – ale tych napastnicy przygniatali samą liczebnością, zaganiali w kąt i tam dźgali włóczniami.

Jeden mężczyzna bronił się szczególnie zajadle w wejściu do swojej chaty. Już dwóch Totonaków leżało u jego stóp, brocząc krwią, kolejni bali się podejść bliżej... Był ogromny, zwalisty; węzły mięśni grały mu pod skórą, zęby błyskały dziko jak u walczącego u wejścia do nory łęgowej wilka.

Z tłumu wysunął się Rodrigo, ustawił podpórkę i wycelował. Błysk, huk, kłęb siwego dymu... Kiedy szara chmura rozwiała się, Totonakowie runęli do środka, przeskakując ponad leżącym na progu ciałem i przebiegając po nim.

Schodzący powoli po schodach Zahred odrzucił serce na bok, wytarł dłoń o pancerz i dobył wiszącego przy pasie miecza.

– Nie zabijcie tylko wszystkich! – krzyknął do ludzi. – Ktoś musi przeżyć, żeby zanieść innym dobrą nowinę...!



Xicotencatl spólkował akurat z młodą, jędrną i pięknie pachnącą Necuazoh, kiedy do jego kwatery wparował Maxixcatzin, psując mu już pewną i szeroko otwartą drogę do szczytowania.

– Niech syn Xicotencatla przepasa swoje biodra i wyjdzie – rzucił od progu.

– Co się...?!

– Niech wyjdzie, powiedziałem.

Na zewnątrz czekało już kilkunastu co znaczniejszych wojowników i wodzów poszczególnych plemion. W pewnym oddaleniu stali pod strażą ludzie, w których Xicotencatl od razu rozpoznał Totonaków.

– Dowódca przybyszów ze wschodu, ten, którego wołają Cortés... – Mictlantecuhtli skrzywił się, wymawiając dziwnie brzmiące imię – przysłała swoich posłańców. Ich ustami mówi, że pragnie przyjaźni z Tlaxcalą.

– Zatem głupi przybysze nadal nie domyślili się, że...! – radośnie zaczął Xicotencatl, ale potem uśmiech zamarł mu na ustach, gdy zobaczył miny pozostałych.

– Jednocześnie jego ludzie mordują, palą i grabią nasze wioski! – wybuchnął Maxixcatzin. – Przybyli już niedobitkowie z Tonauac, dopiero co zjawił się w obozie hodowca owiec z Xixauac! Podobno wyrznęli wszystkich! Nawet kapłanów!

– Co?!

Xicotencatl nie mógł w to uwierzyć. Jak to? Po co, dlaczego?! W jakim celu?!

Pozostali wodzowie zdawali się nie mniej od niego zdumieni, jeśli wręcz nie przerażeni. Jaki wojownik miałby mordować ludzi bez broni w rękę, nienoszących świętych barw wojny? Po co pozbawiać życia kobiety w wieku rozrodczym? Co komu przyjdzie z zabicia dzieci, które można było wychować na dobrych, posłusznych niewolników?!

– Xicotencatl powiedział: zagnaliśmy przybyszów na wzgórze, to dobrze – odezwał się Temilotecatl drżącym ze złości głosem. – Stamtąd nie zejda, powiedział. Tam zemrą z pragnienia i głodu, cieszył się. A teraz, teraz co?! Co teraz powie Xicotencatl?!

– Chichimecatecle mówił, żeby atakować! – Młodziak uderzył dłonią o tarczę.

Maxixcatzin pokiwał głową: dobrze prawil jego syn!

– Co teraz doradzi Xicotencatl? – zapytal kolejny z wodzów.

– Po co mowil Tlaxcaltekom, zeby uderzac na bialych przybyszów? – zaatakowal go inny, niechety mu Clamecahua. – Czy nie lepiej bylo najpierw wybadac ich zamiary?

– Niechze Xicotencatl, syn Xicotencatla, odpowie! A moze jest męczyzna tylko przy kobiecie, a gdy musi stanac naprzeciwko innego wojownika, jego męskość chowa się do brzucha?

Xicotencatl zagryzl wargę tak mocno, że aż poczul smak krwi. Musial powiedziec coś juz, teraz, albo ryzykowac utratę autorytetu!

– Niech poslanicy przekażą temu Cortésowi, że... – zawahał się, a potem nagle rozluźnil. Pomysl na zyskanie czasu byl wręc genialnie prosty. – Niech powiedzą tak: Xicotencatl, wódz wojsk Tlaxcali, przekaże im swoje słowa jutro z samego rana.

– A rano...?!

– Rano wyślemy im żywność. – Xicotencatl uśmiechnął się przebiegle. – Duzo placków kukurydzianych i mięsa z ptaków.

– Będziemy żywić wrogów?! – zachnął się Chichimecatecle, ale ojciec osadzil go gestem i spojrzal na młodego wodza pytajaco.

Ten pokiwał głową:

– Kiedy napełnią brzuchy, osłabną i zrobią się ospali. Wtedy Tlaxcaltekomie zaatakują! Pokonają ich, zabiją i zjedzą, a w ten sposób biali przybysze odplacą im się za szczodrość. Poza tym pora, aby Tlaxcala wystapila przeciw nim! Jeśli przyslal ich tu Montezuma, niech sam ich uwolni. A jeśli przybyli tutaj wiedzeni szaleństwem, to niech sami zaplacą za własną głupotę!

Wodzowie pokiwali głowami, w pełni ukontentowani: to była dobra odpowiedź.

O wiele lepsza niż żadna.



Kiedy po zapadnięciu zmroku Zahred na czele swojego podjazdu wrócił do obozu, był więcej niż pewien: ci ludzie byli teraz zupełnie inni od tamtych, z którymi wychodził rano.

Zatoczyli spore koło po całej dolinie. Szli metodycznie, od wioski do wioski, od osady do osady. Nie omijali nawet wolnostojących gospodarstw.

Gdziekolwiek się zjawiali, okolica rozbrzmiewała krzykami, piach sycił się krwią, zaś w niebo były dymy pożarów.

Kiedy wracali, ludzie zaczęli już tracić wrażliwość na własne okrucieństwo.

Kilku śmiało się, kopiąc przed sobą odrąbaną głowę.

Inni rozprawiali na temat tego, że mogli w sumie wziąć kusze, aby łatwiej zabijać uciekających przed nimi Indian.

Zastanawiali się, ile domów dałoby się zburzyć jednym strzałem z armaty.

– Jesteście! – przywitał ich Cortés.

Pokryty pyłem Zahred ściągnął hełm, zaczął rozpinąć pancerz.

– Jesteśmy. Jakie wieści? Nie atakowali was, jak widzę.

– Nie! Widzieliśmy dymy, tak jak powiedziałeś. Wyobraź sobie, że Tlaxcala przysyła odpowiedź!

– Och, nagle przemówili! – prychnął Zahred. – Tak czułem... I co mówią?

– Odezwą się jutro skoro świt.

Zahred zamarł, nie rozpinając sprzączki do końca. Wsunął rzemienny pasek z powrotem w szlufkę, sięgnął ku drugiemu i też zaczął zapinać.

– Powiedz ludziom, żeby zachowali czujność – warknął.

– Myślisz, że to podstęp? – od razu zbystrzał caudillo. – Też wydało mi się to dziwne, ale przecież...

– Ja bym tak zrobił. Wyznaczyć mało istotny horyzont myślowy, uderzyć przed nim. Poza tym nie widzieliśmy ich oddziałów ani razu.

– Tutaj też ich nie było. Muszą mieć jakieś inne miejsce, gdzie się skoncentrowali.

– A to znaczy, że mają centralne dowodzenie i dobrą organizację. Przynieśliśmy trochę żywności, ludzie znaleźli strumień, więc jest woda. Jutro...

– Zahred urwał, nastawił ucha.

– To ten szczeniak, dalej płacze po matce.

– Ach. Tak czy inaczej, jutro powtórzymy rejzę.

Cortés pokiwał głową, patrząc w nieprzeniknioną czern otaczającej ich zewsząd nocy.



Nad ranem spadł deszcz. Szum wody obudził śpiących ludzi, którzy zrywali się z posłań w lichych szalasach i wybiegali na zewnątrz, wystawiając twarze na zbawienne krople. Niektórzy otwierali usta, łapiąc i łykając deszczówkę; inni nadstawiali odwrócone hełmy, a potem pili prosto z nich.

– Łapcie wodę w rozłożone płaszcze! – krzyczał Zahred. – Podstawiajcie pod nie wiadra, przelewajcie w bukłaki... Zakryjcie proch, osłońcie kusze!

Nikt nie zasnął już do świtu, więc wszyscy widzieli, jak w pierwszych promieniach słońca spomiędzy skał wyłania się długi orszak ludzi z koszami zaczeponymi pasami o czoła. Cortés zabronił im wejścia do obozu, ale wziął ich dary i przekazał słowa pospiesznie zwołanej radzie.

– Zaatakują – zawyrokował krótko Zahred, wysłuchawszy przekazanych przez Malintzin słów.

– Żartujecie chyba! – prychnął de Sandoval. – Przysyłają nam dary i mieliby atakować? Po co?

– Aby uspić naszą czujność. Czemu nie przyszli sami? Gdzie podziały się ich armie?

– Muszą być w pobliżu – zawtórował mu Alonso de Grado, zawsze myślący trzeźwo i rzeczowo.

– Bzdura! – machnął ręką de Lugo. – Wystraszyli się nas i uciekli!

– Do tej pory uciekli dwa razy i za każdym razem była to pułapka – przytomnie zauważył de Alvarado.

– A jeśli żywność jest zatruta?

– To też możliwe – zgodził się Zahred. – Dlatego powtarzam: niech ludzie jej póki co nie tykają. Walka z pełnym żołądkiem to zły pomysł.

– Jaka walka, panie?! – roześmiał się Cristóbal de Quesada, były poborca podatkowy, zwerbowany wraz z pełną kieszą nie swoich pieniędzy jeszcze w Hawanie. – Jeśli przysłali dary, to przecież nie będą nas atakować!

– Mówię wam, niech ludzie nie jedzą nic! – Zahred uderzył dłonią o kolano.

– Bzdura! Moi żołnierze są głodni, a teraz liczy się każdy kęs!

– On ma rację, to może być podstęp!

– Nie ma podstępu! To tylko tchórzliwe dzikusy, niepiśmienni poganie! Wam się wydaje, że każdy z nich zaczytuje się w pamiętnikach Juliusza Cezara...!

– Musimy zachować pełną ostrożność! Jeśli zrobili coś takiego, to...

Nagle ponad rodzącą się kłótnię wybił się przeciągły, jękliwy głos surmy alarmowej. Zaraz odpowiedział mu drugi, trzeci i czwarty, wibrując i drżąc w chłodnym, mglistym powietrzu poranka niepokojącą nutą.

Jednocześnie ponad obozem rozległy się okrzyki wołających na alarm wartowników.

W zapadłej ciszy odezwał się Zahred:

– No i teraz macie, szlachetni panowie.



Xicotencatl patrzył z dumą, jak poszczególne oddziały armii wysypują się spomiędzy wzgórz i rozwijają szyk bojowy.

Jego armii! Zebranej i zwołanej ze wszystkich ziem, jakie tylko poddane były władcom Tlaxcali. Nie imieniem jego ojca czy dziada, ale jego własnym. Dowodzonej teraz jedną ręką, która jeszcze dziś miała poprowadzić siły ku zwycięstwu.

Wymalowani w barwy wojenne tlaxcalteccy wojownicy potrząsali ozdobami doczepionymi do płóciennych, drewnianych i skórzanых pancerzy. Wstęgi powiewały na wietrze. Pyszniły się skóry zdarte z upolowanych dzikich zwierząt. Grzechot i klekotanie naszyjników z kłów i pazurów mieszały się z zawodzeniem grających na wydrążonych muszlach trębaczy i łomoczących w drewniane bębny doboszów. Obsydianowe miecze lśniły w słońcu. Nabijane kamieniami buławy dudniły o tarcze.

Tak, to miał być dzień tryumfu, którego nie przyćmi nic, żadna troska ani smutek...

Lecz nawet ze swego miejsca Xicotencatl widział wyraźnie, jak lewe skrzydło jego linii zaczyna wysforowywać się do przodu. A przecież właśnie tam dowodził ten młokos, ten nieopierzony młodzik Chichimecatecle! I teraz jako pierwszy dążył do zwarcia, by zagarnąć całą chwałę dla siebie!

Xicotencatl nałożył hełm w kształcie głowy orła, sięgnął po tarczę i zaczął pospiesznie zbiegać z pagórka, aby dołączyć do swoich wojowników.

Nie mógł przecież pozwolić, aby ktokolwiek ubiegł go w przelaniu krwi obcych.



– Podaj bełty! Bełty, mówię!

– Piki na lewą flankę! Idą z obydwu stron, będą nas brać w kleszcze!

– Tutaj, tutaj więcej kamieni! Woda podmyła stok, osunęło się! Dajcie tu kamienie!

– Tędy, za mną!

– Zbierać się! Zbierać, szybko...

– Gdzie caudillo? Gdzie jest Cortés?!

W obozie panował chaos.

Ludzie biegali bezładnie, wołania mieszały się, nakładały jedno na drugie.

Psy ujadają jak opętane.

Zaniepokojone konie rżały i rzucały się, jakby próbując zerwać się z uwięzi.

Dudnienie bębnow i zawodzenie rogów Indian było coraz bliżej.

– Do mnie! Do mnie, mówię! – krzyczał de Alvarado, stojąc na swoim odcinku umocnień.

– Są już na podejściu! Kusze, kusze na nasz odcinek! Dajcie tutaj więcej ludzi, bo...

– Ognia!

Huknęło głucho, kiedy największe działo rzygnęło dymem, wypływając z siebie czternastofuntową żelazną kulę. Pocisk pomknął przez powietrze, spadł pośrodku ciżby dzikich, odbił się od ziemi i skoczył w bok, rwąc ciała i łamiąc kości.

Indianie zawyli wielkim głosem i ruszyli biegiem, pnąc się pod górę.

– Celujcie w korpus, oni nie mają pancerzy! – rozległ się głos Cortésa. – Pikinierzy, uderzajcie w twarze! Konnica, lance ostrzem w dół...! Nie spieszyć się z kuszami i arkebuzami! Nie strzelać za szybko, powtarzam!

Stłoczeni na wydzielonym odcinku, wtuleni w zaimprovizowany kamienny mur ludzie z kompanii Zahreda patrzyli na zbliżającą się ku nim wielobarwną, najeżoną kamiennymi ostrzami falę przyplýwu.

– O matko jedyna... – wyrwało się Gutiérrezowi.

Zdawało się, że atakujących było więcej niż gwiazd na niebie.

Barwy i kolory, pierzaste głowy fantastycznych zwierząt, wymalowane na tarczach geometryczne wzory i zębate twarze – wszystko to mieniło się w oczach, przelewało i skrzyło tak, że można byłoby uwierzyć, że to jakiś sen.

Indianie byli już w połowie wzgórza.

– Zaleją nas! – krzyknął ktoś rwącym się głosem.

– Nie panikować! Trzymać swoje pozycje, nie wyrwać się...!

– Ognia! Ognia, na litość boską!

Jakiś arkebus fuknął samotną chmurką dymu, śmiesznie małą w porównaniu z ogromem panoramy. W odpowiedzi zafurkotały proce, od strony szeregów Indian pomknął ku Hiszpanom cały rój wyrzucanych z proc kamieni. Wraz z nim poderwały się do lotu strzały.

Większość pocisków nie doleciała, uderzając o kamienne zbocza wzgórz; inne brzęknęły o hełmy i pancerze, część jeszcze wylądowała w obozowisku.

Podniosły się okrzyki zaskoczenia i bólu, zakwiczał raniony koń.

Ktoś nie wytrzymał napięcia, zerwał się ze swego miejsca i na oślep pobiegł w tył. Zahamował, rozejrzał się, upadł na kolana z płaczem – nie było dokąd uciekać!

– Nie dajcie im wejść na barykadę! – krzyknął Zahred. – Spychajcie w dół, na pozostałych... I pamiętajcie, nie walczycie sami! W takich chwilach niebiosa się otwierają... Ujrzyj nas!

Pnący się pod górę niczym na wyścigi Indianie dotarli do szczytu, rzucili się na ułożony z kamieni mur i prosto na najeżony ostrzami szyk. Wpadali pomiędzy klingi, krwawili, miotali się i rzucali, usiłując sięgnąć przeciwników

swoją bronią. Słabli, padali z ran – zakłuci, pocięci, zatłuczeni na śmierć drzewcami broni. Tylko że na ich miejsce zaraz pojawiali się kolejni.

Kastylijczycy wrzeszczeli, modlili się i bluźnili, przywołując na pomoc Boga, wszystkich świętych, ojców, przodków, demony z bajek, szatanów i wszystkie zastępy piekielne.

Malowane czerwoną i białą farbą pyski jaguarów, lwów, orłów i węży dwoiły się, troiły w oczach. Pióra zasłaniały świat, pot zalewał oczy.

– Więcej ludzi tutaj! Zwolnijcie południową flankę...!

– Południowa, trzymać jebane pozycje! – darł się Portocarrero. – Zaraz tu będą, skurwysyny! Stać... Stać, mówię, do kurwy nędzy! Na miejsce, żołnierzu!

Totonakowie pod wodzą Memexiego rzucali się z miejsca na miejsce, łącąc powstające to tu, to tam dziury w linii obrońców. Widzieli, że teraz nie walczą już z prymitywnymi Otomi, ale z całą potęgą Tlaxcali... Sztandary pyszniły się i łopotały na wietrze, zaś każdy z nich myślał sobie w duchu: oto nadszedł dzień, kiedy przysporzą Cempoali chwały! Niech pamiętają potem całe pokolenia, jak Totonakowie stawili czoła najbardziej wojowniczo ludowi Imperium Meksyków!

– Tam! – Xochitl pokazał ręką miejsce, gdzie Tlaxcaltekwie już, już mieli sforsować mur.

Popędzili ile sił w nogach.

Niemalże zdążyli.

Niemalże.

Zielono-niebieska fala przewaliła się przez szczyt umocnień i rozlała szeroko po obozie wrzeszczącymi wojownikami, gotowymi siać śmierć i zniszczenie. Lada chwila mieli wpaść na plecy ustawionych do nich tyłem, niczego nieświadomych ludzi pana de Saucedo.

Xochitl zamachnął się i uderzył swoim macuahuitl. Dobre kamienne ostrze sięgnęło przeciwnika prosto w prawe ramię, zęby z czarnego kamienia przerznęły skórę i mięso, aż zgrzytnęły o schowaną pod nimi kość. Tlaxcaltecki wojownik wrzasnął i wypuścił trzymaną w ręku buławę, chciał cofnąć się pomiędzy swoich – ale wtedy sięgnęła go włócznia walczącego obok Momotzlego.

– Śmierć wrogom! – wrzasnął upojony walką i zabijaniem młody wojownik. – Nie brać jeńców...!

„Nie brać jeńców”. Jak pięknie brzmiał ten okrzyk! Świadomość tego, że cały rytuał, wszystkie skomplikowane zasady i obrządkowe Kwietnych Wojen nie były już istotne, nie obowiązywały przy boku nowych władców!

A przecież mieszkający od pokoleń w Cempoali poddani Memexiego tylekroć byli wyśmiewani przez swych sąsiadów!

„Nie umiecie walczyć”, przygadywali im Citlalakowie.

„Skończycie wszyscy na ołtarzu”, powtarzali z pogardą wojowniczy Tepinhuatli.



„Piasek i morze rozleniwiają was, nie umiecie dobrze walczyć w górach”, z wyższością mówili im ludzie z warownego Xihuichitlu.

Bo też Totonakowie z Cempoali nie umieli walczyć w Kwietnych Wojnach, taka była prawda. Rokrocznie ich drużyna przegrywała albo z trudem dawała radę wygrać tylko ostatnie walki, niemalże cudem unikając poświęcenia w końcowym dniu obchodów święta bogini urodzaju.

Nie byli dobrzy w walce na pokonanie przeciwnika. Nie umieli chwycić za włosy i uderzać tak, żeby tylko zranić. Nie potrafili brać jeńców.

Natomiast teraz okazywało się, że proste, zwykłe zabijanie szło im naprawdę dobrze.

Tymczasem zarówno głupi Otomi, jak i butni Tlaxcaltekowie zdawali się nie rozumieć, że dawne czasy przemijały, a wraz z nimi mieli odejść ci, którzy trzymali się starych tradycji.

Nowy, lepszy Bóg przyniesiony przez Hiszpanów wraz z Jego Matką Oblubienicą i dziwnym białym ptakiem niosącym promienie słońca mówił krótko: nawróćcie się albo wszyscy zginiecie.

Zaś atakujący nadal usiłowali ciąć płytko, a przez to mało skutecznie. Chwyтали i wyciągali broniących się z szeregu, odsłaniając wysunięte w przód ręce. Wchodzili w zapasy z tymi, którzy dźgali ich kamiennymi nożami. Starali się powalać Totonaków na ziemię i przyciskać swoim ciężarem, odsłaniając niechronione plecy.

– Śmieeeeer! – zawył Momotzli, wyszarpując zakrwawioną włócznię z brzucha wroga ubranego w przepiękny kostium jaguara.

Kiedyś na sam widok takiego przeciwnika raczej nieśmiały, ostrożny chłopak byłby zadrzał ze strachu, a teraz?

Teraz tamten spojrział z niedowierzaniem na broczącą krwią dziurę, przez którą wysuwały się bladoróżowe trzewia, rozkrzyżował ręce i padł w tył, pomiędzy cisnących się po śmierć pobratymców.

Powoli, stopniowo fala atakujących zatrzymała się, a potem krok po kroku zaczęła cofać się ku wyrwie w liniach obrońców, zostawiając za sobą wyrzucone na brzeg wzgórza trupy niczym czerwone muszle na piachu.

Ludzie pana de Saucedo przesunęli się, domykając w końcu szereg i dorzynając tych z Tlaxcalteków, których nie sięgnęły jeszcze miecze Indian. Sam dowódca chorągwi, zalany krwią i z rozbitą głową, wypatrywał w tłumie Xochitla.

– *Dios te bendiga, buen señor!* – wykrzyknął podziękowanie, przykładając ostrze szpady do czoła w rycerskim pozdrowieniu.

Młody wojownik poczuł, jak u ramion wyrastają mu skrzydła niczym u górskiego orła, a stopy odrywają się od ziemi. Przez chwilę zdało mu się, że ręce zamieniają się w szpony, gotowe rwać i szarpać wrogów.

– Do boju, synowie Cempoali! – krzyknął wielkim głosem. – Do boju... Nie brać jeńców!

Stojący na wysuniętej skalnej reducie Francisco de Orozco patrzył z natężeniem na ciągnących ku wzgórzom wrogów.

Tam, gdzie inni dostrzegali oddziały, drogi podejścia i potencjalne zagrożenia taktyczne, on widział wyłącznie rzeźbę i nachylenie terenu, trajektorie lotu i kąty strzału, idące po jak najdłuższej stycznej z liniami wrogów... Obok niego czekał Arbenga, jego lewantyński ogniomistrz, trzymający w ręku już zapaloną, syczącą groźnie lontownicę.

Zaraz przy nich stało na prymitywnej ławeczce jedyne pełnokalibrowe działo, jakie miała na swoim wyposażeniu ekspedycja. Nabite, zasypane prochem, gotowe do strzału – jednak wciąż milczące.

– Panie...? – nerwowo zapytał Arbenga.

– Zaraz – mruknął de Orozco.

– Panie, dzicy zaraz tu będą. Musimy zdążyć się wycofać, odtoczyć armatę...

– Zaraz, mówię! – warknął de Orozco.

Tak, widział to miejsce. Zwrócił na nie uwagę już wcześniej: niewielkie przewężenie pomiędzy dwoma wyższymi miejscami na podejściu, gdzie teren opadał łagodnie, tworząc naturalny parów. To tamtędy właśnie pięły się pod górę główne siły napastników.

I to właśnie tam łączyły się teraz dwa najbardziej charakterystyczne, kolorowe strumienie przystrojonych swymi barwami dzikich.

– Obracać je! – krzyknął teraz, pokazując ręką kierunek. – Ćwierć mili, podniesienie... Podniesienie cztery cale!

Artylerzyści zaczęli powoli, mozolnie przekręcać nieporęczną konstrukcję wylotem lufy ku miejscu, przez które atakowały główne siły Indian.



Xicotencatl biegł, skakał po kamieniach i przepychał się pomiędzy wojownikami.

To niedopuszczalne, żeby ten bezczelny, niedoświadczony szczył miał go ubiec! Już wcześniej w tamtym właśnie miejscu, na północnym podejściu pod świątynię, atakującym jak dotąd bezładnie Otomi udało się na chwilę przełamać szyki obrońców.

A teraz Chichimecatecle, który już raz zignorował rozkazy Xicotencatla i ruszył przedwcześnie do boju, chciał zatknąć swój sztandar na zdobytym wzgórzu i zagarnąć dla siebie lwią część łupów!

– Naprzód, wojownicy! – krzyknął, zagrzewając ludzi do wysiłku. – Nie damy się nikomu wyprzedzić!

Widział już Chichimecateclego niewiele przed sobą.

Młodzik obejrzał się przez ramię, dostrzegł ich i zawołał na swoich. Przyspieszyli, chcąc jako pierwsi dotrzeć do wygodnego podejścia wąwozu, którym można było najłatwiej dostać się na górę.

Dwa oddziały pod dwoma sztandarami dotarły do przewężenia jednocześnie, mieszając się i tłocząc, przepychając i przeszkadzając sobie nawzajem.

Ludziom zaczęło brakować miejsca, żeby nawet przestawić nogę w przód; ktoś potknął się, oparł o innego. Stłoczona w wąskiej przestrzeni ludzka ciżba zwolniła, niemalże zatrzymała się na chwilę, wciąż dociskana dołączającymi do zbiorowiska wojownikami.

I wtedy ze skalnej ostrogi po lewej stronie wzgórza wykwitł długi, gwałtownie rozszerzający się u końca kłęb szarego dymu.



– Ognia! – krzyknął de Orozco i machnął ręką.

Arbenga przytknął lontownicę do obficie zasypanego prochem otworu.

Syknęło, fuknęło – ogień skoczył po czarnych granulkach i zanurkował do wnętrza komory, wyrzucił jeszcze kilka iskier.

A potem działo westchnęło, jęknęło i huknęło ogłuszająco, wycharkując z siebie kulę ognia w snopie iskier i ogromnej chmurze gęstego, gryzącego w oczy i gardła dymu.

Pocisk pomknął przez powietrze, ciągnąc za sobą wciąż dopalające się drobinki i resztki przybitki.

Zakreślił piękny, równiutki łuk.

Zniżył swój lot, minimalnie tracąc prędkość.

Po czym trzasnął niemalże idealnie w środek stłoczonych na wąskiej przestrzeni Indian.

Poleciały na boki ciała.

Z rozłupanych głów i klatek piersiowych bryznęła krew.

Kula przeleciała kilka metrów, rwąc mięśnie i ścięgna, gruchocząc kości, ścinając ludzi z nóg, miażdżąc stopy i gniotąc palce.

Podskoczyła na kamieniu.

Wyrwała kolano niosącego sztandar bojowy wojownika w pięknym pióropuszu.

Zgruchotała miednicę stojącego obok weterana.

Odbiła się od skalnej ściany i wirując, poleciała nierównym zygzakiem w tłum, łamiąc żebra, gniotąc wnętrzości i zdzierając skórę, aby w końcu potoczyć się i zamrzeć bez ruchu, sycząc parą w gotującej się kałuży krwi.

– Tak! – krzyknął Arbenga, podnosząc w górę pięść. – Tak...! Idealnie! Panie, teraz już naprawdę musimy się wycofać, bo...

Natomiast de Orozco oblizał nerwowo usta, spojrzał ku pnącym się pod górę dzikusom.

Mieli jeszcze czas.

Mieli jeszcze szansę na jeden strzał...

Arbenga zająrzył ogniomistrzowi w twarz.

– Panie...?

– Ładuj... Ładuj, mówię! – krzyknął de Orozco. Wyrwał pomocnikowi wycior z ręki, sam wsunął go w dymiącą, rozgrzaną gardziel lufy i zaczął wyciągać płaty nagaru. – Podaj kulę, szykować miarkę prochu... Nie ruszajcie ustawienia, niech się nikt nie waży dotknąć klinów, bo ręce połamię! Szybciej, ciamajdy wy... Szybciej!



Xicotencatl podniósł się z trudem na chwiejnych nogach, wypluł piach.

Co to było?

Co się w ogóle stało?

Wokół niego pełno było połamanych, drgających konwulsyjnie ciał.

Oderwane kończyny.

Klatki piersiowe otwarte niczym przez nóż ofiarny kapłana.

Odłamki czaszek o długich pasmach sklejonych krwią włosów.

Rozwłózione sznury bladuróżowych jelit.

Jakiś wojownik trzymał w ręku oderwane ramię, usiłując przytknąć je do krwawiącego kikuta.

Smród wylewających się z jelit nieczystości.

Duszna woń ugotowanej krwi.

Jęki i zawodzenia rannych.

Część ludzi z dwóch zmieszanych oddziałów nadal pięła się pod górę, nie zauważwszy tego, co stało się za ich plecami. Pozostali rozpierzchli się na boki, ale z dołu już ciągnęła kolejna fala. Pierwsi zwalniali, widząc krwawą jatkę w wąwozie, ale następni pchali ich do przodu.

Xicotencatl spojrzał na okrągły, dymiący przedmiot leżący może metr od niego w kałuży krwi. Ostrożnie wyciągnął rękę, dotknął i szybko cofnął, posaż palec. Dziwna rzecz była gorąca jak węgle z ogniska!

Babka opowiadała kiedyś Xicotencatlowi o kulistym piorunie, który wpadł do jej zagrody i zabił dwie kozy, po czym wyleciał przez okno i poraził sąsiada, który do końca życia stracił władzę w lewej ręce.

Ani chybi takie właśnie kuliste pioruny musieli miotać na swoich wrogów przybysze ze wschodu!

Wojownik zawarczał, podniósł się na mieczu i utykając, ruszył naprzód, pod górę.

Nie odpuści. Nie wystraszy się, nie ułęknie, nie zrezygnuje... Dopóki nie przekona się na własnej skórze, że z tamtymi nie da się wygrać.



– Kawaleria, naprzód! – krzyknął Cortés, dając znak. – W imię Boże! *Santiago...*!

– *S-s-santia-tia-tiago...*! – odrzyknął de Olid, opuszczając zasłonę hełmu i spinając konia.

Było ich ledwie nieco ponad tuzin. Wszyscy walczyli już dobrych kilka godzin, ledwie trzymali się na nogach... a jednak teraz, w decydującej fazie bitwy, żaden nie odmówił, nie zawahał się.

Błękitno-biała chorągiew załopotala na wietrze, kiedy przeskoczyli ponad umocnieniami i ruszyli w dół wzgórza, prosto na nacierających nieustraszenie Indian.

– Teraz! – Pedro de Guzmán zawołał na swoich kuszników, od dłuższego już czasu przygotowanych do strzału.

Trzasnęły spuszczone cięciwy.

Rój bełtów pomknął przez powietrze, rozkładając się śmiertelnie deszczem ponad gęsto stłoczonymi na podejściu ku skalnej ostrodze Tlaxcaltekami.

Widać było, jak ludzie padają i staczają się po stromym podejściu, osuwają, trzymając się za przestrzelone ramiona i uda.

Kastylijczycy walczyli teraz jedni o bezpieczeństwo drugich, wzajemnie usiłując kryć swoje podejścia.

– Za mną! – Zahred podniósł siekiere nad głową, widząc, że kawaleria wyjeżdża z obozu.

– Stać! – zawołał Cortés, ale mało kto słyszał go w rozgardiaszu.

Cała kompania Czarnego Kapitana poderwała się i zaczęła opuszczać swoje pozycje, podążając za dowódcą. Pika z pękiem czarnego włosia podniosła się wysoko, ludzie jeden po drugim przesadzali umocnienia i zbiegali na dół.

– Ognia! – ryknął Jiménez, strzelając ze swego arkebuza prosto w stłoczonych na dole Tlaxcalteków.

Od razu zawtórował mu Rodrigo, po chwili z linii odezwało się jeszcze kilka rusznic. Widząc to i czując, że długo już nie utrzyma ludzi w ryzach, ogniomistrz de Usagre wyciągnął miecz, pokazując kompanii kierunek strzału:

– Tylko równiutko, kochanieńcy moi! Nie stać nas na fuszerkę, więc celować mi pięknie, bez pudła... Ognia!

Zagrały hakownice, ołowiane kule przeorały szeregi ubranych w pióra wojowników. Z bocznego stanowiska odezwała się ogniem jedna ze śmigownic, kładąc strzał idealnie wzdłuż szeregu dzikich.

– Ujrzyj mnie! – wrzasnął Zahred, śladem kawalerzystów wpadając na czele swojego oddziału pomiędzy zdezorientowanych Tlaxcalteków.



Xicotencatl rozejrzał się, autentycznie przerażony.

Gdzie nagle podzieli się jego wojownicy? Co się stało?

Jeszcze przed chwilą byli tak bliscy zwycięstwa, które było niemalże pewne, w zasięgu ręki, a teraz... Teraz ludzie biegali dokoła jak ptaki z odrąbanymi głowami. Pierzchali niczym kobiety, a nie wojownicy.

Ponad skalną ostrogą wykwitła kolejna chmura, zagrzmiało jak podczas burzy.

Piorun przeleciał z dzikim gwizdem nad głową Xicotencatla, uderzył o ziemię i wpadł pomiędzy wojowników Tlaxcali, odrywając kończyny i gruchocząc kości.

Ze wzgórza zjeżdżali już przybysze na swoich wielkich jeleniach; wyglądali niczym przyrośnięci do ich grzbietów, w ich rękach błyszczała chłodem stal.

Piechota zbiegała ławą, wyrzynając i przewracając wojowników, jakby ci byli pijanymi dziećmi.

Zaś na czele wrogów szedł ubrany na czarno człowiek z białą brodą.

Xicotencatl poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

Nie, nie bał się śmierci.

W zasadzie od małego tylko na nią czekał, bo wiedział, że bogowie szykują się już na jego wizytę w niebiańskim pałacu.

Tylko po prostu nie miał ochoty spotkać się z nimi już dzisiaj.

– Odwrót! – zawołał, składając dłonie przy ustach. – Odwróóóóó...!



Obóz był w oplakany stanie.

Wszędzie poniewierały się przewracane, rozwłócone bagaże. Nadgryzione kukurydziane placki leżały wdeptane w ziemię. Psy buszowały w przewracanych koszach z mięsem, walcząc o ostatnie kąski.

Wokół pełno było trupów Indian, które Totonakowie po prostu ściągałi nad urwisko i zrzucali na dół.

Tlaxcaltekwie już odeszli, znów schowali się w górach, ale większość obrońców i tak pozostawała na stanowiskach przy kamiennym wale.

Ranni stopniowo ściągałi ku stanowiskom medyków, nienadążających z opatrywaniem ludzi.

– To cud, panowie! – radośnie zakomunikował de Grado. – Tylko dwóch zabitych? Chwała niech będzie Najświętszej Paniencie!

– Ponad pół setki ludzi rannych. I wszystkie konie tak samo! – warknął nieco mniej zadowolony de Lugo, dotykając bandaża na rozbitej kamieniem skroni.

– Ale przecież obroniliśmy się! – zaśmiała się nerwowo pani Maria d’Estrada, poprawiając opatrunek na przebitym ciosem włóczni przedramieniu. – Daliśmy radę teraz, damy i przy kolejnym ataku.

– Jedną ręką dużo nie zdziałacie, pani – mruknął któryś z ludzi.

– Więcej ja jednym palcem mogę niż wy całym sobą – mruknęła d’Estrada, ale spuściła głowę, wyraźnie dając do zrozumienia, że mimo całej swojej bitności daleka jest od entuzjazmu.

– Fakt, obroniliśmy się jakoś... – westchnął de Lugo.

– Tym razem tak.

Zwołana pospiesznie narada nie kleiła się. Każdy był zbyt zmęczony, a przecież nadal brakowało im zarówno wody, jak i żywności.

– Powtarzam wam, miłośniwi państwo, że kolejnego ataku nie będzie – nieśmiało bąknął wróżbita Botello. – Skonsultowałem się z moimi tablicami i wszystko jest jasne. Układ ciał niebieskich potwierdza, że...

– A widzieliście układ ciał na szańcach? – ponuro warknął de Alvarado.

– Przecież koniunkcja Jowisza z gwiazdozbiorem Panny...!

– Mówiła też, że poprzedniego ataku miało nie być, o ile mnie pamięć nie myli. Taki z was jasnowidz jak z koziej dupy waltornia... Bez urazy, panie, nic osobistego.

Botello prychnął, założył ręce na piersi i spojrzał w bok, całym sobą dając do zrozumienia, że nie będzie dłużej rzucał pereł swej wiedzy przed wieprze ludzi o umysłach zbyt ograniczonych, aby pojąć doniosłość mądrości kosmosu.

– Musimy zejść i ruszyć dalej! – nalegał de Sandoval. – Dotrzeć w końcu do tej przekłętej Tlaxcali...

– To właśnie Tlaxcaltekwie prowadzili tym razem natarcie! – prychnęła Malintzin, siedząca nieco z tyłu za Cortésem.

– To prawda – potwierdził zmęczony caudillo. – Nie ma co na nich liczyć, panowie. W tej chwili jesteśmy tutaj sami. Należy zakładać, że wokół są sami

wrogowie... Panie, nudzę was?

Zahred, który podniósł się i już zamierzał odejść, zatrzymał się w pół kroku.

– W żadnym razie, admirale.

– Zatem...?

– Idę pomóc w opatrywaniu rannych, a potem wyruszę wraz z moimi ludźmi.

– Dokąd? – Cortés podniósł na niego zmęczony wzrok. – Po co?

– Po to samo, co wcześniej. Skoro tamci odstąpili, to nie zjawią się do jutra.

Caudillo skinął tylko głową, nie mając nawet siły pytać, co Zahred chce zrobić ze swoją kompanią. To i tak było oczywiste.

Zahred wyszedł z namiotu rady, odetchnął głęboko, pełną piersią.

W powietrzu wisiał zapach krwi i śmierci, czuć było nutę dymu prochowego.

Jęki rannych mieszały się z gwarem cichych, toczonych półgłosami rozmów.

Nadal skiełczał ten sam szczeniak, niechcący za nic odstąpić od zimnego, sztywnego już ciała matki. Pies warczał i szczyrzył zęby na każdego, kto tylko próbował do niej podejść, więc ludzie omijali go z daleka. Ktoś postawił mu miskę i nawet wrzucił do niej kawałek placka, ale ten nawet nie tknął żywności.

– Jakie ustalenia? – de Monroy zwrócił się do Zahreda.

Ten wzruszył ramionami.

– Żadnych. Zostajemy tutaj moim zdaniem, przynajmniej jest się jak bronić. Chodź, pomożesz mi.

– W czym? – zapytał de Monroy, od razu ruszając za przywódcą.

Zeszli do połowy wysokości pagórka, gdzie leżało najwięcej zwłok Tlaxcalteków.

Zahred szedł pomiędzy nimi, jak gdyby szukając kogoś konkretnego... Wreszcie stanął nad jednym, ubranym w resztki poszarpanego pióropusza i haftowaną czerwoną szatę.

– Weź go pod ręce – przykazał, chwytając zabitego za nogi.

– Przecież on już nic na sobie nie ma... – mruknął de Monroy, mimo to posłusznie biorąc trupa pod ramiona. – Tamci, o tam, z nich jeszcze coś by się dało zdjąć...

Rzeczywiście, jak tylko zakończyła się bitwa, ludzie – zarówno Totonakowie, jak i Kastylijczycy – wzięli się do obdzierania trupów. Co rusz widać było, jak klóć się i szamoczą nad ciałami, dyskutując głośno o podziale łupów. Wciąż niesyci zdobywcy wracali na dół, szukając nietkniętych ciał; objuczeni kosztownościami wracali, zbici w grupki, żeby nikt nie odebrał im cennego łupu.

– Ma wszystko, czego potrzebuję – warknął Zahred.

Zanieśli trupa na górę, do obozowiska. Ludzie patrzyli na nich ze zdziwieniem, trącali jeden drugiego łokciami: patrzcie, Czarny Kapitan, zamiast



pozbywać się ciała, to ściąga je do siebie!

Zahred nie zwracał jednak na to uwagi. Skinięciem głowy podziękował de Monroyowi, sam zarzucił sobie trupa na plecy i wniósł po kilkunastu schodkach prowadzących do świątyni.

– Przynieś mi kociołek! – rzucił jeszcze.

Kiedy de Monroy wrócił do niego po kilku minutach, stanął jak wryty.

Zahred klęczał nad trupem, teraz przypominającym otwarty siłą, niedojrzały jeszcze kwiat róży. Rozcięta równymi, prostymi liniami skóra zwisała z boków ciała, odsłaniając blednące teraz i nabierające fioletowego odcienia mięso. Żyły, pasma białawej tkanki, organy wewnętrzne – wszystko to było teraz na wierzchu.

– Panie? – odezwał się de Monroy niepewnie.

Czarny Kapitan obrócił ku niemu twarz.

Żołnierz aż zadrzał: miał w tej chwili wrażenie, że tam, na szczycie tej dziwacznej świątyni ku czci nieznanym bogów, w tym barbarzyńskim kraju, ma do czynienia z kimś zgoła innym od człowieka, który z uśmiechem gładkimi słowami rekrutował go do swej kompanii awanturników.

– Podaj tutaj – powiedział Zahred, wyciągając ku niemu dłoń pełną czegoś żółtego, śliskiego i przelewającego się pomiędzy palcami.

Wycięty z trupa tłuszcz plasnął o dno kociołka.

De Monroy poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, ale dzielnie przełknął ślinę, przez zaciśnięte skurczem zęby zapytał:

– Panie, co... co robicie?

– Zbieram to, co mogą nam jeszcze dać pokonani. Ludzkie ciało, towarzyszu, to o wiele więcej niż tylko martwa powłoka. W żebrach kryje się życiodajny szpik. Piszczele i kości przedramienia nadają się na całkiem przyzwoite groty włóczy. – Zahred mówił spokojnie, jak nauczyciel do dziecka, miarowymi cięciami noża zdejmując skórę i wycinając tłuszcz. – Z jelit można porobić cięciwy. Ściągną przydadają się na wiązania. Trzeba uważać tylko na pęcherzyk żółciowy... Zęby nadają się na guziki. Z włosów można zrobić doskonałą, mocną nić. Przede wszystkim zaś mamy tu dużo, dużo mięsa. No i tłuszcz oraz skórę.

– Będziemy robić z niego... – zaryzykował de Monroy. – Polewkę?

– Jeść trupy? Nie, do tego nie doszliśmy. Jeszcze nie teraz przynajmniej.

Kolejna porcja tłuszczu pacnęła miękko.

– Co więc...?

– Tłuszcz, mówię. No, to powinno wystarczyć. – Zahred wyczyścił ręce z żółtawej, śliskiej tkanki. Podał naczynie de Monroyowi. – Weź to i wstaw na ogień, bądź tak dobry.

– A wy, panie? Co wy...? – Szlachcic ujął kociołek, czując, jak żołądek zwija mu się w supeł.

Jego kapitan spojrzał na połowicznie oskórowanego trupa, pokiwał głową.

– A ja zrobię nam prawdziwą chorągiew.



Kiedy dobrą godzinę później Zahred schodził ze świątyni, niosąc w ręku ociekającą krwią, wlokącą się za nim po schodkach szmatę z ludzkiej skóry, tłuszcz niemalże już się przetopił i przestał dymić.

Ludzie, owszem, pilnowali ognia, ale widać było, że żaden nie chciał siedzieć szczególnie blisko kociołka.

Zahred zajrzał do niego, pokiwał głową.

– Valdés! – zawołał na chorążego. – Zaczepcie do swojej piki poprzeczkę, byle solidną. Będzie wam ciężko, dopóki nie wyschnie... Dacie radę?

– Dam, jasne, że... – Valdés podniósł się, dopiero potem zobaczył, co trzyma w ręku Zahred. Dodał dwa do dwóch. Zbladł. Przelknął z trudem ślinę. – Dam.

– Zuch. Do roboty, za pół godziny wymarsz.

Zahred zdjął kociołek z ognia i poniósł w kierunku namiotu Pedra Lopeza, pełniącego rolę lekarza.



Szli przez niegościny, kamienisty płaskowyż niczym oddział duchów.

Zmęczeni, pokryci zaschniętą krwią własną i cudzą. Pachnący potem i dymem prochowym. Milczący, zacięci, zdecydowani.

Nie zdążyli nawet porządnie odpocząć.

Zahred wynegocjował tyle, że jego kompania jako pierwsza dostała świeże bandażę i maści lecznicze. Reszta musiała zadowolić się opatrzeniem ran doprawionym ziołami, ciepłym tłuszczem, na temat którego medyk nieszczęśliwie chciał rozmawiać.

Ponad ich głowami łopotała w porywach wiatru upiorna chorągiew – rozpięty na patykach, przywiązany rzemieniami groteskowy kształt, niegdyś będący powłoką cielesną człowieka, na której teraz czerniły się wypalone dziwne, koślawe znaki.

– Co to znaczy? – Juanito szturchnął idącego obok Rodriga, ale ten tylko potrząsnął głową. – No weź, powiedz... Ty wiesz, nie?

– Nie wiem! – warknął w końcu arkebuzer, uparcie patrzący w czubki własnych butów.

– Wiesz... Wiesz przecież. To jego imię, nie? Ale jakie to litery, arabskie?

– Nie wiem – powtórzył uparcie Rodrigo.

Za nimi dymiły od pożarów już trzy wioski, zbliżali się teraz do kolejnej.

Kiedy wychodzili z obozu na wzgórzach, razem z nimi wyruszyła druga kolumna pod wodzą samego Cortésa: caudillo zabrał aż setkę ludzi na drugą stronę doliny, tak samo jak Zahred zamierzając rabować, palić i mordować.

Podobne ekspedycje karne prowadzili przecież jeszcze we dwóch na Hiszpanię i Kuby.

Tam jednak wszystko było... mniej dzikie. Mniej okrutne.

Natomiast tutaj, poza prawami cywilizowanego świata, każdy mógł być aż sobą – albo zaledwie sobą.

Weszli pomiędzy pola uprawne, na ubogie pastwiska. Zaciekawieni ludzie przystawali, wychodzili przed chaty, aby zobaczyć: kogóż to przywiła wiatry? Co to za nieoczekiwani goście...?

– Miecze w dłoń! – zakomenderował Zahred, z sykiem dobywając pałasza.

Wkrótce kolejny słup dymu dołączył do poprzednich.



Kiedy wrócili do obozu, była już noc.

Gdzieś w ciemnościach krzyczały ptaki, nawoływały się szakale.

Ciężki, słodkavo-duszący smród rozkładających się ciał zaczynał być coraz bardziej wyczuwalny.

Większość ludzi spała, słychać było pochrapywanie, rwane oddechy i niespokojne mamrotanie przez sen.

– Spocznij – wydał rozkaz Zahred, pozwalając ludziom w końcu odpocząć. – Jutro znów jest dzień.

– Kolejna rejza? – Podszedł do niego de Monroy.

– Zobaczymy. Nie można pozwolić im przywyknąć do naszych zwyczajów. Poza tym...

Urwał, nastawił ucha. W ciszy nocnego obozu nadal słychać było skowyt.

– To ten szczeniak – mruknął de Monroy. – Trzeba będzie go dobić, bo przecież szkoda, żeby...

Zahred ruszył w tamtym kierunku.

Podszedł ku nieruchomej, skołtunionej plamie szarości wśród mroku, a słysząc głuche, gardłowe warczenie, zatrzymał się. Przykucał.

– Hej, mały... – odezwał się w języku, którego na pewno nie pamiętał już nikt z żyjących.

Znów warkot. Światło ogniska odbiło się w ślepiach, błysnęło na obnażonych zębach.

– Hej, nic ci nie zrobię. Jej też nic nie zrobię. – Zahred spojrział na martwą od kilku dni sukę. – Nikt jej już nic nie robi, wiesz? Patrz, co dla ciebie mam...

Wyciągnął z sakwy placek, odłamał kawałek i rzucił. Pies na chwilę przestał warczeć, ale nie wziął jedzenia.

Mężczyzna tylko wzruszył ramionami, sam ugryzł i zaczął przeżuwać.

– Jak sobie chcesz. Możesz zdechnąć tutaj przy niej, ale... Ale to nic nie da. – Uśmiechnął się. – Albo możesz zacząć jeść. No już, spróbuj, co?

Wypluł pogryziony placek na otwartą dłoń i zaczął powoli, nie wstając z ziemi, przysuwać się do psa. Ten zawarczał głośniej, obnażył zęby.

– Spokojnie, spokojnie. Nie ruszę cię... noo... i...

Pies zachłysnął się warkotem i skoczył na Zahreda. Wpił mu się zębami w przedramię, szarpnął łbem, rwąc skórę. Ten tylko syknął i zacisnął drugą pięść, czekając cierpliwie... Pies złapał zębami jeszcze raz, poprawił chwyt, zacisnął mocniej.

– Już?

Kolejne gardłowe warknięcie, rzucenie łbem, ale już spokojniejsze.

– Mam jedzenie. Widzisz?

Pies strzelił oczami w bok, ku wciąż otwartej dłoni z kukurydzianą papką. Rozluźnił chwyt, przesunął pysk w kierunku nadgarstka, gryząc coraz słabiej.

W końcu puścił i pochłonął wszystko, co tylko znalazł. Wylizał resztki.

Zahred skrzywił się, podkasując rozerwany rękaw. Popatrzył krytycznie na ranę i lejącą się po ręce krew. Wyjął z sakwy pozostałą część placka, wytarł nim przedramię i zaczął rwać na małe kawałki, dając psu.

– No widzisz, mały. No właśnie... Nie, nie zabiorę cię od niej. Nie wezmę, nie – mrucał, drapiąc tamtego za uszami. Usadowił się tak, że plecami oparł się o wzdęte cielsko zwierzęcia. – Tak? Jeszcze byś chciał? No czekaj, może coś jeszcze mam...



Kiedy wstał błydy świt, zdumieni ludzie zamiast w jego namiocie znaleźli Czarnego Kapitana śpiącego z głową na brzuchu martwej suki.

W jego objęciach, otulony ramieniem zawiniętym w oderwany,  
prześląknięty krwią rękaw koszuli, spał z wywalonym jęzorem szczeniak.



## Rozdział 4

**I** co Xicotencatl radzi teraz? Co mamy zrobić?!

Wojownik potoczył spojrzeniem po braciach i towarzyszach broni. Zatrzymał na chwilę wzrok na Maxixcatzinie, ale twarz tamtego była niewzruszona.

Przybysze siedzieli na wzgórzu już tydzień i najwyraźniej nie zamierzali się z niego ruszyć. Każdy atak, czy to większy, czy mniejszy, kończył się podobnie – sromotnym odwrotem, po którym na zboczach zostawały tylko kolejne trupy poległych.

W dodatku oddziały obcych coraz śmiej wyprawiały się na łupieżcze rejzy, paląc kolejne wioski i miasta.

– Czekamy – wycedził Xicotencatl. – Ulegną w końcu głodowi. Nawet Temilotecatł słyszał, co donieśli ludzie ze wzgórza: wielu białych choruje. Inni są słabi.

– Słabi! – parsknął Temilotecatł. – A czy syn Xicotencatla widział, jak wrócili ludzie, których on sam wysłał tam, na wzgórze? Co zrobili im przybysze? Widział, owszem.

A przecież plan był dobry, zatwierdzili go wszyscy inni wodzowie!

Uradzili, że wyślą do obozu tamtych pięćdziesięciu ludzi, młodych i dobrych wojowników, rzekomo jako poselstwo pokojowe. Przygotowano dary, nawet cztery kobiety, aby przybysze złożyli je w ofierze dla swoich bogów i zjedli posiłek.

Wojownicy mieli zostać pośród przybyszów aż do zmroku. Poznać ich obóz, zobaczyć, skąd najdogodniej go zaatakować. Potem kilku z nich miało pod osłoną ciemności wydostać się i zanieść wieści do czekających w pobliżu oddziałów z Tlaxcali, które przypuściłyby szturm na najsłabszy punkt.

Pozostali mieli uderzyć na Hiszpanów od środka, podpalić ich szalasy i spowodować zamieszanie, pozwalając braciom bez trudu zdobyć umocnienia i przechylić szalę zwycięstwa.

Co z tego jednak, skoro przybysze musieli znać czary i czytać w myślach?!

Rzekomych posłańców wygnano ze wzgórza jeszcze przed wieczorem. Szli, zawodząc i jęcząc z bólu, prowadzeni pod sztandarem z ludzkiej skóry przez ubranego na czarno człowieka. W końcu stanęli w połowie drogi, a wtedy tamten pognął ich naprzód, bijąc kijem... Aż w końcu dobył siekiery i jednym ciosem rozrąbał głowę najmężniejszego z nich, krewniaka samego Maxixcatzina, niezapomnianego i dzielnego Ixcamaca.

Reszta dotarła do armii Tlaxcalteków, którzy dopiero wtedy zobaczyli, co zrobili im przybysze.

Niektórym ucięto prawe ręce i zawieszono na szyjach niczym amulety.

Pięciu wylupiono oczy i związano szyje długim sznurem, zaś szóstemu zostawiono jedno oko, aby ich prowadził.

Wielu miało obcięte uszy albo nosy, kilku pokazywało okaleczone dłonie, na których brakowało kciuków, dyndających im przy uszach jak kolczyki...

„Powiedźcie Tlaxcali i jej wodzom, że nie godzi się żołnierzom i uczciwym wojownikom zniżać się do tak haniebnych podstępów”, przekazał słowa człowieka spod skórzanego sztandaru jeden ze ślepców, „zaś my jesteśmy gotowi przyjąć walkę czy to w dzień, czy w nocy, bo nasz Bóg ujrzał nas”.

I teraz nadchodził już wieczór. Wojownicy byli w gotowości, ale ich plan został przejrany!

– Czekamy! – powtórzył Xicotencatl.

Wodzowie zamruczeli, niezadowoleni, ale żaden nie zaoponował.



– Panie, panie! Do caudilla przybyli posłowie od Montezumy!

Zahred oderwał się od karmienia swojego szczeniaka, podniósł wzrok na żołnierza. Pies zawarczał, ale pan od razu syknął na niego: nie wolno, nie bez rozkazu.

– Dawno? – zapytał.

– Dopiero co weszli! Caudillo przyjmuje ich w dużym namiocie...

– Chodź! – Zahred cmoknął na szczeniaka, który podniósł się z mruknięciem i podreptał za swoim nowym panem.

Szedł przez obóz, mimochodem rejestrując sytuację.

Nie było wesoło: duża część żołnierzy siedziała zawinięta w koce, kasłała głucho. Niektórzy leżeli, nakryci pledami i płóciennymi pancerzami. Większość rannych nadal nie wylizała się po bitwach i męczyła się teraz u medyków.

Na dalekim krańcu wzgórza, kawalek za obozem, wznosiło się już kilka krzyży przy ułożonych z kamieni mogiłach. Jako pierwszy wyzionął ducha de Morón, który w końcu uległ ranom odniesionym jeszcze w wąwozie; potem kilku innych, których organizmy po prostu się poddały.

Od opuszczenia Vera Cruz stracili już dobre pół setki ludzi, przy czym raptem kilku w bitwie... a teraz swoje żniwo zaczynała zbierać choroba.

Żołnierze pili wino z miodem, który ludzie Zahreda przynieśli z jednej z wypraw, oficerowie zażywali zabrane jeszcze z Kuby pigułki z rumianku, jednak niewiele to dawało.

Wciąż brakowało wody oraz żywności, nie mówiąc o paszy dla koni. Zwierzęta były tak słabe, że podczas ostatniej wyprawy zaczęły dosłownie potykać się o własne nogi i trzeba było je odesłać z powrotem, a „podjazd” zmienił się w „podchód”.

I teraz przybywali posłowie Montezumy.

Ciekawe.

Przy namiocie stali już tragarze i służący, piętrzyły się pakunki. Kastyljczycy patrzyli na ten orszak z zainteresowaniem o wiele mniejszym niż na początku, kiedy każde takie poselstwo było wydarzeniem. A teraz? Ot, przyszli kolejni, przynieśli złoto. No, może więcej złota, bo to od samego króla. Ale kto by się przejmował?

Gdyby mieli ze sobą jedzenie, o! Albo najlepiej kilka antałów wina...

Zahred skinął głową wartownikom przy wejściu, wszedł do środka. Przepchnął się na przód i przykucnął obok psa, który od razu zawarczał na Indian.

Sześciu dostojników w ceremonialnych pióropuszcach stało przed Cortésem, który siedział na swoim fotelu, blady i słaby od gorączki. Wokół tłoczyli się kapitanowie i dwór caudilla.

Wystrojony w dwa kolorowe płaszcze ambasador właśnie skończył mówić, jego słowa zaczęła powtarzać po hiszpańsku Malintzin, stojąca obok Cortésa:

– Ich pan i władca, najwyższy król Montezuma, bardzo cieszy się na wieść o naszym zwycięstwie nad Tlaxcaltekami. Mówi, że zarówno oni, jak



i reszta mieszkańców tych gór to zdraдлиwe, dzikie zwierzęta, którym nie wolno pod żadnym pozorem ufać...

– Przyganiał kocioł garnkowi – warknął caudillo, szczękając zębami.

Ludzie zaśmiali się, ambasador uniósł brew: przecież jego słowa nie były zabawne.

– Ambasador Teudile mówi też, że cieszy się z bliskości Cortésa i tego, że biały wódz pozostaje w dobrym zdrowiu. Przysyła prezenty ze złota, bawełniane stroje i ozdoby z piór.

Skinęła ambasadorowi na znak, że skończyła.

Ten zawołał na tragarzy, którzy zaczęli wnosić i układać wyjmowane z płóciennych worków ozdoby, szczerozłote misy, naszyjniki z kolorowych kamieni, ogromne wisiory, jadeitowe figurki... Ludzie zamruczeli, pokazując sobie na te kosztowności: tego przecież będzie jeszcze więcej niż poprzednim razem!

– Niech doña Marina powie... – Cortés zakasłał, otarł usta chustką. Upił łyk wina. – Powie, że cieszymy się wielce z tych darów. Szkoda tylko, że naszyjniki nie są z przepiórczych jajek, a pióropusze z boczkuu...

– Albo ulepione z kaszy! – rzucił któryś z kapitanów.

– A wisiory ze świńskich kiełbasek! Ile ja bym teraz dał za taką...!

– Ci-cho! – Caudillo huknął ręką w stół, pokazał Malintzin, żeby tłumaczyła.

Ambasador Teudile wysłuchał, pokiwał głową ze zrozumieniem i powiedział swoje.

Zahred nie mógł nie zauważyć nagłej zmiany w twarzy kobiety.

Drgnęła, zaczerpnęła powietrza, potrząsnęła głową. Zapytała o coś tamtego tak szybko, że on wyłapał tylko pojedyncze słowa. Ambasador powtórzył, pokiwał poważnie głową.

– Mówi... Mówi, że jego król, najwyższy Montezuma...

– Co z nim?

– ...chętnie zostanie wasalem króla Hiszpanii.

Caudillo zamrugał, potoczył wzrokiem po kapitanach. Ci poruszyli się, któryś klasnął w ręce: nareszcie!

Cortés obliznął usta i wychylił się w przód na fotelu, trzymając się podłokietników.

– Co jeszcze?

– Powiedział, że Montezuma gotów jest płacić coroczny trybut i że to Cortés ma określić jego wysokość. Może przekazywać go w złocie, srebrze, cennych kamieniach bądź szatach.

– Powiedz im, że zgadzamy się i że jego król podjął słuszną decyzję... Na Boga, nareszcie! Nareszcie, dobrzy panowie! – zwrócił się do reszty Hiszpanów caudillo.

Malintzin przetłumaczyła, wysłuchała odpowiedzi. Zawahała się.

– Hernán... To jest wasza miłość. Jest jeden warunek.

– Mów...?

– Wielki Montezuma nalega, aby Cortés jednak nie odwiedzał go w Tenochtitlán. Mówi, że z przyjemnością spotkałby się z Cortésem, ale drogi są złe, prowadzą przez nieprzyjazne okolice. Ponadto w stolicy brakuje żywności. Nie chciałby, aby jego przyjaciele Kastylijczycy musieli znosić aż takie trudy.

Cortés odchylił się na swoim fotelu, jego oczy błysnęły. Wyszukał wzrokiem w tłumie Zahreda, spojrzał pytająco.

Ten tylko skrzywił się i kiwnął głową, nie przestając głaskać psa.

– Powiedz Montezumie, że rozważę jego słowa. – Cortés chwiejnie wstał na znak, że audyencja dobiegła końca.

Ambasador skłonił się i wyszedł. Kiedy za tamtym zasunęła się płachta namiotu, caudillo ponownie opadł na fotel bez sił – zaś dokoła wybuchł rejwach.

– Chcą nam się poddać! Alleluja!

– Stawiają warunki! Niedoczekanie! Człowiek nie wybiera sobie pana, ale dziękuje mu...!

– To kolejny podstęp!

– Słyszeliście, co mówi? Nie wolno ufać tym Indianom!

– Udało się! Udało, słyszycie...?!

– Wracamy do domu!

– Oni też nie mają żywności, więc co mamy tu robić?

– Przysyłają złoto, dadzą nam więcej...!

Zahred przecisnął się przez tłum, spojrzał na bladego, spoconego Cortésa. Ten przewrócił tylko oczami, pokręcił głową.

Wystarczyło.

Huknęło, kiedy ostrze siekiery wbiło się w drewniany blat, rozłupując deskę na pół.

Ludzie podskoczyli, zamarli, obrócili się w tamtą stronę.

Popatrzyli zdumieni na Zahreda. Ten odsunął się i wskazał na caudilla.

Cortés odchrząknął i sięgnął po kubek, który od wcześniejszego uderzenia przewrócił się, rozlewając resztkę wina na stół. Podniósł go, wysączył parę ostatnich kropli.

– Montezuma się nas boi, panowie – zachrypiął z wysiłkiem.

– Boi się i chce nam płacić trybut! – Z tłumy wystąpił de Alvarado, oparł się pięściami o blat. – O czym jeszcze moglibyśmy marzyć? Czego możemy chcieć więcej?

– Wszystkiego – powiedział cicho Zahred.

– Piękne słowa! I co, myślicie niby, że pójdziemy tam i co? Weźmiemy Tenochtitlán siłą?

Zahred i Cortés wymienili spojrzenia.

– Tak.

Cisza, która zapadła po tych słowach, była jeszcze głębsza niż poprzednio.

Słychać było, jak na zewnątrz rozmawiają ludzie, szczekają psy.

O płótno namiotu zaczęły bębnić pierwsze krople deszczu.

– *Omne regnum in se ipsum divisum desolabitur* – odezwał się Cortés. – Skłócone wewnętrznie królestwo nie może się ostać, panowie. Widzicie sami: jedni szcują nas na drugich, każdy oskarża innych o zdradę. Wydaje się, że imperium Montezumy to kolos, ale na Boga! Powiadam wam, że jego nogi są zrobione ze źle wypalanej gliny.

– Totonakowie zarzekali się, że nie staną się naszymi sojusznikami – rzekł Zahred. – A popatrzcie na nich teraz!

– I uważacie, panie, że tak samo dołączą do nas inni? – zapytał z przekąsem de Sandoval.

– Dokładnie tak. Zobaczycie, że prędzej czy później sami przyjdą na kolanach.

– Po waszych rejsach? Po tym, co ludzie opowiadali, że robicie z osadami? Myślicie, że o tym nie wiemy?

– Mam nadzieję, że jesteście tego świadomi, panie. Zarówno wy, jak i tamci...

– Dość – uciął Cortés. – Panie, chcieliście coś powiedzieć?

Alonso de Grado odchrząknął, wystąpił na środek. Był jednym z najstarszych towarzyszy caudilla, cieszył się powszechnym mirem i poważaniem.

– Panowie... I wy, pani. – Skłonił się przed Malintzin. – Montezuma wysłał do nas parlamentariuszy, to niewątpliwy sukces. Ostrzega nas przed Tlaxcaltekami... Słusznie czy nie, nie o tym będę mówił. Jednak zważcie, towarzysze: ci ludzie, z którymi bijemy się już dziesiąty dzień...! Oni są zaledwie poddanymi Montezumy! Jego daleką forpoczta, prowincją... A co, jeżeli sami Mexikowie biją się lepiej od nich? Jeśli jest ich więcej?

– Nikt nie chce, przynajmniej na razie... – Cortés machnął ręką, urwał. – Mówcie zresztą, mówcie.

– Pokornie dziękuję. Jest faktem, dobrzy panowie, towarzysze, że do tej pory Bóg wspomagał naszą wyprawę! Nikt nie będzie chyba kwestionował, że Jego opatrność czuwa nad nami. – Spojrzał ku górze, przeżegnał się, a inni powtórzyli ten gest. – Czy jednak rozsądnie jest wystawiać na próbę Jego cierpliwość?!

– Do czego dążycie, panie? – warknął Zahred.

De Grado nabrał tchu, potoczył po zgromadzonych wzrokiem.

– Wróćmy do Vera Cruz. Zbudujmy statek na miejsce tych, które spłonęły! Nie należało, och, nie należało ich pochopnie niszczyć! – Załamał teatralnie ręce.

Zahred słuchał tego i czuł, że gdyby był psem, to właśnie powoli kładłby po sobie uszy i obnażał zęby.

Zdarzało mu się tęsknić do czasów, kiedy każdą dyskusję można było przenieść w bardziej wymierny, namacalny format: dwaj ludzie, dwa miecze lub topory, krąg wydeptanej ziemi... Tutaj jednak musiał zachowywać pozory.

Tym bardziej że część ludzi zdawała się zgadzać z de Gradem.

Zmęczeni, wygłodzeni, nierzadko chorzy czuli teraz, że nie walczą o złoto ani łupy, tylko o ciepły kąt i miskę stawy.

O własne życie.

Tymczasem de Grado ciągnął swoje:

– Zważcie, dobrzy panowie: żaden z wielkich dowódców wieków minionych nie poważyłby się na tak ryzykowny czyn! Ani Juliusz Cezar z jego legionami, ani też Aleksander zwany Wielkim nie rzuciliby się z tak szczupłymi siłami przeciwko całemu imperium, nie poszliby bez rozeznania w tak nierozumną awanturę...

– Ahem... – odchrząknął Zahred.

– ...nie poważyliby się rzucić tej garstki, jaką jest nasza armia, przeciwko tak licznemu przeciwnikowi! I teraz mówię: zawróćmy! Wezwijmy posiłki, abyśmy dali radę wrócić do domu... Oby nas Bóg raczył wrócić do pięknej Kastylii!

De Grado zamilkł, skłonił się niczym w teatrze i zamarł w pozie oratora.

Część ludzi dała się porwać nastrojowi chwili, zaczęli nawet klaskać i potakiwać: dobrze mówi, słusznie! Trzeba zawrócić!

Jednak Cortés siedział na swym fotelu, mroczny i nieporuszony. Malintzin dołała mu wina, zwilżył usta i odezwał się:

– Pan kapitan Zahred ma rację: Tlaxcaltekwowie przyjdą do nas na kolanach i będą prosić o pokój. Założmy, że zawrócimy do Vera Cruz, niech będzie. I co dalej? Jak wytłumaczymy się z tego Totonakom? Co powiemy? Że prowadziliśmy ich ku wolności, ale zrezygnowaliśmy? Jak przejdziemy przez te same drogi, te same wąwozy? Co będziemy jeść i pić?!

Ludzie zmarkotnieli, pospuszczali głowy.

Zahred przysunął się do fotela caudilla, stanął za nim. Wiedział, że w takich chwilach trzeba jasno okazywać wsparcie.

– Nasza droga może być trudna, panowie, może być nawet zła. Ale zapewniam was, że zawrócić teraz znaczyłoby tyle, co wydać na siebie wyrok śmierci! Tak, jest ich wielu, a nas mało... I co z tego? – Caudillo zaśmiał się chrapliwie. – Tyle, że będzie więcej łupów na każdego! Nie zawracamy, nie składamy broni! *Santiago y cierra, España!*

– *Santiago y cierra, España!* – powtórzyli ludzie, może bez entuzjazmu, ale za to wszyscy razem.

Narada dobiegła końca, żołnierze zaczęli wychodzić z namiotu i przebiegać ku swoim kwaterom. Zahred został chwilę dłużej, chcąc zamienić z Cortésem jeszcze parę słów na osobności.

– On musi odpocząć – powiedziała od razu Malintzin. – Pomówicie rano.

– Rano... Hernán, dasz chyba radę? – Zahred uniósł brew.

Cortés, który ledwie zdołał podnieść się z fotela, przytaknął.

– Mów, byle krótko.

– Biorę ludzi, wychodzimy pod wieczór. Wrócimy najdalej w południe.

– Nocny wymarsz... – Caudillo pokręcił głową.

– Nie ma co przyzwyczajać Indian do regularności. Oni chcieli uderzyć na nas nocą, niech teraz doświadczą tego samego.

Cortés machnął ręką, dając do zrozumienia, że w tej chwili jest mu wszystko jedno.



Szykowali się już do wyjścia, przypasując sakwy i dopinając sprzączki pancerzy, kiedy Gutiérrezz zawołał do kapitana, przekrzykując szum wody:

– Panie, panie! Macie gości!

Zahred odwrócił się, zasłonił oczy od blasku latarni: koło żołnierza stała Malintzin. Uniósł brew, zdumiony.

– Doña Marina. Czemu zawdzięczamy tę nocną wizytę?

– To nie czas na kurtuazję, kapitanie. Idźcie nocą, a nie za dnia, żeby wrogowie nie przywykli do waszego rytmu?

Kiwnął głową, nawet nie patrząc, zajęty wiązaniem rzemieni.

– Nie należy stawać się przewidywalnym.

– Więc chociaż raz zachowajcie się też inaczej...!

Zamarł. Podniósł wzrok i popatrzył na nią, stojącą w strugach deszczu. Było w niej coś... Coś, czego nie potrafiłby nawet w tamtej chwili nazwać. Przypominała mu kogoś, kogo znał dawno temu. A może postać z sennego widzenia, która tylko przyśniła mu się niegdyś i teraz nie chciała dać spokoju?

Potrząsnął głową, wracając do tego, co było tu i teraz.

– Co takiego doña Marina ma na myśli? – zapytał, ważąc słowa.

Podeszła do niego blisko. Tak, że niemal poczuł zapach jej oddechu na twarzy.

– Ludzie, śmiertelni ludzie zachowują się przewidywalnie. Przychodzą z bronią, zabijają, grabią i palą. Czy chcemy być dla nich tylko ludźmi? – powiedziała.

Nie odpowiedział, tylko odwrócił się i machnął na swoich: idziemy!



Noc była czarna, nieprzenikniona dla wzroku, pełna dziwnych odgłosów.

Szli powoli, noga za nogą, i tak co chwila potykając się i niemalże przewracając. Nałożone na pancerze, teraz ciężkie od wody płaszcze tłumiły pobrząkiwanie żelaza. Szum deszczu zagłuszał ich kroki. Jednak i tak każdy z nich miał wrażenie, że słycać ich na miłę.

Po jakiejś godzinie od wyjścia z obozu minęli pierwszą ze spalonych wcześniej wiosek, ciemną i cichą.

Puste domy straszyły czarnymi otworami okien.

W wyziębionych komórkach dźwięczała cisza.

Tu i ówdzie leżały jaśniejszymi wśród nocy plamami trupy, częściowo objedzone już przez dzikie zwierzęta i ptaki.

Przeszli przez to miasto duchów bez słowa, tylko Zahred zatrzymał się na chwilę.

– Idźcie dalej – polecił, a sam ujął siekierę i zaczął drapać ostrym końcem żelęca w pobielonym tynku ściany.

Ludzie byli już dalej, kiedy dogonił ich, zostawiając za sobą wyskrobany w ścianie pionowy rząd znaków.

Potem dotarli do sporej dolinki, w której była jeszcze jedna osada. Mieszkańcy uciekli kilka dni temu, w środku nie było nic do zabrania, więc obeszli ją z boku i ruszyli dalej korytem strumienia.

Umysł płał figle, tworzył w ciemności ruchome kształty, postacie zwierząt i ludzi.

Znużony jednostajnym bębnieniem kropel o hełm słuch zaczynał wynajdować w melodii deszczu swój własny rytm, niczym śpiewaną przez matkę w dzieciństwie kołysankę.

Od czasu do czasu z ciemności dolatywał inny dźwięk, a wtedy nagle unosili głowy, rozglądając się niespokojnie.

Co to było?

Skąd doleciało?

Czy to tylko kamienie osunęły się ze zbocza, czy ktoś tam szedł?

Może to tylko dzikie koty nawoływały się w dolinach... Ale czy na pewno?

Chyba słycać było okrzyki wrogów?

Na chwilę serce biło szybciej, oczy otwierały się – ale potem znów napływało zmęczenie i senność. Powieki opadały, zgrabiące ręce słabły i wypuszczały broń. Wyczerpanie, chłód i choroba dawały znać o sobie.

Tylko ich kapitan zdawał się nie poddawać tym ludzkim słabościom. Szedł na przedzie, wysforowywał się czasami dalej, po czym wyłaniał się z ciemności niczym duch. Rozmawiał o czymś półgłosem z kilkoma totonackimi zwiadowcami, którzy w tej chwili stali się już nieodłączną częścią kompanii, wołał półgłosem na ludzi: tędy!

– Diabeł nie człowiek – warknął de Monroy do idącego obok Valdésa. – Jak on to robi?

– Jego by się spytać trzeba. Może to jego jedzenie ma sens? Wodę pije tylko rozrobioną z winem, mało mięsa... Cały czas zbiera te swoje zioła...

– Ja bym tak nie umiał. I jeszcze w kółko się myje... Jak często on to robi?

– Tak co trzeci dzień, chociaż w tym deszczu to wszystkim nam skóra od kości odejdzie. Na szczęście powoli przestaje padać, chociaż tyle. A widzieliście go, panie, jak się golił cały?

De Monroy potrząsnął głową, krople wody zleciały z runda kapelusza.

– Co? Jak to cały?

– No... – Valdés rozłożył ręce bezradnie, mimo że w ciemności gestu nie było prawie widać. – Normalnie tak. W swoim namiocie. Raz wszedłem, to miał namydlone nogi i właśnie taką jakby brzytwą...

– No co wy, panie? – De Monroy był pół na pół wstrząśnięty i zdumiony.  
– Jak to? Po co?

– Pojęcia nie mam. Ale ani się nie zawstydził, ani nic, więc chyba to nic bezecnego.

– Uff, dzięki Bogu. Powiem wam, żeście mnie...

– Cicho! – syknął z przodu Zahred.

Oddział zatrzymał się, sam jego dowódca stał teraz na wzniesieniu, pod które pieli się już dłuższą chwilę. Obok niego przykucnął Xochitl, który teraz pokazywał Wymalowanemu Człowiekowi palcem na nieodległe zabudowania.

– Duża wieś? – mruknął tamten.

Xochitl skrzywił się, słysząc źle postawiony akcent, ale zaraz się uśmiechnął. Schlebowało mu, że jeden z przybyszów chciał nauczyć się jego mowy, a teraz nawet dobrze używał słów. Nie wypadalo Xochitlowi poprawiać go teraz.

– Miasto, o wysoki! Miasto wielu ludzi, tak jak Xochitl mówił dwa słońca temu. Xochitl wiedział, że ścieżki muszą dokądś prowadzić.

– Mhm... Niech Xochitl weźmie tylu biegaczy, ile palców u dwóch dłoni. Podejdzemy bliżej.

– O wysoki! – wystraszył się Xochitl. – Tam mogą być wojownicy Tlaxcalteków! Jeśli...

Urwał, dosłownie czując na sobie wzrok Zahreda. Oczy tamtego lśniły w mroku niczym ślepiea dzikiego zwierza... Xochitl był już teraz, po kilku wyprawach wieczorem i o świcie, więcej niż pewien: ten człowiek widział w nocy nie gorzej od niego, wychowanego wśród lasów i zboczy Cempoalanu.

– Ruszamy – rzucił Zahred w języku *nahuatl*, zaś do ludzi odezwał się po hiszpańsku: – Czekać tutaj na mnie! Oczy dokoła głowy, hasło: słońce!

– Z nami – powtórzył zwyczajowy już odzew de Monroy, przeważnie obejmujący komendę pod nieobecność kapitana.

Zahred zrzucił pancerz, zdjął hełm. Przez chwilę zastanawiał się, ale potem ściągnął też mokrą koszulę: teraz i tak więcej by przez nią ciepła tracił, niż zyskiwał. Związał płaszcz tak, żeby mieć wolne ręce, zarzucił na gołe plecy.

Indianie patrzyli na niego z pewnym zdziwieniem, ale kiwając głowami z aprobatą: tak, ten z przybyszów ewidentnie wiedział, co robi. Inni bywali niezdarni, potykali się i robili dużo hałasu... Zaś on poruszał się bezszelestnie jak górski lew.

– Za mną – rzucił szeptem, wysuwając się na czoło grupy.

Wokół była tylko pusta, chłodna noc.

Księżyc to pojawiał się, to znikał za postrzępionymi, ciężkimi chmurami. Tu i tam przeblyskiwały gwiazdy. Pachniało wilgocią, skałami i roślinnością. W zagłębieniach terenu zaczynała podnosić się mgła.

Zahred przypadł do ziemi, rozczapierzoną dłonią przeciągnął po kamienistym gruncie i unióś ją do nosa. Zmysły wyostrzały się same, włosy na karku jeżyły się, gdy czuł nieodległą zdobycz.

Dawno, zbyt dawno już nie był w takim miejscu, pośród takich ludzi.

Spojrzał w bok, na sunącego po skałach niczym wąż Xochitla. Młody wojownik poruszał się bezszelestnie; reszta nie robiła więcej hałasu niż stado podchodzących do wodopoju kotów.

Tak.

Takie miejsce, taki szczególny rodzaj ciszy, w której wprawione ucho myśliwego potrafiło usłyszeć dosłownie wszystko.

Taka noc, jakiej nie pamiętał, odkąd...

Nagle Zahred poczuł, jak coś boleśnie ściska go w piersi. Gardło zacisnęło się w gwałtownym skurczu, oczy aż zapiekły... Zacisnęła pięść, nozdrza zadrgały mu spazmatycznie, gdy próbował uspokoić oddech.

To nic, powiedział sobie w myślach.

To tylko wspomnienia.

Nie ma już ani tamtych czasów, ani tamtych krain.

Wszystko odeszło, jakby nigdy nie istniało.

To tylko melancholia.

Gwałtowny przypływ nostalgii.

To było tylko...

...to była aż Ona.

Przez nieskończenie krótką chwilę, przez jedno okamgnienie wydawało mu się, że w chłodnym powietrzu poczuł Jej zapach.

Oczy otworzyły się szerzej, serce zabiło mocno, gwałtownie, w uszach zaszumiała krew.

Rozejrzał się.

Wokół była tylko pustka płaskowyżu, czający się pośród skał Totonakowie i odznaczające się bielą miasto.

Zacisnął powieki i potrząsnął głową, próbując odegnąć dawno pogrzebane wspomnienie.

Podpełzli jeszcze kawałek bliżej, zagłębili się pomiędzy poletka kukurydzy i zagrody dla ptactwa. Pierwsze chaty obchodzili bokiem, ale stopniowo musieli wchodzić pomiędzy budynki, które stały coraz gęściej.

Zahred zamarł, pokazał ręką: stać!

Przy jednym z większych domostw stał wartownik.

Poprawił chwyt na siekierze, rozciągnął wargi w drapieżnym uśmiechu i ruszył naprzód.





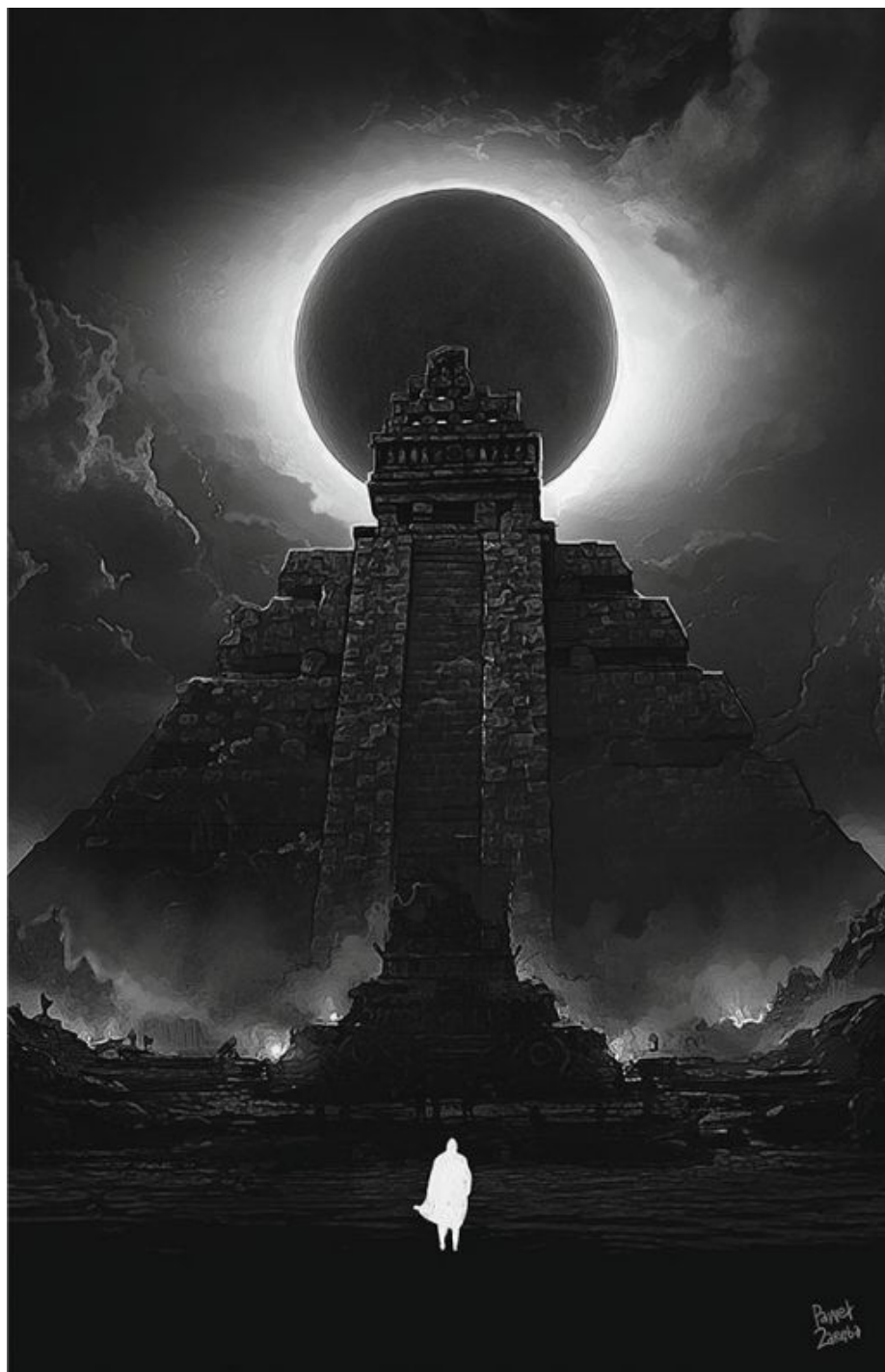
Maxcatl spał niespokojnie tej nocy.

Najpierw nie mógł długo zasnąć po tym, jak zjadł zbyt dużo tłustego psiego mięsa z pastą kukurydzianą. Przewracał się z boku na bok na swojej macie, słysząc, jak inni wojownicy już chrapią – a przez to sam denerwował się coraz bardziej.

Potem już prawie, prawie zapadł się w odmęty niepamięci, ale zaczął padać deszcz. Jednolity, głośny szum, zamiast ukołysać do snu, rozżościł go tylko i wybudził.

Nareszcie udało mu się oderwać od świata cielesności, ale po drugiej stronie Kotary Mroku też nie znalazł ukojenia.

Maxcatlowi śniło się, że śpi u stóp wielkiej czarnej piramidy, na której szczycie płonęło czarne słońce. Mimo że próbował odwrócić wzrok, nie mógł przekreślić głowy dostatecznie daleko, bo kątem oka wciąż widział tę piramidę. Wysoko na niej kręciły się postacie. Maxcatl widział, jak ogień odbija się w błyszczących koszulach, których nie dało się przebić mieczem. A potem na szczycie piramidy wykwitł obłok dymu, z którego wyleciały czarne pioruny. Maxcatl nie mógł się poruszyć, widząc, jak wokół niego wszyscy, których znał i kochał, padają martwi.



Planet  
Zaneta

Zaś z kłębiącej się szarości na szczycie piramidy wychynął w strugach krwi wielki, wijący się i mieniający wszystkimi kolorami tęczy wąż o łuskach z piór.

Maxcatl chciał uciec, lecz nogi jakby przyrosły mu do zalanej szkarłatem ziemi.

Po stopniach piramidy spływała krew, a on nie mógł się ruszyć, czując, jak krew podnosi się coraz wyżej, sięga mu już do kostek, do kolan...

Zadrżał tylko, kiedy ogromna istota nachyliła się nad nim, spojrziała prosto na niego zimnymi, popielatymi oczami, rozwarła paszczę...

...a wtedy Maxcatl krzyknął przez sen i obudził się.

Leżał długą chwilę, nie otwierając nawet oczu i czując, jak wali mu serce, po skroniach zaś ścieka pot.

Przeciągnął dłonią po twarzy, załkał z cicha.

Otomi nie wypadało płakać.

Otomi nie okazywali emocji, chyba że rodziło się dziecko, umierał ojciec albo wygrało się bitwę. Szczególnie nie przystawało to wodzowi Otomi, który – tak jak Maxcatl – prowadził ze sobą prawie tysiąc wojowników.

Natomiast minęło wiele, wiele miesięcy, odkąd Otomi ostatnio wygrali jakąkolwiek potyczkę... I nie zanosilo się na to, aby teraz miało być inaczej.

Na pewno nie po tym, co stało się niedawno.

Maxcatl wciąż miał przed oczami ten niedawny dzień, kiedy poszli do ataku w wąwozie. Pamiętał, jak biegł niemalże ramię w ramię z walecznym Yxtlim, który przewodził wtedy wszystkim Otomi z dwunastu dolin.

Wielkim, silnym i zwinnym Yxtlim, który nie bał się niczego.

A potem znikąd pojawił się ten ubrany na czarno człowiek, który zabił Yxtlego tak, jakby tamten był trzyletnim dzieckiem z patykiem w rękę, a nie sławnym wojownikiem.

Maxcatl zobaczył wtedy zbryzganą szkarłatną krwią twarz tamtego, czarny ubiór i pancerz... I te popielatoszare, zupełnie zimne, puste oczy.

Od tamtej pory nawiedzał go ten sam koszmar.

Koszmar o pierzastym wężu, który niszczył świat Maxcatla, Otomi i wszystkich innych ludzi. O wężu, który miał oczy ubranego na czarno człowieka.

Maxcatl odetchnął głęboko, rozchylił powieki – i zobaczył nad sobą jeszcze raz te same oczy.

Chciał krzyknąć, ale coś zasłoniło mu usta.

Chciał wierzgnąć, ale coś trzymało go za ręce i nogi.

Szarpnął się, ale nie był w stanie się poruszyć.

Zaskamlał i zacisnął powieki, pragnąc przebudzenia.

Otworzył oczy – koszmar trwał nadal.

Czarny człowiek o martwym, popielnym spojrzeniu nadal wisiał nad Maxcatlem, który teraz wyraźnie czuł, jak w gardło wbija mu się COŚ. Coś

zimnego, ostrego i twardego. Coś, co bez trudu mogło przebić skórę i rozciąć mu szyję od ucha do ucha.

Człowiek nachylił się nad Maxcatlem i szepnął głosem niosącym ze sobą powiew śmierci:

– Niech nie krzyczy. Niech nie mówi. Niech się nie rusza. Niech kiwnie.

Maxcatl pokiwał desperacko głową.

Człowiek zabrał rękę z jego ust, odsunął od gardła siekiere. Maxcatl poczuł, jak w piersi zaciska mu się lodowaty supeł strachu: rozpoznał tę samą broń, od której zginął Yxtli.

Człowiek podniósł Maxcatla z posłania, pokazał ruchem ręki na pozostałych Otomi, z którymi Maxcatl kładł się spać w chacie.

Teraz jednak już nie spali, a nad każdym z nich nachylało się dwóch wojowników z włóczniami i krótkimi mieczami, gotowych w każdej chwili pozabijać bezbronnych na jedno skinienie przywódcy. Wojownicy patrzyli na Maxcatla z przerażeniem, a on patrzył na nich.

Zginać we śnie?

Tylko w przepasce biodrowej?

Bez broni, ozdób, bez rytuału wojny?

Bez szansy na walkę i miejsce u boku bogów?

Niehonorowo, jak stara kobieta?

To było nie do pomyslenia.

A jednak dokładnie to w tej chwili groziło zarówno Maxcatlowi, jak i jego wojownikom.

Ci, którzy tu przyszli nocą, nie zamierzali z nimi walczyć – ale po prostu ich pozabijać.

– Na zewnątrz – warknął Zahred, podniósł wodza na nogi i popchnął przed sobą.

Maxcatl wytoczył się przez drzwi, rozejrzał – i struchlał. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, stali przybysze w swoich wysokich hełmach ze srebrnymi grzebieniami, na których grała zimnym światłem poświata księżycy.

– Litości... – Maxcatl wybełkotał to jedno słowo, którego nigdy nie powinien wymawiać żaden Otomi.

– Niech zawoła swoich ludzi – powiedział mu dziwny człowiek, którego ciało pokrywały rysunki zwierząt, demonów i bogów. – Niech zawoła ich wszystkich. Teraz.

Maxcatl nabrał tchu, chciał krzyknąć – ale z gardła wydobył mu się tylko ni to pisk, ni to żałosny skrzek. Potrząsnął głową, spróbował jeszcze raz:

– Otomi, do mnie...

– Głośniej.

– Otomi, do mnie! – wydarł się Maxcatl głosem takim, jakby wołał w godzinie śmierci. – Do mnie!!!

Z chat zaczęły wyglądać i wybiegać ludzie. Większość zaspana, mało który z bronią albo tarczą. Wybiegali i stawali, widząc rozstawionych na placu

przybyszów i swojego wodza, trzymanego za kark przez człowieka z siekierą niczym krnąbrny szczeniak.

Kolejni wysypywali się z chat. Było ich tylu co przybyszów... Dwakroć więcej... pięciokroć... dziesięciokroć więcej. I jeszcze, i jeszcze...

...a mimo to nikt nie odważył się podnieść broni. Jakby ta scena, ten srebrzysty blask księżyca rzucił na nich jakiś przedziwny urok.

Zahred rozejrzał się po wojownikach Otomi, spojrzął na swoich ludzi.

Skinął de Monroyowi uspokajająco, widząc, że część Hiszpanów czuje się już mocno, ale to mocno nieswojo.

I tak wykazali się nerwami ze stali, że poszli tu za nim i zrobili wszystko, co kazał – czyli dokładnie nic.

Teraz nadeszła pora na jego część.

– Wojownicy! – zakrzyknął w narzeczu używanym przez większość tubylców. – Dzielni synowie, ojcowie i bracia! Waleczni potomkowie gór...! Otomi!

Jego głos odbił się od ścian domostw, wrócił echem od świątyni. Tamci poruszyli się, zdziwieni; Maxcatl aż rozchylił usta, dopiero teraz zorientowawszy się, że wymalowany człowiek mówił jego językiem.

Tymczasem Zahred odczekał chwilę, nabrał tchu i wołał dalej:

– Wojownicy Kastylii zaznali wielu trudów, idąc ku Otomi! Nogi Kastylijczyków są zmęczone, ręce ciężkie! Jednak przybyli jako goście, nie jako wrogowie! Nie chcą nikomu wyrządzić krzywdy... Mimo że z łatwością mogliby zabić wszystkich!

Spojrzał na stojącego w gotowości Rodriga, ten wyskoczył z szyku i przytknął lont do panewki podniesionego w górę arkebuza.

Błysnęło, huknęło donośnie, chmura dymu poderwała się w powietrze. Kilkunastu Otomi padło na ziemię i zakryło głowy rękami; sam wódz Maxcatl aż się skulił, chowając głowę w ramiona.

Zahred odczekał, aż echo przebrzmi pomiędzy górami, a cuchnący obłok owionie i jego, i stojącego obok wodza.

Uśmiechnął się szeroko.

– Jednak Kastylijczycy są przyjaciółmi Otomi, więc nic im nie zrobią! Niech Otomi spojrzą na walecznych Totonaków, którzy walczą u boku Kastylijczyków! – Wskazał Xochitla, który dumnie wypiął pierś. – Jedynym, czego biali przybysze chcą od Otomi, jest ich przyjaźń!

Obrócił do siebie Maxcatla, ujął za ramiona i ucałował zdumionego w oba policzki.

– Przyjaźń...? – powtórzył zdumiony wódz.

– Biali przybysze są tutaj, aby odwiedzić Tlaxcalteków. Teraz nie mają żywności, a Tlaxcaltekowie nie dają im przejść. Biali muszą jej szukać na własną rękę. – Zahred mówił teraz nie do niego, ale do ludzi. – Dlatego biali proszą swoich nowych przyjaciół, walecznych i mądrych Otomi: dajcie białym jeść! Każdemu, kto przyniesie placki, owoce i warzywa, biali wodzowie ofiarują przyjaźń. Ktokolwiek przyniesie mięso, stanie się ich sojusznikiem!

Wojownicy popatrzyli po sobie, głowy zafalowały i zakołysały się.

Maxcatl przełknął ślinę, nadal czując, jak trzęsą mu się kolana.

– Sojusznikiem... – szepnął.

Jednak w głowie dźwięczały mu zupełnie inne słowa.

„Waleczni Otomi”.

„Mądrzy Otomi”.

„Przyjaciele Otomi”.

– Nikt nie chce czynić Otomi zła. – Obcy człowiek spojrział wprost na wodza. Teraz jego oczy były przyjazne, ciepłe i prawdomówne. – Niech Otomi przyniosą jedzenie. Niech staną się sojusznikami u boku białych i braćmi dla Totonaków.

Maxcatl pokiwał głową i uściśnął podaną mu prawicę, nie do końca obejmując całość sytuacji umysłem.

Człowiek z siekierą machnął na swoich wojowników, którzy ruszyli się z miejsca, zeszli z placu i odmaszerowali w noc, zostawiając Otomi sam na sam z ich myślami.



Następnego dnia Indianie znów ruszyli do ataku na wzgórze, jednak – ku zdziwieniu już stojących na pozycjach obronnych Kastyljczyków – zatrzymali się w połowie drogi.

– Jakby podnieść dużym klinem, to doleci... – nieśmiało zaproponował Cortésowi ogniomistrz de Usagre, spoglądający wymownie na największe działo, już nabite i gotowe do strzału.

Caudillo jednak pokręcił tylko głową, otulił się szczelniej kocem i zachrypiął:

– Nie. Niech... niech tam stoją. Nie strzelać.

Zahred też stał obok admirała, podobnie zresztą jak i reszta kapitanów, zastanawiających się: co takiego mogło się wydarzyć? Dlaczego tamci nie atakowali, ustawiwszy się jednak w zasięgu ognia?

W pewnym momencie złapał spojrzenie Malintzin, która uśmiechnęła się ledwie zauważalnie. On przymknął oczy na znak, że zrozumiał, i delikatnie skłonił głowę.

Faktycznie, inne zachowanie dawało inne rezultaty.



– Jak to nie chcą walczyć?! Kto ich pytał o zdanie?! – ryknął Xicotencatl. – Przecież zwierzęta nie mają swojego zdania!

Pozostali członkowie narady zerknęli w kierunku wodzów Otomi. Ci stali niewzruszenie, założywszy ręce na piersiach, i po prostu patrzyli.

Nie wyzywająco, nie pogardliwie, tylko właśnie – po prostu.

Zaś to ichnie „po prostu” doprowadzało Xicotencatla do białej furii.

Chwycił za rękojeść miecza, już miał skoczyć ku tamtym i jednym uderzeniem strącić głowę bezczelnego, tępego, upartego Maxcatla z ramion – jednakże tamten nawet nie drgnął.

Nikt ze stojących za plecami dowódców Otomi nie poruszył się, nie zmienił wyrazu twarzy. Można byłoby zabić ich wszystkich, a nie zmieniłoby to ani ich spokoju, ani raz powziętej decyzji.

Poza tym z jakiegoś powodu Xicotencatl czuł, że z takim samym spokojem chwycą za broń i przejdą po brzuchach zarówno jego, jak i jego wojowników.

Wziąłem na tę rozmowę za mało ludzi, pomyślał.

Owszem, miał ze sobą przybocznych, podobnie jak pozostali wodzowie... Jednak byli przekonani, że idą tutaj wyjaśnić jakąś drobną kwestię, subtelność!

Tymczasem to był pełnoprawny bunt.

Xicotencatl zgrzytnął zębami, obejrzał się na stojących nieco z tyłu wróżbitów. Przywołał dwóch z nich gestem, odciągnął na bok i zapytał gwałtownie:

– Wczoraj czarownicy składali ofiary przed bitwą. Powiedzieli Xicotencatlowi, Temilotecatlowi i Maxixcatzinowi: niech wodzowie nie lękają się, wróżby są pomyślne. Tak było?

Wróżbici spojrzeli po sobie, niepewni, jak odpowiedzieć. Tymczasem Maxixcatzin podszedł do nich, pokiwał poważnie głową i rzekł:

– Tak było, Maxixcatzin potwierdza słowa Xicotencatla.

– O wysoki, bogowie... Bogowie potrafią być nieprzewidywalni. – Starszy z kapłanów rozłożył ręce w geście bezradności. – Któż pozna ich kaprysy?

Nie wiedzieć czemu, ale dowodzący Otomi wódz Maxcatl zaśmiał się głośno, zadzierając głowę ku niebu. Klepnął się dłonią o gołe udo, otarł łzę rozbawienia i umilkł, znów przyjmując tę samą minę kamiennej obojętności.

– I tylko tyle czarownicy mają do powiedzenia? – zawarczał Xicotencatl.

– Może któryś z bogów spuścił zasłonę mgły na umysły wodzów? – przebiegle wtrącił drugi z wróżbitów. – Należy odstąpić od ataku i zastanowić się. Złożyć bogom dar krwi, aby rozjaśnić myśli...

– Zgoda – odezwał się do tej pory milczący wódz Temilotecatł. – Temilotecatł ma nawet stosowne dla nich dary... Brać ich!

Dwaj wróżbici rozejrzeli się zaskoczeni i krzyknęli, kiedy silne ręce chwyciły ich i powlekły w tył. Ten młodszy wierzgnął, dał radę wykręcić się wojownikowi i odskoczyć w bok, ale ktoś od razu zdzielił go kamienną maczugą w łeb. Nieszczęśnik oklapł na ziemi jak przekłuty pęcherz.

Trzej wodzowie patrzyli beznamyślnie, jak wojownicy rozciągają dwóch wróżbitów – jednego nieprzytomnego, drugiego krzyczącego i próbującego bełkotliwie błagać o zastanowienie się – na ziemi.

Temilotecatł podszedł, kręcąc toporkiem, zamachnął się i ciał od góry. Krzyk urwał się od razu, przeszedł w gulgotanie i charkot, który zaraz ucichł.

Topór wznosił się nad drugim wróżem, opadł – chrupnęła kość skroni.

Maxixcatzin i Xicotencatl poczekali, aż wróci do nich, po czym sięgnęli ku ostrzu, umoczyli palce we krwi i nakreślili na czołach właściwy znak. Jako ostatni zrobił to samo Temilotecatł, po czym odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

Postali tak chwilę w nabożnym milczeniu. Potem Maxixcatzin opuścił głowę.

– Nie pomogło.

– Xicotencatłowi też nic nie dało.

– A zatem kłamali nawet teraz – skwitował Temilotecatł ze smutkiem. – Coraz trudniej znaleźć dobrego czarownika.

– Co zatem począć? Otomi nie chcą walczyć – burknął Xicotencatl.

– Może należy zastanowić się, czy walka jest właśnie tym, czego pragną Tlaxcaltekwowie? – rzucił Temilotecatł.

– Xicotencatl mówi: walczyć! Skoro Tlaxcala rozpoczęła bój, to...

– Xicotencatl mówi też: nie walczyć. – Maxixcatzin uśmiechnął się kwaśno. – Ojciec Xicotencatla, mimo że piękny naszyjnik jego lat ciąży ku ziemi, zna się na czasie wojny i czasie pokoju. Teraz zaś jest pora tego drugiego.

Młody wódz zacisnął usta, ale nie powiedział nic. Tego się właśnie bał! Jego ojciec, po którym nadano mu imię, na co dzień już niedołężny i ledwo kojarzący, zawsze odżywał, kiedy nadchodziły deszcze późnego lata. Wtedy wracała mu sprawność umysłu i próbował forsować swoje poglądy... Tak jak teraz.

A przecież stronnictwo pokoju było coraz silniejsze w samej Tlaxcali. Walczyli z przybyszami już ponad dwa tygodnie i póki co starcia nie dały im nic... Ot, złożony w ofierze na początku wielki jelen, potem kilku słabych, tchórzliwych Totonaków i nic więcej!

Zaś przybysze byli dzielni i groźni, to musiał Xicotencatl przyznać. Do tej pory mrukliwi, prości w obsłudze Otomi należeli do może nie najbardziej rozgarniętych, ale z całą pewnością najsilniejszych w boju wojowników Tlaxcali. I co z tego, skoro dla przybyszów nie stanowili żadnego zagrożenia?! Tamto pierwsze starcie, potem bitwa w wąwozie – Otomi byli dosłownie niszczeni w jednej chwili, w okamgnieniu.



Nawet wśród samych Tlaxcalteków straty były co najmniej zauważalne. Myśleli już, że Chichimecatecle zginął, przepadł podczas ataku, gdy biali cisnęli piorunem kulistym podczas ich szturm – na co, szczerze mówiąc, sam Xicotencatl też miał nadzieję – ale młodzik dowlókl się do obozu następnego dnia, ledwo żywy, ciężko ranny... Podobnie jak i wielu innych, którzy ani sami nie palili się do powtórnego boju, ani swoimi opowieściami nie pomagali zachęcić do walki pozostałych.

Może faktycznie należało przemyśleć stosunek do nieproszonych gości, którzy cały czas i mimo wszystko zapewniali o swej przyjaźni? W końcu podobno byli u nich posłowie od Montezumy, zaś armii władcy Tenochtitlán jakoś nie było widać.

Skoro zatem pobierający od Tlaxcali coroczną daninę najwyższy król Montezuma nie był im przyjacielem i sojusznikiem...

Xicotencatl zmrużył oczy i pokiwał wolno głową, przytakując własnym myśłom.



– Przynies! Przynies, mówię... Dobry pies! I teraz oddaj... Oddaj, powiedziałem! No daj, zostaw. Zostaw, mówię... O tak, grzeczny. Dobry pies, doobry...

Gutiérrez popatrzył na bawiącego się ze szczeniakiem Czarnego Kapitana, uśmiechnął się i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Tak to idzie uwierzyć, że to normalny człowiek, nie? – Puknął w ramię siedzącego obok Ramona Valverdego.

Ten cmoknął z niezadowoleniem, gdy dociągana dratwa puściła z trzaskiem. Odrzucił bezużyteczny kawałek, podniósł głowę znad roboty.

– Niby że co? Że z psem się bawi? – Odłożył na bok zszywany but, w którym już trzeci raz odlażała mu podeszwa. Zresztą w tym klimacie i wilgotności w ogóle skóra parciała i rwała się jak papier. – Normalne chyba, nie?

– No właśnie! To samo przecież mówię. A on jest...

– Niby co?

Gutiérrez podrapał się po zarośniętych szczeciną policzkach.

– Słuchaj no. Przecież widzisz, jak on dowodzi, co? Jaki jest... przy komendzie.

– Surowy. Zasadniczy. Rzeczowy. – Valverde sięgnął po kolejny kawałek dratwy, przeciągnął ją woskiem. – Jak to kapitan.

– Nie o tym mówię! Ja o tym, co każe robić... Co sam robi jako pierwszy.

Ramon westchnął, odłożył dratwę z już wplecioną dziczą szczecina, której używał z braku igły.

– Ector, nie masz o czym myśleć? O czym gadać? – zapytał, nie wiedząc czym nagle rozzłoszczony.

– No ale ja tak tylko...

– Co tylko? Co tak tylko? Tak, każe nam robić rzeczy. I sam robi rzeczy. Ale to jest tam, o! – Valverde machnął ręką w kierunku świata poza wzgórzem, poza obozowiskiem. – A tutaj ja chcę mieć spokój. Buta sobie zszyć, o. W karty pograć... Dlaczego my w karty nie graliśmy tak dawno?

– Bo zamokły i spleśniały. – Gutiérrez skrzywił się.

– No to w kości. W cokolwiek, żeby nie myśleć o tym, że tam są te dzikusy, rozumiesz? Że możemy nie wrócić do domu, bo tamci...

Zahred nagle podniósł głowę, dosłownie zastrzygł uszami. Wyprostował się, jakby zupełnie tracąc zainteresowanie psem. Podszedł do usypanego z kamieni szańca i wpatrzył się w dal.

– Idą – powiedział krótko.

Słyszący to ludzie zerwali się, jakby ich ktoś batem zaciął, chwycili za broń. Valverde odłożył szydło, uciął nożem nitkę, zawiązał i zaczął wzuwać do połowy zszyty but.

Okrzyki już poniosły się po obozowisku: idą, idą! Szykować się!

Pojawił się też Cortés, przez ostatnich kilka dni osobiście doglądający jakże cennych, a teraz słabujących koni. Ze swojego szałasu wyjrzeni posłowie od Montezumy, cały czas przebywający w obozie i oczekujący na odpowiedź dla swojego władcy.

Jeden z Mexików zaszeleścił coś po ichniemu, pokazał strażnikowi na migi i powtórzył imię: Malintzin, Malintzin! Ten kiwnął na znak, że zrozumiał, i zawołał do kolegów, żeby sprowadzili tłumaczkę.

– O wysoki, o dostoyny panie! – odezwali się mexiccy posłowie, kiedy już pozwolono im stanąć przed obliczem Cortésa.

Caudillo spojrział na nich zmęczonym wzrokiem podkrążonych oczu, podnosząc rękę, żeby młody de Coria mógł dopiąć sprzączki pancerza. Widać było, że zbroja wisi na dowódcy, który mocno zmizerniał przez ponad tydzień febry.

– Słucham was, dobrzy panowie. – Cortés mówił w ich kierunku, ale ciągle zerkał ku podejściu na wzgórze, gdzie już gromadzili się ludzie. – W czym mogę wam pomóc w to pochmurne popołudnie?

– O szlachetny! – Poseł skłonił się. – Oto potężny Cortés sam widzi, że zdradzieccy Tlaxcaltekwowie po raz kolejny idą przeciwko niemu! Niech Cortés nakłoni ucha do słów naszego pana, władcy całej tej krainy, najwyższego króla Montezumy, i poniecha tej drogi.

– Cortés widzi, co się dzieje. – Caudillo skrzywił się. – Cortés też zapewnia Montezumę, że na jego rozum nie wpłynie ani ta, ani inne bitwy, bo sam Montezuma... To w rzyć jechany kiej!

Malintzin zamrugała, już otwierając usta, aby zapytać: to też ma tłumaczyć? Czy jednak opuścić?

Ale Cortés sapnął, pokazał jej na trzymany w ręku urwany pasek od zbroi, który próbował samodzielnie dociągnąć jeszcze o jedno oczko.

– Mówiłem wam, panie, że się przeciera – mruknął de Coria, kręcąc z niezadowolaniem głową.

– Nie musisz mnie pouczać o mojej własnej zbroi! – warknął Cortés, odepchnął go na bok. Obrócił się, próbując złapać resztkę rzemienia jak pies własny ogon. Spojrzał na posłów, cierpliwie czekających na jego słowa. – Niech im doña Marina powie, cokolwiek uzna za stosowne. Najlepiej to, co chcą usłyszeć.

– Na pewno, mój panie? – Malintzin podniosła brew. – Mam im rzec, że zgadzacie się na ich warunki?

Twarz Cortésa oblała się purpurą, widać było, że lada chwila wybuchnie i naprawdę powie albo zrobi coś głupiego.

W tym samym jednak momencie podszedł do nich i skłonił się Zahred, który rzucił krótko:

– Tlaxcaltekwowie przysyłają niewielką grupę, może dwudziestu wojowników i paru wodzów. Będą rozmawiać.

– Rozmawiać... Jesteś pewien? – ożywił się caudillo.

– Tak to wygląda.

– Wydadaj ludziom rozkazy... De Coria, dopinajcie ten pancerz, do cholery! Mój hełm, i dajcie koniecznie szpadę wyjściową... Szpada, mówię!

Posłowie popatrzyli po sobie, nie wiedząc w pierwszej chwili, skąd tak nagle i zupełnie inne niż wcześniej poruszenie. Zapytali Malintzin, ta wytłumaczyła im, co się stało. Dopiero wtedy oni również ożywili się, zaczęli mówić jeden przez drugiego i pokazywać rękami.

– Posłowie mówią, panie... – zwróciła się do Cortésa, pospiesznie ustawiającego rzeczy na stole w namiocie dowódcy. De Coria dzielnie próbował asystować swemu panu, podając rzeczy i ogólnie starając się być bardziej pomocą niż zawadą.

– Nic innego zdają się nie robić! – warknął caudillo.

– Mówią, że nie należy...

– Nie będą mi mówić, co mam robić. Ani oni, ani tym bardziej ty ich słowami, bo... – Cortés zagalopował się nieco.

Malintzin zmieniła się na twarzy. Wyprostowała się zauważalnie, podparła pod boki.

– Mówią, mój dobry panie, i może warto ich wysłuchać! – burknęła, po czym bezceremonialnie zaciągnęła płachtę namiotu przed samym nosem ambasadora Montezumy. Spojrzała na krzątającego się po namiocie de Corię, który aż ugiął się pod jej spojrzeniem: – Precz!

Młody giermek strzelił tylko oczami ku dowódcy, ale jako że ten milczał, posłusznie potruczał na zewnątrz, przecisnął się pomiędzy posłami i odszedł dalej od namiotu, żeby przypadkiem nie usłyszeć czegoś, czego nie powinien.

Zresztą sami Indianie też pospiesznie się oddalili, gdy ze środka zaczęły dolatywać gniewne urywki zdań zarówno Cortésa, jak i wiele częstszych, ostrzejszych słów samej dońi Mariny.

– No i teraz mu się dostanie – ze złośliwą satysfakcją mruknął de Barrameda. – Ot, tak to bywa, jak sobie człowiek weźmie na kark ciężar ponad swoje siły.

– Oj, chyba przesadzacie, panie – skrzywił się de Grado.

– A nie jest tak? Jedzie człowiek na drugi koniec świata, zostawia za sobą wszystko: dom, ojca, matkę... Co poniektórzy i rodzinę nawet. – De Barrameda, znany gawędziarz, puścił porozumiewawczo oko. – Przybywa tutaj wolny jak ten ptak niebieski! Patrzcie na mnie chociażby: żadnych obowiązków, nikt głowy nie truje...

– Tylko Indianie nas ze skóry chcą obedrzeć, zjeść i w ofierze złożyć. – De Grado był nieprzejednany.

– Czy w tej kolejności właśnie, kłócić się nie będę. A nawet jeśli, to jako wolnych ludzi, samych o sobie stanowiących! I w tej wolności człowiek co robi? No co? Sam narzuca sobie na szyję tę pętlę, od której uciekał. Obrozę nakłada i przychodzi, że tak rzeknę, ze smyczą w zębach...

– Oszczędźcie nam swoich fantazji, panie – odezwał się Zahred, podchodząc do nich i pokazując głową ku wejściu do obozu. – Wodzowie idą.

Szpalerem połowicznie już opancerzonych, ściskających broń ludzi szła grupa Tlaxcalteków, ubranych w ogromne odświętne pióropusze, ozdobne stroje, o twarzach wymalowanych w jaskrawoczerwone i czarne pasy oraz geometryczne wzory. Oczy wojowników błyskały białkami, gdy ci usilnie starali się patrzeć wprost przed siebie i nie zwracać uwagi na podchodzących coraz bliżej Kastyljczyków.

Żołnierze spoglądali zarazem ciekawie, jak i niechętnie na posłańców od wrogów, z którymi już tyle dni toczyli zacięte boje.

Towarzyszący wodzom wojownicy strzelali wzrokiem na boki, od czasu do czasu krzywiąc się w odpowiedzi na jakiś grymas tego czy innego konkwistadora – widać było jednak, że dostali bardzo wyraźne polecenie, by trzymać nerwy na wodzy i nikogo nie prowokować.

Na końcu orszaku szło kilkunastu niewolników, niosących kosze z żywnością, jak również sakwy pełne kolorowych piór i niewielkie kamienne pojemniki, z których wydobywały się kłęby wonnego dymu.

Delegacja stanęła kilka kroków przed grupą kapitanów i innych urzędników miniaturowego dworu Cortésa, którzy już coraz tłumniej ściągali ku namiotowi dowódcy.

Jeden z Tlaxcalteków wystąpił przed szereg, rozłożył ręce i zaczął mówić.

Z namiotu wysunęła się Malintzin, poprawiła sukienkę i przyglądziła włosy. Widać było, że nadal jest wzburzona, ale szybko uspokoiła się i zaczęła przekładać słowa przybyszów na hiszpański:

– Wodzowie i starszyzna Tlaxcali przekazują pozdrowienia. Mówią, że przyszedli do wielkiego białego wodza, aby mówić o sprawach przyjaźni i przymierza. Przynoszą dary... – Pokazała ręką na niewolników, którzy zaczęli układać i rozwijać przyniesione tobołki.

W tym samym momencie z namiotu wyszedł Cortés.

Stał u wejścia, ludzie od razu podnieśli poły materiału, aby pokazać starannie zaaranżowane, pełne broni i aż kapiące od złota wnętrze z suto zastawionym żywnością stołem.

Caudillo wziął się pod boki, kładąc lewą rękę na rękojęści szpady.

– Niech doña Marina powie Indianom, że Cortés wysłucha ich słów, ale nie przyjmie ich w swojej kwaterze, bo po tym, jak nas przyjęli, my powinniśmy zgotować im podobne powitanie – powiedział tonem tak spokojnym, że aż zimnym.

Ludzie zamruczeli groźnie i przysunęli się bliżej do emisariuszy, wymownie dotykając broni. José Maria Valdés przybiegł, szybko ustawił się za admirałem z upiornym sztandarem z wyprawionej skóry. Inni chorążowie też poszli w jego ślady, rozwijając swe barwy tak, że za chwilę Cortés stał na tle powiewającego lasu chorągwi.

Malintzin przetłumaczyła słowa, Indianin skinął głową i odpowiedział.

– Xicotencatl, syn Xicotencatla, mówi: Cortés ma dużo racji, lecz niech zwróci swój wzrok nie ku temu, co było, a raczej patrzy na to, co jest i co będzie. Posłowie z Tlaxcali przybywają w pokoju. Proszą o wybaczenie, że nieroztropnie podnieśli broń przeciwko Cortésowi. Niech te dary staną się końcem waśni, a początkiem przyjaźni.

Cortés podszedł bliżej, popatrzył na wyłożone na słomianych matach placki, pieczone ptactwo i owoce. Przegarnął nogą rozsypane pióra, machnął ręką, odganiając gryzący dym kadzidła.

– Nie widzę tu złota ani niczego wartościowego. – Pokręcił głową.

– Xicotencatl mówi: w Tlaxcali nie ma złota ani srebra, ale to nie stanie na przeszkodzie naszej przyjaźni, ponieważ serce i odwaga wojownika warte są więcej niż miękki metal.

Cortés prychnął i pokręcił głową.

Zahred jednak złapał wzrok mówiącego Indianina i skinął mu na znak, że zgadza się z jego słowami.

– I co niby mamy z tym zrobić? Po co nam pióra? – Cortés nadal pokazywał całym sobą, że nie jest zadowolony z darów.

– Mówią, że jeśli jesteśmy bogami okrutnymi, którzy jedzą mięso i krew, to możemy zjeść tych niewolników, a oni przyprowadzą nam kolejnych... – przetłumaczyła Malintzin.

Żołnierze zarechotali niczym z dobrego dowcipu, ale Cortés uciszył ich gestem:

– Dalej. To niedorzeczne, ale niech doña Marina mówi.

– Jeżeli zaś jesteśmy bogami opiekuńczymi, to weźmiemy pióra i kadzidło, aby upiększyć swoje świątynie. Jeśli zaś jesteśmy ludźmi, to obyśmy

ze smakiem przyjęli chleb, ptactwo, czereśnie i jagody, które nam ofiarowują.

Jakby na potwierdzenie tych słów przewodzący delegacji wojownik pokazał po kolei na trzy grupy darów.

Cortés pokręcił tylko głową.

– Nie jesteśmy bogami, to pewne, a zaledwie ludźmi w służbie Jedynego Boga i naszego króla. Przybyliśmy właśnie po to, aby położyć kres składaniu ofiar z ludzi oraz podobnym barbarzyństwu i pogańskim zabobonom. Wyzwolić wszystkie ludy z ucisku ciemnoty, w jakiej tkwią do tej pory.

Doña Marina przetłumaczyła. Wojownik z początku westchnął z ulgą, potem zdziwił się, na końcu uradował wyraźnie. Zaczął żywo gestykulować i mówić, inni dołączyli do niego.

– Panie... – Malintzin podeszła do caudilla bliżej. – Wydaje mi się, że wasze słowa zostały opacznie zrozumiane.

– Mianowicie?

– Xicotencatl mówi, że cieszą się wielce z nadejścia białych przybyszów ze wschodu, którzy wyzwolą ich spod niewoli Tenochtitlán. Mówią, że mają dość płacenia trybutu Montezumie, który nie daje im nic w zamian... Przeprasza raz jeszcze, że nie mają złota, ale za to ofiarują swoje poddaństwo.

Caudillo ożywił się, spojrział bystro.

– Na pewno tak powiedział? Niech doña Marina zapyta jeszcze raz.

Malintzin zagadnęła Indianina, ten pokiwał głową, rozłożył ręce. Inni też przytaknęli.

– Tak, panie. Mówią, że nawet dziś są gotowi zostać wasalami naszego króla i przejść pod komendę Cortésa.

Konkwistadorzy popatrzyli po sobie nawzajem. W minach dało się wyczytać pełną gamę emocji: od radości tryumfu przez niedowierzanie aż do otwartego sceptycyzmu i pogardy.

Tylko Cortés pozostał niewzruszony.

– Nie mamy pewności, czy ich słowom można ufać. Powiedzą jedno, zrobią co innego. Posłowie Montezumy przestrzegali nas przed ich wiarołomnością.

– Xicotencatl mówi: on i jego towarzysze gotowi są zostać w naszym obozie, ile trzeba, dając Cortésowi czas na podjęcie decyzji. Mówi też: zmęczyliście się wielce i napracowaliście, dobrzy panowie. Przeszliście długą drogę i doświadczyliście wielu trudów. Jednak tutaj osiągnęliście swój skromny dom, Tlaxcala zaprasza.

Wojownik skłonił się nisko, nabrał w palce ziemi i położył na wyciągniętym języku w geście powitania, pozostali zrobili to samo.

– Niech zatem zostaną tutaj jako... nasi goście. – Cortés uśmiechnął się krzywo. – I wtedy zobaczymy.



Zapadł już zmierzch, po słońcu została tylko resztką krwawej łuny na zachodzie. Obóz zaczynał rozpalać się światłami ogni, krzątania dnia powoli zamierała.

Xicotencatl siedział przy niewielkim ognisku i patrzył na obozowisko przybyszów.

Na to, jak bardzo byli nieliczni.

Błdzi, jakby w ich krainach nie było wcale słońca. Większość ledwie trzymała się na nogach, kasłali i pocili się, śmierząc przy tym straszliwie, jak gdyby gnili już za życia.

Owszem, było tutaj też sporo Totonaków z wybrzeża, których Xicotencatl znał i którymi gardził jako słabymi i pozbawionymi własnego zdania.

Jednak to właśnie ta garstka – garstka! w porównaniu z zebraną pod jego komendą armią – od niemalże pełnego jednego księżyca stawiała opór wojownikom z dolin, tnąc do tej pory nieustraszonych Otomi, niczym kamienny nóż tnie łądygi kukurydzy.

Zerknął spode łba na Maxcatla, siedzącego w milczeniu i patrzącego w ogień. Kiedy wódz Otomi przyszedł do niego, Xicotencatl miał ochotę rozwalić mu łeb mieczem... Ale teraz pomyślał sobie, że być może jakiś dobry bóg albo zapomniani bogowie przodków musieli przemówić do tego głupca we śnie, bo jego rada teraz zdawała się nie tak znowu pozbawiona sensu.

Nagle Maxcatl drgnął, podniósł głowę i wpatrzył się wielkimi oczami gdzieś w ciemność za Xicotencatlem. Ten odruchowo sięgnął po broń, odwrócił się.

Najpierw usłyszał głucho, gardłowe warczenie.

Potem z mroku wyłonił się ubrany na czarno człowiek z idącym u nogi młodym, ale już wielkim i włochatym psem.

Powiedział coś, zwierzak spojrział na niego i przestał warczeć. Usiadł.

Xicotencatl poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz. Nie widział tego człowieka, ale rozpoznał od razu. Poznał siekiere u jego boku.

To był ten, o którym opowiadał mu Maxcatl.

Człowiek spojrział na nich, na pozostałych siedzących przy ogniu wodzów i wojowników, którzy już zaczęli wstawać, sięgać po broń.

Nie wiedzieć czemu, ale samą swą obecnością wywoływał niepokój. Niczym jaguar, nagle pojawiający się na ścieżce, gdy człowiek idzie samotnie przez las.

Obcy powoli przyklęknął na jedno kolano. Poślinił dwa palce, dotknął nimi ziemi i przeciągnął po wysuniętym języku.

Xicotencatl zdumiał się z początku, ale też wstał i wyszedł ku niemu, mimo że pies znów zawarczał ostrzegawczo. Przyklęknął i powtórzył święty gest przywitania, gościnności i pokoju. Taki był obyczaj, tak kazali przodkowie zasiadający po prawicy bogów.

Przez chwilę patrzyli się na siebie, ludzie z dwóch różnych światów, kultur i epok.

Potem Zahred wstał, uśmiechnął się, skinął głową i powiedział:

– Wojownik przebył wiele trudów. Jego nogi są zmęczone, ręce ciężkie od broni. Czy tutaj znajdzie ubogi dom?

Xicotencatl aż otworzył usta za zdumienia, słysząc, że ten mówi jego językiem i słowami, ale czym prędzej opamiętał się, odsunął na bok i zrobił ręką gest ku ognisku:

– Długa droga i wiele znojów znaczyło drogę podróżnika. Niech zasiądzie teraz z nami, niech ulży swoim cierpieniom.

Obcy usiadł pomiędzy nimi, raz jeszcze powtórzył gest jedzenia ziemi. Wojownicy, jakkolwiek zaskoczeni, poszli w jego ślady.

– Podróżnik zna język Tlaxcali – z pewnym wahaniem zaczął rozmowę Xicotencatl. – Czy ma imię, którym Tlaxcaltekwowie mają go nazywać?

– Wołają go Zahred.

Imię nie było podobne do pozostałych, jakie Xicotencatl słyszał u przybyszów. Tamte zdawały się miękkie niczym wilgotna glina i pozbawione śpiewnej melodii. Jednak w tym brzmiało coś jeszcze, jakby daleka nuta znajomego echa.

– Zah-red... – powtórzył wojownik, smakując słowo. – Xahuatl. Ten, który jest wymalowany.

Teraz to obcy popatrzył na niego uważnie. Podwinął rękaw koszuli i pokazał schodzące aż na dłoń malowidła w skórze. Reszta zamruczała poważnie, pokiwała głowami.

Było jeszcze coś w tym człowieku, uświadomił sobie Xicotencatl: w odróżnieniu od innych nie był włochaty. Miał włosy na głowie, owszem, ale też inne, bo wygolone na bokach i ściągnięte z tyłu w niewielki, zawinięty kok. Musiał podobnie jak oni smarować je tłuszczem, bo lśniły w blasku ognia... Natomiast poza tym jego ciało było gładkie.

I nie miał swojego zapachu. Nie śmierdział tak jak inni biali.

Poza tym jego skóra miała odcień brązu wpadającego w ciemną ochrę.

Nawet rysy twarzy upodobniały go bardziej do jednego z siedzących teraz przy ognisku niż do tamtych ludzi.

– Wołają go Xicotencatl, syn jego ojca i wnuk jego dziada o tym samym imieniu. – Xicotencatl przyłożył dłoń do piersi i do czoła. – A to są Temilotecatl, Nexayatl i Tochtolotl. No i Maxcatl z ludu Otomi.

Zahred skinął każdemu z nich, nieco dłużej zatrzymawszy wzrok na tym ostatnim.

Uśmiechnął się półgębkiem, kiedy Otomi wytrzymał spojrzenie, nawet nie mrugnął i nie drgnął: to było rzadką cechą u kogoś, czyje życie miało się już



raz w garści.

– Niech Xicotencatl powie Xahuatlowi, co zamierza teraz uczynić Tlaxcala – powiedział bez ogródek.

– Xicotencatl powiedział już i nie zmienia decyzji. Jeśli kobieta od języków dobrze przekazała słowa Xicotencatla, to teraz Xahuatl wie, czego chcemy.

Zahred pokiwał głową, podrapał swego psa za uszami.

– Xahuatl zastanawia się tylko, czy Tlaxcala nie zmieni zdania tak, jak już robiła to wcześniej. Xahuatl musiał zabić wielu dzielnych wojowników, aby doszło do tej rozmowy – powiedział.

– Honorowy wojownik zmienia zdanie tylko raz, gdy ujrzy, że popełnił błąd.

– Wielki biały wódz, admirał Cortés, nie jest tego pewien. Przybysze dotarli do Tlaxcali w pokoju, szukając przyjaciół, tak jak zapewniali ich cempoalańczycy. Wysłali posłów, z których dwóch Tlaxcaltekanie zabili... Zaś dwóm dali uciec, pozwalając im uwierzyć, że winni są temu Otomi. – Głos Zahreda nagle stwardniał.

Maxcatl poruszył się, zamruczał z niezadowoleniem i wbił spojrzenie w Xicotencatla. Ten tylko wyprostował się dumnie, potrząsnął głową.

– Jeden Totonak jest wart pół dobrego wojownika. Jeśli krew przekona Xahuatla, niech zatem zabije Xicotencatla tu i teraz, aby wyrównać rachunek. Tlaxcala pragnie pokoju.

– Xicotencatl nie boi się zginąć poza polem bitwy? – uśmiechnął się Zahred, jednak tamten tylko wzruszył ramionami.

– Jedna śmierć. Xicotencatl gotów jest zginąć za Tlaxcalę, niezależnie od tego, gdzie i jak, jeśli tylko umrze z honorem.

Na długą chwilę zapadło milczenie.

Ognisko trzaskało, słychać było rozmowy ludzi w obozowisku.

Pies pomrukiwał z zadowoleniem, kiedy palce jego pana błędziły mu po karku.

– Xahuatl wierzy Xicotencatlowi – powiedział w końcu Zahred.

– Xahuatl zatem wie, że Xicotencatl mówi prawdę.

– Tak. Nie będzie mu łatwo przekonać białego wodza Cortésa, ale spróbuje.

– Tlaxcala czeka zatem na przybycie gości.

Gwiazdy mrugały ponad ich głowami, księżyc spoglądał z ciekawością na rozłożonych u stóp świątyni ludzi z innego świata.



## Rozdział 5

**H**aj! Haj! Hajjj-jaj! – wrzeszczeli wojownicy, coraz ściślej kołem otaczający przystrojoną w najpiękniejsze suknie i ozdoby, kołyszącą się niczym trzcina na wietrze niewolnicę.

Najwyższy Montezuma, władca północy i południa, dnia i nocy, król ponad wszystkim, co tylko istnieje w krainach znanych człowiekowi od Wielkiej Wody aż do Gór Zachodu, przyglądał się ceremonii z wysokości swego szczerozłotego tronu.

Patrzący z dala na ledwie widoczną figurę władcy mieszkańcy Tenochtitlán, największego miasta na świecie, szeptali jeden do drugiego: spójrz tylko! Oto nasz pan, Umilowany Słońca i Kochanek Wiatru! To właśnie jest ten, co rozmawia z bogami!

Dla nich był czymś pośrednim pomiędzy symbolem a legendą.

Istniał poza ich postrzeganiem, schowany w Pałacu Białych Trzcina o setkach komnat.

Niemalże niewidoczny zza szczelnej przesłony rytuałów i tradycji.

Wymalowana w odświętne barwy, ukryta pod pióropuszcami, zasnuta dymami kadzideł twarz była nieledwie kolorową plamą.

Nawet dla tych, którzy mogli spoglądać na Montezumę z bliska, którzy dostąpili zaszczytu stania nieopodal władcy w czasie jakże ważnego święta Zamiatania Dróg, jego lico zdawało się nie wyrażać pozornie nic poza wyniosłym majestatem.

Jednak tam, pod warstwami szat protokołu i ozdób religii, za zasłoną spokoju, szalał huragan myśli.

Oczy Montezumy biegały, pochłaniając każdy szczegół skomplikowanej, trwającej już czwarty dzień ceremonii. Tancerze przed monumentalną piramidą Domu Pieśni ledwie już przestawiali nogi, ich stopy zostawiały krwawe ślady na ziemi. Zamiast okrzyków z ich gardeł dobywało się tylko rżenie i charkot.

Co rusz któryś padał zemdlony. Wtedy dwaj kapłani chwyтали go pod ręce i odciągali, a na jego miejsce wskakiwał nowy, przystrojony w świeże pióra i czyste szaty, napojony gęstym, brązowoczarnym wywarem z owoców świętego drzewa *xocolatl*, aby tańczyć dalej i nie pozwolić na przerwanie Kręgu Wody.

Montezuma też ledwo widział na oczy, w które jakby ktoś nasypał piachu.

Pozwolono mu przez te dni spać tylko tyle, aby wiedział, co dzieje się wokół niego. Teraz myśli potykały się i rwały, rzeczywistość zaczynała przeplatać się ze światem duchów i bogów, którzy mieli nadejść wraz z jesiennym deszczami.

Ceremonia odbywała się co roku, jednak dopiero teraz, po tylu latach, zdawał się on dostrzegać i odczytywać jej prawdziwy sens.

Oto niewolnica, która przez ostatnie trzy dni żyła niczym królowa w pałacowych komnatach.

Pojono ją najlepszym *pulque*, karmiono samymi smakołykami. Nacierano wonnościami i strzeżono jak żrenicy oka. Sam Montezuma przychodził do niej trzy noce z rzędu, aby napełnić jej łono swym błogosławionym nasieniem.

To ona zarazem nie była, jak i była przez te dni Teteo Innan, prawdziwą i zarazem nieistniejącą Matką Bogów.

Najpierw dokuczano jej i smagano trzcina, aby pokazać trudy życia.

Potem strojono w najpiękniejsze szaty, spełniano każdą zachciankę i wielbiono pod niebiosa tak, jak przystało czynić z królową.

I oto teraz krąg wojowników zacieśniał się wokół niej, odurzonej dymem kadzideł i napojem bogów. Ona próbowała wyrwać się z niego, rzucała się z boku na bok – ale wszędzie były tylko wymalowane w barwy wojenne twarze, otwarte w krzyku usta i groźne pohukiwanie.

Tam, gdzie próbowała przedrzeć się siłą, pojawiała się broń.

Dziewczyna odskakiwała, krzycząc z bólu i krwawiąc z coraz większą liczbą płytkich ran. Widać było, że magiczne działanie napoju bogów już się kończy, a ona zaczyna odzyskiwać trzeźwość myślenia.

Montezuma widział, że wojownicy zaczynają teraz lżyć niedawną królową, kopnięciami miotać jej piach w twarz i opluwać. Kawalek po kawałku zdzierali z niej ozdoby i szaty, aż w końcu została naga, płacząca.

Co rusz któryś wyskakiwał z koła, aby uderzyć akurat stojącą tyłem, pchnąć czy chlasnąć po ramionach kamiennym nożem, zostawiając czerwoną pręgę.

W końcu upadła, nie mając siły wstać.

Wraz z nią padł na ziemię krąg wojowników, zaraz potem tancerzy.

Ludzka fala, niczym uderzony powiewem wiatru łań kukurydzy, przetoczyła się po całym placu, który nagle zamarł w bezruchu.

Ludzie skulili się, wtulając twarze w piach.

Przerażona, łkająca dziewczyna rozejrzała się i podniosła. Popatrzyła na tłum, jakby rażony uderzeniem pioruna, i zastygła w bezruchu miasto.

A potem zauważyła idącego ku niej kapłana.

Wymalowana na biało, pozbawiona jakichkolwiek ozdób postać przesuwiała się pomiędzy leżącymi ludźmi niczym upiór. Gruba warstwa farby popękała tu i tam, złuszczając się płatami i sprawiając, że sylwetka traciła swój kontur. Czasami płatki odrywały się i spadały na ziemię, a wtedy jakaś chciwa ręka leżącego na ziemi od razu wyciągała się, chwytając drogocenną relikwię i wsuwała ją do ust, aby zapewnić sobie zdrowie i spokój w nadchodzącym roku.

Montezuma struchlał.

Kapłan szedł, przestępując ponad ciałami ludzi, lecz oczy zamiast w dziewczynę miał utkwione prosto w niego.

Wymalowana czarną i białą farbą twarz wyobrażała obojętną, zimną maskę śmierci o wyszczerzonych zębach. W jamach oczodołów świeciły przekrwione ludzkie oczy. W rękę tkwił zaciśnięty krótki zakrzywiony nóż o kamiennym ostrzu.

Choć władca wiedział, że to tylko przebranie, to tylko kapłan, odprawiający tę samą jak co roku ceremonię – jego serce wcale nie było takie pewne.

Dziewczyna stała jak zaczarowana, niezdolna poruszyć się ani wydać dźwięku. Przecież mogłaby uciec teraz, bez trudu przedrzeć się pomiędzy ludźmi – a jednak nie robiła nic.

Kapłan przestąpił już krąg tancerzy, wyminął leżących na ziemi, dyszących ciężko wojowników i podszedł do niej.

Nie odsunęła się nawet na pół kroku, kiedy kapłan przytulił się do niej całym ciałem i objął jedną ręką, drugą wraz z nożem chowając pomiędzy nimi.

Montezuma westchnął spazmatycznie, aż podniósł się na swoim tronie.

Trwali tak chwilę, spleceni w uścisku niczym para kochanków. Potem na ziemi pomiędzy nimi pojawiła się czerwona plamka. Jedna, druga, trzecia, kolejna, następna... Szkarłatna struga pociekła w dół spomiędzy ich ciał, a potem wraz z nią wysunęło się coś obłego, co plasnęło ciężko o ziemię.

Kapłan przytrzymał dziewczynę ręką i ułożył delikatnie, prawą dłonią wciąż grzebiąc w jej brzuchu i wyciągając na wierzch wnętrzności. Długie splety jelit, żołądek, wątroba. Nerki. Ona wciąż jeszcze żyła, otwierała spazmatycznie usta i przebierała palcami u rąk, kiedy wymalowana na biało postać zaczęła

kawałek po kawałku, metodycznie rozcinać skórę na jej piersiach, rękach i nogach.

Montezuma patrzył, jak niedawna królowa i bogini traci formę człowieka, a zaczyna być tylko mięsem. Czerwień zajmowała miejsce jasnej skóry, która odchodziła płatami od mięśni.

Kapłan przekreślił trupa na brzuch, zaczął metodycznie odcinać skórę z pleców. Ta rwała się i nie poddawała, osłabiona cięciami wojowników, ale on znał swój fach.

W końcu ściągnął upiorne trofeum, zarzucił nim i nakrył się cały, a potem położył na ciele dziewczyny, przykryty jej skórą.

Montezuma wstrzymał oddech.

Wiedział, co stanie się teraz.

Kapłan nagle poderwał się z dzikim wrzaskiem, rozczapierzając ręce, na których wisiało jego nowe, krwawiące przebranie.

Wojownicy zerwali się z ziemi i pierzchli precz, rzucając broń i tarcze, zostawiając noże i miecze.

Tancerze krzyknęli i też rzucili się do panicznej ucieczki, podobnie jak cała reszta tłumu.

Ubrany w skórę zdartą z niedawnej królowej kapłan rzucił się za nimi, skacząc od jednego do drugiego, wyjąc dziko i zdzierając im z głów pióropusze.

Muzycy zadęli w piszczalki i konchy, uderzyli w bębny.

Tak oto dokonywało się wielkie święto Zamiatania Dróg, rozpoczynające sezon zimowych deszczów i zarazem okresu uświęconych wojen – miniony rok tonął we krwi i we krwi miał się odrodzić, aby wszystko powtórzyło się tak jak poprzednio, od zawsze i na zawsze.

Jednak tym razem Montezuma widział w tym co innego.

Kobieta była przecież nim – z początku idącym przez trudy życia, potem wyniesionym na tron władcy, wielbionym, rozpieszczanym i otaczanym powszechną czcią.

Potem jednak było niezadowolenie ludzi, a wraz z nim nadciągał upadek wszystkiego, co Montezuma znał i co było jego światem.

Zostawał sam, ku niemu zaś szła śmierć.

Śmierć, która tak samo jak i przebrany kapłan, nadchodziła od strony wschodzącego słońca.

Montezuma miał umrzeć.

Jego śmierć miała natomiast stać się początkiem czegoś nowego.

Bo potem we krwi odrodzi się on nie on, przed którym pierzchać będą zastępy wojowników.

Władca odetchnął głęboko, potrząsnął głową.

Wizja uleciała razem z ogarniającą go sennością, rozwiła się niczym majak wraz z oddechem budzącego się człowieka.

Ceremonia dobiegła końca.

Kapłan powoli wspinał się po schodach do świątyni, gdzie skóra miała zawisnąć w długim rzędzie podobnych trofeów.

Ludzie na ulicach Tenochtitlán bawili się, śmiali i płasali do wtóru piszczałek, falując niczym kolorowe morze omywające ogromne monumenty piramid.

Montezuma chwiejnie podniósł się ze swego tronu i podążył ku chłodowi pokojów swego pałacu. Wraz z nim ruszył cały dwór, jedenaście jego ulubionych żon, gromadka dzieci... Wszystko, co osiągnął w tym życiu.

– Niech przywołają Tlilpotonquiego – rzucił do swego szambelana.

Mistrz rzemieślników zjawił się, kiedy władca zażywał kąpieli w towarzystwie czterech nałożnic. Montezuma odprawił gestem kobiety, na których pieszczoty i tak nie miał nastroju, zwrócił się do stojącego w kornym pokłonie dostojnika:

– Montezuma pragnie uczcić bogów, ofiarowując im dary. Tlilpotonqui zajmie się wykonaniem odpowiednich dzieł z kolorowego kamienia i złota.

– Cokolwiek tylko Huēi Tlahtoāni rozkaże.

– Montezuma pragnie ofiarować bogom symbol połączenia lat. Ma być na nim widać... – zawahał się. Obraz z ceremonii nadal widniał mu przed oczami. – Ma być na nim czaszka będąca głową władającego śmiercią Mictlantecuhtlego.

– Panie! – Mistrz rzemieślników odważył się podnieść wzrok, jednak nie spojrział na nagiego króla, za co niechybnie straciłby oboje oczu. – Ależ połączenie lat nie odbywa się jeszcze w tym roku. To nie czas na ceremonię ognia.

– Montezuma powiedział: ten rok znamionuje nowy czas. Kapłani zrobią, co do nich należy. To samo uczynią rzemieślnicy.

– Tak, o Najwyższy.

– Zaś na rzeźbie ma być jeszcze wykonany z jadeitu pająk spadający spomiędzy chmur.

– Tzitzimime? – zapytał ze strachem Tlilpotonqui. – Potwór końca czasów, który zniszczy świat...?

– Montezuma przemówił. Niech odejdzie.

Mistrz rzemieślników skłonił się jeszcze niżej, wyszedł tyłem z komnaty.

Montezuma zaś oparł głowę o kamienne ocembrowanie i spojrział w bok, na wciąż czekającego na swoją kolej Itzlego.

– Czego chce władca Domu Szeptów? – warknął, podnosząc się do pozycji siedzącej.

Zdążył zapomnieć o Itzlim, a przecież ten był już tutaj, nawet zanim przyszły nałożnice.

– O Najwyższy, o źrenico słońca. Itzli przynosi wieści z Tlaxcali.

– Niech mówi!

– Ludzie Itzlego donoszą, że biali przybysze pokonali Tlaxcalteków w walce. Nawet Otomi nie zdołali przeciwstawić się obcym, którzy są wielkimi wojownikami.

Montezuma zacisnął usta, odetchnął głęboko.

– Co stało się z Tlaxcalą?

– Przebiegli wodzowie Tlaxcali zaprosili białych przybyszów do siebie, ofiarowując im gościnę i wojowników.

– Niech Itzli przekaze posłom słowa Montezumy, które ci powtórzą białym przybyszom: Tlaxcaltekom nie można i nie wolno ufać. Są biedakami, którzy nie posiadają nawet dobrego płótna, bo chcieli w przeszłości wystąpić przeciwko Montezumie. Teraz Montezuma obawia się, aby jego przyjaciele nie zostali w Tlaxcali podstępnie napadnięci i ograbieni.

– Itzli usłyszał i zapamiętał, o Najwyższy. Czy wraz ze słowami Montezumy przekazać też dary? Powiedzmy... dwieście sztuk płótna, ozdoby ze złota i kamieni?

– Niech Itzli zrobi, co uważa za stosowne. I na przyszłość... – Montezuma spojrział na władcę Domu Szeptów. – Oby jego słowa bardziej odzwierciedlały to, co się stanie.

Itzli nie powiedział nic, skłonił się tylko nisko i wyszedł, zostawiając Huēi Tlahtoāni samego.

Montezuma zaś znów oparł się o krawędź basenu i pogrążył w wodzie tak, że ta niemalże dotknęła jego ust.

– Kiedyś stanie się znowu tak... – zamruczał do siebie – że to, co zdarzyło się dawno temu i minęło, zdarzy się znów. Ci, co teraz żyją, będą żyli znów... I znów... I znów...

Nabrał tchu, zacisnął powieki i zanurzył głowę pod wodę, na której zostały tylko stopniowo uspokajające się kręgi.



Grupa przybranych w najpiękniejsze ozdoby, pióra i biżuterię, wymalowanych w radosne, żółto-zielono-pomarańczowe kolory wojowników zatrzymała się. Zamilkły flety i piszczalki, ucichły brzękające grzechotki.

Stojący naprzeciwko nich, dosiadający ogromnego rumaka Cortés górował ponad nimi niczym jakiś olbrzym.

Zbroja lśniła i błyszczała w słońcu, pobrzękiwały doczepione do końskiego rzędu dzwonki, które tak bardzo przerażały wojowników Tlaxcali podczas ostatnich starć. Wiszący u boku konkwistadora długi miecz i trzymana w ręku lanca przypominały dwa pioruny, dzierżone przez boga grzmotów i burzy.

Jednak tego dnia niebo było czyste, zaś wiszące na nim złotą tarczą słońce odbijało się radośnie w wypolerowanej stali, przeglądało w pełnych spokoju twarzach zgromadzonych.

To miał być dzień pojednania, radości i przymierza.

Cortés podał lancę czekającemu już de Corii, sam zsunął się z grzbietu rumaka i podszedł do orszaku, który przybył aż tutaj, w pół drogi do wciąż odległej Tlaxcali.

Rozłożył ręce szeroko, pokazując, że ma dobre zamiary, i uśmiechnął się.

Na przywitanie wysunął się starzec podtrzymywany pod łokcie przez dwóch wojowników. Zasnute bielmem oczy zapewne ledwie widziały kształt sylwetki gościa, ale bezzębne usta i tak rozciągnęły się w uśmiechu, kiedy wiekowy Tlaxcaltek zaczął mówić po swojemu.

– Xicotencatl, syn i ojciec Xicotencatla, mówi: witajcie z dalekiej drogi, panie – przełożyła od razu nieodłączna od Cortésa, stojąca za jego plecami Malintzin. – Tutaj wasz dom, tutaj wasze miejsce.

Cortés objął Xicotencatla starszego, ucałował w obydwa policzki. Wykonał dworski ukłon, potem ściągnął hełm i wznosił rękę.

– Dobrzy panowie, mieszkańcy tej ziemi! – zakrzyknął donośnie. – Oto przybywamy do was w pokoju! Będąc z łaski naszego króla oraz Pana naszego Jezusa Chrystusa misjonarzami i krzyżowcami tych nowych czasów, przynosimy wam oto Dobrą Nowinę! Wasze poddaństwo wobec naszego króla i zbrojne ramię stanie się bowiem waszym wyzwoleniem z kajdan pogaństwa i początkiem nowego pokoju, gdyż...

– Znów to samo – warknął Rodrigo do stojącego obok Valverdego. – Co z kimś się spotkamy, on to samo plecie, jak na pamięć nauczony. Zobaczysz, zaraz o łasce chrztu będzie.

– Jako święty Jan chrzczył i nawracał grzeszników, zanim jeszcze jego Pan i nasz Zbawiciel nadszedł w jego ślady! Takż i my przynosimy wam łaskę odkupienia w imieniu Kościoła powszechnego, który...

– I patrz, za każdym razem działa – odmruknął Valverde.

– No, teraz raczej TO zadziało. – Rodrigo pogładził łufę trzymanego u nogi arkebuza. – A tamte dzikusy, sam zobacz, jak się patrzają... Idę o zakład, że coś już knują. Nie wierzę tym ich chytrym oczkom. Mówię: rozciągnąć się teraz tyralierą i dać im salwę frontem. Ot tak, dla zasady.

– Wszystkich nie wybijemy – włączył się do rozmowy Juanito. – Ani prochu nie starczy, ani sił w rękach. Jakby nie Totonakowie, to krucho by z nami było...

– Dużośmy ich już położyli!

– I więcej jeszcze na pewno zostało. Dobrze robi nasz caudillo, że pokój z nimi zawiera, bo...

– Cicho tam – syknął na nich Zahred, stojący na czele swej kompanii.

Umilkli.

Powitanie dobiegło końca. Tubylcy przekazali jeszcze dary, potem zgodnie z umową ich tragarze przejęli od Totonaków dużą część wyposażenia ekspedycji, a nawet wzięli się za ciężkie, nieporęczne działa, które trzeba było przecież nieść w częściach.

Wzmocniona nowymi siłami, prowadzona przez odświętnie ubraną starszyzną wyprawa ruszyła dalej, ku Tlaxcali.





Kiedy prowadzona przez indiańskich przewodników i dostojników armia wyłoniła się spomiędzy wzgórz, Cortés aż kazał się zatrzymać, aby nacieszyć oczy widokiem.

Miasto było imponujące.

Położona w rozległej dolinie pomiędzy ośnieżonymi szczytami gór, Tlaxcala aż biła w oczy świeżą po deszczu bielą ścian domostw, zajmujących tarasami dosłownie każdy skrawek wolnej przestrzeni na wzgórzach.

Bujna, żywa zieleń otulała ją ze wszystkich stron, wspinając się wysoko na zbocza wzdłuż koryt strumieni i niewielkich rzek, niosących świeżą, zimną wodę z topniejących wolno lodowców.

Jak na dłoni widać było ogrody i sady, pomiędzy którymi wznosiły się idealnie równymi, geometrycznymi schodkami stożki ściętych u góry piramid.

Zaś wokół tego wszystkiego stały majestatyczne, wyniosłe i potężne góry, dżgające ośnieżonymi szczytami zachmurzone niebo. Z największej spośród nich, którą członkowie ekspedycji widzieli na horyzoncie nieustannie, odkąd tylko wylądowali w tej dziwacznej krainie, wciąż unosił się w górę szeroki słup białawego dymu.

Przy wejściu do miasta czekali już na nich ludzie. Orszak lśnił złotem i pstrzył się czerwienią, na głowach starszyny falowały niebieskie i zielone pióra.

Gdy tylko się wyłonili, komitet powitalny stał sam na środku drogi.

Kiedy przebyli połowę trasy ku zabudowaniom, gęstniał już tam tłum.

Zaś gdy w końcu dotarli na miejsce, w ludzką ciżbę nie dałoby się wcisnąć nawet szpilki.

Mężczyźni stali dumnie w upiętych na prawym ramieniu czerwonych płaszczach. Kontrastujące z nimi, długie, śnieżnobiałe z kolorowym haftem przepaski biodrowe były niczym togi senatorów z czasów antycznego, na poły legendarnego Rzymu, co tylko dodawało bajkowości całemu spektaklowi. Co poniektórzy ubrani byli w coś na kształt szkockich kiltów. Kilku miało opończe i tuniki, a jeszcze inni okrywające nogi ubiory, do złudzenia przypominające spodnie.

Stroje tutejszych były tak dziwacznie odmienne, a zarazem zaskakująco znajome. Podobne do tych, jakie konkwistadorzy sami widywali daleko, daleko stąd, w krajach odległej Europy.

Obie strony patrzyły na siebie z ciekawością, pokazywały palcami i komentowały. Już nie jako wrogowie, a chwilowo ludzie sobie neutralni – więc siłą rzeczy dążący do tego, aby wspomnienie o jednym stanie zakryć nadmiarem drugiego.

Z szeregu wyłonili się ubrani w białe kaptury kapłani, trzymający w szponiastych dłoniach misy pełne rozżarzonych węgli, na które idący obok chłopcy rzucali kadzidło i pióra. To pierwsze paliło się z wonią żywicy; drugie skwierczały i zwijały się, śmierdząc niemilosiernie. Długie, pozlepiane w strąki włosy świętych mężów kołysały się w tę i we w tę, gdy zawodzili miarowo jakąś pieśń, kapiąc czerwonymi kroplami.

– Krew – skwitował Cortés, nie przestając się uśmiechać. – Pogański obyczaj...

– Ich obyczaj, miłościwy panie. Miejcie cierpliwość, bądźcie pokorni duchem – zaszeptał mu zza ramienia ojciec de Olmedo.

– To na pewno grzech.

– *Ego te absolvo*, miłościwy panie. Czyńcie, co trzeba. – Zakonnik przewrócił oczami, szybko machnąwszy w powietrzu ręką z różańcem.

Cortés i jego kapitanowie wysunęli się naprzód, obok i za nimi stanęli wojownicy z Cempoali. Spomiędzy grupy powitalnej wystąpili dwaj wodzowie, teraz ubrani w odświętne szaty czasu pokoju i z podarkami w gotowości.

– Oto wielki biały wódz i wojownik Cortés, który przybywa do Tlaxcali jako przyjaciel! – zaanonsował przywódcę Kastylijczyków nikt inny, jak sam młody Xicotencatl, tak jak gdyby to on był głównym architektem przymierza. – Niech nogi gości zaznają odpoczynku, oby ich usta zakosztowały świeżej wody!

Zahred patrzył z ciekawością na miasto, ale z prawdziwym zainteresowaniem na ludzi. Można było odnieść wrażenie, że im dalej odchodzili od wybrzeża, tym bardziej rozkwitała, dosłownie rozwijała się w oczach tutejsza cywilizacja. Obrządki były coraz bardziej wyszukane, mowa ciekawsza, porównania bardziej zawile.

– Tlaxcala wita gości i ma nadzieję, że jej dom będzie ich domem – przetłumaczyła słowa dwóch wodzów Malintzin. – Pierścień z Tkaniny oraz Krąg Żądających Os kłaniają się gościom, mówiąc: nie bądźcie już nimi, stańcie się teraz nami!

Maxixcatzin i Temilotecatl – bo to o nich była mowa – schylili się, dotknęli ziemi palcami i przyłożyli je do języka.

Cortés zawahał się, ale powtórzył gest, ukradkiem jednak zrobiwszy w piachu znak krzyża, aby odegnać czary tubylców.

Ludzie zawołali radośnie, pod nogi wkraczających do miasta posypały się kwiaty.

Jakieś dziecko, zapewne ośmielone przez matkę, podbiegło do jednego z kapitanów, wyciągając przed siebie kolorowy wianek. Ten chciał wziąć dziewczynkę na ręce, ale ona wystraszyła się i pokręciła głową przecząco. Zamiast tego on więc przyklęknął i schylił się, pozwalając założyć sobie ozdobę na hełm.

Z domów zaczęły wychodzić też kobiety, których wcześniej nie było wcale widać. Te z kolei miały na sobie białe spódnice z krótkimi tunikami; niektóre, głównie w bocznych, mniejszych uliczkach, stały z odkrytymi piersiami, w ogóle się tego nie wstydząc.

I jedne, i drugie podchodziły niepewnie, podając maszerującym żołnierzom kieliszki czerwonych owoców, placki na glinianych tacach... Gdy ci brali coś, odskakiwały w tył, a potem patrzyły uważnie: czy przybysze zjedzą ich żywność? Czy nie pogardzą? Och, przyjął, ugryzł... Przeżuwa! Je tak samo jak my, popija wodą... I połknął!

Więc to jednak ludzie, z ulgą powtarzali sobie siedzący na dachach domów starszaki. Od razu tłumaczyli trzymanym na kolanach wnukom: to ludzie, ludzie! Przybyli do nas z daleka, ze wschodu, i teraz zamiast wrogami będą nam przyjaciółmi!

Na placu przed największą i najwyższą świątynią czekali już przystrojeni w kolorowe pióropusze, półnaczy tancerze, którzy przywitani wchodzący tam orszak płasami i wznoszonymi wspólnie okrzykami.

Jednak żołnierze zostawiali konieczność zachwyty nad ceremonią swoim przełożonym, którzy chcąc nie chcąc musieli pokazywać, jak bardzo im się to dziwaczne przedstawienie.

Bardziej niż na to patrzyli na otaczające ich domy, wskazywali sobie szczyt piramidy, zachwycali się wciąż przynoszonym im jedzeniem i podawanym w wydrążonych tykwach *pulque*. Jeszcze nie tak dawno napój ze sfermentowanego soku agawy zdawał im się obrzydliwy i cierpki, pachnący ziemią i pleśnią, a teraz... Teraz kiwali głowami z uznaniem, mlaskali z zadowoleniem i na migi pokazywali: pyszne, doskonałe!

Tlaxcalteckie dziewczęta spoglądały na przybyszów, komentowały coś między sobą i chichotały, pokazując na co bardziej rosnących Kastylijczyków. Ci widzieli to, prostowali się i wypinali piersi, poklepywali miecze: już my z wami powojujemy...

Niedawni wrogowie z minuty na minutę stawali się przyjaciółmi, w miarę jak zapiekła w walce nienawiść ustępowała miejsca wzajemnej ciekawości.



– N-n-nie jest tu-tu-tutaj wcale źle! – zaśmiał się chrapliwie pan de León, biorąc kawałek mięsa podany mu z tacy przez nachylającą się nisko z misą kobietę o pełnych, kołyszących się piersiach. – Na m-mą brodę, pa-panowie! Nie wie cz-człowiek, które sma-ko-ko-kołyki do ust ładować p-pierwsze!

– Ulice mają czystsze niż u nas w Baezie – pokiwał głową de Olid, nieco mniej podatny na widmo pokusy cielesnej, bo wciąż słaby po ranach i chorobie.

– Ba, co wy nie powiecie! Sama nawet Granada nie może się z tym miastem równać! – prychnął de Barrameda, jak zwykle sepleniąc i gubiąc

końcówki słów. – Te ichnie place! Widzieliście to, dobrzy panowie? Na tym koło nas przecież jest targ taki, że z końca w koniec nie idzie przejść!

– Nie? – zaciekawiał się de Olid.

– Ach, bo was faktycznie gdzie indziej zakwaterowali, prawda. No jak się wspiąłem na schody tej ichniej piramidy pobliskiej, to było tam... – Gawędziarz zaciął się, szukając odpowiednio wielkiej, a zarazem jeszcze wiarygodnej liczby, potarł podbródek, po czym wypalił: – A ze trzydzieści tysięcy ludzi! I czego tam nie mają, mówię wam! I owoce, i ozdoby piękne, i niewolników pełno...

– Wina, pierdoleni w rzyć, nie mają, ot co – skwitował Portocarrero.

Kastylijczycy zarechotali, jakby ktoś powiedział wyborny dowcip.

Siedzący naprzeciwko nich Tlaxcaltekowie też zaśmiali się głośno, przesadnie i z opóźnieniem: znać było, że gotowi są wyjść z siebie i stanąć obok, byle tylko umilić pobyt gościom.

Zahred siedział przy tym, co w Europie byłoby wysokim stołem, zaś tutaj stanowiło po prostu część uczty z jeszcze większą ilością słomianych mat i kobierców.

Pośrodku wszystkiego był Cortés, tam tłoczyli się też dostojnicy i wodzowie Tlaxcali i kapitanowie wyprawy. Tam też kolejną już z rzędu godzinę zrywała sobie gardło tłumaczka wszystko Malintzin.

On jednak nie spieszył się do tamtego towarzystwa.

Do ugrzeczionych zapewnień o przyjaźni i lojalności, do nadętych wzajemnych komplementów.

Nie w smak były mu teraz przeprosiny za skromne przyjęcie i ciągle zwalanie winy za brak dobrego płótna na blokadę, jaką Montezuma od kilku już lat gnębił Tlaxcalę, która ośmieliła się w przeszłości podnieść przeciwko niemu bunt.

Najmniej zaś potrzebował ciąglego wysłuchiwanie w kółko tych samych opowieści o królu, papieżu i jedynym Bogu, przyjęcie religii którego miało zapewnić wszystkim Indianom szczęście w życiu doczesnym i zbawienie w wiecznym.

Bardziej interesowało go to, co mieli do powiedzenia świeżo upieczeni sprzymierzeńcy.

– Meksykowcy to wielcy wojownicy, zaś ich armie są liczniejsze niż gwiazdy na niebie – półgłosem klarował mu Xicotencatl młodszy. – Mają dobrych wojowników, którzy wyruszają z Tenochtitlán na zdobywcze wyprawy we wszystkie strony świata.

– Tenochtitlán. Jak daleko? Ile dni drogi? – Zahred chciał usłyszeć konkrety.

– Teraz od Wielkiej Wody do Tenochtitlán jest już bliżej niż dalej. Po drodze są jeszcze wysokie góry, a granica państwa Meksyków nie leży daleko. Xicotencatl mógłby tam dotrzeć nawet w trzy dni.

– A jak długo szedłby tam Xahuatl?

– Xahuatl szedłby ramię w ramię z Xicotencatlem. – Młody wódz z uznaniem pochylił głowę.

– A co z jego wojownikami? Czy Tlaxcaltekowie pójdą razem z nim?

Xicotencatl rzucił złym spojrzeniem tam, gdzie ramię w ramię z jego ojcem siedzieli Maxixcatzin, Temilotecatl i Citlalpopocatzin, z otwartymi ustami słuchający słów Cortésa przekazywanych przez Malintzin.

Oni od samego początku mówili tylko o pokoju.

Pokój, pokój, pokój! Jak gdyby sam w sobie miał być jakąkolwiek wartością.

Jakby ten, za czyich rządów nie było wojen, miał szansę zapisać swe imię na kamiennych tablicach kronik.

– Tlaxcaltekowie pójdą pod wodzą Xicotencatla wszędzie tam, gdzie poleje się krew wrogów – wycedził, patrząc wymalowanemu przybyszowi prosto w oczy.



– Myślisz, że są szczerzy w swoich zapewnieniach? – zapytał Cortés.

Zahred wzruszył ramionami.

– Bardziej od ich intencji interesują mnie konkretne zachowania w konkretnych sytuacjach. Bo to mało razy zdarzyło ci się iść na miejsce spotkania z zamiarem zabicia kogoś, a potem ratować mu życie? Albo na odwrót: iść, myśląc o sobie jako o oddanym sojuszniku, a wychodzić jako śmiertelny wróg?

– Chyba nie mam twojego doświadczenia życiowego, przyjacielu. – Rozbawiony caudillo pokręcił głową.

– Tak... To całkiem możliwe, że nie masz.

Szli akurat przez jeden z placów targowych Tlaxcali, którymi jeszcze pierwszego dnia ich pobytu tak bardzo zachwycił się de Barrameda.

Przyznać trzeba, że w słowach tamtego była tylko szczypta przesady.

Rzeczywiście, targ odbywał się tutaj dzień w dzień. Ściągali na niego ludzie nie tylko z samego miasta, ale też z okolicznych wiosek i pomniejszych miasteczek.

Ptactwo, strzały, utuczone na ubój psy w klatkach z drewna, ozdoby, bele materiału wyrabianego tutaj z włókien agawy, plecione maty, kosze owoców, piętrzące się w stertach kukurydziane placki – wszystko to cieszyło oko, wołało do potencjalnego kupca, mamiło kolorami, drażniło nozdrza pięknym zapachem.

Ludzie oglądali się na przybyszów z dalekich krain, pokazywali palcami, gdy przechodzili, i zawsze uśmiechali się serdecznie, gdy tylko tamci patrzyli na nich.

Dzieci podłapały nową zabawę i teraz biegały z długimi patykami u boku, nosząc wyplecione z trzciny nakrycia głowy, do złudzenia przypominające żelazne hełmy konkwistadorów.

Kobiety spoglądały na nich z zaciekawieniem, chowając się za zasłonami w drzwiach i wyglądając przez otwory okienne.

Jedna szczególnie odważna podbiegła do Cortésa, wspięła się na palce i nim ten mógł zaprotestować, ucałowała go w policzek, po czym uciekła, chichocząc.

– Hm, hm... – mruknął caudillo.

Otarł wierzchem dłoni wilgotny ślad i rozejrzał się, czy aby idący z tyłu żołnierze nie zauważyli tego... Ale nie, nadal byli zajęci oglądaniem towarów na straganach.

– Słyszałem, że starszyzna chce nam podarować tutejsze kobiety... znów – rzucił w przestrzeń Zahred, patrząc na szczyt świątyni. – Ile ma ich tym razem być? Trzysta?

– Trzysta. I do tego kilkanaście córek tutejszych dostojników. Kto ci o tym powiedział?

– Wszyscy o tym mówią! – roześmiał się Zahred.

– Ach. Zatem najwyraźniej mówią o tym, tylko nie ze mną. Co takiego powtarzają?

– Dzielą już skórę na niedźwiedziu. Panowie de Olid i de León mało brakowało, a byłiby się pobili wczoraj o te nadliczbowe.

– O co?

– Nadliczbowe kobiety! Nas jest przecież niespełna trzy setki, więc...

– Ach tak. Rozumiem już. Hm. Co ty o tym sądzisz?

– Powinieneś odmówić ich przyjęcia. – Głos Zahreda stwardniał. – Spokojnie, grzecznie, ale zdecydowanie. Ludzie rozmiękną przy kobietach, staną się ospali i zazdrośni. Zresztą co tu dużo mówić! Gotowi rzucić się sobie do oczu już na samą myśl o nich.

Caudillo przytaknął z widoczną ulgą.

– Zatem myślimy podobnie. Na co powołały się tym razem?

– Na to, co zwykle, kiedy nie mamy co powiedzieć: to grzech, nie wolno nam, Tlaxcaltekwie nie przyjęli naszej wiary, nie są ochrzczeni. Zadziała w obydwie strony, i na naszych, i na tutejszych. Najlepiej używać argumentów pozbawionych wagi merytorycznej, bo z nimi nie można nijak dyskutować, a to oszczędzi czasu.

– Na Boga! – Cortés zachnął się i przeżegnał. – Czasami, kiedy cię słucham...

– Tak?

– ...czuję się, jakbym miał obok siebie jakiegoś heretyka! Mówisz tak lekko o sprawach, które powinny zasługiwać na minimalny chociażby szacunek!

– Sprawy, podobnie jak i ludzie, dostają szacunku dokładnie tyle, na ile sobie zasłużą. Kiedy dajesz komuś słowo, a potem nie dotrzymujesz go, co

wtedy? Czy warto dalej z tobą rozmawiać? Czy też każdy wie już, że twój honor nie jest nic wart?

– O czym ty mówisz? Przecież obietnica zbawienia, którą zostawił nam Pan nasz Jezus Chrystus, jest prawdziwa i aktualna!

Zahred drgnął, jakby budząc się z zamyślenia. Spojrzał na Cortésa, uśmiechnął się i pokiwał głową.

– No tak, faktycznie. Masz pełną rację. Rzeczywiście, TAMTA obietnica z pewnością zostanie dotrzymana. W jaki zatem sposób osłodziś Tlaxcaltekom swoją odmowę?

– Poczekaj, nie uciekaj od tematu. Co miałeś na myśli, kiedy...

– To jest właśnie nasz temat, przyjacielu. Od niego zaczęliśmy, a nie od jałowych dysput teozoficznych. Więc?

Cortés westchnął.

– Jesteśmy tutaj już czwarty dzień. Trochę zwłoki więcej nie zaszkodzi, więc posłałem już do Cempoali...

– Bez konsultacji z kimkolwiek? Bardzo słusznie – mruknął Zahred, po czym widząc wzrok Cortésa, rozłożył ręce. – Mówię przecież: słusznie! Jakkolwiek czuję się nieco odsunięty od twojego zaufania, ale popieram twoją decyzję w pełnej rozciągłości. Niech zgadnę: sól i płótno?

– Tak – przytaknął Cortés. – Skąd...?

– Bo właśnie tego im tutaj brakuje: czystej, zdatnej do jedzenia soli z morza i bawełny, której nie dostają przez blokadę Meksyków. Swoją drogą, to bardzo wygodny pretekst, ta blokada.

– Ale taki argument działa w dwie strony, jak sam zauważyłeś. – Cortés nie mógł odpuścić sobie zgryźliwości. – Jeśli powtarzają w kółko, jak bardzo są przez to biedni i nieszczęśliwi...

– ...to będą wręcz musieli się z takich prezentów ucieszyć, logiczne. Nie forsuj tylko nazbyt mocno kwestii chrztu i wiary.

– Jakbym słyszał ojca de Olmeda, jakkolwiek w jego przypadku taka wstrzemięźliwość dziwi jeszcze bardziej. – Cortés pokręcił głową.

– Tak? – zdziwił się Zahred. – No proszę, w nim bym się nie spodziewał znaleźć sprzymierzeńca.

– Co i rusz mi powtarza, żeby nie pospieszać. Uwierzysz, że miał opory, żeby przejść i wyświęcić tę jedną świątynię, którą nam oddali?

– Uwierzę, że zaciągnąłeś tam Maxixcatzina i sędziego Xicotencatla starszego na dziękczynną mszę za pokój. Jego syn mi o tym mówił.

– Za to nie widziałem tam ciebie! – Caudillo skrzywił się z niezadowoleniem.

– I nie zobaczysz, mówiłem ci już kiedyś. Moja wiara, czy też raczej moja wiedza, to moja sprawa. Teraz ty nie zmieniaj tematu! Podobno proponowałeś im też przyjęcie chrztu.

– Z własnej woli, dobrowolnie – burknął Cortés.

– Och, oczywiście. A ja tylko mówię: nie popędzaj ich zbyt. Zbyt.

– Bo niby co?

– Bo jeszcze gotowi się zgodzić! – prychnął Zahred. – Pozwolić sobie polać głowę wodą i powtórzyć kilka formułek po to, aby przypiecztować sojusz? Niewygodowana doprawdy cena! Wtedy za jednym zamachem wybiją ci z ręki argument przeciwko przyjęciu kobiet i powiedzą: jesteśmy poddanymi króla Kastylii i wiernymi katolikami, a teraz ty obroń nas i nakarm!

Cortés pokiwał, jakkolwiek sposób, w jaki Zahred wyłuszczał swoje myśli, nadal zdawał mu się – no cóż, momentami ocierający się o bluźnierstwo.

Znamy się już tyle lat, pomyślał caudillo, a ja nadal nie wiem o tym dziwnym człowieku wszystkiego.

Owszem, Zahred parę razy opowiadał mu o swoich wojnach i kampaniach, ale zawsze opisywał je tak, że mogłyby wydarzyć się gdziekolwiek – albo wręcz nigdzie.

Żadnych imion, żadnych nazw, punktów charakterystycznych, nic. Żadnych znajomości, powiązań na dworach. Rzekłbyś: człowiek znikąd. Bez rodziny, bez domu. Rzadko, wręcz niechętnie wymieniający nazwę miejscowości, z której pochodził, położonej gdzieś na dalekim, dzikim wschodzie Europy.

Niby byli razem tu i teraz, a jednak Zahred zawsze zdawał się żyć jakoś obok.

– Jeśli odmówimy, obrażą się – mruknął Cortés.

– Przyjmij tylko córki wyższych rodów. Niech dostaną je kapitanowie, ich radość udzieli się ludziom.

– A ty wybierzesz sobie jedną jako pierwszy?

– Nie potrzebuję podarków – warknął Zahred. – Cokolwiek można dostać jak rzecz, nie jest warte posiadania.

Na chwilę zapadła cisza.

Cortés nadal nie mógł zapomnieć tego, jak przez pierwszych kilka dni Zahred patrzył na Malintzin, kiedy pojawiła się przy nich. To właśnie on przecież mówił, że na dobrą sprawę podarowana im jako niewolnica dziewczyna może okazać się przydatna.

Okazała się bezcenna.

Znała nie tylko język, ale też obyczaje i topografię części krainy, jako że sama pochodziła z jednego z możliwych rodów. Bez niej... bez niej nie pokonaliby nawet połowy tej drogi.

Wtedy miał wrażenie, że Zahred mógłby chcieć...

Potrząsnął głową, odganiając dziwne myśli.

– Jak zamierzasz go nazwać? – Caudillo wskazał psa truchtającego przy nodze swego pana.

Zahred wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Kiedy go wołam, przychodzi. Czy naprawdę potrzebuje imienia? I proszę, oszczędź mi swoich cytatów z Księgi Stworzenia o tym, jak to Adam nazywał po kolei zwierzęta! To po prostu pies.

– Mimo to powinien mieć imię. Nazwij go imieniem kogoś, kto był dla ciebie ważny... Kogoś, kogo chciałbyś zapamiętać. Przyjaciela?



– Nigdy nie miałem przyjaciela – odparł Zahred dziwnym tonem.  
Cortés spojrział na niego dziko, ale ten już odwrócił głowę, patrząc na mijany właśnie dom.

Caudillo w tamtym momencie uświadomił sobie, że tak naprawdę nie wiedział o Zahredzie nic.

Nic!

I dopiero teraz, na drugim krańcu świata, na wschodnim wybrzeżu cholernych Indii, pośród zupełnie innego świata i odmiennych od kogokolwiek ludzi, zrozumiał: ten człowiek był mu całkiem obcy.

Obcy po prostu, z definicji, ze swej natury.

Tak samo nie na miejscu tutaj jak na dworze w Sewilli, gdzie przelotnie spotkali się po raz pierwszy. Zawsze stojący obok. Idealnie wpasowujący się w otoczenie dokładnie dlatego, że pozbawiony jakichkolwiek korzeni.

– Zahred, skąd ty się w ogóle... – zaczął, ale tamten odwrócił się do niego i powiedział:

– Kefren.

– Co?

– Kefren, tak go nazwę. Znałem kiedyś człowieka o tym imieniu... Dawno, dawno temu.

– No dobrze – odrzekł Cortés. – Czemu akurat on?

– Bo tamten też chodził za mną jak pies, mimo że nigdy go o to nie prosiłem. Wszystko rozumiał, a mało co potrafił od siebie powiedzieć. O wiele lepiej wychodziło mu ujadanie i rzucanie się na wrogów. Poza tym też miał problem z ręką.

Zahred pokazał palcem na lewą tylną łapę psa o minimalnie zdeformowanych, nie do końca wykształconych palcach. Zwierzęciu to nawet nie przeszkadzało, czworonóg zapewne nie był świadom tego, co pozostali nazwaliby ułomnością – bo też nigdy nie był inny.

– Kefren. Dziwne imię, ale niech będzie.

– Dziwne czasy i świat, w którym przyszło mi go spotkać.

– Psa czy człowieka?

– Obydwu.



Ponad Tlaxcalą zapadał już zmrok, grały świerszcze i śpiewały ostatnie ptaki.

Piękny, krwawy po deszczu księżyc wznosił się ponad górami; powietrze było rześkie i świeże, aż chciało się odetchnąć pełną piersią.

Słysząc było odgłosy powoli cichnącego gwaru rozmów mieszkańców. Gdzieś ktoś zaciągał jedną z tych melancholijnych wieczornych pieśni.

Jednak ponad dachami domów niosły się też inne dźwięki: chrapliwy, donośny śmiech i głosy przybyszów, zakwaterowanych w dużych domach dla gości i po prostu poupychanych po co możniejszych posiadłościach.

Ujadanie ich wielkich, włochatych psów, które miały zwyczaj wyc przejmująco w nocy i nawoływać się z przeciwnych końców miasta.

W końcu szczękanie pancerzy i oręża, bez których nowi goście i sprzymierzeńcy zdawali się nigdzie nie ruszać.

Siedzący wraz z ojcem na dachu ich domostwa Xicotencatl nalał do kubków *pulque*, naprowadził suchą, pomarszczoną dłoń starca ku naczyniu. Kiedy ten napił się, otarł kącik jego ust szmatką.

– Czy ojciec pamięta opowieść, którą przekazał Xicotencatlowi, gdy ten był jeszcze mały? – zagadnął.

– Opowieść, synu? – Niewidzące oczy zwróciły się ku niemu, czoło pokryło się dodatkową siecią zmarszczek. – Którą, mój synu? Xicotencatl opowiadał swojemu pierworodnemu wiele baśni, legend i podań.

– Tę najważniejszą, ojciec.

– Aaach. Tę o dwóch jaguarach i skalnej jaszczurce. Jakże mógłby zapomnieć...

– Nie, ojciec. Tę jeszcze ważniejszą.

Starzec zamyślił się, wypił resztkę napoju i odstawił kubek. Zabulgotał przelewany z dzbana płyn, więc odruchowo ujął ponownie naczynie, umoczył usta.

– Zatem masz pewnie na myśli tę o powstaniu świata. O tym, jak nasz prastary władca, pomarszczony i mądry Tonacatecuhtli, wziął pewnego dnia bryłkę ziemi, z której...

– Nie, ojciec. – Xicotencatl zacisnął pięść, ale postarał się, aby jego głos brzmiał spokojnie. – Xicotencatl myśli o jeszcze innej.

– Synu Xicotencatla! – zaśmiał się ojciec, po raz kolejny sięgając po *pulque*. – Xicotencatl każe jego ojcu zgadywać, co mówił mu w młodości? Niech przypomni mu zatem sam!

– Xicotencatl pyta o przepowiednię, ojciec. Tę o nadejściu ludzi ze wschodu.

Xicotencatl starszy zbystrzał, zmarszczył brwi.

– Xicotencatl nie pamięta takiej opowieści, synu.

– Jakże to, ojciec? Xicotencatl nie posiada się z rozpaczy! Któż przekaże mu mądrość wieków, jeśli nie jego ojciec o pięknym naszyjniku lat?! – zawołał wojownik.

– Poczekaj, synu Xicotencatla. Poczekaj no... Mówisz, że o nadejściu ludzi ze wschodu? Coś mi świta...

– Tak, ojciec, właśnie tę! Gdy mówił Xicotencatlowi, trzymając go na kolanach, jak kapłani z wysokiej świątyni przemówili ustami bogów wiatru i deszczu.

– Kapłani mówią słowami bogów, synu. – Staruszek poważnie pokiwał sędziwą głową. – Nawet ojciec Xicotencatla powtarzał mu: pamiętaj, synu Xicotencatla, żeby słuchać przepowiedni i znaków!

– Otóż to, ojcze! Syn Xicotencatla nie pamięta tylko, który to z bogów mógł przepowiedzieć, że z dalekich, leżących na wschodzie ziem, stamtąd, gdzie rodzi się słońce, nadejdą przybysze? Który z nich mógł to być?

– Jeśli ze wschodu, synu, to znaczy, że szli na zachód. A jeśli bóg wiatru... Tak, to mógł to być tylko Quetzalcoatl.

– No właśnie! – rozpromienił się Xicotencatl, oblizał nerwowo usta i dołał ojcu jeszcze więcej *pulque*. – A co takiego powiedział, ojcze?

– Tamtego dnia Quetzalcoatl przemówił ustami kapłanów, synu! Ofiar było wiele, jakkolwiek nie pamiętam, jakie to było święto...

– Zapewne jesiennego Zamiatania Dróg – wtrącił Xicotencatl.

– Otóż to! I podczas jesiennego Zamiatania Dróg najwyższy kapłan Quetzalcoatl rzekł: słuchajcie, ludzie całej ziemi! Ze wschodu przybędą przybysze, jakich nikt nie widział wcześniej. Przybędą, aby... aby...

– Aby podbijać i panować?

– Jako żywo, synu! Xicotencatl bogom dziękuje za pamięć młodych... Przybysze przyjdą, aby zwyciężać i rządzić wszystkimi ziemiami.

– Zaś Tlaxcala będzie u ich boku, ojcze?

Xicotencatl starszy spojrział na syna, zamrugał pustymi oczami i przytaknął – z początku niepewnie, potem coraz bardziej entuzjastycznie.

– Tlaxcala u ich boku, synu! – Poklepał go radośnie po ramieniu, mówiąc już nieco bełkotliwie.

– To wspaniała opowieść, ojcze! Xicotencatl dziękuje ojcu, że przywrócił ją jego pamięci! – Młody ucałował go w obie ręce, potem położył sobie dłoń ojca na głowie. – Teraz jego ojciec musi koniecznie opowiedzieć ją też innym wodzom! Jak to dobrze, że mu ją przypomniał...

– Od tego jesteśmy, synu Xicotencatla. – Staruszek uśmiechnął się, kiedy *pulque* znów zabulgotało w jego kubku. – Od tego są starzy ludzie, aby młodym przekazywać bez przekłamania wszystko, co się kiedyś zdarzyło. Z dziada pradziada te same opowieści...

– Napijmy się jeszcze! – zaproponował młody wojownik, podnosząc kubek. – Za zwycięstwa Tlaxcali u boku tych, których przepowiedzieli sami bogowie!

– Za zwycięstwa, synu!

Tlaxcala już zasypiała, niebo mrugało tysiącem świateł – lecz wojowniczy Xicotencatl czuł, że jego gwiazda miała dopiero wzejść ponad horyzontem.



– Niech potężny, wysoki Cortés rozważy jeszcze raz słowa Maxixcatzina i nie idzie przez Cholulę! Tamtejsze drogi...

– Słyszałem za pierwszym razem! – warknął Cortés, uderzając pięścią o blat stołu.

Siedząca obok niego Malintzin zacisnęła usta, nachyliła się ku caudillowi i zaszeptała:

– Niech miłościwy pan i mój towarzysz nie złości się na mnie, tylko na nich! Malintzin tylko przekazuje ich słowa. Niech nie wyładowuje swojej wściekłości na niej, bo jest tu tylko tłumaczką.

– Nie złościę się na was, pani! – Cortés machnął ręką.

– No więc nie złościć się! Bo ja nie dla przyjemności tu jestem i też bym wołała, żeby oni wam z ręki jedli! Jakby to ode mnie zależało, to na kolanach bym przed wami...

Oczy caudilla błysnęły, po twarzy przemknął uśmiech. Zrobił gest, jakby chciał dotknąć jej twarzy, ale odchrząknął tylko, poprawił się na fotelu i spojrział na stojących przed nim dostojników z Tlaxcali oraz posłów z Tenochtitlán.

– Pójdziemy tamtędy, którądy zechcemy – odpowiedział wyniośle.

– Potężny Cortés słusznie czyni, samemu wybierając drogę. – Ambasador Montezumy uśmiechnął się i skłonił. – Ludzie z Huexotzinco nie mają nic poza ziemią, na której siedzą ich nagie pośladki.

– Za to są przyjaciółmi Tlaxcalteków! – nie ustawał w nagabywaniach Maxixcatzin.

– Montezuma jest przyjacielem Cortésa.

– Cortés ma wystarczająco dużo przyjaciół tutaj!

– Którzy dopiero co próbowali go zabić...

– Uszy Maxixcatzina nie zniosą dłużej tych obelg! Niech wysoki, potężny Cortés każe temu kłamliwemu językowi opuścić ten dom, bo jeśli nie, to...!

– Panowie, panowie! – Caudillo podniósł rękę. – Zachowajcie spokój, proszę. Usłyszałem wasze słowa, rozważę je. Skonsultuję decyzję z moim wróżbitą. Wam, panie, dziękuję za ofertę pomocy i sojuszu. Nowi tragarze przydadzą się, wojowników Tlaxcali znamy, że tak powiem, z pola boju, więc witamy ich w naszych szeregach...

Maxixcatzin wyprostował się dumnie, skłonił przystrojoną kwiatami głowę.

– Wam zaś dziękuję, panie, za słowa naszego przyjaciela Montezumy i dobrą radę, którą biorę głęboko do serca niczym najczystszy klejnot.

Ambasador spojrział tryumfująco na swojego adwersarza.

Malintzin, siedząca obok Cortésa, skończyła mówić, spojrzała na caudilla z ukosa i kiwnęła głową: admirał coraz lepiej uczył się rozmawiać z Indianami i nawet pomimo bariery językowej układał myśli tak, że rozumieli go zgodnie z jego intencjami.

Kiedy posłowie wyszli, czekający do tej pory pod ścianami kapitanowie i reszta oficerów wystąpili naprzód, gromadząc się wokół Cortésa półkolem.

Słowa słowami, a teraz należało podjąć decyzję.

– Ciągną nas w pułapkę – warknął de Alvarado, nie czekając na otwarcie obrad.

– Pewnie, tylko którzy? – zaśmiał się de Olid, od trzech dni nieustannie radosny po tym, jak otrzymał w podarku jedną z dobrze urodzonych tlaxcalteckich dziewcząt, której zalet nie omieszkiwał z najdrobniejszymi szczegółami opisywać kompanom przy każdej okazji. – Zresztą co za różnica? Nie z takich oparów wychodziliśmy cało!

Alonso de Ávila pokręcił głową, splunął z niezadowoleniem na ziemię.

– Nie ufałbym tym Meksykom. Co i rusz coś mówią, a potem okazuje się, że jest na odwrót.

– Przed Tlaxcalą nas ostrzegali i mieli rację! – zaproponował de Medellín.

– Początkowo tak. Docelowo mylili się, przyznacie chyba sami?

– No i co teraz zrobić...?

– Mo-mo-monetą rzucić! – poddał pomysł de León, na którego karku widać było świeże ślady po paznokciach.

Najwyraźniej najmłodsza córka Xicotencatla starszego, która przypadła mu w udziale jako jedna z „narzeczonych” dla Kastyljczyków, miała temperament podobny do przyrodniego brata... I ojca też, bo tamten musiał mieć z osiemdziesiąt lat, a dziewczyna nie więcej jak piętnaście!

– Posłowie Montezumy coś mocno namawiają nas na tę Cholulę. – De Grado pokręcił głową. – Podejrzenie mi to pachnie...

Stojący obok niego Francisco de Saucedo, zwany przez wszystkich el Pulido, czyli Fircykiem, machnął lekceważąco wypielęgnowaną dłońią i spojrział na zawsze czyste, zadbane paznokcie.

– Furda z Indianami, panowie! Co nam mogą zrobić? No co, pytam? – Potoczył po nich wyzywająco wzrokiem. – Będą się rzucać na miecze, aż się zmęczymy? We własnej krwi nas utopią? Przysypią ilością trupów?

– Niezbyt pocieszająca wizja, panie – mruknął de Medellín.

– Poetycka za to! No ale pytam was: co się może stać? Więcej ich się zjawi niż do tej pory?

– Tfu! Wyplujcie te słowa! – zirytował się Cortés.

Jednak de Saucedo wydobył z pochwy zdobioną szpadę, wyciągnął gestem wyzwania w kierunku wyjścia z komnaty, za którym tętniło życiem miasto i cały Nowy Kontynent:

– A ja mówię: niech się zjawia! Niech przyjdą wszyscy i jeszcze sąsiadów wezwą! Co to, nie starczy nas? Palcem nas ojcowie robili albo matki pod płótnem rodziły, żebyśmy się hołoty czerwonej bali? *Santiago y cierra, España!*

– *Santiago y cierra, España!* – zawtórowali pozostali, też dobywając broni.

Cortés uśmiechnął się.

Cieszył go taki przejaw ducha bojowego i wysokiego morale. Przez niemalże dwa tygodnie spędzone w Tlaxcali wszyscy wypoczęli ciałem i duchem, zaleczyli rany. Ba, co poniektórzy nawet wyraźnie dostali okrągłszych policzków i boczków!

Jednak machanie błyszczącymi mieczkami było piękne, a ktoś musiał podjąć decyzję.

Ktoś – czyli dokładnie on.

Spojrzał na Zahreda, ten nieznacznie kiwnął głową: rozmawiali już o tym wcześniej, a ta narada wyłącznie utwierdziła ich w powziętym zamiarze.

– Pójdziemy przez Cholulę! – zadecydował Cortés.



Rada skończyła się, kapitanowie ruszyli do oddziałów.

Zostali tylko oni dwaj i rozłożona na stole prymitywna, bardzo umowna mapa okolicy, którą szkicowali po drodze wedle pozyskiwanych informacji.

– Wiesz, że to może być zasadzka? I najpewniej jest.

– Mhm... – Caudillo spojrzał na Zahreda. – Jednak de Saucedo ma rację: nie będzie nią, jeśli będziemy o tym wiedzieć.

– To nie do końca tak, Hernán, ale masz rację. Nie wiem tylko, czy...

– Chcę, żebyś ruszył do Choluli przed nami. – Cortés podniósł wzrok na Zahreda.

Zahred uśmiechnął się.

Hernán był naprawdę interesujący. Wielowymiarowy. Czasami zdawał się tylko miłąkim dorobkiewiczem, myślącym wyłącznie kategoriami własnego zysku. Mieć złoto, jeść i spać na złocie...!

Ale zaraz potem okazywało się, że jego przenikliwy, myślący wielorakimi ścieżkami abstrakcji umysł zaskakiwał całkowicie nieoczekiwanym posunięciem.

– Dobrze.

– Nie zapytasz nawet po co? Czy masz pójść sam, czy z kimś jeszcze?

– I tak mi powiesz. Wnoszę jednak, że nie będę jedynym wysłannikiem.

– Nie. Chcę wreszcie pozbyć się tych upierdliwych, nagabujących mnie i patrzących mi na ręce ambasadorów. Ruszysz z nimi dalej, aż do Tenochtitlán, żeby spotkać się z Montezumą w moim imieniu.

Zahred zmrużył oczy, uśmiechnął się.

– Podoba mi się ta misja. Kto idzie ze mną?

– Myślałem o Pedrze de Alvaradzie i Vázquezie de Tapii. Ten pierwszy też otrzyma ode mnie identyczny z twoim zestaw instrukcji, zaś de Tapia... – Cortés urwał, widząc grymas na twarzy przyjaciela. – No co? Co znów powiedziałem nie tak?

– Chcesz wysłać nas trzech. Jeden dla bezpieczeństwa, dwaj dublujący rozkazy na wypadek śmierci jednego z nich.

– Nie to miałem na myśli! – zachnął się Cortés, ale Zahred tylko podniósł rękę.

– Dokładnie to miałeś na myśli, Hernán. Rozumiem to i szanuję, natomiast mów mi prawdę, proszę. Który z nas miałby być tym ważniejszym?

– Ty – mruknął Cortés, czując, jak policzki płoną mu rumieńcem wstydu.

– Zatem nie musisz słać ze mną de Alvarady, który lepiej sprawdzi się przy swoich ludziach. Tego de Tapię znam przelotnie, więc z założenia mu nie ufam.

– Nie puszczę cię samego.

– Wezmę zatem dwóch ze swoich ludzi, żebyś ty spał spokojnie. Resztę moich daj pod tymczasową komendę de Leóna, będą się go słuhać.

– Muszę mieć kogoś jeszcze, kto...

– Ja nie zginę, Hernán – powiedział po prostu Zahred. – A jeśli nawet zginę ja, to ani dwóch, ani stu dwóch więcej ludzi nic nie pomoże.

Cortés spojrział na niego ciężko, skinął na znak zgody.

– Niech będzie.

– I pójdzie z nami jeszcze ktoś – uśmiechnął się Zahred.

– Kto taki?

– Nikt istotny. Xiconchitli, jeden z braci Xicotencatla.

– Po co ci on? Jeśli chcesz przewodników...

– Nie chcę. Natomiast rozmawiałem o nim z Tecuelhuatzin i pragnę poznać go bliżej.

– Że niby z kim? – Cortés skrzywił się, jakby zjadł oliwkę prosto z drzewa.

– Córką starego Xicotencatla, jedną z siostr Xicotencatla młodszego. Tą, która dostała się panu de Alvaradzie.

– Doña Maria Luisa! – prychnął Cortés. – Nie zapominaj, że została ochrzczona.

– Tak, oczywiście, doña Maria Luisa. – Zahred uśmiechnął się nieszczerze.

Cortés nie miał już siły na dyskusje, machnął ręką: niech będzie.



## Rozdział 6

**O** cholera, ależ tu pięknie!

Zahred obejrzał się na de Monroya, który wdrapał się na kamień przy ścieżce i podziwiał krajobraz. Rodrigo przeczłapał jeszcze kilka kroków i też się zatrzymał, obejrzał na nich, całym sobą mówiąc bez słów: no chodźcieżeż, dobrzy panowie!

De Monroy tymczasem patrzył w siną dal, tonącą w delikatnej mgiełce perspektywy.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie wokół nich były góry: wyższe i niższe, na przemian podnoszące się łagodnymi wzniesieniami i bodące ostrymi szczytami lazurowe niebo, po którym przetaczały się białymi stadami puchate chmurki niczym nieznanne w tutejszych krajach owce.

Zieleń aż tętniła, pokrywała każdy dostępny skrawek przestrzeni.

Bujne krzewy czepiały się korzeniami skał, niestrudzenie krusząc je na mniejsze fragmenty, które zaścieślały dna dolin.

Tam porastał je nierównymi plamami mech, przy nim zieleniły się falujące łąny traw.

Na tak przygotowanym terenie wyrastały najpierw mniejsze, potem większe drzewa, stopniowo łącząc się w całe zagajniki i lasy.



Ilość ptactwa była po prostu niewiarygodna.

Ciężkie, dostojne niby-gęsi przechadzały się stadami, niemalże nie bojąc się idących ludzi i strosząc czarno-białe pióra, potrząsając czerwonymi łbami o dziwacznych skórzastych naroślach pod gardłem i gulgocząc donośnie.

Całe chmary kolibrów zrywały się z furkotem i śmigwały przez powietrze. Krzyżały donośnie z koron drzew zielone, czerwone i niebieskie ptaki, których nazw nawet trudno było się domyślać.

Nigdzie nie było widać ani śladu bytności człowieka.

Tylko wijąca się po skalnej grani wąska, mieszcząca obok siebie raptem dwóch ludzi ścieżka pojawiała się i znikła węzowymi splotami pośród tego majestatu przyrody.

Idący za nimi Indianie zatrzymali się, czekając, aż biali przestaną blokować szlak. Z kolei ci prowadzący pochód, pomiędzy którymi kołysali się też w palankinach dostojnicy i posłowie Montezumy, nawet nie przystanęli, idąc swoim tempem naprzód.

– Chodźmy! – ponaglił Zahreda gestem Xiconchitli, przyrodni brat Xicotencatla. – Nie można opóźniać! Idziemy!

– Co on tam gdcze, kapitanie? – odezwał się ze swego kamienia de Monroy, sięgając po bukłak.

– Mówi, że wyglądacie pięknie! I gdyby tylko miał farby, sztalugi i za grosz talentu, to namalowałby wam portret! – zawołał do niego Zahred.

De Monroy parsknął, zakrztusił się i opluł winem. Wytarł usta, po czym niezgrabnie niczym wielki żuk na poły zlął, na poły zsunął się z głazu, rysując przy tym napierśnik. Podał bukłak Zahredowi, pokazał na czekających cierpliwie Indian:

– Gapią się na nas, jakbyśmy byli niespełna rozumu.

– Tym właśnie jesteście, panie de Monroy: ludźmi niespełna rozumu, którzy poleźli z butami w nie swój świat – potwierdził Zahred, upił łyk i podał naczynie dalej do Rodriga.

– Myślą tylko, jak nam gardła poderznąć – mruknął arkebuzer.

– Może i tak być – zgodził się zupełnie poważnie Zahred. – Albo wręcz zachodzić na śmierć, licząc, że padniemy z wyczerpania.

Miało się dopiero ku wieczorowi pierwszego dnia drogi, a oni już czuli, jak bolą ich nogi. Indianie szli boso po kamienistych ścieżkach i górskich drogach, z równą łatwością maszerując po równym dnie dolin, wspinając się na strome zbocza i schodząc po kamieniach stromych niczym schody na wieżę katedry... Oraz równie wysokich.

Tylko że tam, w Europie, człowiek miał chociaż poręcz, za którą mógł się złapać, i bezpieczne ściany, żeby się oprzeć. Zaś tutaj? Pustka, w której hulał gwałtownymi porywami wiatr, i przestrzeń, od której aż kręciło się w głowie.

– Idziemy! – Xiconchitli po raz kolejny machnął ręką.

– No już, panowie, dość tych krotoczwil. Droga przed nami jeszcze daleka – rzekł Zahred.

– Mówiliście, panie, że ile...? – skrzywił się de Monroy.

- Indianie twierdzą, że pięć dni drogi. To jest o ile utrzymamy ich tempo.
- *Madre de Dios* – jęknął tylko Rodrigo.



Pierwszą noc spędzili po prostu pod gołym niebem, nie paląc nawet ognisk.

Orszak szedł i szedł, a potem nagle wszyscy zatrzymali się i zaczęli tak, jak stali, układać się na ziemi. Meksykowicze zawijali się w swoje opończe i płaszcze, dla dostojników rozesłano słomiane maty. Nie minął kwadrans, a duża część już spała, mimo że zmrok ledwie zaczynał zapadać.

- Dzikusy – skwitował to Rodrigo, rozglądając się za czymkolwiek, co chociaż dalece przypominałoby schronienie na noc.

De Monroy patrzył z niedowierzaniem, jak tragarze zwijają się i nieruchomieją na skalistej ziemi. Prychnął, pokręcił głową: jak to? Przecież żaden z nich nie zabrał ze sobą nawet koca! Liczyli na to, że jeśli nawet nie będą goszczeni, to przynajmniej ktoś się nimi zaopiekuje!

Zahred po prostu oparł się plecami o występ skalny tuż obok Xiconchitlego. Wojownik spojrzął na niego, zagadnął:

- Xahuatl da radę odpocząć? Ziemia wystarczy mu za posłanie?

- Nie w takich miejscach odpoczywał... – mruknął tamten, krzyżując ramiona na piersi. Cmoknął na psa: - No chodź, chodź. Ciepłej nam będzie w dwóch...

Kefren przytulił mu się do boku, ułożył łeb na brzuchu i popatrzył wymownie, domagając się pieszczot.

- Xahuatl wziął ze sobą psa na jedzenie?

- Raczej do towarzystwa. Niech Xiconchitli raz jeszcze opowie Xahuatlowi o Choluli.

- Cholula jest piękna, zielona i bogata. Krzyżują się tam wszystkie szlaki, którymi handlarze noszą swoje towary. Jej rzemieślnicy nie mają sobie równych, stamtąd pochodzą czarki do picia świętego napoju *xocolatl*. Cholulteccy tkacze potrafią robić najdelikatniejsze i najmocniejsze nici, a warsztaty farbiarskie nadać jej wszystkie kolory tęczy. Również jej wytwórcy skórek z królików nie mają sobie równych – z nieukrywaną dumą mówił Xiconchitli.

- Żona Xiconchitlego pochodzi z Choluli, tak? Zapewne dostał wraz z nią wiele beli dobrego płótna.

- Najlepszego i najczystsze! Ale musiał też zapłacić za to słono! – roześmiał się Indianin. - Osiem koszy dobrego jadeitu, tuzin utuczonych psów i dwa kije ptasich piór.

– Cena godna córki wodza – odparł z uznaniem Zahred.

– A gdzie kobieta Xahuatla? Została w Cempoali czy w ich kraju? Wielki wódz na pewno ma niejedną!

Zahred westchnął, uśmiechnął się smutno i popatrzył ku rozgwieżdżonemu niebu.

– Moja kobieta...

– Zatem jest jakaś i na pewno czeka na Xahuatla – powiedział Xiconchitli, zawijając się w płaszcz i zamykając oczy.

Zahred nie odpowiedział. Patrzył tylko w zapadającą ciemność, na surowe, nagie skały tego nieznanego lądu. Słuchał, jak nawołują się ostatnie ptaki.

Noc powoli, nieubłaganie pochłaniała skalny kanion, ścieżkę i rozłożonych na niej podróżnych.

– Na pewno czeka... – powtórzył głucho.



Drugiego dnia w południe doszli do wioski, schowanej pod skalnym nawisem.

Słońce dla odmiany znów prażyło niemiłosiernie, w gęstym powietrzu wisiała lepka, dławiąca dech wilgoć. Z początku idący pośrodku kolumny marszowej trzej przybysze dowlekli się do zbawiennego cienia zabudowań w samym jej ognie.

– Boże Wszechmogący...! – sapnął Rodrigo, z ulgą osuwając się po kamiennej ścianie i ocierając pot lejący się ciurkiem spod żelaznego hełmu. – Już myślałem, że po mnie będzie.

De Monroy sapnął tylko, rozejrzał się i od razu poczłapał z pustym, sflaczałym bukłakiem ku ciurkającemu nieopodał strumieniowi.

Zahred natomiast zaczął metodycznie zdejmować z siebie i układać obok rzeczy: płócienna zbroja obciążnięta czarną skórą, sakwa, torba na ramię, siekiera, pochwa z pałaszem...

Wyjął cynową miskę, nabrał wody i najpierw podał psu, dopiero potem sam zaczerpnął dłońmi. Powąchał, posmakował językiem, ostrożnie upił łyk.

– Xahuatl nie musi się bać, to dobra woda! – rzucił radośnie Xiconchitli, przyklękając na brzegu strumienia, aby napić się wprost z nurtu.

Zahred ściągnął koszulę, zsuł buty i zdjął spodnie. Nie zwracając uwagi na ciekawskie spojrzenia mieszkańców wioski, zaczął metodycznie, kawałek po kawałku myć całe ciało.

Dłonie. Przedramiona. Ramiona. Barki... Potem stopy, łydki. Dokładnie, bez pośpiechu, na spokojnie. Wprawnymi ruchami nacierał się szorstkim,

kamienistym piachem, potem splukiwał i powtarzał do skutku.

Szybko zgromadził się wokół niego spory tłumek.

Ludzie pokazywali sobie palcami nigdy dotąd niewidzianego człowieka z dalekich krain, komentowali tatuaże. Ciekawe, skąd taki się tu wziął? I ci dwaj jeszcze... Na pewno byli jeńcami z jakiejś dalekiej krainy, prowadzonymi przez posłów najwyższego króla Montezumy do Tenochtitlán.

Skończył, nadal niewzruszony zaczął wycierać się kawałkiem płótna i ubierać. Jego dwaj towarzysze tylko siedzieli w cieniu, popijając wodę i patrząc na niego z niezrozumieniem.

– Od takiej zimnej wody w taki upał można dostać skrętu kiszek – zauważył z troską de Monroy, kiedy Zahred wrócił do nich. – Jeden mój stryj tak miał. W kwiecie wieku człowiek, potrafił pić całą noc, zjeść sute śniadanie i potem pół dnia jeździć konno bez wytchnienia. Wskoczył do górskiej rzeki, ale na brzeg to już go wyciągali... Zmarł pod wieczór, udar żołądka go zabił.

– A może raczej to picie, sute śniadania i potem nieumiarkowany wysiłek? – uśmiechnął się Zahred.

– Co wy, panie! Tłuszcz i mięso przecież dodają sił. Znacie kogoś, kto by zmarł z przejedzenia? A z głodu tłumy całe!

– Wszystko z umiarem, mój dobry druhu. – Zahred poklepał psa po mokrym łbie i odsunął się, kiedy ten otrząsnął się gwałtownie, opryskując wszystko wokół drobnymi kroplami. – Wszystko z umiarem.



– Niech Xiconchitli opowie mi o Tenochtitlán.

– Tenochtitlán. – Xiconchitli uśmiechnął się, rozmarzony. – Co takiego Xahuatl chce wiedzieć?

– Jak duże jest miasto? Czy jego władca jest potężny? Co mówią o nim poddani?

– Najwyższy król Montezuma włada wszystkimi krainami. Nie ma nikogo potężniejszego niż on. Wszyscy boją się go, kochają i uwielbiają zarazem. Samo Tenochtitlán zaś... Ludzie nie mogli czegoś takiego zbudować, bo miasto pływa na wodzie.

– Pływa na wodzie?

– Tak. Gdyby nie trzy groble łączące je z brzegami jeziora, to dryfowałyby po jego tafli, dobijając tam, gdzie Montezuma sobie zażyczy. Jest tak ogromne, że nie da się go objąć wzrokiem ani obejść w ciągu jednego dnia.

– Xiconchitli zatem je widział? – zaciekawił się Zahred.

– Xiconchitli był w mieście i gościł tam u boku swojego teścia, kiedy ten był podejmowany w jednym z pałaców miasta – pochwalili się Tlaxcaltek, z dumą oglądając się na Zahreda przez ramię.

– Jego teść zatem musi być człowiekiem znacznym i bliskim władcy Tenochtitlán. – Zahred przyłożył dłoń do serca na znak szacunku. – Czy kiedy dojdziemy do Choluli, Xiconchitli przedstawi mu Xahuatla?

– Xiconchitli poprosi, aby jego teść dał mu na drogę swój wisior z jadeitu, który dostał podczas wizyty! Każdy, kto pokaże go w Tenochtitlán, będzie podjęty jak najlepszy gość i przyjaciel Montezumy.

– Doprawdy teść Xiconchitlego jest człowiekiem bardzo ciekawym. – Zahred uśmiechnął się, jednak jego oczy pozostały zimne i nieruchome.

– Niech Xahuatl będzie pewny, że tak właśnie jest! A kiedy dojdziemy do Tenochtitlán, z całą pewnością...

Jednak Xiconchitli nie dokończył, bo pośliznął się na kamieniu, potknął o wystający na wąskiej ścieżce korzeń.

Machnął rękami, przechylając się na bok.

Chwycił się gałęzi krzewu, która zwisała się ponad przepaścią po lewej stronie.

Krzyknął, kiedy dłoń zjechała po śliskiej korze.

Ujrzał, jak otchłań wąwozu rozwiera się, aby połknąć go – i zawisł w pół drogi, przechylony nad ziejącą pustką.

Obejrzał się.

Wychylony za nim Zahred trzymał go za pleciny z trzciny pasek, na którym wisiała jego kolorowa torba.

Inni już zauważyli, co się stało, ktoś krzyknął ostrzegawczo. Rodrigo skoczył, aby pomóc kapitanowi – ale ten pociągnął ku sobie Xiconchitlego, złapał go za wyciągniętą rękę i wtaszczył z powrotem na ścieżkę.

– To... Xiconchitli... niech bogowie... – wysapał tylko Indianin. Odsunął się od urwiska, spęłzł po kamieniach na ziemię. Można byłoby uwierzyć, że pomimo czerwonawej skóry aż pobladł. – Xahuatl uratował Xiconchitlemu życie...

Zahred spojrział ku pochodowi, który już stanął. Machnął ręką ambasadorowi Montezumy, który zaniepokojony wyrzwał ze swego palankinu: wszystko w porządku!

Nachylił się nad trzęsącym się niczym liść Xiconchitlim, podał mu rękę i pomógł wstać.

– Xahuatl zbyt ceni przyjaciół, aby dać im głupio zginąć. – Poklepał go po ramieniu.

Grupa w końcu ruszyła dalej.



De Monroy poruszył się na swoim posłaniu, westchnął ciężko.

„Posłanie”, pomyślał gorzko.

Słomiana mata ułożona na gołej ziemi! Czuł przecież każdy kamyk, każdą nierówność gruntu i kępkę trawy, wbijające mu się boleśnie w nie tak znów młode kości.

Tak, tak... Parę lat temu wydawało się jeszcze, że człowiek może spać wszędzie, jeść cokolwiek i pić wodę z kałuży. A teraz? W kolanach mu strzykało przy każdym kroku. Plecy bolały, jakby ktoś obił je kijami.

Przekręcił się na grzbiet, sapnął i otworzył oczy.

Setki, tysiące gwiazd wisiały nad nim nieruchomo niczym drobinki srebra przylepione do dna ogromnej majolikowej misy. W domu, w odległej Kastylii, nie było widać ich aż tyłu... Tutaj zaś wręcz nie mieściły się na nieboskłonie.

De Monroy uśmiechnął się, wspominając dom.

Jeszcze pamiętał, jak ojciec tłumaczył mu, że ponad nimi naprawdę jest kopuła, za którą unoszą się aniołowie, zaś światła na niej to niewielkie otworki, przez które Bóg zagląda na ziemię.

Teraz, raptem trzydzieści parę lat później, on sam wyśmiałyby takie słowa jako prostacki zabobon.

– *Il sole non si muove* – mruknął do siebie cytatem, który zapamiętał z jakiejś mądrej dyskusji parę lat temu.

Nie był pewien, co miało to dokładnie znaczyć, ale wiedział, że słowa wypowiedział ktoś bardzo mądry z dalekiej Italii. Jakiś astronom czy inny mędrzec... Chodziło o to, że słońce podobno wisi nieruchomo, a wszystko inne biega wokół niego. I jeszcze wiruje i podskakuje czy jakoś tak.

Sam de Monroy nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Podobnie nie umiały wyobrazić sobie tego kobiety, którym z zapalem o tym opowiadał, ale działało zawsze. Nie zdarzyło się, żeby któraś usłyszała to i nie uległa urokowi jego wykształcenia.

I zawsze kończyło się tak samo: że ona była jego słońcem, a on wokół niej skakał, podrygiwał i w ogóle czynił ją centrum swojego świata.

Przynajmniej na tę jedną noc, dopóki nie zastawał ich prawdziwy świt.

Westchnął znowu.

Tak, to było tam, w domu. Tutaj... tutaj kobiety nawet go nie rozumiały, więc i o rozmowie nie było mowy. Natomiast kiedy mijał czas słów – owszem. Pod tym względem podobało mu się tutaj bardziej.

Poprawił się na posłaniu, czując, że to chyba była TA pora przed świtem, kiedy przez co najmniej kwadrans ciężko mu będzie zasnąć. No cóż, zdarzało się

regularnie, a de Monroy cieszył się z tego. Dopóki jego wewnętrzny zegar działał jak należy, to nie miał czym się...

Przekręcił głowę, widząc kątem oka ruch w szarawej ciemności przedświt. Zamrugał, próbując odróżnić poszczególne plamy i poskładać z nich większy obraz.

No tak, tam chrapał Rodrigo.

A tu na posłaniu powinien leżeć ich kapitan.

Natomiast Zahreda nie było na miejscu.

De Monroy widział wyraźnie płaską plamę odrzuconego na bok pledu. I tylko pies leżał, jak się położył, w nogach posłania i popiskiwał cicho przez sen, zapewne śniąc o tym, że nadal gdzieś biegnie.

A potem de Monroy znów zauważył ten ruch – nieco dalej. Tam, gdzie pod drzewem ułożył się ich indiański towarzysz o dziwnym imieniu, którego de Monroy nijak nie mógł spamiętać. Ktoś podniósł się z ziemi i powoli, niemalże bezszelestnie ruszył przez obozowisko. Podszedł do posłania Zahreda, pogłaskał psa i ułożył się na macie. Nakrył pledem.

De Monroy ze zdumieniem rozpoznał w szarówce swojego kapitana.

Potrząsnął głową.

Przyśniło mu się? Zwidziało? Po co Zahred miałby w samym środku nocy chodzić do... do innego mężczyzny?

De Monroy odruchowo poprawił mocno niewygodne, ciasne w kroku bryczesy. Był dobrym katolikiem i prawdziwym mężczyzną... Nie pozwoliłby ani nikomu innemu, ani samemu sobie twierdzić inaczej. Natomiast miał nie tylko mgliste, ale dość wyraźne pojęcie na temat tego, po co w środku nocy chodziło się do innych mężczyzn.

Szczególnie tak szczupłych i umięśnionych. Oraz szczęśliwym wyrokiem Opatrzności pozbawionych zbędnego owłosienia. I noszących na sobie raczej mniej niż więcej odzieży.

Zamknął oczy, odetchnął głęboko.

– *Déu vos salve, Maria, plena sou de gracia, el Senyor és amb Vós...* – zaczął modlić się szeptem, próbując odegnać nie tyle grzeszne, ile przeszkadzające zasnąć myśli.

Naprawdę nie zaszkodzi mu ta dodatkowa godzina, może dwie snu.



Zasnął naprawdę twardo i chyba nawet śniło mu się coś miłego, więc obudził go dopiero bezceremonialnie szarpiący go za ramię Rodrigo:

– Wstawajcie, panie! Wy tu chrapiecie, a ludzie we śnie umierają!

– Co? – De Monroy potrząsnął głową.

Usiadł na posłaniu i rozejrzał się cokolwiek błędnym wzrokiem.

Tragarze i posłańcy stali już na ścieżce, ale pod drzewem zgromadził się niewielki tłumek. De Monroy widział tam paru wojowników, mignęła mu biała szata ambasadora... Podniósł się i wiedziony niejasnym przeczuciem podszedł bliżej, przepchnął się i wyjrzał ponad głowami niższych tubylców.

Pod drzewem leżał na posłaniu Indianin, którego imienia de Monroy nadal sobie nie przypomniał. Chyba zresztą nie musiał.

Lekarz z niego był żaden, ale trupa potrafił rozpoznać.

Tamten leżał na boku, z ręką pod głową, jak gdyby nadal spał, bo oczy miał zamknięte. Jednak przy półotwartych ustach rozlała się zaschnięta kałuża śliny, a nienaturalny, woskowy odcień skóry nie pozostawiał wątpliwości.

Któryś z wojowników zerwał z leżącego pled, przekręcił już lekko sztywniejące ciało na plecy. Obejrzał w poszukiwaniu ran, powiedział coś po swojemu.

– Zmarł we śnie – odezwał się stojący w tłumie Zahred.

Ambasador pokręcił głową, rozłożył ręce i pokazał na trupa. Rzucił kilka na poły gniewnych, na poły niedowierzających słów. Wojownik obrócił trupa na brzuch, usilnie szukając ran albo chociaż sińców.

De Monroy poczuł, jak w żołądku zaciska mu się lodowaty supeł. Spojrzał na Zahreda, który patrzył na niego uważnie.

– Skręt kiszek! – wyrzucił z siebie.

Zahred przetłumaczył.

Indianie spojrzeli na de Monroya uważnie.

Ambasador Teudile zapytał o coś.

– Chcą wiedzieć, co macie na myśli – zapytał Czarny Kapitan wypranym z emocji głosem.

– Bo ja, eee... Mój stryj przecież. To jest nie stryj, tylko przyszywany taki. I on, eee... Jak się kąpał...

Zahred zaczął mówić, jeszcze zanim on skończył.

Mówił, a de Monroy czuł się jak aktor w jakimś dziwnym przedstawieniu.

Bo czuł, że mógłby powiedzieć teraz cokolwiek, co tylko ślina na język przyniesie – a Zahred właśnie streszcza jego opowieść.

Nie, nie „streszcza”.

Relacjonuje.

Słowo po słowie powtarza w innym języku.

Z zimną precyzją.

Zabójczą, nie wiedzieć czemu podszeptał mu mózg.

– ...i tak to było – zakończył swój bełkot.

Zahred skończył mówić. Indianie pokiwali głowami. Ambasador powiedział coś jeszcze, odwrócił się i ruszył ku palankinowi.

– Panie...? – nieśmiało odezwał się Rodrigo.



– To wielka szkoda, że tak młody wojownik umarł we śnie – powiedział Zahred. – Szczególnie że jego przyjaciel Xahuatl dopiero co uratował mu życie. Niezbadane są wyroki bogów.

Z ust trupa wypęzła wielka czarna mucha, która z bzycczeniem uniosła się w poranne powietrze, zaś de Monroy poczuł, jak pomimo nabierającego mocy upału po plecach przebiega mu lodowaty dreszcz.



– *Cholöllān!* – zawołał w końcu idący na przedzie orszaku Indianin.

– Bogu niech będą dzięki i niech piekło pochłonie ten kraj... – mruknął pod nosem Rodrigo, już ledwie nadążający za narzuconym przez przewodników tempem.

Zahred nawet nie zwolnił.

Udawał, że jest bez reszty zajęty wijącą się pomiędzy skałami, zbiegającą w dół zakosami kamienistą drogą – a jednak patrzył na miasto spode łba.

Zapamiętywał, starał się zrozumieć topografię.

Analizował rozmieszczenie domów.

Cholula była zdecydowanie największym z miast, jakie widzieli do tej pory w Nowym Świecie. Tamte, bliższe wybrzeża, były niewiele więcej niż przycupniętymi u stóp niewysokich piramid osadami. Natomiast to – to już robiło wrażenie.

To było miasto w pełnym tego słowa rozumieniu.

Nawet widziana wcześniej Tlaxcala bladła w porównaniu z leżącą u podnóża gór stolicą ponoć niełatwych sąsiadów.

Świątynie wznosiły się dumnie na tle potężnego stożka ośnieżonej góry, wciąż wyrzucającej z siebie kłęby powoli przelewającego się w krystalicznie czystym powietrzu dymu. Nie było ich kilka, kilkanaście ani nawet kilkadziesiąt. Mniejsze i większe, niektóre pozornie małe, ale i tak kilkakrotnie przewyższające stłoczone u ich stóp domy – musiało być ich tutaj kilkaset!

Największa z nich była wręcz gigantyczna.

Potężna. Może nie aż tak wysoka, jakkolwiek już na pierwszy rzut oka widać było, że z powodzeniem mogłaby konkurować z cudami antycznej architektury i inżynierii.

Jednak sam ogrom jej podstawy...! Wyglądała, jakby jakaś ogromna stopa przydepnęła ją z góry, rozplaszczając na boki i dosłownie rozpychając budynki mieszkalne, ulice i tkanę samego miasta.

Miasta, któremu Zahred już na pierwszy rzut oka spokojnie gotów byłby przypisać ludność idącą nie w dziesiątki, ale raczej setki tysięcy. Čwierć miliona

ludzi? Niewykluczone. Cholula bez trudu mogła równać się z dowolną inną metropolią, jakie odwiedził – a tych było niemało.

Widać było też mieszkańców uwijających się po ulicach, przystających na placach i dobijających targu przy rozstawionych kolorowymi rzędami kramach. Dało się dostrzec studnie, z których pobierano świeżą wodę. W bezpiecznym miejscu stały też charakterystyczne, podobne do wielkich glinianych uli spichlerze na ziarno.

– Ależ to ogrom! – nie wytrzymał de Monroy. – Piękniejsze niż jakiegokolwiek miasto w naszej Hiszpanii!

– Niech ich... – sapnął Rodrigo, zsuwając hełm na tył głowy.

– Panowie, trzymajcie fason, bo patrzą na nas – mruknął do nich Zahred.  
– I patrzcie pod nogi, bo jak któryś kostkę skręci, to trzeba będzie iść dalej bez niego...

– Jak to iść dalej? – Zaniepokojoony Rodrigo aż podbiegł bliżej.

– A co, żołnierzu? Myślicie, że jakie to miasto?

– Tenochtitlán? – nieśmiało bąknął arkebuzer.

De Monroy zaśmiał się tylko, poklepał go po plecach i pokręcił głową.



Kolejne dwa dni drogi maszerowali powoli wznoszącym się płaskowyżem, zmierzając pomiędzy dwa ośnieżone szczyty. Skręcili potem tak, aby zostawić je po prawej stronie, przechodząc zboczem tego bliższego.

Góra dymiła i czasami pomrukiwała groźnie, a wtedy ziemia pod nogami drżała, przenosząc głucho dudnienie.

Nocą widać było, jak wokół szczytu tańczą pomarańczowe i czerwone poblaski płomieni. Czasami gdzieś na zboczu dało się dostrzec pióropusze strzelającej lawy i rozżarzonego popiołu, z tej odległości przypominające iskry lecące z gigantycznej kuźni.

Mexikowie spoglądali na drzemiący wulkan z pewną bojaźnią, ale bez strachu – czego nie dało się powiedzieć o dwóch towarzyszach Zahreda.

– Piekło i szatani! – po raz kolejny zaklął Rodrigo, zakrywając usta rękawem. – Co za smród diabelski!

– Siarka – skwitował Zahred, pnący się pod górę zboczem wulkanu.

– Wejście do piekieł... Daliśmy tym zdradzieckim czerwonym małpom poprowadzić się drogą prosto do królestwa Złego!

– To nic takiego, żołnierzu. Nic nam się nie stanie, o ile nie... – zaczął, lecz nie dokończył.

Idący do tej pory u jego nogi pies zaskamlał żałośnie i podkulił ogon, kiedy czubek góry eksplodował jaskrawopomarańczową chmurą ognia, który rozbryznął się na boki miriadą płynnych kropli niczym pryskające z tygła złoto.

Potężna chmura dymu podniosła się od razu ponad szczytem, siwym warkoczem podrywając ze sobą piach, kurz i zalegający wokół krateru popiół.

Dudniący huk nadpłynął ciężką, przelewającą się falą dopiero chwilę później, uderzył w uszy istną ścianą dźwięku i szarpnęła przeponą, na chwilę wybijając dech z płuc.

Indianie krzyknęli, kilku padło na ziemię; palankin z ambasadorem zachwiał się, ale utrzymał na ramionach tragarzy.

– Koniec świata! – zaskamlał Rodrigo. – Panie, ratujcie nas, bo...

Urwał, widząc, że kapitan rusza przed siebie.

Ziemia wciąż tańczyła i falowała pod nogami, świat zdawał się cały drżeć – Zahred jednak szedł, niczym urzeczony wpatrując się w powoli spływającą po stoku góry czarno-czerwoną strugę.

Ponad stokami podnosił się rudy pył.

Śnieg i lód dosłownie sublimowały, odsłaniając postrzępione skały, pomiędzy których z sykiem i traskiem strzelały w niebo żrące opary – a on szedł krok za krokiem.

Cała ekspedycja wpatrzyła się w samotną sylwetkę człowieka, który maszerował na spotkanie spełzającego ze zbocza skłębionego burobrązowego tumanu.

Wyglądało to, jakby chmury opuściły się na chwilę i połączyły z ziemią, mieszając dwa żywioły, które nie powinny się nigdy spotkać – a jednak teraz tańczyły wspólnie, połączone w objęciach ognia.

Wspiął się spory kawałek, zrobiło się znacznie cieplej.

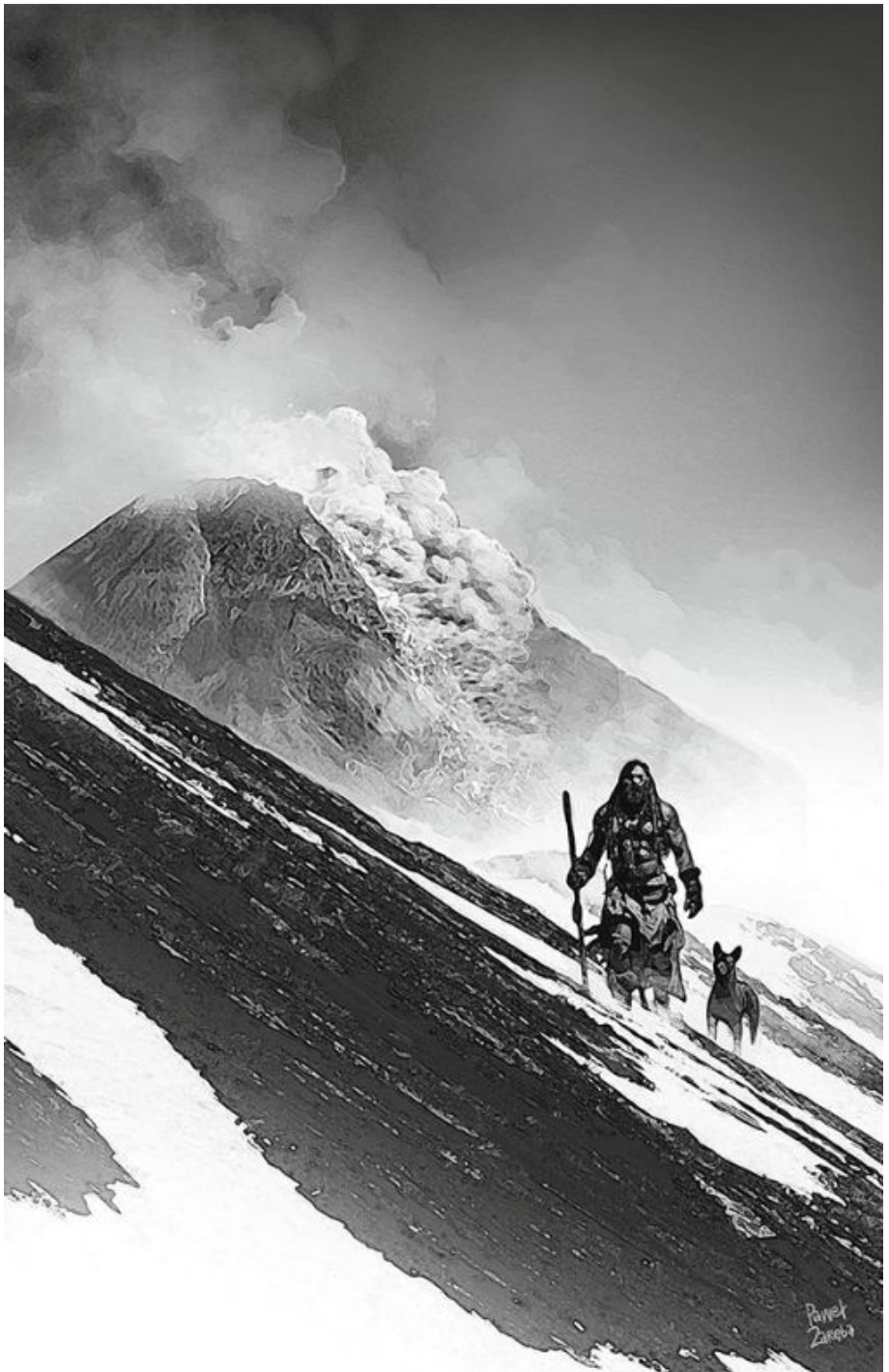
Dosłownie o rzut oszczepem od niego powoli płynęła w zagłębieniu skalnym sycząca, trzaskająca rzeka roztopionego kamienia, ponad którą powietrze drżało i falowało od niewysłowionego gorąca.

Żar bił w twarz, pachniało rozgrzаныmi skałami i popiołem.

Zahred uśmiechnął się sam do siebie maniakalnie. A gdyby tak...? Chwila bólu, dosłownie okamgnienie cierpienia i potem już tak długo upragniony spokój. To miałyby szansę się udać.

Splonąć, zniknąć.

Zamienić się w pył, ulecieć wraz z gorącym powietrzem ku niebu.



Przestać istnieć.

Tak, żeby w końcu naprawdę nie zostało nic.

Obejrzał się na ekspedycję, na stojących w oddaleniu od niej dwóch małych stąd ludzi. Podniósł rękę i pomachał szeroko, jak człowiek żegnający się przed daleką podróżą.

I tak nie miał ani po co, ani też dla kogo żyć.

Nie trzymało go tutaj nic, co...

...dostrzegł kulącego się w połowie wysokości zbocza szczeniaka.

Pies musiał ruszyć za nim, lecz on nawet nie zwrócił na to uwagi. Zwierzę doszło tak daleko, na ile starczyło mu odwagi, rozsądku i załączka wierności, a potem instynkt samozachowawczy przeważył.

Zahred zacisnął usta w wąską kreskę.

Raz jeszcze zerknął ku kotłującemu się żywiołowi wulkanu, a potem zaczął schodzić na dół.



Kiedy idąc doliną spływającej z gór rzeki, dotarli w końcu na brzeg jeziora, Zahred zaczął rozumieć, co mogło leżeć po jego drugiej stronie. Do tej pory był przekonany, że posłowie od Montezumy – no cóż, jak to posłowie – ubarwiają rzeczywistość. Przesadzają z odległościami. Przypisują miastom co najmniej drugie tyle ludności. Dorysowują w kronikach szeregi głów, aby armie wydawały się bardziej liczne. Przydają władcom mądrości i godności, pokazując świat takim, jakim chcieliby, żeby widzieli go przybysze.

Natomiast teraz zaczynał zupełnie poważnie zastanawiać się, czy aby ambasador zupełnie celowo i świadomie nie zakrzywił swoich opowieści w drugą stronę.

Tafla wody naprawdę sięgała dalej, niż dało się dostrzec, rozciągając się w lewo i prawo jak okiem sięgnąć. Wrażenie było takie, jakby nagle stanęło się nad brzegiem morza... Rojące się większe i mniejsze łodzie, prymitywne dłubanki i większe jednostki ze splecionych snopów trzciny sunęły spokojnie na wiosłach. Rybacy zarzucali i zwijali sieci. Wylądowane towarami tratwy powoli płynęły przez ogrom toni.

Zapadał już zmierzch i dało się dostrzec, że wzdłuż brzegów palą się w jaśniejszych skupiskach światła, zapewne znamionujące inne miasta nad tym centralnym zbiornikiem wodnym dla całego imperium Meksyków.

– Tenochtitlán jest tam – pokazał Zahredowi leniwym gestem ambasador ze swego palankinu.

Faktycznie, daleko i nieco po lewej dało się zauważyć drżącą w powietrzu coraz wyraźniejszą łunę światła, na której tle rysowały się sięgające ku czystemu, bezwietrznemu niebu niezliczone nitki cienkich, rozmywających się wraz z wysokością dymów z ognisk.

– Jak dostaniemy się do miasta? – zapytał Zahred.

– Teraz do Texcoco.

– I tam przybędzie Montezuma? – Zahred uniósł brew, patrząc we wskazanym kierunku.

– Texcoco – powtórzył tylko Teudile.

Zahred uśmiechnął się kwaśno. Był już więcej niż pewien, że nie będzie im dane przekazać słów Cortésa temu, do kogo były one skierowane. Co samo z siebie też stanowiło bardzo ciekawą, potencjalnie użyteczną informację wsadową.

Montezuma się ich bał.



– Najwyższy, źrenico oka tarczy słonecznej! – Itzli załamał ręce, jak rzadko kiedy nieudawanie przerażony. – Nie jest to rozsądne! Itzli pokornie błaga najwyższego króla, aby ten przemyślał swój zamiar!

Montezuma odwrócił się ku doradcy, spiorunował go wzrokiem.

– Niech Itzli zamilknie! Montezuma powziął decyzję i nie odstąpi od niej!

– Kolibrze pośród delikatnych palców wiatru, kropło wody na wargach wędrowca! Nie godzi się, aby oczy zwykłych ludzi miały spocząć na osobie najwyższego króla!

Montezuma przepasał szatę podwójnym złotym sznurem, sam zawiesił sobie na szyi nieszczęśliwie szeroki, niezbyt ciężki wisior. Czuł się w tym tak wygodnie, że niemalże mógłby pląsać.

– I nie stanie się tak, bo zamiast Montezumy przybysze ze wschodu ujrzą jednego z urzędników jego brata, wysokiego króla Texcoco Cuitláhuaca.

Widząc, że tak najwyraźniej niewiele wskóra, Itzli zmienił taktykę i spojrział na Montezumę surowo:

– Montezuma jest naiwny, jeśli sądzi, że coś w ten sposób zyska. Czego się spodziewa? Na co liczy?

– Nie spodziewa się niczego i nie liczy na nic – odparował władca, obeznany ze sztuczkami i wieloma twarzami władcy Domu Szeptów. –

Montezuma chce na własne oczy zobaczyć przybyszów ze wschodu.

– Nic mu to nie da! – prychnął Itzli. – Pomiędzy tamtymi i tak nie będzie Cortésa.

– Więc nic na tym nie straci, zaś bogatszy będzie o wiedzę. Jeśli przebyli drogę do Tenochtitlán, to znaczy, że nie są byle kim. Patrząc zaś na nich, Montezuma wyrobi sobie pogląd zarówno o wyższych, jak i niższych od nich samych.

– Nie minął miesiąc od uroczystości Zamiatania Dróg, zaś władcy nie wolno opuszczać stolicy. Gdyby ludzie mieli dowiedzieć się o tym, uznaliby to za zły omen. – Władca Domu Szeptów sięgnął po argument ostateczny.

– JEŚLI dowiedzą się o tym, to nieszczęście spadnie wyłącznie na Itzlego – rzucił Montezuma, nawet na niego nie patrząc.

Itzli zwiesił głowę i podniósł ręce na znak kapitulacji.

Najwyższy król bywał uparty, to fakt.

Jednak może i nie był to taki zły pomysł?

Jeśli zobaczy obcych na własne oczy, powinien przekonać się, że nie ma w nich niczego nadnaturalnego.

To pomoże raz na zawsze uciąć te niemądre, potencjalnie szkodliwe pogłoski i spekulacje o rzekomo boskiej naturze przybyszów, z którymi nawet agenci Itzlego radzili sobie z coraz większym trudem.

Montezuma wyszedł na taras swego pałacu, oparł się o kamienną balustradę.

Ponad dachami Tenochtitlán, pomiędzy masywami świątyń, widać było tafłę ogromnego jeziora, w którym przeglądał się księżyc. Miasto już zasypiało, nikt nie powinien zwrócić uwagi na niewielki orszak ani na kilka płynących na drugi brzeg łodzi.

Gdzieś tam, po przeciwległej stronie, oczekiwało na Montezumę jego przeznaczenie.

– Ruszamy – rzucił krótko.



– Pobudka! Pobudka, wstawajcie! Pora się budzić! Nasz pan, wysoki władca Cuitláhuac, przyjmie was teraz...!

Zahred otworzył oczy, odruchowo sięgając po siekiere.

Kefren zerwał się ze swego miejsca i zaniósł głuchym, rwanym ujadaniem, jeżąc grzbiet i kładąc po sobie uszy; człowiek, który wpadł do ich wspólnej sypialni, czym prędzej skoczył w tył i zniknął za wiszącą w przejściu zasłoną.

– Co się dzieje, do kata? – wymamrotał de Monroy, przecierając oczy. – Aaaależ mnie booli wszystko...

– Pewnie będą nas w ofierze składać – burknął Rodrigo, wyglądając przez okno.

Nad jeziorem dopiero wstawał świt, mgła kładła się długimi pasmami ponad nieruchomą o tej porze, równą niczym rozlana rtęć taflą. Słysząc było charakterystyczne jęklive głosy lecących nisko ponad wodą gęsi. Powietrze było rześkie i tak zimne, że aż kłuło w nozdrza.

De Monroy też podszedł do okna, przechylił się przez parapet i spojrział w kierunku wschodnim. Przetarł zaspą twarz dłonią, ziewnął.

– Dziwna pora na oficjalną audiencję. Zawsze myślałem, że królowie i inni tacy to śpią do południa. A ten tutaj od samego świtu zasuwa jak jakiś woziwoda albo byle terminator u szewca!

– Zbierajcie się, panowie. Och, i jeszcze jedno... szlachetny KAPITANIE de Monroy. – Zahred uśmiechnął się słodko.

Obydwaj żołnierze spojrzeli na niego, potem na siebie nawzajem.

Pies zamerdał ogonem.



Sala audiencyjna położonego nad samą wodą pałacu królewskiego Texcoco była równie ogromna co pusta.

Podparty solidnymi rzeźbionymi filarami dach z drewna i trzciny schodził ku tarasowi, widocznemu za delikatnie falującymi zasłonami.

Ściany zdobiły stylizowane wizerunki bogów, herosów i miast pełnych świątyń, z których szczytów kapłani wznosili modlitwy ku geometrycznym chmurom. Poniżej tłumy wyciągały ręce w oczekiwaniu na błogosławieństwo świeżej krwi.

Gdy tylko weszli, od razu zatrzymali się i skłonili dwornie.

Idący na przedzie w pełnej zbroi de Monroy już otwierał usta, żeby zacząć mówić, ale Zahred puknął go w plecy i warknął półgębkiem:

– Nie teraz jeszcze. Podejdźmy bliżej.

W całym pałacu, przez który od ich sypialni przeprowadziło ich dwóch służących w towarzystwie ambasadora, nie widzieli żywej duszy. Co ciekawe, słysząc było rozmowy i nawoływania – jak gdyby ktoś szedł przed nimi, celowo wyganiając ludzi.

I tutaj też były tylko strażę przy drzwiach.

Ambasador został na zewnątrz, zaś w samej sali audiencyjnej nie było nawet strażników, gwardii honorowej, dosłownie nikogo!



Tylko siedzący na bogato zdobionym tronie człowiek w czerwonym pióropuszu i raptem czterech dostojników za jego plecami.

De Monroy podszedł jeszcze kawałek, skłonił się znów i po raz kolejny. Przymotnie nie oglądając się na Zahreda, zamiótł kapeluszem podłogę i odezwał się donośnie po hiszpańsku:

– Wasza Królewska Wysokość! Oto przybywamy, aby przekazać pozdrowienia i wyrazy przyjaźni od caudilla Hernána Cortésa, z łaski Bożej i naznaczenia naszego króla, Jego Wysokości...

Jednak nie dokończył, bo któryś z urzędników zaskrzeczał coś w tutejszym języku, zamachał rękami. De Monroy obejrzał się bezradnie na Zahreda, który pospiesznie zaszeptał:

– Mówią, żebyśmy padli na twarze przed jego wysoką dostojnością władcą Iztapalapy, bratem słonecznego wiatru, szlachetnym Cuitláhuakiem. Sugeruję właśnie tak uczynić.

– Ale tu miał być Montezuma! – syknął de Monroy, mimo to posłusznie klękając na ziemi. Sapnął, brzęknął i zgrzytnął panczerem, ale jakoś dał radę dotknąć czołem ziemi.

– Miał, ale najwyraźniej go nie ma. Wstań teraz i mów od początku.

Podnieśli się, de Monroy poprawił szpadę i zaczął raz jeszcze, do razu tłumaczony przez Zahreda:

– Przybywamy jako przyjaciele, aby przekazać pozdrowienia od caudilla Hernána Cortésa, z łaski Bożej i naznaczenia naszego króla, Jego Wysokości Karola, zwierzchnika całych Indii i ziem je tworzących oraz dowódcy armii królewskiej w tych krainach... – Zahred urwał na chwilę, syknął do Monroya: – Ale na przyszłość postaraj się nie gubić we własnych myślach.

– Wybaczcie, panie – mruknął tamten, nie tracąc rezonu.

Tymczasem zasiadający na tronie odezwał się. Zahred czym prędzej przekazał słowa, szepcząc koło ucha de Monroya:

– Cuitláhuac, brat słonecznego wiatru, przekazuje nam pozdrowienia i wita w swoim domu. Mówi, że przebyliśmy długą drogę i na pewno jesteście zmęczeni.

– Za gościnę dziękujemy, ale wolimy dotrzeć do Tenochtitlán. Tam czeka na nas przyjaciel Cortésa, król Montezuma – odezwał się de Monroy.

– Montezuma nie może spotkać się z wami.

Zahred uniósł brew, ale na całe szczęście de Monroy prychnął, parsknął i wziął się pod boki, dobrze wczuwając się w rolę ambasadora:

– Nie do wiary! Przebyliśmy tak daleką drogę, ryzykowaliśmy życiem! Szliśmy tu na piechotę obok gór plujących ogniem! Jeden z naszych... – Zająknął się, przełknął ślinę i na chwilę stracił rezon. – Zmarł w drodze. Zmarł przez nieszczęśliwy wypadek, zupełnie naturalną śmiercią... e... Nieważne! Nasz król jest władcą tych ziem, nasz caudillo chce spotkać się z Montezumą, a ten go nie przyjmie? Hańba, wstyd wam!

– Trochę za ostro, panie de Monroy – mruknął Zahred.

– Wiem, przeszarżowałem. Powiedźcie im, panie, co trzeba.

– Posłowie pokornie zapytują: czemu najwyższy Montezuma nie chce wysłuchać osobiście słów Cortésa? Cortés pragnie, aby uszy Montezumy uradowały się dźwiękiem tego, co powie mu jego przyjaciel – wygłosił swoją część Zahred.

Po tamtej stronie na chwilę zapanowała może nie konsternacja, ale z całą pewnością dało się zauważyć moment zawahania. Jeden z dostojników, do tej pory trzymający się nieco z tyłu, przesunął się naprzód i powiedział coś półgłosem do władcy.

I może Zahred wcale nie zwróciłby na to uwagi.

W końcu delegacja wyraźnie nie była gotowa do rozmów, a same okoliczności audyencji zdawały się co najmniej niejasne. Pusta sala, zero ceremoniału, brak świadków i wczesna godzina... Nie było trudno poznać, że najwyraźniej Montezuma nie życzył sobie, aby to spotkanie zostało szerzej zauważone wśród jego poddanych.

Jednak w tym, co wydarzyło się teraz, był pewien szczegół. Otóż relatywnie skromnie ubrany, stojący w mało eksponowanym miejscu dostojnik zrobił krok naprzód – a wtedy wszyscy zgromadzeni momentalnie usunęli mu się z drogi.

Człowiek szepnął kilka słów i cofnął się, spuścił głowę. Pozostali od razu wrócili na miejsce, chowając go przed wzrokiem przybyszów.

On jednak spojrzął spode łba na obcych.

Spojrzenia jego i Zahreda na chwilę się skrzyżowały.

– Wielki Montezuma nie mógł przybyć, gdyż jest złożony niemocą – odezwał się siedzący na tronie. – Ubolewa, że nie może wysłuchać słów Cortésa. Brat wielkiego Montezumy, Cuitláhuac, uczyni to za niego i przekaże je swojemu bratu.

– Przybyszów z dalekich krain smuć słowa o chorobie Montezumy. Z przyjemnością zatem odwiedzą najwyższego króla w jego pałacu i sami złożą mu życzenia powrotu do zdrowia.

– Tak jak powiedział Cuitláhuac, Montezuma nie może spotkać się z przybyszami.

Zahred uśmiechnął się i pokiwał głową, cały czas obserwując stojącego z tyłu urzędnika.

Poselstwo może i okazało się niewypałem, ale on już zobaczył więcej, niż mógłby nawet marzyć.



– Ten człowiek... ten ubrany na czarno człowiek! Kim on jest?

Montezuma siedział w ogrodach swego pałacu w samym sercu Tenochtitlán.

Posłowie od przybyszów dawno już zawrócili i ruszyli w drogę powrotną, eskortowani przez jego doborową gwardię i obdarowani prezentami niesionymi przez tuzin tragarzy.

Śpiewały ptaki, świeciło jesienne słońce, muzycy przygrywali cicho. Na lazurowym niebie nie było ani jednej chmurki, lecz w duszy króla szalała prawdziwa burza.

Kłęczący naprzeciwko władcy namiestnik Teudile, niedawny ambasador w obozie Cortésa, uderzył czołem o ziemię.

– Najwyższy, władco jutrzeńki i porannego wiatru! Czarnego człowieka z malunkami na ciele wołają w ich języku Zahred, zaś Tlaxcaltekwowie mówią na niego Xahuatl. To wielki wojownik i dowódca jednego z oddziałów Cortésa.

– A ten, który mówił słowami Cortésa? Kim był?

– To... – Teudile zawahał się. – To jeden z wodzów przybyszów, o Najwyższy.

– Głupcze! Montezuma tyle wie sam – parsknął władca, odchylając się na swym tronie.

– Teudile nie zna go, panie! Przybyszów jest niczym ziaren piachu na plaży, jak kamieni w dolinie, ździebeł trawy na łące. Wszyscy wyglądają tak samo, ubierają się tak samo, a ich imiona są niczym błoto rzucane garściami na kamienną ścianę...! – załkał ambasador.

– A misją Teudilego było poznanie ich wszystkich! Policzenie i zakarbowanie sobie nożem na tym tępym łbie, jeśli taka będzie konieczność! Nauczenie się na pamięć i odróżnianie bardziej gęstego od bardziej wodnistego błota!

– Najwyższy, najmądrzejszy...! Litości, zmiłowania! Łaski...

Montezuma jednak nie był wcale wściekły na swego ambasadora.

Owszem, mógłby oddać go w ręce kapłanów, aby ci wypuścili z jego piersi Czerwoną Gwiazdę, mającą ulecieć ku bogom, którzy najlepiej osądzą, czy Teudile zasłużył na karę, czy może nagrodę u ich boku – ale zwyczajnie nie miał do tego w tej chwili głowy.

Ponieważ Montezuma był zły na samego siebie.

Na to, że nie potrafił zdecydować, co i jak uczynić. Jak postąpić z tymi nieproszonymi gośćmi, którzy pchali się do jego domu drzwiami i oknami. Na to, że jego sercem i rozumem targały dziwne strachy, zacierające zdrowy rozsądek i logiczny osąd.

Ale tak naprawdę Montezuma złościł się, aby pokryć gniewem własny lęk.

Jeszcze wtedy, w niemalże pustej Komnacie Barwnych Liści w mniejszym pałacu króla-gubernatora Texcoco, w którym zdecydował się przyjąć przybyszów, poczuł irracjonalną trwogę.

Kiedy natomiast tamci weszli – jeden w pełnej, lśniącej zbroi, której podobno nie dało się przebić mieczem; drugi z wydrażonym metalowym kijem,

w którym mieszkał piorun; trzeci, ubrany na czarno, z wielkim kosmatym psem u nogi – władca Tenochtitlán, syn słońca oraz imperator Meksyków, najwyższy Montezuma, zwyczajnie się przeraził.

Bo nagle poczuł, że ci ludzie przyszedli nie tyle do niego, co raczej PO niego.

Im dłużej patrzył na ubranego na czarno przybysza, tym bardziej widział, że jest inny od pozostałych. O nieco ciemniejszej skórze pokrytej wystającymi spod szat wijącymi się malunkami i dłuższych włosach... Inny, był po prostu inny. Odmienny. Niczym nie z tego świata.

A poza tym był czarno odziany, w kolor ukochany przez bogów.

W dodatku te jego oczy, tak bardzo szare, zimne i przenikliwe – jak tamto spojrzenie kapłana obdzierającego ze skóry młodą dziewczynę.

Montezuma zadrżał, spojrzał na kulącego się u jego stóp ambasadora.

– Precz – warknął.

Kiedy chlipiący, niemogący uwierzyć, że wciąż jeszcze żyje i ma serce w piersi, urzędnik zniknął pomiędzy drzewami owocowymi, Montezuma westchnął i gestem przywołał cztery z wybranych na ten dzień nałożnic. Rozłożył ręce na boki: dwie z nich od razu podskoczyły i przytrzymały ramiona władcy, dwie pozostałe zaczęły umiejętnie, delikatnie, ale wprawnie masować strudzone porankiem, spięte z nerwów mięśnie.

Cokolwiek miało się wydarzyć, podpowiadał Montezumie rozum, przybyszów nie należało wpuszczać do Tenochtitlán.

Postąpił słusznie, nie pozwalając na to teraz, i tego będzie się trzymać.

Poza tym byli jeszcze dość daleko i zamierzali iść przez Cholulę. A tam, na miejscu, problem powinien rozwiązać się sam.

Tak, rozum mówił – a Montezuma był mu za to wdzięczny.

Natomiast jakkolwiek uważnie próbował wsłuchać się w tak potrzebny mu teraz głos serca, słyszał tylko szum krwi i niespokojne, głucho dudnienie w piersiach.



– Nareszcie! – Cortés objął Zahreda, poklepał mocno po plecach. – Już zaczynaliśmy się o was martwić... Bogu dzięki, wróciliście cali i zdrowi!

– Nie wszyscy, ale tak.

– Właśnie widzę... – Caudillo wyjrzał mu znad ramienia, skinął głową dwóm pozostałym członkom poselstwa. – Co się stało?

– Gdzie Xiconchitli? – Xicotencatl przepchnął się przez zbierający się już na placu w Tlaxcali tłum, zwabiony wieścią o powrocie towarzyszy z ich misji

w Tenochtitlán.

Rozejrzał się, szukając wzrokiem brata.

Zahred obrócił się do niego, podszedł i ujął za ramiona.

– Brat Xicotencatla został zabrany do przodków – rzekł poważnie, patrząc mu w oczy. – Jeszcze w drodze do Choluli.

– Co... Jak?

– Bogowie umyślili sobie zabrać go dzień wcześniej, kiedy zmylili jego krok na skalnym urwisku. Wtedy Xahuatl chwycił go za rękę i uratował... Ale potem, kiedy odpoczywaliśmy nocą, serce Xiconchitlego stanęło we śnie.

Xicotencatl pokręcił głową z niedowierzaniem, zamrugnął, hamując cisnące się do oczu łzy. Wciągnął powietrze ze świstem.

– Xahuatl przysięgnie, że to przodkowie i bogowie wezwali Xiconchitlego? Że brat Xicotencatla nie umarł we śnie jak stara kobieta, leżąc potem we własnych odchodach? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Xahuatl przysięga na swoje życie i honor wojownika, że Xiconchitli nie umarł jak kobieta, a jak wojownik... I że nie zabiła go ręka śmiertelnego człowieka.

Xicotencatl pokiwał głową, położył Zahredowi dłoń na ramieniu.

– Xahuatl jest prawdziwym przyjacielem, a Xiconchitli miał zatem dobrą śmierć, mając go obok.

– Xicotencatl niech będzie pewien, że Xahuatl był przy nim. Sam układał kamienie na jego grobie, któremu teraz oddają cześć podróżnicy do Choluli. Xiconchitli wyruszył już w podróż, dobrze wyposażony we wszystko, czego będzie potrzebować.

– Czy Xahuatl pamiętał o kamieniu na opłatę dla Władcy Zaświatów? – z troską zapytał Xicotencatl.

– Oczywiście. Xahuatl polał też głowę brata Xicotencatla wodą tak, jak widział, że należy to uczynić. Xiconchitli po wielu trudach odnalazł swój skromny dom, poślubił gościnną ziemię.

Zahred poklepał zasmuconego wojownika po plecach, a sam ruszył za Cortésem do jego kwatery. Kiedy weszli, a przy drzwiach stanęli strażnicy, westchnął z ulgą i zdjął wreszcie sawkę z ramienia.

– Poszło gładko? – zapytał caudillo, nalewając wina.

– Żywotny był, bydlę. – Zahred pokręcił głową. Odebrał kubek, powąchał. Umoczył usta, dopiero upił łyk. – Myślałem już, że zaraz będę musiał mu zwyczajnie kark skrócić, ale w końcu się poddał.

– Jak?

– Kiedy nacisnąć tutaj, odcina się żyłę prowadzącą krew do mózgu. – Zahred pokazał na swoją szyję. – Przytrzymaj krótko i człowiek mdleje. Przytrzymaj odpowiednio długo i... no cóż.

– Na pewno bez śladów?

– Bez. Tamci go oglądali, szukali, węszyli. Jeśli komuś coś nawet powiedzieli w Choluli, to właśnie tyle, że zmarł.

– A niekoniecznie zginął. Dobrze – stwierdził caudillo. – Myślisz, że doña Maria Luisa po prostu chciała pozbyć się nielubianego brata?

– Widać, że dzieci Xicotencatla starszego są równie liczne co skłócone między sobą. Natomiast to, co powiedziała mi wtedy Tecuelhuatzin, brzmiało równie niepokojąco co wiarygodnie.

– Mhmm. Spisek szykowany w Choluli, zaś Xiconchitli spokrewniony przez żonę z jednym z tamtejszych wodzów... Doña Marina porozmawiała z nią potem i zgadza się z twoim osądem.

– Musisz weryfikować moje działania przez pryzmat swojej kobiety? – prychnął Zahred.

– Nie mam nikogo innego, kto znałby tutejszy język i komu bym ufał poza nią i tobą. Uważasz, że nie jest rozsądna?

– Właśnie w tej kolejności?

– Nie łap mnie za słówka, przyjacielu. Powtarzam: uważasz, że brak jej zdrowego rozsądku i inteligencji? Że nie nadaje się do tego, abym konsultował z nią to, co ty zrobisz tak czy inaczej?

Zahred spojrział na Cortésa, pokręcił głową.

– Nie, mój przyjacielu. Uważam wręcz przeciwnie... I właśnie dlatego nie jestem tym zachwycony.

– Czasami nie rozumiem twoich odpowiedzi.

– Może zadajesz niewłaściwe pytania zatem. Jakie są teraz plany? Widziałem, że ludzie gotowi do wymarszu.

– Tak. Skoro już wróciliście, to puszczam dziś rozkazy i jutro ruszamy. Tlaxcala daje nam cztery tysiące swoich wojowników, tragarzy i przewodników, poza tym obiecują zapewniać żywność i inne niezbędne rzeczy. Skoro znasz drogę, to pójdzie nam sprawniej.

– Zatem kolejnym celem jest Cholula. – Zahred uśmiechnął się.

– Cholula.



## Rozdział 7

**I**niech wielki caudillo Cortés nie gniewa się, że mieszkańcy Choluli nie wyszli mu na spotkanie wcześniej. Jej starsi pragnęli spotkać się z nim wiele dni temu, ale nie mogli wyruszyć, ponieważ byli chorzy.

Cortés już miał coś powiedzieć, ale strzelił oczami w bok, na Zahreda. Ten pokręcił głową, wykrzywił się w grymasie i parsknął śmiechem.

Stojący przed fotelem caudilla Toltecoch, Ozomatli i Cuixtle zamarli, potem popatrzyli po sobie, zdumieni taką reakcją.

Ozomatli uśmiechnął się niepewnie jako pierwszy. Toltecoch zaśmiał się nieszczercze, wtórując przybyszowi, którego wesołości nikt nie przerywał. Jako ostatni zmusił się do podobnej reakcji Cuixtle.

– Cisz! – huknął Cortés, uderzając dłonią o stół. Cholultekowie aż podskoczyli ze strachu, zamarli. – Chory... Chory na wory! Dziecinne, szczeniackie wymówki... Nie umiecie, tępe zwierzęta, wymyślić nic innego?

– Panie? – Stojąca przy fotelu Malintzin spojrzała na niego.

– Tłumacz, jak powiedziałem! Słowo w słowo!

Indianie wysłuchali i pospuszczali głowy, teraz dla odmiany zawstydzeni. Cortés spojrzał na Zahreda i pokręcił głową z dezaprobatą.

– Panie, wysłannicy z Choluli mówią, że...

– Nie obchodzi mnie, co mówią! – Cortés wstał, dając znak, że posłuchanie jest skończone. – Niech w ciągu trzech dni wrócą z kimś, kto będzie wart rozmowy. W przeciwnym razie uznam, że Cholula zbuntowała się przeciwko mnie, moim ludziom i majestatowi naszego króla, Jego katolickiej Wysokości Karola.

Indianie próbowali jeszcze coś wtrącić, ale caudillo dał znak: dość, ruszamy dalej!

Kilku sług podskoczyło, odtaszczyło na bok stół i zabrało fotel, zwinęło dywan.

Cortés ściągnął z głowy czerwony kapelusz i zrzucił z ramion płaszcz, odsłaniając mocno już wysłużoną, powgniataną w paru miejscach zbroję.

Usłużny de Coria pojawił się jak gdyby znikąd, podał swojemu panu grzebieniasty hełm i zapiął sprzączkę pod szyją.

Stajenny podprowadził rumaka i przytrzymał strzemię, kiedy admirał wsiadał.

– Naprzód! – Cortés machnął ręką.

Czekający tylko na ten sygnał ludzki wąż o wielu głowach drgnął i ruszył z miejsca. Zakolysały się sztandary poszczególnych kompanii, podniosły na ramiona tragarzy pakunki, sakwy i torby. Dźwigający swoje pancerze na plecach zbrojni zachrzęścili żelazem. Zarżały konie, zaskrzypiała dawno nienasmarowana porządnym łojem skóra schodzonych butów.

Posłowie z Choluli czym prędzej ruszyli z powrotem, niemalże podbiegając na kamienistej drodze i oglądając się za siebie, jakby bojąc się, że armia dogoni ich i strątuje, zdepcze.

Zahred podszedł do konia Cortésa, spojrział na caudilla.

– Nie zdążą przecież wrócić w ciągu trzech dni. Prędzej my dojdziemy do miasta.

– Nie powinienes być tego robić – odpowiedział Cortés, nie patrząc na niego nawet.

– Być może.

– Na pewno. Nie mogę pozwalać na publiczne okazywanie mi braku szacunku, szczególnie ze strony najbliższych oficerów.

Zahred zacisnął dłoń w pięść, zacisnął zęby i spuścił głowę... Po chwili podniósł wzrok.

– Masz rację, Hernán. Przepraszam. To się więcej nie powtórzy... Zadovolony?

Cortés sapnął, spojrział na niego z ukosa.

– Byłbym, gdyby nie ten komentarz na samym końcu.

– Zatem mam ukorzyć się publicznie? Uklęknąć na środku drogi?

Cortés zmarszczył brwi. Te słowa zabrzmiały nie tyle jak propozycja czy nawet wyrzut, ile raczej... groźba? Wyzwanie?

Czasami nawet on nie był pewien, co tak naprawdę myśli i jakimi kategoriami rozumuje Zahred.

A odkąd przybyli do tego kraju, był tego pewien wręcz coraz rzadziej.



Przez długą chwilę szli w milczeniu.

Kroki maszerujących za nimi zlewały się w jednostajny pomruk, czasami ponad długą na dobrą miłą kolumną przelatywały okrzyki albo zawołania. Któraś z kompanii zaintonowała pieśń marszową, pozostałe podłapały śpiew.

W końcu Zahred odezwał się:

– Mówiłem, że nie zdążą...

– Wiem – warknął Cortés. – Tak mi się powiedziało. Ile mamy stąd drogi?

– Jakies dwa dni w najgorszym razie. Moglibyśmy stanąć gdzieś, ale... – Zahred zawiesił głos wymownie.

– Bez sensu, jesteśmy zbyt rozciągnięci tu, na szlaku.

– Kawałek przed Cholulą jest dolina. Płaskie dno, nieszczerólnie dużo drzew. Dobre miejsce do obrony, można będzie rozlokować Tlaxcalteków na flankach, żeby tamci nas nie oskrzydłili.

– Jakies miejsce dla artylerii?

Zahred przewrócił oczami i spojrzał ku górze, przypominając sobie topografię miejsca.

– Niekoniecznie, ale w razie potrzeby da się ustawić na niewielkim podwyższeniu arkebuzerów.

– Dobrze, więc tam się zatrzymamy i poczekamy na powrót posłów.

Zahred skłonił się i został z tyłu, czekając, aż dogoni go jego kompania.

Cortés obejrzał się jeszcze, omiół wzrokiem wijącą się wężowymi splotami armię. Widział ich jak na dłoni: poszczególne oddziały Kastylijczyków, jednostki Totonaków, Otomi i Tlaxcalteków... Maszerujących karnie ramię w ramię ku kolejnym nieznanym miastom i krainom.

Potrafili mieć z Zahredem swoje różnice zdań i kłótnie, owszem. Na całe szczęście zawsze znajdowali wspólny język właśnie w tych prostych, rzeczowych dywagacjach i planowaniu. Ustalaniu szczegółów ekspedycji, zastanawianiu się nad kolejnym miejscem na nocleg.

Można powiedzieć, że w takich chwilach tylko ta wyprawa trzymała ich razem, nie pozwalając rzucić się sobie do gardeł.

Strach pomyśleć, co mogłoby się stać, gdyby miało tego zabraknąć.



Ogniska płonęły pośród ciemności niczym oderwane od nieboskłonu gwiazdy, które spadły na ziemię i teraz stoczyły się na dno rozległej doliny.

Psy ujadły głośno, czasami wyjąc do zasnutego czerwonawą mgłą księżycą w pełni. Konie rżały niespokojnie. Pośród otaczającego obozowisko

gęstego lasu rozlegały się dziwne ni to pohukiwania, ni to okrzyki.

Indianie mówili uspokajająco: to tylko dzikie zwierzęta, nie ma się czego bać.

Jednak ludziom udzielała się napięta atmosfera. Większość nie zdjęła na noc pancerzy, trzymając broń na podorędziu. Artylerzyści twierdzili, że poustawiane na niewysokim pagórku śmigownice były nabite, a ich ogniomistrz przykazał, żeby do każdej przygotować po jednej zapasowej komorze prochowej.

– Na pewno przyjdą po nas nocą – warknął Rodrigo, który nawet za potrzebą poszedł ze swoim arkebuzem i kawałkiem łuczywa w zębach, żeby w razie czego użyć go zamiast lontu przy wciąż psującym się zamku. – Zakradną się pod osłoną drzew. Słyszycie? Może to oni tak się nawołują w lesie!

Ludzie nastawili uszu, rozejrzeli się.

Ognie tylko podkreślały ciemność, wszystko poza nimi zdawało się jednolitą, mroczną czernią, w której faktycznie mogło się zczaić cokolwiek.

Enriquez potrząsnął głową, splunął w ogień.

– Głupoty. Nie atakują przecież nocą, ani razu się nie zdarzyło.

– Ale chcieli nas napaść! Pamiętasz, jak wtedy siedzieliśmy tam, przy tej świątyni? Szykowali się do nocnego ataku.

– No, szykowali. I jak to się skończyło? – prychnął Enriquez. – Że to my do nich pierwsi wyszliśmy! Ot, taka ich wielka przebiegłość.

– A jak jeszcze raz spróbują? Indianie to dzikusy, nie ma co z nimi...

Rodrigo urwał gwałtownie, zamrugał i powoli sięgnął po arkebuz. Reszta ludzi obróciła się: za plecami Enriqueza stał nieruchomo Xicotencatl.

– Xahuatl – powiedział.

– Mówiłem wam, że to zdradzieckie, skradające się zwierzęta! Patrzenie, jak nas podszedł! – wydarł się Rodrigo, zrywając się z miejsca. – Ich tam może być więcej! Może nawet teraz...

– Zamknijże się, człeczko! – ofuknął go de Monroy. Podniósł się, skinął głową. – Witajcie, panie. Czym mogę wam pomóc?

– Xahuatl – powtórzył wojownik.

– On z kapitanem naszym chce mówić – przytomnie zauważył Gutiérrez.

– Tak go wołają, słyszałem... Zahred?

– Xahuatl.

– Już, chwila, zaraz... Chodźcie, panie. Kapitan tam jest, w swoim szałasie.

Przeszli kawałek dalej, ku prostej, wręcz prymitywnej konstrukcji z kawałka płótna rozpiętego na wbitych skośnie w ziemię kijach. Inni dowódcy mieli mniejsze lub większe namioty, niektórzy nawet z wyposażeniem. Cortés miał w swoim nawet stół, trzy krzesła i łóżko; Zahred spał niewiele lepiej od zwykłych żołnierzy.

– Senyor capità! – odezwał się Gutiérrez wyprzedzająco jeszcze z pewnej odległości. – Ten tutaj Indianin do was, jak mu tam...

Zahred wyrzwał, wysunął się na zewnątrz. Jak zazwyczaj dotknął palcem ziemi i języka; Xicotencatl powtórzył gest.

– Xicotencatl cieszy oczy Xahuatla, mimo że ojciec księżyc jest już wysoko na niebie. Z czym przybywa? – zapytał Zahred.

– Xicotencatl przybywa, aby ostrzec przyjaciela. Cholula to złe miejsce, a tamtejsi ludzie już teraz spiskują, jak pozbyć się przybyszów. Niech Cortés pójdzie inną drogą.

– Cortés zdecydował, że odwiedzi Cholulę. Nie odmienimy jego woli teraz.

– Xicotencatl powtarza: Cholultekowie będą próbowali zabić Cortésa i jego ludzi. Nawet teraz gromadzą na dachach domów kamienie, aby ciskać nimi w głowy wojowników. Ulice miasta będą wąskie, aby nie dało się nimi przejść.

Zahred uśmiechnął się, poklepał go po ramieniu.

– Xahuatl dziękuje Xicotencatlowi za radę i ostrzeżenie. Jednak Cortés mówi słusznie, a Xahuatl zgadza się z nim: jeśli Cholula jest nam przyjacielem, nie stanie się nic złego, kiedy przez nią przejdziemy. Jeśli zaś jest wrogiem, to nie wolno minąć go i pozwolić uderzyć się w plec.

Xicotencatl przemyślał to, skinął na znak zgody.

– Jeśli zatem Xahuatl ma posłuch u Cortésa, niech powie mu: ustaw grmiące pnie przed miastem i miotaj w nie gromy, aż z domów nie zostanie nic.

– To dobra i rozsądna rada. Jeśli tak trzeba będzie uczynić, to tak właśnie się stanie.

Xicotencatl skłonił się, odwrócił i już miał odejść, ale jeszcze przystanął. Nie oglądając się na Zahreda, powiedział w przestrzeń:

– Cholultekowie to tchórze i zdrajcy niegodni gniewu Xahuatla. Jeśli jednak zdarzy mu się kiedyś spotkać w boju Mexika...

– Tak?

– Niech zabije go bez litości! – syknął Xicotencatl. – Niech zabije wszystkich, jakich da radę. Niech zabije dzieci, by nigdy nie wyrosły. Niech zabije kobiety, żeby nie rodziły synów. Młodych, aby nie było komu nosić broni, i starych, żeby nie mogli dawać dobrych rad. Niech przepadnie po nich wszelki ślad i zginie pamięć.

Zahred skinął poważnie głową, zaś Xicotencatl odszedł, nie mówiąc już ani słowa więcej.



Następnego dnia do obozowiska Kastylijczyków przybył orszak dostojników z Choluli.

Jako pierwszy dostrzegł ich Rodrigo, który stał akurat na warcie i próbował bez większego powodzenia naprawić popsuty mechanizm spustowy arkebuz. Już niemalże udało mu się zamontować szpilę lontownicy, która w końcu nie opadała bezwładnie, tylko reagowała na spust – ale wtedy arkebuzer zauważył idących drogą ludzi.

– Alarm! – wrzasnął na całe gardło, po czym pokłusował ku zaimprovizowanemu zasiekom. Zahamował w pół drogi, wrócił się biegiem po rozłożone na szmatce narzędzia, zwinął je byle jak i przyciskając do piersi, podrałował z powrotem do obozu. – Alarm! Indianie idą, atakują nas! Alaaarm...!

Naprzędce ustawiona ze ściętych drzew i przytoczonych kamieni barykada błyskawicznie najeżyła się ostrzami pik, pomiędzy którymi wyglądały nieliczne, ale nie mniej przez to groźne gardziele muszkietów i krótkie, pękate łoża kusz. Żołnierze pospiesznie nakładali hełmy i przywdziewali płócienne oraz żelazne zbroje.

Jednak kiedy na drodze ukazał się orszak dostojników przystrojonych w najlepsze szaty i niosących na własnych barkach kosze z podarkami, wszyscy zrozumieli: pogotowie bojowe było przedwcześnie.

Przodem szło kilkunastu muzyków, którzy na podejściu do obozu zadęli z całej siły w piszczałki, konchy i gwizdki, a zaraz potem zawołali i zahałakowali głośno, obwieszczając wszem wobec przybycie procesji.

Zaraz za nimi dreptali urzędnicy, ubrani w pozbawione rękawów białe szaty z frędzlami i dźwigający wyładowane kukurydzą kosze albo niosący w każdym ręku po oskubanym z piór tłustym ptaku.

Pomiędzy nimi stąpali z godnością kapłani, wysoko podnoszący pełne żaru i kadzideł misy.

Cortés dopadł do barykady, poprawił hełm – rozciągnął wargi w uśmiechu i zaśmiał się głośno.

– Dobra nasza, towarzysze! – zakrzyknął. – Widać, że dzikusy czują mores... Panowie, do mnie, ale żywo! Trzeba odpowiednio dać się przywitać!

Kapitanowie i członkowie dworu caudilla ustawili się zaraz za swoim dowódcą, patrząc na nadchodzących Indian. Ci potrząsali pióropuszcami i sztandarami, dzwonili złotymi łańcuchami i wisiorami; tancerze to przypadali do ziemi, to znów wyskakiwali wysoko w powietrze z dzikimi okrzykami.

De Alvarado ziewnął głośno, nie zasłaniając nawet ust. Z kolei Portocarrero stał bokiem do gości, w ogóle nie kryjąc się z tym, że bardziej interesuje go koniec opowiadanej przez de Barramedę krotchwili niż kolejne podpisy kolejnej delegacji.

– Za pierwszym razem robiło to wrażenie, pamiętasz, Diego? – mruknął Cortés do stojącego obok giermka.

– Tak, panie. I te pióra, i złoto! – odrzekł de Coria. – Ze wszystkim w życiu tak jest potem?

– Ze wszystkim. A im dłużej, tym mniej rzeczy robi na tobie wrażenie...

Urwał, kiedy Malintzin wsunęła mu dłoń pod ramię i oparła głowę na ramieniu.

Dużo zmieniło się, odkąd wyładowali na wybrzeżu Nowego Świata. Te kilka miesięcy temu caudillo nie pozwoliłby sobie na takie spoufalenie w obliczu oficerów, i to jeszcze ze zbliżającym się poselstwem. A teraz...?

Teraz prawie każdy jego kapitan miał przy sobie Indiankę – czy to jako nałożnicę, kochankę, czy wręcz żonę, poślubioną wedle katolickiego obrządku.

Uczyli się pojedynczych słów w języku *nahuatl*.

Jedli tutejsze jedzenie i pili lokalny alkohol.

Część już twierdziła, że miejscowe tkaniny są lepsze i wygodniejsze niż europejskie.

Zahred stał nieco z boku od reszty Kastylizczyków, bliżej sprzymierzonych z nimi dowódców Indian... Jakkolwiek sam miał coraz większe wątpliwości, czy jest to właściwe określenie tych ludzi. Nie byli podobni do mieszkańców krainy Wielkiej Rzeki, ich język w niczym nie przypominał szlachetnej samskraty.

Natomiast jak można było wytłumaczyć pozostałym mieszkańcom śmiesznie małej, wręcz zaściankowej i przy tym nieproporcjonalnie zaawansowanej technologicznie Europy, że świat był o wiele większy i bardziej skomplikowany, niż potrafiły to pojąć ich ograniczone, wtłoczone w ramy jednej kultury i jednej religii umysły?

On jednak czuł się dobrze tutaj, pomiędzy Totonakami, Tlaxcaltekami i małowównymi, rzeczowymi Otomi. Ich język był prosty, lecz wystarczał, aby wyrazić rzeczy istotne. Rzemiosło porządne i solidne, godne zaufania. Sztuka i kultura wręcz wysublimowane.

Zaś straceńczej odwagi mógłby pozazdrości im niejeden wojownik z dowolnej epoki.

– Cholutekowie płaszczą się jak suka w rui przed byle psem – warknął Memexi.

– Cortés nie jest psem, ale Memexi ma rację – zgodził się Zahred, dotykając serca na znak szacunku.

Dowódca wojsk z Cempoali miał powody, aby czuć się odsunięty: w końcu to jego miasto jako pierwsze przeszło na stronę przybyszów, jako jedyne do tej pory nie będąc do tego przymuszone siłą ani pokonane w walce... Zaś idący wciąż dalej w głąb lądu caudillo hołubił kolejnych kacyków, zagarniając pod swoje skrzydła następne armie i coraz mniej uwagi poświęcając tym, którzy w ogóle pomogli mu rozpocząć na pierwszy rzut oka straceńczą ekspedycję w nieznaną.

– Xicotencatl mówi: uderzmy na nich teraz. Wytnijmy, ilu się da, zanieśmy ich ciała pod Cholulę i zostawmy na pożarcie ptakom. Zaczajmy się, a kiedy z miasta wyjdą ich rodziny, żeby pogrzebać ciała, zabijmy też kobiety i dzieci – warknął stojący obok młody tlaxcaltecki wódz, patrząc z nienawiścią, jak kapłani okadzają Cortésa wonnym dymem.

– Nie przystoi atakować nieuzbrojonych... – Zahred uśmiechnął się kwaśno. – Jakkolwiek Xahuatl przyznaje: o wiele łatwiej się ich zabija. Co powie na to Maxcatl?

– Maxcatl pomilczy – mruknął dowódca Otomi.

– ...dlatego też wzywam was, abyście zaprzestali oddawania czci fałszywym bożkom i demonom, a zamiast tego przyjęli jedyną słuszną i prawdziwą wiarę, której ostoją na tej ziemi jest święty Kościół katolicki! – perorował tymczasem do przybyłych caudillo, wygłaszając nie wiadomo którą już wersję swego standardowego kazania. – Porzućcie grzeszne ofiary z krwi, bo jedyna krew, jaka potrafi zmyć wasze grzechy, to Krew Baranka! Pierwszym zaś krokiem ku zbawieniu wiecznemu niech stanie się dla was przyjęcie porządku doczesnego... Panie Godoya, mogę was prosić?

Notariusz wystąpił, poprawił zsuwające się z nosa soczewki w drewnianych oprawkach i zaczął odczytywać z mocno już wyswiechtanego, postrzępionego pergaminu tekst requerimiento.

Cholultekowie słuchali w skupieniu i powadze tłumaczonych przez Malintzin zawitych frazesów.

Znudzeni żołnierze dłubali w nosach i rozmawiali o czymś półgłosem.

Rodrigo usiadł pod drzewem i grzebał w zamku swego arkebuza.



Jeszcze tego wieczora ekspedycja wkroczyła pomiędzy domostwa i świątynie Choluli.

Kastylijczycy z mieszaniną podziwu i zdumienia patrzyli na ogromne piramidy, szerokie ulice i rozległe place miasta zbudowanego w całości z białego kamienia i suszonych na słońcu glinianych cegieł.

Pięknie zdobione gzymsy pyszniły się intensywnymi kolorami, pomiędzy których wychylały się niczym w najpiękniejszych katedrach wykrzywione ludzkie twarze i pyski bestii.

Układane w skomplikowane wzory kamienie mieniły się błyszczącymi w świetle pochodni płatkami miki, przez co miasto wyglądało, jakby jarzyło się złotawym poblaskiem.

Nawet po tym, co już widzieli i czego doświadczyli, ludzie musieli być pod wrażeniem. Wyłożone kamiennymi płytami ulice i skwery mogły z powodzeniem równać się z traktami Barcelony, Granady i Sewilli. Potężne piramidy górowały nad domami i warsztatami, zadziwiając swym ogromem.

– Podobno w Egipcie mają takich dwie i pół. – Valdés pokręcił głową. – I cały świat o nich gada. A tutaj... Aż ciężko uwierzyć, że to zbudowali ludzie!

– Pewnie, że ludzie, a kto inny? – prychnął Gutiérrez. – Mój ojciec, święć Panie nad jego duszą, był kamieniarzem. Codziennie od świtu do zmierzchu: stuk, stuk, stuk... I tak kawałek po kawałku się zbierało, ziarnko do ziarnka. Rok, dwa, dziesięć i coś takiego stanie.

– A ja wam mówię, że ludzie by sami nie dali rady. Jakaś magia im musiała pomagać – nie mógł uwierzyć zabobonny Valverde.

– Mówię: ciężka praca.

– Może to ci sami ludzie w tym waszym Egipcie postawili? Bo i tu, i tam kształt piramidy. Przypadek? Nie sądzę...

– Jak się zaraz zesram, to też nielecha piramida wyjdzie, a czarów do tego nie trzeba – parsknął idący z przodu de Monroy. – Swoją drogą, jak już o tym mowa, niech tu będzie jakiś wychodek w końcu, bo nie wytrzymam długo...

– Brązowa magia! – zarechotał Juanito.

– Mówię, dajcie spokój, bo... – De Monroy aż zgiał się w pół, poczerwieniał i rozejrzał desperacko, próbując znaleźć jakieś ustronne miejsce.

– Bum! Strzela działo. – Rodrigo spojrział na niego wymownie. – Nadyma się cielsko armaty i z sapnięciem wypływa z siebie tę ogromną, ciężką kulę! Aż podskakuje całe, a potem z ulgą osiada, czując, że nic mu już nie ciąży, a następie...

– Niech was piekło... – sapnął de Monroy.

Przepchnął się pomiędzy nimi, wyłamał z kolumny marszowej, wpadł w stojący przy ulicy tłum Indian i zniknął gdzieś pomiędzy domami.

– Hej, kapitan zabronił...! – krzyknął za nim Gutiérrez, ale było już za późno. Spojrzął z wyrzutem na arkebuzera, kiwnął na Juanita i Valverdego: – Panowie, idziemy za nim.

– Podglądać będziecie? – chciał kontynuować dowcip Rodrigo, ale Enriquez ofuknął go tylko gniewnie, pokazał gestem: dość!

Odeszli we trzech na bok, precyzyjnie się między ludźmi i stanęli w wąskiej uliczce. Ludzie patrzyli na nich z zaciekawieniem, ale na razie nikt nie próbował ich zatrzymać. Rozejrzeli się w lewo, w prawo.

– Ja na jego miejscu bym tam poszedł. – Juanito pokazał w niewielki zaułek.

– Mnie bez różnicy. Mogę i na widoku, byle tylko...

– Panowie! – Gutiérrez potrząsnął głową z dezaprobatą, po czym złożył ręce przy ustach i zawołał: – Panie de Monroy, halo! Gdzieżeście się schowali? Nie myślimy wam przeszkadzać w posiedzeniu, ale...

Valverde parsknął śmiechem, ale szybko umilkł, gdy Juanito dał mu kuksańca w bok.

– De Monroy! – zawołał ten ostatni.

– Tutaj.

Odwrócili się jak na komendę – de Monroy stał przy wyjściu z jednej z uliczek, patrząc na nich jakoś tak dziwnie.

– No, jesteście! Bo my tak pomyśleliśmy, że strach, żebyście sami...

– Towarzysze, chodźcie no tutaj. Muszę wam coś pokazać.

– Panie de Monroy, każdy żart ma swoje granice, więc... – zaczął Gutiérrez, ale urwał, bo było coś takiego w zazwyczaj radosnym, gadatliwym łże-szlachcicu, że nagle minęła mu ochota na żarty. – Ahem. Prowadźcie.

Przeszli zaułkiem, potem przez jakieś podwórko, aż weszli w uliczkę między dwoma domami. De Monroy zwolnił, potem pokazał ręką:

– Zobaczcie sami.

W ślepych końcu utworzonym przez trzy wysokie ściany leżały złożone na stertę zaostrome pale.

Świeżo zaciosane drewno bieliło się w półmroku. Na każdym widać było równe zaciosy dla zawiązania lin, które też leżały obok w zwojach na większych i solidniejszych, pociętych na krótsze kawałki połówek pni drzew z wywierconymi otworami.

Patrzyli na to dłuższą chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć.

Valverde podszedł, wyjął ze sterty jeden pał i wsunął w otwór. Potem wziął drugi, tylko przymierzył – po zamontowaniu i związaniu całość dałaby solidne drewniane zasieki, przez które na pewno nie przeszłaby kawaleria.

– Musimy powiedzieć kapitanowi – stwierdził tylko, pociągając pozostałych w tył. – Panie de Monroy, dobrze zrobiliście.

– E tam, nic nie zrobiłem. Cofnęło mi się wszystko – burknął szlachcic.



– To ma być porcja żywności? Kpina! – De Sandoval gwałtownie odepchnął od siebie miskę.

– Da-da-dają, b-brać. Nie ma c-co na-rze-rze-rzekać – wydukał siedzący obok de León, wpychając do ust cały kukurydziany placek z odrobiną mięsa naraz.

Pełniący przy Cortésie rolę majordomusa pan Joan de Cáceres pokiwał głową i zaplótł ręce, patrząc na niezadowolonych kapitanów, próbujących jakoś rozdzielić pomiędzy siebie faktycznie głodowe racje.

Nie miał nawet siły im powtarzać, że szeregowi żołnierze dostali jeszcze mniej, choć on sam przez bitą godzinę wyklócał się o to z choluldeckim zarządcą.

Z początku myślał, że – jakkolwiek za nic nie powiedziałaby tego na głos – może to doña Marina nie dość precyzyjnie przetłumaczyła jego początkowe prośby, a potem stanowcze nalegania.

Jednak kiedy do rozmowy włączył się kapitan Zahred, też znający język dzikich, stało się jasne: Cholula albo nie mogła, albo zwyczajnie nie chciała dać im tyle, ile potrzebowali.



– My jakoś sobie poradzimy, dobrzy panowie. Ale co z końmi? – odezwał się ze swojego miejsca na nieformalnej naradzie Francisco de Morla. – Człowiek zje cokolwiek, przemęczy się, przegłodzi. W najgorszym razie wyrzyga.

– Nawet tego cokolwiek dali co kot napłakał...!

– A koniom zamiast świeżej kukurydzy przynieśli jakieś liście! Liście, rozumiecie? Suche, włókniste jakieś i kłujące, z ziołami, kwiatami w środku, gałązkami i Bóg jeden raczy wiedzieć czym jeszcze! – rozzłościł się de Morla. – Przecież ja mojemu tego nawet nie dam spróbować, bo do rana mi padnie!

– Sami niech to gównu żrą! – warknął pan de Medellín.

Przegrzebał suche, pękające w rękach placki, które jeszcze zostały w koszu. W końcu zaklął pod nosem i wyszedł na dwór, gdzie narzekali na swoje porcje żołnierze.

De Sandoval zajrzał do kosza, kopnął go ze złością.

– Stare placki nam dali!

Zahred słuchał tych rozmów, odłamując i miarowo, metodycznie przeżuwać małe kawałki.

– Czerstwy chleb jest zdrowszy od świeżego – rzucił w przestrzeń.

– I może jeszcze spleśniały? I mięso, jak już cuchnąć zacznie?! – rozkręcał się de Sandoval. – Najlepiej, żebyśmy w ogóle mieli pędraki z ziemi wybierać, co?

– Można kilka dni i na nich przeżyć, owszem. To praktycznie czyste mięso, bez tłuszczu. Kiedy je upiec, to smakują niewiele gorzej.

– To sobie je żyjcie! Jak ktoś się w gnoju z muchami chował, to może mu robactwo smakuje! – warknął de Sandoval.

Zahred przestał przeżuwać.

Popił.

Przełknął.

Odłożył placek do miski.

Podniósł się i dopiero wtedy spojrział wprost na de Sandovala.

– Mówicie o kimś konkretnym, panie? – zapytał.

– Jak się ktoś poczuwa, to o nim mowa właśnie! – zaśmiał się złośliwie tamten, patrząc po kompanach.

Kiedy potem rozmawiali o tej sytuacji, to większość twierdziła, że Zahred nawet się nie poruszył.

Nie było widać, żeby nawet drgnął – po prostu w jednej chwili był tam, gdzie stał wcześniej, a okamgnienie potem już krok dalej, na wykroczonej nodze, z wystawioną przed siebie pięścią.

Trzasnęło i chrupnęło, de Sandoval poleciał w tył, potknął się o własne nogi, głucho huknął głową o ścianę i spelzł po niej na podłogę.

Wszyscy zamarli.

Zahred wrócił na swoje miejsce, usiadł.

Sięgnął po placek.

De Sandoval zamrugał i dotknął nosa, z którego w tej samej chwili chlusnęła ciurkiem krew, plamiąc śnieżnobiałą koszulę.

– Ty...! – wybelkotał, gramoląc się z ziemi. – Ty... Ty śmieciu znikąd, przybłądo!

Sięgnął do pasa, chwycił za rękojeść szpady.

Zahred podniósł na niego wzrok.

– Nie robiłbym tego na waszym miejscu, panie – mruknął.

– Jak śmiesz...! – De Sandoval szarpnął ręką, ale wtedy rzucił się ku niemu i przytrzymał de Morla. – Psie! Zakuję cię na śmierć, tylko odważ się stanąć jak mężczyzna...!

Na to wszystko wpadł do środka de Medellín, zaraz za nim w drzwiach stanął Cortés.

– Co to ma znaczyć!? – huknął na de Morłę. – Co to za burdy?!

– Panie, bo ja... – zająknął się kawalerzysta, puszczając de Sandovala.

Ten chciał ruszyć ku Zahredowi, ale strzelił oczami w kierunku caudilla i pomiarkował się, schował do połowy wyciągniętą szpadę.

– Szlachetny pan de Sandoval przewrócił się nieszczęśliwie – powiedział Zahred, ułamując kolejny kawałek placka i patrząc na dno swojej miski. – Dobry pan de Morla pomagał mu wstać, jak zresztą chrześcijański obowiązek miłosierdzia nakazuje.

– Ty...! – powtórzył po raz kolejny de Sandoval.

Cortés jednak już wszedł pomiędzy niego a Zahreda, spojrział na siedzącego z góry.

– Dość. Doprowadźcie się, panie, do porządku, bo nie przystoi oficerowi w poplamionej koszuli chodzić. A was, panie... – zwrócił się do Zahreda – proszę ze mną. Niezwłocznie.

Kiedy wyszli na dziedziniec, w pomieszczeniu wybuchła wrzawa. Ktoś coś krzyczał, szamotał się i pomstował.

Zahred podązał za Cortésem, który szedł tak szybko, jakby próbował uciec od własnych myśli – a potem obrócił się gwałtownie, podniósł rękę z wyciągniętym palcem, który podetknął Zahredowi pod sam nos.

– Nie życzę sobie...

– To się nie powtórzy. Proszę o wybaczenie – powiedział Zahred, patrząc mu prosto w oczy.

– Lepiej, żeby tak było, bo następnym razem...

– Następnym razem po prostu rozwalę mu łeb na pół.

Caudillo nabrał ze świstem powietrza, ale w tym momencie Zahred zaśmiał się. Szczerze, radośnie, perliście, jakby ktoś właśnie powiedział dobry żart.

W takich momentach Cortés nienawidził tego człowieka.

Szczerze, autentycznie, naprawdę.

Bo w tej chwili coś, co przed chwilą było ewidentną groźbą, mogło zostać obrócone w może nie do końca niewinny, ale na pewno nieszkodliwy żart.

I teraz miał wybór: albo próbować strofować tamtego za coś, z czego ten się z łatwością wykpi, albo też puścić całą sytuację w niepamięć.

– Co takiego zatem miałbym ci wybaczyć? – spróbował zająć Zahreda z innej strony.

Ten otarł łzę rozbawienia z oka, pociągnął nosem, zamrugał i powiedział:

– Nie mam pojęcia. Cokolwiek, czego sobie nie życzysz. Powiesz mi, co to takiego było?

I w tamtej chwili caudillo już wiedział, że przegrał, nawet nie wstąpiwszy w bój. Jak zazwyczaj zresztą...

...z wyjątkiem tego jednego jedynego razu.

Wtedy, kiedy niezadługo po wyładowaniu w Nowym Świecie pokonali dzikusów z Potonchanu. Tamci, jak i wszyscy inni po nich, od razu zaoferowali pokój, sownie okupiony podarkami: żywnością, tkaninami i złotem oraz niewolnikami.

Niewolnikami i niewolnicami, wśród których znalazła się ta jedna, szczególna kobieta.

Obydwaj chcieli jej dla siebie.

Cortés gotów był ją oddać Zahredowi.

Jednak ten powiedział: nie potrzebuję jałmużny.

Niech będzie uczciwie, po męsku.

Zagrajmy o nią w kości.

Zagrali.

Zahred przegrał.

Hernán nadal pamiętał wyraz niedowierzania na twarzy swego przyjaciela. Jak gdyby wydarzyło się coś, co w żadnym wypadku nie miało prawa się zdarzyć. Zawód, rozczarowanie, zaraz po nim złość przechodząca we wściekłość – a chwilę potem właśnie rozbawienie.

„Wygrałeś, jest twoja”, powiedział Zahred, śmiejąc się serdecznie.

I być może Cortésowi tylko się zdawało, ale gdy zabierał wtedy Malintzin, która miała wkrótce stać się najpierw Mariną, a potem jego dołą Mariną – tamta rzuciła Zahredowi jakieś takie dziwne spojrzenie, pełne głębokiego wyrzutu i pogardy.

Spojrzenie, które Zahred na pewno widział i doskonale zapamiętał.

Cortés potrząsnął głową, machnął ręką:

– Nieważne.

– Czego w takim razie chciałeś ode mnie? Nie skończyłem kolacji.

Caudillo odetchnął głęboko. Tak, ten człowiek potrafił być niesamowicie irytujący.

– Potwierdza się to, o czym donieśli twoi ludzie. Faktycznie jeszcze w kilku miejscach leżą przemy drewna i kolczastych gałęzi. Poza tym ze schodów świątyni widziałem kamienie przygotowane na dachach domów przy ulicach.

– Udało ci się porozmawiać z władcami miasta?

Cortés spojrzał ku rozgwieżdżonemu niebu, jakby szukając tam pomocy.

– Byłem w połowie drogi na piramidę, kiedy zagroździ mi drogę! Powiedzieli, że jest już za późno, obaj rządzący miastem, zarówno Tlaquiach, jak i Tlalchiac, modlą się teraz w świątyni, a potem od razu udają się na spoczynek.

– „Pan Tu i Teraz” oraz „Pan Zaświatów”. – Zahred pokiwał głową. – Jesteś pewien, że nie byli na nic chorzy?

– Proszę cię...! – prychnął Cortés.

– Tak czy inaczej, nie jesteśmy tutaj chyba mile widziani. A mimo to zaprosili nas i teraz starają się jak najmniejszym kosztem zatrzymać.

– Grają na czas?

– Czekają na coś. W dodatku boją się spojrzeć nam w twarz, żeby się głupio nie zdradzić.

– Trzeba kazać ludziom, żeby znów spali pod bronią. – Caudillo westchnął. – Myślisz, że mogą próbować nas otruć?

– Wątpię, jest nas zwyczajnie zbyt wielu. Poza tym sami pozwolili wejść naszym Tlaxcaltekom i Totonakom do miasta!

– Fakt, to zaskakujące – zgodził się Cortés. – De Usagre już kończy ustawiać działa na dziedzińcu. Jakby co, będziemy się mogli tam bronić. Jak reszta ludzi, byłeś u nich?

– Moi trzymają się razem, są w pogotowiu. To samo kompania pana de Leóna, ale nadal twierdzą, że jutro trzeba będzie ich przekwaterować gdzieś bliżej.

– Zatem czuwamy przez noc?

Zahred spojrział w kierunku największej piramidy, na której szczyt wciąż pęgały światła.

– Czuwamy.



Następnego dnia Zahred wybrał się ze swymi ludźmi na zwiedzanie miasta.

Owszem, był już tutaj w trakcie niedawnej podróży ku Tenochtitlán, którego w końcu nie było mu dane zobaczyć, ale wtedy krok w krok chodzili za nimi eskortujący ich posłowie.

Teraz miał szansę skonfrontować to, co zapamiętał, z doświadczeniem z pierwszej ręki.

Położony przy największej piramidzie plac targowy był imponujący. Dało się poznać, że musieli ściągać tutaj ludzie z ogromnego terenu otaczającego miasto, a może nawet specjalnie przyjeżdżający w tym celu handlarze. Wyślizgane niezliczoną ilością pleców ściany aż lśniły, rogi ociosanych kamieni były zaokrąglone od wciąż siadających na nich ludzi.

– Nie ma lepszego miejsca niż Cholula! Tutaj są najlepsi rzemieślnicy, najrzęczniejsi kamieniarze! Misy, puchary, talerze i tace z Choluli nie mają sobie równych! Sam najwyższy król Montezuma jada na zastawie, którą Cholula śle mu w darze! – zachwalał miasto przewodnik, którego im przydzielono. – Nie da się wcisnąć tutaj szpilki, tyle jest ludzi, bo...

Zahred delikatnie położył mu dłoń na ramieniu, uśmiechnął się czarująco.

– Gdzie zatem są dzisiaj? – zapytał miękko niczym ślizgający się po liściach wąż.

Cholultek zamrugał, rozejrzał się po placu.

Rzeczywiście, kręciło się po nim trochę ludzi i rozłożone było kilkanaście kramów.

Widać było jednak, że jest to zaledwie ułamek tego, co musiało dziać się w normalnych okolicznościach.

Większość placu świeciła pustkami. Nawet przychodzący tutaj wychodzili na targowisko i stawali zaskoczeni. Kręcili głowami, rozglądali się zdumieni: ale jak to? Gdzie handlarze, gdzie kupcy?

– Dzisiaj... – zająknął się przewodnik. – Dzisiaj targu nie ma.

– Ach. No tak. Może zatem jutro?

– Jutro też nie.

– A kiedy będzie? Bardzo byśmy chcieli go zobaczyć.

Jak gdyby czując podświadomie, do czego zmierza ich dowódca, i zapewne domyślając się biegu rozmowy, żołnierze Zahreda też się rozejrzeli.

– Pusto coś tutaj – mruknął de Monroy.

– Mhmm. I w ogóle kobiet nie widać... Ani tu, ani nigdzie. A wczoraj jeszcze były.

– Gdzie są kobiety? – zapytał Zahred przewodnika.

Ten przełknął ślinę.

– W domach, o wysoki panie.

– No tak, oczywiście. I mężczyźni też?

– Tak.

Zahred pokiwał głową.

Prawda była taka, że miasto wyglądało jak wymarłe. Jeszcze wczoraj kręciły się tu tłumy, każdy chciał popatrzeć na nich, zobaczyć przybyszów... A dzisiaj ludzie jakby pochowali się w swoich domach i bali się nawet wyjrzeć na dwór.

Ponad Cholulą wisiała niepokojąca, napięta cisza.

– Opowiedz mi o świątyni – zażądał Zahred.

Przewodnik westchnął z ulgą.

– To najwyższa i największa świątynia na całym świecie, o panie. Poświęcona jest pierwszemu i najważniejszemu spośród bogów, potężnemu Quetzalcoatlowi...

– Upierzony Żmij – wtrącił Zahred.

– Pierzasty Wąż, o wysoki. To właśnie Quetzalcoatl kazał ludziom postawić miasto w tym miejscu i wznieść w jego sercu świątynię ku swojej czci, w której do dziś stoi jego posąg.

– I to tam mieszkają Tlaquiach i Tlalchiac, zgadza się?

– Tak, panie. Pan Doczesności i Pan Wieczności rezydują przy świątyni, zanosząc modły w intencji Choluli.

– Co zatem...

– Panie, panie! – Ponad placem poniosło się wołanie. Zahred obrócił głowę: w ich stronę biegł jeden z młodszych żołnierzy. – Panie! Caudillo wzywa was do siebie... Przybyli posłowie od Montezumy!

– Znowu – warknął Zahred. – Ciekawe, co też wymyślili tym razem.



Cortés siedział w swoim fotelu, oparłszy policzek o rozczapierzone palce, przez co połowa jego twarzy wyglądała niczym groteskowa maska z antycznego teatru.

Naprzeciwko niego giął się w ukłonach i wymachiwał rękoma poseł – ten sam co poprzednio.

– ...poza tym nie możecie ruszyć w kierunku Tenochtitlán – tłumaczyła Malintzin beznamiętnym, płaskim i znudzonym głosem. – Trasa jest trudna i męcząca. Nie do przebycia wręcz.

– Dopiero co sami nią przeszliście – powiedział caudillo.

– Poseł Montezumy mówi, że po drodze brakuje żywności.

– Weźmiemy zatem swoje zapasy.

– Kiedy wasza armia wkroczy do Tenochtitlán, najwyższy król Montezuma umrze ze strachu.

– Niech w takim razie... Chwila, zaraz. – Cortés ożywił się, potrząsnął głową. – Czy on naprawdę to powiedział?

Malintzin spytała, ambasador odpowiedział. Kobieta spojrzała na caudilla, zrobiła mocno sceptyczną minę i pokiwała:

– Tak powiedział, panie. I mówi jeszcze raz, że stanowczo nie możecie wejść do miasta dla własnego dobra.

– Bo?

– Najwyższy król Montezuma ma w swoim pałacu zagrody dla dzikich zwierząt. Są wśród nich przerażające wielkie koty, groźne ptaki i ogromne jaszczurki z zębami, długie i grube jak pnie najcieńszych drzew. Jeśli mielibyście tam zabłądzić, to rozerwałyby was na strzępy, a na to Montezuma nie może pozwolić.

– Nie no, do kurwy nędzy, to jest jakaś pierdolona farsa! – parsknął Portocarrero. – Przecież to są wymówki sześciolatka, który zesrał się w szafie...

– Panie, proszę was – warknął Cortés.

– ...i teraz próbuje przekonać ojca, że ten nie może tam zajrzeć!

– Panie, ponownie proszę was! – syknął caudillo. Przeciągnął dłonią po twarzy, spojrzął ciężko na Malintzin. – Powiedz im, że usłyszałem ich słowa i dziękuję za rady oraz troskę. Zdecydowałem jednak, że odwiedzę Montezumę, i tak właśnie uczynię.

– Poseł mówi... – Malintzin wysłuchiwała do końca. – Że przyjaciel Cortésa, najwyższy król Montezuma, da mu tyle złota, ile tylko dadzą radę unieść jego ludzie, byle tylko ten nie ryzykował swoim życiem i zdrowiem, przybывая do Tenochtitlán.

– A jednak właśnie tam ruszymy – uciął Cortés.

Przysłuchujący się temu Zahred odczekał, aż Indianie i Kastylijczycy wyjdą. Przysunął sobie ławkę i usiadł naprzeciwko dowódcy, który teraz schował twarz w dłoniach.

– To samo? – zapytał.

– Ja już nie mam siły. Portocarrero ma rację. To jest jak kłócenie się z dziećmi.

– Zatem należy tak o nich myśleć: jak o dzieciach. I w tej chwili te dzieci czekają na sygnał.

Cortés podniósł głowę, spojrzął na niego uważnie.

– Jaki sygnał?

– Miasto jest jak wymarłe, zniknęły z ulic kobiety. Nie ma targu, więc żywność przynoszona na handel musi trafiać gdzie indziej. Ambasador przybył, aby wy badać, czy da się nas odwieść od zamiaru... I teraz ruszył z powrotem, aby zameldować, że jednak nie jest to możliwe.

– Ale te idiotyczne argumenty...!

– Idiotyczne, bo tak mu kazano: przekonaj ich za wszelką cenę, dowolnymi środkami. Więc gimnastykuje się i wymyśla, co tylko da radę. Prawdziwy cel jest gdzie indziej.

– Co zatem doradzisz?

Zahred wzruszył ramionami.

– Czekamy. Jutro trzeba wyprawić się za miasto po paszę dla koni, bo faktycznie popadają z głodu. Ludzie już przenoszą się tutaj, przez kilka dni wytrzymają w ścisku.

– A potem?

– Myślę, że zanim doczekamy do „potem”, sprawa rozwiąże się w tę czy inną stronę.



– Czy teraz Xahuatl wierzy już Xicotencatlowi?

Zahred spojrział na wodza Tlaxcalteków, kiwnął oszczędnie głową.

– Xahuatl nigdy nie wątpił w jego słowa.

Byli kawałek drogi od Choluli w otaczającym miasto rzadkim, dość przetrzebionym wycinkami lesie. Pół setki Indian pracowało w równym tempie, tnąc i wiążąc w snopki trawę na podściółkę dla koni. Inni wyprawili się dalej, ku okolicznym polom, aby pozbierać w kosze świeżą kukurydzę.

Zahred podzielił swoją kompanię na pół; dwudziestu ludzi pod komendą de Monroya ochraniało Indian zbierających furaz, reszta została tutaj z nim, wpatrując się uważnie w otaczającą ich zielen.

I już teraz widział, że wcześniejsze ostrzeżenia nie były bezpodstawne.

Od samego wyjścia z miasta mieli towarzystwo. Przemykający na skraju pola widzenia, przyczajeni za drzewami Indianie dosłownie eskortowali ich, otaczając istnym kordonem.

Kiedy któryś z Kastylijczyków wychodził naprzód, oni cofali się, zostawiając mu miejsce, aby szedł dalej.

Czasami wręcz prowokowali, pojawiając się za krzakami i znikając znowu, jak gdyby rzucali wyzwanie: no chodź! Spróbuj i zobacz, czy nas dogonisz! Czekali, aż któraś sztuka nierozważnie oddzieli się od stada, wyjdzie poza magiczną granicę bezpieczeństwa.





Panel  
Zacora

Jednak rozkazy Zahreda były jasne: nie oddalać się. Nie odchodzić pod żadnym pozorem. Cokolwiek miałyby się dziać, trzymać się razem. Kusze i arkebuzy w gotowości. Nie wykonywać gwałtownych ruchów.

– Szlag! – zawarczał Rodrigo, kiedy szczęśliwie niezapalony lont znów opadł na panewkę, mimo że on nawet nie dotknął spustu arkebuz. – Nie można już nim nawet mocniej potrząsnąć.

– Daj, przecież mówiłem, że ci pomogę – po raz kolejny zaferował się Valverde, niemogący ścierpieć, kiedy coś było popsute.

– Sam sobie poradzę. Cholerni Indianie, to wszystko ich wina...

– Coraz ich więcej – szepnęła Valdés, zerkając to w lewo, to w prawo. – O, widzieliście? Tam się kolejny przemknął! Kapitanie...

– Widzę. Tylko bez nerwowych ruchów.

– Tutaj się z łukami podsuwają! Kusze, dajcie kusze na tę stronę! – rozległ się głos Enriqueza.

– Spokój! Nie panikować, nie strzelać jako pierwsi! Pięć kroków w tył, wszyscy!

Ścinający trawę Tlaxcaltekwie przyspieszyli, Xicotencatl rozejrzał się z niepokojem. Rzeczywiście, tamtych było coraz więcej, podsuwali się bliżej i bliżej, coraz śmieiej wyglądając zza drzew.

– Pierdole to! – warknął Rodrigo, wyciągnął krzesiwko i zaczął krzesać ogień, żeby odpalić lont. Iskra strzeliła, zatrzeszczała hubka. – Jak ja im zaraz...

– Spokój! Spokój, bo inaczej...

W tym momencie rozległ się wysoki, przenikliwy świst piszczalki.

Ludzie rozejrzeli się, któryś nie wytrzymał, wyszarpnął z pochwy rapier i wystawił przed sobą.

Ale las był znów pusty i cichy. Odezwał się ptak, zaraz po nim drugi i kolejny.

– Odeszli... – sapnęła z niedowierzaniem Valdés. – Wystraszyli się!

Jednak Xicotencatl nie podzielał jego entuzjazmu.

– Xahuatl słyszał? – zapytał.

– Słyszał. Ktoś odwołał Cholulteków z powrotem.

– Nie Cholulteków. Ludzie z Choluli nie umieją chodzić po lesie. To byli mexiccy zwiadowcy.

– Zbieramy się! – zawołał na ludzi Zahred. – Dołączamy do grupy de Monroya i wracamy do miasta.



– Woda i drewno! – De Cáceres wskazał zrzuconą pośrodku podwórca stertę suchych kolczastych gałęzi. – Tyle nam dziś dali. Strach pomyśleć, co będzie jutro.

– Przynajmniej będzie z czego ogień rozpalić, a raczej ani jedno, ani drugie nie jest zatrute.

– Co? – wzdrygnął się majordomus, ale Zahred już ruszył dalej, ku wydzielonej im kwaterze, rozglądając się po dziedzińcu.

Pałac Kolibra leżał na uboczu miasta, przylegając do zagajników wspinających się na otaczające Cholulę wzgórza. Jego największy budynek – parterowy, jak zresztą wszystkie w tutejszych miastach – rozciągał się serią połączonych ze sobą pomniejszych pawilonów i półotwartych sal, z położonym pośrodku ogrodem z drzewami.

Przed głównym i jedynym zresztą wejściem, ku któremu szedł teraz Zahred, znajdował się spory dziedziniec, okolony wysokim na kilka metrów murem. Ku miastu prowadziła pojedyncza, zwieńczona ostrym łukiem brama bez wrót.

Z jednej strony miejsce było wręcz wymarzone do obrony: jedno wejście, otwarta przestrzeń i znów jedno wejście, a potem kolejny dziedziniec, na którym można było ustawić czworobok pikinierów. Z drugiej jednak widział w swoim życiu aż nazbyt wiele miejsc na tyle dogodnie położonych, że obrońcy zostawali w nich na zawsze.

Okna pałacu wychodzące na dziedziniec najeżone były teraz lufami arkebuzów, z najdalej rozsuniętych na boki wyglądały paszcze śmigownic. Ustawiona przy samym wejściu armata stopniowo chowała się za układanym coraz wyżej i szerzej kamiennym szańcem. Nikt nie miał już złudzeń, że zapewne będą się tutaj, w tym właśnie budynku, bronić.

– *I myrodiá tis epikeímenis prodosías paraménei ston aéra* – mruknął do siebie słowami martwego od tysiącleci poety, wbiegając po schodach, na których de Usagre pomagał ludziom rozcierać w kamiennych misach skawalający się w wilgotnym powietrzu proch, i niemalże wpadł na de Olmeda. – Dzień dobry, ojcze, szczęść Boże.

– „Zapach rychłej zdrady unosił się w powietrzu”? – Zakonnik uniósł brew.

Zahred zmrużył oczy, ale zaraz rozluźnił się i uśmiechnął.

– Ojca znajomości greki dorównuje wyłącznie jego słuch.

– Ucho wyćwiczone na niełatwych tajemnicach spowiedzi. Skoro o tym mowa... – zacukał się zakonnik.

– Tak?

Ojciec de Olmedo spuścił wzrok, zaczął bawić się paciorkami wiszącego przy pasie różańca.

– Obawiam się, że wszedłem w posiadanie pewnej wiedzy, która może okazać się istotna dla nas wszystkich... Żywośnie istotna, że tak to ujmę. Lecz powiedzmy też, że jej źródło przyszło do mnie w tajemnicy, nie chcąc ujawniać swojej tożsamości.

– Doña Marina – powiedział Zahred.

Zakonnik podniósł na niego wzrok.

– Mój dobry panie, nie wiem, czy wiecie, ale tajemnica spowiedzi obejmuje nie tylko treść, ale nierzadko i sam fakt tejże. Zatem obawiam się, że jeśli kazaliście komuś chodzić za nią, to...

– Bynajmniej. Gdyby przyszedł do was mężczyzna, powiedzielibyście: posiadacz wiedzy. Jednak użyliście, ojcze, słowa neutralnego: źródło. Skądinąđ słusznie, żeby nie ściągać uwagi na płeć posiadaczki wiedzy. Czy tak?

– A może była to inna kobieta z naszej ekspedycji? – Duchowny ujął się pod boki, gotów walczyć do końca. – Jest ich pełno: kucharek, tkaczek, pomocnic i... e...

– Nalożnic – dokończył z uśmiechem Zahred. – Tak, ale żadna z nich nie zna języka, więc nie przyszlaby z taką informacją do was, tylko właśnie do doñi Mariny. A ta z kolei przekazała ją wam, lecz w tajemnicy. Zakładam, że tak zresztą było, prawda?

De Olmedo skapitulował, pokiwał głową.

– Jedna ze szlachetnie urodzonych kobiet z naszej ekspedycji słyszała od innej, miejscowej... Proszę was, panie, bez pogardliwych uśmieszków! Sam mam alergię na plotki i babskie wymysły, rosnące wraz z każdym przekazaniem ich z ust do ust.

– Ależ mówcie dalej, ojcze.

– Żona tutejszego naczelnika powiedziała jej, że sama polubiła ją bardzo, a z kolei jej ojciec jest potężnym wodzem w Tlaxcali. Że z przyjemnością wydałaby tę kobietę za jednego ze swoich synów...

– Brzmi bardzo kobieco i wiarygodnie – zgodził się Zahred.

Zakonnik parsknął.

– No więc tylko dlatego nie puściłem tego mimo uszu! Słuchajcie jednak dalej: wydałaby ją za swojego syna, ale ta już poślubiona jest jednemu z białych przybyszów. To jednak nie problem, mówi do niej tamta; niech ona schowa się teraz w jej domu, a kiedy idąca ku miastu armia Montezumy wymorduje obcych...

Zahred ze świstem wciągnął powietrze nosem, de Olmedo pokiwał poważnie głową.

– Mówiliście admirałowi?

– Gdybym powiedział jemu, to nie mówiłbym wam! – zirytował się duchowny. – Szukałem go właśnie, ale w pałacu go nie ma!

– Musieli pójść na miasto... Valdés! – zakrzyknął Zahred na chorążego kompanii. – Sztandar w górę, zbierajcie ludzi! Pełna gotowość, pancerze i hełmy! Wychodzimy!

– Dopiero wróciliśmy... – chciał zaprotestować de Monroy, ale Zahred już go nie słuchał, wykrzykując kolejne rozkazy i zbierając ludzi.

Kiedy wyłonili się z bramy, uformowali szyk i ruszyli przez ulice, miasto było dosłownie jak wymarłe. Słyszać było tylko suchy klekot zamykających się przed nimi okiennic.

Zza krawędzi dachów pojawiały się i od razu znikwały głowy ludzi. Raz i drugi widzieli, jak ktoś przemknął pomiędzy domami, chowając się od razu w zaułku.

– W ogóle już nie ma nikogo... Panowie, oczy dookoła głowy.

– Kapitanie, patrzcie! – pokazał palcem Gutiérrez.

W jednej z bocznych uliczek leżały zrzucone na nierówną, blokującą przejście stertę młode drzewka z kolczastymi gałęziami, pomiędzy które ktoś powbił w ziemię zaostrzone kije, a całość dociążył od góry kilkoma solidnymi rozwidlonymi konarami.

– Dwa wąskie szeregi! – zarządził Zahred. – Pod ściany, trzymać się murów i patrzeć na skos! Jedni pilnują tego, co dzieje się nad drugimi, kusze w pogotowiu!

Ludzie posłuchali, dali radę podzielić nawet w miarę równo na pół. Szli krok za krokiem, spoglądając trwożliwie ku górze.

Faktycznie, od czasu do czasu ktoś wyglądał, ale chował się błyskawicznie, kiedy tylko orientował się, że jego obecność nie uszła uwagi Kastylijczyków.

Po drodze widzieli jeszcze dwie podobne do wcześniejszej barykady; z prac przy jednej, stawianej na głównej arterii, dosłownie spłoszyli ludzi, którzy rozpierchli się z krzykami i zniknęli gdzieś w labiryncie uliczek.

Rozebrali, rozwłoczyli niedokończone zasięki. Enriquez zaproponował nawet, żeby je podpalić, ale Zahred odmówił:

– Ogień rozniesie się i co wtedy? Upięka się oni, a my razem z nimi.

Wreszcie, po pokonaniu jeszcze kawałka drogi, zza zakrętu wyłonił się o wiele mniejszy, liczący raptem kilkunastu ludzi oddział, w którym rozpoznali też samego Cortésa.

– Zahred! – z wyraźną ulgą zawołał caudillo, sam idący z mieczem w rękę.

Może pół kroku z tyłu stała z łukiem i strzałą na cięciwie Malintzin, której podkasane wysoko spódnice pokazywały przy każdym kroku dobrze zarysowane łydki i kształtne uda.

– Panie, chodźcie do nas, byle prędko! Nic wam nie jest?

Dwie grupy połączyły się i zaczęły wspólnie cofać ku pałacowi.

– Byliśmy u Tlaquiacha – zaczął opowiadać po drodze Cortés. – Nie uwierzysz, co mi powiedział.

– Wpuścili was?

– Nie pytaliśmy tym razem o pozwolenie. Zapytałem starucha, czemu ludzie są tak zdenerwowani, a miasto świeci pustkami. Wyobraź sobie, że mają rozkazy od samego Montezumy, żeby nie udzielać nam pomocy!

– Jakoś nie jestem zaskoczony. A ci dwaj? – Zahred wskazał prowadzonych ze związanymi rękami, przerażonych ludzi w szatach kapłanów.

– Tamten wymknął nam się niepostrzeżenie, zniknął nie wiadomo gdzie – warknął caudillo. – Więc wzięliśmy ich ze sobą na spytki, żeby tam się nie dać zamknąć jak w potrzasku.

Zahred zmierzył dwóch jeńców wzrokiem, jego oczy błysnęły chłodno.  
– Dajcie ich mnie, a powiedzą wszystko.  
Cortés skinął krótko: zrób, co będzie konieczne.



## Rozdział 8

**M**usimy wyjść z miasta! Cofnąć się do Tlaxcali, tam przyjąć ich bojem!  
– Bzdura! Po co wikłać się w bitwę, której wynik nigdy nie jest pewny?  
Zmieńmy trasę i pójdźmy tak, jak mówili nam od początku Indianie, przez to,  
no...

– Huexotzinco, zgadzam się! – De Lugo podniósł rękę. – Ominąć to  
miejsce po prostu!

– I wpuścić ich sobie na plecy? Powtarzam, do Tlaxcali! – upierał się de  
Ordaz.

– A ja mówię: uderzmy na nich teraz, zanim będą gotowi! – głosował de  
Sandoval. – Skoro dopiero szykują atak, to będą w rozsypce... Tak? Dobrze  
mówię? No tak, zgadza się?!

Te ostatnie słowa skierował do wodzów Tlaxcalteków, z racji  
nieznajomości języka do tej pory uczestniczących w naradzie raczej jako bierni  
obserwatorzy.

Maxixcatzin spojrział na Temilotcatla, potem na Xicotencatla  
i odruchowo, patrząc de Sandovalowi w oczy, pokiwał głową: tak, tak!

– Indianie popierają pomysł! – zatryumfował de Olid.

– Bo nie rozumieją, co się do nich mówi...

– Ale popierają!

– Panowie, towarzysze! Spokój! – próbował przekrzyczeć ich Cortés, ale jego słowa ginęły we wrzawie. Kilku kapitanów już wstało i teraz klóciło się, wymachując rękami. – Spokój, proszę was! Nie uzgodnimy nic...

Urwał, spojrział gdzieś w bok.

Pozostali też ucichli, jeden po drugim obracając się ku wyjściu na ogrody, z których właśnie szedł ku nim Zahred.

Kłótnie i sprzeczki trwały jeszcze chwilę na podwórku, gdzie szeregowi żołnierze również sprawowali swój sejmik, spierając się nie mniej zajadłe od kapitanów. Potem jednak i oni zamilkli, uciszając jeden drugiego i ciekawsko wyciągając szyje: co to, co to za cisza? Już postanowili? To co uradzili, co robimy w końcu?

Zahred przeszedł korytarzem, nawet na nich nie patrząc, w pełni pochłonięty wycieraniem rąk wilgotną szmatką.

Bryzgi i zacieki krwi sięgały mu aż ku zawiniętym powyżej łokcia rękawom czarnej koszuli, kilka z nich padło też na skupioną teraz, zupełnie spokojną twarz.

Usiadł na swoim miejscu, wciąż zajęty czyszczeniem dłoni.

Metodycznie wycierał przestrzeń pomiędzy palcami, wyciągał zakrzepniętą juchę spod paznokci i z zagłębienia skóry.

Przeplukał szmatkę w misie, wycisnął. Woda zabarwiła się różem, on zaś zaczął wycierać ręce do czysta.

Skończył.

Cisnął ścierkę do misy.

Potoczył wzrokiem po zebranych.

– Dwa tysiące wojowników Montezumy będzie tego wieczora pod miastem – oznajmił. – Mają czekać na nas na drodze ku Tenochtitlán, w pół drogi ku góróm. Cholultekowie mają dostarczyć im rzemienie, obroże na szyje i powrozy, żeby skrzepować nas, gdy zostaniemy już pojmani...

– N-niech spró-ó-bu-bu... – zagulgotał pąsowy z wściekłości de León, ale Cortés pokazał mu gestem: cicho!

Kapitanowie zaczęli siadać.

Spokojny, miarowy, cichy głos Zahreda sam narzucał skupienie i respekt, domagał się stosownego zachowania.

– Montezuma chce nas widzieć żywymi. Oczywiście, zapewne nie wszystkich. – Uśmiechnął się nieszczerze. – W pobliżu zasadzki czeka już sporo mężczyzn z Choluli, zaś kobiety i dzieci mają siedzieć w domach. Większość z nich opuściła już miasto i pochowała się w jaskiniach wyżej w lesie.

– Cholula musi czy raczej z własnej woli chce pomagać Montezumie? – zapytał caudillo.

– Kapłani twierdzili z początku, że musi. Montezuma podobno nie mógł zdecydować się, jak z nami postąpić, i ciągle zmieniał zdanie, wydając sprzeczne rozkazy.

– Stąd to dziwne zachowanie – burknął Cortés.



– Dokładnie, ale chyba w końcu się określił. Tak więc kapłani najpierw mówili, że ich zmusił, ale po jakimś czasie... – Zahred urwał i spojrział krytycznie, czy wyczyścił dość dokładnie paznokcie. – Po jakimś czasie przyznali, że miastu się to ma opłacić. Dwudziestu z naszych ludzi i setka Indian zostaje tutaj, aby zarżnięto ich na ołtarzu Huitzilopochtlego, boga letniego południa i wojny. Podobno zaczęli już składać ofiary z niewolników i dlatego nie chcieli wpuszczać nas do świątyni. Słowem, panowie i panie: wóz albo przewóz.

Potoczył po nich wzrokiem.

Nikt nie uronił słowa, tak bardzo wstrząsająca była ta relacja.

Owszem, spodziewali się kłopotów, może nawet zdrady, napaści, ale to było tak rzeczowe, tak bardzo na zimno zaplanowane i nieludzkie!

– Co robimy, towarzysze? – Cortés jako pierwszy przełamał milczenie.

– Starcie zbrojne tutaj, w mieście, zamieni się w rzeź – mruknął Zahred.

– Przy czym wcale nie jest pewne, czyją rzeź, bo nie wiemy, ile faktycznie mają wojska.

– Kapłani mogli kłamać – wtrącił się de Alvarado, patrząc na Zahreda.

– Kłamali. Przynajmniej z początku. Potem przestali.

– Nie możecie mieć pewności...

– Mogę i mam, panie. Zapewniam was, że każdy ma swoją granicę, za którą zaczyna się już tylko czysta, nieubarwiona niczym prawda.

– Może zmyślili to, żebyście dali im spokój?

– To druga granica, panie, której nie należy przekroczyć, umiejętnie balansując na tej cienkiej, bardzo delikatnej linii... Niczym nóż przesuwający się po nitce, ale nie odcinający odsłoniętego nerwu zęba. – Zahred spojrział mu w oczy, de Alvarado poblądł i spuścił wzrok.

– Co zatem? – Cortés zwrócił się teraz wyłącznie do Zahreda.

Ten wzruszył ramionami, pokręcił głową.

– Nie mamy wielu opcji, panowie. Rozsądne wydaje się to, żeby faktycznie opuścić Cholulę i potem się zastanowić, jak postąpić dalej. Jeśli przycisną nas tutaj, w pałacu... Ja na ich miejscu zabarykadowałbym bramę, a potem nas tutaj spalił.

– Tfu! Bójcie się Boga, panie...! – Caudillo przeżegnał się nerwowo.

– Mówię wam tylko, co mogą zrobić. Rozegrajmy to jednak inaczej: zaprosimy ich na rozmowy, mówiąc, że odchodzimy z miasta i pragniemy się pożegnać.

– Co nam to da? – mruknął przez spuchnięty nos de Sandoval.

– Zaprosimy ich gdzie indziej, więc po pierwsze odciągnie uwagę od przygotowań tutaj i da nam czas. Jeśli nie przyjdą, to będziemy wiedzieć, że armia Mexików jest blisko i należy brać nogi za pas. Jeśli przybędą, no cóż... Wtedy pewnie mamy trochę czasu i możemy wykonać planowy, uporządkowany odwrót.

– „Brać nogi za pas”? – powtórzył z przekąsem de Sandoval. – Nie wiem, gdzie uczyliście się walczyć, panie, ale...

– Tam, gdzie nauczyli mnie myśleć głową, a nie urojonym honorem! – Zahred uderzył dłonią o kolano. – Jeśli będziemy akurat w połowie wychodzenia z miasta, a tamci dowiedzą się o tym i uderzą na nas, wiecie, co się stanie?! Wiedzą, szlachetny panie de Sandoval?! Czy mam wam to opisać albo i narysować dla uproszczenia?!

Znów umilkli wszyscy.

Cortés odchrząknął, popatrzył po nich.

– Panowie towarzysze, zbieramy się zatem i szykujemy do jak najszybszego wymarszu. Zaproszę miejscowych dostojników na rozmowę, która odbędzie się... – Zerknął na Zahreda.

– Podobno zazwyczaj spotykają się na placu przed świątynią Quetzalcoatl, więc to będzie naturalne miejsce.

– Dobrze więc. Zobaczymy, jak zareagują... A potem tak czy inaczej zostawiamy to niegościnne miejsce!



Pan Tu i Teraz, Opiekun Doczesności i Nadzorca Ludzi, świątły Tlaquiach patrzył z zadowoleniem, jak przybysze wchodzą na ogrodzony murem plac u podnóża świątyni Pierzastego Węża.

Po niedawnej, mocno burzliwej rozmowie z Cortésem bał się, że obcy domyślili się czegoś albo że co gorsza, zamierzają zostać w mieście na dłużej.

Jednak teraz stało się jasne: w końcu zrozumieli to, co niedwuznacznie próbowano dać im do zrozumienia od paru dni, i zabierali się z Choluli na cztery wiatry.

Wraz ze świątłym Tlaquiachem stało pod świątynią kilkudziesięciu innych urzędników, kapłanów, wodzów i znaczniejszych wojowników. Oczywiście, wepchnęli się pomiędzy nich też co bogatsi rzemieślnicy, kilku zasłużonych starców i nadmiernie ambitnych młodych dorobkiewiczów... Ale Opiekun Doczesności nie kazał ich przeganiać: w końcu większa świta tylko dodawała mu znaczenia.

Tym bardziej że pod bramami gromadzili się już mieszkańcy miasta, chcący w końcu zobaczyć upragnione odejście niebezpiecznych i nieproszonych gości, których przybycie zdawało się niepokoić samego Montezumę w równie potężnym co odległym Tenochtitlán.

Tlaquiach wyduł pogardliwie wargi: przecież nie było się czego obawiać. Zarządził sytuacją sprawnie, rzeczowo i skutecznie, a teraz przybysze mieli sobie po prostu pójść.

A dalej, na drodze? To już nie był problem Tlaquiacha. Niech pozabijają ich wojownicy Orła i Jaguara, pożrą dzikie zwierzęta albo niech pospadają w przepaść. On zrobił, czego wymagał od niego poseł Montezumy, i na tym jego rola się kończyła.

Wystarczyło teraz odpowiednio oschle ich pożegnać i z satysfakcją obserwować malejące w oddali plecy.

– O dobrzy goście, którzy rychło zdecydowali się opuścić Cholulę! – zawołał, podnosząc ręce. Celowo nie powiedział „wielce dobrzy” ani „zbyt rychło”, żeby wszyscy zrozumieli, że wcale nie jest mu smutno. To jest: wszyscy poza głupimi przybyszami, niemającymi pojęcia o rytuałach gościnności. – Otóż nadszedł dzień, kiedy zmęczone nogi znów podniosą pył na dalekiej drodze, zaś...

– Cortés pyta: dlaczego Cholultekowie tak źle go potraktowali? – przerwała Tlaquiachowi stojąca obok białego wodza kobieta, która wcześniej już tłumaczyła bełkot obcych na śpiewną, szlachetną mowę *nahuatl*.

– Cholula przyjęła przybyszów jak gości! – oburzył się dostojnik.

– I dlatego Tlaquiach uciekł sromotnie, kiedy Cortés przyszedł do niego porozmawiać?

– Tlaquiach wcale nie... – Dostojnik strzelił oczami na bok, na słuchających go ludzi. Co za bezczelna istota, żeby tak się do niego zwracać! Wyprostował się i powiedział z godnością: – Tlaquiach odszedł na modlitwę.

Kobieta przetłumaczyła.

Biały wódz zaśmiał się, wraz z nim zarechotało paskudnie kilku włochatych, spoconych i śmierzdzących jak zwierzęta obcych.

Opiekun Doczesności poczuł, jak robi mu się gorąco z gniewu.

– Cortés mówi, że Tlaquiach umykał jak... – Kobieta zawahała się, szukając odpowiedniego słowa; zapytała o coś białego wodza. – Jak małe, puchate i płochliwe zwierzątko o długich uszach!



Przysłuchujący się tej wymianie zdań Kastylijczycy mieli naprawdę niezły ubaw.

Z początku, tych parę miesięcy temu, nie pałali do Malintzin szczególną sympatią – ot, ich caudillo wziął sobie powabną i młodą kochankę.

Ale bo to on jeden? Pierwszą? Ostatnią? No gdzie tam!

Zostawił gdzieś tam, w wielkim świecie, swoją żonę i syna, to przecież nie będzie sam jak palec tkwił... Mężczyzna ma swoje potrzeby, co nie?

Indiankę sobie wziął, prawda, no ale innych przecież nie było.

Tylko że ta kobieta była inna, co dość szybko zrozumieli. Nauczyła się ich języka i obyczajów. Pomagała radą i wyczuciem lokalnej kultury, co bardzo szybko zagwarantowało jej stałe miejsce przy boku Cortésa podczas narad.

Oraz w łóżu.

JEGO łóżu, na noc.

Nie jako przygodnej zabawce, wołanej i odprawianej wedle zachcianki, ale JEGO kobiecie...

...która to kobieta, jak rozповідаł giermek caudilla w wielkiej tajemnicy każdemu, kto tylko chciał o tym słuchać, parę razy Cortésa do tego łóża nie wpuściła i zmusiła do spania w innej komnacie.

Więc widać było, że szybko stała się czymś więcej niż dodatkiem do swojego mężczyzny.

Rozmawiała z każdym z kapitanów jak z równym.

Nie bała się spojrzeć w oczy i powiedzieć, co myśli.

Poza tym umiała walczyć i strzelać z łuku.

A teraz aż miło było popatrzeć, jak w każdym zdaniu wespół z caudillem orali we dwoje tego starucha jak kamieniste pole!

– No żeż kurwa mać, ależ mu soczyście przysrała! – ucieszył się Portocarrero, pukając łokciem stojącego obok Rodriga. – Słyszałeś, panie?!

– Słyszałem, słyszałem. Tylko nie szarpicie mnie, bo ja tu lont mam zapalony i proch na panewce – warknął Rodrigo, starający się trzymać arkebuz tak, żeby nie celować nikomu w plecy ani w głowę.

– Ha, jak po nim jedzie! Jak po tej łysej jebanej kobyle! Oj, dobrze nasz admirał trafił, dobrze! A ona, jebaniutka, bojowa taka jest, to pewnie i w łóżnicy się nieźle...

– Prosiłem, nie szarpicie! – Rodrigo wyrwał mu się, przesunął bardziej na bok oddziału.

Popatrzył na stojących naprzeciwko Indian, na trzymany w mdlejących rękach arkebuz. Wzruszył ramionami i opuścił lufę, przekładając ją przez zgięcie łokcia tak, żeby patrzyła w kierunku tamtych.

Przecież co niby miałyby się stać?



Cortés poczuł, jak gotująca się w nim złość szuka ujścia.

Ten bezczelny, chamski dzikus miał czelność udawać, że wszystko było w porządku!

Wystąpił o krok i drugi z szeregu, stając od tamtego na wyciągnięcie ręki.

Ludzie zafalowali, przesuając się razem z nim; z kolei Indianie nastroszyli się, któryś z wojowników wymownym gestem podniósł oparty do tej pory o ziemię miecz.

– Dlaczego więc, skoro Cholultekowie tak dobrze nas przyjęli i nie mają sobie nic do zarzucenia, pragną naszej śmierci?! – rzucił Tlaquiachowi słowa w twarz niczym brudną szmatę. – Owszem, przestrzegaliśmy was, żebyście odstąpili od swoich pogańskich bałwanów, bo spotka was kara... I poza tym nawet słowem nie uraziliśmy! Tak nam się odpłacacie?

– Cholula nigdy nie odstąpi od swoich bogów, obyczajów ani pamięci o przodkach! – zapiał Tlaquiach. – Nigdy! Prędzej świat utonie we krwi i zgasną gwiazdy! Zaś biały wódz kłamie!

Konkwistadorzy zamruczeli głucho, ponuro: to już była otwarta obelga, takie rzeczy zmywało się w Kastylii krwią.

Cortés aż położył rękę na mieczu, ale powściągnął gniew i drżącym z wściekłości głosem zapytał:

– Tlaquiach myśli, że nie wiemy o stojących pod miastem Mexikach? Że nie widzimy, jakie krwawe pożegnanie chce nam zgotować Cholula? Tylko za to powinna spotkać was kara!

– Cortésowi wydaje się, że coś wie, ale nie wie nic! – uniósł się gniewem dostojnik. – Cortés nie mówi własnym językiem, tylko musi wysługiwać się kobietą...!

Caudillo pokręcił głową, parsknął i machnął ręką:

– Nawet ona ma między nogami więcej niż ty!



– Ależ mu konkretnie dopierdolił! – wydarł się Portocarrero. – Haaa! Tak trzymaj, panie! Kurwa, idź w nich!

I z rozmachu klepnął stojącego przed nimi Rodriga w plecy.



Stojący obok czcigodnego, świątłego Tlaquiacha i do tej pory trzymający miecz na ramieniu Huitztecól nie znał języka białych przybyszów.

Znał jednak ludzi i potrafił rozpoznać, kiedy ktoś nie szanuje dostojników Choluli.

Poza tym nie podobała mu się kobieta stojąca obok białego wodza.

Przypominała mu kogoś, kogo mógł kiedyś widzieć, i w dodatku patrzyła na niego uporczywie.

Niektóre słowa wręcz zdawała się kierować wprost do niego jak osobisty przytyk.

Dlatego też przy jej kolejnym zdaniu wyrzucił przed siebie wolną rękę, rozczapierzając szeroko rozstawione palce, aby symbolicznym gestem odbicia lecących nieczystych słów obrócić je przeciwko złoźcejącej.



– Idź w nich!

Popchnięty arkebuzer zachwiał się, zrobił niezgrabny krok w przód i obrócił się ze złością.

– Mówiłem, żeby mnie nie... – zaczął.

W tym momencie obluźowany mechanizm zamka skrzyknął cichutko, lontownica opadła pod własnym ciężarem i dotknęła żarzącą się końcówką sznura do panewki.

Sypnął iskrami zapalający się proch.

Płomień przeskoczył po metalu i zanurkował do wnętrza lufy.

Syknęło, z otworu lontowego buchnęła chmura dymu, a potem rusznica pełnęła siwym obłokiem i bluznęła jęzorem ognia prosto w twarz stojącego naprzeciwko Rodriga wojownika z mieczem.

Kula śmignęła przez powietrze, ledwie drasnęła tamtego po linii włosów na czubku głowy i rozniosła w kolorowe strzępy misterną konstrukcję odświeżonego pióropusza.

Cholultek wrzasnął.

Poderwał w górę rękę ściskającą obsydianowy miecz. Machnął nim chaotycznie, jakby oganiając się od roju niewidzialnych szerszeni.

Cortés krzyknął głośno, odruchowo zasłaniając się ramieniem.

Diego de Coria wyszarpnął szpadę z pochwy, skoczył naprzód i z rozmachem przebił pierś wojownika na wylot.

A stojący zaraz obok pana Portocarrera, niedosłyszający na prawe ucho ogniomistrz Francisco de Mesa wydarł się na całe gardło, podłapując zasłyszany okrzyk:

– Bić w nich!!!



Okrzyk padł niczym iskra na proch – dosłownie.

Jeszcze jeden i zaraz po nim drugi arkebus zadudniły basem.

Kule przeorały stojący przed Kastylijczykami tłum, wyszarpując płaty mięsa, gruchocząc kości i rwąc pospołu tkaniny, drewno, garbowaną skórę i ciało.

Tlaquiach wrzasnął z przerażenia, chwycił wypuszczony przez zabitego wojownika miecz i podniósł go oburącz nad głowę, chcąc uderzyć wiarołomnego, zdradzieckiego białego – jednak nie zdążył, bo siekiera Zahreda zatoczyła krótki łuk i wbiła mu się poprzecznie w nasadę nosa, niemalże odrąbując sklepienie czaszki od reszty głowy.

Czarny Kapitan wyrwał żeleźce, drugą ręką wyciągnął z pochwy pałasz i krzyknął:

– Do mnie, chronić caudilla...!

Jakiś Indianin skoczył ku szeregom Kastylijczyków, wyciągając przed sobą kamienny sztylet – ale padł pod ciosami od razu trzech mieczy i przebity na wylot włócznią.

Juan Velázquez de León ryknął dziko i rzucił się w tłum, siekąc na lewo i prawo papierem.

– Zdrada! Zabić Indian...! Zabić wszystkich! – poniosło się wołanie po szeregach.

Cholultekowie zaczęli krzyczeć, pierzchać we wszystkie strony.

Jedni padali na ziemię i wyciągali ręce, błagając o litość.

Inni uciekali na oślep, wpadali na siebie nawzajem i na konkwistadorów.

Drapali, gryźli, szlochali i miotali się, nie czując, że umierają.

Jeszcze kolejni, zakrywając głowy rękoma, rzucili się ku bramie, aby ująć z pogromu.

– Zamknąć wrota! – krzyknęła Malintzin.

Któryś z ludzi doskoczył i napał na wierzeje, ale było już za późno.

Wrzeszczący mężczyzna przemknął koło niego, wypadł pomiędzy zebrany po drugiej stronie muru tłum, potknął się i upadł z oszczepem w plecach, charcząc krwią.

Ludzie krzyknęli przerażeni, po czym zaczęli uciekać.

Tymczasem na dziedzińcu przed świątynią Quetzalcoatl trwała rzeź.

Nieuzbrojeni, ubrani w odświętne szaty Cholultekowie miotali się to tu, to tam po zamkniętej przestrzeni, daremnie próbując umknąć oprawcom.

Ci zabiegali im drogę, naganiali ich sobie wzajemnie pod miecze i na ostrza pik albo cięli z początku po nogach, aby okaleczeni wrogowie musieli

klęczeń, umierając.

Część ludzi zaczęła wspinać się po schodach na szczyt ogromnej świątyni.

Od razu ruszyli za nimi prześladowcy, ale obciążeni pancierzami i bronią, zaczęli zostawać z tyłu.

– Wycz-ha! – Francisco de Lugo krzyknął na swą ogromną sukę, spuszczając ją ze smyczy.

Bury kształt pomknął ku uciekającym, wpadł na schody, wleciał po nich na górę i dopadł ostatniego z nieszczęśników. Ten wrzasnął dojmująco i potoczył się w dół, próbując zerwać z siebie krwiożerczego stwora.

– Kefren, bierz go! – zawołał też Zahred do swego szczeniaka.

Ten, nieprzywykły jeszcze do walki i zamieszania, zawahał się chwilę... Ale tylko chwilę, bo potem wrodzone instynkty, wpajana pokoleniami agresja i zwykły strach przeważyły: pies rzucił się na najbliższego przeciwnika swego pana, wczepił się zębami w kostkę i szarpnął łbem, orząc w ciele krwawe bruzdy.

Indianin krzyknął i zachwiał się, a Zahred ciął go pałaszem przez piersi.

Niedawno jeszcze piękny, kolorowy orszak dostojników z Choluli wkrótce był już tylko wspomnieniem. Ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, ścigani przez uzbrojonych, żądnych krwi, wściekłych z powodu przebytych trudów i znoju, doprowadzonych na skraj szaleństwa konkwistadorów.

Pośrodku placu zostały tylko leżące bezładnie w kałużach krwi, posiekane, porwane kulami zwłoki. Zaś pośród nich stojący w tej samej pozycji, zastygły w pół obrotu niczym słup soli Rodrigo, patrzący wielkimi oczami w pustkę i wciąż ściskający w ramionach dymiącą rusznicę.

– ...szarpać – szeptem dokończył arkebuzer.

Jeden z jego towarzyszy skończył już ładować, wycelował i dał ognia. Huknęło, kula odłupała kawał kamiennego stopnia obok pnącego się ku świątyni człowieka.

Inny przymierzył, strzelił – Indianin machnął rękami, upadł na twarz i spełzył w dół po schodkach, zostawiając za sobą rozmazany czerwony ślad.

Konkwistadorzy byli już niedaleko szczytu piramidy, na którym biegali bezładnie na wpół oszalali z przerażenia, niemający dokąd uciekać ludzie.

Pierwszy wdrapał się na górę, ciężko dysząc, wsparł się dłońmi o kolana, próbując złapać oddech... Jakby z oporem wyciągnął rapier i od niechcenia chlasnął przebiegającego akurat obok kapłana, potem podał rękę włączemu na ostatnie schodki towarzyszowi. Pokazał ruchem ręki: ty w lewo, ja w prawo!

Zahred spojrział na szczyt świątyni, na otaczające ich miasto. Cokolwiek działo się za murem, miało szansę za tym murem pozostać, niewidoczne dla oczu mieszkańców. Natomiast leżące na schodach piramidy ciała i uganiający się po jej szczycie rzeźnicy...

Skrzywił się, widząc, jak jeden z kapłanów ogląda się na już idącego za nim Kastylijczyka, a potem rzuca głową naprzód za krawędź kamiennej platformy.



Nie było szans, aby coś takiego miało ujść niezauważone.

– Musimy przebić się z powrotem do koszar! – zawołał do Cortésa.

Caudillo odwrócił się do niego, otarł z twarzy krew wierzchem dłoni. Stojąca obok niego Malintzin ścisnęła w rękach krótką włócznię, a wokół nich już gromadzili się żołnierze.

– Przebić...? – nie rozumiał Hernán.

– To miasto zaraz ruszy całe przeciwko nam! Szybko, zbierać się! Zbiórkaa...!

– Zbiórka! – podłapali ludzie, zaczęli wołać na towarzyszy. – Wracajcie, ej! Tutaj, do nas! Zbiórka!

Tamci ściągaliby niechętnie, powoli. Niektórzy zatrzymywali się, żeby dobijać próbujących czołgać się rannych. Inni zdzierali z zabitych i rannych kosztowności i ozdoby. Któryś zaciekle rąbał mieczem ciało jednego z kapłanów, po czym schylił się i podniósł za włosy oddzieloną od korpusu głowę.

– Szyk! – ryknął na nich Zahred. – Do mnie, ustawiać się... Ustawiać się, mówię!

Jeden z przechodzących obok Kastyljczyków stanął przed nim, upojony rzezią i otumaniony krwią. Popatrzył na Zahreda kpiąco i roześmiał mu się prosto w twarz.

Lico Zahreda nawet nie drgnęło.

Siekiera zafurkotała i z łomotem wbiła się w hełm, grzęznąąc w nim aż po sam obuch.

Tamten umilkł gwałtownie, czknął, po twarzy pociekła mu od góry szeroka struga krwi przemieszanej z szarym mózgiem. Osiadł na ziemi i przewrócił się w przód, twarzą dotykając kolan, jak marionetka z podciętymi sznurkami.

Zahred wyciągnął siekiere, otarł krew z ostrza o rękaw trupa.

– Szyk! – powtórzył.

Podziałało, bo pozostali jakby dopiero wtedy wybudzili się z dziwnego snu.

Pojedynczo i grupkami zaczęli ściągać ku sztandarowi, ustawiać się najpierw w bezładną gromadę, potem bardziej już regularną formację.

– Dogoniam nas – warknął, patrząc na zbiegających z piramidy. – A jeśli nie, to do diabła z nimi... Naaa-przód! Marsz!

Ruszyli w kierunku bramy, omijając i depcząc leżące na ziemi ciała. Pierwsi wyjrżeli za bramę i cofnęli się szybko.

– Kapitanie, idą!

– Szybciej w takim razie! – ponaglił ich Cortés. – Ustawiać się szóstkami, żywo!

– Idą...!

Zahred wyskoczył na zewnątrz i od razu zwrócił się w przeciwnym kierunku niż żołnierze. Faktycznie, Cholultekowie zbliżali się już ku nim ze wszystkich stron.

Zafurkotały proce, poleciały pierwsze kamienie. Kilkanaście stuknęło o mur i płyty ulicy, jeden brzęknął o rondo hełmu.

– Pancerni, na zewnętrzne boki! Na drugą linię piki, halabardy i długa broń... Arkebuzy, kusze, lżejsi i ranni w środek! – krzyknął, ustawiając ludzi i przesuwając na miejsca. – Nie tu, Ortiz, do tyłu! Salvador, gdzie się pchacie z tym drągiem?! Hernán, do środka!

– Mam pancierz! – krzyknął Cortés.

– Do środka! Martwy dowódca nie na wiele nam się przyda...! I teraz trzymać się razem, nie gubić! Jeśli musicie, łapcie się pasów ludzi przed wami, żeby nie rozbić szyku... Uwaga... *Ad latus stringite et dirigite frontem! Signo sequute, paratote... et pergite! Dico, pergite!*

Ludzie spojrzeli na Zahreda, zdumieni.

Cortés pokręcił głową:

– Doceniam klasyczną edukację, ale łacina to zbyt wysoko! To nie legion rzymski!

– *Stercus accidit...* Tfu! Zewrzeć szyk i równać do frontu! Trzymać się chorążego! Równym krokiem, naprzód!

Ruszyli krok za krokiem i rozglądając się na wszystkie strony.

Kamienie leciały coraz gęściej, wśród nich zaczęły pojawiać się też strzały – te na razie śmigwały bokiem, ale było kwestią czasu, kiedy któraś trafi kogoś w nogę albo ramię.

Kilkunastu Indian doskoczyło już prawie do nich, próbując uderzyć na szyk od tyłu. Wyciągnięte ponad głowami ludzi piki na razie trzymały ich na dystans, jeden już cofnął się, trzymając za rozharatane ramię.

Było jednak kwestią czasu, nim tłum zagaęści się na tyle, że napierający z tyłu po prostu wepchną pierwszych na ostrza Kastylizyków.

Ktoś wyskoczył z bocznej uliczki, rzucił się z dzikim wrzaskiem na ich prawą flankę. Zakotłowało się, któryś z ludzi wrzasnął wściekle – Zahred widział tylko, że napastnik zniknął pod ostrzami, padając pod nogi zbrojnych.

Jednak jakby ośmieleni tym przykładem, czterej czający się do tej pory od frontu też skoczyli z dzikim skowytym, wyciągając przed sobą długie włócznie o kamiennych ostrzach.

– Musimy iść szybciej! Trzymać się razem, nie rozdzielać... Nie rozdzielać się, mówię!

Jednak pan Cristóbal de Olid już wyskoczył przed towarzyszy, błyskając mieczem, rzucił się na wrogów.

Pierwszy padł z rozharataną nogą, nim nawet zdążył się zamachnąć. Cięcie drugiego ześliznęło się niegroźnie po głównej z toledańskiej stali, która tylko zaśpiewała dźwięcznie, a potem posłuszna ruchowi nadgarstka właściciela przesunęła się i zatoczyła łuk, otwierając tamtemu gardło.

Trzeci uderzył pana de Olida maczugą, ale ten tylko nadstawił głowę i zaśmiał się dziko, kiedy uderzenie niegroźnie brzęknęło o hełm. Złapał rękę przeciwnika w nadgarstku, zamachnął się...

Nie zdążył, bo pałasz Zahreda niemalże zerwał Cholultekowi głowę z ramion.

– Nie rozdzielać się, mówię! – powtórzył Czarny Kapitan, ciągnąc go w tył.

– Ten był mój!

– Bierzcie go sobie, panie! I tego, i każdego innego wam oddam, ale trzymajcie się, do cholery, w szyku!

Jeszcze dwie strzały przeleciały obok nich, niebezpiecznie blisko ludzi.

Jeden z kuszników wyskoczył z szeregu, przyklęknął, wycelował i nacisnął spust. Sucho stuknął obracający się orzech, trzasnęła cięciwa – belt trafił łucznika w podbrzusze, Indianin zwinął się i upadł na ziemię.

– Uwaga, na dachu! – rozległ się ostrzegawczy krzyk.

Zahred sam skoczył w bok i odepchnął caudilla, kiedy z dachu posypały się na ich głowy kamienie.

Jeden z arkebuzerów od razu odpowiedział ogniem – kula wyrwała fragment gzymsu wraz z prawym biodrem widocznego jako rozmazany cień człowieka, huk odbił się echem od wąskich ścian.

– Wstawać! – zawołał Zahred, pomagając podnieść się na nogi de Corii, trzymającemu się za rozbitą głowę. – Wstawać, mamy chwilę wolnego... Za mną!

Pobiegli przez chwilowo pustą ulicę, ciągnąc za sobą kontuzjowanych i rannych.

Indianie pochowali się, wystraszeni odgłosem strzału, ale widać było, że lada chwila mieli wrócić ze zdwojonymi siłami.

Miasto wokół nich wyło i huczało dzikimi nawoływaniami, rozbrzmiewało wysokim zawodzeniem piszczałek. Głosy tłumu przewalały się ponad dachami domów, odbijały zniekształconym echem i nakładały na siebie.

Od czasu do czasu nie wiadomo skąd leciały w ich stronę kamienie, co rusz ktoś przebiegał przez ulicę albo wyskakiwał na nich z krzykiem, chowając się równie szybko, jak się pojawił.

– Tam, byle do otwartego placu!

Dobiegli do częściowo zagradzającej ulicę barykady, przycisnęli się wąskim przejściem przy ścianie domu i wypadli na otwartą przestrzeń, uciekając spomiędzy sypiących się coraz gęściej na głowy kamieni.

Zahred rozejrzał się.

Wszędzie widać było uzbrojonych Cholulteków.

Na dachach kręcili się ludzie, pokazujący w ich kierunku rękami i zapewne kierujący pozostałych, nadciągających z głębi i spoza miasta.

Tłum gęstniał, powoli zamieniał się w sunącą ich śladem ścianę ludzi.

Ponad wszystkim tym górowała piramida, na której stopniach leżały spływające krwią ciała.

Świątynia na szczycie została albo celowo podpalona, albo ktoś przewrócił misę z żarem – dość, że płonęła, zasnuwając niebo kłębamii gęstego dymu.

Ulica, którą przeszli wcześniej od koszar, była teraz w całości zagrodzona zrzuconymi na stertę balami, najeżona zaciosanymi ostro gałęziami. Za barykadą widać było Indian, kilku tylko czekało na dachach domów, żeby zacząć ciskać kamienie.

– Musimy nadłożyć drogi...! – Cortés wypowiedział tę myśl na sekundę przed Zahredem.

– Tędy!

Popędzili w kierunku wąskiego zaułka, którym być może dałoby się ominąć zablokowaną drogę.

Ktoś wypadł na nich z wrzaskiem, chciał dźgnąć włócznią – Zahred odbił drzewce mieczem na bok, ciął tamtego siekierą w bark.

– Panie! – zawołał biegnący na końcu Pedrero. – Tam na dachu...!

Skoczył ku Cortésowi, który zdążył obejrzeć się przez ramię – wpadł na niego, wrzasnął z bólu i osunął się na ziemię ze strzałą tkwiącą w plecach.

Caudillo złapał go pod rękę, zbladł.

– Pedrero! – krzyknął.

Tamten chciał coś powiedzieć, ale rozkasłał się tylko krwią, pokazał: biegnijcie dalej.

– Nie ma czasu, panie! – De Coria złapał caudilla za ramię, pociągnął w tył.

Kiedy oni wpadali w wąski zaułek, Pedrero dał radę przekręcić się na bok i podnieść na kolana.

Potem wsparł się na mieczu i wstał chwiejnie.

Zatoczył się, ale utrzymał na nogach.

Odkaslnął, splunął gęstą krwią i wyciągnął klingę ku już otaczającym go Indianom w geście wyzwania: no chodźcie...!



Biegli przez wąskie uliczki, wpadając na ceglane ściany na zakrętach i potykając się o leżące wszędzie śmieci.

Zahred prowadził, usiłując utrzymać kierunek i orientować się na migające ponad dachami szczyty świątyń, natomiast stojące bezładnie domy tworzyły istny labirynt.

– W tył! – zawołał, widząc, że droga jest zablokowana. – Z powrotem i w prawo...

Kiedy biegnąc teraz na końcu oddziału, dotarł do zakrętu, uświadomił sobie, że coś poszło nie tak: ludzie skręcili, owszem, ale nie w jego prawo, tylko w swoje, gdy ostatni z oddziału jeszcze przesuwali się w tę stronę.

Zaklął pod nosem, krzyknął:

– Stać, stać!

Zanim dał radę dotrzeć na sam przód wijącego się w uliczkach niczym wąż oddziału, zorientował się, że ludzie zdążyli już samowolnie parę razy wybrać kierunek... Jednak teraz nie było wyboru, na cofanie się było za późno i trzeba było prowadzić ich tak, jak są.

– Zgubiliśmy się? – zapytał go caudillo.

Zahred bez słowa tylko potrząsnął głową.

Musieli oddalić się kawałek od głównych ulic, bo nawoływania i wycia Indian donosiły się teraz tylko echem, a zaułki były jak wymarłe.

Kilkukrotnie mijali puste podwórka.

Raz odprowadziła ich obojętnym spojrzeniem siedząca na ławeczce pod ścianą staruszka.

W końcu Zahred zatrzymał kawalkadę spoconych, ciężko dyszących ludzi:

– Poczekajcie, wejdę na górę i rozejrzę się...

– Nie rozchodzić się! – zakomenderował Cortés. – Nabijać arkebuzy, naciągnąć kusze! Kto ranny, opatrzeć!

Zahred ostrożnie, powoli wspiął się po wąskich glinianych schodkach wklejonych pomiędzy ściany dwóch domów.

Wyjrzał za krawędź dachu, przykucnął i wsunął się na górę.

Mimo woli uśmiechnął się, widząc rozłożone na dachu maty, stojące tam gliniane kubki i garnek, a nad nimi rozpiętą na drewnianych słupach matę od słońca. To tutaj przychodziła mieszkająca w domku rodzina, aby posiedzieć wieczorami. Zmieniały się czasy, zmieniały się krainy, a tyle rzeczy było podobnych...

Szybko rozejrzał się, próbując zorientować się w topografii miasta.

Tam była płonąca świątynia, spod której ruszyli.

Tutaj te dwie mniejsze.

Zaś tam z kolei najwyższa piramida, na której szczycie stały dwa pałace.

A zatem powinni kierować się tam – tak, tam... Tam, gdzie ulicą już ciągnęli Indianie.

I wtedy zauważył stojącego na dachu trzy domy dalej chłopca.

Dzieciak też go zauważył, zrobił wielkie z przerażenia oczy. Zahred powoli podniósł rękę, położył palec na ustach: ćśśś...

Sam zaczął powoli, krok po kroku cofać się ku schodom, wymacał już nogą pierwszy stopień.

Chłopak nabrał tchu, krzyknął głośno i wyciągnął rękę, pokazując na niego palcem.

Zahred dosłownie zleciał na dół po schodach, niemalże wpadł na ostrożnie wchodzącego za nim psa. Machnął do ludzi, pokazując kierunek:

– Tam! Widzieli nas, szybko!

Pognali na azymut, znowu wciskając się w uliczki i błędząc w połączonych podwórkach. Byli już prawie na większej ulicy, lecz Zahred

wyrzwał i cofnął się gwałtownie:

– W tył! Do tyłu, mówię, widzieli nas...

– Nie zdążymy wszyscy! Do tego domu! – zarządził Cortés, jako pierwszy wskakując w ciemne przejście.

Słoczyli się w stanowczo zbyt ciasnym, zadymionym wnętrzu. Zaczęli już wysuwać się na zamknięty podwórzec, ale stojący przy oknie de León syknął:

– Cicho! Idą w tę stronę... Psów pilnujcie!

To ostatnie było skierowane głównie do pana de Lugo, który przykleknął, aby przytrzymać pysk suki, która mogła zdradzić ich szczeknięciem.

Zahred na migi pokazał, żeby odsunęli się od drzwi i okien. Sam przykucnął obok wejścia, głaszcząc Kefrena uspokajająco.

Rozległy się głosy. Najpierw za wąskim oknem mignął kolorowy pióropusz, potem ulicą przeszedł ściskający kamienną maczugę, wymalowany w barwy wojenne Indianin.

Zahred widział go tylko od tyłu, ale nauczył się rozpoznawać tubylców na tyle, że wiedział: to nie był Cholultek.

Zatem armia wysłana z Tenochtitlán musiała być już pod samym miastem.

Pierwszy Indianin przeszedł ulicą, zaraz za nim pojawił się drugi, z łukiem w gotowości. Kolejnych paru z obsydianowymi mieczami, następnie kilku z dzirydami w drewnianych wyrzutniach. Szli powoli, rozglądając się i nasłuchując... Jeden wręcz węszył w powietrzu.

Zahred wstrzymał oddech, kiedy ostatni z Mexików zrobił krok w ich stronę, zawahał się na progu domostwa.

Na zewnątrz było jasno, świeciło słońce, a wewnątrz domu było ciemne. Oczy nie przyzwyczyli się jeszcze do półmroku, ale...

Ktoś zawołał z ulicy. Indianin cofnął się, odpowiedział okrzykiem i zniknął z pola widzenia.

Odczekali jeszcze długą chwilę, potem Zahred wypuścił powietrze z sykiem: udało się.

– Idziemy dalej – mruknął, wyglądając na uliczkę.

Ruszyli w przeciwną stronę niż oddział Indian.

Przez jakiś czas szli spokojnie, ale potem zaczęli odruchowo przyspieszać kroku, naciskani przez idących na tyłach, bojących się odstawać od oddziału.

Kolejny zakręt, jeszcze jedno podwórko, rozwidlenie.

– Uwaga! – krzyknęła Malintzin, napinając łuk i puszczając strzałę.

Wojownik, który właśnie wyskoczył zza rogu z oszczepem, wypuścił broń i osunął się na ziemię, ale zza niego wypadło już trzech kolejnych, pierwszy zamachnął się szeroko.

Huknął arkebus, chmura dymu spowiła uliczkę. Tamci zniknęli, przerażeni potworną bronią – jednak hałas musiał być słyszany daleko.

Teraz wszyscy wiedzieli, gdzie są.

– Tędy!

Pobiegli, nie próbując kryć się ze swoją obecnością.

W pewnej chwili Zahred zauważył ruch nad nimi, ale już nie zdążył wykrzyknąć ostrzeżenia – ciężka belka poleciała w dół, pomiędzy sunących wąską uliczką ludzi.

Rozległ się wrzask bólu, jednocześnie brzęknęła cięciwa kuszy. Jeden ze stojących na dachu Indian rozrzucił ręce i spadł na ulicę, drugi zniknął za krawędzią.

Żołnierze złapali belkę, odsunęli na bok. Leżący pod nią Martínez wrzeszczał z bólu, jego prawa noga wykrzywiona była pod dziwnym kątem.

– Podnieś go, trzymać pod ręce! – wskazał na rannego caudillo.

– Będzie nas spowalniać...!

– Podnieś go, mówię! Nie zostawiamy swoich!

Martínez załkał z bólu, ale przy pomocy towarzyszy dał radę podnieść się i pokuśtykał, skacząc na jednej nodze i wlokąc drugą za sobą.

Zahred wybiegł kawałek w przód, machnął na nich siekierą:

– Już niedaleko! Tam jest plac i prawie jesteśmy na miejscu!

Wybiegli z uliczki na otwartą przestrzeń, słysząc już za sobą nawoływania i odgłosy gwizdków. Kilkunastu Indian dostrzegło ich, ruszyło, ale szczęknęły kusze: dwaj padli, pozostali cofnęli się.

– Jebani, są też tam! – pokazał Portocarrero.

Z głębi placu szedł ku nim cały oddział wystrojonych w pióra, zbrojnych we włócznie i tarcze wojowników w kolorowych pancerzach.

Zahredowi zdawało się, że rozpoznał prowadzącego ich wojownika w pióropuszu: więc jednak tamci złapali trop i szli za nimi.

– Ładować...! – zaczął Cortés, ale Zahred przerwał mu:

– Nie ma na to czasu! Puścimy salwę, może dwie, a potem nas nakryją! Musimy się przebić tam, bo... – Głos uwiązł mu w gardle, gdy spojrział w uliczkę.

Jeszcze chwilę temu droga była czysta, a teraz z bocznych zaułków dosłownie wylewali się Indianie. Niewielkie strużki łączyły się w strumienie, te z kolei w rzeki, zlewające się następnie w całe morze ludzi, sunące ku nim jednolitą falą.

Tamtych było pełno. Zajmowali całą szerokość uliczki jak okiem sięgnąć... kolejni szli śladem oddziału, następni z boku.

Czasu na decyzję było coraz mniej.

– Musimy się przebić. Panowie, przebijamy się! Na mój rozkaz, uwaga, i... Naprzód, *el sol está con nosotros!*

– *Santiago!* – rozbrzmiał pradawny okrzyk rycerzy Kastylji.

Wpadli w prących ulicą Indian z całą furią, tnąc, rąbiąc i kłując niemalże na oślep.

Klingi cięży skórę, ostrza wgryzały się w miękkie zbroje i ubrania Cholulteków, rozłupywały lekkie tarcze.

Huknęły jedne po drugim arkebuzy, spowijając dzikich chmurą dymu i zostawiając krwawe bruzdy w tłumie.

Zaraz za nimi brzęknęły kusze, kładąc pierwszy szereg pokotem.

Tylko że na miejsce każdego zabitego stawał zaraz następny, a potem jeszcze jeden.





Dzikię, upiorne wycia i okrzyki, migające przed oczami pióra i pyski zwierząt... Któryś dostał się na dach, skoczył stamtąd pomiędzy konkwistadorów – nadział się prosto na nadstawioną pikę, która wygięła się i trzasnęła pod jego ciężarem.

– Trzymać szyk! Pilnować sztandaru...! Nie oddzielać się, razeeem!

Jednak przeciwników było zbyt wielu.

Ręce słabły od wysiłku. Rękojeści mieczy ślizgały w mokrych od krwi dłoniach. Pot zalewał twarze i gryzł w oczy.

– Ujrzyj... ujrzyjcie mnie! – krzyknął Zahred, widząc, jak ludzka fala nabiera wysokości i mocy, żeby za chwilę zalać ich i pochłonąć w całości.

I w tym momencie zza atakujących ich rozległo się dzikie, mrożące krew w żyłach wycie.

Ściana ludzi na chwilę nacisnęła ich mocniej, prawie przygniotła samą swoją masą – a potem rozpięzchła się na boki, nagle tracąc spójność.

– Nasi! – wydarł się radośnie de Monroy. – To nasi...!

Sprzymierzeni z Kastylijczykami wojownicy wpadli na tyły Cholulteków niczym stado dzikich jaguarów pomiędzy zamknięte w zagrodzie psy.

Przystrojeni w kolorowe pióra Tlaxcaltekwie cięli, rąbali i bili swoich odwiecznych, znienawidzonych wrogów niczym wcielone huragany śmierci i zniszczenia.

Ci uciekali na boki, skowycząc z bólu i zakrywając głowy. Inni odczołgivali się, ale wtedy któryś z tlaxcalteckich rycerzy dopadał do nich i jednym ciosem kamiennego miecza kończył żalostny żywot: tchórze nie zasługują ani na litość, ani na miłą bogom śmierć...!

– Xahuatl! – krzyknął zbryzgany krwią Xicotencatl. – Tlaxcala przybywa, aby pokazać, że jest wierna królowi Cortésa!

– Życie nam Xicotencatl ratuje! – Zahred złapał go w ramiona, uściskał. – Co w koszarach?!

– Zdradziecka Cholula uderzyła na nas! Usłyszeliśmy grzmot stalowego kija, a potem zapłonęła świątynia Quetzalcoatl. Już wtedy Xicotencatl powiedział wojownikom Tlaxcali: ubierajcie się i chwytajcie za broń! Teraz nadejdzie pora, aby nasi wrogowie zakosztowali własnej krwi!

– Musimy przebić się dalej! – krzyknął Cortés. – Wy osłaniajcie tył...!

Zahred popatrzył na czystą drogę ku koszarom, potem na zbierający się na placu tłum Cholulteków.

– Idźcie. – Machnął caudillowi.

– Ale ty...

Tlaxcaltekwie zawyli dziko, formując jednolity szyk i uderzając mieczami o tarcze. Xicotencatl zaśmiał się obłąkańczo i przepchnął pomiędzy nimi, aby być jak najbliżej walki.

– Ja zostanę tutaj z naszymi sprzymierzeńcami. Ktoś musi nimi dowodzić.

Cortés skinął, dał znak ludziom: ruszamy!

– Panie... – niepewnie zaczął de Monroy, podchodząc wraz z kilkoma żołnierzami z chorągwi Zahreda.

– Idźcie, no idźcie. Zbierzcie resztę kompanii, niech przyszykują się do walki. Rannych do lazaretu, niech się nimi pan Santalaria zajmie – rzucił Zahred, nawet nie patrząc na niego.

– Panie, ale... Ale my chcemy z wami.

Dopiero wtedy Zahred spojrzął na de Monroya. Dwoma palcami ściągnął krew z ostrza siekiery i maznął sobie skośnie po twarzy, zostawiając czerwony ślad.

– To chodźcie – powiedział gardłowym głosem, ruszając śladem już zmierzających ku placowi Tlaxcalteków.

De Monroy obrócił się ku idącym w kierunku koszar Kastylijczykom.

Potem znów popatrzył na półdzikich Indian i Zahreda.

Na resztę tych z kompanii, którzy dali radę pójść tam, pod świątynię, i prawie wrócić do bezpieczeństwa kwater.

– Niech to szlag... – zaklął. Przejechał palcem po zakrwawionej kłindze, maznął po policzkach. – Panie, zaczekajcie na nas!

Zahred nawet nie słyszał tych słów.

Przed sobą miał nagie plecy i pomazane farbą ramiona, głowy z na szybko splatanymi warkoczami i byle jak doczepionymi piórami.

Drewniane i skórzane tarcze ozdobione kołyszącymi się frędzlami.

Obwiązane paskami kolorowej tkaniny przedramiona.

Włócznie, oszczepy, maczugi.

Kamienne topory i miecze.

Ściągnął z głowy, odrzucił hełm. Szarpnięciem rozpiął sprzączki pancerza i pozwolił, żeby krępująca ruchy żelazna skorupa z brzęknięciem opadła na ziemię.

Rozchlestał pod szyją koszulę, zaczął się z nią szamotać. Wbił pałasz w ziemię, wsunął za pas siekiere. Obiema rękami zerwał z grzbietu i cisnął w bok przepoconą szmatę.

Podrapał za uszami łaszącego się psa, po czym wyprostował się.

Głęboko zaczerpnął w płuca świeżego powietrza, niosącego ze sobą zapach krwi i dymu.

Ujął w dłoń stylisko siekiery, drugą ręką wziął pałasz i spojrzął ku wznoszącym się nad miastem świątyniom.

– Obyście patrzyli uważnie! – warknął.

Nierówna, pofalowana linia Cholulteków to cofała się, to znów podsuwała w przód. Pośrodku niej, niczym kamień obwiązany szarpiącą się w podmuchach wiatru wstęgą, tkwił powoli, krok za krokiem idący naprzód zastęp mexickich wojowników.

– Zabić ich! – zawył Xicotencatl. – Zabić wszystkich...! Śmierć Mexikom!

– Śmierć Mexikom! – podchwycili wojownicy z Tlaxcali.

– Z nami słońce! – ryknął Zahred i jako pierwszy skoczył naprzód, ku szeregowi wrogów.

Przed oczami mignęły mu helmy w kształcie rozwartych paszcz dzikich zwierząt, błyskające wśród ciemnych pasów farby oczy i usta, rozwarte w okrzyku bojowym.

Włócznia nakreśliła mu ognistą pręgę na ramieniu.

Rant tarczy uderzył w bok.

Maczuga dosłownie musnęła ucho.

A potem świat zanurzył się w kakofonii huku, łomotu i wrzasków.

Pchnął pałaszem wojownika po lewej, zasłonił się przed ciosem miecza i przepuścił drugi tak blisko twarzy, że aż poczuł podmuch na policzku. Uderzył siekierą od dołu, szarpnął ku sobie i od razu obrócił się, aby w ostatniej chwili zablokować już sunący ku jego piersi grot włóczni.

Ktoś złapał go za włosy i szarpnął w tył, ale on wykręcił się, wbił sztynch w stopę i zanurkował pomiędzy walczących, robiąc miejsce dla już wbiegających mu na plecy Tlaxcalteków.

Uderzenie, cięcie, zwód i szybki ruch nadgarstkiem, mocne pchnięcie – ostrze pałasa na dobre dwa cale schowało się w gardło wroga, który otworzył szeroko zdumione oczy. Zahred wyszarpnął klingę, tamten bluznął krwią.

Głuche stuknięcie w tył głowy, jaskrawy błysk przed oczami – świat nagle spowija zasłona szumu.

Wypuścił z dłoni siekierę, która poleciała pod nogi walczących.

Zamachnął się szeroko trzymanym w lewej ręce pałaszem, tnąc niemalże na oślep.

Rzeczywistość oddaliła się na kilka sekund, odsunęła od niego jak niechętna kochanka.

Migające przed oczami groteskowe twarze, pierzaste kształty i skóry drapieżników zlały się w jeden oniryczny korowód.

Ciało walczyło nadal, przyuczone setkami, tysiącami podobnych bitew, lecz umysł był gdzie indziej, unosząc się nad głowami walczących niczym bezcielesny ptak.

Cholula falowała i przelewała się sunącym po ulicach tłumem.

Jedni biegli, uciekali na oślep, przyciskając do piersi małe dzieci i taszcząc w tobołkach skromny dobytek.

Inni z kolei potrząsali włóczniami i siekierkami, zwoływali się w grupki i bezładne oddziały, ciągnąc ku placom.

„Śmierć białym najeźdźcom!”, „Pokarać zdrajców!”, dudniły echem okrzyki.

Nerwowość i podejrzliwość, zbierające się od kilku dni niczym ropa w nie dość dobrze wyczyszczonej ranie powstałej po niespodziewanym pojawieniu się Europejczyków w tkance tego świata, nabrzmiały wreszcie i teraz wylały się na zewnątrz cuchnącą strugą nienawiści.

Jednak od strony zajmowanego przez ekspedycję Pałacu Kolibra też ciągnęły już oddziały pod flagami poszczególnych regimentów i kolorowymi

sztandarami wojsk Totonaków, Tlaxcalteków i prostymi geometrycznymi znakami Otomi.

Dwie fale biegnące w przeciwnych kierunkach – mieszkańców Choluli i przybyszów – sunęły uliczkami, przystawały i rozlewały się szerzej na placach, czasami przystawały i cofały się, szukając nawzajem.

Kiedy zaś wreszcie spostrzegąły się, szepiały gwałtownie i potem odskakiwały od siebie, zostawiając na czerwonej od krwi ziemi ciała niczym muszle wyrzucone na brzeg Nowego Świata przez sztorm historii.

Zaś nad wszystkim tym górowała płonąca coraz mocniej świątynia Pierzastego Węża.

Szybujący ponad miastem bezcielesny orzeł ducha krzyknął głośno, zawrócił i złożył skrzydła, pikując wprost pomiędzy walczących, ku postaci o plecach i ramionach ozdobionych wkłutą pod skórę farbą.

Zahred drgnął, odskoczył w bok i przetoczył się, podchwycił z ziemi upuszczoną wcześniej siekiere.

Kolejny wojownik rzucił się na niego, wrzeszcząc dziko.

Najeżony obsydianowymi zębami miecz błysnął w słońcu, zatoczył łuk, spadając z góry.

Klinga pałusza brzęknęła, przyjmując na siebie siłę uderzenia, strzeliły i poleciały na wszystkie strony odłamki ostrego niczym tłuczone szkło czarnego kamienia.

Wojownik docisnął broń drugą ręką, próbując zepchnąć ostrze ku twarzy Zahreda, który zasłonił się też drzewcem siekiery, ze wszystkich sił próbując odepchnąć napastnika.

Walczył z tysiącami ludzi.

Zabijał legiony.

A mimo to ten człowiek, wcale nie górujący nad nim wzrostem ani masą, zdawał się zdolny chwycić go i złamać wpół jak suchą trzcinę!

Odpuścił nieco, pozwalając kamiennym zębom niemalże musnąć swój łuk brwiowy.

Więcej niż „niemalże” – skóra od razu zapiekła, rozcięta prawie do kości, po twarzy poląła się struga krwi. Jednak to wystarczyło, bo przeciwnik na ułamek sekundy stracił równowagę, bujnął się w przód. Dokładnie tyle potrzeba było, aby Zahred przetoczył się w tył, podkładając pod brzuch tamtego zgiętą w kolanie nogę, i przerzucił go nad sobą.

Poderwał się z ziemi, ale tamten był szybszy – rzucił się już ku niemu z wyciągniętymi rękoma, złapał za gardło.

Wyszczierzona, okolona piórami twarz zawisła nad nim, przysłaniając cały świat...

...i wtedy na Indianina wpadł z boku całym rozpędem Kefren, wczepił się tamtemu w ramię zębami, szarpnął i wyorał pazurami czerwone bruzdy w gołej skórze.

Napastnik wrzasnął i poleciał na bok, próbując zerwać z siebie zachłystującą się głuchym, gardłowym warkotem wściekłą bestię, kłapiącą na

oślepi i zdającą się nie jednym, ale co najmniej półtuzinem wściekłych psów.

Mexik sięgnął po omacku do pasa, wyszarpnął z drewnianej pochewki kamienny nóż.

Wyprzeżył się konwulsyjnie, kiedy ostrze pałasza weszło mu pod żebra i sięgnęło serca.

Zahred podniósł się chwiejnie, czując, jak szumi mu w głowie. Krew zalewała twarz i szczypała w oczy. Co najmniej tuzin płytszych i głębszych ran paliło ogniem na całym ciele. Serce waliło dziko.

Ponad głowami walczących snuł się dym.

– Ujrzyjcie mnieeee! – ryknął, rozkładając szeroko ręce.

Tlaxcaltekwowie atakowali jak demony z najgłębszych otchłani. Wojownicy wyskakiwali w górę, uderzając wrogów potężnym zamachem znad głowy, roztrzaskiwali tarcze, cięli ciało i gruchotali kości. Oddział Mexików, jakkolwiek trzymał się dzielnie, topniał w oczach.

Przez chwilę wydawało się, że walka jest jeszcze wyrównana...

...a potem stuknęły spusty, brzęknęły cięciwy i zaszeleściły tnące powietrze skórzane brzechwy.

Pół tuzina wojowników padło naraz, dosłownie skoszonych niczym dojrzały łan.

– Piki naprzód! – ponad huk i zgiełk starcia wybił się głos Pedra de Guzmána, jednego z kapitanów kuszników. – Drugi rząd pik, dołączyć! A tymczasem naciągaj, ładuj...! Piki, zsunąć się, kusze na przód! Cel... Puść!

Mexikowie rzucili się w kierunku ostrzeliwujących ich z flanki, ale ten atak nie miał już poprzedniego impetu.

Kolejne bełty poleciały w ciżbę, a potem biegnący na czele natarcia dosłownie wpadli w gęstwinę nadstawionych pik, za którymi czekały już wzniesione ostrza mieczy.

Jakiś Cholultek wyłamał się z szyku jako pierwszy i pobiegł w tył, za nimi kolejni. Niepokój, strach, a potem panika udzieliły się wszystkim; po chwili niedawno jeszcze spójna linia ataku była nieledwie wspomnieniem, zaś niedobitki kryły się po ulicach.

Zahred zachwiał się i ukłękął na jedno kolano, opierając się o siekiere.

Kefren doskoczył do pana, wspiał się na tylne łapy i zaczął długim, szorstkim jęzorem zlizywać mu z twarzy przemieszaną z potem krew.

Dyszący ciężko i również broczący krwią de Monroy stanął nad kapitanem z bronią w rękę, rozglądając się wokół i gotów w każdej chwili bronić go przed jakimkolwiek zagrożeniem.

Jeden po drugim podciągnęli też ku Zahredowi inni.

Juanito, do którego halabardy przyklepił się strzęp włosów ze skóry.

Valverde z wyszczerbioną, przerąbaną na trzy palce w głąb tarczą.

Gutiérrez z odcięтым kawałkiem ucha.

No i w końcu Rodrigo, wsypujący do arkebuza ostatek prochu.

– Żyjecie! – zawołał de Guzmán, którego kusznicy przemieszczali się teraz bardziej na środek placu, żeby mieć czyste pole ostrzału na wszystkie

strony.

Zahred podniósł się ciężko, skinął mu głową.

– Nie tak łatwo nas zabić. Caudillo dotarł do koszar?

– Tak, ale tam też się dzieje tak, że... Lewa flanka, uwaga! W lewo zwrot, celuj...! – krzyknął kapitan, widząc, że z uliczki już wysuwają się kolejni Indianie. – Puść!

Bełty pomknęły ku potencjalnym napastnikom, ale ci już skoczyli do tyłu.

Większość salwy przeniosła albo poszła w ściany, wbijając się głęboko w suszoną na słońcu cegłę. Padło raptem kilku Cholulteków, ale dwaj z nich zaraz zerwali się, pokuśtykali ku ukryciu domostw.

– Nie marnujcie pocisków, panie de Guzmán – poradził Zahred. – I raczej nie wypuszczajcie się nazbyt daleko w miasto.

– Co nam mogą zrobić? Przecież nawet nie podejdą, dzikusy! – zaśmiał się kusznik.

– Dopóki ich widzicie, nie. Zaraz zacnie się zmierzchać, a tutaj ciemność zapada szybko. Poza tym...

Urwał, kiedy nad dachami pojawiło się kilkanaście oszczepów, które zakreśliły łuk i zaczęły pikować ku rozstawionym na otwartej przestrzeni ludziom.

Rozległy się ostrzegawcze krzyki, ale jeden Kastylijczyk i tak poleciał na ziemię, wrzeszcząc z bólu i ściskając przebite na wylot ramię.

De Guzmán zaklął szpetnie, obejrzał się ku uliczce, potem w kierunku Indian prowadzonych przez Xicotencatla, którzy już znikali w przejściach dalszej części placu.

– Ale oni...! – Pokazał ręką.

– Oni są tutejsi, dobry panie. Wiedzą, co i jak robić, mają łatwiej. Zbierzcie ludzi, cofnijcie się do koszar... De Monroy!

– Tak, kapitanie? – Szlachcic na chwilę oderwał się od zdzierania złotych ozdób z ciał poległych.

– Przejmujecie komendę. Wycofać się do koszar, przykazać wszystkim, żeby nigdzie nie wychodzili nocą.

– Wycofać?! – De Guzmán potrząsnął głową. – Przecież są w rozsypce! Zostaje tylko...

– Słońce już zachodzi, a to miasto zaraz zamieni się w pułapkę! Chcecie podjąć szarpaną walkę z ludźmi, którzy znają tu każdy kąt, każde przejście?! – ryknął na niego Zahred. – Patrząc, jak wasz oddział topnieje w oczach?! Wpadać na barykady, cofać się i błędzić? Jak wtedy, kiedy ten zaślepiony imbecyl Emilianus posłał swoich ludzi w zaułki Karchedonu, gdzie my już...

Urwał gwałtownie, parsknął gniewnie i potrząsnął głową.

– Kto taki, panie? Gdzie? – zapytał de Guzmán.

– Nikt istotny. Zbierajcie się, a ja zawrócę Indian.

Dogonił tlaxcalteckich wojowników dopiero spory kawałek dalej.

Nie było trudno ich znaleźć: wycia i okrzyki niesły się nad miastem, poza tym wystarczyło podążać śladem leżących na ulicach trupów.

– Xahuatl! – Xicotencatl ucieszył się, potrząsnął zakrwawionym kamiennym mieczem. – Wymalowany Człowiek przychodzi, aby uczestniczyć w zwycięstwie Tlaxcali nad przekłętymi tchórzami z Choluli?!

Zahred przestąpił ponad zakrwawionym ciałem do połowy wyciągniętej ze swojego domu starej kobiety.

Ominął dwóch wojowników metodycznie rąbiących toporami nogi może dziesięcioletniego chłopca, który wciąż jeszcze próbował czołgać się w kierunku leżącego kawałek dalej ojca.

Przelotnie spojrzął na przewieszzone przez otwór okienny ciała mężczyzn.

– Xahuatl przychodzi naradzić się z Xicotencatlem. Zapytać go o radę jako doświadczonego wojownika.

– Xahuatl sam walczy, jakby napełniała go siła przodków! – pochwalił tamten, jednak widać było, że komplement wszedł gładko i głęboko. – Co niepokoi Xahuatla?

– Xahuatl zastanawia się, jak wygodniej jest walczyć: za dnia czy w nocy?

– Zawsze za dnia, kiedy twarz wielkiego Huitzilopochtlego spogląda z wyżyn na czyny walecznych mężów!

– Xahuatl myśli też, czy lepiej jest toczyć walkę tam, gdzie zna się teren? Czy może wkraczać na ziemię nieznaną?

Wojownik pokiwał głową, uśmiechnął się kwaśno.

– Xahuatl mówi zupełnie jak ojciec Xicotencatla. Xicotencatl wie już, co będzie próbował powiedzieć mu Xahuatl.

– Zatem sam Xicotencatl posiadał już wszelką mądrość, jaką jego ojciec mógłby chcieć mu przekazać.

– Xahuatl mówi, jakby ktoś posmarował mu język miodem! – roześmiał się Indianin i pokręcił głową.

Zahred też się zaśmiał, lecz zaraz spoważniał, położył Xicotencatlowi dłoń na ramieniu.

– Niech Xicotencatl odwoła swoich wojowników. Teraz nie zdziałamy już wiele, zaraz nadejdzie noc. Tylko ten, kto w duchu marzy o upadku, robi krok większy, niż da radę postawić.

Xicotencatl chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale zamiast tego tylko uniósł do ust zawieszoną na szyi kościaną piszczałkę i zadął.

Część wojowników cofnęła się od razu, kilku zawołało na towarzyszy: wracać, wracać! Zaczęli stopniowo zbierać się, zbryzgani krwią, wyglądając z plądrowanych domostw i zagród.

Xicotencatl gestem pokazał: zwracamy!

Szli niechętnie, ociągając się, ale posłuszni rozkazom. Kilku wskoczyło jeszcze do chat i zaraz wyłoniło się ze śmiechem; chwilę potem przez otwory okienne zaczął wydobywać się gęsty dym, niewiele później buchnęły płomienie.



– Zatem odpoczniemy, a wraz ze słońcem podejmiemy nasz krwawy trud. – Wódz radośnie wyszczerzył zęby.

– To dobra decyzja, synu Xicotencatla – mruknął Zahred, zatrzymując się na chwilę.

Tlaxcaltek patrzył z zaciekawieniem, jak wytatuowany człowiek macza palce w kałużę krwi i kreśli na ścianie chaty kilka prostych geometrycznych znaków.



## Rozdział 9

Noc była piękna, chłodna i krystalicznie czysta.

Najwyższy król Montezuma zaczerpnął głęboko w płuca świeżego, rześkiego powietrza i przymknął oczy, przykładając ostrze noża do płatka ucha. Jeden szybki, krótki ruch – strużka ciepłej krwi pociekła po małżowinie, prosto w podstawione już naczynie z zielonego kamienia.

Kap, kap, kap, kap – miękko rozbryzgiwały się krople na dnie czaszy ofiarnej.

Każda z nich była niczym uderzenie serca, jak kolejna odmierzana w niezmiennym rytmie istnienia chwila, wyłaniająca się i zapadająca w niezmierną otchłań wieków, pośród której żywot człowieka stanowił tylko błysk spadającej gwiazdy.

Przyłożył do ucha wysuszony liść świętej rośliny, ujął misę w obie ręce i unióśł wysoko nad głowę.

– Oto krew najwyższego króla dla was, przedwieczni i niezbadani – szepnął. – Oto staje przed wami syn wasz, Montezuma, pokorny i niegodny. Oto jest przed waszym majestatem, ziarno piachu w obliczu góry, kropla pośród jeziora wszechrzeczy.

Podniósł wzrok i spojrzął w czarny przestwór rozgwieżdżonego nieba.

Ponad nim na samym środku nieboskłonu widać było przepięknie rysującą się sylwetkę Wojownika Orła ze wzniesioną do ciosu kamienną maczugą, na którego pasie dumnie tkwiły trzy świetliste punkty Ognistego Wiertła.

Kawałek dalej mrugało, przelewało się i dosłownie zakrzykiwało wzajemnie Targowisko. Montezuma spędził wiele nocy, próbując policzyć, ile dokładnie gwiazd zebrało się tam, w tym najjaśniejszym i najbardziej zatłoczonym punkcie nieba: siedem? dziewięć? trzydzieście? Całe lata temu bystrooki kapłan Tecuhueitl wyrył w kamieniu i ofiarował Montezumie rysunek, na którym widniało ich aż siedemnaście. Czy było to możliwe? Czy też ułomny wzrok Montezumy nie sięgał tak daleko, nie widział tego, co powinien...?

Po drugiej stronie nieba czaiła się Matka Jaguara – potężna, o długiej szyi wyciągniętej w geście groźby i ostrzeżenia. Nieco ponad nią, schowane w ciemności, przycupnęło jej Młode, wciąż jeszcze nieforemne i niekształtne, ale już powoli dorastające.

Tam z kolei był Czarny Skorpion z dwoma wysuniętymi ramionami i gotowym do uderzenia ogonem.

Zaś tu rysowała się Xonecuilli, czyli Wykrzywiona Stopa, którą bogowie umieścili na niebie na cześć Obarczonego Wadami, nieszczęśliwego i pogardzanego Nanahuatzina.

Montezuma przesunął dłoń ku swojej stopie, dotknął dwóch zrosniętych palców i blizny pomiędzy nimi. Taki się urodził, taki już był... Mimo że próbował je kiedyś rozciąć, aby stać się takim jak inni. Wtedy właśnie ojciec Montezumy zastał go zapłakanego, z nożem w ręku i krwią na rękach. Odebrał mu nóż, przytulił i opowiedział historię najsmutniejszego z bogów.

– Nanahuatzin był pokorny, drobny i nijaki, a jego światło nie świeciło przy innych bogach – zaszeptał Montezuma do siebie. – Ciało Nanahuatzina pokrywały rany i wrzody, jego kości były słabe, a stopy powykręcane. Kiedy pierwszym bogom znudziło się sunięcie po niebie jako słońce, powiedzieli: niech dwaj spośród nas będą nowym słońcem i księżycem po wsze czasy. Silnego, bogatego i dzielnego Tecciztecatla wybrano, aby stał się nowym, dumnym, pięknym i silnym słońcem. Nanahuatzin chciał się ukryć, ale bogowie znaleźli go i przykazali: Nanahuatzin stanie się nowym, zimnym i smutnym księżycem...

Montezuma westchnął, pokręcił głową.

W takich chwilach tęsknił do ojca. Do jego pokrytej zmarszczkami twarzy, spokojnego głosu i roztropnych rad.

Tutaj, wobec nieba pełnego gwiazd, czuł się samotny jak nigdy.

Zaczerpnął tchu, uspokoił serce i przełknął podchodzące do oczu łzy. Opowieści raz zaczętej nie wolno było przerwać.

– Aby stać się słońcem i księżycem, Tecciztecatl i Nanahuatzin musieli wskoczyć w wielki ogień, który miał spalić ich ciała i unieść ku niebu. Przez całą noc przed rytuałem Tecciztecatl śmiał się, ucztował, pojedynkował i składał ofiary bogom, Nanahuatzin zaś płakał nad swoją niegodnością, umartwiał ciało

upuszczaniem krwi i żałował za całe zło, jakiego mógł się dopuścić. Kiedy przyszedł ranek i zapłonął wielki ogień, podeszli ku niemu obaj...

Ciche, śpiące już o tej porze Tenochtitlán milczało. Tylko ognie na szczytach świątyń pełgały nieśmiało, mówiąc odwiecznym gwiazdom: tak, jesteście też tutaj, na dole.

– Tecciztecatl, zmęczony jedzeniem, oszołomiony piciem i brakiem snu, wystraszył się ognia i uciekł. Nanahuatzin jednak, który doznał już wiele bólu i nie bał się niczego, wstąpił w płomień i spłonął, zaś dym uniósł jego ducha ku niebu i umieścił tam jako słońce. Kiedy ujrzał to Tecciztecatl, zawstydził się wielce, zawrócił i też wskoczył w ogień, który zaniósł go w górę. W ten sposób na niebie zawisły dwa słońca...

Urwał na chwilę, znów sięgnął nożem i naciął drugie ucho, pozwalając, aby krew płynęła swobodnie. Czuł, że ta chwila jest ważna. Że nawet nie szukając odpowiedzi, być może znalazł jej fragment.

– Bogowie jednak ujrzeni to i powiedzieli: nie może być dwóch słońc na niebie. Dlatego też złapali przebiegającego zająca i uderzyli nim tchórzliwego Tecciztecatla-słońce, spychając go z dnia w noc. On zawstydził się jeszcze bardziej i jego blask przygasł, a do dziś widać na księżycu siniak w kształcie zająca.

Spojrzał ku srebrzystej tarczy: rzeczywiście, ciemniejsza plama była właśnie tym: rozlanym sińcem po uderzeniu.

Zaczerpnął tchu, uśmiechnął się do siebie i dokończył:

– Pokorny i cichy Nanahuatzin został na niebie jako słońce. Bo właśnie ten, kto jest pokorny i cichy, otrzyma nagrodę większą od tego, co próżnie chełpi się i przechwala, zanim jego czas nadejdzie.

Gwiazdy mrugały z wysokości swych gniazd na czarnej materii firmamentu.

Księżyc patrzył na śpiącą stolicę imperium Montezumy.

Gdzieś tam, na wschodzie, byli dziwni przybysze ze wschodu, którzy tej samej nocy też mogli patrzeć w te same co on gwiazdy.



Noc była piękna, chłodna i krystalicznie czysta.

Ponad niespokojną Cholulą snuły się gryzące, gęste dymy, zasnuwające czarne niebo szarymi smugami.

Ogień pożaru w najwyższej świątyni to przygaszał i ledwie żarzył się czerwienią, to znów znienacka przybierał na sile w powiewie wiatru i sypał z góry iskrami, które niosły się długim pióropuszem, a potem gasły w nicości.

Dudnienie bębnow mieszało się z zawodzeniem piszczałek i falującym, głuchym pomrukiem głosów wściekłego tłumu, przelewającego się ulicami może i zranionego, ale przez to wyłącznie bardziej niebezpiecznego miasta.

Kiedy tylko kulący się na dachu Pałacu Kolibra wartownicy Kastyljczyków nabierali odwagi, by po raz kolejny wychylić się z ukrycia, widzieli wyraźnie, jak miejscowi to podchodzą w pobliże murów, to znów cofają się w uliczki... A potem znów konkwistadorzy chowali się za prowizorycznymi barykadami, kiedy w ich stronę leciały kamienie, dziryty i puszczone z łuków strzały.

Nie byli tej nocy sami, a otaczające ich domy dosłownie tętniły życiem: na każdym dachu stało po kilku Indian, gotowych w każdej chwili zawołać, kiedy tylko któryś z białych wychylił głowę albo nieostrożnie się wyprostował, aby przebiec ku zejściu na dół.

Od strony bramy dymiły już tylko zgliszcza, bo równie nierozsądna co bohaterska i zaskakująco skuteczna wycieczka pod wodzą pana Velázqueza de Leóna zdołała podłożyć ogień przynajmniej tam, nim nacisk dzikiej tłuszczy zmusił ich do ponownego wycofania się ku dziedzińcowi.

Na okolonym murami placu przed wejściem do pałacu, w jego komnatach i na wewnętrznym dziedzińcu siedzieli, leżeli i stali żołnierze.

Dowódcy zabronili palenia ognisk, żeby ich blask nie oszukiwał wzroku, więc wszyscy czuwali w ciemnościach. Spali tylko najbardziej zmęczeni albo nieprzytomni z upływu krwi. Reszta nasłuchiwała, z rzadka tylko przerywając napiętą ciszę rozmowami.

Psy co rusz zanosiły się wściekłym ujadaniem za każdym razem, kiedy w prześwicie bramy ktokolwiek się pojawiał.

Stos trupów Indian zabitych podczas dwóch wcześniejszych ataków tarasował przejście. Fragment kamiennego łuku ledwie trzymał się po tym, jak niecelny strzał z armaty strzaskał część ościeżnicy.

Było już po północy, a oni nadal trwali na posterunkach.

Proch wilgotniał i zbrylał się w otworach śmigownic, arkebuzy drżały w mdlejących ze zmęczenia rękach, piki kołysały się nierówno i stukały o siebie do taktu szczękającym z zimna zębom.

Mimo to rozkazy były jasne: czuwać.

Tamci mogą przyjść po nich w każdej chwili.

– Uwaga, ogień! – krzyknął ktoś, kiedy ponad murem przeleciała płonąca żagiew.

Kilku młodych zerwało się i podbiegło z wiadrami, jeden przytomnie machnął zmoczoną wcześniej szmatą i zarzucił ją na trzaskający ogniem pęk słomy i gałęzi.

Może i niepotrzebnie, bo pochodnia padła niegroźnie w piach, jednak byli zbyt zmęczeni, by mieć siłę komentować i pouczać. W tej chwili nawet nadgorliwość była lepsza od bezczynności i obojętności.

– Podpalą nas tutaj, jak nic – warknął Rodrigo. – Usmażą we własnym sosie, zobaczycie. Prędzej czy później któryś da radę rzucić na coś drewnianego.

Juanito prychnął, rozprostował obolałe kolana i poruszał palcami u stóp.  
– Przecież strzechy wszystkie już zdjęliśmy. Tam ludzie czekają z cebrzykami... Nie podpała.

– Wodę lejemy na ogień, a tu zaraz nie będzie co pić – nie odpuszczał fatalista.

– Nie wodę, bo szczyny.

– Co...?

– Nie słyszałeś? Wodę pić, do cebrzyków szczać i tym gasić. Kapitan tak kazał. Do rana się utrzymamy – uspokajał Juanito.

– A potem co? Niech ich cholera weźmie, czerwone diabły przeklęte! Nie trzeba było do tego miasta wchodzić, od początku mówiłem! Nie trzeba było do nich iść wcale pod tę piramidę...!

– No właśnie... Co tam się w ogóle wydarzyło? – po raz kolejny spróbował dopytać Valdés.

Rodrigo poruszył się niespokojnie, popatrzył po towarzyszach. Obejrzał się ku miejscu, gdzie siedział w sąsiedniej grupce pan Portocarrero, który teraz wyprostował się i patrzył w jego kierunku.

– No więc było tak, że...

– Co, co, co...! Zaatakowali nas, ot co! Na samego admirała Cortésa się jeden chciał rzucić! – niespodziewanie przyszedł mu w sukurs Enriquez. – We dwóch go położyli, pan de Coria i nasz Rodrigo! Tamten go mieczem pchnął, a Rodrigo jak nie palnie ze swojej rusznicy! Tamtemu łeb na strzępy rozerwał, tylko pióra na wszystkie strony poleciały! Życie caudillowi uratował, ot, co się stało!

Ludzie zamruczeli z uznaniem, pokiwali głowami. Tylko de Monroy spojrzął na Enriqueza powątpiewająco:

– A koło mnie przecież staliście, panie. Ja nic nie widziałem, a wy wszystko?

– Boście nie w tę stronę patrzyli – uciał Enriquez.

– No, tak to zawsze bywa, że szeregowy żołnierz krowę doi, a ktoś inny śmietankę potem wychłepce – rzucił Valverde mocno niejasną paralełą, a widząc niezrozumienie druhów, wyjaśnił: – Przecież Rodrigo uratował caudilla, tak? A tamten wymoczek, ten de Coria, pewnie za to się i pochwałą doczeka, i łupów dodatkowych!

– Nie mówcie źle o panu de Corii, to dobry żołnierz i wierny giermek dla naszego admirała – zaoponował de Monroy. – Ja nie pozwolę go obrażać, bo to jak po rodzinie dla mnie.

– Oho, ten znów zaczyna – prychnął Gutiérrez.

– Po rodzinie, mówię! W piątym stopniu jesteśmy z panem Cortésem spokrewnieni, bo nasze stryjeczne babki były siostrami przyrodnimi. Więc jeśli moja babka po stryju była dla jego babki siostrą przyrodnią, to znaczy, że po mieczu jesteśmy z Cortésem dla siebie...

– ...nikami.

– Niepotrzebnie upraszczacie, panie Gutiérrez – zaprzeczył de Monroy z godnością. – Wszyscy ludzie są spokrewnieni, skoro od Adama i Ewy się wywodzimy. Zatem i ja z panem Cortésem mam przodków wspólnych, tylko że o wiele bliżej niż wy. I z samym królem też, jakby poszukać dobrze, o!

– A z nimi? – mruknął ponuro Rodrigo, zadzierając głowę.

Umilkli, nasłuchując niosącego się nad miastem wycia, pohukiwania i mrozących krew w żyłach wrzasków.

Cholula nie spała i nie zanosilo się na to, żeby ktokolwiek z nich miał tej nocy zmrużyć oko.



– Achh...! Przeklęte zwierzęta! – wyrzucił z siebie Cortés, kiedy medyk jednym ruchem zerwał mu z rany przyklejony opatrunek. – Niech ich...! Już ja ich...!

Łapiduch obejrzał płótno, dotknął palcem, powąchał. Wrzucił szmatkę do stojącego na ogniu garnka z wrzątkiem i pokiwał głową, zadowolony: rana nie paskudziła się.

– Spokojnie, miłościwy panie, żeby wam szwy skóry nie pocięły. Zranienie nie jest głębokie, zagoi się rychło... Tylko spokojnie, upraszam was.

– Spokojnie...?! Zaatakowali nas zdradziecko! Żeby nie de Coria, byłby mi przecież łeb rozplątał tamten dzikus!

Siedzący pod ścianą Zahred poprawił się, skrzywił z bólu. Mimo nagabywań medyka nie pozwolił mu się dotknąć ani opatrzyć ran; poprzestał na zamazaniu ich maścią, którą sam ucierał z tłuszczu i znalezionych ziół. Nie nałożył też koszuli, siedząc teraz zawinięty na wzór Indian w kolorową, grubą opończę.

– Nie spieszcie się z obrażaniem ich, panie – mruknął.

– Jak zatem mam ich nazywać? Szlachetnymi? Rycerskimi? Honorowymi może? Rzucili się na nas! Chcieli wymordować...!

– Dziwny to spisek, kiedy zamachowiec przychodzi bez broni. Tak, zanim sam to powiesz, Hernán: faktycznie kilku wojowników miało miecze, było też parę włóczni.

– Sam widzisz zatem...

– W stuosobowym tłumie!

Cortés cmoknął z niezadowoleniem, ale nie powiedział nic, bo medyk zaczął nakładać mu kolejny opatrunek.

Pozostali kapitanowie przysłuchiwali się tej wymianie zdań; większość milczała, nie byli przecież świadkami zajścia, lecz w końcu odezwał się pan de Sandoval:

– Gotów byłbym uwierzyć, kapitanie Zahred, że bronicie tych barbarzyńców i tego, co zrobili.

– Nie są barbarzyńcami, bo nie mają bród – warknął Zahred.

– Słucham...?

– Nie mają bród, powiedziałem. Zanim zaczniecie w cokolwiek pochopnie wierzyć, panie, odróbcie pracę domową z łaciny.

– A w co wierzycie wy, kapitanie? Może powiedzcie to tu i teraz. – De Sandoval najwyraźniej doszedł do wniosku, że to dobra pora na wyciągnięcie osobistych uraz. – Bo jakoś nie widziałem was na mszy w niedzielę. Ani w tę, ani którąkolwiek inną... od dość dawna już. Za to teraz twierdzicie, że te dzikusy zasługują na szacunek. Może jeszcze powiecie, że tak samo jest z ich plugawym zabobonem? Może pochwalacie też składanie ofiar z ludzi, co?

– Ofiar z ludzi nie musicie się bać, panie de Sandoval, bo do nich wybierają tylko prawdziwych wojowników. – Oczy Zahreda błysnęły w ciemności.

– Ja się nie boję, panie, tylko... Co? Cooo...?! – De Sandoval zerwał się, kiedy z opóźnieniem dotarł do niego głębszy sens wypowiedzi. – Jak śmiesz, przybłądo znikąd! Stawaj tu i teraz, ja cię...

– Spokój! – huknął Cortés. – Spokój, moi dobrzy panowie, bo jak mi Bóg miły... Nie mam czasu na te dziecinady i mierzenie się, z przeproszeniem waszym, na długość przyrodzenia! Panie kapitanie, proszę was na słowo!

Zahred, bo to do niego skierowane były te słowa, podniósł się powoli. Pomógł wstać caudillowi z posłania, potem odeszli obaj na bok.

Pałac tonął w ciemnościach, nie paliły się nawet łuczywa. Jedynym światłem była używana przez medyka lampka, teraz śmiesznie mała wśród oceanu ciemności.

– Nie życzę sobie! – wybuchnął Cortés, patrząc na Zahreda, ale mówiąc w zasadzie do ściany. – To niedopuszczalne! Haniebne! Potracę wam, kapitanie, część żołdu! Jeszcze raz mi się coś takiego powtórzy...!

Zahred czekał cierpliwie, aż ten powie, co powiedziec musiał w sposób taki, aby usłyszeli to wszyscy, którzy powinni.

Potem spojrział na caudilla pytająco i zapytał półgłosem:

– Już?

– Już – warknął Cortés, krzywiąc się z bólu. – Co to miało być? Czy ty na głowę upadłeś, Zahred? Będziesz bronić tych Indian, akurat teraz? Właśnie teraz?

– To miało być właśnie to. Pogarda dla przeciwnika nie jest dobrym doradcą... Szczególnie kiedy jest nas mniej i siedzimy otoczeni. Natomiast de Sandoval aż się prosi, sam to widzisz.

– Nie waż się go tknąć – zastrzegł Cortés. – To dobry kapitan, mój były przyboczny.

– I przedłożysz względy osobiste ponad...

– Ponad co?

– Nieważne. Zrozumiałem, przyjąłem: na pewno nie będę szukał zwady.



– Ani nie będziesz reagował na prowokacje.  
– Ani reagował. Natomiast zapewniam cię, że cokolwiek on zacznie, ja skończę.

– To groźba, przyjacielu? – spytał Cortés.

– To stwierdzenie faktu, który nie podlega dyskusji. O czym chciałeś z mną tak naprawdę porozmawiać?

Caudillo odetchnął głęboko i spojrział ku rozgwieżdżonemu niebu widocznemu przez otwór nad wewnętrznym dziedzińcem.

– O tym, co zrobimy. Jak się stąd wydostać i jak postąpić dalej. Skoro raz już nas zaatakowali...

– Sam w to nie wierzysz – przerwał mu Zahred.

– Chcieli nas zaatakować i to jest pewne. Przecież te oddziały, o których mówiłeś, tam na placu... Zjawili się zdecydowanie zbyt szybko. Musieli być już w gotowości pod samym miastem.

– Albo wręcz w nim, bo mogli być stałym garnizonem Montezумы. Tak czy inaczej, to my przelaliśmy pierwszą krew.

– Zaczynasz mieć wątpliwości, przyjacielu? – odezwał się caudillo z lekką drwiną w głosie.

Zahred jednak tylko zwiesił głowę.

W półmroku, oświetlony od góry mdłą poświatą księżycyca, wydał się w tamtej chwili Cortésowi o wiele, wiele starszy.

Westchnął ciężko, nie podnosząc wzroku, odezwał się:

– Zaczynam być zmęczony, Hernán. Zmęczony trupami, krwią, zabijaniem... Tułaczką. Ciągłym pogorzeliściem, które za mną zostaje. Brakiem czegokolwiek swojego na ziemi.

– Taki chyba los żołnierza, co? – wesoło zagadnął caudillo, ale zaraz spoważniał. – Mówiłem ci tyle razy: osiądź gdzieś w końcu. Ustatkuj się, weź sobie kobietę... Czy to z Europy, czy jedną z tutejszych. Przecież kiedy stąd wrócimy, to złota wystarczy nam do końca życia! Będziemy żyć jak królowie, pobudujemy sobie pałace!

– Do końca życia... – powtórzył głucho Zahred.

– No pewnie! Wystąpimy do króla o szlachectwo dla ciebie, zobaczysz... Będzie dobrze.

Zahred podniósł głowę, spojrział na Cortésa i uśmiechnął się.

– Masz rację, będzie dobrze.

– No widzisz? Od razu lepiej... Przyjdź potem do skarbcy, pokażę ci, ile złota znieśli już ludzie. Co jednak zrobimy rano?

Zahred odetchnął głęboko, zacisnął usta.

– Jeśli nie przyjdą do nas wcześniej z propozycją pokoju, to przed świtem podejmujemy walkę. Na pewno szykują się do ataku na nas, więc tym razem to my musimy uderzyć pierwsi, z zaskoczenia.

– Brzmi rozsądnie. W jaki sposób?

– Każ inżynierom, żeby zebrali swoich czeladników i narzędzia. Mam pomysł.

Caudillo poklepał go po ramieniu i ruszył z powrotem ku ludziom.

Zahred został jeszcze chwilę, oparł się o kanciastą kolumnę. Popatrzył w mrok.

– Możesz już wyjść – odezwał się w języku *nahuatl*.

Cień oderwał się od framugi jednego z przejść, podszedł ku niemu, nabierając z każdym krokiem coraz wyraźniejszych kształtów i lekkiego chodu kobiety.

– Myślałam, że mnie nie widać – powiedziała Malintzin, oglądając się za odchodzącym Cortésem.

– Nie było. Wyczułem cię po zapachu. Hernán powiedział chyba, że doña Marina miała pozostawać w swojej kwaterze wraz z kobietami?

– Doña Marina znudziła się becznością. Poza tym ciężko się śpi, kiedy za ścianą wyje żądny twojej krwi tłum. Co zatem urządzili mężczyźni?

Zahred poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Zmrużył oczy, spojrzął na kobiety badawczo.

– W jaki sposób udało się doñi Marinie uniknąć rozpoznania przez Xiconchitlego?

– Kogo? – Kobieta potrząsnęła włosami, ale on warknął:

– Niech doña Marina nie próbuje kłamać...

Przekrzywiła głowę, podeszła do niego tak, że jej oddech owionął mu twarz.

– Zahred pyta niewłaściwą osobę. Niech zapyta Malintzin – szepnęła.

– Niech zatem powie mi to Malintzin. Bo to przecież u teściów Xiconchitlego była w niewoli... Zgadza się?

Przewróciła oczami, wydeła pogardliwie wargi.

– Kiedy ojciec Malintzin umarł, jej matka wyszła za mąż za obcego człowieka, a ją samą sprzedała w niewolę. Malintzin miała wtedy osiem lat... Malintzin przemierzyła wiele dni drogi, widziała wiele domów. Dobrych domów, złych domów. Tak, trafiła też do Choluli, do domu Huitztecola, który był teściem Xiconchitlego.

– I po to trzeba było... – Zahred wyszczerzył zęby w złym grymasie, zacisnął pięść.

– Tak, po to trzeba było! Huitztecol był złym człowiekiem, który lubił swoje niewolnice, dopóki były młode i świeże. A potem sprzedał Malintzin dalej... i dalej... i jeszcze dalej...

– Aż Malintzin trafiła do Potonchan, gdzie ofiarowano ją Cortésowi.

– Malintzin nie ofiarowano Cortésowi, tylko białym przybyszom. I każdy mógł ją mieć... każdy!

– Ale wziął ją Cortés. Ile razy wcześniej zatem Malintzin kłamała, tłumacząc słowa Cortésa? Ile razy zawiodła jego zaufanie?

Spojrziała na niego spode łba, rysując palcem po wnętrzu dłoni.

– Malintzin nie kłamie. Malintzin czasami tylko nieco zmienia prawdę... Poprawia to, co nie jest doskonale w ustach jej Cortésa, aby mu pomóc.

– Piękna pomoc! – prychnął Zahred.

– Xahuatl jest zazdrosny, bo sam chciałby mieć Malintzin u swego boku. Malintzin wie, że mogła należeć do Xahuatla... A mimo to niemądry Xahuatl wołał grać o nią w kości. I przegrał. Tak samo jak przegrał Xiconchitli, jak przegrał Huitztecotl, jak przegrała cała Cholula i jak przegrał...

Nie dokończyła, bo ramię Zahreda wystrzeliło w przód.

Chwyił ją za gardło, docisnął do kolumny; Malintzin wierzgnęła desperacko. Paznokciami przeorała mu twarz, ale on nie rozluźnił chwytu.

– Całe miasto...! – wysyczał. – Całe miasto tylko po to, żebyś ty... Dla jednego domu, jednego człowieka!

Zacharczała, rzuciła się.

Jej błędząca ręka odruchowo natrafiła na opatrunek na jego ramieniu i ściągnęła nie dość mocno związane bandażę. Spod spodu wyjrzała ropiejąca, nabrzmiała rana, w której pelzały i wiły się tłuste, białe larwy much.

Oczy Malintzin rozszerzyły się w przerażeniu.

Zahred wyszarpnął zza pasa siekiere.

W tym samym momencie ponad dach pałacu podniósł się rój świetlistych punkcików, które na chwilę zamarły na tle czarnego nieba, a potem ze świstem spadły w dół, na stojące na wewnętrznym dziedzińcu konie, siano, trzcinę i suche deski.

Któryś z rumaków zarżał dziko, boleśnie, kiedy płonąca strzała ugodziła go w zad.

Strzeliły płomienie, błyskawicznie zrobiło się niemalże jasno.

– Ogień! – krzyknął ktoś z bocznego przejścia. – Pożaaaar...! Pomocy, pali się! Ogień!

Do tej pory spokojny dziedziniec nagle zaroił się ludźmi, wpadli służący z wiadrami i zaczęli chlustać na oślep wodą.

Ktoś otworzył zagrodę i zaczął wyciągać wierzgające, kwiczące zwierzęta.

– Ratować konie! – wydarł się pan de Morla, śpiący zawsze nieopodal swego ukochanego rumaka.

– Pożar! Pożar...!

– Alarm! – rozkrzyczeli się wartownicy z dachu. – Idą! Idą od strony placu... Alaaarm!

W zamieszaniu nikt nie zauważył drobnej, szczupłej kobiety, która sunąc wzdłuż ścian, przemknęła ku bocznemu skrzydłu, aby schować się w bezpiecznym zacisku kwater.



– Ognia...!

Działo syknęło i głucho huknęło ogniem, posyłając śmiercionośny rój drobnych kul, kamieni i żelaznych gwoździ prosto w twarze już wlewających się przez bramę Indian.

Tłum zawył dziko zmieszanyymi głosami bólu, zwierzęcego przerażenia i opętańczej furii.

Posiekani kartaczami, zakrwawieni, trzymający się za zmasakrowane twarze Cholultekowie padali na ziemię, pomiędzy już wcześniej zabitych i pod nogi wciąż nacierających.

Część, rażona strachem, odwróciła się i chciała uciekać – ale tłum napierał, pchał ich przed sobą, przewracał i tratował w bezmyślnym pędzie.

– Ognia! – powtórzyl ogniomistrz de Usagre, tym razem zwracając się do załóg śmigownic.

Cztery wąskie lufy wystrzeliły niemalże jednocześnie, orząc dwucalowymi kulami krwawe bruzdy w kotłującym się tłumie. Tam, gdzie celowały, zostały tylko poszarpane, drgające konwulsyjnie ciała, niepodobne już do ludzi.

Masa atakujących zafalowała, cofnęła się na chwilę i chlusnęła naprzód, kolejną falą przeląła się przez wał z trupów.

– Ognia!

Arkebuzy zagrały unisono, kosząc pierwsze kilka szeregów niczym zboże. Zaraz po nich zajęczały kusze, a potem rozległ się chrapliwy ryk pana de Leóna:

– *Santiago y cie-cie...!* B-bij, za-za-zabij!

– *Santiago y cierra, España!* – zawołali ludzie, rzucając się naprzód.

Obserwujący to z ganku pałacu Cortés przebierał nerwowo palcami po rękojeści szpady, próbując zrozumieć, na czyją stronę przechyla się szala zwycięstwa i jak dysponować mocno szczupłymi siłami.

Teraz zgodnie z założeniem pan de León powinien zacząć odstępować, zaś podsuwające się bokami dwa oddziały Tlaxcalteków domknąć całość linii frontu i przejść na siebie ciężar obrony, pozwalając tamtym się wycofać.

Teoretycznie.

Tak przewidywał naprędce uradzony, zatwierdzony na kolanie plan obrony.

A jeśli coś pójdzie nie tak... Strach pomyśleć.

Jednak faktycznie de León zaczął wycofywać się krok po kroku, a sprzymierzeni Indianie wskakiwać w powstałe luki, nie dając atakującym zyskać przewagi.

Kusznicy już zdążyli przeładować i z podwyższenia ganku puszczały bełt za bełtem w stłoczonych na wąskiej przestrzeni Cholulteków.

Cortés uśmiechnął się z zadowoleniem, obrócił i zanurkował w wejście do pałacu.

Szybko przeszedł przez komnaty, skręcił w prawo, przecisnął się za ustawioną w poprzek korytarza barykadą, przeskoczył ponad wciąż kopanym

prostopadle do sąsiedniego pomieszczenia rowem i zajrzał do jednej z komnat.

– Jak prace? – zapytał, przekrzykując łomot młotków i kilofów.

– Jeszcze trochę, wasza miłość! – odpowiedział mu z chmury pyłu i kurzu głos głównego inżyniera. – Jeszcze jedna, może dwie warstwy cegieł, a potem...

– Uwaga! – krzyknął ktoś obok.

Ludzie odskoczyli na boki, zahurgotały sypiące się kamienie. Cały fragment ściany osunął się z łoskotem i wypadł na zewnątrz, odsłaniając wybite w murze przejście. Z dworu powiało świeżym, chłodnym powietrzem.

– W imię Boże... – Cortés przeżegnał się. – Naprzód, ruszajcie!

– Za mną! – krzyknął Zahred do swoich ludzi, już czekających w pogotowiu pod bronią. – Z nami słońce!

– *El sol está con nosotros!* – odpowiedział mu okrzyk z pół setki gardeł, kiedy ludzie zaczęli przeskakiwać, przeciskać się przez wyrąbaną w murze dziurę i wybiegać na idącą wzdłuż ściany pałacu uliczkę.

Indianie już tam byli, kręcili się wokół budowli i próbowali wspinać się na mury.

Musieli odskoczyć i rozbiec się, kiedy runęła ściana, a teraz podciągali znów, niepewni, co się stało: skąd nagle ludzie w pustym do tej pory zaułku? Skąd się tu wzięli? Czy może spadli z nieba albo wyłonili się spod ziemi?

Nie wolno było dać im ani chwili na pozbieranie myśli.

Zahuczały rusznice, zabręczała stal.

Zahred rzucił się ku pierwszemu, odbił na bok kamienną siekierkę i ciął szeroko, rozrąbując obojczyk.

Drugi zamachnął się pałką, ale cios pałasza rozplątał mu skórę poniżej pępka, parującą kaskadą wypuszczając z brzucha wnętrzności.

Kefren skoczył, ujadając, ku trzeciemu, który z przerażenia aż odskoczył w tył i przewrócił się na bruk.

– Formuj szyk! – krzyknął Zahred, pokazując ostrzem kierunek ustawienia.

Cholultekowie biegli wprost na nich.

Rodrigo wbił forkiet w ziemię, poślinił kciuk i odciągnął lontownicę dopiero co nabitego po strzale arkebuzą. Widział, że wrzeszczący, wymachujący ogromnym mieczem o zębatym ostrzu z kamienia, półnagi dzikus jest coraz bliżej.

Zębami wyciągnął korek z rogu prochowego, zasypał panewkę... Indianin był dosłownie pięć kroków od niego!

– Pieprzony dzikus...! – warknął Rodrigo, z całej siły ściągając spust.

Mechanizm zadziałał jak należy, lontownica opadła na otwór prochowy. Syknęło, trzasnęło, sypnęło iskrami.

Indianin opuszczał właśnie swój miecz, mający rozłupać głowę konkwistadora niczym dojrzały melon, kiedy rusznica szarpnęła się, kopnęła i rzygnęła chmurą dymu.

Kula uderzyła dzikusa w piersi, wyrwała ziejącą dziurę w mostku, cisnęła nim w tył i wyleciała przez plecy, ciągnąc za sobą fontannę krwi i odłamków kości.

Jeszcze jeden wojownik biegnący za nim potknął się i przewrócił, trafiony w bok, który zamienił się w czerwoną miazgę.

Arkebuzer wypuścił powietrze ze świstem, wyciągnął forkieta z ziemi i cofnął się, pozwalając zająć swoje miejsce opancerzonym, uzbrojonym w piki i miecze towarzyszom.

W samą porę – Indianie już naskakiwali na nich, rąbali mieczami drzewca, walili na osłep krzemiennymi toporami w żelazne tarcze.

– Uwaga, teraz... naprzód! – krzyknął Zahred, ocierając z twarzy bryzg krwi.

Ludzie krzyknęli głośno, ruszając z miejsca.

Łoskot był ogłuszający.

Wrzaski, krzyki i wycia, jęki rannych, rzęzenie umierających.

Trzask płomieni, wznoszących się coraz wyżej nad jednym z pobliskich domów.

Ujadanie psów, rzucających się w amoku na każdego, kto tylko nie pachniał jak swoi.

Widoczne na tle ognia sylwetki na dachach wyglądały niczym demony i szatani, uwijający się wśród przerażającego pejzażu najgłębszego kręgu piekieł.

W niebo podnosił się deszcz iskier, które gasły i opadały na ramiona czarnym śniegiem sadzy.

O hełmy nieustannie bębnił grad kamieni.

Strzały brzęczały i świszczały wokół, zbierając krwawe żniwo.

Łomot tętna w skroniach zagłuszał wszystko inne, świat spowijała krwawa mgła zmęczenia.

– *El sol está...!* – krzyknął Gutiérrez, rąbiąc desperacko toporem zza podniesionej tarczy.

Nie tak miało być, huczało mu w głowie. Nie tak, nie na to się pisał! Miał być cieślą, miał pracować na okręcie, miał budować w Nowym Świecie wozy i domy... Ścinać drzewa, a nie ludzi!

Zamiast tego był tutaj, pośrodku tego pandemonium krwi i przemocy, ubrany w pikowaną przesywanicę i cisnący go w skronie hełm, przerażony bardziej, niż potrafił ująć to w słowa...

...i zarazem szczęśliwy jak nigdy w życiu!

– *El sol!* – powtórzył jeszcze raz okrzyk, uderzając z całej siły.

Tym razem wróg nie zdążył się zasłonić, cios zbił tarczę w dół, a on od razu zawinął toporkiem i wraził długi, ostry kolec tyłca tamtemu w szyję.

Indianin zakrzuszył się krwią, oczy wyszły mu z orbit.

Gutiérrez szarpnął do siebie, rozrywając tamtemu gardło jak sparciały bukłak na wino.

Zawył tryumfalnie, obrócił się do kolejnego wroga, wziął zamach.

Żeleźce halabardy pojawiło się dosłownie znikąd, głowa przeciwnika strzeliła czerwienią i poleciał Gutiérrzewowi pod nogi.

– *El sol está con nosotros!* – wrzasnął radośnie Juanito. – *Santiago!*

– *Santiago!* – zawtórowali inni, prąc naprzód.

Byli już przy samym narożniku muru, już widzieli bramę, ku której wciąż parli Indianie.

Kolejna salwa z dział aż zatrzęsła ziemią, kule przeleciały przez tłum w krwawym obłoku, jakby nie zauważając rwanych na strzępy ludzi.

I wtedy tamci rzucili się do ucieczki.

W jednej chwili cały tłum po prostu zamienił się w dzikie, bezładne zbiorowisko uciekających na oślep ludzi.

Panika w okamgnieniu rozlała się jak okiem sięgnąć, niczym ogień po suchej łące. Krwiożercze wrzaski przeszły w skowyt zwierzęcego przerażenia.

Indianie zaczęli rzucać broń i tarcze, wpadać na siebie nawzajem.

Z bramy wyłonił się na swoim jabłkowitym ogierze Francisco de Morla, prący w tym morzu głów niczym pradawny tytan, jak antyczny centaur pomiędzy bezbronnymi ludźmi.

Podniósł się w strzemionach, jakby wyglądając ofiary – zrobił krótki ruch zbrojną w lancę ręką, wyszarpnął ostrze w strudze krwi.

A potem spiął konia, który skoczył w tłum, miażdżąc kości, kopiąc, gryząc i roztrzaskując Indian na boki.

Za nim wypadli kolejni jeźdźcy: jeden, drugi, piąty...!

Kawaleria wsiadła na plecy uciekinierom, rżnąc ich bez litości, rąbiąc długimi rapierami i kłując włóczniami.

Zaraz za nimi z bramy wylali się kolorowym, wrzeszczącym tłumem Totonakowie, którzy teraz rzucali się dosłownie na każdego, kto tylko nie nosił rozpoznawalnych dla nich barw.

Ponad górami na wschodzie powoli zaczynała rozjarzać się bladą luną wstająca nieśmiało ze swej morskiej łóżnicy jutrzeńka.



– Zwycięstwo, towarzysze! Zwycięstwo...!

Zahred przeszedł przez dziedziniec pałacu, starając się nie zwracać uwagi na leżące wszędzie ciała zabitych Indian.

Krew mlaskała mu pod nogami, lepiła się do podeszew butów.

W rogu krzątało się kilku ludzi. Zaradni i zapobiegliwi, nalali do złotej misy ofiarnej wodę z octem, obok postawili parę ław i stołów. Teraz płukali

i czyścili zdarte z pozabijanych łupy – oczywiście, wszystko to za niewielką, symboliczną wręcz opłatą.

Ludzie przychodzili, wysypywali z podołków koszul i sakiew, z niesionych pod pachami hełmów złoto, naszyjniki z kolorowych kamieni, bransolety i siłą wydarte z ubrań panele.

Niektórzy targali całe naręcza naczyń i ceramiki.

Jakiś szczególnie zmyślny wziął sobie kilku jeńców, którzy teraz, zalewając się łzami, targali na sobie majątek swój, sąsiadów i dużej części okolicy.

– To przecież grosze! – gardłował któryś z przedsiębiorczych Kastylijczyków, potrząsając złotym naszyjnikiem i podkręcając imponującego węża. – Zobacz, ile ci tego wymyjemy i wypucujemy! To nawet nie dziesiąta, co ja mówię: nie setna część nawet!

– Aha, pewnie! W domu bym za to wieś kupił...! – boczył się właściciel łupów, chudy jak tyczka.

– Miasteczko z kościołem! – dorzucił jego kompan.

– No a tutaj nie jesteś w domu, kochanieńki, więc mówię: usługi mają swoją cenę. To jak będzie?

Żołnierz spojrzał krzywo, pokręcił głową.

– Dużo sobie liczycie. Sam pójdę do studni, wymyję...

– To spierdalaj – obraził się nagle właściciel chałupniczej manufaktury. – Idź, myj sobie sam... Następny! Co tam masz, przyjacielu?

– Nie no, zaraz, powoli... – zreflektował się tamten, czując, że kolejny klient już następuje mu na plecy. – To może połowa tego, co?

– Nasz klient nasz pan! – Wąsacz rozłożył ręce. Wprawnie złożył kolię na pól, przerznął nożem sznurki i oddał chudzielcowi, jednocześnie zwracając się do któregoś z pomocników: – José, weź no opłucz tę drobnicę tutaj, bo cała we krwi... Fu, ale śmierdzi! Skąd żeś to wyciągał, kochanieńki?

– Trup rozwłoczony był, kiszki mu się rozlały – zaśmiał się z zażenowaniem ten chudy.

Wąsacz zarżał, jakby usłyszał najlepszy żart swojego życia. Reszta zawtórowała mu, któryś pokazał palcem: patrzcie, patrzcie!

Żołnierz, który wcześniej zmusił Indian do niesienia swych łupów, teraz kazał im uklęknąć przodem do ściany i po kolei dźgał ich mieczem w plecy, żeby oszczędzić sobie trudu z jeńcami. Ci nie próbowali nawet uciekać, zanosili się tylko żalonym szlochem i czekali na swoją nieuniknioną kolej.

– Jak barany na rzeź! – zarechotał któryś. – Mówię wam, to nawet nie są ludzie!

Będący już przy schodach Zahred zwolnił, prawie się zatrzymał.

Gdyby ktoś obserwował go z bliska, to zapewne zauważyłby, jak zagrały mu mięśnie na szczęce i rozděły się nozdrza... Ale potem przełknął tylko ślinę, zacisnął pięści i wbiegł na górę, pomiędzy niedawne szańce, odprowadzany przez psa o pysku rdzawym od zaschniętej krwi.



Przeszedł przez niemalże puste teraz pomieszczenia, gdzie leżeli tylko ranni i chrapali zmęczeni rzezią żołnierze z dwóch najbardziej wyczerpanych kompanii. Dochodziło już południe, walki w mieście wciąż trwały i trzeba było rotować oddziały.

Cortésa znalazł przy łaźni parowej, znajdującej się w południowym skrzydle pałacu. Caudillo właśnie wychodził z nagrzanego, niskiego pomieszczenia, zaraz za nim wyłoniła się Malintzin.

Ta ostatnia spojrzała tylko na niego, jej twarz nie pokazała żadnych emocji. Szyję miała zasłoniętą chustą.

– Wzywalesz mnie – powiedział Zahred.

Cortés skinął głową, przy pomocy dwóch kobiet usiadł na kamiennej ławeczce i odetchnął głęboko. Dał znak, że jest gotów dać się obmyć.

– Tak... poczekaj.

Caudillo zacisnął powieki i nabrał tchu, kiedy kobieta stanęła nad nim z wiadrzem pełnym wody, po czym chlusnęła mu szeroką strugą na głowę, kark i ramiona. Prychnął, otrząsnął się i rozłożył ręce, zaś dwie niewolnice zaczęły od razu wycierać go czystym płótnem. Jeszcze dwie zajmowały się jednocześnie siedzącą naprzeciwko Malintzin.

Zahred czekał cierpliwie, aż łaźiebne umyją ich oboje gąbkami, wytrą, a potem zawiną w suche, nagrzane przy piecach opończe. On sam od rana nie miał nawet czasu napić się wina, ręce wręcz kleiły mu się od potu i krwi.

Cortés w końcu odprawił kobiety, wraz z nimi oddaliła się też Malintzin.

– Chcę, żebyś znalazł i zawrócił naszych Indian – powiedział po prostu.

Zahred skinął na znak zgody, zapytał tylko:

– Zrobiło ci się szkoda miasta?

Cortés prychnął, machnął ręką.

– Szkoda... Bez przesady. Najchętniej zrównałbym to wszystko z ziemią! Niechby mieszkali potem w norach jak zwierzęta, którymi są.

– Cóż zatem? Zakładam, że raczej nie wyrzuty sumienia.

– Moje sumienie nie jest... Czy ty masz mi coś do powiedzenia? – Caudillo spojrzał na Zahreda uważnie. – Nie zgadzasz się z czymś?

– Nie śmiałybym. Skąd zatem pomysł odwołania Indian?

Cortés puścił ewidentny przytyk mimo uszu, podniósł się z ławeczki i ruszył w głąb pałacu. Odwrócił się, machnął na Zahreda: no chodźże!

– Jeśli pozwolimy im tak działać, to wkrótce z Choluli nie zostanie nic. – Zaśmiał się, wspinając się po schodach na dach. – Są mocno nadgorliwi w swoich działaniach... Popatrz sam zresztą.

Zahred stanął obok niego, spoglądając na panoramę zdobytego miasta.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie leżały trupy.

Pojedynczo, po kilka razem albo piętrzące się istnymi zwałami tam, gdzie wrzały najbardziej zawzięte boje – albo też siepacze nawzajem naganiali sobie tłum pod ostrza.

Na ulicach i podwórkach mieniły się pstrymi plamami powywlekane z domów koce, opończe i maty.

Porozrzucany, poroztrzaskiwany w poszukiwaniu kosztowności dobytek walał się na ziemi.

Porozbijane miski.

Podziurawione ostrzami mieczy buklaki.

Rozsypana, wdeptana w błoto kukurydza.

W tym obrazie zniszczenia i rozpacz snuły się tu i tam upiory tych, co przeżyli – zakrwawieni, kuśtykający pozornie bez celu.

Schylający się nad ciałami w poszukiwaniu ojców, matek, dzieci, krewnych i ukochanych.

Niektórzy siedzieli oślepiali pod ścianami, patrząc w pustkę.

Inni jeszcze wyciągali ręce do przechodzących konkwistadorów, jakby prosząc nie tyle o zmiłowanie, ile śmierć.

Ponad Cholulą snuł się ciężki, szary dym z pożarów domów, które częściowo teraz zgasił albo które w każdym razie przytłumił niedawny deszcz. Gdyby nie to, miasto niechybnie spłonęłoby do szczytu... Wypalona, czarna świątynia Quetzalcoatlą górowała nad tym wszystkim, niczym ponure *memento* końca starych i początku nowych czasów.

Cortés postawił nogę na murku okalającym płaski dach, skrzywił się z bólu w rannym boku i oparł łokciem o kolano. Wyciągnął palec ku jednej z dalszych piramid, wokół której widać było ruch.

– Podobno nasi sprzymierzeńcy są już gdzieś tam... Mówią mi, że Memexi wręcz ściga się z twoim ulubionym Xicotencatlem w liczbie wyrżniętych ludzi. Nie możemy im na to pozwolić, bo tylko patrzeć, a z miasta nic nie zostanie. Chyba kara jest dość przykładna, nie sądzisz?

– *Neron na Tarpejskiej Skale patrzył na płonący Rzym – szepnął Zahred. – Krzyki starców, dzieci, płacze miał w pogardzie cesarz pan...*

– Do jasnej cholery! – zirytował się caudillo. – Czego ty chcesz ode mnie, człowieku? Może zaraz jeszcze powiesz, że to ja kazałem podpalić miasto?! Albo że sam to zrobiłem? Byłeś tam ze mną, przy świątyni!

– Byłem. Byłem i widziałem to samo, co ty... A nie to, co teraz powtarzają wszyscy inni – warknął Zahred, nie odrywając wzroku od panoramy.

– I co z tego? Jakie ma znaczenie, kto zaczął?! Chcieli nas napaść, zabić! Sam widziałeś przygotowane powrozy...!

– Widziałem, owszem. I było ich tyle, że spokojnie daliby radę wziąć nas wszystkich żywcem. Kto wie, może nawet oszczędziliby naszych Totonaków?

Cortés prychnął, ale zmilczał.

Faktycznie, jeden z oddziałów zaraportował rankiem, że znaleźli magazyny pełne obroży na szyje, długich lin splecionych z włókien agawy i kijów, do których można było przywiązać jeńców jak zwierzęta.

Dla ludzi stało się to wystarczającym dowodem na to, że Cholultekowie planowali zdradę; taką też wersję przyjęła przez aklamację zwołana rada dowódców.

Aklamację, w trakcie której tylko milczący i ponury Zahred ani razu nie zabrał głosu.

– Potrzebuję twojego wsparcia, Zahred. – Caudillo zmienił ton, położył mu dłoń na ramieniu. – Ludzie są przerażeni, rozumiesz? Zmęczeni, wyczerpani, nerwowi. Nie mogą widzieć, że mamy jakiegokolwiek wątpliwości. W przeciwnym razie wszystko się rozsypie.

– A mamy wątpliwości?

– Wiesz dobrze, o co mi chodzi: żołnierze muszą widzieć jedność w dowództwie. Owszem, nie wszystko potoczyło się tak, jak powinno, ale...

Zahred spojrział na niego i oskarżycielskim gestem wyciągnął rękę ku miastu:

– „Nie tak, jak powinno”? Tak byś to nazwał? Tak to po latach przedstawiś swoim dzieciom, wnukom? „Weszliśmy do Choluli i nie wszystko potoczyło się tak, jak powinno”?

Cortés spuścił głowę, zacisnął pięści. Zerknął na Zahreda spode łba.

– Powtarzam jeszcze raz: chcę, żebyś odwołał Indian. Wysłałem już tam wcześniej ludzi, ale ich nie posłuchali. Więc zrób to ty... proszę.

Zahred parsknął, odwrócił się i ruszył ku zejściu na dół.

Był już w połowie schodów, kiedy zatrzymał się i rzucił:

– A czemu nie polecisz zrobić tego swojej doñi Marinie? Czyżby odmówiła tak prostej prośbie swojego pana i władcy?

Cortés nie odpowiedział, patrząc na panoramę przypominającą wizję sądu ostatecznego.



Wnętrze świątyni na szczycie Wielkiej Piramidy w Choluli było puste, zimne i martwe.

Święty ogień płonący od niepamiętnych czasów na paleniskach zgasł, zostawiając po sobie tylko szare popioły. Wpadający przez niezastłonięte niczym wejście wiatr podrywał je z mis ofiarnych, unosząc cieniutką mgiełką w nicość.

Krew, tak drogocenna i otaczana do tej pory czcią, przeznaczona dla ust bogów, była wszędzie.

Jej bryzgi pokrywały ściany, ściekały po ołtarzach. Kałuże zbierały się w zagłębieniach posadzki. Niewielkie, pełne gęstych skrzepów strumyki przelewały się przez próg. Ściekały po schodach ku zamienionemu w hekatombę miastu.

W najświętszym ze świątych miejsc, przed samym obliczem posągów, tam, gdzie kapłani powinni stać i klęczeć, zanosząc modły o kolejny dzień, kolejną porę deszczową i kolejny rok – leżeli w milczeniu, rozwartymi w przedśmiertnym krzyku ustami nie prosząc już o nic.

Coś poruszyło się w tym pozbawionym życia obrazie.

Padające z zewnątrz światło przesłonił cień, gdy w wejściu do świątyni stanęła smukła, zakapturzona sylwetka. Postać przestąpiła próg, unosząc tylko rąbek płaszcza, aby ten nie zabrudził się krwią, weszła głębiej w przybytek. Przeszła ponad trupami, omijała ich zwały... Aż w pewnej chwili zatrzymała się.

Drobne dłonie sięgnęły ku naszyjnikowi zwieszającemu się z szyi kapłana. Obsydianowy nożyk bez trudu przeciął rzemień, ozdoba odkleiła się od przesiąkniętej posoką tuniki.

Postać zabrała trofeum, przeszła kilka kroków dalej, ku leżącemu twarzą w dół akolicie z rozrąbaną czaszką. Znowu nachyliła się, odcięła z ucha okazały złoty kolczyk.

Milczące posągi kamiennych bogów patrzyły z niemym przerażeniem, jak niczym niosący złą nowinę nocny motyl krąży od ciała do ciała, na chwile przysiadając na twarzach martwych tylko po to, żeby zebrać kolejną porcję swego upiornego żniwa.



Szli w kilkunastu przez wymarłe ulice miasta.

Dosłownie „wymarłe”.

Zimny wiatr przyciskał do ziemi mieszający się z szarawą mgiełką dym.

Pełne wilgoci powietrze cuchnęło spalonymi włosami i zwęgloną skórą.

We wciąż jeszcze gorących pogorzeliśkach dawało się dostrzec nienaturalnie powykręcane ciała.

Trupy były dosłownie wszędzie.

Leżały na ulicach, pod ścianami domów, w zagrodach i na podwórkach.

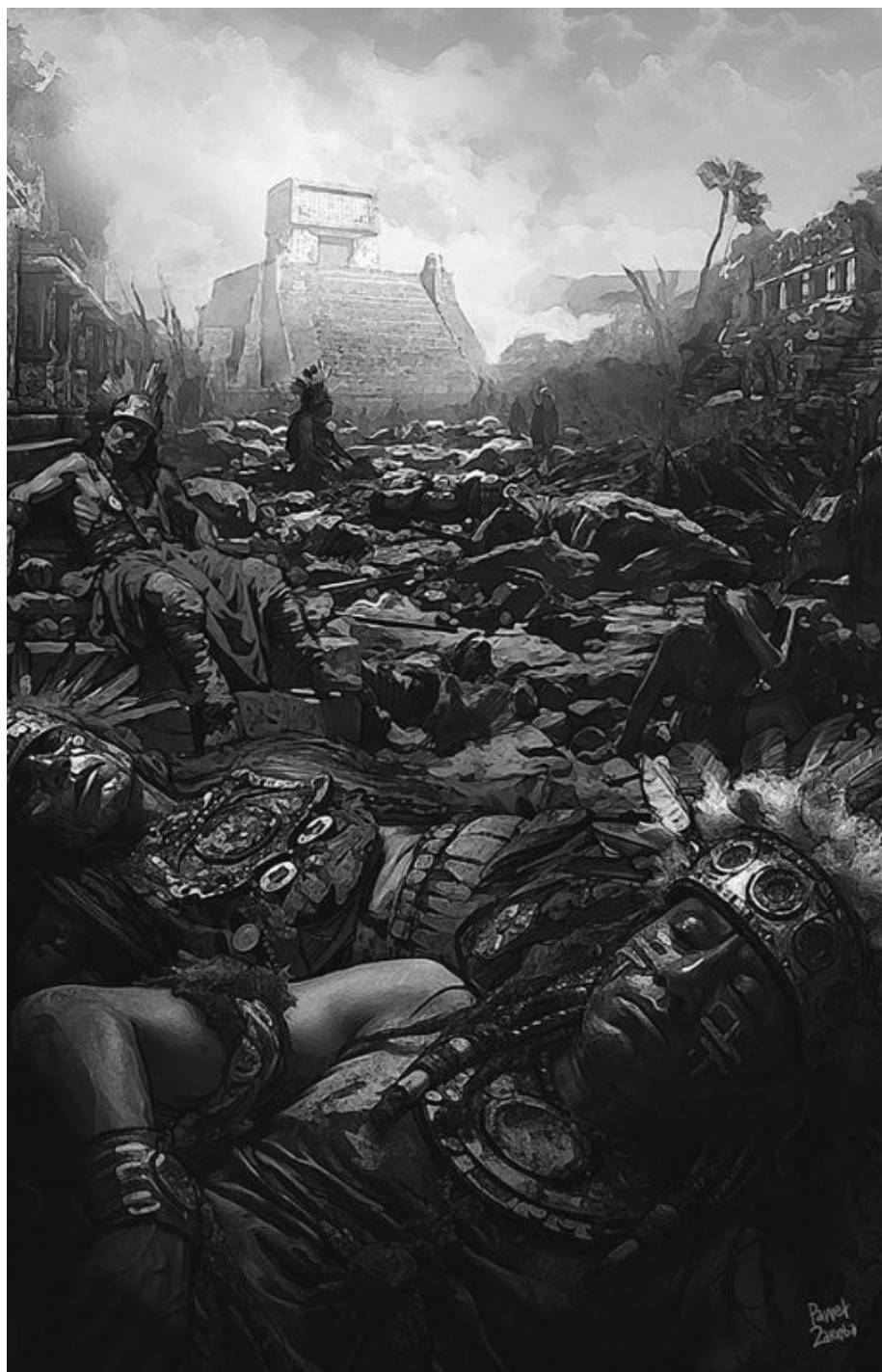
Zwieszały się z dachów domów.

Kuliły się w przejściach.

Patrzyły w szare niebo szklistymi oczami, nierzadko trzymając się za ręce.

Wszędzie kręciły się zwierzęta domowe, zdziwione nagłym bezruchem ludzi.

Stada gęsi gęgały radośnie, wyjadając kukurydzę z przewróconych mis.



Psy biegały po ulicach, ciesząc się, że ktoś wypuścił je z zagród, gdzie tuczono soczystą karmą czekały na zarżnięcie.

Indyki gulgotały, wyciągając groźnie szyje ku przechodzącym konkwistadorom.

– Zostaw. – De Monroy złapał Enriqueza za rękę, kiedy ten już zamierzył się mieczem na szczególnie agresywnego indora, dłuższą chwilę idącego za nimi i próbującego dziobać ich w łydki. – Sio! Sio, mówię, a kysz!

– W łeb go! – zachęcił towarzysza Valverde.

Jednak idący przodem Zahred obejrzał się przez ramię. To wystarczyło: uspokoili się od razu, a nawet samorzutnie ustawili trójkami w nierówną kolumnę marszową.

Indor pobiegł za nimi jeszcze kawałek, ale potem odpuścił, wrócił do swojego stadka. Enriquez opuścił miecz.

– Zostaw – powtórzył de Monroy półszepem. – Niech sobie żyje. Dość już krwi.

Krzyki słyszeli już z daleka, ale teraz przybierały na sile.

W uliczce przed nimi widać było już biegnących Indian, w jednym z domów buzował świeżo podłożony ogień. Jakiś wojownik w barwach Otomi właśnie wyciągnął za włosy na ulicę może dwudziestoletnią dziewczynę i zamierzył się na nią mieczem.

– Xicotencatl? Memexi? – zapytał go Zahred.

Indianin zamarł na chwilę, puścił dziewczynę. Ta spazmatycznie zaczerpnęła powietrza i załkała, spojrzała na Zahreda z nadzieją.

– Xicotencatl! – Otomi machnęła wolną ręką w kierunku piramidy świątyni i opuścił krzemienisty miecz.

Trzasnęła kość, ciało opadło na ziemię. Wokół głowy dziewczyny rozlała się kałuża krwi.

Im głębiej wchodzili w teatr działań, tym straszniejsze widzieli rzeczy.

Ciała porąbane dosłownie na kawałki.

Ludzie wsadzani głowami w ogniska własnych domostw.

Mężczyźni.

Kobiety.

Dzieci.

Kiedy ulicą obok nich przeszedł starzec o dwóch ziejących jamach w miejscu oczu i opalonych kikutach obydwu rąk, Rodrigo nie wytrzymał:

– Zwierzęta...!

– Człowiek, podobnie jak i zwierzę, robi dokładnie tyle, na ile mu się pozwala – odezwał się Zahred, nie patrząc na niego. Schylił się, pogłaskał idącego karnie u nogi Kefrena. – Jeśli pies rzuca się na gości, czyja to wina? Jego? Czy może pana, który nie potrafił nad nim zapanować?

– Kapitanie, ja tylko...

– Wiem, co wy tylko, żołnierzu. Ja usłyszałem was, wy usłyszeliście mnie. Zrozumiano?

– T-tak jest – bąknął Rodrigo.

Pozostali wymienili zdumione spojrzenia. Kogo mógł mieć na myśli ich kapitan? Zapewne mówił o dowódcach Indian.

Tak, z całą pewnością tak właśnie było.

Nie inaczej.

Na stopniach jednej z pomniejszych piramid wciąż trwał bój.

Część mieszkańców i wojowników Choluli schroniła się na wieńczącej szczyt platformie, którą teraz szturmowały siły wojowników pod sztandarami Tlaxcali.

Atakujących było co najmniej kilkukrotnie więcej niż obrońców, nawet teraz ich wojownicy wdzierali się na samą górę, nieubłagane, krok po kroku spychając tamtych w tył.

Zahred dał znak swoim ludziom, żeby poczekać na dole, a sam zaczął piąć się po schodach.

Śliskie od krwi, wysokie i wąskie stopnie nie dawały dobrego oparcia – chyba tylko dlatego obrońcy dali radę utrzymać się tak długo. Teraz jednak Tlaxcaltekwie wlewali się już na górę, zagrzewani okrzykami czekających poniżej towarzyszy.

Przepchnął się pomiędzy nimi i stanął na kamiennej platformie.

Wojownicy coraz mocniej spychali stłoczonych w jednym kącie kamiennego pomostu ludzi, próbujących jeszcze desperacko się bronić, ku krawędzi i otchłani za nią. Ktoś już poleciał z wrzaskiem w tył, złapał i pociągnął za sobą sąsiada...

– Xicotencatl! – krzyknął Zahred. – Dość!!!

Kilkunastu wojowników z Tlaxcali odwróciło się do niego, czerwonych od krwi i z żądzą mordy w oczach. Któryś zaśmiał się dziko, zamachnął włócznią i dźgnął pierwszego z brzegu człowieka z tłumu. Inni zakrzyknęli, też rzucili się do szlachtowania niemalże bezbronnych ludzi.

– Niech poczekają! – rozległ się głos.

Spomiędzy wojowników wynurzył się Xicotencatl.

Wcale nie najwyższy, może nie najroślejszy spośród nich, o twarzy pokrytej bliznami po krostach – na pierwszy rzut oka nie wyglądał na przywódcę.

A jednak reszta zamarła w pół kroku, wstrzymała wzniesioną do uderzenia broń, czekając: czego chciał przybysz od ich wodza?

– Xahuatl! – zawołał radośnie tamten, przerzucił zakrwawiony miecz do lewej ręki i gestem przywitania położył mu dłoń na ramieniu. – Xahuatl przybywa, aby podziwiać tryumf Tlaxcalteków?

– Tlaxcalteków i Otomi – wtrącił Maxcatl, również wysuwając się z tłumu.

Zahred pokręcił głową, potoczył po wojownikach wzrokiem.

– Xahuatl przybywa, żeby powiedzieć: dość zabijania – odezwał się głośno.

– Cholultekowie jeszcze żyją! Xahuatl na pewno chce zobaczyć, jak Tlaxcaltekwowie uczą ich latać! – zaśmiał się Xicotencatl.

Wojownicy zaśmiali się razem z nim, któryś skoczył w kierunku stłoczonych na krawędzi, zamachnął się mieczem. Następny dzgnął włócznią.

Ludzie krzyknęli, cofając się o krok bliżej ku przepaści.

– Dość! – huknął Zahred. – Xahuatl mówi: koniec! Nie będzie zabijania!

– Tlaxcala nie słucha Xahuatla! – parsknął jakiś wojownik ubrany w czerwone pióra. – Tlaxcala mówi: śmierć Cholultekom!

– Śmierć...! – podchwycili inni.

– Nie. Będzie. Zabijania – zawarczał Zahred, opuszczając głowę jak szykujący się do ataku pies.

– Bogowie łakną krwi! Bogowie nie nasycili się jeszcze, a żaden przybłąda nie będzie...

Zahred ryknął i skoczył, wznosząc siekiere nad głowę.

Oponent poderwał swój topór, zablokował cios – i w tej samej chwili głowica pałaza strzeliła go prosto w skroń. Trzasnęło sucho, pod wojownikiem ugięły się nogi, wypuścił broń i byłby upadł... Gdyby nie to, że żeleźce siekiery wbiło mu się od dołu pod mostek.

Sapnął ciężko i zawisł na nim, przewrócił oczami, zezując na Zahreda.

Ten złapał oszołomionego pod ramiona, powlókł i rzucił na kamienną płytę ołtarza. Odwrócił się do tłumu, przeszukał go spojrzeniem... Pokazał pałaszem na kogoś.

Spomiędzy stłoczonych w rogu platformy ludzi wysunął się drżący, ledwie trzymający się na nogach staruszek w podartych szatach kapłana i przekrzywionym, zmiętym pióropuszu.

Zerknął na Zahreda.

Ten z zaciętym wyrazem twarzy skinął głową, odsunął się na bok.

Staruszek sięgnął za plecy, już za drugim razem drżącą ręką wyjął z pochewki kamienny nóż.

Nikt nie odezwał się ani słowem. Nie krzyknął. Nie zaprotestował, kiedy stary kapłan może i wprawnie, ale bez koniecznej do tego siły i werwy zabrał się do swego ponurego, krwawego dzieła.

Patrzyli na to w milczeniu – wojownicy i mieszkańcy, Cholultekowie, Tlaxcaltekwowie i Otomi, napastnicy i ofiary.

W końcu, po zdecydowanie zbyt długiej chwili, sapiący ze zmęczenia starzec odwrócił się i podał Zahredowi wyrwane z piersi wojownika, ociekające krwią serce.

Ten podniósł trofeum wysoko ku szaremu, ponuremu niebu.

– Czy teraz bogowie się nasycili? – zapytał przez zaciśnięte zęby. – Czy nasycili się, Xahuatl pyta...?!

– Bogowie nasycili się. Nie będzie więcej zabijania – odezwał się Xicotencatl.



Wojownicy niepewnie odstępili w tył, opuszczając broń.

Cholultekowie z równym wahaniem zrobili ostrożny krok w przód, spoglądając po sobie: to prawda? Nie zginą, nie zabiją ich? To naprawdę koniec...?

Zahred spojrział na nich, na dyszących ze zmęczenia po rzezi Tlaxcalteków. Skinął głową Maxcatłowi, który patrzył na niego z mieszaniną podziwu i zdumienia, niczym na kogoś z innego świata, jakby zastanawiał się: kim jest ten człowiek? Schował pałasz do pochwy, wsunął za pas siekiere i powoli, sztywnym krokiem zaczął schodzić z piramidy.

Miasto wciąż płonęło, nadal uwijały się po nim oddziały i bandy sprzymierzonych Indian, ale niosące się krzyki piszczałek i nawoływania stopniowo uspokajały żądzę krwi: dość, koniec! Zebrać łupy, zgonić jeńców na place...! Oszczędzić, więcej nie mordować...!

Xicotencatl dogonił Zahreda w połowie drogi, złapał za ramię i obrócił ku sobie:

– Xahuatl ma popiół w oczach. Co się stało?

Zahred spojrział na niego, na krew ściekającą z platformy.

Na swoich ludzi, kręcących się na dole.

Otworzył usta, rozłożył ręce... Pokręcił głową i ciężko usiadł na stopniu.

– Xahuatl ma dość – mruknął, wbijając wzrok w schodzone czubki własnych butów.

– Xahuatl jest wielkim wojownikiem. Xahuatl zna mowę Tlaxcalteków i Otomi. – Xicotencatl potrząsnął głową. – Xahuatl musi mieć wiele kobiet i dużo łupów. Jak może mieć dość?

– Po prostu. Ci ludzie, to miasto... Po co?

– Co po co? – nie zrozumiał Indianin.

– Po co ich mordować? To niewinni, bezbronni ludzie... Tak, Xahuatl wie! – Zahred rozłożył ręce. – Cholula to wrogowie, Cholula to niegodne psy i zdrajcy. Tak samo jak Otomi, tak samo jak Totonakowie... I jak Mexikowie. I każdy inny, kto nie jest Tlaxcaltekiem.

– Xahuatl mówi jak prawdziwy mędrzec. Jakby Xicotencatl słyszał swojego ojca. – Wojownik przyłożył dłoń do serca w geście uznania.

– Ale po co? To tylko ludzie, nie wojownicy. Bogowie nie cieszą się chyba ich śmiercią...

– Ich śmierć jest miła królowi Karolowi, któremu Tlaxcala przysięgła posłuszeństwo – odpowiedział prostodusznie, zupełnie szczerze Xicotencatl. – Im więcej Tlaxcaltekowie zabiją Cholulteków, tym bardziej król Karol będzie widział, że są mu wierni. Nagrodi ich ziemią, pięknymi domami i kobietami. Będą chodzić jak dostojnicy, a wszyscy inni będą kłaniać im się w pas.

Zahred przeciągnął dłonią po twarzy, pokręcił głową. Spojrział na Xicotencatla przez rozczapierzone palce.

– Król Karol nawet nie wie, że Tlaxcala istnieje. Nie wie o istnieniu Xicotencatla, nie wie o tym, jak dzielnie biją się jego wojownicy. Zapewne nie

jest też świadom tego, że tu jesteśmy... Ani tego, że caudillo Cortés przedsięwziął tę wyprawę.

Xicotencatl zamrugał, próbując przetrwać właśnie usłyszane słowa.

– Cortés mówił Xicotencatlowi, że król będzie z niego dumny, kiedy Tlaxcaltekwie zabiją wielu Cholulteków... – powiedział zmieszany.

– Kiedy? I kto przekazał te słowa?

– Dziś rano do Xicotencatla i innych wodzów przyszli ludzie od Cortésa. Mówili dziwnie, jak niemądre dzieci! – Wojownik zaśmiał się na samo wspomnienie. – Nauczone słów na pamięć, przekręcające wyrazy.

– Co dokładnie powiedzieli zatem Xicotencatlowi?

– Powiedzieli, że gruby pies Cortés będzie skakał z radości, kiedy Cholula zamieni się w pustą dom. – Indianin wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Mówili jak pijane czterolatki. Ale Xicotencatl wie, że chcieli powiedzieć: wódz Cortés będzie zadowolony, kiedy Cholula nie będzie miała mieszkańców.

– I powiedzieli to... w języku *nahuatl*?

– Xicotencatl sam słyszał te słowa. Powtarzali je w kółko, aż w końcu Maxcatl kazał im odejść. Poszli, ale patrzyli na wojowników Tlaxcali dziwnie, kiedy ruszali do boju. I wołali za nami: gruby pies Cortés, gruby pies Cortés!

Zahred zacisnął pięści i spojrzał w kierunku Pałacu Kolibra.

„Wysłałem wcześniej ludzi”, powiedział mu przecież Cortés. Ludzi, którzy musieli jakoś porozumieć się z Indianami... A nie znając języka, zapewne powtarzali przekazane przez kogoś słowa.



– Zdrajcy! Wiarołomcy! Powinno się kazać was publicznie torturować, a potem ściąć toporem! – zakrzyknął Cortés.

Wyprowadzeni na środek dziedzińca przed Pałacem Kolibra dostojnicy z Choluli – nieliczni, którzy przeżyli pogrom pod świątynią, i jeszcze kilku, którzy odważyli się przyjść na zapowiedziane rozmowy – skulili się niczym bite psy, które widzą kij w ręku właściciela.

Stojąca obok caudilla doña Marina postąpiła krok naprzód i odezwała się w języku Indian:

– Wielki wódz Cortés mówi: Cholultekwie są zdrajcami, nie dotrzymują słowa. Cortés każe ich dręczyć na oczach ludzi, a potem oddzielić głowy siekierami! Cholultekwie będą cierpieć wielce, gdy...

– Nie powiedział tego – warknął stojący zaraz za caudillem Zahred.

Cortés drgnął, obejrzał się:

– Co...?

– Pilnuję precyzji tłumaczenia.

– Daj spokój, doprawdy! – zirytował się caudillo. – Doña Marina zna moje myśli, ma moje zaufanie. Nie musisz udowadniać w ten sposób, że jesteś potrzebny. No już, mówże dalej, Marina.

Zahred zacisnął zęby, nie odezwał się więcej. Malintzin powiedziała jeszcze kilka nic nieznaczących, ogólnikowych słów, powtarzając wcześniejszą myśl.

– Wielki, najwyższy panie! – załamał ręce jeden z dostojników. – Niech biały wódz Cortés nie wini Choluli za nic! To nie jej myśli, nie jej czyny...!

– Czyje więc? Kto szykował powrozy na nasze szyje, kajdany na ręce?

– To rozkazy Montezumy, najwyższy! To Montezuma kazał Choluli źle przyjąć przybyszów, powiedział: bądźcie gotowi uderzyć na nich! To jego złe języki wieczorami szeptały Cholulcekom do ucha rzeczy niegodne gospodarzy czekających na gości! – zawołał dostojnik, po czym wyciągnął oskarżycielski palec ku stojącym w rogu ambasadorom z Tenochtitlán. – To oni skierowali myśli i dłonie mieszkańców Choluli ku złemu! To ich niech ukarze najwyższy Cortés, niech odetnie ich głowę od ramion!

Sploszony ambasador Teudile rozejrzał się, zamachał rękami i krzyknął:

– Niech Cortés nie słucha łgarstw! Montezuma jest przyjacielem Cortésa, tak samo jak przyjaciółmi są jego posłowie! Montezuma nie chciałby nigdy niczego złego, bo jest...

– Milczeć! – huknął Cortés.

Obejrzał się na stojących z boku kapitanów. Widać było, że ci najchętniej zakończyliby jałowy spór tu i teraz; w ich twarzach dało się wyczytać nieskrywaną wrogość i pogardę. Niektórzy gładzili rękojeści mieczy, jakby tylko czekając na rozkaz.

Przeniósł wzrok na Zahreda, ale ten patrzył wprost przed siebie, udając, że nie widzi niewypowiedzianego pytania.

– Wasze przewiny są wielkie! – zwrócił się do obu grup Indian. – Zaś nasz gniew jeszcze większy. Przybyliśmy tu jako przyjaciele, w dobrej wierze, niosąc wam Słowo Boże... Rzuciliśmy ziarno wiary, a ono upadło pomiędzy ciernie! Teraz nie dobrym uczynkiem, a ogniem karczować będziemy ten ugór!

– Najwyższy! – Dostojnik padł na kolana, uderzył czołem o ziemię. – Cholula błaga Cortésa o wybaczenie! Niech przeprosiny ludu Choluli dotrą do uszu Cortésa, niech ukoją jego serce! Miasto będzie wiernie mu służyć, płacić daninę i oddawać cześć! Władca Cortésa będzie naszym władcą, nasi ludzie jego ludźmi...!

Ambasador Montezumy aż się zapowietrzył, słysząc tak bezczelnie otwarte wypowiedzenie przysięgi wierności, jednak nie powiedział nic. Nie na darmo zaprowadzono ich wcześniej na szczyt piramidy, aby sami ujrzeli, co stało się z miastem... I co dziać się może nadal, jeśli tylko biały wódz skinie ręką.

Ale Cortés uśmiechnął się, przyglądził węża.

– Co mojemu królowi po mieście duchów i pustych domach? – zapytał, biorąc się pod boki.

– Najwyższy! Pozwólcie swoim sługom pójść tam, gdzie schowali się przerażeni armią Cortésa mieszkańcy Choluli. Słudzy Cortésa, niegodni i żałośni, powiedzą im: nasz pan, najwyższy Cortés, zmiłował się i przebaczył wam! Wróćcie do swoich domów, aby przyjąć nowego władcę!

Kapitanowie zamruczeli, pokiwali głowami: no, i teraz to była rozmowa!

O wiele bardziej pasowało im, kiedy ubrani w pióra, półnaczy dzicy korzyli się przed nimi w prochu, z przerażeniem w oczach błagając i prosząc, niż kiedy tamtym zdawało się, że mogą mówić do synów Kastylji jak do równych sobie.

– Dwóch z was niech idzie – zdecydował Cortés. – Macie czas do jutra w południe, aby przekonać ludzi do powrotu. Jeśli nie, nasz gniew rozgorzeje na nowo!

– Najwyższy...! – Dostojnik ponownie padł na twarz, po czym odczołgał się w tył.

– Tymczasem niech ci, którzy zostali, zaczną porządkować i czyścić ulice. Chcę też, aby ze wszystkich waszych pogańskich, plugawych przybytków zniknęły bożki i ohydne bałwany, które...

– Ahem... – odchrząknął ojciec de Olmedo.

– Chcę, aby DOCELOWO z waszych świątyń zniknęły posągi bożków – poprawił się Cortés. – Zacniemy zaś od jednej, najwyższej z nich, którą pobielicie wapnem, a my wyświęcimy i zawiesimy tam krzyż naszego Zbawiciela oraz obraz Jego Matki. Dobrzy panowie, odprawimy mszę za zwycięstwo!

Kapitanowie zakrzyknęli radośnie wielkim głosem, wiwat poniósł się po placu i rozlał na ulicę, skąd wrócił echem.

Caudillo spojrział na ambasadorów, zmrużył oczy.

– Co do was zaś... To wy winni jesteście podburzania Choluli przeciwko nam.

– Wysoki panie! Nie godzi się, aby... – Przewodzący delegacji zrobił krok w kierunku caudilla.

Któryś ze stojących obok pikinierów przerzucił włócznię w rękę, niemalże od niechcienia uderzył dostojnika tyłcem w splot słoneczny. Mexik zgiął się, rozkasłał i opadł na kolana.

Ludzie zarechotali niczym z dobrego żartu: tak! W ten sposób powinni z nami rozmawiać!

Zahred aż bujnął się w przód i zacisnął pięści, ale zaraz cofnął się na swoje miejsce; za to siedzący przy jego nodze Kefren podniósł uszy i zawarczał głucho.

Stojący po przeciwległej stronie placu Totonakowie, Otomi i wojownicy pod sztandarami Tlaxcali też zachowywali milczenie. Dla nich znęcanie się nad jednym w obecności wielu było w najlepszym razie niezrozumiałe: po co uderzać, jeśli nie chce się zabić? Jaki jest sens bić kogoś, kto nie może oddać? Jaka w tym chwala?

– Panie... – wyjęczał ambasador, podnosząc się chwiejnie. – Cholula nie słyszała słów najwyższego Montezumy! Montezuma nie mówił, aby cokolwiek złego działo się armiom jego gości i przyjaciół.

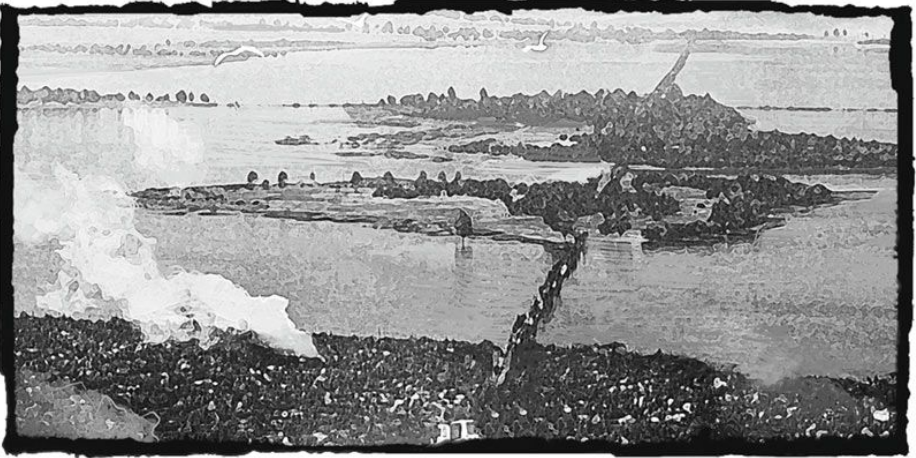
– Skąd zatem wasze wojska? Skąd przygotowania do zasadzki? Po co te szykany, trzymanie nas o głodzie i chłódzie? Montezuma mówi, że jest naszym przyjacielem, ale zachowuje się jak wróg!

– Wysoki panie! Jeśli tylko Cortés pozwoli, aby ktoś ruszył do Tenochtitlán i tam porozmawiał z Montezumą, ten niechybnie wyjawia mu prawdę! Niech przemówi sam najwyższy Montezuma!

– Niech będzie, wyślijcie posłańców. Ale my też ruszymy ich śladem! – zawołał Cortés, wyciągając szpadę i wznosząc ją w powietrze. – Skoro Montezuma zmienił zamiary względem nas, to i my zmieniamy nasze! Teraz wkroczymy na jego ziemię nie jako petenci, a jako ci, co narzucają warunki! Niech wie, że zamiast gałązki oliwnej od dziś niesiemy mu miecz!

Żołnierze zakrzyknęli dziko, radośnie. Tak! Tak, ruszajmy! Ruszajmy na Montezumę, na Tenochtitlán...! Ruszajmy teraz, zaraz, jeszcze dziś!

Zahred odwrócił się, przecisnął przez tłum i zbiegł na dół po schodkach, kierując się ku otwartej na oścież bramie, wiodącej ku pustym ulicom dopalającego się miasta.



## Rozdział 10

**N**ajwyższy, źrenico słonecznego oka! Władco wszechrzeczy... Cholula zniszczona!

Montezuma zakrztusił się i wypuścił z ręki kawałek placka, który pacnął prosto do miski, rozchlapując miód z ziołami na przepięknie tkany kolorowy kobierzec.

Stojący przy drzwiach wojownicy od razu skoczyli ku intruzowi, który ośmielił się wdrzeć do komnaty i zakłócić spokój władcy.

Montezuma powstrzymał ich jednak gestem: rozpoznał ambasadora, który leżał teraz, drżąc cały, na posadzce komnaty, nie śmiejąc podnieść wzroku.

– Niech... niech Teudile mówi! – wykrztusił władca, czując, jak w piersi zaczyna mu się formować lodowata gruda niepokoju, a na gardle zaciskają się szpony nienazwanego strachu.

– O władco, Najwyższy! Niegodny sługa swego władcy zdążył prosto stamtąd! Trzy dni bez snu i odpoczynku spieszylimy, aby...

– Niech mówi!

– Tak, o Najwyższy! Słudzy Montezumy, powolnie rozkazom najwyższego króla, powrócili do Choluli, aby przekazać jego słowa białemu wodzowi przybyszów. Ten wysłuchał ich, jednak potem...

Montezuma słuchał, mając jednocześnie wrażenie, że jego duch jest gdzieś obok.

To nie mogło być prawdą.

To nie mogło dziać się na jawie.

To tylko zły, szalony sen, który zesłali na niego bogowie.

Sen, w którym dzieją się rzeczy, jakie nie mogły mieć miejsca.

W wejściu do komnaty jadalnej już tłoczyli się inni, którzy albo przybyli tu razem z ambasadorem, albo dowiedziawszy się o jego przybyciu, pospiesznie ścignęli na miejsce.

Zaniepokojone twarze, zmarszczone lub uniesione w niedowierzaniu brwi i rozłożone bezradnie ręce. Szeroko rozwarte oczy. Półotwarte usta i uszy, chciwie łapiące każde słowo. Z początku trzymali się daleko, ale stopniowo, ośmieleni tym, że władca nie kazał ich przegnać, przysuwali się coraz bliżej i bliżej.

Kątem oka Montezuma zarejestrował, że w jadalni pojawił się Itzli.

Jako pierwsze zniknęły przegonione nałożnice i grajkowie, potem odesłano pod opieką nianieek gromadkę starszych dzieci, z którymi władca spożywał dziś wieczerzę.

Pojawił się jeden urzędnik, drugi. Dowódca Domu Jaguara, wraz z nim kilku doborowych wojowników. Paru starszych rangą dygnitarzy. Jeszcze jeden wódz akurat goszczącego na święta plemienia z północy.

Zaś ambasador mówił i mówił, przerywając tylko po to, aby zaczerpnąć tchu... Natomiast Montezuma coraz mniej był skłonny uwierzyć w to, co słyszy.

– Całe miasto?! – nie wytrzymał w końcu. – Jak, jakimi siłami garstka ludzi może wybić całe miasto? Jak można podpalić świątynię? Gdzie byli kapłani, wojownicy... Gdzie byli bogowie?!

– Bogowie opuścili Cholulę, o Najwyższy! – zaszlochał Teudile. – Trąby ze świętych muszli wołały i grzmiały ze szczytu świątyni, lecz niebiosa pozostały zamknięte! Słudzy Montezumy słyszeli, jak kapłani dmą w nie raz za razem... A potem przestali, o Najwyższy! Kiedy przybysze zabili już wszystkich, wypuścili sługi Montezumy z zamknięcia i pokazali im, co uczynili... Kazali wejść na świątynię, ujrzeć na własne oczy rozbite i spalone posągi bogów! Nie ma, nie ma już dla nas ratunku! Nie pomoże nam nikt ani nic, bo...!

Itzli zrobił ledwie dostrzegalny ruch ręką, dwóch ludzi podniosło ambasadora na nogi i odciągnęło gdzieś na bok. Ten obejrzał się, potrząsnął głową, zawołał coś jeszcze, ale Itzli stanął już przed dostojnikami i przemówił:

– Huēi Tlahtoāni Montezuma jest zmęczony, kolacja dobiegła końca. Odejdźcie w pokoju.

Ci popatrzyli po sobie, ale posłusznie skłonili się i zaczęli wycofywać.

Im bardziej się oddalali, tym głośniej rozbrzmiewał gwar zaniepokojonych rozmów, odbijał się od sklepień pałacu, rezonował i rozlewał się na kolejne korytarze, pomieszczenia i dziedzińce, dudnił echem w głowie Montezumy.

– Nie ma dla nas ratunku... – powtórzył władca zbielełymi wargami, patrząc w pustkę.

– Panie! – Itzli skłonił się i uklęknął przed Montezumą, roztrzucając miski. – Panie, Itzli pragnie przemówić, mimo że Montezuma nie raczył zapytać go o nic.

– Mów – szepnął król.

– Itzli radzi: niech Montezuma nie smuci się przedwcześnie.

– Przedwcześnie...? – Montezuma zamrugał, spojrzał na niego. – Kiedy nasza zagłada jest kilka dni drogi stąd? Kiedy biały wódz idzie ku nam, niszcząc i paląc wszystko na swojej drodze? I kiedy mówi, że zamiast pokoju przyniesie teraz wojnę, wkraczając jako siejący zniszczenie wróg?

– Synu jutrzeńki, zbyt wcześnie na mówienie takich rzeczy. Tak, przybysze zostali zaatakowani... ale przecież nie uczynił tego Montezuma ani nikt na jego rozkaz.

– Nie?

– Nie, o Najwyższy! – Itzli uśmiechnął się, pokręcił głową. – Winni są dwaj dowódcy garnizonów, jeden z Izúcar i drugi z Acatzincó! To oni bratali się z Cholulą, to oni podjuczili tych głupców, aby wystąpili przeciwko przybyszom!

– Tak? – z nadzieją zapytał Montezuma, lecz zaraz zadrżał: – Co jednak, jeśli Cortés zapyta ich, jak było? Skąd Montezuma ma wiedzieć, co tamci powiedzą?

– Nie powiedzą nic, o Najwyższy. Obydwaj poległ w walce i uczują teraz z bogami.

Montezuma zmrużył oczy, nachylił się do władcy Domu Szeptów.

– Itzli wiedział o tym wcześniej! – syknął.

– Itzli wiedział tylko to, czego dowiedział się sam. – Tamten skłonił głowę w geście pokory. – I co pozwoliło mu dać najwyższemu Montezumie radę, kiedy ten jej potrzebuje.

Król sapnął, oparł się plecami o ścianę.

– Niech więc Itzli powie mi, jak brzmi jego rada w całości... I oby tym razem okazała się trafna.

Władca Domu Szeptów przyłożył dłoń do serca, uśmiechnął się i zaczął mówić.



– ...prosi też, aby wielki Cortés raczył przyjąć te skromne dary jako dowód niezachwianej przyjaźni najwyższego Montezumy – dokończył ambasador, wskazując ręką na czekających już za nim tragarzy.



Indianie zaczęli podchodzić jeden po drugim, układać na rozścielanych kobiercach i rozwijać niesione pakunki.

Stojący przy Cortésie kapitanowie, z początku niewzruszeni, zaczęli coraz szerzej otwierać oczy i wyciągać szyje, aby przyjrzeć się podarkom. Złoto, drogie tkaniny, ozdoby z piór... Chyba najwięcej, ile dostali do tej pory!

Jednak sam caudillo zdawał się nie być pod wrażeniem. Zaczekał, aż orszak tragarzy zakończy swoje czynności, po czym odezwał się, tłumaczony przez Malintzin:

– Przyjmuję te faktycznie skromne upominki i pozostaję pewny przyjaźni mojego druha, króla Montezumy. Jednakże nie mogę przystać na jego prośbę, aby nie odwiedzić go w jego pięknej stolicy.

– Wysoki! – Poseł załamał ręce. – Montezuma mówi: ludzie Cortésa będą głodować! Każdą miskę kukurydzy, każdy kubek *pulque* muszą przynieść do Tenochtitlán tragarze idący po długiej grobli na jeziorze!

– Niech jeszcze powie, że Montezuma jest chory – warknął z tyłu de Sandoval.

Kilku kapitanów parsknęło śmiechem: to powiedzenie funkcjonowało już wśród Kastyljczyków jako dyżurny żart.

Jednak Cortés spojrział tylko na nich gniewnie, a gdy ucichli, odpowiedział Teudilemu:

– Jestem wdzięczny mojemu przyjacielowi Montezumie za jego troskę. Ma rzeczywiście rację i jego argumenty trafiają do mojego przekonania: sam nie chcę, aby moi ludzie głodowali...

– O wysoki! – Ambasador z radości aż padł na kolana, dotknął ziemi czołem. – Przekażę słowa wielkiego Cortésa królowi Mexików, najwyższemu Montezumie! Niechybnie każe przysłać jeszcze więcej złota i podarków, aby Cortés nie wracał na wschód z pustymi rękami!

– Ale tutaj pojawia się problem. – Cortés uśmiechnął się nieszczerze. – Otóż mój pan i władca, Jego Królewska Wysokość król Karol, wydał mi bardzo konkretne polecenia. Wizyta w królestwie Montezumy i u samego Montezumy nie jest moją zachcianką ani wyborem. Jest zaiste moim obowiązkiem, zaś mój król będzie żądał, abym przedstawił mu relację z takiego spotkania. Dlatego też zwyczajnie musi do niego dojść.

Uśmiech spłynął z twarzy Teudilego. Widać było, jak przez głowę przelatuje mu tabun myśli, ale chwilę potem dostojnik wstał, skłonił się nisko.

– Niech zatem tak się stanie, o wielki. Najwyższy Montezuma będzie zachwycony, mogąc spotkać się z Cortésem.

Audiencja dobiegła końca, ambasador wraz ze świtą wycofali się do swych kwater.

Kapitanowie ruszyli ku podarkom, oglądając je z uznaniem, podnosząc co piękniejsze wyroby ze złota i dotykając tkanin: toż to był prawdziwy skarb!

Jednak Cortés siedział w swoim fotelu, pogrążony w myślach. W końcu otrząsnął się jak ze snu, rozejrzał...

– Memexi! – zawołał na wodza Totonaków.

– Memexi jest tutaj – odezwał się tamten, wysuwając się z cizby.

– Czy Memexi podtrzymuje swoją decyzję o tym, że on i jego ludzie pragną wrócić do Cempoali?

Wódz westchnął, pokiwał głową.

– Tak, panie. Wojownicy Cempoali są zmęczeni, dawno nie widzieli swoich kobiet i dzieci. Wielu z nich obawia się gniewu Montezumy... I gniewu przodków po tym, co ostatnio się wydarzyło.

Cortés skrzywił się, ale nie zareagował. „Przodkowie” ostatnio stali się dla Indian bardzo wygodnym eufemizmem na „bogów”, zaś on nie mógł nic z tym zrobić.

– Zatem moją prośbą będzie, aby Memexi miał pieczę nad naszym miastem, które tam zostawiliśmy. Vera Cruz będzie potrzebować jego opieki i być może rady, zaś mój tamtejszy gubernator na pewno nie pogardzi przyjaźnią Memexiego.

– Memexi ma swoich ludzi i swoje miasto! Będzie miał... – zachnął się wódz, ale Cortés podniósł rękę:

– To moja wielka osobista prośba. Aby poprzeć ją odpowiednio, niech Memexi zechce przyjąć te dary, które złożył u moich stóp Montezuma.

Wódz otworzył usta.

Zamknął.

Spojrzał ku rozłożonemu na ziemi złotu i ozdobom.

Dało się dostrzec, że jest zaskoczony nie mniej niż trzymający kosztowności w rękach konkwistadorzy.

Popatrzył na swoich wojowników, których twarze wyrażały teraz najszczerze zdziwienie, błyskawicznie przeradzające się w radość.

– Memexi... – zaczął i zaciął się, po czym skłonił się nisko. – Memexi pozostaje przyjacielem Cortésa! Memexi dopilnuje, aby miasto na wybrzeżu rosło i rozwijało się w pokoju, bezpieczne od zagrożeń. Gubernator i przyjaciel Cortésa będzie przyjacielem i sojusznikiem Memexiego.

Caudillo skinął oszczędnie na znak zgody, wychwycił wiele znaczące spojrzenie Zahreda. Dał znak: pomówimy później.



– Obawiasz się o los Vera Cruz? – zapytał Zahred, kiedy jakiś czas później zostali sami.

Cortés westchnął, spojrzał na niego ciężko.

– Staram się nie dopuszczać do siebie takiej myśli, ale... tak. Jeszcze wtedy, kiedy ledwie wyruszyliśmy, a ja zawróciłem z ludźmi, pomyślałem sobie:

co zrobimy, jeśli oni nas wezmą w dwa ognie?

– „Oni”? – Zahred przysiadł zwyczajem Indian na słomianej macie.

Caudillo zrobił w powietrzu nieokreślony gest.

– Oni! Gubernator Kuby, któremu zagraliśmy przecież na nosie, odpływając z portu. Którykolwiek z agentów Korony, pytający o nasze umocowania prawne... Albo i jeden z lokalnych watażków i odkrywców, przekonanych, że powinniśmy podzielić się z nim Nowym Światem!

– Watażków takich jak my. – Zahred uśmiechnął się.

– Wtedy się udało bez rozlewu krwi, tylko co z tego? Przecież gubernator Jamajki nie jest głupcem i na pewno już słyszał od przybyłego wtedy Álvareza de Pinedy, że tu jesteśmy. Co z tego, że przekabaciłem na naszą stronę jego ludzi? Wieść się rozniesie...

– Zawróćmy zatem.

Cortés spojrział na niego uważnie.

– Mówisz... serio?

– Najzupełniej. Widzieliśmy rzeczy, o jakich ludziom się nie śniło. Mamy dość bogactw, aby nie przejadły ich nasze wnuki. Gdy wrócimy teraz, król na pewno wybaczy nam to lekkie nadużycie jego zaufania... Szczególnie kiedy oddamy mu połowę złota.

– Połowę! – prychnął caudillo. – Sześć z dziesięciu części już obiecałem żołnierzom.

– Tak jakby ktoś to liczył. Natomiast jeśli chcesz, ja poświęcę swoją część łupów.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu, Hernán. Złoto to tylko miękki metal, nic więcej.

– Ale oni tam muszą mieć go tyle... – Caudillo przygryzł kostkę kciuka. – Do diaska! Mam wrażenie, że Montezuma wciąż próbuje zbyć nas ostatkami z pańskiego stołu!

– Albo daje wszystko, co tylko ma. Natomiast jeśli z takiego czy innego powodu stracimy Vera Cruz... – Zahred zawiesił głos. – To wraz z nim znika jakikolwiek, legalny czy też nie, pretekst dla naszego pobytu tutaj.

Cortés potrząsnął głową w zdumieniu.

– Poczekaj, czy ty próbujesz mnie teraz zniechęcić do dalszej drogi? Przecież ta wolta z założeniem miasta była twoim pomysłem!

– Owszem, i tym bardziej powinieneś to rozważyć, bo teraz to właśnie ja mówię: mogliśmy łutem szczęścia chwycić większy kawał mięsiwa, niż zdołamy przełknąć.

Caudillo zamyślił się.

Zahred przysunął się bliżej, zaszeptał gorączkowo:

– Zostawmy garnizon tutaj, w Choluli. To ogromne miasto, sam widziałeś: mogłoby równać się z dowolną stolicą Europy! W tej chwili jego starszyzna przysięgła wierność naszemu królowi. Pomyśl tylko, jakie to będzie piękne, kiedy wejdziemy na dwór i powiemy: Wasza Królewska Mość! Oto przynosimy wam w darze Nowy Świat i już poddane waszej woli w nim nie

jedno, nie dwa, ale pięć miast! Największe z nich liczy sobie, lekką ręką dając, sto tysięcy dusz... Gotowych do przyjęcia wiary katolickiej!

Urwał na chwilę, odsunął się i popatrzył z nadzieją. Cortés podniósł wzrok, pokiwał z początku niepewnie, potem coraz mocniej:

– Tak... Tak, to by mogło się udać! Wrócić teraz, zebrać całą armadę, a potem...

– Wyobraź sobie, co będzie, kiedy wejdiesz tam i powiemy: oto rzucamy Waszej Królewskiej Mości do stóp cały Nowy Świat! – odezwał się głos od drzwi. – Wszystkie jego miasta przysięgły wam na wierność, zaś sam jego władca przypląnął z nami, aby upaść wam do stóp...! Oto prawdziwie królewski dar!

Cortés drgnął, skierował wzrok na stojącą w progu doń Marinę. Zahred zacisnął usta, obejrzał się przez ramię.

– Wizja zaiste piękna. A dorzucimy księżyc i przygarść gwiazd dla okraszy? – warknął.

– Marina, my właśnie... – Caudillo zaczął podnosić się ze swego fotela.

Dała mu gestem znak, żeby siedział.

Podeszła, przesunęła mu dłoń po ramieniu i potem zaplotła ręce na piersi, przytuliwszy policzek przy jego uchu, po czym odezwała się ze śpiewnym akcentem:

– Planujecie, słyszę. I mam nadzieję, że nie opuszcza was odwaga i wiara w naszą szczęśliwą gwiazdę.

Zahred uśmiechnął się, bo teraz patrzyli na niego oboje.

Cortés odwzajemnił uśmiech, poklepał rękę dziewczyny i położył na niej swoją dłoń.

Natomiast twarz dońi Mariny była zimną, pozbawioną emocji maską zacięcia i czystej nienawiści.

– Zastanawialiśmy się właśnie nad tym, czy nie należałoby zawrócić do Vera Cruz – powiedział Cortés.

– Miasto jest bardzo ważne, zgadzam się – przytaknęła Marina. Delikatnie pocałowała caudilla w policzek i zmieniła pozycję, aby móc patrzeć mu w twarz... Przy czym od razu rozpromieniła się, niczym spoglądający w słońce wiosenny kwiat. – Kluczowe wręcz, i właśnie dlatego posłałeś tam Memexiego. Przyznaję, że sama nie dałabym im aż tyle... Ale hojność to cecha ludzi wielkich. Na szczęście dary zwrócą się w dwójnasób, jak tylko dotrzemy do Tenochtitlán.

Zahred przez cały czas uśmiechał się, patrząc wprost na Marinę.

Ta również uklękła na macie obok Cortésa, ale przysunęła się bliżej fotela, siadając niczym wierne zwierzę u nóg swego właściciela.

Caudillo delikatnie dotknął jej policzka.

– Droga do Tenochtitlán może nie być w tej chwili najrozsądniejszym wyborem – odezwał się Zahred. – Jest nas mało, mamy sporo rannych, część ludzi poległa w starciach.

– „Im więcej Maurów, tym większe łupy”? – zacytowała Marina ulubione przysłowie Cortésa, powtarzane przez niego z zamiłowaniem od początku wyprawy. – Czy może coś się zmieniło? Albo może to mój pan zmienił zdanie i myśli wycofać się z tego, co mówił mi wcześniej?

– Daj spokój! – Caudillo machnął ręką. – Nikt nie zmienia zdania! Jesteśmy przecież tutaj, doszliśmy aż tak daleko, prawda?

– Więc nie cofajmy się teraz... przed niczym. – Położyła mu głowę na kolanach i uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

Jednak jej spojrzanie cały czas utkwione było w Zahredzie.



– Czy ktoś może mi powiedzieć, dlaczego idziemy właśnie tędy?

Juanito odkasznął w rękaw, wysmarkał się w palce. Obejrzał się na idącego za nim Gutiérreza, za plecami którego widoczny był długi, wijący się na wąskiej ścieżce wąż ekspedycji, którego koniec niknął gdzieś pomiędzy skalistymi wzgórzami.

– To podobno najgorsza trasa ze wszystkich... Kapitan przecież szedł wtedy jakąś inną, tak? – zwrócił się do de Monroya.

Szlachcic machnął ręką na południe, tam, gdzie za zasłoną chmur ponad stromym zboczem dymiącej góry wisiało listopadowe słońce.

– Tamtędy poszliśmy wtedy, jak nas poprowadzili Indianie. No i... – zawahał się. – Faktycznie, tamta trasa jakoś łatwiejsza była. Nie to, że bułka z masłem, ale na pewno lżej się szło niż tutaj.

– Ciężej się chyba nie da! – parsknął Rodrigo.

Jeśli nawet szlak, którym ruszyła ekspedycja, zasługiwał na to miano, to nadano mu je mocno na wyrost. Wąska, kamienista ścieżka wiła się po zboczach porośniętych lasem wzgórz, to opadając, to wznosząc się z powrotem ku szczytom tylko po to, żeby dzikimi zygzakami znów zjechać na dół.

Płowozielona roślinność była wszędzie. Drzewa, krzewy, wysoka trawa o ostrych, gibkich łodygach. Dziwaczna kosodrzewina i wszechobecne mchy.

Ponad wszystkim tym kłębiły się chmury, teraz zasnuwające niebo jednolitą szarą kotarą – oraz wznosiły się dwa potężne, ośnieżone szczyty, pomiędzy którymi biegła ich trasa.

Zdawać by się mogło, że byli tutaj pierwszymi ludźmi – ale ktoś wydeptał tę ścieżynę przed nimi, ktoś przecież chadzał tym zapomnianym przez Boga szlakiem.

– I po cholere tędy idziemy, skoro tamtą drogę już znacie? – odezwał się Valdés, wspierający się ciężko na swej pice. Zwinięty sztandar miał w plecaku

Gutiérrez, poprzeczki i sznury niósł Enriquez. – Nie można było tamtędy?

– Kapitan mówi, że właśnie dlatego na naradzie inną trasę wybrali. Bo niby Indianie wiedzą, że tamtędy możemy iść, no i... – urwał de Monroy.

– No i?

– No i cholera ich wie co zrobią. Może drogę by chcieli zablokować albo...

– Albo wymordować nas wszystkich – dokończył Rodrigo. – Nie można im ufać. Dobrze, że tamtych z wybrzeża kazał caudillo odprawić.

– „Dobrze”, bo co niby? – naskoczył na niego Enriquez.

– Dobrze i tyle. Za długo już z nami szli, za dużo się mogli dowiedzieć.

Kto wie co im się w tych głowach lęgło? Lepiej, jak ich nie ma.

– Lepiej, mówisz? – prychnął pogardliwie tamten. – Że niby „lepiej” mieć mniej żołnierzy niż więcej? To chcesz powiedzieć?

– Tak. To jest nie! Chcę tylko ci pokazać, że...

– Chyba stajemy – oznajmił de Monroy, który jako pierwszy z ich kompanii wyszedł na szczyt kolejnego pagórka. – Tak, zatrzymują się, rozkładają pod drzewami...

– Nareszcie! – sapnął Valverde.

Zaczęli schodzić w dolinę, powoli zdejmując z obolałych ramion wyładowane sprzętem i łupami plecaki.



– A więc tamci nie kłamali. – Cortés pokiwał głową. – Szlak faktycznie rozwidła się na dwie drogi.

Siedzieli przy rozpalonych w dolinie ogniskach. Wokoło była tylko czarna, nieprzenikniona noc; ponad nimi mrugały i migotały blade punkciki gwiazd. Od czasu do czasu pomrukiwał i rozjarzał się czerwienią szczyt wulkanu, u którego podnóża znajdowała się teraz wyprawa.

– Mówili też, że wyprawa do Tenochtitlán to szaleństwo. Że miasto jest nie do zdobycia – odezwał się pan de Medellín.

– Oni wszyscy tylko gadają i gadają! A potem, kiedy co do czego dochodzi, nie ma nawet z kim miecza skrzyżować! – prychnął de Saucedo.

– Oj, już nie przesadzajcie, panie. Ja tuzin ludzi od początku wyprawy straciłem – skomentował ponuro de Lugo, głaszczący leżącą mu u nóg sukę. – A jakby nie psy, to kto wie czy połowa by z życiem uszła tam, jak nas w zaułku przycisnęli.

– Nato-to-tomiasz idzie-dziemy dalej, p-p-panowie – radośnie skonstatował de León.

Cortés pokiwał głową.

Faktycznie szli dalej, wyprawa posuwała się naprzód i spotykani po drodze Indianie na razie nie zdawali się żywić niecnych zamiarów.

W miniętym po południu tego dnia, nieodległym od Choluli mieście Calpan przywitała ich delegacja miejscowych kacyków.

Widać było, że wieść o rzezi w mieście musiała dotrzeć do Calpan w pełnej okazałości, bo mieszkańcy miasta witali przybyszów z uprzedającą wręcz serdecznością, zapewniając o swej przyjaźni i dobrych zamiarach. Z drugiej jednak strony odradzali dalszy marsz ku Tenochtitlán, mówiąc, że Montezuma od jakiegoś już czasu przesuwając po przełęczach swoje wojska, a samo miasto jest twierdzą na wodzie.

Zahred po raz kolejny poruszył temat: może odpuścimy?

Jednak Cortés był nieugięty w swoich zamiarach. Nie chciał nawet słyszeć o zawróceniu, pytał tylko miejscowych o informacje odnośnie do dalszej trasy.

Ci powiedzieli, że na przełęczy pomiędzy wulkanami szlak rozwidła się na dwie odnogi. Jedna wyglądać będzie na wolną i zapraszającą, a druga niemalże niemożliwą do pokonania, na dużym odcinku zablokowaną zwalonymi drzewami, kaktusami i kamieniami.

„Idźcie trudniejszą drogą”, powiedzieli im wodzowie. „Bo kto wybiera łatwy szlak, sam zmierza pod nóż ofiarny tych, co żywią złe zamiary”.

Ostrzeżenie o zasadzce, jakkolwiek zawołane, było aż nadto wyraźne – i teraz czekali, aż ich Indianie skończą oczyszczać trasę, aby móc z samego rana ruszyć dalej.

– A ja nadal twierdzę, że trzeba było pójść którąś z szybszych tras – odezwał się de Orozco, niezadowolony z tego, że jego cenne armaty były dwa razy dosłownie przeciągane na linach nad przepaścią.

– To samo mówiłem! – zawtórował mu de Sandoval. – Szybkim marszem przejść po łatwiejszej drodze... Niechby na nas czekali! Przynajmniej wiadomo by było, że to otwarci wrogowie!

– F-f-fakt, irytu-tu-tujące te ich p-p-przebie-bie-ranki – wydukał pan de León.

– No to mówię! Nie takie siły dzikusów się przeganiało, nierzadko z marszu! Nie wiem, co musieliby zrobić, żebyśmy mieli problem!

– Otóż to, panie: nie wiecie. – Caudillo uśmiechnął się kwaśno. – To właśnie istota zasadzki, prawda? Niewiedza przeciwnika.

– Przecież nie sugeruję, żeby... – zachnął się tamten.

Cortés jednak zwrócił się już do Zahreda, milczącego przez większość dnia i wieczoru:

– A co wy powiecie, kapitanie?

Ten przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, patrząc w pelgający ogień.

De Sandoval już spał się, gotów odeprzeć jakikolwiek atak werbalny albo i samemu wbić szpilę, jeśli tylko nieoficjalny adwersarz miałby dać mu dogodną okazję, jednak Zahred milczał.

W końcu odetchnął głęboko, oderwał wzrok od płomieni i powiedział:

– Jeśli mamy odwiedzić Tenochtitlán, to nierozsądne będzie zmierzanie tam, jeśli nie wiemy nawet, jak wygląda. Ubiegłym razem miasta nie było widać ze szlaku, a potem byliśmy już zbyt nisko. Potrzeba nam spojrzenia z wysoka... – Zadarł głowę ku rozgwieżdżonemu niebu.

– Kapitan będzie chciał porozmawiać z orłami! – parsknął de Sandoval.

Jednak uwaga najwyraźniej przeleciała Zahredowi koło uszu, jak gdyby dotyczyła kogoś zupełnie innego. Popatrzył na Cortésa, a ten poruszył pytająco brodą:

– Masz coś na myśli?

– Wezmę paru ludzi, wespiemy się na wulkan. Widok stamtąd powinien wystarczyć.

– Zajmie wam to za dużo czasu!

– Dlatego ruszymy skoro świt. Podejdziemy pod szczyt bez obciążenia, szybkim marszem, a potem postaramy się przeciąć wam drogę. Wy tymczasem posuwajcie się powoli i ostrożnie.

Kapitanowie popatrzyli po sobie, nieszczególnie przekonani do pomysłu. Jednak Cortés skinął na znak przyzwolenia.

– Kto idzie z tobą?

– Paru moich, może kilku tubylców dla pewności. Myślę, że wieczorem damy radę dołączyć do was.

– Zgoda.



– To tutaj właśnie zatrzymał się ze swoim orszakiem wielki Quetzalcoatl, kiedy gniewny Huitzilopochtli przegnał go z Tuli. Tutaj na śmierć zamierzły jego karły i garbusy, a bóg powiedział: oto miejsce, w którym nie da się mieszkać...! – dokończył z zadowoleniem Xochitl, który jako jeden z nielicznych Totonaków nie tylko zdecydował się zostać z ekspedycją, ale też zgłosił się na ochotnika do wyprawy na wulkan. – Mówią, że ich ciała zamieniły się w skały, o tamte!

Zahred popatrzył z zaciekawieniem, jednocześnie tłumacząc słowa Indianina swoim ludziom. Ci czekali cierpliwie, szcękając zębami i przestępując z nogi na nogę.

– Nie dziwota, że zamierzli... – jęknął Gutiérrez, próbując jeszcze szczerzej owinąć się płaszczem. – Ta mgła przecież aż do kości przenika!

– To nie mgła, tylko już chmury. Widziałeś przecież, jak coraz bliżej były! – wyrzucił z siebie Juanito wraz z obłoczkami pary.



– Może przejdzie, panowie. Wiatr je przegoni i zrobi się... – zaczął de Monroy, ale potem urwał, kiedy gwałtowny poryw wichru wepchnął mu słowa z powrotem do gardła. – Albo i nie robi.

– Że też tamtym nogi nie odmarzną! – nie mógł nadziwić się Valverde, patrząc na gołe łydki idących przed nimi po zboczach Indian.

– Że jemu wszystko nie odmarźnie – mruknął de Monroy, kręcąc z podziwem głową.

Zahred szedł na czele, czasami pozwalając, aby Indianie równali się z nim, a czasem wyprzedzając nawet ich. Słuchał przewodników, czasami tłumaczył ich słowa swoim żołnierzom, ale dało się dostrzec, że był małomówny i zamknięty w sobie, nawet jak na jego standardy.

– Zaraz nas tu zostawi... – pisał Enriquez, kiedy przewalający się mleczny tuman po raz kolejny skrył postać dowódcy. – A my skapiejemy z głodu i chłodu... Czy jemu nie jest zimno?

– Łać czy mu się nie chce... – warknął Juanito.

– Albo pić. Mnie już język do podniebienia przysechł... On przecież idzie, jakby nie potrzebował w ogóle wody!

– Może i nie potrzebuje – mruknął Rodrigo.

– Że co? Każdy człowiek potrzebuje... – już chciał zaproponować Enriquez, ale arkebuzer spojrział na niego jakoś dziwnie.

– Człowiek tak. On nie.

Umilkli speszeni. Zresztą rozmowa na tej wysokości i tak była wystarczająco trudna: brakowało im tchu, co rusz któremuś z nosa puszczała się krew. Lepiej było milczeć, oszczędzać oddech.

Tymczasem obłok przetoczył się dalej i spełzył ze zbocza.

Nagle wszystko wokół zalało ostre, rażące w oczy światło.

W jednej chwili widoczność, dopiero co ograniczona do wąskiego wycinka najbliższego świata, wyciągnęła się na setki, a potem tysiące metrów wokoło, otwierając się widokiem na ogromną dolinę. Stanęli jak wryci, oszołomieni widokiem.

Juanito pisał i przykleił się do skały, kiedy niespodziewanie zakręciło mu się w głowie: półka skalna, na której stał, urywała się niespodziewanie może trzy kroki dalej, a za nią ziała pustka urwiska.

Zahred stanął na szeroko rozstawionych nogach i przysłonił oczy przed bijącym im prosto w twarz, już chyłącym się ku zachodowi słońcem. Odetchnął głęboko świeżym, aż klującym w nozdrza powietrzem, próbując zrozumieć, co takiego ma przed sobą...

...i wtedy je zobaczył.

Pośrodku skrzęcej się złotymi refleksami tafli otoczonego ze wszystkich stron przez szczyty niebotycznych gór ogromnego jeziora, na połączonej z lądem trzema groblami prostokątnej wyspie wznosiło się istnym lasem piramid śnieżnobiałe, aż bijące w oczy Tenochtitlán.

Musiało być przeogromne.

Z tej odległości, z perspektywy dobrych trzech dni drogi, które w linii prostej musiały przekładać się na dwadzieścia? może ponad trzydzieści mil? – ciężko było Zahredowi ocenić dokładne rozmiary metropolii.

Jednak już stąd dostrzegł, że mogła równać się z dowolnym miastem, jakie kiedykolwiek...

...

Nie.

Nie „równać się”.

To BYŁO największe miasto, jakie dane mu było widzieć.

Zawieszone niczym kropla rosy w pajęczej sieci, otoczone ze wszystkich stron wodą, po której przesuwały się nieskończenie powoli maciupcie z tej odległości punkciki dłubanek i większych łodzi.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, na wszystkich brzegach jeziora, też kwitło życie.

Miasta mniejsze i większe, domy, świątynie, pałace i place targowe, magazyny, warsztaty.

Spinająca to wszystko sieć dróg, długich mostów i grobli.

Przeogromny, tętniący życiem organizm miejski.



Samo serce imperium, z którego wielkości i złożoności żaden z Europejczyków nie zdawał sobie do tej pory sprawy.

– Tenochtitlán! – oznajmił Xochitl, chociaż widać było, że sam ogląda miasto po raz pierwszy i jest pod nie mniejszym wrażeniem.

– Tak... – szepnął Zahred. – Jest przepiękne.



Wiatr targał wątłym płomykiem niewielkiego ogniska, rozpalonego w zagłębieniu skalnej niecki.

Pojedynczy, śmiesznie mały punkcik światła zdawał się tonąć w ogromie wszechobecnej czerni, spowijającej ciągnącą się na dziesiątki, setki mil wokół panoramę.

Kulący się wokół niego, pozawijani w opończe, koce i cokolwiek tylko się dało ludzie siedzieli nieruchomo, aby drogocenne ciepło nie uciekało spod ubrań. Od czasu do czasu któryś z nich chuchał tylko w schowane pod pledem dłonie, a potem podsuwał koc jeszcze wyżej, aż pod same oczy.

Indianie już drzemali na siedząco, jak to zresztą oni: ci ludzie potrafili chyba spać zawsze i wszędzie, niezależnie od pogody, temperatury i tego, na czym przyszło im złożyć głowę.

Jednak pomimo ciężkiego dnia sen nie chciał przyjść do Kastyljczyków, nieustannie trzęsących się z zimna.

– No i dlaczego nie wróciliśmy? – zajączał Juanito. – Przecież widział miasto... Zdążylibyśmy jeszcze na dół przed zmrokiem!

– Może chciał je zobaczyć w nocy? – zasugerował de Monroy, spoglądając ku siedzącemu kawałek dalej Zahredowi.

Odkąd doszli tutaj, ich kapitan nie ruszył się z miejsca. Stał i stał, patrząc ku miastu... Oni też postali, popatrzyli, ale potem znudzili się. On nadal patrzył, więc rozsiedli się, zjedli, wypili co nieco. Potem zwinęli się i czekali karnie, aż on powie: wracamy.

Ale nie powiedział.

Kiedy słońce dotknęło horyzontu, zaniepokoił się, wysłał do kapitana de Monroya, który zapytał: „Panie, kiedy wracamy?”.

„Wracajcie”, odpowiedział tylko Zahred, nie spuszczać oczu z widocznej w oddali stolicy.

Radzi nieradzi, zdecydowali się poczekać jeszcze trochę. Rozpalili ogień, żeby nie zamarznąć... Robiło się coraz ciemniej, w końcu zapadła noc.

Zahred tkwił w tym samym miejscu.

Zawinął się tylko w grubą kolorową oponczę i usiadł na kamieniu, podciągając kolana pod brode.

I teraz siedzieli tak nadal, marznąc i gubiąc się w domysłach: na co czekali?

– A może on nie żyje? – wysunął śmiały domysł Valdés. – Nie rusza się przecież wcale...

– Głupiś – ofuknął go de Monroy, ale sam aż zerknął ku kapitanowi.

– Może skapiał z zimna. Jakby tak zeszytywniał, to mógłby siedzieć, póki się nie przewróci. Mówię wam, że lepiej sprawdzić, bo jak się okaże, że nie żyje, to...

– Żyje, bo jego się nie da zabić – odezwał się głuchym głosem Rodrigo.

Zamarli. Powoli obrócili się ku towarzyszowi.

– Rodrigo, co ty znowu... – rzucił Enriquez, ale jakoś urwał myśl w połowie.

Rodrigo pociągnął nosem, odcharknął i splunął w płomienie, ale nie trafił. Zamiast tego sięgnął po kilka suchych gałązek, dorzucił do ognia.

– Mówię wam, że nie da się go zabić. Więc się nie martwcie, żyje. O ile to w ogóle jest życie. – Strzelił oczami na wpatrujących się w niego kompanów. – No co? Co się tak gagicie jak wół na malowane wrota? Niejasno coś mówię?!

– Rodrigo... ahem. Możesz wyjaśnić? – bardzo grzecznie, bardzo ostrożnie zapytał de Monroy.

Arkebuzer westchnął ciężko, wbił wzrok w ogień.

– Pamiętacie, jak wam mówiłem o tym kanonie? Tym, co to...

– W artylerii Mahometa, mówiłeś – przytaknął Enriquez.

– Mehmeda, nie żadnego Mahometa! – zirytował się Rodrigo. – Niech on się zamknie i mi wiecznie nie dogaduje, bo...!

– No już, już, spokój. Nie denerwuj się, Rodrigo, słuchamy cię uważnie – załagodził de Monroy, wyciągając spod pledu i podając tamtemu bukłak z resztką wina. – I mówiłeś, że tamten... No właśnie, co tamten?

– No więc ja się z nim całe lata temu widziałem. Będzie... ze dwadzieścia? – Żołnierz podrapał się po odrastającej szczecinie. – Jeszcze szczył młody byłem, gołowąs, a on już stary pies wojny, weteran. I opowiadał mi, że jak pod Konstantynopolem służył, kiedy tamci miasto szturmowali, co to się nie mogła Wenecja określić, czy im pomóc, czy nie...

Zamruczeli z niechęcią, pokiwali głowami. Minęło ponad pół wieku, a pamięć o utracie tej największej stolicy chrześcijaństwa na wschodzie nadal bolała nie do końca zablźnioną raną.

– No i co? – ponaglił Valverde.

– No i on mi mówił... On mi powiedział, że tam był. Wtedy, jak artyleria waliła dzień i noc do murów, jak na miejscu działa odlali tak wielkie, że po strzale cały dzień musiały się studzić. I że kiedy w końcu janczarzy do ostatniego ataku poszli, to właśnie on ich prowadził...

– Ale że kto? – nie wytrzymał Enriquez. – Że niby ten kanonier? No przecież musiał tam być, skoro mówił, że...

– On. ON już tam był. Nasz kapitan.

Rodrigo spojrział w bok, ku samotnej sylwetce, ledwo widocznej na tle nieba. Reszta podążyła za nim wzrokiem.

– Ale... Poczekaj, to przecież nic dziwnego – spróbował racjonalnego wyjaśnienia de Monroy, czując jednocześnie, jak jakieś niedobre podejrzenie kiełkuje mu w duszy. Nadal pamiętał tamtą noc pod tym samym wulkanem i trupa na posłaniu... Wtedy wydawało mu się, że wiedział, co się stało. Teraz nie był taki pewny. – Przecież to możliwe, nie? Jeśli miał wtedy, nie wiem, dziesięć lat, to...

– Prowadził janczarów, przecież mówię! – Rodrigo aż podskoczył. – Co oni, na barana go mieli nieść?!

– Uspokój się, ej... – Gutiérrez poklepał go po ramieniu.

– Ja jestem spokojny! – burknął arkebuzer, strzelając oczami ku siedzącemu nieruchomo na swoim miejscu Zahredowi. – Tylko że się z tym gryzę... i gryzę już któryś miesiąc!

– To co, wcześniej nie widziałeś, że to on? Nie poznałeś?

– Jak miałem poznać, kiedy nie widziałem człowieka na oczy?! Imię jakieś niby znajome było, może i dziwne, ale to mało dziwnych imion na świecie? I dopiero jak na statku byliśmy, jak on koszulę zdjął, to tak mnie tknęło przez te tatuaże... A tamten to samo mówił: na plecach i rękach miał farbą wykłute dzikie zwierzęta. I gdzie nie poszedł, to się na polu walki podpisywał dziwnie, pionowo. Literami, co ich nikt nie zna. Brzmi znajomo?

Skulili się, popatrując jeden na drugiego... Aż w końcu de Monroy roześmiał się głośno, nerwowo.

– Ha, ha-ha! No, powiem wam... Aleś mnie nabrał! Ale ty masz, chłopie, talent...

Rodrigo zamrugał, nie rozumiejąc. Spojrział na Valdésa, na Juanita, w końcu niemalże błagalnie na Enriqueza.

– Ale ja... Przecież...

– No dobra, nabrałeś nas, rzeczywiście – sapnął Juanito z ulgą.

– Ale żeś wymyślił! – Gutiérrez klepnął się w kolano. – Mało brakowało, a bym ci uwierzył!

– Ale on przecież... do cholery jasnej! – zezłościł się nagle arkebuzer. – A jak dostał strzałą, widzieliście? Jak szybko się na nim rana goiła? Albo jak go włóczną w bok zajechali...?!

– Rodrigo... – powiedział poważnie de Monroy.

– A przecież teraz, w mieście?! Bez pancerza, bez hełmu do walki poszedł! To ja sam widziałem, że z tuzin ran miał! Widział go ktoś chociaż raz u medyka? Nie pozwala nikomu opatrunku zmienić, nawet zajrzeć pod spód, i potem pach! I nic, śladu nie ma!

– Rodrigo...

– Nawet jednej blizny! I przysięgam, że siwych włosów ma mniej teraz niż rok temu! Dosłownie jakby im więcej wojny, im więcej trupów, tym on młodszy! I to, że wszędzie pełno much, kiedy on...

Urwał gwałtownie, kiedy de Monroy zerwał się, strzelił go otwartą dłonią w pysk.

Klasnęło głośno, aż przebudzili się dwaj Indianie.

Rodrigo zaczerpnął spazmatycznie powietrza, dotknął ręką policzka.

Popatrzył na de Monroya.

Ten cofnął się o krok.

Usiadł.

Zawinął się w pled.

– Rodrigo... – szepnął. – Dość. Nabrałeś nas, pożartowałeś, ale już starczy. Dość... proszę. Bo to tylko żarty... prawda?

Rodrigo potoczył wzrokiem po towarzyszach.

Na ich twarzach malowało się z trudem skrywane przerażenie i jakaś desperacka, błagalna niemalże prośba.

Prośba, żeby nie mówił już nic więcej.

Nie tutaj, nie w tym miejscu.

Nie tej nocy.

Skulił się, stłumił jakieś wewnętrzne łkanie. Zaciśnął zęby i wydusił, patrząc w ogień:

– Tak. Żartowałem sobie. Nabrałem was wszystkich...

Spojrzenia powędrowały znów ku sylwetce nieruchomego Zahreda, nadal pożerającego wzrokiem rozjarzone nocnymi światłami Tenochtitlán.



– Dlaczego ich jeszcze nie ma? Mieli wrócić przed zmrokiem!

Cortés sapnął, pokręcił głową i spojrział na de Sandovala.

Nie bardzo miał mu co odpowiedzieć.

Faktycznie, Zahred powiedział mu, że przed wieczorem dołączą do ekspedycji, która celowo szła tego dnia nieco wolniej – natomiast nie było śladu ani kapitana, ani jego ludzi.

– Może zatrzymała ich zła pogoda – wyraził przypuszczenie caudillo, czując, jak bardzo nieprzekonywająco brzmią te słowa.

– A może wasz wspólnik, miłościwy panie, zdradził nas razem ze swymi indiańskimi pomagierami?! – parsknął de Sandoval. – Może idą właśnie do Montezumy, żeby powiedzieć mu, którą drogę obraliśmy!

Zarzut był zupełnie niedorzeczny, a mimo to żaden z siedzących przy ogniu kapitanów nie uniósł się, nie zaczął bronić nieobecnego. Tylko pan de León zamruczał coś, dłubiąc patykiem w kamienistej ziemi, ale nawet on nie wyraził otwartego sprzeciwu.

Wszyscy widzieli, jak blisko Zahred przestaje z Indianami. Zaczynał ubierać się jak oni, podobno walczył jak oni, bez zbroi... Kto wie o czym z nimi rozmawiał?

– Panie, powściągnijcie wyobraźnię, proszę – powiedział w końcu Cortés.  
– Myślałem, że u mego boku nabraliście nieco więcej zdrowego rozsądku.

De Sandoval, który przez dobrych kilka lat służył przy Cortésie jako giermek, skłonił się i uśmiechnął.

– Owszem, miłośniwy panie. Jednak wasze nauki nie poszły w las w żadnym aspekcie i zawsze rozpatruję wszystkie możliwości, nie oszczędzając żadnych... A co, jeśli naprawdę mamy do czynienia z czymś niepokojącym?

– Pozwólcie, że rozwieję wasze obawy, panie. – Z namiotu caudilla wyłoniła się otulona płaszczem doña Marina.

– Och, głos rozsądku – ucieszył cię Cortés. – Jak zatem doña Marina pomoże nam w tej trudnej chwili?

– Za waszym pozwoleniem, przejdę się do obozu Tlaxcalteków i upewnię, że nikt z nich nie odszedł zbyt daleko. Jeśli brakuje tylko kapitana Zahreda... – Urwała na chwilę, ale potem potrząsnęła głową. – No cóż, wtedy zapewne trzeba będzie poczekać na nich jeszcze dłużej. Dzień czy dwa zwłoki nic nie zmienią.

– Dwa dni! – De Sandoval podniósł ręce w geście irytacji, ale Cortés odrzekł:

– Dziękuję wam, pani. Jesteście balsamem na zbolełe serce.

Ona skłoniła się dwornie i uśmiechnęła słodko:

– Wszystko dla mojego pana i władcy.

Odwróciła się tyłem do ogniska i ruszyła szybkim krokiem w ciemność.

Gdyby ktoś widział jej twarz, nie mógłby nie zauważyć, że wraz z Cortésem i jego kapitanami zostawiła też w kręgu światła przy ognisku czarujący uśmiech i delikatny powab wdzięcznych ruchów.

Teraz szła szybkim, sprężystym krokiem, zręcznie omijając wykroty i kamienie.

Nie potrzebowała aż tyle światła co Cortés i jego towarzysze; w zupełności wystarczał jej blask gwiazd i blada poświata wąskiego sierpa księżycy.

Była stworzeniem tych krain, tych gór, lasów i rzek.

To był jej teren.

A w każdym razie wkrótce miał się takim stać.

Znalezienie Tlaxcalteków przyszło jej bez trudu: ci zawsze robili wokół siebie dużo hałasu, palili wielkie ognie i rozmawiali tak głośno, że nawet po omacku nie dałoby się do nich nie trafić.

Kiedy wyszła w krąg światła, część rozmów ucichła.



Wojownicy i tragarze zaczęli wstawać ze swoich miejsc, podnosić się z posłań. Wiedzieli, kim jest. Wiedzieli, jaką pełni rolę i co musi znaczyć jej słowo.

Tym bardziej że to ona zawsze mówiła słowami wielkiego białego wodza.

– Wysoka Piękna Trawo! – Xicotencatl wyszedł jej na spotkanie. – Cóż sprowadza Malintzin ku Xicotencatlowi?

– Ciemny Krąg Os jest czujny niczym jaguar na polowaniu. – Skłoniła się jako pierwsza.

– Wojownicy Tlaxcali są głęboko na ziemiach Mexików, więc ich oczy i uszy muszą pozostać otwarte. Czym Xicotencatl może pomóc Malintzin?

– A czy... czy myśli Xicotencatla są równie otwarte? – zagadnęła.

– Xicotencatl nie boi się słyszeć żadnych słów, o ile są prawdą. Cóż przyniosła Malintzin?

– Malintzin niesie sprawę, która ciąży jej na sercu... I nie jest przeznaczona dla uszu innych. Niech Xicotencatl odejdzie z nią na bok, ku drzewom.

Wojownik skinął głową, dał znak ludziom: wszystko w porządku.

Kiedy oddalili się od obozowiska, spojrzął na dziewczynę uważnie.

– Jakie słowa przynosi zatem Malintzin?

– Malintzin przynosi słowa o zmarłych. O tych, których nie ma wśród nas... O bracie szlachetnego Xicotencatla, walecznym Xiconchitlim.

– Xiconchitli odszedł od nas ku bogom i przodkom. Xicotencatl sprawił na jego mogile niezbędny obrządek, a dusza brata Xicotencatla raduje się już drogą ku dziewięciu Równinom Radości.

– Czy jednak Xicotencatl jest pewien, że jego brat zaznaje spokoju, wiedząc, że jego morderca nadal oddycha tym samym powietrzem co on?

Oczy młodego wodza błysnęły w ciemnościach.

– Xiconchitli odszedł w spokoju – syknął. – Xicotencatl ma na to słowo Xahuatla, który układał Xiconchitlego do grobu i wyprawiał w ostatnią podróż!

– Xicotencatl ma rację... O tyle, że to właśnie Xahuatla ułożył jego brata do grobu.

Po tych słowach zapadła cisza.

Napięta, gęsta cisza, w której słyhać było tylko coraz głębszy, coraz bardziej wyrazisty oddech Xicotencatla, przechodzący najpierw we wściekłe sapanie, a potem w gardłowy, wściekły warkot.

– Xahuatla... dał mi... słowo... – wycharczał Xicotencatl.

– Słowo Xahuatla jest nic niewarte. Malintzin wie, że to on jest winny śmierci brata Xicotencatla. Malintzin może przysiąc na wodę i na ziemię, na słońce i księżyc!

– Na gwiazdę w jej piersi?

Ujęła jego dłoń, przyłożyła sobie do serca.

– Na gwiazdę w jej piersi, Malintzin przysięga – szepnęła.

Przez dłuższą chwilę Xicotencatl stał nieruchomo, niczym posąg.

Potem nabrał ze świstem powietrza, wyminął ją i bez słowa ruszył z powrotem ku swoim wojownikom.

Malintzin okręciła się na pięcie, rozłożyła ręce i zadarła głowę ku rozgwieżdżonemu niebu, a potem roześmiała się perliście.

Naprawdę świat był cudownym miejscem dla tych, co nie bali się całą garścią sięgać po jego owoce.



– Wyjaśnicie mi zatem, dlaczego jedna z dróg była zamknięta? Co takiego się stało, czym różniła się od tej drugiej?

Ambasadorowie popatrzyli po sobie, potem jeden z nich wystąpił i uśmiechnął się najpierw do stojącego na szlaku Cortésa, a potem do Malintzin, która miała tłumaczyć jego słowa.

– Wysoki panie! Drogę zamknięto, aby nikt nią nie chodził. Sam wysoki Cortés widział, że jest kręta, wietrzna i pełna trudnych przejść. Zbliżają się chłody, wcześniej zapada zmrok, najwyższy Montezuma nie chce, aby komuś stała się krzywda.

– A mimo to jakoś przeszliśmy, prawda? Bez szczególnych kłopotów.

– Druga trasa, o wysoki panie, byłaby dogodniejsza...

– Może zatem wrócimy nią, aby porównać obydwie potem? Czy też boicie się tego, co możemy na niej zastać? Albo może raczej: KOGO?

Ambasador odchrząknął, spuścił głowę.

Sytuacja była w najlepszym razie niezręczna – bo kiedy czoło pochodu wyłoniło się spomiędzy wzgórz i dolinek, którymi poprowadziła podróżników obrana wcześniej ścieżka, tlaxcalteccy zwiadowcy biegnący przodem natknęli się na stojących przy miejscu połączenia obydwu szlaków wojowników w barwach armii Mexików.

Kiedy ci ostatni ujrzeli biegaczy, od razu rzucili się do ucieczki – zaś Tlaxcaltekwie, zakrzyknąwszy radośnie, puścili się za nimi w pogoń.

Traf chciał, że dali radę ich dopędzić i po krótkiej, aczkolwiek zażartej walce położyli dwóch trupem. Reszta uciekła, skryła się na krętym szlaku, lecz teraz nikt nie miał już wątpliwości: na rzekomo łatwiejszej trasie czekały na nich siły przeciwnika.

Teraz dwa ciała przyciągnięto ku tymczasowemu obozowisku i dokonano prezentacji.

Oczywiście, żaden z ambasadorów nie rozpoznał charakterystycznych barw Mexików – czego nie można powiedzieć o wojownikach z Tlaxcali.

– Cortés winien teraz zawrócić i pokazać mexickim psom, gdzie ich miejsce! – gardłował Maxixcatzin. – Tlaxcala nie boi się walki!

Wojownicy pokrzykiwali i potrzęsali bronią, ale Cortés był nieugięty: idziemy do Tenochtitlán.

– Nie będziemy bawić się z nimi w podchody – oznajmił podczas narady. – Nie to jest naszym celem, panowie. Natomiast niech im się nie zdaje, że mogą sobie z nami igrać!

Dlatego też sprowadzono wysłanników Montezumy, aby ci spróbowali wytłumaczyć się z tego, co wojska z Tenochtitlán robiły na szlaku, zaś przede wszystkim: czemu ich żołnierze przerazili się widoku Tlaxcalteków?

– Zapowiadam wam zatem! – Caudillo pogroził ambasadorom palcem. – Jeśli jeszcze raz powtórzy się coś takiego, to...

– Panie, panie! – zawołał któryś z ludzi. – Wraca kapitan Zahred!

Cortés obrócił się, spojrział we wskazanym kierunku.

Spomiędzy porośniętych kosodrzewiną skał wylaniał się niewielki oddziałik zakutanych w koce i pedy, zmarzniętych, idących na sztywnych nogach ludzi. Na jego czele, ramię w ramię z kilkoma przewodnikami, rzeczywiście szedł sam Zahred; jego Kastylijczycy dreptali spory kawałek z tyłu, wyraźnie goniąc już resztkami sił.

– Nareszcie! – Cortés rozłożył ręce. – Zaczynaliśmy się martwić!

Ambasadorzy wycofali się chyłkiem, zadowoleni, że przestali być w centrum uwagi.

Tymczasem Zahred pokonał ostatni odcinek drogi, zeskoczył z kamienistego zbocza. Począł, aż jego pies obejdzie stromy fragment dokoła, po czym skłonił się Cortésowi:

– Raccie wybaczyć, panie. Musieliśmy poszukać łagodniejszego zejścia, a pogoda nie dopisuje.

Cortés zerknął ku szaremu, ciężkiemu niebu, z którego zaczynały prosić pierwsze płatki śniegu. Jeszcze rano świeciło słońce, a teraz jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było tylko jednolitą warstwę ołowianych chmur.

– Musiało niezłe was przysypać.

– Cała śnieżycy, wasza miłość. Ale oto jesteśmy i przynosimy wieści o tym, co udało się dostrzec.

Ludzie minęli Zahreda, pokłonili się Cortésowi i czym prędzej ruszyli ku towarzyszom, licząc na łyk czegoś ciepłego i może dodatkowy płaszcz. Rumieńce na policzkach i zaczerwienione nosy aż nadto dobitnie świadczyły o tym, że temperatura spadała na łeb na szyję.

– Co zatem widzieliście? – Caudillo zniżył głos.

– Tenochtitlán jest ogromne, ale to sprawa drugorzędna. Niedaleko nas w tej chwili jest kolejne miasto, natomiast w dolinie nieopodal... – Zahred zawiesił głos, oblizal spękane wargi. – Nocą widziałem wiele ognisk.

Cortés pokiwał głową.

– Zatem jednak armia...

– Na to wygląda, trzeba zachować najwyższą ostrożność.

Caudillo dał znak, ludzie znów ustawili się w porządku marszowym.

Śnieg sypał coraz gęstszy; duże, mokre płaty spadały ciężko, osiadały na głowach i ramionach, przykrywały trawę białym kobiercem. Ludzie sarkali i marudzili, strzepując szybko rozmarzającą breję z czubków butów: ale jak to? Dopiero co były te wściekłe upały, a teraz?

Idący zaraz za kompanią Zahreda ludzie pana de Leóna zagadywali kolegów o widoki ze szczytu wulkanu, dopytywali o Tenochtitlán, które ponoć dało się zobaczyć z góry. Niektórzy śmiali się: przynieśliście ze sobą śnieżyce! Tutaj może wam to ujdzie na sucho, ale w domu za takie czary posłałoby się was na stos...!

Tamci jednak byli jakoś nieskorzy do krotochwil, wzdrygali się tylko dziwnie i milczeli, nie podłapując ewidentnego żartu. I co oni tacy poważni? Nikt z nich przecież nie drwi, nikt nie oskarżałby na poważnie o czary!

Natomiast ludzie spod Czarnego Sztandaru zerkali tylko na swego kapitana i odpowiadali półsłówkami.

Zmierzchało już, kiedy straże przednie doniosły o ciekawym odkryciu: kawałek w bok od szlaku natknęli się na sporą jaskinię z częściowo zamurowanym wejściem, zablokowanym dodatkowo plecionkami i drewnianą kratą. Po dostaniu się do środka ludzie znaleźli zapas *pulque* i żywności oraz dość miejsca, aby przenocować tam bez mała wszystkich Kastylizczyków.

– Zatrzymujemy się tam – od razu nakazał Cortés. – Sprawdzić w środku i zbadać podejścia! Indianie niech nocują mniejszymi obozami dokoła... Zabezpieczyć konie i sprzęt, pilnować armat!

Kiedy czoło ekspedycji dotarło na miejsce, czekała już tam delegacja z pobliskiego miasta.

Zawinięci w płaszcze, przestępujący z nogi na nogę wodzowie w lekko oklapniętych od ciężkiego śniegu pióropuszcach patrzyli z pełnym bojaźnym szacunkiem na ubranych w pełne pancerze konkwistadorów.

Równy czworobok pierwszej kompanii przeszedł w szyku zwartym, trzymając piki i halabardy w gotowości, pobrzękując rdzewiejącymi, poobijanymi elementami zbroi.

Psy od razu zaczęły ujadać na widok obcych, ale opiekujący się nimi psiarczykowie odciągnęli je na tył, pozwalając caudillowi wyjść na przód i rozpocząć rozmowy.

W tym czasie reszta pochodu zaczęła roztasowywać się po okolicy, wybierając dogodne miejsca na nocleg.

– Wysoki, szlachetny panie! Wielki podróżniku od strony wschodzącego słońca! – Przewodzący delegacji Indianin podniósł dwie dłonie wnętrzem w kierunku gości, pokazując, że nie ma broni ani złych zamiarów. – Yoliyamanitzal wita gości na ziemiach Huehuecalco. Zaznaliście trudów, wasze nogi są zmęczone; niech goście przyjmą schronienie w progach Yoliyamanitzala!

– Podziękuj za przywitanie i za dobre słowa – polecił Cortés stojącej obok Malintzin, pozwalając jednocześnie, żeby de Coria kawałek po kawałku

wyłuskiwał go z zimnego jak lód pancerza. – Powiedz jednak, że zostaniemy na noc tutaj.

Indianin wysłuchał, zatroskał się. Pokazał ku wejściu do jaskini, w które zaglądali już ludzie z pochodniami.

– Yoliyamanitzal mówi, że w składzie będzie wam zimno i ciasno. Poza tym zgromadzona tam żywność należy do Montezumy i służy jego armiom, wychodzącym z miasta na... – Tłumaczka zawahała się. – Na Kwietne Wojny.

– Co takiego? – Caudillo uniósł brew.

– Wojny bez zabijania, kiedy walczy się ku chwale miasta i władcy.

– Ach, turnieje! – rozpromienił się Cortés. – Powiedz mu zatem, że my też prowadzimy podobną wojnę i nie chcemy, aby komukolwiek stała się krzywda. Montezuma jest moim przyjacielem i z całą pewnością uraduje się, wiedząc, że nie zśliśmy do niego głodni.

– Mówią, panie, że mimo to powinniśmy pójść z nimi. Miasto już czeka na nasze przybycie...

– Zapytaj go, czy czekają tak samo, jak czekała na nas Cholula! – parsknął Cortés, ale zaraz machnął ręką. – Nie, nie mów tego lepiej, po co ich niepotrzebnie prowokować. Powiedz, że zostaniemy tutaj i dziękujemy za ich gotowość, ale nie chcemy robić kłopotu.

Malintzin zerknęła w bok, widząc, że Zahred też stanął nieopodal i przysłuchiwał się rozmowie... Oraz zapewne sprawdzał wierność jej tłumaczenia.

Nieco dalej przechodził ze swymi ludźmi Xicotencatl, który też dostrzegł Czarnego Kapitana. Ten ostatni skinął mu głową, ale Tlaxcaltek nie zareagował.

Malintzin pozwoliła sobie na przelotny uśmiezek, kończąc wypowiedź:

– Yoliyamanitzal twierdzi, że jest im bardzo przykro. Ludzie z Huehualco są ciekawi przybyszów i chcą zobaczyć Cortésa oraz jego ludzi. Pyta, czy zatem mogą przyjść tutaj w nocy, aby zaspokoić ciekawość.

– W nocy, powiadasz... W tej śnieżycy? Zaiste muszą być bardzo ciekawi, a ciekawość to pierwszy stopień do piekła. – Cortés zerknął na stojących obok kapitanów, a ci zaśmiali się ponuro. – Powiedz im, że lepiej niech nie zbliżają się do obozu nocą, jeśli cenią swoje życie.

– Pytają dlaczego, panie. Mówią, że chętnie popatrzą nawet na śpiących przybyszów. Co im odpowiedzieć?

– Odpowiedz, że... Odpowiedz, że moi ludzie nie śpiąją w nocy, a tylko drzemą w marszu w dzień. W nocy czuwają pod bronią i z łatwością wpadają w wielki gniew, kiedy ktoś się do nich zbliża. Dlatego też zabijają każdego, kogo zobaczą w pobliżu obozu, a ja nie jestem w stanie temu zapobiec... Panowie, słyszycie?! – podniósł głos, zwracając się do kapitanów. – Każdego bez pytania! Niech więc Yoyolilamani...

– Yoliyamanitzal – odpowiedziała Malintzin.

– Niech będzie i Yoliyamanitzal. Niech powie swoim ludziom, żeby nie przychodzili po zachodzie słońca w to miejsce, gdzie obozujemy, bo każdy, kto zjawi się w okolicy, niechybnie umrze straszną śmiercią. A wtedy będę bardzo,

ale to bardzo niezadowolony... – Zniżył głos i spojrział wymownie na Indianina. – Ponieważ nie lubię, kiedy ludzie muszą ginąć.



Noc była zimna i ciemna.

Rozłożeni w dolince ludzie w większości spali, czuwali tylko wartownicy.

Zahred siedział przy ognisku na dworze, wsłuchując się w odgłosy nocy.

Dla większości Kastylijczyków śpiących w bezpiecznym schronieniu jaskini to był czas, kiedy należało unikać przebywania na dworze, na otwartej przestrzeni. Ściany, dach nad głową, najlepiej solidne drzwi – tym dla nich było bezpieczeństwo i spokój.

On natomiast wolał być tutaj, wraz z Indianami, dla których noc była tylko przedłużeniem dnia. Nieco inną porą, wymagającą większej czujności i trudniejszą do przemieszczania się, ale tak samo naturalną i stanowiącą element doby – tak samo jak nieodłączną część życia stanowiła śmierć.

Siedzący nieopodal niego Maxcatl z ludu Otomi, małomówny i zamknięty w sobie, stanowił w zasadzie element krajobrazu. Indianin niemalże po omacku, w słabym blasku ognia naprawiał zdjęty z głowy pióropusz, na którym puściły jakieś wiązania.

– Czy Xahuatl może spojrzeć? – odezwał się nagle Zahred.

Tamten podniósł głowę, popatrzył. Skinął twierdząco. Podał nakrycie głowy i mruknął:

– Może.

Zahred ostrożnie wziął skomplikowaną konstrukcję z utwardzonej skóry, włókien agawy, piór i sznurków. Obejrzał. Pokiwał głową z uznaniem, oceniając wykonanie. Popatrzył na wyjęte z mocowań kolorowe pióra, na wycięte i wytłoczone wzory.

– Kto decyduje o pióropuszu wojownika? On sam? – zapytał, z szacunkiem oddając ozdobę właścicielowi.

– Życie. Los. Bogowie. Wojna – odpowiedział Maxcatl. – Wojownik ma tyle, ile weźmie. Tyle, ile obroni. Pióra nie czynią wojownika. Tylko wojna.

– Wojna... – powtórzył Zahred, patrząc w ogień.

Gdzieś wysoko w górach rozkrzyczało się jakieś zwierzę. I tak niespokojne psy odpowiedziały ujadaniem, przekrzykując się i zagłuszając nawzajem. W końcu z wolna ucichły.

– Skąd wzięli się bogowie? – zapytał znów Zahred.

Maxcatl, nie odrywając się od swej pracy, odpowiedział pytaniem:

– Xahuatl pyta o legendy czy o prawdę?

– O prawdę.

– Znikąd. – Indianin wzruszył ramionami.

– Niech Maxcatl wyjaśni.

– Znikąd się nie wzięli. Kiedyś byli ludźmi, a potem umarli. Dzieci mówiły o nich z szacunkiem. Wnuki z podziwem. Prawnuki z niedowierzaniem. Wnuki prawnuków z uwielbieniem. Każdy bóg stworzył sam siebie, zasłużył na miejsce w niebiosach swoją odwagą albo nikczemnością. Wszystko kiedyś jakoś powstało. Wszystko, co wielkie, było kiedyś małe.

– Jednak mimo to Maxcatl wierzy w nich i oddaje im cześć?

– Maxcatl jest wojownikiem. Ojciec Maxcatla był wielkim wojownikiem. Ojciec jego ojca jeszcze większym, a jego ojciec... – Indianin spojrział ku gwiazdom. – Jeszcze, jeszcze większym. Kiedy spojrzeć z daleka, niezmiernie wielkie rzeczy wydają się mniejsze. Jak orzeł szybujący ponad szczytem góry. Bogowie są prawdziwi, bo kiedyś byli prawdziwymi ludźmi.

– Jak zatem... – zaczął Zahred, ale nie dokończył, bo w tym momencie huknął i błysnął ogniem arkebuz.

Obozowisko ożyło w jednej chwili, ludzie zerwali się z okrzykami. Psy znów zaczęły szczekać jeden przez drugiego, ktoś dorzucił szczap do ognia. Strzeliły płomienie, w jednej chwili wyciągając z ciemności o wiele więcej.

– Alarm! – rozległ się krzyk wartownika. – Podchodzili tutaj...! Dajcie pochodnie!

Kilka płonących żagwi poleciało w ciemność, ciągnąc za sobą snopy iskier. W blasku jednej z nich mignęła sylwetka biegnącego człowieka; od razu rozległ się kolejny strzał, jednocześnie z nim trzasnęły cięciwy kusz.

– Do broni! – zawołał Zahred. – Piki na przód, pilnować podejścia! Rozpalic ogień na tyłach, oczy mieć otwarte i dookoła głowy...! I cisza, cisza, powiedziałem!

Ludzie zamarli w gotowości, pobrzękując tylko bronią i pancerzami. Słychać było ciężkie, nerwowe oddechy; któryś z psów wciąż ujadał, nie dając się uspokoić.

– Widać ich nadal...! – syknął któryś z wartowników, napinając kuszę. – Jeden się czai gdzieś tam chyba...

Zahred wyciągnął siekiere z pasa, wziął od kogoś z ludzi pochodnię.

– Kefren, do nogi! – Cmoknął na psa.

Przecisnął się pomiędzy ludźmi i wyszedł przed już ustawiony pierwszy szereg żołnierzy. Ostrożnie, trzymając światło wysoko nad głową, zszedł po kamieniach. Obrócił się w lewo i prawo, wyglądając pomiędzy drzewami.

Przeszedł dalej, obejrzał się na ludzi. Widać ich było jak na dłoni, blask igrał na pancerzach i odbijał się we wpatrzonych w niego oczach.

Kilkanaście kroków dalej natknął się na leżące nieruchomo ciało.

Kimkolwiek był ten człowiek, na pewno już nie żył, bo kula z arkebuzy – bardziej przypadkiem niż dzięki umiejętnościom strzelca – trafiła go prosto

w głowę.

Na pewno nie był jednak wojownikiem, bo nie widać było przy nim broni. Prosty, szary płaszcz z włókien agawy, owinięte paskami materiału nogi... Filcowa czapka.

Zapewne ciekawski, który przyszedł tu z pobliskiego miasta albo nawet którejs wsi.

Nic dziwnego: wszyscy chcieli zobaczyć przybyszów, zaspokoić ciekawość. Dla nich coś takiego było opowieścią, którą potem przekazywało się dzieciom, wnukom. Być może jedynym elementem wyróżnikowym w szarej, nudnej, codziennej rzeczywistości.

A teraz ten człowiek nie żył, bo w swej głupiej, naiwnej ufności podszedł zbyt blisko do miejsca, w którym nie powinno go być.

Kefren zawarczał głucho, szczerknął krótko, urywanie.

Zahred przeszedł za drzewo, stanął w szerokim rozkroku. Machnął pochodnią, aby płomień strzelił jaśniej, i zawołał do ludzi:

– Jeden trup! Nie ma tu nikogo, uciekli! – Zaś ciszej powiedział w języku *nahuatl*: – Zmykaj stąd, mały.

Kulący się pomiędzy kamieniami u samych stóp Zahreda chłopak spojrzał na niego wielkimi z przerażenia oczami, po czym zaczął powoli czołgać się w tył.





## Rozdział 11

**A**leż widok...! – zakrzyknął któryś z żołnierzy, aż przystając, żeby nasycić oczy.

Nocny śnieg zalegał wciąż cienką warstewką w zagłębieniach terenu i tam, gdzie pasma cienia chroniły go przed promieniami ostrego słońca. Powietrze było rześkie i świeże, krystalicznie wręcz czyste, zaś pejzaże naprawdę zapierały dech w piersiach.

Schodząca już z najwyższych szczytów pasma górskiego ekspedycja szła teraz wijącą się zygzakami ścieżką.

Daleko w dole widać było taflę idealnie błękitnego jeziora, w którym przeglądało się aż kłujące w oczy nasyconym kolorem niebo, zaś sporo za nim, już na granicy rozmywającej się szarością perspektywy, można było dostrzec plamkę bieli – zapewne kolejnego miasta leżącego na ich trasie.

Jeśli wysilić oczy niemalże do bólu, to nawet wcześniej z krajobrazu wyłaniało się jeszcze kilka niedużych wiosek ze wznoszącymi się prosto w górę szarawymi strużkami dymów.

Wokół nich układały się geometrycznymi kształtami pola fasoli i kukurydzy.

Tu i tam można było domyślić się pastwisk, po których przesuwały się punkcikami stada jakichś zwierząt, zbyt małych, aby można było je z tej odległości rozpoznać.

– Idziemy i idziemy, jak ten Aleksander Macedoński, ku krańcowi świata... – mruknął de Monroy, po raz nie wiadomo który poprawiając uwierający go w bok napierśnik. – I co? Za każdą górą jest dolina, a potem jeszcze jedna góra... i tak bez końca.

– Ale on chyba wygrał, nie? – podłapał przynętę Enriquez.

– Ni cholery, zawrócił przecież. Za dużo było wszystkiego, za duże straty. Ludzie zaczęli się buntować... ahem... – odkaslnął znacząco samozwańczy szlachcic, rozglądając się, czy aby któryś z oficerów nie usłyszał mocno niefortunnnych słów. – Zawrócił w każdym razie.

– Za to pamiętają o nim do dziś... I zdaje się, żył długo i szczęśliwie, co?

– Zmarł na gorączkę, trzydziestu lat chyba nie miał nawet. A po jego śmierci wszystko się rozpadło... tfu! – zezłościł się de Monroy. – Idźcie w cholere z waszymi głupimi pytaniami!

– Sam zacząłeś przecież. – Enriquez wzruszył ramionami.

Nie byli jedynymi, których dręczyły podobne myśli i rozważania.

Mimo że zabrane ze skalnego schronienia zapasy pozwoliły najeść się do syta po raz pierwszy od długiego czasu, to w tej chwili stopień napełnienia żołądków wcale nie był już czynnikiem przesądającym o morale żołnierzy.

Wielu z nich zanosilo się głuchym, bolesnym kaszlem, odbijającym się echem gdzieś w płucach.

Inni uskarżali się na dolegliwości żołądkowe, duszności czy wręcz brak oddechu.

O otarciach, odciskach i bolących kolanach nikt nawet już nie wspominał, bo i po co? Przecież to dolegało wszystkim.

Szli praktycznie bez przerwy, bez chwili spokojnego wytchnienia już – ile? Dwa, trzy miesiące bodajże?

Ciągle pod bronią.

Nieustannie w gotowości.

Nie mogąc nawet ułożyć się spać tak, żeby nie musieć mieć broni na podorędziu.

Jedli obce jedzenie, pili obce napoje.

Sypiali z obcymi kobietami, które jakkolwiek urocze, powabne i ponad miarę wdzięczne, były – no cóż, były niewiele więcej jak towarzystwem na noc. A czasami chciałoby się mimo wszystko z taką pogadać albo chociaż powiedzieć coś mało istotnego, prostego, ale zwyczajnie ciepłego. Tylko jak to zrobić, kiedy nie zna się języka?

Jedyny dłuższy postój mieli wtedy w Choluli. Tylko że tamten czas, tamte wydarzenia nie były chętnie wspomniane. Nikt nie spieszył się do rozpamiętywania, nie chełpił dokonania. Kiedy musieli się do nich odnieść, mówili po prostu: „wtedy”.

Każdy rozumiał, każdy wiedział, o czym mowa.

Owszem, mieli w sakwach złoto, które powinno cieszyć – ale zamiast tego tylko ciążyło w drodze.

Podobnie jak sny, które prześladowały od tamtej pory część Kastylijczyków.

Ojciec de Olmedo regularnie odprawiał msze, spowiadał ludzi, zadawał pokutę i powtarzał: nie turbujcie się. Nie umartwiajcie nadmiernie ducha i ciała, bo wasze zadanie teraz jest większe i ważniejsze niż rozterki sumienia. Jeśli mało wam mojego sakramentu, z pewnością to samo powie wam choćby i biskup, gdy wrócimy wszyscy w rodzinne strony. Wrócimy jako zwycięzcy, jako ci, co przynieśli światło wiary w dalekie kraje, przybliżając nadejście Królestwa Bożego na ziemi!

Tylko że zarówno w oczach duchownego, jak i jego stadka widać było jedną prostą wątpliwość: a jeśli nie wrócimy? Co, jeśli przyjdzie nam zostać tutaj, żywym lub umarłym? Przecież spaliliśmy okrety...

– Przynajmniej ty nie bądź taki ponury, proszę cię! – Caudillo wstrzymał konia, żeby zrównać się z idącym pieszo Zahredem. Zsunął się na ziemię, oddał wodze jednemu z przybocznych i poklepał towarzysza po ramieniu. – Nadal twierdzisz, że powinniśmy zawrócić? Aż tak cię to gryzie?

Zahred pokręcił głową, westchnął. Spojrzał ku odległemu miastu.

– Twierdzę wyłącznie, że możemy nie być na to przygotowani.

– Tak jakbyśmy byli gotowi na cokolwiek innego po drodze! – zaśmiał się Cortés, ale zaraz spoważniał. – Sam mówiłeś, że do Tenochtitlán jeszcze kawałek drogi. Ludzie zdążą odpocząć, nabrać sił.

– Nabrać sił przed czym? – Zahred rzucił mu posępne spojrzenie. – Kolejną masakrą? Tego chcemy, po to tu przybyliśmy?

– Nie dalibyśmy przecież rady...

– A gdybyśmy mogli dać, to wydałbyś taki rozkaz, Hernán? Żeby wyrznąć kolejne miasto?

– Przestańże wreszcie! – zezłościł się caudillo. – Od kilku dni zachowujesz się tak, jakby to wszystko było moją winą! Może naprawdę przestajesz zbyt dużo ze swoimi Indianami?

– Oni nie są „moi”. I nie wiem, czy nie popełniamy tego błędu, że myślimy o nich jak o czymś poślednim, Hernán. To miasto, które widziałem... W porównaniu z nim to, o tam! – Zahred pokazał ręką za siebie – to nic, rozumiesz? Nic! Ich kultura, obyczaje, biżuteria... Oni mogliby być nie gorsi od nas!

– Tenochtitlán cię olśniło, tak? „Zawieszono w pajęczej sieci”, sam powiedziałeś. I co z tego? Pszczoły i pająki też budują sobie piękne domy, a nie są nawet cieniem istot rozumnych! Mogą mieć sobie swoje miasta, królów, domy z ulicami, ale co z tego, pytam? To pokazuje ci tylko, że nie są do końca zwierzętami!

– Są ludźmi jak ty i ja! Mają własny rozum!

– Nie mają, bo ślepo słuchają tego swojego durnego Montezumy! – Caudillo uderzył pięścią o dłoń w złości. – Jak pszczoły leżące bez sensu za

królową! Są usposobieni służalczo, wręcz przygotowani, aby służyć! I dlatego musimy pokazać im, komu winni są wierność...!

– „Musimy”? Zatem naprawdę jesteście krzewicielami wiary i porządku pośród tych dzikich ziem pozbawionych światła cywilizacji? I to oni zachwycają się naszymi strojami, a nie my ich? To oni patrzą pożądliwie na nasze kobiety? Nie dostrzegasz pogardy na ich twarzach, kiedy przyjmują nasze tanie błyskotki w zamian za ich złoto?

– Wyglądają na zadowolonych... – burknął Cortés.

– Są po prostu uprzejmi, Hernán! Do bólu, ujmująco grzeczni i gościnni, nie chcą w niczym urazić gości! Ich język nie jest mową sług, a ludzi o wysokiej kulturze! Są nie mniej rozwinięci niż ty i ja!

– Nie używają żelaza ani koła. Jak mogą tego nie znać?

– Skoro czegoś nie znają, to najwyraźniej nie mieli po temu możliwości ani potrzeby! – prychnął Zahred. – Po co ci koło na tych drogach? Żelaza może zwyczajnie nie być w tutejszej ziemi...

– Czy ty ich bronisz? – Cortés spojrział z niedowierzaniem i zaskoczeniem.

Zahred spuścił tylko wzrok, niezadowolony warknął:

– Nie bardziej niż kogokolwiek innego. Ale i nie mniej. Po prostu patrzę na to wszystko i...

Westchnął, nie dokończył myśli.

Spojrzał w bok, gdzie pośród gęstwiny dębowego zagajnika pasło się stado saren o białych ogonach, które teraz podniosły łby i patrzyły z zaciekawieniem na ich orszak, strzygąc długimi uszami.

Dalej, ponad koronami olch i akacji, nad którymi czasami wybijał się strzelisty cyprys, dało się dostrzec piramidę kolejnej niewielkiej świątyni.

Podobnych do niej widać było już kilkanaście, a co rusz widok otwierał się na następne. Przy każdej z nich zapewne była jakaś zamieszкана osada, ciągnęły się uprawne poletka w kolorach żółci i fioleto.

Słońce stało już wysoko na niebie, znów robiło się ciepłej.

Miasto nad wciąż odległym jeziorem może i utraciło część baśniowego uroku, ale za to robiło się coraz lepiej widoczne, rzeczywiste.

Kolumnę minęło kilku prostych ludzi, zapewne rolników, idących w przeciwną stronę z plecionymi koszami zawieszonymi na opasujących czoło uchwytach. Nawet nie zwrócili uwagi na ciągnącą się bez końca kolumnę pancernych konkwistadorów i towarzyszących im Tlaxcalteków: doszli, dokąd chcieli dojść, po czym skręcili na niemalże niewidoczną pośród skał ścieżynkę.

– I...? – zapytał miękko Cortés po długiej chwili milczenia.

– I przypomina mi to dom, Hernán. Prostych ludzi, żyjących blisko z naturą. Może i nieokrzesanych, ale na swój sposób bardzo honorowych. Nie lepszych, ale też nie gorszych niż inni gdziekolwiek i kiedykolwiek... – wyrzucił z siebie na jednym oddechu Zahred.

– Dom, czyli to twoje Rundis, tak? – uśmiechnął się Cortés.

Jednak twarz Zahreda ściągnęła się gwałtownym grymasem, kiedy zmrużył oczy i spojrzał na caudilla wzrokiem zimnym niczym popioły dawno zgasłego ogniska, po czym odezwał się głucho:

– MÓJ dom.



Drugiego dnia po zejściu z przełęczy pomiędzy dwoma wulkanami dotarli wreszcie do miasteczka położonego niedaleko jeziora.

Ludzie z ulgą przyjęli ofiarowaną im gościnę w domach, które po ostatnich trudach podróży wydały im się przestronne i tak wygodne, że aż nie mogli się nimi nacieszyć... Jak cudownie miękkie były maty, jak delikatne posłania! I jedzenie, wreszcie inne niż wciąż te same placki kukurydziane!

Sam władca tego miejsca, noszącego miano Amecameca, przyjął przybyszów z wielkim szacunkiem. Przedstawił się jako Ichtacuitl, daleki kuzyn Montezumy. Powitał ich na ziemiach należących do plemienia Chalków. Dał żywności, ile tylko chcieli. Napoił i nakarmił kapitanów w swym domu. Obdarował złotem. Przekazał czterdzieści niewolnic, które – bardzo dobrze ubrane i umalowane – od razu podniosły nastroje pośród Kastylijczyków.

I tylko Zahred siedział nadal ponury, zatopiony we własnych myślach.

Owszem, podczas niewielkiej, ale wystawnej uczyty odzywał się zapytany, reagował, zamienił nawet kilka słów z dostojnikiem, budząc jego podziw tym, że ktoś spoza znanego mu świata włada tym samym językiem... Lecz to było na tyle.

Kefren łąsił się do swego pana, poszturchiwał go nosem, wciskał łeb pod rękę i lizał po twarzy, próbując jedynym znanym sobie sposobem pocieszyć człowieka, rozmyślającego nad sprawami przekraczającymi zdolności jego pojmowania.

W końcu Zahred podniósł głowę i odwzajemnił spojrzenie Xicotencatla, który już dobrą godzinę świdrował go uporczywym wzrokiem.

Przez ostatnie dni Tlaxcaltek, wcześniej zawsze obecny i wręcz szukający towarzystwa Zahreda, zdawał się go celowo unikać. Odchodził, kiedy ten się zbliżał. Zamiast przychodzić samemu, przysyłał kogoś ze swoich przybocznych.

Coś takiego nie mogło być dziełem przypadku. Nigdy nie było. I teraz to ciężkie, wręcz oskarżycielskie spojrzenie...

Zahred wstał ze swego miejsca, ruszył ku wyjściu.

– Doką-ką-kąd to, kapita-tanie? – zawołał za nim pan de León, obejmujący dwie chichoczące Indianki naraz. – Tutaj się je-je-jeszcze nie za-czę-

częło!

Zahred jednak nie odpowiedział, odchylił wiszącą w przejściu kolorową kotarę i wyszedł na wewnętrzny podwórzec rezydencji, a potem skierował się ku bramie.

Amecameca tętniła jeszcze głosami, na placach paliły się ogniska.

Kastylijczycy rozprawiali o swoich sprawach, na migi dogadywali się z miejscowymi.

Ciekawskie dzieci obserwowały, jak Kastylijczycy czyszczą broń i karmią psy.

Konkwistadorzy flirtowali z lokalnymi dziewczętami.

On jednak zostawił to wszystko za sobą, wyszedł poza zabudowania i ruszył dróżką ku zagajnikowi nad rzeczką.

Noc była jasna, nabierający mocy księżyc przeświecał przez chmury.

– Kefren, chodź – zachęcił Zahred, widząc, że jego czworonożny towarzysz został z tyłu i zawarczał, patrząc gdzieś w kierunku, z którego przyszli.

Sam odruchowo dotknął tkwiącej za pasem siekiery, westchnął ciężko.

Szkoda. Naprawdę nie miał ochoty tego robić.

Jednak jeśli sytuacja będzie tego wymagać...

...no cóż.

Dotarł aż do niewielkiej, szemrzącej pomiędzy kamieniami rzeczulki. Zszedł nisko i zaczerpnął rękoma lodowatej wody, przytknął złożone dłonie do ust.

To była piękna noc, piękna okolica.

Z jakiegoś powodu przypominała mu miejsce, w którym był – kiedyś.

Meandrująca rzeka, podobnie jak tutaj.

Proste domy z gliny.

On skulony na brzegu, a po drugiej stronie chłopiec, który przyszedł poszukać pasującego mu do zabawy z rówieśnikami kamienia.

Dawno, dawno temu.

W innym życiu.

Chrzęst kamieni w rytm zbliżających się kroków słyszał już wcześniej, ale celowo nie reagował. Kefren postawił uszy, znów zawarczał... Potem cień nasunął się na plecy Zahreda, zasłaniając światło księżyca.

– Xicotencatl – stwierdził Zahred, podnosząc się i obracając do tamtego.

– Xahuatl – warknął Tlaxcaltek.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Kefren położył po sobie uszy, pokazał zęby... Natomiast Zahred rozłożył ręce, pokazując, że nie ma broni:

– Co takiego chce powiedzieć mi syn Xicotencatla, że nosi swoje słowa już kolejną noc, niczym kamień w żołądku?

– Xahuatl dobrze wie, co powie mu Xicotencatl. Jednak wcześniej chce dowiedzieć się, czemu Xahuatl nie ma odwagi ani honoru, aby zrobić to, jak na wojownika przystało – wycedził młody wódz.

Zahred spojrział na kamienny miecz macuahuitl w jego rękę, pokręcił głową.

– Xicotencatl jest dobrym towarzyszem. Xahuatl nie chce odbierać mu życia.

– Tak samo, jak nie chciał odbierać go Xiconchitlemu? – Głos wojownika aż zadrżał.

Zahred westchnął ciężko.

Powoli sięgnął za pas, wyciągnął siekiere.

– Tak samo. Xahuatl uczynił coś, czego żałuje... I gdyby potrafił cofnąć czas, to postąpiłby inaczej. Jednak nie zawróci się rzeki, nie zatrzyma powiedzianych słów, nie odwróci dokonanych czynów. Tę moc mają tylko bogowie, a nawet oni zazdrośnie strzegą swoich tajemnic.

– Niech Xahuatl nie mówi o bogach, bo jego kłamliwe usta nie są godne ich miana! – warknął Xicotencatl, unosząc swój miecz.

– Xahuatl nie okłamał Xicotencatla. Nie okłamałem cię, a cokolwiek zrobiłem, zrobiłem to tylko dlatego, że... – Zahred też już unosił siekiere, lekko uginając kolana. Nagle jednak wzdrygnął się, potrząsnął głową. Stał wyprostowany i opuścił broń. Spojrział na szykującego się już do ataku Kefrena.

– Niech Xicotencatl obieca mi jedną rzecz.

– Wojownik nie obiecuje, nie daje słowa kłamcy i zdrajcy!

– Mimo to poproszę: gdy Xicotencatl mnie już zabije, niech zaopiekuje się moim psem.

Tlaxcaltek prychnął pogardliwie, zerknął na zwierzaka. Poruszył ustami, zacisnął zęby. Jego nozdrza rozděły się nerwowo.

– Xicotencatl zajmie się psem Xahuatla! – warknął. – Po tym, jak wyrwie Xahuatlowi serce z piersi i...

Zahred potrząsnął głową.

– Nie. Nie tak. Niech weźmie jego ciało i wrzuci w gardziel dymiącej góry, gdzie zniknie w ogniu.

– Xahuatl nie będzie mówił Xicotencatlowi, co...

W tym momencie brzęknęła upuszczana na kamienie siekiera.

Zahred uklęknął na kamieniach.

Rozłożył szeroko ręce.

Zadarł podbródek.

Spojrzał prosto w oczy zdumionego, wstrząśniętego wojownika.

– Niech Xicotencatl uderzy tu. – Odchylił głowę na bok. – Jedno szybkie cięcie. Kto wie? Może kamienna broń... Tego jeszcze nie próbowałem.

Tamten odsunął się o krok, ujął miecz w obie ręce.

Widać było, że nie może się zebrać; kołysał się, przestępował z nogi na nogę.

Raz już nabrał powietrza, prawie zamachnął się, ale zrezygnował.

Parsknął, zamrugnął, próbując zgonić z nich napływające łzy.

– Dlaczego...? – wydusił.

– To bez znaczenia. Xahuatl zabił brata Xicotencatla, tylko to jest ważne. Niech on teraz pomści jego śmierć.

– Xahuatl przecież powiedział, że... że Xiconchitli umarł własną śmiercią!

– Xahuatl przysiągł, że brat Xicotencatla nie zginął z ręki śmiertelnego człowieka. – Zahred uśmiechnął się kwaśno, przymykając powieki. – To bez znaczenia. Niech uderzy i miejmy to za sobą... A potem niech Xicotencatl zbierze swoich wojowników i zabije białych.

Xicotencatl zachwiał się, postąpił krok i drugi w tył. Opuścił miecz.

– Co...?

– Zabijcie. Białych – powtórzył Zahred z mocą, otwierając oczy i patrząc wprost na wojownika. – Wszystkich, co do jednego. Tak, żeby żaden nie uszedł z życiem. Na pewno przyplyną kolejni... Powiedzcie im wtedy, że tamci wyróżnili się nawzajem w kłótni o łupy. Nie uwierzą wam, wtedy powiedzcie, że część uważała, że Cortés jest oszustem i bandytą. Nie wpuszczajcie ich na swoje ziemie. Najlepiej w ogóle nie pozwalajcie zejść ze statków na ląd... Nie wiercie w ich kłamstwa, nie słuchajcie gładkich słów, nie przyjmujcie darów. Zabijcie wszystkich.

– O czym Xahuatl mówi? Czy strach przed śmiercią pomieszał mu zmysły?! – krzyknął wojownik, łapiąc się za głowę. – Czy może kłamstwa płodzą w jego głowie kolejne kłamstwa?!

– Nie okłamałem Xicotencatla! – zawarczał Zahred. – Tak jak nie kłamię teraz, mówiąc: to ja zabiłem jego brata.

– Dopiero co Xahuatl powiedział...

– Zabij mnie, proszę! – krzyknął Zahred, zrywając się z kolan i ruszając ku tamtemu. – Zabij! Zabij teraz, bo...!

Xicotencatl wziął już zamach, przez chwilę zdawało się, że rzeczywiście uderzy i jednym cięciem zerwie głowę przeciwnika z ramion...

...ale potem pokręcił głową, opuścił miecz.

– Nie – powiedział. – Xicotencatl nie zabije Xahuatla, bo nie zabija się przyjaciół.

Zahred zajęczał rozdzierająco, zakrył twarz dłońmi i osunął się na ziemię.

Pies podbiegł do niego jako pierwszy, zaczął lizać po twarzy.

Xicotencatl podszedł niepewnie.

Ostrożnie położył dłoń na ramieniu Zahreda.

Przykucnął obok.

– Niech Xahuatl wytłumaczy – powiedział miękko.

– Zabijcie ich... – rozległa się zduszona odpowiedź. – Cortésa, jego kapitanów, żołnierzy. A przede wszystkim tę kobietę sączącą mu jad do ucha... Zabijcie ją, bo inaczej zginiecie sami albo obróć was w niewolników.

– Malintzin? – Xicotencatl potrząsnął głową.

Zahred oderwał dłonie od twarzy, spojrział na Indianina zmęczonymi, pełnymi bezbrzeżnego smutku i łez oczami.



– Zabijcie – powtórzył niczym zaklęcie.  
– Niech Xahuatl wytłumaczy Xicotencatlowi najpierw siebie. Potem dopiero wyjaśni mu swoje dziwne słowa. Ale najpierw siebie...  
– Co tu tłumaczyć... Xahuatl zabił brata Xicotencatla, bo myślał, że ten spiskuje przeciwko Cortésowi wraz z władcami Choluli. Co może i było prawdą...  
– Zahred uśmiechnął się krzywo. – Zabiłem go we śnie, udusiłem własnymi rękami. Jak tchórz... Żeby nie zostawić śladów.  
– Xahuatl dopiero co powiedział, że Xiconchitli nie zginął z ręki człowieka!  
– Śmiertelnego człowieka... Zresztą niech Xicotencatl patrzy uważnie.  
Ręka Zahreda strzeliła w przód, chwyciła rękojeść noża, który miał za pasem Xicotencatl.  
Nim wojownik zdążył krzyknąć albo chociaż zareagować, kamienne ostrze obróciło się w dłoni wytatuowanego człowieka. Po czym wbiło mu się prosto w serce.



– Coś długo naszego kapitana nie widać. – Rodrigo wyjrzał zza uchylonej zasłony, westchnął i znów zasunął materiał, żeby nie wypuszczać ciepła na dwór. – Inni już dawno wrócili, słyszałem, jak śpiewali... Kto wie co mu te czerwone dzikusy mogły zrobić?  
– Dzikuski raczej – mruknął de Monroy, przewracając się na drugi bok. – Wracajcie spać, panie, ciemno jeszcze.  
– Świta już, a jęgo nie ma.  
– Czyli ciemno, spać można...  
– A ja poczekam. – Uparty arkebuzer zdjął z kołka płaszcz, narzucił na ramiona i wyszedł na dwór.  
Noc była wilgotna, aż lepka. Chłód przenikał do szpiku kości. Zawieszona w powietrzu mgiełka czepiała się ubrań i włosów, osiadała na skórze mokrą warstewką.  
Rodrigo zawinął się w płaszcz, zadrżał.  
Ulice były puste i ciche, wszyscy pewnie smacznie spali. W takich chwilach można było uwierzyć, że jest się jedyną żywą istotą na całym świecie.  
A może tak właśnie było?  
Roztarł ręce, przeszedł się kawałek uliczką i zawrócił.  
Mgła już nabiegała szarawą poświatą, zwiastującą rychły wschód słońca. Przecież kapitan Zahred zawsze wracał na noc, w ogóle oszczędzał się i prowadził tryb życia, który Rodrigo najkrócej określiłby jako „godny

pochwały”. Nietłuste jedzenie, dużo warzyw, picie ze zdecydowanym umiarem. No, może tylko trochę za często się mył, ale...

Myśl uleciała jak zdmuchnięta wiatrem, kiedy w ulicze zamajaczyły jakieś kształty.

Rodrigo zmrużył oczy, próbując rozpoznać: to jeden człowiek? Czy człowiek prowadzący muła...? Chociaż nie, zaraz: dwóch, z czego jeden prowadzi drugiego, który stąpa ciężko, jak pijany. A obok nich spokojnie truchta pies...

– Panie kapitanie! – wyrwało się Rodrigowi, kiedy w tym prowadzonym rozpoznał Zahreda, ciężko wspierającego się na ramieniu Indianina. – Co się stało...?

Zahred z wyraźnym wysiłkiem podniósł głowę i spojrzał na niego. Na bladej twarzy malował mu się tak straszny wysiłek, na czole wystąpiła pulsująca żyła, oczy miał podkrążone i nabiegłe krwią, aż Rodrigo się wystraszył.

Już miał skoczyć na pomoc, kiedy Indianin powiedział:

– *Pulque*.

– *Pulque*... Niby że do tej pory piliście? I ty pana kapitana do takiego stanu...? – Arkebuzer spojrzał na niego z wyrzutem.

– *Pulque* – powtórzył tylko tamten, nie zatrzymując się.

Rodrigo chciał już ruszyć za nimi, pomóc, ale potem nagle zrobiło mu się najpierw głupio, a potem poczuł w gardle palącą wściekłość. To on się tak przejmował, martwił, a ten całą noc się bawił...!

Fuknął ze złością, oparł się o ścianę. Jak to życie potrafiło człowieka rozczarować! Z drugiej strony lepiej już, żeby pan kapitan Zahred miał być nic niewartym pijakiem niż...

...

Wzdrygnął się, potrząsnął głową.

Niechby już szybciej wstało słońce.



– ...dlatego też władca Amecameki, dobry Ichtacuitl, mówi: poborcy podatkowi Montezumy bezlitośnie okradają jego ludzi, oszukując na wysokości pobieranej daniny.

Caudillo pogładził węża i zapytał przez Malintzin:

– Pomimo tego, że władca Amecameki jest spokrewniony z królem Tenochtitlán? Zaskakujące...

– Ichtacuitl mówi: Montezuma nie zważa na pokrewieństwo, kiedy mowa o jego skarbcu.

– Ha! Jak to mawia się u nas, kochajmy się jak bracia, ale liczymy się jak Żydzi...!

– Jak kto? – Malintzin zmarszczyła brwi.

– Jak Żydzi, mówię. To tacy ludzie, którzy... nieważne. – Cortés machnął ręką. – Powiedz mu, że być może nie będziemy w stanie od razu uwolnić ich od tych obciążeń, ale wkrótce mamy nadzieję to uczynić.

Ichtacuitl pokiwał głową z zadowoleniem, siedząc pomiędzy swoimi doradcami i zarządcami. Nachylił się do jednego, zamienił z nim kilka słów półgłosem. Potem zapytał o coś drugiego.

W końcu odezwał się, patrząc na Cortésa bardzo wnikliwie.

– Jesteśmy ostrzegani przed wiarołomstwem Mexików, panie – powiedziała Malintzin. – Ichtacuitl twierdzi, że zamierzają oni zwabić nas do miasta, a tam uwięzić i zabić od razu po przybyciu.

– Powiedz mu, że pójdę zobaczyć się z Montezumą, bo muszę zdać raport królowi i tak nakazuje mi chrześcijański obowiązek. W każdym razie powiedz mu to, co zwykle im mówimy. Ech, gdyby tylko słyszał to Zahred! – pokręcił głową Cortés.

– Nie wiecie, gdzie jest, panie? – zapytała Malintzin, patrząc w posadzkę.

– Nie! Wyszedł wczoraj z uczyty i od tej pory jak kamień w wodę. Zresztą widziałas chyba sama?

– Nie zauważyłam, panie – szepnęła Malintzin, skrywając uśmiech w uniesionym do ust kubku.



Zahred wyłonił się ze swej kwatery dosłownie kwadrans przed tym, jak kolumna miała ruszać dalej po dwudniowym postoju.

Żołnierze widzieli, że wygląda słabo, zdaje się ledwie trzymać na nogach... Mimo to porozmawiał z nimi, pożartował chwilę, choć krzywił się przy każdym głębszym oddechu.

– Zgaga – wyjaśnił, kiedy de Monroy zaczęła indagować. – Nie służy mi ten ichni napitek... Od dziś tylko woda.

– Może zdejmiecie pancierz, panie? – Samozwańczy szlachcic popatrzył z powątpiewaniem na czarną płytę napierśnika.

Zahred jednak pokręcił tylko głową:

– Nie, nie. Tak przynajmniej nie będę się garbić jak stara baba... No już, naprzód!

– A wy?

Zahred pokazał na kilku Tlaxcalteków.

- Ja chwilowo pójdę z nimi. Muszę dopytać o dalszą trasę.
- Jasne... Jakby co, to ślijcie po nas! - zawołał mu w ślad de Monroy.

Co prawda byli już spory kawałek za miasteczkiem, kiedy de Monroya tknęła myśl: a co niby mogli powiedzieć ich kapitanowi tamci, którzy przecież sami chyba nigdy jeszcze nie bywali tak daleko? O coś takiego toby miejscowych trzeba pytać.

No ale skoro kapitan tak mówił, to najwyraźniej tak było.



- Jak czuje się Xahuatl?

Zahred rozchylił powieki, spojrzał na stojącego nad nim Xicotencatla.

- Żyje - mruknął. - Chociaż co to za życie...

Była już noc.

Jeszcze przed wieczorem wojsko dotarło do kolejnego miasta, położonego nad jedną z zatoczek jeziora, które widzieli, schodząc z przełęczy - sporo większego od Amecameki.

Zapewne miało swoją nazwę.

Na pewno był jakiś władca, bo reszta kapitanów i dworu Cortésa pewnie została zaproszona na wieczerzę.

Caudillo z pewnością opowiadał Indianom o dobrodziejstwach stania się poddanymi króla Karola, roztaczał wizje cywilizacji i dobrobytu.

Tamci słuchali go z otwartymi ustami, udając, że w ogóle rozumieją, o czym mówi do nich biały przybysz.

Koło Cortésa siedziała nieodłączna Malintzin, wiernie przekazująca słowa władcy... Albo też subtelnie zmieniająca ich znaczenie, żeby bardziej pasowały do jej celów. Kiedy drobna różnica mogła przechylić szalę decyzji.

I na przykład doprowadzić do wyróżnienia kolejnego miasta pełnego niewinnych ludzi.

Innym kapitanom zdawało się to nie przeszkadzać. Oni mieli swoje złoto, udział w łupach, ozdobach i tkaninach. Dzielili się i wymieniali otrzymanywanymi kobietami, handlując nałożnicami jak byłem.

Wszystko przestawało mieć znaczenie: złoto traciło swą wartość, życie ludzkie przestawało liczyć się w rachunku indywidualnym.

Cały świat jakby stawał się względny, relatywny.

Dobro i zło, honor i zdrada, noc i dzień.

Ludzie i bogowie, którzy...

- Xicotencatl pytał, czy coś mu przynieść.

Zahred znów otworzył oczy, choć gotów byłby przysiąc, że nawet ich nie zamykał. Czuł, jak gorączka przytępia mu zmysły, zaciera granicę pomiędzy snem a jawą.

– Pomóż mi zmienić opatrunek – powiedział, ale Indianin spojrział na niego, nie rozumiejąc. Przelknął ślinę, powtórzył w innym języku: – Opatrunek. Pomóż mi go zmienić.

– Xicotencatl nie pojmuje słów Xahuatla.

Odetchnął głęboko, aż zaboląły rozszczępione zębra. Spróbował się skupić.

– Niech Xicotencatl pomoże Xahuatlowi zmienić opatrunek na ranie – w końcu dał radę wykrztusić w mowie *nahuatl*.

Wojownik przyklęknął przy nim, rozsuptał i upuścił na ziemię zawiązany na ramieniu Zahreda płaszcz, potem delikatnie pomógł mu zdjąć tunikę. Odwinął bandażę, spojrział na wchodzącego mu pod rękę psa:

– Kefren niech nie rusza! Jego pan...

– Niech podejdzie, gorzej mi od tego nie będzie. – Zahred wyciągnął rękę, delikatnie pogładził psa.

Opuścił głowę i spróbował popatrzeć w dół, na odlepiany właśnie od ciała kompres ze zmiądzonych liści agawy.

Xicotencatl syknął, widząc zaczerwioną, spuchniętą ranę. Już chciał strzepnąć łażące po niej larwy much, ale Zahred chwycił go za nadgarstek.

– Nie. Xicotencatl pamięta? Białe robaki są po naszej stronie.

– Pamięta... – mruknął tamten, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Xahuatl powinien już nie żyć. Muchy żywią się na umarłych.

– Muchy żywią się na nich, a potem przekazują resztkę ich życia Xahuatlowi.

Indianin podniósł wzrok.

– Jak długo...?

– Zbyt długo. Zbyt wiele razy, lat, światów... Wszystkiego. Xahuatl żył za dużo razy.

– Xahuatl nie ma racji. – Xicotencatl potrząsnął głową.

– ...?

– Xahuatl żyje tylko raz. Potem umiera i żyje znów, chociaż Xicotencatlowi trudno to pojąć. Ale to nadal tylko raz.

– Nie, to nie tak. – Zahred uśmiechnął się. – To wiele razy, jeden po drugim...

– Ale każdy z nich to nadal tylko raz.

Zapadła cisza, przerywana jedynie potrzaskiwaniem żaru w ognisku.

Larwy much pełzały powoli, niespiesznie, wyjadając martwą tkankę z rany. Gdy przyjdzie dzień, pojawią się ich skrzydlate kuzynki. Te z kolei przyniosą świeży budulec do dalszego łatania brzegów dziury w ciele, która i tak zamknęła się już niemal w całości.

Xicotencatl w końcu poruszył się, sięgnął po świeży liść, na który nałożył trochę maści leczniczej. Przykrył nim ranę, obwiązał kawałkiem płótna tak,

żeby zostawić dojście dla – no cóż, dla powietrza. Tak to sobie w każdym razie tłumaczył.

– Wojownicy pytają, co stało się Xahuatlowi – powiedział, patrząc w kierunku innych ognisk.

– Niech Xicotencatl powie im prawdę. Niech powie, że Xahuatl zabił jego brata... Zaś on darował mu życie.

– Nie – zaprotestował Tlaxcaltek. – Nie godzi się kłamać w sprawach małych, a tym bardziej w dużych. Syn Xicotencatla nie splami swojego języka i pamięci przodków fałszywą przechwałką.

– To nie kłamstwo, a niecała prawda...

– Nie powiedziec prawdy to gorzej, niż skłamać.

Zahred niechętnie, z ociąganiem pokiwał głową i znów przymknął oczy.



Tecuelhuatzin szła dumnie, z wysoko uniesioną głową przez ulice pięknego Chalco.

Gdyby była tylko sobą, musiałaby przemykać się pospiesznie, stawiając drobne, niepewne kroczki i idąc ze wzrokiem wbitym w ziemię, aby przypadkiem nie skrzyżować spojrzeń z obcym mężczyzną.

Nie wypadało przecież, aby szanująca się kobieta miała być widziana samotnie, bez swego mężczyzny i właściciela, na ulicach miasta. Tak chadzały prostytutki i nie wolno było pozwolić, aby ktokolwiek mógł choćby pomyśleć sobie coś podobnego o niej.

Natomiast Tecuelhuatzin nie była sobą.

Już nie.

Teraz, od kilku pięknych tygodni, jej nowe imię brzmiało doña Maria Luisa.

Była zamężna. Jej mąż był jednym z wysoko postawionych przybyszów ze wschodu. Zaś ona była panią u jego boku.

Teraz wolno jej było o wiele więcej niż jakiegokolwiek innej kobiecie.

Ludzie z Chalco patrzyli jej w ślad, szeptali za plecami, kiedy przechodziła od straganu do straganu, przeglądała wyłożone na matach towary. Od czasu do czasu brała coś do ręki, obracała, ale zaraz potem wzdychała i odkładała z powrotem.

To nie... To też nie... Zbyt proste, niepasujące do jej stanu. Umniejszające wagę pozycji.

Było ją teraz stać niemalże na wszystko, a w związku z tym musiała starannie dobierać, w czym się pokazać.

– Xicotencatl widzi, że jego siostra jest teraz wielką panią – rozległ się głos z boku.

Tecuelhuatzin odwróciła się, zaskoczona. Poznała najstarszego z braci, uśmiechnęła się promiennie.

– Tecuelhuatzin raduje się, widząc Xicotencatla w dobrym zdrowiu! Cóż tam u mojego brata? Jak jego podboje?

– Xicotencatl i jego wojownicy przynoszą chwałę imionom przodków... Nie muszą szukać dla siebie nowego miana. – Wojownik skrzywił się.

– Och, bracie Tecuelhuatzin! Czemu tak mała rzecz ma stawać pomiędzy bratem a siostrą? – Kobieta załamała ręce z przesadną emfazą. – Czyż brat i siostra nie pozostają rodzeństwem na zawsze?

– Nie ma nic silniejszego niż więzy krwi. Niech Tecuelhuatzin przejdzie się z Xicotencatlem.

Podał jej ramię, ona ujęła go pod rękę. Ruszyli wspólnie przez targowisko.

– Jak żyje się Tecuelhuatzin u boku białego wojownika? – zagadnął Xicotencatl.

– Tetecuhtin Alvarado jest dobrym mężem. – Kobieta celowo podkreśliła tytuł przysługujący wyższym dostojnikom dobrze urodzonych rodów. – Może nieco innym niż wojownicy Tlaxcali, ale nie mniej dzielny. Poza tym spełnia swoje obowiązki z godną pozazdroszczenia werwą...

– Zatem ród ojca Xicotencatla nie przepadnie! – zaśmiał się wojownik, ale zaraz spoważniał. – Wielu poległo, moja siostro. Musimy pilnować rodziny, bo ponad nią nie ma nic ważniejszego.

– Nie ma nic, bracie... Dokąd idziemy? – Tecuelhuatzin rozejrzała się.

Zeszli z placu targowego i szli teraz niewielkimi uliczkami, zwężającymi się nieledwie do ścieżek, w kierunku zarośniętego trzciną brzegu jeziora. Skręcili jeszcze raz, tak że domy zostały za drzewami; dokoła były już tylko nieprzebyte zarośla kołyszących się na wietrze, szumiących jednostajnie łodyg.

Xicotencatl stanął, ujął ją za rękę i uśmiechnął się.

– Xicotencatl chciał spędzić chwilę sam na sam ze swoją siostrą. Nacieszyć się tym, że ma chociaż ją na tym świecie... Mimo że tak wielu odeszło.

– Czy Xicotencatl chciał zapytać o coś? Bo Tecuelhuatzin ma obowiązki... Chciała go ominąć, ale zastąpił jej drogę, przytrzymał.

– Tecuelhuatzin może poczekać. Może spędzić chwilę z bratem, bo nie wiadomo, kiedy zabierze go los.

– Tecuelhuatzin musi...

– Tecuelhuatzin musi być posłuszną żoną, tak. Tecuelhuatzin jednak musi być też posłuszną obowiązkom siostry, córki, wnuczki i potomkini rodu Xicotencatla. – Głos wojownika stwardniał. – Czy obowiązki Tecuelhuatzin wobec białych oznaczają więcej niż wobec jej rodziny?

– Bracie, puść! Puść, bo będę... – Nabrała tchu, już gotowa krzyknąć.

On jednak szarpnął ją ku sobie, obrócił tyłem i zakrył usta, drugą dłonią przytrzymał ręce. Nachylił się i zasyczał do jej ucha, dysząc z wściekłości:

– Czy Tecuelhuatzin wyrzekła się ojca i braci? Ma ich za nic? Za obierki z kuchni, aby wyrzucać, kiedy nie są potrzebni?! Czy próżna chwala na tyle przyćmiła już jej wzrok, że zapomniała, kim jest?!

– Bracie! – Zdołała się wyzwolić i odskoczyła.

– Bracie... Xicotencatl chciałby móc powiedzieć: siostrze... – Pokręcił głową, wyciągając zza pasa nóż. – Ale jaka siostra zwraca się przeciwko swojemu rodzeństwu? Więc i bogowie nie pogniewają się, gdy krew Tecuelhuatzin zmiesza się dziś z wodą, bo widzą, że nie jest już siostrą Xicotencatla...!

Zbladła, otworzyła usta. Zaczepnęła tchu, aby krzyknąć o pomoc.

Jednak on doskoczył do niej, złapał za włosy i zmusił, by uklęknęła. Ściskane w drżącej dłoni ostrze zatańczyło przed okiem kobiety.

– Bracie...! – załkała.

– Czy tak samo szeptałaś nad grobem Xiconchitlego, siostrze? – Wojownik nachylił się nad Tecuelhuatzin, zajrzał w twarz. – Czy uroniłaś choć jedną łzę, tak jak teraz płaczesz nad sobą? Czy przeprosiłaś za to, że to z twojej winy nasz brat leży teraz w zimnej ziemi?

– Bracie, co ty...

Xicotencatl puścił jej włosy, wyprostował się nagle. Spojrzał na klęczącą z pogardą.

– Ja wiem – wycedził.

– Ty... wiesz? – Jej oczy rozszerzyły się z przerażeniem.

– Wiem. I teraz chcę usłyszeć to od tej, która nie jest godna zwać się córką ani siostrą Xicotencatla. Chcę usłyszeć, dlaczego to zrobiła!

Pokręciła głową, spuściła wzrok. Łzy poleciały na wilgotną, porośniętą trawą ziemię.

– Ja nie chciałam... To ona, to ona mnie przekonała!

– Kto? – Xicotencatl również przyklęknął na trawie.

– Ona... Ona powiedziała mi: niech Tecuelhuatzin mówi źle o swoim bracie... I obiecała mi, że wtedy sprawi, że dostanę...

Nagle rozległ się niski, basowy odgłos trąby, zaraz po nim zapiszczały flety i zawyły wydrażone muszle.

Xicotencatl drgnął, odruchowo obejrzał się ku miastu: co się stało?

Tecuelhuatzin wykorzystała ten moment. Zerwała się, odepchnęła brata na bok i rzuciła się ścieżką pomiędzy krzakami, w kierunku zabudowań, krzycząc głośno: pomocy, pomocy!

On jednak dogonił ją, chwycił za włosy, pociągnął w tył i znów przewrócił na ziemię. Przycisnął kolanem, zawisł nad nią ze wzniesionym do ciosu nożem:

– Suko! Sprzedałaś swojego brata, rodzinę! Sprzedałaś swój ród za błyskotki! Za miejsce w łożu obcego, włochatego i śmierdzącego samca, który kryje cię w nocy! Zdradziłaś nas z tymi, którzy chcą skłócić nas i poróżnić, abyśmy...



– Padnijcie na twarze! – rozległ się od strony miasta głos obwoływacza. – Padnijcie i oddajcie pokłon... Oto wasz pan, najwyższy król Montezuma!

Xicotencatl zawahał się. Spojrzał ku budynkom, potem znów na siostrę.

– Najwyższy Montezuma przybył! Padnijcie na twarze...!

Zawarczał wściekle, znów uniósł nóż.

Tecuelhuatzin krzyknęła, zasłaniając się rękoma... lecz on tylko podniósł ją szarpnięciem na nogi i potrząsnął za ramiona jak krnąbrne dziecko.

– Nie jesteś godna, aby wojownik przelewał twoją krew! – warknął.

A potem popchnął ją w bok, ku jezioru.

Straciła równowagę, pośliznęła się. Wąska spódnica skrępowała nogi, ciężkie ozdoby przeważały i Tecuelhuatzin upadła w wodę. Płasnęła ciężko pomiędzy zarośla, w grząski, czarny muł przybrzeżnej płycizny.

Xicotencatl splunął jej w ślad, odwrócił się i szybkim krokiem ruszył ku miastu, zostawiając kobietę w odświętnej sukni – teraz w żalonym stanie, z błotem we włosach, płaczącą spóźnionymi łzami nad marnością swego losu.



– Koszula... Biała koszula, nie ta! Kryza, szybko... I mój łańcuch, koniecznie mój łańcuch!

Diego de Coria rzucał się i miotał po kwaterze Cortésa, usiłując odnaleźć dawno niewyciągane z pakunków stroje.

Sam caudillo nerwowo wiązał wstążki przy podwiązkach, co rusz spoglądając ku wyjściu, przy którym już przestępowali z nogi na nogę czekający na niego żołnierze.

– Znalazłem, panie...! – uradował się de Coria, ale radość zaraz zgasła w jego oczach, kiedy ujrzał, w jakim stanie była jeszcze nie tak dawno temu śnieżnobiała kryza. No cóż, „nie tak dawno” – kiedy przyjmowali pierwsze poselstwo...

– Piekło i szatani! Dawaj bez kryzy, zakładaj napierśnik... Marina! Marina, gdzie jesteś, do ciężkiej cholery?!

– Doña Marina będzie gotowa szybciej niż jej pan – rozległo się z sąsiedniej komnaty, gdzie trzy służące uwijały się wokół Malintzin.

– To nie wyścigi przecież! Ale nie może tak być, żeby on czekał...!

– Niech tak właśnie będzie. – Ten sam spokojny, śpiewny głos. – Jako pierwszy przychodzi ten, co prosi. Pan i władca losu nie spieszy się.

Cortés już otwierał usta, żeby coś odpyskować, ale zmienił zdanie. Uśmiechnął się. Spojrzał na de Corię, drżącymi rękami próbującego trafić paskiem w oczko sprzączki.

– Nie spiesz się – mruknął.

– ...panie?

– Pójdziemy z godnością, kiedy będziemy w pełni gotowi. Nie wcześniej.

Kiedy dotarli – mimo wszystko pospiesznym krokiem – na największy plac miasta, tam gęstniał już najprawdziwszy tłum.

Indianie tłoczyli się i cisnęli, nawoływali, schodzili całymi rodzinami i rodami.

Widać było kiwające się ponad głowami ludzi złote proporce i ogromne, falujące w rytm ruchów właścicieli pióropusze.

Piszczalki i konchy wciąż wygrywały dziki, wznoszący się i opadający trel.

Dudniły głośno bębny.

Wołania co rusz rozbrzmiewały ponad tłumem wznoszącym ręce ku niebu i kłaniającym się nisko w pas.

Kłęby dymu buchały ku górze z mis pełnych kadzidła.

Tancerze wyskakiwali w górę i przypadali do ziemi, żeby za chwilę zawirować w dzikich piruetach.

– Padnijcie na twarze! Ukorzcie się przed najwyższym królem Montezumą...!

Cortés zwolnił nieco kroku, pozwalając swoim dworakom ustawić się za nim w coś chociaż przypominającego orszak.

Odczekał, aż trzymający chorągiew pan de Corral da radę ustawić drzewce tak, żeby sztandar rozwijał się jak najlepiej, po czym ruszył znów naprzód, przez rozstępujący się przed nimi tłum.

Czuł, jak wali mu serce, zaś język nagle klei się do suchego jak pieprz podniebienia.

Jeszcze kilkanaście kroków, ostatni Indianin odsunął mu się z drogi, pociągnięty za ramię przez stojącego obok towarzysza.

Tancerze rozstąpili się na boki, skłonili się do ziemi, zamiatając proch ulicy piórami.

Zaś caudillo Hernán Cortés stanął naprzeciwko dosłownie ociekającego złotem, przystrojonego kolorowymi piórami człowieka, patrzącego nań z widocznym w oczach wyzwaniem.

Stojący po obu stronach władcy dostojnicy zakrzyknęli coś unisono. Malintzin zaczęła pospiesznie tłumaczyć:

– Mówią: oto jest Montezuma, Koliber o Poranku i Uśmiech Słońca, pan na Tenochtitlán, najwyższy król wszech rzeczy, władca żywotów ludzkich. Niech ukorzą się ci, co patrzą na niego, niech spłynie na nich jego chwała i olśni ich oczy, które...

– Dobrze, dobrze, rozumiem – przerwał jej Cortés. – Przekaż mu zatem, że jestem Hernán Cortés, wysłannik i ambasador naszego z łaski Bożej króla Karola, przybyły, aby przekazać mu pozdrowienia i wyrazy przyjaźni.

Człowiek ubrany w pióra wysłuchał, skinął głową.

Przemówił, nadal wpatrując się przenikliwie w Cortésa, jakby szukając w twarzy konkwistadora śladu słabości, niczym szczeliny w skale, aby wbić w nią klin, który z czasem odłupie cały blok kamienia.

– Wielki Montezuma mówi: witam mojego przyjaciela Cortésa i jego ludzi na ziemiach Meksyków. Przebyliście daleką drogę, aby spotkać się ze mną, a wasze nogi są zmęczone. Oto jestem. Przyjmijcie dary, które uradują wasze serca.

– Zapytaj Montezumę: dlaczego nie wysłał wcześniej posłów? Przygotowalibyśmy się na jego przyjście. – Cortés rozłożył ręce. – Gdzie oni zresztą są...? Dajcie no tutaj ambasadorów!

– Montezuma mówi: chciał, aby jego przyjaciel Cortés ucieszył się niespodziewanie. Poza tym podróżował szybko, aby podjąć go... – Malintzin zająknęła się, patrząc na nadchodzący orszak tragarzy – jak najlepiej.

Caudillo odchrząknął i strzelił oczami w bok, na już gromadzących się obok niego kapitanów i przybocznych. Tamci tręcali się łokciami, pokazywali jeden drugiemu: patrzcie, tylko patrzcie!

Zbliżający się ludzie byli dosłownie ubrani w złoto.

Cali.

Od stóp do głów.

Złote bransolety na nogi, naramienniki, nagolennice, zarękawki, kolie, kołnierze, łańcuchy, zdobione misternymi rzeźbieniami płytki, nakrycia głów, w rękach złote misy i tace.

Pobrzękiwały złote kolczyki, kołysały się doczepione do nosów i warg złote przywieszki.

Niektórzy nieśli na solidnych drewnianych sztycach również szczerozłote płytki i tablice sztandarów.

Kilkunastu służących rozścieliło na ziemi pięknie tkane kobierce i maty, na które po kolei wchodził niosący dary. Każdy z nich składał na ziemi to, co niósł, a potem zaczynał zdejmować z siebie swój ubiór, aż zostawał tylko w samej tunice.

Jeden... drugi... trzeci... piąty... dziesiąty... zaś orszak ciągnął się i ciągnął. Tancerze nadal skakali w dzikich płasach, bębniarze uderzali w swe instrumenty. Atmosfera była aż gęsta, ekscytacja udzielała się tłumowi, przenosiła na żołnierzy i oficerów.

– Ależ tego jest! – Pan de Saucedo nie wytrzymał i roześmiał się. – Patrzcie na tamto!

Jakby rozumiejąc ten ruch, przyglądający się temu władca pokazał na niego ręką i zawołał coś do tragarza. Ten, zamiast odłożyć piękny, ciężki łańcuch na ziemię, podszedł do konkwistadora i założył mu go na szyję, po czym skłonił się nisko.

– Montezuma mówi: to wszystko należy teraz do Cortésa i jego ludzi – powiedziała Malintzin.

Następny tubylec podszedł do stojącego obok ze sztandarem Vázqueza de Tapii, pokazał na migi: zamieńmy się. Kiedy tamten pokręcił głową, on

roześmiał się i wręczył szczerozłoty znak na rzeźbionym drewnianym drzewcu pierwszemu lepszemu żołnierzowi obok.

Ten aż zachwiał się pod ciężarem prezentu, zaśmiał dziko, jakby nie wierząc we własne szczęście.

– Patrzenie! – zakrzyknął do kompanów, podnosząc symbol wysoko ponad głowę. – Patrzenie! Teraz i ja jestem chorującym!

– Ja też! Ja! – Drugi wysunął się, przepchnął na przód.

Tragarz od razu podał mu kolejny znak na sztycy, ten zadowolony z siebie pokazał kompanom: widzicie? To wcale nie trudne!

– Spokój, bo... – zaczął mówić Cortés, ale Malintzin przetłumaczyła kolejne słowa:

– Najwyższy Montezuma mówi: niech ludzie biorą, co tylko chcą. To dary dla wszystkich przyjaciół Montezumy, którzy tak bardzo pragnęli go poznać.

Caudillo chciał zaprotestować, ale było już za późno.

Żołnierze zaczęli przepychać się i tłoczyć, jeden przez drugiego domagać się to takich, to innych ozdób i kosztowności.

Niektórzy rzucali się na złoto, wpychali je za pazuchę albo łapali całą garścią i odskakowali w tył, przyciskając zdobycz chciwie do piersi. Chodzili dumni jak pawie, wymachując złotymi proporcami, które mieniły się w słońcu, pokazywali je jedni drugim.

– Spokój! – zawołał Cortés, ale jego głos znikł w zgiełku i harmidrze. – Spokój, bo...!

I wtedy zauważył, że przez tłum w końcu przecisnął się ze swoją świętą ambasadorem Teudile. Dostojnik od razu skłonił się nisko, padł na twarz przed królem, potem wstał, spojrzął na niego – i zdębiał.

Dosłownie zdębiał.

Przez chwilę widać było, że nie wie, jak się zachować, co zrobić.

Potem powściągnął emocje, uspokoił się. Strzelił oczami w bok, ku Cortésowi.

I tego jednego momentu wystarczyło.

– Spokój! – wrzasnął jeszcze raz caudillo, po czym wyrwał najbliższemu stojącemu żołnierzowi z ręki arkebus z zapalonym lontem, podniósł lufą do góry i nacisnął spust.

Huknęło, chmura dymu podniosła się ponad zgromadzeniem.

Ktoś krzyknął, upadł na ziemię, zakrywając głowę rękami. Inny westchnął głośno, zasłaniając usta dłonią z przerażeniem.

Dobosze przestali dudnić, fleciści zamilkli.

Wszyscy zamarli w pół ruchu: Indianie zasłaniając wystraszone twarze, konkwistadorzy sięgając po kolejną garść złota.

Dym powoli rozwiał się, oddryfował dalej.

Zaś caudillo oddał dymiący arkebus, postąpił krok naprzód i zwrócił się do Malintzin:

– Zapytaj go jeszcze raz: kim jest? – Pokazał na człowieka w największym pióropuszu.

– Panie, to przecież...

– Rób, co mówię, kobieto! Zapytaj go, kim jest!

– Montezuma mówi: ja jestem Montezuma. Jestem waszym sługą i przyjacielem i przybyłem, aby spotkać się z wami, bo...

– Dość. Ty! – Caudillo wycelował palec w ambasadora. – Powiedz mi: kto to jest?!

– To... – Teudile przełknął ślinę. – To jest Huēi Tlahtoāni, najwyższy król, Koliber o Świcie, Jego Dostojność Montezuma.

Cortés roześmiał się głośno, pokręcił głową. Obejrzał się, szukając kogoś w tłumie.

– Ty! – Machnął ręką na jednego z wodzów Tlaxcali. – Chodź tu, chodź blisko! Stań obok mnie, spójrz na tego człowieka! Powiedz mi: czy znasz go?

Tamten wystąpił naprzód, stanął obok caudilla. Popatrzył na ubranego w złoto i pióra.

– Maxixcatzin nie zna go. – Wzruszył ramionami.

– Nie znasz? Czy zatem nie jest to Montezuma? – zawołał głośno Cortés.

Tlaxcaltek podszedł bliżej, przyjrzał się uważnie człowiekowi. Ten strzelił oczami na boki, wyraźnie zaniepokojony, ale wyprostował się dumnie.

Maxixcatzin odwrócił się do Cortésa:

– Maxixcatzin był w Tenochtitlán dwie zimy temu. Widział tam Montezumę. Ten człowiek nie jest nim – powiedział, po czym wrócił na swoje miejsce.

Cortés popatrzył na tamtego, skrzywił się i wybuchnął śmiechem. Głośnym, bezczelnym, chamskim rechotem. Idiotycznym, pozbawionym logiki... zaraźliwym.

Zachichotał, zaśmiał się stojący obok niego de Tapia.

Parsknął z rozbawieniem pan de Olid, po nim de Ordaz i kilku innych.

I dalej...

A potem Cortés podskoczył do rzekomego władcy i z rozmachem wymierzył mu siarczysty policzek.

Klasnęło, głowa człowieka w pióropuszu odskoczyła w tył.

Indianie stali jak słupy soli, przerażeni.

Żaden z nich nie zareagował.

Wojownicy otaczający „Montezumę” nie rzucili się z mieczami, nie rozsiekali winnego świętokradztwa.

Kapłani nie podnieśli krzyku.

Nikt nie zrobił nic.

Rzekomy władca westchnął spazmatycznie, przyłożył do policzka dłoń, jakby chcąc zasłonić się przed kolejnym ciosem.

Jednak Cortés chwycił go za głowę, zerwał i cisnął na ziemię pyszny pióropusz.

– Dlaczego nas okłamujesz?! – ryknął. – Jak śmiesz... Jak śmiecie wy wszyscy! – Zatoczył ręką łuk, wskazując stojących dokoła Indian. – Wydaje wam się, że możecie nas oszukać, olśnić złotem?! Za kogo nas macie, żeby przysyłać nam tutaj tego marnego aktorzyń z ulicznego teatryku...?!

Malintzin aż się zatchnęła, próbując nadążyć z tłumaczeniem za temem caudilla.

Tymczasem kapłani i dostojnicy wyraźnie odsunęli się od stojącego do tej pory na czele orszaku człowieka. Ten rozejrzał się, jakby próżno szukając pomocy, złożył błagalnie ręce i uklękł przed Cortésem, zatrajkotał coś szybko.

– Montezu... To jest on mówi: wybacz mu, o wysoki władco – przetłumaczyła Malintzin. – Tziucpopocatzin mówi: jego imię to Tziucpopocatzin, jest człowiekiem wysokiego rodu z Tenochtitlán i synem Montezumy, ale nie jest nim. Jego ojciec...

– Won! – ryknął na niego caudillo. – Won, szczeniaku, zanim każę kijami cię obić i przepędzić jak byle złodzieja! Kuglarzu podły, psie w rowie przydrożnym... Sztukmistrzu za dwa grosze! Wracaj do ojca, precz! Wracaj do Montezumy i powiedz mu, że teraz się przed nami nie ukryje...! Pod ziemią, na niebie, w wodzie i w ogniu, znajdę go i wyciągnę na światło dzienne! Nie będzie drwił ze mnie... Nie będzie drwił z powagi Królestwa Kastylii!

– Panie, Tziucpopocatzin błaga, abyś...

– Won! A wy, wy! – zwrócił się do żołnierzy – pakować się! Jutro skoro świt ruszamy do Tenochtitlán... Porządek marszu bojowego, zapalone lonty w rękę! Koniec zabawy, idziemy po swoje!

Odwrócił się, ze złością kopnął zrzucone na stertę złoto i przepchnął się pomiędzy żołnierzami, zostawiając oszusta klęczącego w prochu ze spuszczoną głową.



Zahred patrzył na to z pewnej odległości, stojąc na dachu jednego z domostw.

Widział, jak Kastylijczycy rzucają się na dary, jak wyrrywają sobie co bardziej łakome kąski.

Obserwował, jak Cortés traci kontrolę nad sytuacją i jak odzyskuje ją w jednej chwili.

Natomiast przede wszystkim widział też, jak w razie potrzeby doskonale radzi sobie bez pomocy, a nawet wbrew Malintzin.

Jednak to nie ona była problemem.

To nie jej rady były wyłącznie odpowiedzialne za to, co się działo i jaki kierunek obierały wydarzenia.

Widział, jak caudillo zrywa pióropusz z głowy oszusta.

On sam nie spodziewał się niczego innego. Doskonały fortel, który sam by pewnie doradził, gdyby stał po tamtej stronie: dać potencjalnemu przeciwnikowi to, czego pragnie. Wytrącić z ręki oręż, powiedzieć: widzieliście mnie, rozmawialiście ze mną, więc teraz wracajcie do swego króla.

Plan był... no cóż, prawie dobry.

Natomiast wykonanie nie to, że słabe, ale wręcz katastrofalne.

Kastylijczycy teraz rzucali się na orszak, zwyczajnie grabili tragarzy i zrywali ozdoby z kapłanów i dostojników. Większość tamtych już pierzchła, bojąc się nie tyle o powierzony dobytek, ile o własne życie.

Razem z tymi ostatnimi jednak z miasta wymknęła się chyłkiem też zupełnie inna grupa, która już wcześniej przykuła uwagę Zahreda o wiele bardziej niż na pierwszy rzut oka fałszywy i nieszczerzy, mocno trącący słabą reżyserią teatrzyk.

Posapując z bólu, zszedł po schodach na dół i ruszył pustymi uliczkami miasta tak, aby przeciąć tamtym drogę.

– Amatorszczyzna... – warknął pod nosem, nie mogąc przeboleć tego, co właśnie ujrział.

Co to za pomysł, żeby władca przychodził do kogoś z zaskoczenia?! Fatygował się głęboko na prowincję, bez obstawy wojska, przy tym od razu obsypywał darami? Gdzie ceremoniał, gdzie protokół, formułki grzecznościowe, gdzie...?

Machnął ręką, odganiając natrętne myśli. Trudno. Co się stało, to się nie odstanie.

Tamtych obserwował już wcześniej, jak przemykali pomiędzy domami i myszkowali w obejściach opuszczonych przez zwabionych na plac żołnierzy.

Przyglądał się, jak rozsypują na wietrze zioła, mamrocząc swoje zaklęcia.

Widział, jak plują w wejścia chat i kreślą w powietrzu znaki.

Jeden z nich wyciągnął nóż, oderznął łebek trzymanemu do tej pory w rękę małemu zwierzęciu i sprawnie wykrwawił je na ziemię, po czym zakopał truchelko w rogu dziedzińca.

Z zaciekawieniem spostrzegł, że jeden odważył się nawet podejść do zagrody dla koni, gdzie zawiązał rumakowi caudilla jakiś rzemyk na grzywie.

Czyli byli dość dobrze poinformowani. Ciekawe. Wiedzieli, co mają zrobić, wiedzieli, dokąd idą.

Szkoda tylko, że z wielu dostępnych środków sabotażu Montezuma zdecydował się właśnie akurat na ten, najbardziej...

...efemeryczny i bezcielesny.

No cóż, teraz cała nadzieja leżała w tym, że najwyższy król posłucha dobrej rady.

Krzywiąc się i posyкуюc z bólu, puścił się truchtem.

Przebiegł przez kilka podwórek.

Przeczniął się wąskim zaułkiem między dwoma domami.

Przytrzymując jedną ręką krzyżujące się na piersi wstęgi bandaża, przeskoczył niewysoki płot.

Przez zagrodę dla ptactwa przedostał się do niewielkiego ogródka.

Stamtąd wyszedł już pomiędzy sady i pola otaczające położone nad jeziorem miasto.

Rozejrzał się: tam! Widział ich, jak idą niespiesznym krokiem po ścieżce wijącej się wśród łąk.

– Kefren, zostań – przykazał psu, a sam ruszył na przełaj przez trawę.

Słyszał już ich rozmowy, nierówny i nieskładny śpiew.

Odszpuntował bukłak, pociągnął kilka łyków wody przemieszanej z winem, żeby zwilżyć język. Nadal był jeszcze słaby, czuł, jak uginają mu się kolana... Ale musiał, po prostu musiał spróbować.

Przyodziani w dziwaczne, pozszywane z kawałków płaszcze i tuniki. Obwieszani posplatany kolorowymi sznurkami, pobrzękujący ozdobami z kości, złotych blaszek i pęków piór. Jeden z nich ubrany w maskę z kory, zza której błyskały tylko oczy, widoczne przez wąskie szparki.

Magowie, szamani, doradcy, kapłani dzicy. Ci, którzy widzieli niewidoczne. Równie nieoficjalni co pożyteczni... Przynajmniej czasami.

Natomiast była realna szansa, że jeśli przemówić do nich odpowiednio, to najważniejsza część przesłania trafi do uszu Montezumy.

Któryś z czarowników zatrzymał się, zapewne aby zerwać jakieś zioło. Podniósł wzrok, zauważył idącego w ich stronę dziwnego nieznajomego: wyciągnął palec, zawołał głośno.

Pozostali też odwrócili się, mrużąc oczy i strojąc miny.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że są tylko jedną nogą w tym świecie, zaś ich duchy błądzą gdzieś wysoko pośród świata zjaw i cieni, wyniesione tam przez napary z magicznych grzybów lub święty dym... Tak, nie było wątpliwości: stąd ich nieskładne ruchy, wodzenie rękoma w powietrzu i spoglądanie ku rzeczom, których nie było widać.

– Och! – zawołał jeden z nich, łapiąc się za głowę. – Otóż nadchodzi! Oto i on...! Biada nam, bracia! Biada, po trzykroć biada!

– Nieee...! – zameczał inny, obracając się powoli wokół własnej osi.

Zahred podszedł bliżej, zatrzymał się. Zmierzył ich wzrokiem, w końcu wybrał tego, który jego zdaniem miał najlepszy kontakt z rzeczywistością.

– Ty. – Pstryknął palcami. – Ty, posłuchaj mnie.

– Słuchamy! – zapiał któryś, wodząc wzrokiem za własną ręką, kręcącą esy-floresy w powietrzu.

– Powiedźcie Montezumie, niech ten odzyska rozum. Niech przestanie zachowywać się jak wystraszone dziecko, a zacznie być królem! – warknął Zahred. – Niech nie boi się... Ej, słuchaj mnie! Tu jestem! Powiedźcie Montezumie, że ma się nie bać białych przybyszów. Niech odzyska odwagę, bo nie ma ich wielu, a teraz tylko jego głupie błędy dają im siłę...

– Panie! – Jeden z czarowników padł przed Zahredem na kolana, podnosząc w górę ręce pełne trawy. – Spójrz! Oto zbudowaliśmy ci schronienie!



Przyjmij ten szalas godny bogów, zamieszkać w nim!

– Posłuchajcie mnie, głupcy! Wasze czary nie zatrzymają Cortésa, ale Montezuma jeszcze ma taką możliwość! Niech zbierze swoje armie na drodze i zagrozi przejście, a wtedy...

Inny szaman uwiesił się Zahredowi na ramieniu, zaśmiał maniakalnie i pokazał na kupkę kamieni, które przed chwilą skończył pieczolowicie układać.

– Spójrz, o wielki! Oto świątynia godna twojej chwały! Zamieszkać w niej, uczynić ją swoim domem! Niech służy ci po wsze czasy!

– A oto twoje posłanie! – zachichotał inny, podając Zahredowi własną sakwę.

– Idioci... Bezsilni, pijani głupcy! – rozłościł się Zahred. – Czarownicy Montezumy równie bezużyteczni jak jego posłowie... Jeśli wszyscy jesteście tacy, to przepaść już Tenochtitlán! Niech was diabli!

– Spójrzcie! – zakrzyknął nagle wielkim głosem pierwszy z nich.

Odwrócił się jak na komendę ku jezioru i zastygł w bezruchu.

Zahred popatrzył po nich, pokręcił głową w desperacji.

Puknął jednego w ramię. Szarpnął drugiego. Trzeciego popchnął w trawę; ten jednak tylko wywalił się jak długi, nakrył nogami, a potem wstał niezgrabnie i znów wbił wzrok w jezioro.

– Samiście sobie winni... – zawarczał Zahred ze złością, machnął ręką i ruszył z powrotem ku miastu.

Czarownicy stali tak jeszcze długą, długą chwilę. Lepka, ciągnąca się strużka śliny zwisała z kącika ust najstarszego z nich, gdy ten wpatrywał się w pustkę... A potem drgnął, czknął i wydał z siebie zduszony okrzyk.

– Och! – zawołał do reszty. – Ach!

Wszyscy zamrugali, jakby budząc się ze snu.

Rozejrzeli się wokoło.

– Zniknął! – zapiął któryś z czarowników, szukając wzrokiem wytatuowanego człowieka, z którym dopiero co rozmawiali.

– Rozpłynął się w powietrzu! Zapadł pod ziemię!

– To znak... posłaniec bogów!

– Wizja!

Żaden z nich nie zauważył już niknącej w oddali, brnącej przez wysoką trawę sylwetki mężczyzny z psem u nogi.



## Rozdział 12

**M**ontezuma był przerażony.

Zwołana naprędce rada, zgromadzona w sali narad Domu Węża, mieszczącej się w samym sercu Pałacu Białych Trzcin, słuchała w ponurym milczeniu raportu ambasadorów, którzy zjawili się w Tenochtitlán wraz z powracającą w niesławie delegacją.

Szlachetnie urodzony Tziuacpopocatzin, zalewając się łzami wstydu i rozpacz, opowiedział już ojcu swoją część historii.

O tym, jak zgodnie z planem przybył przed oblicze Cortésa, zaś przybocznicy białego wodza rzucili się na złoto i podarki, zadowoleni i wręcz oszołomieni ich bogactwem.

Opisał, jak w tym samym czasie wysłani boczną drogą czarownicy odprawiali swe gusła, przyzywając jadowite żmije, zabójcze skorpiony, tkające lepkie sieci pająki, szpony uderzających zniecka orłów i kły niewidzialnych nocą jaguarów, aby te zjednoczyły się i wspólnie uderzyły na wrogów Montezumy.

I przecież wszystko szło dobrze! Cortés uwierzył mu, rozpoczął rozmowę i był już skłonny zawrócić, kiedy... kiedy nagle wszystko się odmieniło!

– Musi mieć potężnych czarowników, o najwyższy ojcze! – wołał, stojąc przed obliczem króla. – Takich, których nie widać ani nie czuć, ale potrafiących szeptać mu do ucha! Nagle przejrzał nasz plan, ujrzał Tziucapopocatzina jako tego, kim jest!

– Tak było, o Najwyższy! – gorliwie przytakiwał ambasador Teudile.

– Cortés, o najwyższy panie, jest człowiekiem, którego nie da się oszukać ani zwieść!

Montezuma zakrył twarz dłonią, pokręcił głową.

To było... to było niemożliwe! Jak to? Dlaczego? Przecież tamci powinni byli odpuścić, zawrócić! Czemu szli ku niemu z takim uporem, dlaczego tak strasznie chcieli dotrzeć do bram Tenochtitlán?!

– Precz mi z oczu – powiedział w końcu. – I wezwijcie czarowników, którzy byli na wyprawie! Niech i oni powiedzą swoje!

Ambasador padł na twarz, odczołgał się tyłem ku wyjściu. Nie sądził, nie liczył nawet na to, że ujdzie mu to płazem... A jednak władca nie kazał nawet wysmagać jego pleców trzcina, nie wypowiedział żadnego z ostrych słów, jakie i tak dudniły w głowie dostojnika.

Szczęścia nie należało jednak wystawiać na próbę: teraz trzeba było odczekać kilka dni i poprosić o zwolnienie z urzędu, póki nie doszło do niczego nieodwracalnego.

Tziucapopocatzin też oddalił się pospiesznie, zmierzając wprost do pałacu poza miastem, gdzie rezydowała jego matka. Przez jakiś czas należało nie pokazywać się ojcu na oczy.

Montezuma zaś patrzył, jak do sali obrad wsypują się bezładną grupą czarownicy. Wstał ze swego tronu, okazując należyty szacunek świętym mężom. Wiodący grupę skinął mu głową, wyrzucił ręce przed siebie:

– Kolibrze Lewej Strony, władco Tenochtitlán! Słuchaj, słuchaj naszych słów!

– Niech mówią – polecił Montezuma.

– Najwyższy! Słudzy Montezumy wracali już z Chalco, gdzie wezwali moce duchów podziemia przeciwko niosącym zło przybyszom...

Jeden z towarzyszących szamanów zapiał dziko, zamachał rozłożonymi na podobieństwo skrzydeł rękoma.

Stojący obok jednak złapał go za ramię i obrócił w kierunku tronu, na którym siedział władca.

Inny w tym czasie usiadł na ziemi i zaczął zapamiętale wydłubywać i wachać brud spomiędzy palców u nóg.

– Niech mówią: czy duchy odpowiedziały? – z niepokojem zapytał Montezuma, bardzo bojący się sięgania po aż tak radykalne środki.

– O tak, najwyższy królu! Cienie wszystkiego, co pełza, biega, skacze i lata, z całej krainy ściągnęły na nasz zew, aby nękać armię białych najeźdźców! Teraz nie są już groźni, nie dojdą do miasta!

Montezuma westchnął z ulgą, pozwolił sobie na uśmiech.

Jednak zaraz przez jego twarz przebiegł grymas, spojrzął na siedzącego nieopodal władcę Domu Szeptów.

Itzli przysunął się bliżej, pochylił do ucha władcy i zamruczał:

– Armia Cortésa opuściła Chalco dwa dni temu, o Najwyższy. Idą powoli, z bronią w gotowości.

– Czy ktoś z nich choruje? – zapytał Montezuma z nadzieją.

– Ludzie Itzlego o niczym takim nie wspominali.

Montezuma skrzywił się i ponownie zwrócił do czarowników:

– Co jeszcze macie dla Montezumy poza zapewnieniami i słowami?

– Duchy żyją poza czasem i przestrzenią, o Najwyższy! Nie należy wystawiać ich na próbę, bo działają wtedy, kiedy uznają to za stosowne! – Czarownik ostrzegawczo uniósł palec w górę, doskonale czując ukrytą w słowach króla aluzję.

– Nic nam jednak z tego nie przyjdzie, jeśli ludzie Cortésa zachorują i pomrą za rok, pięć lub dziesięć lat! Co jeszcze macie dla Montezumy tu i teraz, pytam?! – zawołał król.

– Wymalowany człowiek! – Szaman siedzący na ziemi nagle podniósł głowę.

Montezuma zamrugał, otworzył usta. Popatrzył na czarowników.

– Kto...?

– Najwyższy! Gdy śludzy Montezumy wychodzili z Chalco, zaszedł im drogę najdziwniejszy z dziwnych człowiek! – zamachał rękami naczelnicy czarownik. – Miał długą, białą brodę i włosy splecione w warkocz, a jego ciało pokrywały rysunki.

– Rysunki? – Montezuma aż się poruszył niespokojnie na swoim tronie.

Widział podobnego człowieka wśród tych, którzy przyszli pod Tenochtitlán. A tamten widział jego, tego Montezuma był pewien aż nadto dobrze.

– Tak, o królu poranka, południa i wieczora! Całe ręce i barki pokryte miał wizerunkami zwierząt i ptaków! Czuć było od niego zapach *pulque*, a przez pierś miał przewiązane osiem sznurów!

– Co... Co się stało dalej? Co powiedział czarownikom ten człowiek?

– Najwyższy! Twój śludzy zbudowali mu schronienie, upletli posłanie i wzniesli dla niego świątynię...

– Ogromną! – Jeden z magów aż podskoczył.

– Niebosięźną! – zaśmiał się inny.

– Świątynię? – Montezuma potrząsnął głową.

– Tak, o Najwyższy! On jednak wzgardził darami. Powiedział czarownikom: czego tu chcecie? Kim jesteście, po co przyszliście? Co uczynić winien Montezuma? Czy jego rozum nadal spowija ciemna chmura mgły?

– Tak... tak powiedział? – Najwyższy król przełknął ślinę, czując, jak do gardła podchodzi mu lodowata gula.

– Tak, o panie! Mówił dalej: czemu Montezuma nadal skamle i drży ze strachu? Liczne są jego błędy, przez które mrowie ludzi postradało żywoty...!

Montezuma znów zakrył twarz dłońmi, zgarbił się na swoim tronie.

Tak prawdziwe, tak bardzo trafne były słowa tych szaleńców!

On siedział tu, w złocie i kolorowych piórach, pan wszystkich i wszystkiego – oni zaś mówili do niego, odziani w łachmany, brudni i na poły obłąkani.

Jednak to oni mieli rację, nie on.

Tymczasem czarownik wołał dalej, rozkręcając się:

– Człowiek z malunkami mówił nam: to z winy Montezumy ludzie padali na ziemię, bici i kopani, a inni zapadali się w groby, zawinięci w całuny pogrzebowe! Wielu zdradzono, innych wyszydzano i lżono najgorszymi słowami, a wszystko to jest winą Montezumy! Jest bezsilny i bezsilny pozostanie! Przepadnie, a wraz z nim przepadnie, zatonie w otchłani wód jeziora Tenochtitlán! Odwróćcie się i spójrzcie, jaki los czeka miasto i wszystkich Mexików...!

– Jaki los czeka zatem Montezumę i Tenochtitlán? – zapytał głucho władca, nie podnosząc nawet wzroku.

– O panie! Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na jezioro, a tam... tam...!

– Koniec! – zapałał derwisz.

– Śmierć i zniszczenie! – zachrypiął ten siedzący na ziemi.

– Aaaargh! Bhhryrybhhy...! – tocząc z ust pianę, zabełkotał jeszcze inny, który do tej pory jadł całymi garściami wyciągnięte z dna sakwy grzyby.

– Co ujrzeliście...? – zajączał Montezuma.

– Najwyższy! Gdy słudzy Montezumy spojrzeli na jezioro, zobaczyli, jak z wody powoli wyłania się wielkie, białe miasto na wyspie: Tenochtitlán! – Czarownik dramatycznym gestem wyrzucił w górę ręce. – Widzieliśmy, jak ku miastu zbliżają się w wielkiej sile wrogowie, a płomienie ogarniają domy ludzi, pałace dostojników i świątynie ku czci bogów!

Członkowie rady poruszyli się, zaszepotali zaniepokojeni. Wizja była co najmniej frapująca, a władca zdawał się nią naprawdę przerażony.

– Czy to, co ujrzeli czarownicy... – ostrożnie zabrał głos Itzli – było tym, co będzie i być musi? Czy też tylko tym, co stać się może, a zatem ostrzeżeniem?

– Słudzy Montezumy chcieli zapytać o to wytatuowanego człowieka! Kiedy jednak odwrócili się do niego, nie było go już! Zniknął, rozwiął się dymem na wietrze!

Jeden z magów zgiał się wpół i zwymiotował na podłogę, po czym uklęknął i upadł twarzą we własne rzygowiny, pełne kawałków pogryzionych grzybów.

– Mexikowie są więc... zgubieni – wyszeptał Montezuma. Podniósł się ze swego tronu, rozejrzał wokoło i powtórzył: – Zgubieni! Co mogą zrobić, gdy bogowie pokazują im, jaki czeka ich los? Może powinni wspinać się na wysokie góry, chować w jaskiniach? Biada, biada starym mężczyznom i kobietom, którzy nie mogą iść o własnych siłach... A co z dziećmi? Gdzie je zabrać, gdzie się udać...? Radźcie!

– Panie. – Itzli delikatnie, ale stanowczo ujął władcę za przedramię, dość mocno naginając zasady protokołu. – Panie, Itzli doradza przede wszystkim spokój. Niech teraz wypowiedzą się inni członkowie rady... Pić! Huēi Tlahtoāni Montezuma chce pić!

Służąca od razu podskoczyła z czarką pełną *pulque*. Montezuma ujął naczynie obiema drżącymi dłońmi, przytknął do ust i wychylił łąpczywie, rozlewając część na pięknie tkaną tunikę.

Zgromadzeni popatrzyli po sobie niepewnie, nie spiesząc się do zabrania głosu.

W końcu podniósł się Moyolechuani, odpowiedzialny za skarbiec królewski.

– Najwyższy! – zwrócił się do Montezumy. – Jeśli taka będzie wola Montezumy, możemy posłać przybyszom kolejne dary. Jeśli aż tak pożądamy złota, to dajmy je im! Niech ich ręce zmęczą się od ciężaru, niech nogi odmówią posłuszeństwa, a wtedy...

– Dajmy im krew.

Oczy wszystkich zwróciły się ku Cuitláhuacowi, bratu imperatora. Moyolechuani zamrugał, rozłożył niepewnie ręce.

– Jeśli jego wysoka dostojność Cuitláhuac uważa, że przybysze pragną ofiar, to oczywiście możemy, ale...

– Ich krew. – Dostojnik podniósł się. – Do tej pory Meksykanie przyjmowali białych przybyszów z otwartymi ramionami i co? Co im to dało? Nie! Cuitláhuac widział ich i mówi: to wojownicy, nie handlarze! Jeśli chcą wojny, niech Tenochtitlán przyjmie ich wojną!

– Szaleństwo! – Czcigodny Amoxcapan potrząsnął głową. – Biali przybysze dotarli tak daleko, że...

– Dotarli, bo nikt ich nie zatrzymał!

– A co z Cholulą? Co z Tlaxcaltekami? Czy nie pokonali ich, nie zabili?

– Nie! Właśnie nie, bo zarówno Tlaxcala, jak i Cholula maszerują teraz razem z nimi! – z pasją zakrzyknął Cuitláhuac. – Biali nie są wojownikami, bo zamiast nich walczą Tlaxcaltekowie! Mówię: niech przywita ich krew! Niech ziemia Meksyków zabarwi się na czerwono...

– Jego wysoka dostojność ma rację – poparł go Cacama, król Texcoco. – Wojna!

– Tak! Meksykanie zwlekali zbyt długo, ale teraz wiedzą już, po co przyszli tutaj przybysze! Teraz należy walczyć z nimi na każdym skrawku drogi, jaka jeszcze dzieli ich od Tenochtitlán! Niech skosztują broni Meksyków, niech Czerwone Gwiazdy z ich piersi wzleć ku niebu!

Montezuma spojrział na brata z wdzięcznością. Nawet wyprostował się, skinął głową.

– Tak... tak! – przytaknął gorączkowo. – Brat Montezumy leje miód na jego zbolące serce! Nie musimy przecież ukrywać się ani okazywać tchórzostwa... Prawda? – Z nadzieją potoczył wzrokiem po członkach rady. –

Chwała Mexików nie przeminie, jeszcze nie teraz. A my jesteśmy gotowi umrzeć w obronie Tenochtitlán... Jesteśmy gotowi!

– Jesteśmy gotowi! – powtórzyli Cuitláhuac i Cacama.

Okrzyk przebrzmiał pod sklepieniem sali, odbił się echem i zamarł, zapadł w gęste, napięte milczenie.

Inni dostojnicy spoglądali na nich spode łba albo patrzyli na czubki własnych sandałów.

Wojna?

Umieranie za Tenochtitlán?

Może niech lepiej robią to za nich wojownicy albo jeszcze lepiej: jeńcy?

– Najwyższy, wszechwładny panie. – Dostojny Tlilpotonqui podniósł się ze swej maty. – Miasto rozkwita i cieszy się pokojem pod rządami najwyższego Montezumy. Jego trójimperium rozciąga się od morza do gór... Nie nękają go wojny, nie rozdierają konflikty. Ludzie są szczęśliwi pod jego władzą...

– A teraz pora chwycić za broń, aby to szczęście obronić! – warknął Cuitláhuac.

– Tlilpotonqui powtarza: ludzie są szczęśliwi, żyjąc w pokoju. Tenochtitlán zbudowały młotki kamieniarzy, nie miecze wojowników! Jego ulice powstały dla tragarzy z towarami, a nie na potrzeby armii. Dlatego też obowiązkiem Montezumy nie jest parcie ku wojnie, lecz utrzymanie jej jak najdalej od naszych bram.

Tlilpotonqui usiadł, zadowolony z siebie. Montezuma popatrzył po twarzach członków rady: widać było, że zgadzają się z przedmówcą.

Nikom nie spieszyło się do wojny i przelewu krwi, a już na pewno nie własnej.

– Co w takim razie winniśmy uczynić? – jęknął najwyższy król.

– Niech najwyższy Montezuma posłucha swych braci! Niech zadmą trąby, niech poderwą do boju wojowników Jaguara i Orła! Armie Montezumy zmiażdżą przybyszów, a wtedy...! – zaczął Cuitláhuac, lecz w jego rwany, chrapliwy głos wciął się spokojny ton Tlilpotonqueiego:

– Najwyższy Montezuma powinien zachować się tak, jak przystoi królowi. Przyjąć ich jak gości, obdarować prezentami i pokazać prawdziwą siłę Tenochtitlán. Każdy, kto tylko ujrzy miasto, musi zadrzeć przed jego potęgą... Tenochtitlán!

– Tenochtitlán! – zakrzyknęli inni, wstając.

Montezuma powoli, z godnością wstał ze swego tronu. Rada przemówiła, decyzja została podjęta. Zgromadzenie dobiegło końca.

Dzwonki i piszczałki odezwały się narastającym trelem, gdy schodził po kamiennych stopniach, a potem kłaniając się oszczędnie dostojnikom, po kolei gnącym się w pas, szedł przez długie pomieszczenie. Tlilpotonqui uśmiechnął się służalczo; Cuitláhuac skrzywił się złym grymasem. No cóż, nie można zadowolić wszystkich, a poza tym...

Coś mlasnęło pod sandałem najwyższego króla Montezumy.

Władca spojrział w dół.

Wdepnął prosto w kałużę wymiocin, którą zostawił po sobie czarownik.



– Co to będzie? – zagadnął de Monroy.

Idący obok Zahred spojrzął na niego, a potem na trzymane w rękę dwa kawałki wyprawionej skóry, które od jakiegoś czasu wytrwale zszywał nawoskowaną nicią.

– To... – zawahał się. – Nowy czepiec pod hełm.

– Skórzany, panie? Nie będzie przyjmował potu. Latem gorąco, w zimie chłodno...

Zahred uśmiechnął się, pokiwał głową na boki.

– No cóż, to tylko taki pomysł. Zobaczymy, co z niego wyjdzie...

– Jak się czujecie, panie?

– Jak się... ach, o to pytasz. Gorączka już minęła, coraz łatwiej mi oddychać. Tutejszy klimat bywa zdradziecki.

– Zapalenie płuc to nie przelewki, panie. Nie wiem, czy te kompresy, które nosicie... Cholerne muchy! – De Monroy zamachał rękoma w powietrzu. – Skąd one się biorą, skąd wyłażą?

– Może leży tu gdzieś jakaś padlina? – Gutiérrez skrzywił się.

– Fakt, śmierdzi strasznie...

Nie oni pierwsi poczuli dziwny, mdlący zapach, który od jakiegoś już czasu unosił się w powietrzu. Ludzie pociągali nosami, rozglądali się, wypatrując, czy gdzieś przy ścieżce nie leży jakiś trup. W końcu któryś z piechurów oddzielił się od kolumny, wdrapał na niewysoki pagórek i na chwilę zniknął z widoku. Zaraz jednak wrócił pospiesznie, zaraportował coś swojemu kapitanowi.

Zagrała trąbka sygnałowa, zaraz po niej druga i trzecia. Pochód zaczął zwalniać, po czym stanął. Od czoła przegalopował konny, krzycząc:

– Szykuj się! Szykuj się...! Piki i halabardy na boki! Podsypać prochu... Szykuj się!

– Oho... – mruknął Rodrigo, sięgając po prochownicę.

– Ciekawe, co znów... – zawarczał Juanito, przeciskając się pomiędzy towarzyszami i stając na skraju ścieżki, jedną ręką dopinając sprzączkę poobijanego hełmu. – Pewno kolejny fałszywy alarm...

Przez chwilę cała armia trwała w oczekiwaniu.

Sypał delikatny śnieg, z ust unosiły się obłoczki pary.

Potem z oddziału Tlaxcalteków oderwało się kilkunastu biegaczy, którzy chyżo wspięli się na pagórek i rozbiegli półkolem niczym zaganiające zdobycy



wilki. Niebawem wrócili do głównego pochodu. Paru z nich z Xicotencatlem na czele od razu ruszyło ku jadącemu wraz z resztą konnych Cortésowi. Zamienili z nim poprzez Malintzin kilkanaście zdań, potem Indianie wrócili do siebie, a ich wódz ruszył ku kompanii Zahreda.

Ten ostatni widział Malintzin, jak siedzi w lektyce, niesiona u boku caudilla na ramionach swoich indiańskich pobratymców. Zawinięta w koce i pledy, traktowana już jak udzielna królowa.

Zahred zacisnął zęby. Przyjdzie pora na wszystko, ale jeszcze nie teraz... Teraz zwrócił się do nadchodzącego Xicotencatla, który podniósł rękę gestem przywitania.

– Jakie wieści przynosi przyjaciel Xahuatla? – Uśmiechnął się i też uniósł dłoni.

– Xicotencatl wspiął się na pagórek, za którym widział wiele ludzkich odchodów. Są też ślady po ogniskach.

– Ilu?

– Wiele razy tyle, ile palców u obydwu rąk. Armia Montezumy musiała być w pobliżu.

Zahred parsknął ze złością, pokręcił głową.

– Idioci... – zawarczał. – Takie miejsce, taka szansa...

– Xahuatl żałuje, że nie zostaliśmy zaatakowani? – zdziwił się młody wódz.

– Xahuatl żałuje, że najwyższy Montezuma wcale nie jest tak wysoki, a wielki król okazuje się w rzeczywistości małym wodzem. Xahuatl mówił już Xicotencatlowi, czego się obawia po tym, jak armia dotrze do Tenochtitlán.

Żołnierze stali obok nich, zupełnie nie zwracając uwagi na rozmowę. Każdy zamiast słów słyszał tylko dźwięki, no a to, że ich kapitan rozmawiał z Indianinem? Zahred w ogóle był dziwny, więc jedna taka rzecz nie czyniła szczególnej różnicy.

– Tenochtitlán jest ponoć ogromne.

– Cholula też nie była mała – mruknął Zahred, a kiedy zauważył, jak na twarz Xicotencatla wypływa drapieżny uśmiezek, zmarszczył brwi. Tamten od razu opanował się i spojrzał na niego spode łba, stropiony niczym pies, który zapomniał się w obecności soczystego smakołyku. – Xahuatl nie boi się siły Cortésa, a raczej słabości Montezumy. To ona zawsze popycha silniejszych do kolejnych gwałtownych czynów.

– Siła wyniosła Mexików do władzy, siła może ich stamtąd strącić. – Xicotencatl wzruszył ramionami.

– Niech zatem chociaż tę siłę pokażą, bo na razie jej nie widać... Ruszamy dalej.

– Xicotencatl zostanie z Xahuatlem.

Zahred spojrzał na niego zdumiony.

– Xicotencatl nie wolałby być ze swoimi wojownikami?

– A czemu Xahuatl nie woli być ze swoimi białymi? – przekornie zapytał Tlaxcaltek.

– Mógłbym się wybronić z tego pytania, przyjacielu... Ale rozumiem intencję i chyłę czoła.



– Macie chwilę, panie?

Siedzący na zwalonym drzewie Gonzalo de Sandoval podniósł głowę, spojrzął na stojącą nad nim Malintzin.

– Zależy, na co i dla kogo – mruknął, patrząc na armię, powoli szykującą obozowisko.

Był zły, bo tego dnia uszli raptem pięć, może najwyżej siedem mil. Tyle co nic! Cortés co chwila zarządzał postoje, kazał przyjmować szyk bojowy i wysyłał we wszystkie strony indiańskich zwiadowców... Tak jakby nie mogli w ciągu jednego dnia forsownego marszu pokonać dystansu dzielącego ich od Tenochtitlán!

De Sandoval zarazem podziwiał swego niegdysiejszego pana i czuł, że on sam dawno już wyrósł ze starych butów giermka.

Tak, nauczył się przy nim wiele. Może najwięcej ze wszystkich ludzi, z którymi miał w życiu styczność... Nawet nosząc przy Cortésie szpadę, zapinając mu pancerz do turniejów i pomagając założyć rano ciżmy, miał świadomość, że ma możliwość obcowania z kimś wielkim, wyrastającym poza i ponad swoją epokę.

Zawsze w to wierzył. Nigdy nie stracił nadziei na to, że właśnie tak jest. Że pewnego dnia, kiedy planety ułożą się we właściwej koniunkcji, gwiazda Hernána Cortésa rozbłyśnie tak jasno, że przyćmi wszystkie inne.

Ta wyprawa była szansą właśnie na to. Nowy świat, nowe krainy, nowe możliwości... I więcej złota, niż de Sandoval widział kiedykolwiek w życiu! W tej chwili na poły mityczne Tenochtitlán, miasto ze złota, El Dorado, było w zasięgu ręki!

A mimo to przebojowy, ryzykancki i zawsze prący naprzód caudillo właśnie teraz zaczynał przeciągać, zwlekać i grać na czas. Zwoływał narady dwa razy dziennie. Mielł po raz nie wiedzieć który te same kwestie.

A może lepiej będzie zawrócić?

Czy nie rozsądniej byłoby raz jeszcze rozmówić się z Montezumą?

Co dzieje się w Vera Cruz? Nie mieliśmy od nich tak długo wieści... Może wysłać gońców?

Czy nikt nie ma wątpliwości, czy jest gotowy na to, co może nadejść?

De Sandovala złościło to bardziej niż innych, bo potrafił odczytać prawdziwe intencje swego dawnego pana. Cortés nie sprawdzał, czy inni są

przygotowani; on miał nadzieję, że ICH pewność pomoże mu nadrobić JEGO obawy.

Gonzalo bał się, że wyprawa traci impet i zdecydowanie. Szli tutaj przecież jako zdobywcy, los conquistadores! I tak właśnie powinni maszerować na Tenochtitlán.

Tymczasem zatrzymywali się sporo przed zmrokiem w kolejnym mieście.

– Dla kogoś, kto pragnie porozmawiać z wami o sprawach naprawdę ważnych – odpowiedziała Malintzin, patrząc mu prosto w oczy, ale nie spiesząc się do siadania.

De Sandoval prychnął, pokręcił głową.

O czym ważnym miałyby rozmawiać z nim kobieta? W dodatku Indianka, półdzikuska... No owszem, ta sama, którą co nocy obrabiał w swoim łożu caudillo. Ale czy to znaczy, że miałby rozmawiać z każdą posługaczką, która przez tyle lat jego służby trafiła do łożnicy Cortésa?

Jednak Malintzin stała, czekając cierpliwie na to, co on powie. Mógłby ją odprawić, kazać iść precz... A wtedy by na pewno poszła, tego był pewien.

Skoro zatem mógł kazać jej zrobić to, mógł pozwolić i na co innego.

Przesunął się na bok, pokazując jej ruchem głowy, żeby usiadła.

Skloniła się z wdzięcznością, przycupnęła skromnie na samym brzeżku omszałego pnia. Złożyła dłonie na podolku, trzymając kolana razem i patrząc w ziemię.

De Sandoval uśmiechnął się, zerkając na nią kątem oka. Widać, że dobrze ją caudillo wyszkolił, a co! Tak powinna się zachowywać posłuszna kobieta. Kto wie? Może jeszcze z rok, ze dwa i wytresuje się ją na normalną istotę ludzką?

– O czym zatem chcesz... – zająknął się, z trudem przegryzł i wycedził słowo niczym trzeszczącą w zębach chrząstkę, która nagle trafi się w kielbasie: – chcecie, pani, ze mną mówić?

– Jesteście, szlachetny panie, jednym z najbliższych ludzi mojego pana, caudilla Cortésa.

– Nie potrzebuję ciebie... was, aby wiedzieć o rzeczach oczywistych – warknął, nadal patrząc na rozstawiany na przedmieściach obóz.

– Oczywiście, panie. Jednak tak samo jak wiecie o tym, musicie wiedzieć, że w kręgu osób bliskich naszemu wspólnemu panu zrobiło się ostatnio... ciasno.

– Planujecie zrobić tam nieco miejsca? – Zerknął na nią z ukosa.

Roześmiała się. Dźwięcznie, perliście, odrzucając do tyłu głowę. Może nieco zbyt otwarcie, wręcz wulgarnie... Ale można było zrozumieć, co zobaczył w niej caudillo.

– Nie, szlachetny panie. – Zarzuciła włosami. – Ja nie wybieram się nigdzie, dopóki mój pan i właściciel sam mnie nie przepędzi. Zastanawiam się jednak, czy i wam nie robi się w pewnej kompanii... jakiego tu słowa użyć, wybaczcie... W moim języku mówimy na to cuicuitlayo.

– Mhm... A oznacza to...?

– Oznacza to, miłościwy panie, że coś jest przepelnione ludzkimi odchodami – powiedziała z uśmiechem Malintzin.

De Sandoval popatrzył na tę kobietę, parsknął z rozbawieniem i pokręcił głową. Może nie była aż tak głupia jak reszta tego czerwonego bydła?

– „Gównianie”, miłościwa pani. Sugerujecie, że caudilla otaczają ludzie, którzy nic nie są warci?

– Sugeruję, miłościwy panie, że są wśród nich tacy, którzy na pewno są warci wielokrotnie mniej od was.

Wyprostował się, unióśł brwi. Przeciągnął dłonią po wąsko przystrzyżonej brodzie.

– To nietypowy wstęp do komplementu, pani.

– Wybaczcie, szlachetny panie. – Skłoniła głowę. – Nadal uczę się waszej pięknej mowy. Nie wahajcie się poprawiać mnie, jeśli popełnię błąd... Albo ukarać, jeśli na to zasłużę.

De Sandoval drgnął, spojrzal na nią bacznie.

Spuściła od razu wzrok, zaryzykowała tylko jedno szybkie zerknięcie na niego – i znów wbiła oczy w ziemię.

– Malintzin nie należy do mnie, abym ją karał – wychrypiał przez nagle ściśnięte gardło.

Kobieta uśmiechnęła się, przebierając palcami po naszyjniku i nadal nie patrząc na niego.

– Niestety, panie. Caudillo Cortés to wielki wojownik i wódz, ale ma zbyt miękkie serce i łagodną rękę...

– „Niestety” do tego zdania czy do poprzedniego?

– A to już sami, szlachetny panie, zdecydujcie. – Popatrzyła mu prosto w oczy. – Podobnie jak i to, kto jest wart przebywania blisko caudilla, a kto jednak nie. Fortuna sprzyja odważnym, należy iść naprzód... A są tacy, co wciąż powtarzają: zawróćmy, zawróćmy.

– Masz pani kogoś konkretnego na myśli?

– Macie go przed samymi oczami, panie... A w każdym razie pamiętkę po nim.

De Sandoval poczerwieniał. Dotknął garbatego, wciąż jeszcze spuchniętego po złamaniu nosa, który nie dość, że bolał, to jeszcze zrósł się krzywo i nie pozwalał mu teraz porządnie oddychać.

– Zahred. – Splunął ze złością w przyprószonej śniegiem trawę.

– Człowiek znikąd, szlachetny panie. Wy wypracowaliście sobie miejsce u boku naszego wspólnego pana. Ja dostałam je z łaski i dobroci... Zaś on po prostu je kupił. Czy nie tak było?

De Sandoval przytaknął.

To prawda, Zahred pojawił się – no cóż, właśnie znikąd.

Po prostu pewnego dnia zapukał do bramy domu Cortésa na świeżo podbitej Hispanioli i od tamtej pory zawsze był w pobliżu. Zawsze gotów wciąć się ze swoją radą, czytaniem i znajomością świata. Cytujący z pamięci antycznych klasyków, przerzucający się z caudillem łacińskimi sentencjami

i przysłowiami, praktycznie z dnia na dzień zaskarbił sobie jego sympatię i przyjaźń.

Na którą on, Gonzalo de Sandoval, musiał ciężko pracować tyle lat!

Pucując buty caudilla, piorąc jego koszule, po nocach polerując miałkim popiołem pancerz, kiedy Cortés gdzieś się wybierał.

Odbierając i referując na głos listy, kiedy caudillo ćwiczył szermierkę.

Ślęcząc po nocach nad przepisywaniem bazgrołów w pamiętniku.

Zaś ten człowiek przyszedł i od razu zasiadł po prawicy jego pana. Jako doradca, kapitan, przyjaciel, partner, współnik... którego słowa teraz groziły podminowaniem morale całej ekspedycji!

– Przybłęda – warknął de Sandoval, ale zaraz powściągnął emocje. – Czego chcecie ode mnie, pani?

– Ja? Niczego takiego. Pomyślałam, że warto, abyście wiedzieli, że nie jesteście sami w waszej... – zawahała się – niechęci do ludzi, których bliskość nie wychodzi naszemu panu na dobre. A mężczyzna powinien bardzo, ale to bardzo mieć baczenie na to, z kim się zbliża...

Przysunęła się i nachyliła ku niemu.

Kiedy on jednak chciał zrobić to samo i już wyciągnął rękę, kobieta zwinnie odsunęła się poza jego zasięg.

– Igracie ze mną, pani – mruknął.

– Tak. – Malintzin okręciła się wokół własnej osi, zarzuciła ręce za głowę. – Ale tyle nam wolno, panie. Jednak będę miała dla was prezent... później.

– Prezent? Jaki... – zaczął de Sandoval, ale ona już się odwróciła i ruszyła z powrotem tam, skąd przyszła.

Patrzył na jej pośladki rysujące się pod suknią, na wąską kibić i pracujące mięśnie łydek.

Przełknął ślinę i zacisnął dłoń na kolanie tak, że aż zbieleły mu palce.



– Panowie, jesteśmy już niedaleko od miasta. – Cortés potoczył wzrokiem po swoich kapitanach i doradcach. – Montezuma śle poselstwo za poselstwem... I wstyd mi już powtarzać wam, co mi powiedzieli ci ostatni.

– Niech zgadnę... – Pan de Barrameda zadarł głowę w udawanym namyśle, pogładził się po wąsach.

Kilku ludzi już zachichotało, czując kolejną krotoczwilę.

– Panie, proszę was. – Cortés machnął ręką. – Sytuacja jest poważna, a wy...

– Wielki, najwyższy! – De Barrameda zerwał się ze swego miejsca. Chwył stojącą w rogu miotłę i przyłożył ją sobie za plecami tak, że wiecheć gałązek wystawał mu znad głowy na podobieństwo pióropusza, po czym rymnął na kolana przed caudillem. – Twój przyjaciel Montezuma, wybrany przez dwudziestu jeden bożków i trzydzieści siedem gwiazd, ukochany dzięki pawianicy, mówi tymi słowami: nie idźcie do nas!

Kapitanowie zarechotali głośno.

Cortés w pierwszej chwili skrzywił się, ale potem nawet po jego twarzy przemknął uśmiešek.

Tymczasem de Barrameda dopiero się rozkręcał: przetoczył się na bok, poderwał na nogi i zrobił dramatyczny gest:

– Nie idźcie! Nie idźcie, bo Montezuma ze strachu przed wami sfajda się w pantalony! Nie idźcie, bo jego pieski pokojowe pokąsają was po kostkach, a nałożnice przerażą obwisłymi cyckami! Zaklinamy was na włochate plecy naszych bogów, porzucicie ten zamysł!

– A-ha-ha-ha! – zaryczał ze śmiechu de Olid.

Barrameda podskoczył do niego, wykrzywił się w okropnym grymasie.

– Nie idźcie do Tenochtitlán, bo nasi wojowie aż trzęsą się ze strachu! Nie podchodźcie bliżej, bo nasze kobiety już rozsuwają uda na samą myśl o was! Nie idźcie, a damy wam tyle złota, że każdy zbuduje sobie z niego wychodek... Ale, co najważniejsze...!

– Panie, proszę was... – Caudillo otarł łzę rozbawienia.

– ...nie możecie przyjść, a Montezuma nie może was przyjąć...!

– Nie zrobicie tego, panie! – krzyknął mu de Grado.

– Montezuma nie przyjmie was, bo...!

– Neeee! – zakwiczał de Lugo, trzymając się ze śmiechu za brzuch.

– Bo...!

– Nie dajcie mu skończyć...! – wysapał de Olid. – Bo pękne...

– Montezuma nie przyjmie was... – De Barrameda zrobił dramatyczną przerwę, zaczerpnął tchu. – BO JEST CHORY...!

Salwa śmiechu zadudniła w niewielkim pomieszczeniu i wylała się na zewnątrz tak, że śpiące pod drzwiami psy aż podskoczyły i zaczęły ujadać w pustkę nocy.

Wartownicy spojrzeli po sobie, pokręcili głowami: ot, jak dopisywał humor kapitanom! Ani chybi to dobry znak, że nie boją się nic a nic.

– Eh, ehhehehe, hehe... – Caudillo wytarł lejące po policzkach łzy, pokręcił głową i dołączył do bijących komediantowi brawo. – Och, panie... Eh, he, hehe... Rozbawiliście mnie, dziękuję. Ale następnym razem ostrzegam, że pasy z was drzeć każę, jak mi przerwiecie... Eehehe, ehhehe...

– Proszę uprzejmie o wybaczenie! – Zadowolony z siebie de Barrameda otrzepał się z kurzu, opróżnił jednym haustem podany mu kubek. – I podwójnie, jeśli coś zełgałem albo przeinaczyłem. To co w końcu powiedzieli ci dzisiejsi posłowie?

– No więc... – Caudillo potoczył wzrokiem po obecnych. Kąciki jego ust zadrgały, tamci wykrzywili się, już czując, że żart sięga o wiele dalej i głębiej. – No więc, panowie, przeprosili, że władca Imperium Słońca nie może przybyć osobiście. Mówili, że jest mu niezwykle przykro, a oni są do naszej dyspozycji. Przynieśli płótno i złoto, błagając, żebyśmy nie przybywali do Tenochtitlán.

– Brak żywności? – wtrącił się de Grado.

– Brak żywności, brak dróg, konieczność przeprawy przez jezioro łodziami. Słowem, wszystko naraz. Poza tym podobno jego poddani protestują przeciwko naszemu przybyciu, co ja osobiście uważam za argument niedorzeczny. Uwierzę w wiele rzeczy, ale nie w to, że kogokolwiek tutaj pyta o zdanie...

– Składają ludzi w ofierze, a boją się protestów! – prychnął de Saudeco.

– No właśnie tak to widzę. Oczywiście, Montezuma obiecuje nam coroczny trybut, jeśli tylko zawrócimy. No i przeprosza ponownie, że nie mógł przybyć sam, ale... – Cortés spojrzał na kapitanów, coś drgnęło w jego twarzy. – Ale Montezuma jest...

– Nie... Nie, panie! Powiedzcie, że to nieprawda! – zawołał de Ávila, łapiąc się za głowę.

Cortés spąsował, do oczu napłynęły mu łzy. Skrzywił się, zakrył twarz dłonią i bąknął ledwie słyszalnie:

– ...jest chory.

Kolejna salwa śmiechu przetoczyła się ponad miasteczkiem.



– Niech synowie Tlaxcali opowiedzą Xahuatłowi o tym, skąd wziął się świat – poprosił Zahred.

Siedzący przy ognisku wojownicy popatrzyli jeden na drugiego.

Już kolejną noc ten człowiek przychodził i siadał przy ich ognisku. Wraz z nim zjawiał się dzielny Xicotencatl, który mówił zawsze: Xahuatl jest przyjacielem Xicotencatla, przyjacielem Tlaxcali. Inni mają traktować Xahuatla jak jednego ze swoich.

Ale i tak dziwili się, że Xahuatl przesiaduje z nimi zamiast z białymi wodzami. Przecież tam miałby dach nad głową, ciepło i lepszą strawę!

On jednak wołał dzielić z nimi skromną miskę gotowanej kukurydzy i fasoli, popijać chłodnawę *pulque* i marznąć pod gwiazdami.

Czy był jednym z nich?

Nie.

Ale miał szansę się nim stać.

– Dawno, dawno temu, u początków czasu, nie było niczego – zaczął Mecamateatl, najstarszy spośród nich. – A potem z tej nicości, która była i nie była, stworzył sam siebie pierwszy z bogów, Ometeotl...

Ognisko trzaskało i strzelało iskrami. Wokół słychać było ciche rozmowy i niegłośnie śmiechy. Ktoś nucił jakąś melancholijną, płynącą niczym strumień pieśń.

– Ometeotl był kobietą i mężczyzną, dobrem i złem, światłem i ciemnością, wodą i ogniem, przebaczeniem i gniewem, wszystkim i niczym zarazem. Z niego powstało czterech wielkich bogów, którzy zasiedli po czterech stronach świata. Po lewej stronie, którą kroczy słońce, panuje Huitzilopochtli, najwyższy Pan Wojny i Krwi...

Wojownicy zamruczeli, dotknęli leżących obok każdego z nich mieczy, toporów i włóczni.

– Po stronie tylnej, gdzie słońce wstaje, króluje Xipe Totec, potężny Pan Obdarty ze Skóry, który zarządza wiosną, roślinami na polach i złotem ku ozdobie. Po zachodniej stronie świata rządzi Quetzalcoatl, władca światła, miłosierdzia i wiatru, Białobrody...

Indianin urwał, wpatrzył się w Zahreda.

Ten dalej spokojnymi, miarowymi ruchami zszywał pasy skóry, zostawiając pomiędzy nimi miejsca, w które we właściwym czasie wsuną się nasady piór. Oczami wyobraźni już widział całość... Teraz pozostawało mu tylko dopracować technika.

Zamarł, spojrzął na wojownika. Uśmiechnął się spod śnieżnobiałych wąsów, pogładził taką samą brodę.

– Xahuatl nie jest bogiem. Nie jest też nim caudillo Cortés. Są tylko ludźmi, niczym więcej... Niech Mecamateatl mówi dalej.

– Po prawej stronie ciągnie się królestwo Tezcatlipoki, który zawsze osądza i oszukuje, tego, który włada domeną nocy i czarodziejstwa. Bogowie nie stworzyli świata od razu takim, jakim go znamy, bo nie wiedzieli, jak się do tego zabrać. Dlatego też próbowali aż pięć razy, za każdym razem burząc wszystko i gasząc słońce, stąd dziś ludzie mówią o pięciu słońcach...

Mecamateatl rozkasłał się, sięgnął po kubek z *pulque*. Upił chciwie łyk, uśmiechnął się przepraszająco.

– Pierwsze słońce nie udało się, ponieważ bogowie zapomnieli stworzyć ziemię – podjął opowieść Chemicimacatl. – Więc cokolwiek stworzyli, spadało do wody, gdzie pożerał to Cipactli, wielki krokodyl z błota, o wielu paszczach. Mimo to bogowie stworzyli pierwszych ludzi, którzy byli gigantami, aby mogli walczyć z krokodylem...

– Co poszło nie tak? – zapytał Zahred, przeciskając kościaną igłę przez otwór.

– Tezcatlipoca bardzo chciał zostać słońcem. – Chemicimacatl uśmiechnął się. – Ale spieszył się tak, że biegnąc po niebie, złamał nogę, więc jego słońce miało tylko jedną stronę. Mimo to wielcy bogowie stworzyli innych,



mniejszych: Tlaloca, który opiekował się deszczem, oraz Chalchiuhtlicue, nadzorującą strumienie i górskie jeziora...

– Nie wiadomo, gdzie były te jeziora, jeśli bogowie nie stworzyli gór – w ramach wyjaśnienia wtrącił Xicotencatl. – Natomiast tak jak powiedział Mecamateatl, bogowie dopiero się uczyli i nie znali porządku świata.

– Ale nadal było tylko pół słońca! – wciął się Tihuatzin. – I w końcu potężny Quetzalcoatl tak się zezłościł, że strącił je z nieba swoją maczugą! Wtedy jego brat, Tezcatlipoca, obraził się i kazał swoim jaguaram pożreć wszystkich ludzi. I tak umarło pierwsze słońce.

– Drugim słońcem został sam Quetzalcoatl – odezwał się znów Mecamateatl. – Trzej pozostali bogowie stworzyli nowych ludzi, tym razem normalnej wielkości. Lata mijały, słońce wschodziło i zachodziło, ale z czasem ludzie zapomnieli, kto ich stworzył i komu winni oddawać cześć. Dlatego też Tezcatlipoca, nadal zły na ludzi, zaczął osądzać ich i najgorszych zmieniać w małpy. Quetzalcoatl jednak kochał ludzi mimo ich wad i rozgniewał się, że jego brat psuje dzieło innych bogów, dlatego zesłał wielki huragan, który zdmuchnął wszystkie małpy z ziemi, a potem zszedł sam na ziemię, aby pomóc w tworzeniu kolejnych, lepszych ludzi. I tak skończyło się słońce drugie...

– Trzecim słońcem został Tlaloc. Jednak kiedy on świecił na niebiosach, Tezcatlipoca przyszedł do jego domu, rozkochał w sobie i uwiódł jego żonę Xochiquetzal – uśmiechnął się Tonahuac, który sam znany był z tego, że zwykł pocieszać żony i córki sąsiadów. – Tlaloc zaczął rozpaczać i zapomniał o swoich obowiązkach, więc na świecie nastąpiła wielka susza, bo słońce wypijało chmury. Ludzie zaczęli błagać Tlaloca o deszcz, więc ten odwrócił swoją twarz od ziemi, przez co chmury zalały cały świat wodą. Kiedy ludzie w końcu zaczęli prosić Tlaloca o to, aby powstrzymał deszcz, temu ze smutku pomieszało się wszystko i zesłał ogromny deszcz ognia, który zagotował i wysuszył wodę, a potem spalił cały świat na popiół. Bogowie musieli zaczynać swoją pracę od nowa...

– Czwartym słońcem została jedna z żon Tlaloca, piękna Chalchiuhtlicue, która kochała ludzi z całego serca i pilnowała, aby słońce i deszcz przychodziły po równo. Jednak Tezcatlipoca nadal nie mógł przekonać się do ludzi, więc złośliwie powiedział Chalchiuhtlicue, że ta tylko udaje swoją miłość. Bogini zrobiło się tak przykro, że zaczęła płakać krwią i nie mogła przestać przez następne pięćdziesiąt i dwa lata. – Chimicimacatl pokiwał głową ze smutkiem. – Ludzie utonęliby, gdyby nie to, że zamienili się w ryby. I tak skończył się świat czwartego słońca, po którym zapłonęło nasze, piąte słońce...

– Kto jest słońcem teraz? – zapytał Zahred, robiąc supeł na skończonym ściegu.

– Ja, ja wiem! Na nowe słońce wybrano spośród pomniejszych bogów spokojnego i nierobiącego kłopotów Nanahuatzina, który wcześniej cierpiał tyle, że teraz chce tylko dawać dobro i ciepło! – wyrwał się siedzący nieco z boku Xochitl, do tej pory tylko przysłuchujący się opowieści. Starsi i poważniejsi spojrzeli na niego karcąco, ale on potrząsnął głową: – Tak było! Sam Huitzilopochtli pomógł mu wspiąć się na niebo!

– A skąd wzięli się zatem nowi ludzie, hm? – prychnął Mecamatecatl.

– Nowi ludzie, eee... Bogowie stworzyli ich, e...

– Quetzalcoatl nie mógł pogodzić się ze śmiercią swoich ludzi, więc przywrócił ich do życia – powiedział z wyższością weteran, demonstracyjnie odwracając się do młodzika plecami. – Zszedł do zaświatów pod ziemią, gdzie wykrał kości ludzi z tronu boga Mictlantecuhtlego. Potem umoczył je we własnej krwi i tym sposobem tchnął nowe życie w starą formę. Tak jak z życia bierze się śmierć, tak Tzitzimime-gwiazdy i Coyolxauhqui-księżyc każdej nocy ścigają słońce po niebie, spychając je do zaświatów, skąd wstaje dzięki ofiarom ze świeżej krwi. Jeśli kiedykolwiek ofiary ustaną, noc dogoni i pożre dzień, a piąte słońce zgaśnie bezpowrotnie. Wtedy bogowie po raz piąty zniszczą ziemię i nas razem z nią, po czym odbudują od nowa... Inną, nadal żywą, ale już bez nas.

– Ale już bez nas... – powtórzył niczym echo Xicotencatl.

Na chwilę zapadło milczenie, przerywane tylko trzaskaniem ognia.

Wojownicy zapatrzyli się w płomienie, rozważając dopiero co usłyszany mit o stworzeniu i zarazem końcu świata.

Końcu, w którego nieubłaganym oczekiwaniu żyli od zawsze, odkąd tylko sięgali pamięcią.

Zahred odciął nić, zwinął i odłożył na bok. Rozprostował i popatrzył na trzymany w rękach skórzany czepiec, który miał stać się podstawą dla jego własnego pióropusza.

– Zatem nie pozwólmy, aby tak się stało – mruknął.



– Co odpowiedział biały wódz Cortés? Niech posłowie mówią!

Wysłani wcześniej z kolejnym posłaniem dostojnicy upadli na twarze przed Montezumą, który od razu zrozumiał: po raz kolejny wysiłki spelzły na niczym.

– O Najwyższy! – zawołał jeden z nich. – Niech Montezuma nie karze sług swoich...!

– Niech mówią!

– Biały wódz... Mówi, że będzie nadal szedł ku Tenochtitlán! Powiedział tak: jak mieliby zawrócić teraz, kiedy on i jego ludzie przebyli tak daleką drogę? Gdyby Cortés był sam, mógłby zastanowić się nad tym, bo wie, że jego przyjaciel Montezuma cierpi wielce. Jednak nie może pozwolić, aby jego ludzi uznano za tchórzy, bo jego król rozgniewa się wielce, więc... – Dostojnik zachłysnął się własnymi słowami. – Więc idą dalej...

Montezuma odchylił się na swoim tronie, czując, jak ziemia ucieka mu spod stóp.

Miał jeszcze nadzieję.

Nadzieję wbrew rozsądkowi, że może zdoła jakoś powstrzymać, przekonać tamtych. Jednak ich upór był nieprzejednany! Byli teraz raptem dzień drogi od Tenochtitlán i należało przedsięwziąć niezbędne kroki – w jedną albo w drugą stronę.

Widział po twarzach swoich dostojników i członków dworu, że zaraźliwy strach dotknął również ich serc.

Od kilku dni stolica spała niespokojnie, drżąc w dzień i obawiając się nadejścia nocy.

Targowiska zdawały się szeptać, zamiast nawoływać.

Ulice z rwących rzek zamieniły się w ledwo ciurkające potoczki.

Nie było słycać śpiewu ani radości.

Miasto zamarło w oczekiwaniu – nie mając pojęcia nawet, na co takiego.

Tego wieczoru, wiedząc, że imperator i najwyższy król zwołuje kolejną naradę, mieszkańcy Tenochtitlán ściągnęli tłumnie pod pałac. Teraz czekali na wieści niczym na wyrok... Zaś Montezuma sam nie wiedział, jaki jest werdykt.

– Bracia! – powiedział, zwracając się do obecnych na naradzie królów Tlacopán i Texcoco, sąsiednich miast-państw. – Potężni, szlachetni panowie! Oto wypada, abyśmy my trzej byli tutaj wspólnie, by to nam przypadł zaszczyt powitania przybyszów w Tenochtitlán! Bo oto podjąłem decyzję: przyjmujemy ich tak, jak przyjmuje się gości, którzy stają, i bogów...!

Montezuma zaplątał się we własne słowa, urwał. Chciał powiedzieć: „na progę”, a wyszło coś zupełnie innego... Ale czy wydawało się to tylko jemu, czy usłyszał to ktoś inny?

Nieważne.

Teraz było już za późno.

Żadne słowa nie mogły odmienić wyroków nieubłaganego losu.

– Jakże mało mieliśmy czasu, aby zażyć rozkoszy w królestwach, które w spadku oddali nam przodkowie! – zawołał Montezuma łamiącym się głosem. – Ci, co byli przed nami, zostawili po sobie świat w pokoju, harmonii i dobrobycie! Gdzie zaś jesteśmy my, niepotrafiący odwrócić nieszczęścia?! Czym zasłużyliśmy na ten los, jaka jest nasza przewina przed bogami...?!

Jakiś dostojnik załkał głośno, żałośnie.

Większość spuściła głowy, niektórzy zakrywali twarze rękoma.

Unosząca się ponad miastem miazma ponurego nastroju gęstniała i nabrzmiewała już długo niczym wrzód, który teraz musiał w końcu pęknąć.

Montezuma uspokoił szalejące serce, wstał i nabrał tchu, po czym zaczął mówić, idąc przez salę ku balkonowi wychodzącemu na główny plac miasta:

– Kim są ci, co jutro staną u naszych bram? Skąd się wzięli, kto poprowadził ich tutaj? Nie wiemy! Lecz wiemy, co powinniśmy uczynić. Teraz musimy przywdziać pancerze wytrwałości, osłonić swoje serca i mężnie znieść to, czego nie znamy... Ludu Tenochtitlán!

Te ostatnie słowa poniosły się echem, gdy Huēi Tlahtoāni Mocetuhsoma Xocoyotzin, władca wszystkich krain od gór aż ku wielkiej wodzie, pan Imperium Słońca, Ten, Którego Gniew Jest Szlachetny, stanął na balkonie i podniósł ręce ponad głowami czekających przed pałacem Mexików.

Ludzki łan zgiął się jak w podmuchu wiatru, kiedy poddani uklęknęli, schylając głowy przed władcą.

Montezuma popatrzył na nich, uśmiechnął się.

To był jego lud, jego miasto i jego odpowiedzialność.

Nie zawiedzie ich w czasie próby.



– Ludu Tenochtitlán! – powtórzył. – Oto do wrót Imperium Słońca pukają biali przybysze, o których słyszycie od dawna! Jednak oto Montezuma powiada wam: nie lękajcie się! Ci, którzy idą ku nam, są nam przyjaciółmi i sojusznikami!

Westchnienie ulgi przeleciało przez tłum niczym poszum wichru w koronach drzew. Ludzie kręcili głowami z niedowierzaniem, powtarzali jeden drugiemu: słyszysz, słyszysz? Nasz król mówi, że nic nam nie grozi! To przyjaciele...!

– Niech bogowie naszych ojców i dziadów mają swoje dzieci w opiece! Niech ulitują się nad biednymi, niech przydadzą odwagi sercom mężnych! Niech słońce opromienia swoją chwałą lud Mexików, niech spogląda z dumą na wieczne miasto Tenochtitlán... Niech wiecznie trwa Tenochtitlán!

– Tenochtitlán! – tłum podłapał okrzyk. – Tenochtitlán...! Te-noch-tit-lán!

Montezuma wyciągnął rękę w bok, a już czekający kapłan podał mu obsydianowy nóż.

Władca bez chwili zawahania przyłożył ostrze do płatka ucha, szarpnął: gorąca strużka pocięła mu po szyi.

Potem to samo z drugim uchem.

Następnie nacięcia na ramionach, na udach.

Rozłożył szeroko ręce, czując, jak jego drogocenna krew kropla po kropli sączy się w podstawione złote misy.

To była jego rola.

To było jego miejsce.

Jego powinność.

Odchylił głowę w tył i szepnął ku ciemnemu niebu:

– Bogowie, miejcie w opiece Tenochtitlán...

– Te-noch-tit-lán! Te-noch-tit-lán! – skandował rozradowany tłum.



## Rozdział 13

*8 listopada 1519*

**T**enochtitlán...!

Okrzyk rozbrzmiał u samego czoła pochodu, nabralł mocy i przeleciał błyskawicą po całej długości kolumny.

Ludzi jakby ktoś smagnął batem.

Nawet śmiertelnie zmęczeni, wlokący się noga za nogą prostowali się, podnosili głowy i wyciągali szyje: jak to, już?!

Nareszcie?!

Dopiero?!

W końcu?!

Doszliśmy, dotarliśmy?!

Ono istnieje naprawdę?!

Już drugi dzień maszerowali południowym brzegiem jeziora tak ogromnego, że przypominało raczej morze, ciągnąc się nie wiedzieć jak daleko siwą, idealnie gładką tonią.

Wokół wznosiły się majestatyczne szczyty gór, po niebie pędziły chmury gonione ostrym, przenikliwym wiatrem.

Nieustająco towarzyszyła im flotylla mniejszych i większych łódeczek, trzymających się w rozsądnej odległości od brzegu.

Prości ludzie, rybacy, rzemieślnicy i wyrobnicy podpływali na tyle blisko, na ile starczało im odwagi, aby popatrzeć na przybyszów. Niektórzy patrzyli w milczeniu, inni machali rękoma i wołali coś do idących drogą konkwistadorów. Jeszcze co poniektórzy zdawali się nie zwracać na nich uwagi, nazbyt zajęci swoją codziennością.

Pojawiały się też i większe łodzie, przemyślnie zrobione z powiązanej w pęki trzciny. Na nich z kolei siedzieli ubrani w złoto i drogie tkaniny dostojnicy, z zainteresowaniem lustrujący wzrokiem kolorowy, lśniący stałą pochód. Widać było, że największe wrażenie robiły na tutejszych zwierzęta: parszające i rżące konie, psy szczekające dosłownie na wszystko.

Mijane widoki były piękniejsze niż cokolwiek, co żołnierze do tej pory widzieli... ba! o czym chociażby słyszeli przez całe życie!

Żaden opis z romansu rycerskiego, żadne odmalowanie widoków z powieści o dalekich krajach nie mogły oddać tego, co każdy z nich miał teraz przed oczami.

Przepiękne, porośnięte ukwieconymi pnączami rezydencje z białego kamienia stały u samego brzegu jeziora, wysuwając nad wodę rozległe tarasy na palach.

W ich oknach powiewały delikatne zasłony, przez pięknie rzeźbione wejścia dało się dostrzec przestronne wnętrza i zadbane dziedzińce z sadzawkami, w których pobłyskiwały łuskami kolorowe ryby.

W kilku miejscach widzieli domy położone w całości na wodzie, gdzie brama otwierała się, aby wpuścić nadpływającą łódź.

Cuda! Cuda, o jakich nie słyszał nikt!

To wszystko zdawało się maleć, gdy dotarli do końca tamy, przecinającej na pół całe jezioro prostą jak strzełił kreską usypanego z kamieni wału. Jak wyjaśnił Cortésowi towarzyszący im od pewnego czasu mexicki dostojnik, niejaki Cacama – król Texcoco, wysłany, aby wprowadzić gości do Tenochtitlán – usypano ją, aby chronić przed powodzią miasto.

Miasto, które teraz leżało na wprost przed nimi, widoczne jak na dłoni.

Było ogromne.

Przepotężne!

Nawet stąd, mimo że dzielić ich musiało od niego jeszcze dobrych kilka mil w linii prostej, widać było, jak szeroko rozłożyło się na wodzie.

Białe, lśniące w słońcu budowle odznaczały się na tle gór; wysokie piramidy niezliczonych świątyń wznosiły się wysoko, przypominając twierdze przycupnięte na szczytach wzgórz.

– Szyk! – zawołał caudillo, czując, jak wzruszenie ściska go za gardło. – Godzina na odpoczynek, przygotowanie się... Panowie kapitanowie, towarzysze! Do mnie, żwawo!





Nie było jeszcze południa, kiedy wyprawa wkroczyła na główną groblę, mającą doprowadzić ich wszystkich do tak wyczekiwanego i upragnionego celu podróży.

Na samym czele pochodu jechali stępa na bogato przystrojonych, okrytych kolorowymi kapami koniach czterej jeźdźcy w pełnych zbrojach i z lancami, do których specjalnie na tę okazję przyczepiono wyprane i odświeżone proporce. Konie na krótkich wędzidlach parskały, rzucały łbami i grzebały kopytami w ziemi. Przy każdym ich ruchu pobrzękiwały na uprzęży dzwonki, których trel niósł się daleko po wodach jeziora.

Zaraz za nimi szedł dumnym krokiem w najlepszych pokazowych szatach i wypolerowanym niemalże na lustro kirysie pan Cristóbal de Corral, nieustająco pełniący zaszczytną rolę chorążego. Machał sztandarem w przód i w tył, zarzucał pięknie rozkładającym się płótnem na boki, z wielką zręcznością kręcił nim i podrzucał wirujący w górę, a potem łapał bez trudu, śmiejąc się przy tym głośno.

Jako kolejny maszerował oddział doborowej piechoty z obnażoną bronią i w pancerzach, zebranych bez mała z całej armii. Słońce przeglądało się w hełmach, igrało na klingach mieczy, szpad i rapierów, pobłyskiwało na ostrzach halabard i partyzan.

Obok nich wesoło dreptali psiarczykowie, trzymający na krótkich smyczach po dwa albo trzy psy każdy. Ogromne bestie rzucały się i ujadały, ilekroć jakaś łódź podpłynęła zbyt blisko; czasami stawały i czekały na jezioro, jakby chcąc odstraszyć każdego, kto chciałby nawet nie tylko zbliżyć się, ale wręcz spojrzeć na ich panów.

Następnie jechali dwiema trójkami lekkozbrojni, ubrani w lżejsze, bawełniane pancerze i hełmy bez grzebieni.

Zaraz za nimi maszerowali zwartą grupą kusznicy pod wodzą Juana Berniteza i Pedra de Guzmána, odziani w lekkie zbroje i hełmy z pysznymi pióropuszcami.

Dalej posuwała się reszta jeźdźców, eskortujących oddział arkebuzerów idących z bronią na ramieniu i zapalonymi lontami w ręku, za którymi z kolei jechał już sam Cortés w otoczeniu kilku swoich kapitanów i chorążych.

Następnie zaś szli pod własnymi sztandarami ich indiańscy sojusznicy, wymalowani i ubrani jak na wojnę.

Bo tak przecież było!

Oto ci sami ludzie, których ojcowie i dziadowie od niepamiętnych czasów płacili na rzecz Mexików daninę w złocie i krwi, teraz wchodzili pod bronią do ich stolicy!

Czymże to było, jeśli nie zwycięstwem?

Kim był Montezuma, jeśli nie pokonanym?!

Indianie pohukiwali i pokrzykiwali dziko, poprzedzający ich tancerze skakali w górę i turlali się po ziemi, pokazując, jak dobrze przygotowani są do wojennego rzemiosła. Barwne pióropusze mieniły się wszystkimi kolorami w słońcu, lśniły obsydianowe ostrza toporów, mieczy i maczug. Niektórzy gwizdali przenikliwie, jeszcze inni uderzali dłońmi w usta, hałkując i oznajmiając całemu światu: oto my! Spójrzcie: oto Otomi, oto Tlaxcala idzie na Tenochtitlán...!

Wreszcie dotarli do wyspy, na której idąca dotąd skosem droga skręciła na północ, biegnąc prosto ku coraz lepiej widocznemu miastu.

Na wodzie było aż gęsto od łódek i łódeczek. Ludzie wyciągali szyje, dziwili się, zachwycali i przerażali, pokazywali sobie palcami... Kobiety rzuciły w kierunku konkwistadorów kwiaty, które nie dolatując do grobli, padały na wodę i dryfowały po lazurowej toni niczym kolorowy kobierzec ścielący się u stóp zwycięzców.

Zdawało się, że cały brzeg jeziora dosłownie upstrzony jest mniejszymi i większymi miastami, miasteczkami i istnymi metropoliami. Ich nazwy były podobne do siebie, imiona królów i władców zlewały się w jednostajny świergot...

...lecz nienasycona ciekawość wołała: jeszcze! Więcej! Nakarm mnie, spróbuj nasycić!

– Nie rozglądać się zbyt daleko! – polecił po raz kolejny caudillo swoim ludziom, zaś sam zwrócił się za pośrednictwem Malintzin do przewodnika, wskazując widoczne po lewej stronie za wodą domy, dosłownie tonące w zieleni: – A to miasto jak się nazywa? Kto nim rządzi?

– Szlachetny Cacama mówi: tym miastem niegdyś był Coyoacán – przetłumaczyła Malintzin, niesiona w swym palankinie przez czterech tragarzy.

– Zapytaj go zatem: dlaczego „był”? – zaciekawiał się Cortés.

– Cacama mówi: wiele lat temu Coyoacán walczył z Mexikami, lecz przegrał. Władca Mexików nakazał zburzyć całe miasto i zrzucić cegły do wody, a na jego miejscu zbudować wielki ogród, aby nikt więcej nie zamyślił sprzeciwić się woli Tenochtitlán. Mieszkańców sprzedano w niewolę, a w ogrodach mają teraz letnie rezydencje wodzowie i dowódcy armii Montezumy.

– Zatem Montezuma nie tylko nie daje litości, ale zapewne jej również nie oczekuje – parsknął Cortés.

– Cacama mówi: Montezuma jest wyrozumiały i szczodry dla swoich przyjaciół.

– Zobaczymy, czy jego słowo będzie warte więcej niż słowo jego sług – warknęła caudillo pod nosem.

Grobla tak szeroka, że ośmiu konnych mogłoby bez trudu jechać nią strzemię w strzemię, prowadziła ich teraz ku miastu.

Od czasu do czasu musieli jednak zwalniać, gdy poszczególne jej odcinki łączone były przez o wiele węższe drewniane mosty. Na każdym z nich zawiadujący artylerią pan de Usagre cmokał i kręcił głową, oglądał konstrukcję z zaniepokojeniem: czy aby wytrzyma? Czy się nie zarwie...?

– Trzech konnych w pancerzach więcej waży niż wasze bombardy! – śmiał się Francisco de Morla z siodła swego jabłkowitego ogiera. – Przejdą i one! A do miasta już niedaleko, damy radę... Ależ tutaj są widoki!

Od miasta dzieliły ich na oko jakieś trzy mile, kiedy na grobli zarysował się kształt fortu. Dwie solidne wieże, mur z blankami... Tak, to wyglądało poważnie.

– Tyle w temacie wejścia na salony – mruknął idący obok Zahreda pan de Monroy. – Teraz nas przed bramą przetrzymają...

– Cholerne indiańskie świny! – zezłościł się Enriquez. Kiedy towarzysze spojrzeli na niego zdumieni, bąknął tylko, wyraźnie speszony: – No bo... Bo się o Rodriga martwię, nie? On idzie tam, w osobnej kompanii. A bez osłony piechoty to arkebuzy są na jeden strzał...

– I dlatego za niego nadrabiasz – rzekł Gutiérrez ze zrozumieniem.

Valverde nie powiedział nic, tylko odkaszlnął i splunął w wodę, pomiędzy łodzi. Bolały go nogi, but znów się rozlaźł... Mogliby już dojść.

– Ej, tam się coś dzieje! Patrzcie! – Valdés, mający z nich najlepszy wzrok, wyciągnął szyję. – Ktoś wychodzi!

Zahred odsunął się nieco na bok, przysłonił oczy od słońca. Skinął na de Monroya:

– Panie, przejmujecie komendę. Będą nas chyba witać... Wróć do was wkrótce.

– Tak jest! – odkrzyknął samozwańczy szlachcic.

Z otwartej bramy w barbakanie wyłoniła się niemała grupa dostatnio ubranych ludzi. Idący szybkim krokiem Zahred widział, jak Cortés też wysuwa się na przód, jak pierwsi wznoszą ręce i zaczynają mówić, zaś Malintzin...

...no tak, przecież musiała być tam też ona. Nieodłączna od caudilla. Wiecznie szepcząca mu na ucho swoją wersję wydarzeń.

Mexikowie podchodzili po kolei, kładli dłoń na ziemi i całowali ją potem, szarą od piachu drogi. Nikt z nich nie patrzył na Cortésa, pilnowali się, aby ich wzrok był skierowany w ziemię.

Przeszło pięciu, dziesięciu, piętnastu, stu... Orszak zdawał się nie mieć końca.

– Nogi mi w dupę wrastają – warknął stojący z tyłu Portocarrero. – Ten pierdolony hełm chyba z ołowiu odlali...

– Cisza tam – mruknął przez ramię caudillo.

Ceremonia powitania ciągnęła się i ciągnęła.

Kolejni dostojnicy wychodzili, całowali ziemię, skłaniali się, wygłaszali kolejne powitania, których tłumaczenia Malintzin zaprzestała już jakiś czas temu.

A potem wszystko to nagle się zmieniło.

Dostojnicy wycofali się, rozstąpili.

Rozległy się dźwięki konch i gwizdków, ludzie zawołali głośno.

– To jest to, panowie! – krzyknął Cortés, czując, jak serce mu przyspiesza.

Z bramy wyłoniła się potężna, wykładana kawałkami zielonego jadeitu lektyka, niesiona przez dwunastu rosłych mężczyzn.

Cały jej dach pokrywały falujące zielone pióra; złote i srebrne taśmy z haftowanego materiału powiewały i kołysały się w rytm kroków tragarzy, zbliżających się krok po kroku, piędź po piędzi do czekających Kastylijczyków.

Przed orszakiem uwijało się kilkunastu półnagich młodzieńców zamiatających ziemięmiotłami z kolorowych piór i sypiących na nią płatki kwiatów. Wszyscy i wszystko przystrojone było wieńcami i girlandami z kwiatów, przybrane kwiatami, otulone w kwiaty...

– O n-n-niech m-mnie... – mruknął pan Velázquez de León, kiedy potężna lektyka spoczęła na ziemi i rozchyliły się zasłony.

Z wnętrza wyłonił się człowiek w imponującym, największym, jaki dotąd chyba widzieli, pióropuszu z opalizujących zielonych piór, lśniących w promieniach słońca. Haftowany, wielokolorowy płaszcz mienił się w oczach, błyszcząły zdobione złotem i szlachetnymi kamieniami sandały.

Cortés zsunął się z konia i wystąpił o krok naprzód, czując, że pulsująca krew chyba zaraz rozsądzi mu skronie. Przytomnie zdjął i podał komuś hełm, skłonił się najbardziej dworskim ze znanych sobie ukłonów.

Zapadła cisza. Dwaj władcy z dwóch różnych światów patrzyli na siebie.

– Czy... – w końcu to caudillo przerwał milczenie. – Czy ty jesteś nim? Czy jesteś Montezumą?

– Szlachetny Cortés pyta: czy jesteś Montezumą? – przetłumaczyła lekko drżącym głosem Malintzin.

Stojący przed całą armią, mającą lada chwila wkroczyć do jego ukochanego Tenochtitlán, ubrany w białozłotą szatę Huēi Tlahtoāni Mocetuhsuma Xocoyotzin, władca wszystkich krain od gór aż ku wielkiej wodzie, pan Imperium Słońca, Ten, Którego Gniew Jest Szlachetny, milczał.

Jego oczy błędziły po orszaku, próbując wyczytać w twarzach przybyszów ich intencje.

I wtedy zauważył jego.

Dostrzegł człowieka, którego widział wcześniej, gdy potajemnie i w przebraniu poszedł, aby popatrzeć na obcych.

Dostrzegł tego człowieka – a ten człowiek dostrzegł jego.

Zahred poczuł, jak jego serce uderzyło mocniej. Ledwie dostrzegalnie skinął głową i przymknął oczy, przyłożył dłoń do serca na znak szacunku.

Montezuma odwzajemnił gest, też kiwnął głową, nie spuszczając wzroku z wymalowanego, niepasującego do reszty przybyszów człowieka. Przeogromny, turkusowo-zielony pióropusz poruszył się i zafalował.

– Tak – powiedział po prostu. – To ja jestem nim.

KONIEC  
TOMU PIERWSZEGO



## **Michał Gołkowski**

Człowiek orkiestra.

Z wykształcenia lingwista, z zamiłowania historyk wojskowości i antropolog kultury. Z zawodu tłumacz języka angielskiego i rosyjskiego, bez skrępowania poruszający się po ministerialnych, sejmowych oraz telewizyjnych korytarzach i strefach VIP.

Jako pisarz zadebiutował w 2013 roku książką *Ołowiary świt* i od tego czasu wydał rekordową ilość 27 książek osadzonych w 7 różnych uniwersach!

Wszystko zaczęło się od lektury książki *Ślepa plama* Wiktora Noczki, którą Michał przetłumaczył zresztą później na język polski. Pomysł na własną historię kiełkował, a gdy dojrzał, Michał napisał swoją pierwszą powieść w zaledwie półtora miesiąca! A potem przekonał Fabrykę Słów, by tę książkę wydała, i tym samym stał się dumnym ojcem polskiego S.T.A.L.K.E.R.a. W tamtym momencie nastąpiło zwolnienie blokady maszyny losującej i od tego czasu Michał składa w wydawnictwie dwie, trzy książki rocznie. I nie są to same historie z Fabrycznej Zony! Jego książki krążą pomiędzy tematyką stalkerską, alternatywną historią czy fantasy. Jednak bez względu na gatunek styl „Gołkosia” pozostaje niezmiennie smakowity. Jego książki są przepełnione czarnym humorem i absurdem, a pojęcia świętości Michał zdaje się nie uznawać.

Szczególnie widać to w serii Komornik, nawiązującej do biblijnej Apokalipsy. Natychmiast po wydaniu uznana ona została za obrazoburczą i wzbudziła wiele głosów protestu, równocześnie zyskując jednak rzesze zachwyconych czytelników. Zresztą kontakt z fanami jest kolejną rzeczą, która wyróżnia Michała na rynku wydawniczym. Mało jest autorów równie jak on aktywnych i otwartych. Można go spotkać na większości konwentów fanowskich, na licznych spotkaniach autorskich i nigdy nie jest zbyt zajęty na chwilę rozmowy czy podpisanie książki. Bez względu na to, czy prezentuje się akurat w garniturze, czy w stalkerskim szpeju, zawsze możecie śmiało podejść i zagaić. Nie wiemy nic o tym, by kiedykolwiek kogoś ugryzł.

COPYRIGHT © BY Michał Gołkowski  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-998-3

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA  
Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE ORAZ PROJEKT  
Szymon Wójciak

ILUSTRACJE  
Paweł Zaręba

ILUSTRACJA NA STRONIE 407  
Paweł Zaręba, Thomas Kole

REDAKCJA  
Ewa Białołęcka

KOREKTA  
Anna Korał, Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ  
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)





fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)

e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)

# ŚWIAT WE KRWI

TOM 1



  
fabryka słów®  
WYDAWNICTWA

Ziemia na horyzoncie!  
Kastylijscy konkwistadorzy  
pod wodzą Hernána  
Cortésa lądują na wybrzeżu  
Nowego Świata. Pchani  
żądzą złota, prą coraz  
głębiej w nieznaną łąd,  
ogniem i mieczem torując  
sobie drogę pośród  
zamieszkujących obcą  
krajną półdzikich plemion.

Pośród nich kroczy  
na czele swej kompanii  
ubrany na czarno człowiek  
o wytatuowanych rękach.  
Człowiek, o którego  
przeszłości, pobudkach  
czy myślach nie wiadomo  
dosłownie nic.  
Zahred.

W rytmie  
dudniących bębnow,  
w oparach dymu  
unoszącego się  
z kamiennego zwierciadła,  
wśród szaleńczych pługów  
kapłanów, w pierwszych  
promieniach wschodzącego  
słońca – rodzi się  
Pierzasty Wąż. Moc,  
która pochłonie świat.

fabrykaslow.com.pl

 /fabryka  /fabrykaslow

współpraca  
medialna



